

287

Drzeć mu się przez skały
kto chce na górze pięknej stanąć
swaty.

WZORY PROZY

NA

WSZYSTKIE JÉJ RODZAJE, STOPNIE I KSZTAŁTY

ZEBRANE PRZEZ

JANA RYMARKIEWICZA,

DOKTORA FILOZOFII I NAUCZYCIELA WYŻSZEGO PRZY GIMNAZYUM ŚW. MARYI MAGDALENY W POZNANIU.

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

WZORY PROZY

NA

WSZYSTKIE JÉJ RODZAJE, STOPNIE I KSZTAŁTY.

STOPIEŃ III.

na klassy wyższe Gimnazyów, tudzież dla Realnych i wyższych Szkół miejskich.

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

Poznań, czcionkami M. Zoerna

I.

Proza opisowa i opowiadająca czyli historyczna.

STOPIEŃ III.

Wierzytelność i wzniosłość.

A. Pamiętniki.

B. Biografie czyli żywoty historyczne.

C. Charaktery czyli wizerunki historyczne.

D. Monografie historyczne.

E. Kroniki i systemata historyi.

II.

Proza naukowa i rozumowa czyli dydaktyczna.

STOPIEŃ III.

Zasadniczość i wyniosłość.

A. Fantazye i charakterystyki umiejętne.

B. Monografie umiejętne.

C. Systemata umiejętne.

III.

Proza pobudzająca i zniewalająca czyli oratorska.

STOPIEŃ III.

Prawdziwość i Wzniosłość.

A. Głosy sejmowe i poselskie.

B. Przemowy wojenne.

C. Kazania i odezwy kościelne.

I.

PROZA

OPISOWA I OPOWIADAJĄCA

CZYLI

HISTORYCZNA.

STOPIEŃ III.

WIERZYTELNOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.

A.

PAMIĘTNIKI.

MOJE WSPOMNIENIA

przez A. J. 1838.

Wychowanie domowe.

Ojciec wychowywał nas po staropolsku. Od dzieciństwa hartował na zimno i gorąco; zimą i latem lataliśmy po dworze bez czapek, bez chustek na szyi, w trzewikach — uczyliśmy się strzelać z krucicy, z wiatrówki a potém ze strzelby; biliśmy się w palcaty, jeździliśmy konno, a owe harce odbywaliśmy codzień po śniadaniu i po obiedzie w obec zgromadzonych gości i jak najuroczyściéj.

Przyprowadzano dwa kucyki kasztanowate, z których jeden był mój, drugi mego brata Edwarda. Sadzano nas na te kucyki oklep, dano cugle w ręce, pozamykano bramy od dziedzińca, żeby kuce do stajni nie uciekły, i dopiero puszczano nas, i dopiero w koło dziedzińca jeden za drugim uwijaliśmy się, a charty wybrykując i mięszając się między konie, im ochoty a nam strachu dodawały. Więc ja groziłem wrzeszcząc, że spadnę, a ojciec odpowiadał: — „trzymaj się malcze za grzywę.“ Wypociwszy się z godzinę, więcéj od strachu jak od zmęczenia, zsiadałem z wielką radością, albowiem w dzieciństwie byłem wielki tchórz do konia. Nieraz przychodzi siadać na kuce, kuce dawno przed gankiem, goście dawno na ganku; wołają po wszy-

stkich pokojach, po całym ogrodzie: Olesiu, Olesiu! aż po długiém szukaniu wyciągają Olesia z agrestu, prowadzą jak zbiega; Oleś płacze ze wstydu i ze strachu, zaręcza że spadnie; nic nie pomaga, wyśmieją go, wyłają i daléj na kuca. Aż wkrótce mój kuc zdycha. Donoszą mi ostrożnie o tém nieszczęściu, i za to, że kuc zdechł dostałem w podarunku nożyk. Cieszę się nożykiem, ale więcéj jeszcze cieszę się tém, że kuc zdechł i myślę sobie: a ha! już nie będę jeździł. Nie długo używałem téj podwójnéj uciechy. Próbuję otworzyć nożyk, nie mogę, więc zębami — otwieram — nożyk wymyka się i łapie mnie za wargę — więc naturalnie z płaczem wielkim, latam w strachu wielkim, dopóki mnie z tego nożyka nie wypuszczono. Odebrano nożyk, a co gorsza powiedziano mi nazajutrz, że przyprowadzili nowego kucyka srokatego, że ten nowy kucyk będzie Edwarda, a Edwarda kucyk będzie mój. Było tedy znowu dwa kucyki — mój leniwy, Edwarda bardzo żwawy, a że był bardzo mały, więc każdemu słusznemu jeźdzcowi wymykał się, tak że mało kto mógł na nim dosiedzieć. Bałem się go okrutnie. Pewnego razu ojciec powiada: — „dziś będziesz jeździć na srokatym! — oczywiście podług starego zwyczaju zmykam do ogrodu, przypadam po krzakach jak zając; ale wytropili, wyciągają, prowadzą; idę jak na ścięcie; daremnie obiecują cukierków i krucicę, daremnie rozpowiadają mi coś o Aleksandrze Wielkim i o Bucefale; ja odpowiadam, że ja nie wielki ale mały — „to téż i Bucefal mały, siadaj malcze!“ Sadzają, wydzieram się, posadzili; ślizko mi jakby kto kuca namydlił; ja chcę stępą, koń w kłus, a potém w czwał leci za drugim kucem w koło dziedzińca; dziwują się, że nie spadam, nierozumiem że nie spadam, zaczynam się bać że nie spadam; więc myślę sobie: spadnę przed gankiem, to rozczulę papę i już nie będę więcéj jeździł; krzyczę padam! padam! i spadłem — kuc pobiegł, leżę, podnoszą mię, patrzę, aż mię nic nie boli i cały jestem. Ojciec mówi: — „widzę żeś nie szklanny!“ — przypro-

wadzają kuca drugi raz. — „Siadaj malcze!“ — musiałem — znowu jadę, i myślę sobie: kiedy to nie boli spadać, to jeszcze raz spadnę — spadam znowu przed gankiem. Nic nie pomaga, sadzają raz trzeci — widzę że źle. Jak zacznę się trzymać a uganiać w koło dziedzińca, jak się rozzuchwalę na koniu, tak odtąd nigdy już nie spadłem; odtąd jeździłem śmiało, potém wyszedłem na tęgiego jeźdzca, a tego dnia dostałem mnóstwo cukierków, krucicę i nowy łuk.

Odtąd już raz tylko koń mi napędził strachu, ale jakiego strachu! Już wyjeżdżałem był i za bramę i za wieś. Otóż raz mój ojciec wyjeżdżał konno, oglądać stado pasące się na obszernym rozłogu nad Bohem; ja z papą pojadę, ja pojadę z papą; zacząłem się napierać — „zlecisz, daleko na ciebie!“ — nic nie pomagało, napieram się znowu — „no pojedziesz, ale się dobrze trzymaj!“ — dopóki przez wieś, szło doskonale; męczę kuca, — nie męcz go, bo się rozbryka!“ — nic nie pomaga, męczę; aż przybliżamy się do stada; konie stadne zaczynają w około nas hulać; ach! jak zacznie mój koń brykać! Stado rozbiegło się, kuc za końmi jak zacznie latać po całym rozłogu; a tu z jednéj strony rzeka ze skalistym, wysokim brzegiem, z drugiéj strony las; już widzę że mnie zabije, albo utopi; oto krzyczałem! a kuc coraz mocniéj sadzi i pędzi po nad samą rzeką; spojrzę na dół, a tam woda po skałach kipi; spojrzę na prawo czy na lewo, a tu góry i lasy uciekają, a kuc pędzi; ręce mi omdlały, puściłem cugle, cugle spłynęły po karku; kuc jeszcze bardziéj pędzi, a takiego pędu już nigdy w życiu nie czułem, ani na najlepszych biegunach, ani na żelaznéj drodze; pęd zamknął mi piersi, strach oczy przewrócił, wszystko mi się widzi do góry nogami, nakoniec nic nie widzę, a tylko słyszę głos mego ojca: — „trzymaj się za grzywę!“ — gdzie tu się trzymać — rozkrzyżowałem ręce, zacząłem mówić: Zdrowaś Maryja i już, już miałem omdleć zupełnie, kiedy nasz poczciwy rządzca Krasicki kuca schwycił i zatrzymał. Dopieroż ja z konia na ziemię i w nogi.

Złapali mię łatwiéj jak kuca; ojciec dodał odwagi, mówiąc żem się tęgo trzymał, i że kiedy teraz nie spadłem to już nigdy nie spadnę; nauczył, że kiedy koń ponosi, trzeba mu tręzlą pysk piłować i zwracać na jedną stronę. Ośmielony siadam na kuca, zaczynam mu pysk piłować kuc widzi że nie żarty, więc stępą aż do domu zaniósł. Miałemże co rozpowiadać i mamie i braciom i gościom.

Do strzelania, biegania, grania w piłkę, byłem zuch wielki; a że przytém wszystkiém byłem bardzo powolny, lubiłem towarzystwo starszych i książki, nazywano mię filozofem. Ale filozof lubił czasem psie figle. Eustachy mój brat młodszy bał się gdzie ciemno, a ja gasiłem świecę i straszyłem go wilkami; raz zakradłszy się do sypialnego pokoju mego ojca dorwałem się strzelby nabitéj, zsypuję proch z panewki i z panem Eustachym nuż klapać, aż tu jak huknie strzelba, jak mnie trąci — strach dopomógł, wywracam się, walę Eustachego — wpadają wszyscy; my leżemy, kotara się pali, a ja krzyczę, że strzelba sama wystrzeliła i nas zabiła. — Nuż nas trzeźwić, nuż kotarę gasić — wszystko szczęśliwie się skończyło, nas wskrzeszono, kotarę zgaszono, rózgą nie dostałem.

Wkrótce potém, gdy się wybierano na wielkie jakieś polowanie, zajrzałem na stole w pierwszym pokoju parę kordelasów, więc chap za kordelasy i na dziedziniec do braci strzelających z łuku; dobywam kordelasów, próbuję, ostre aż strach; a że zawsze było między nami współubieganie się, kto lepiéj strzela, kto daléj rzuca kamyczkiem, i nieraz ztąd dostało się oknom, kto nową sztukę i lepszego figla wymyśli; więc ja mówię do braci, kto głębiéj a od razu kordelas w ziemię wbije? Wyzwanie moje utrzymało się jednomyślnie: ten dobrze, ten jeszcze lepiéj — ten dobrze, ten jeszcze lepiéj; aż nakoniec jak dobędę wszystkich sił moich, jak podniosę kordelas oburącz, jak palnę się w nogę wyżéj palców; przybiłem się do ziemi tak, że ani rusz; bólu nie pamiętam, ale ze strachu skamieniałem. Stoję

jak posąg; bracia w płacz, krzyczą: mamo, Oleś zabił się! — Co też tam było płaczu! a co się krwi mojéj wylało! — Obwinęli nogę, zgoiła się, ale znak dziecinnéj mądrości pozostał na zawsze.

Wyjazd do szkół.

Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. — Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś; myślimy sobie, musi tam być wiele dzieci, oto będziemy się bawić; pytamy:

— „Papo, a wstąpimy tu?“

— „Wstąpimy.“

— „A dużo tam chłopców?“

— „Dużo.“

— „A jak się ten pan nazywa co tam mieszka?“

— „Gimnazjum.“

— Otóż masz — pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma: źle, ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta; paskudne — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne, po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

W tém dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klassy i nuż w perewerty; wesoło krzyczą, i nam poweselało, radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać im co to i my figlów umiemy; ale nie można, więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— „Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?“ a nauczyciel łaciny i greczyzny, Jagiełło, nieproszony odpowiada:

— „Jak odbędziecie popisy.“

— „Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.“

— „Da się to widzieć.“

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu, myślimy sobie, ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się — popisaliśmy się doskonale; Edwarda i mnie przyjęto do trzeciéj klassy, Eustachego do drugiéj.

Było to w Sobotę: w poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie właśnie do pana Jagiełły; Niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W Niedzielę rano ojciec mówi:

— „No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad; a tam po obiedzie grzecznie się bawić.“

— „A są tam dzieci?“

— „Jest dziewczynka ładna i grzeczna.“

Poubieraliśmy się ślicznie, ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z tęgą postawą, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy. W pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesoły starzec; był to Szczeniowski, wówczas dozórca gimnazjum Winnickiego, dawniéj prezes jakichś sądów, jeszcze dawniéj poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnéj nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko poświęcał, lecz od niéj niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednéj, ni o drugiéj. To téż doczekał wesołéj starości, co się nie smuci żadnêm nieszczęściem, bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka Jéj sądu.

— „Przedstawiam ci moich chłopaków.“

— „Żwawe chłopcy; a to wnuczęta moje.“

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potém powtarzał; a kończąc ten wywód, znowu nazwał nas wnukami.

— „Kiedy my wnuki, to pan dziadunio.“

— „Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.“

Odtąd tedy jużeśmy nowego dziadunia dziaduniem

zawsze nazywali. Wprowadził nas do bawialnego pokoju; wskazał na żonę — „oto wasza baba“ — wskazał na na nas — „oto twoje wnuki“ — więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka jak aniołeczek, stanęła, popatrzała i schowała się: znowu stanęła we drzwiach, i już się nachyliła do pierwszego poskoku; biała sukienka kołysała się z lekka; na prawéj nóżce stoi, lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jéj nie zgubiła; rączki na wpół podniesione jak gdyby do latania zrywać się miała; włoski jasnolite jeszcze nie spoczęły w pędzie, którym goniły za łabędzią szyjką a błękitne, duże oczki mówiły: mamo zawołaj mnie. Matka dała znak, a dziewczynka aniołeczek błysnęła przez pokój, i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: — „Xawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców.“ — Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię; powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu, jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom.

Nazajutrz oddano nas już do szkół. Gimnazjum i szkoły były umieszczone w dawnych gmachach pojezuickich. Klassy wyższe miały innych nauczycieli, niższe innych. Klassy wyższe wynosiły się nad niższe, ztąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszém a drugiém dzwonieniem, to jest, między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednéj i drugiéj strony zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stósy śnieżek. Niecierpliwsi wybiegają naprzód i z niecierpliwszymi drugiéj strony staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi celniejszym strzelcom podają śnieżki: krzyk, hałas niesłychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na mężnych piersiach, ten

je odbija teką, co mu puklerzem, ten nieustraszony chwyta bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka gębę zamknęła, oczy zabryzgała, idzie malec do klassy, jak do szpitala; tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi i oziębia dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmaga, wściekłości przyrasta; już nie ma śnieżek, to śnieg garściami rzucając, strony zbliżają się; już, już przy sobie, już, już rozdzierać się mają; w tém dzwonią raz drugi i w mgnieniu oka bój ustał, wojska walczące zniknęły, już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przeminęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

Przyszedłszy latem na jaką płaszczyznę pod lasem, nasze pułki stawały i cały dzień hulały. Z za lasu myślałbyś, że wojna; rżenie koni, huk wystrzałów, wrzawa zamieszania, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych, bo nie raz aż krew się leje. Zaglądasz z lasu; jedni gonią, drudzy uciekają; tu piłki jak kule harmatnie warczą w powietrzu i po ziemi skaczą; tu balony jak bomby poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią jak gdyby z harmaty, drugi odbija bombę kułakiem, nie jeden zwali się na ziemię, nie jeden w rów wleci; tu niby ludzie opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi jak niedźwiedź psiakami, dziatwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy, dopóki olbrzyma nie uszamoce, kilku skoczy mu na łeb, kilku do nóg się uczepi, wali się olbrzym, malce jak gruszki odlecą od niego, wnet jak mrówki obsiądą i męczą go dopóki nie krzyknie, daruj: ale zwyciężony woli cierpieć jak poddać się, leży spokojnie jak gdyby zabity; malce się zagawronią, on strzepnie nimi, malce odlecą i albo nowy bój rozpoczyna się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ciskają strzałami, drudzy dzidami, ci się na gołe łby tłuką. Wojna powszechna. — Zabrzmiała trąba pokoju — bój ustaje — zniknęli nieprzyjaciele — szykują się wszyscy do jednych szeregów; każdy urwał sobie liściatych gałęzi, a choć nie

laurowe, ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięztwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drzącém ich liściem. Słuchając i patrząc z daleka myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za niemi; ale jak muzyka ucichnie a malce różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero, że to uczniowie wracają z pohulanki. Wchodzą do miasta. Ustaje wrzask; szyki się równają, hardość rycerska krasi czoła malców, iskrzy się w ich oczach, spojrzawszy na nich mimowolnie wykrzykniesz: to dzieci rycerzów, to polskie dzieci! Z rozwiniętemi chorągwiami, z konnicą na przedzie, przy odgłosie zwycięzkiéj pieśni, oddział przesunąwszy się przez miasto, zawija na dziedziniec Szczeniowskiego. Poważny starzec błogosławi wzrastającemu pokoleniu; malce w okrzykach radości porywają go na ręce, bo go wszyscy kochają jak dziadunia, wszyscy wiedzą o jego zasługach i cnotach.

Polowanie.

Nadeszła późna jesień, zaczynały się polowania. U mego ojca było bardzo wielkie myśliwstwo, były téż wielkie polowania. Zbliżało się pierwsze dla mnie polowanie na wilki, a że miałem czas nasłuchać się o różnych myśliwskich przygodach, mianowicie z wilkami, więc byłem bardzo ciekawy tego polowania, a zabić starego wilka, było to dla mnie jedném z marzeń owego czasu. — Pobereżnicy przychodzili codzień z doniesieniem wiele gdzie jakiego zwierza. W wielkiéj brzezinie było gniazdo wilków; pilnowano jak oka w głowie, nikomu do brzeziny wjechać nie było wolno, chyba nieboszczykowi wołowi, albo koniowi, którémi karmiono te wilki, żeby szkody nie robiły, żeby prędko rosły i żeby nie spieszyły się na wędrówkę.

Na dzień oznaczony zjechało się mnóstwo gości; już się zaczęło polowanie z chartami na małego zwierza,

to jest na zające i lisy. W domu huczno, gwarno; hulają, grają w karty, przechwalają swoje strzelby, swoje psy, swoje strzelanie; pełno młodych szaławiłów i starych wyjadaczów; ścierają się jedni z drugimi, śmieją się wszyscy, radzi wszyscy i ja.

Stary Ginowski, sławny myśliwy na całą okolicę, zarządzał wielkiém polowaniem; codzień gdy zmierzchało jeździł wabić wilki, żeby wiedzieć gdzie ich legowisko, jak je obrzucić sieciami, co wcale nie łatwo po czarnéj stopie. Jeździłem z nim zawsze, bo ciekawy byłem, jak to wilki wyją. Przez parę dni nie odzywały się wcale; trzeciego wieczora wjechaliśmy w inną stronę lasu, a jak pan sędzia miarkował, że wilki już sobie oczy przecierają i zabierają się do wstawania i do umywania się, kazał strzelcowi zawabić. Strzelec podszedł trochę w stronę gdzie się wilków spodziewał i zawabił przeciągłém wyciem; odpoczął, zawabił raz drugi; za trzecim razem jak się odezwą wilki o parę set kroków za nami, jak zawyją chórem, jak się wycie rozlegnie po lesie, zdawało się, że całym lasem zatrzęsło, a konie tak szarpnęły wózkiem, że mi aż zęby zadzwoniły. Sędzia rozpromieniał z radości, u mnie serce waliło jak młotem, strzelec wskoczył na bryczkę i słowa nie mówiąc jechaliśmy jak najciszéj; wilki szukając wędrowca przeskoczyły drogę za nami, a sędzia szepnął: — „pohulajcie przed śmiercią.“

Dopieroż radość jakeśmy wrócili do domu. Wchodzi sędzia.

— „A co?“

— „Są.“ —

— „Wiele?“

— „Ośm.“

Niech żyje sędzia! wszyscy krzyknęli, podskoczyli z radości, zatarli ręce, mróz nieszczęśliwego oczekiwania przebiegł po skórze, każdy opatrywał broń, jak gdyby ją pierwszy raz oglądał: wydano rozkazy.

Nazajutrz rano czas był spokojny, nie zimny, z lekka mglisty, wyborny do obrzucania wilków, bo liść pod

nogami nie chrupocze. Piętnaście wozów z sieciami pod las podjechało, przy nich stanęło trzystu parobków ze spisami, albo z pałkami, żaden słowa nie szepnął. Sędzia objeżdżał na koniu a za nim stawały sieci. W pół godziny sędzia objechał knieję wkoluteńko, i wkoluteńko knieja zamknięta, kulec za kulcem. Za sieciami od pola, o dwadzieścia kroków od sieci, a pięćdziesiąt jeden od drugiego, stoją parobcy, i mają rozkaz odpędzać wilki od sieci, żeby wszystkie od strzelby wyginęły; gdyby się który wilk uparł do sieci, to go złapać i związać mają. Wszystko gotowe.

Po sutém śniadaniu zajeżdżają kocze, koczyki, wózki, wózeczki, bryczki, bryczeczki; wybierają się myśliwi, ten torbę wiesza, ten strzelbę nabija, ten czapki szuka, ten jeszcze szklanicę wyciska jak cytrynę, a wszyscy się spieszą, a każdy się późni; nieład jak w powstaniu, ochota jak w powstaniu. Mój ojciec nie czekając siadł na wózek z panem sędzią i ze mną i ruszył naprzód. — Goście widzą, że nie żarty, daléj za nami. — Powóz tuż za powozem jak na żelaznéj drodze mknie przez wieś, przejrzał się w stawie i dalej sunie, aż w lesie wszystkie potonęły. Przed knieją stoją dojeżdżacze na koniach, trzymając pomiędzy sobą, jak w garści, dwadzieścia sfór gończych; gończe rwą się, skaczą, tarzają się zniecierpliwości, czasem zaskumli który, ale żaden nie szczeknie. Wysiadamy, idziem cichutko — wchodzimy w knieję. Rozdzieliliśmy się na dwie części; jedną stroną pan sędzia, drugą mój ojciec strzelców rozstawia; ja poszedłem za moim ojcem, który mi dwururkę moją z bagnetem, opatrzył, nabił i mnie niedaleko siebie postawił, a odchodząc powtórzył: — „oglądajże się, żebyś nie prześlepił, uważaj, żebyś do psa nie strzelił, niespiesz się, żebyś nie chybił, bo mnie i sobie wstydu narobisz.“

Stoję; wszystko spokojnie; a taka cichość, że słychać konanie zwiędłego liścia. W tém sędzia na dzień dobry śpiącym wilkom strzelił z moździerza; zatrzęsły się drzewa i ciągle już drzały, opowiadając jedno dru-

giemu co odtąd słyszało. Parobcy odkrzyknęli moździerzowi przeciągłym krzykiem, który dał znać wilkom, że są w oblężeniu. Orły wzleciały nad las i patrzą, kto ich spokojność zamięszał; kruki kraczą wilkom na złą wróżbę; ślepe sowy tłuką się po gałęziach; lis pędzi do nory; zając przypada do nóg strzelcowi, jak gdyby chciał mówić, nie strzelaj do mnie — i znowu cicho; aż tu naraz jak psy zagrają, jak zaczną ujadać — najcudowniejsze brzmienie drzy lasem, wre powietrzem, zaweseliło serca. Nie można się polowania nasłuchać; ucho wytężone, wzrok ciska się na wszystkie strony, serce niecierpliwe boju. Każdy strzał roztrąca się o wszystkie drzewa i sam donosi czy zabił; za każdym strzałem psy mocniéj ujadają, za każdym strzałem nowa zazdrość w myśliwcach, dopóki ich nie załagodzi z ust do ust lecąc: pilnuj! Cały ten hałas zmięszany zbliża się ku mnie; w około mnie latają i psy i lotki, a czasem zatętni coś w gęstwinie, jak gdyby koń ciężki, i mignie ogromnym zwierzem. W oczekiwaniu i niepewności serce mi się tłucze, a sam niewiem czego chcę; wolałbym, żeby wilk wyszedł na mnie, ale się boję, boję się chybić: bo drzę cały, aż się kolana uginają podemną. W tém nagle psy zaskowytały, kilka strzałów na raz palnęło i ogromnym pędem leci zziajana stara wilczyca; wypada na halawę i z otwartą paszczą zwraca się ku mnie; przypuszczam ją jak najbliżéj; palę z jednéj rurki na sztych, wilczyca w bok; jak palnę z drugiéj pod łopatkę, wilczyca w perewerty, wije się śmiertelnym tańcem, i jak gdyby sama dobić się chciała, skoczyła w górę i tak silnie na bok padła, że aż jęknęła, nogi wyciągnęła, ogonem się nakryła, język przygryzła; przybiegłem z bagnetem, zastałem nieżywą, pastwić się nie chciałem. Dopieroż zazdrość i wstyd dla starych myśliwych co pochybiali, radość i chluba dla mnie. Chcieli mnie ufarbować na cześć pierwszego wilka, nie dałem się. I pan sędzia się puszył, bo jak ośm wilków wyliczył, tak ośm na szubienicy wisiało.

Wjazd do Krakowa.

Ojciec tak nam zachwalał Kraków, a więc zbliżaliśmy się do niego z uczuciem dziecinnego przywiązania do tych resztek świetności Polski, z uczuciem czci religijnéj dla téj świątnicy, co mieści w sobie tyle pamiątek, co tylu królów polskich była kolebką, a teraz jest grobem; co usposobiała tylu mężów sławnych w boju i w radzie, mężów, co zajaśnieli na świecie i ramieniem i głową, i szablą i piórem. Jechaliśmy teraz niejako odziedziczać naukę po tych sławnych ludziach, bośmy jechali do téj sławnéj szkoły, w któréj się oni wyuczyli na pociechę wspólnéj matki naszéj; może téż odziedziczymy broń po nich, walcząc na tych samych polach, na których oni tyle krwi swojéj wylali, tyle kości posiali. — Takto wyścigaliśmy czas myślą; a radzi wyścignąć dzielącą nas przestrzeń od Krakowa, jak błyskawicą przecinaliśmy ją na wszystkie strony młodém a chciwém okiem.

Aż tu nagle powóz skręcił, góra się umknęła i ukazał się nam w rozkosznéj dolinie czarowny Kraków. Czterdzieści wież strzeliło do góry, pokazując ludziom, gdzie szczęście, gdzie opieka dla nieszczęśliwych; pomiędzy wieże w około świątyń Pańskich skupiło się starożytne miasto, a nad tém miastem czuwa odwieczny Wawel, z którego niegdyś oko Zygmuntów pozierało z ojcowską dumą na szczęście Polski, a teraz tylko kiedy niekiedy dzwon Zygmuntów, jak gdyby grobowe westchnienie wielkich królów téj ziemi, zajęczy nad jéj niedolą.

Z daleka patrząc na zamek, znać już, że pomarli panowie jego, a nie dzierżą go ich potomki. Smutne miasto i zamek smutny, pusty zamek i miasto puste. Zamek stoi otworem, strzegą go tylko pokruszone baszty; i miasto téż stanęło otworem, rozpadły się jego mury, bramy mu już nie potrzebne, i tylko po ich zwaliskach wiatr wieje, jak gdyby chciał straszyć świętokradzkie ręce, co się bezbożnie targnęły na cudze pa-

miątki. Wesołe przedmieścia rozrzuciły się w około miasta, jak gdyby nie traciły nadziei wesela, a Wisła macierzyńskiém uściśnieniem łagodzi ciężki smutek zbolałéj stolicy, a szemrząc jéj ciągle przeczucie szczęścia i chwały, mignie obrazem przeszłości, szczęścia i chwały, mignie obrazem przyszłości i tęskną żałość na chwilę ukoi. Ze trzech stron trzy mogiły ogromnym trójkątem, jak gdyby okiem Opatrzności, patrzą na Kraków: dwie mogiły stanęły po jednéj stronie Wisły, trzecia po drugiéj, jak gdyby mówiły, i tu i tam Polska: a jedna mogiła naucza jak Polskę rozszerzać, druga jak Polskę wskrzeszać, trzecia jak Polskę kochać. Zachodzące słońce oglądając się na południe, na śnieżnych Karpatach napisało promieniami swemi: tu granica Polski; a oglądając się na północ i wschód, żegnając po rozległéj, jak cała Polska równinie, ścieląc swe promienie od morza do morza, ozłociło całą Polskę na przypomnienie, a może i na przepowiednią jéj złotych wieków.

Podróż do wód.

Łańcuch gór kaukazkich z daleka pokazał się nam jak siny obłok; nazajutrz ciężkie powietrze spuściło nań nieprzebitą zasłonę; trzeciego dnia ze wschodem słońca ujrzeliśmy jasnéj białości, pocieniowany kształtami gór, wał śniegu; ciemny błękit niebios odbijał wybornie te niepoliczone kształty i wszystkie nam na oko położył; na niektórych wierzchołkach śnieg zeszklony dziwnie miotał promieniami słońca. Daleko przed siebie, jak gdyby na straż swoję, góry kaukazkie rzuciły na step kilkoro dzieci swoich, gór młodych, niepobielonych jeszcze szronem starości, a już okazałych wyniosłością, strojnych wszystkiemi wdziękami młodości; jeszcze oko ludzkie nie może rozeznać strasznéj piękności ogromnego gór łańcucha, a już te młode góry zwabiły je wdziękiem i bogactwem swojém. Pomiędzy tą przednią strażą gór kaukazkich, najwyżej strzeliły Maszuta i Besztan; pierwsza znaczy w języku Czerkiesów mogiłę,

i ma kształt mogiły, druga znaczy pięć gór, i ma też pięć wyraźnych wierzchołków. Te dwie góry gotują w łonie swojém źródła ludzkiego zdrowia; pomiędzy temi górami, jako w progu dobroczyńców swoich, ludzie téż liczniéj osiedli. Tam jest kres podróży długiéj i nudnéj, a ma być początek zdrowia dla słabych, zabawy dla zdrowych, wypoczynku dla wszystkich. Dwa dni patrzaliśmy na te zbawienne znaki, a dopiero trzeciego dnia późno dojechaliśmy do głównego miejsca wód kaukazkich, pod górę Maszutę.

Nazajutrz obleciałem dość porządnie zabudowane miasteczko w kilku prostych ulicach; Czerkiesi snuli się konno, przeszłoroczni znajomi mego ojca, biorąc mię za mego brata, jeden drugiemu pokazywał, mówiąc: dzygid, co znaczy rycerz, a dla tego tak go nazwali, że on ich zadziwiał swoim sposobem strzelania i robienia bronią. A każdy Czerkies mówił: — kup konia, i wiele ich przyprowadzali na przedaż. Zaraz kupiłem sobie klacz kasztanowatą prześliczną za 40 rubli papierowych; pytam się dla czego tak tanio przedaje, kiedy młoda, piękna i zdrowa; dla tego, że nie daje się dosiadać; istotnie kąsała, rzucała się na ludzi, ale że była takiego składu, jak nam Rzewuski Wacław zawsze na wzór rysował, kupiłem i w téjże chwili wskoczywszy na nią, wybiegłem z Czerkiesem na wierzchołek Maszuty, gdzie dobrym koniem za godzinę dostać się można.

Niebo tam ciemnobłękitne, a czyste jak spojrzenie dziewicy; ostatnie chmurki, które się były zaspały na łonie gór, już się przebudziły, ale tak im tam dobrze, że nim wzlecą ku słońcu w obłoki, witają się po górze, roztaczają się po niéj rozkosznie, muskają jéj kwiaty i ich zieloność; wzbiją się nieco i znów do góry wracają, znowu ją obejmują, że jakby na ostatnie przeżegnanie przed śmiercią, bo słońce ostrym promieniem zacina leniwe chmury; toczą się po górze, już do jéj wierzchołka tylko ostatnim przyczepione rąbkiem; już się ostatni raz chmurka zachwiała — przypadła jeszcze —

jeszcze raz musnęła po szczycie góry i oderwała się od niéj na zawsze; poleciała rozpłynąć się w ciemnym błękicie i gdzieś tam daleko spadnie we łzach, płacząc za rozkoszną górą, co ją wypuściła. Ogniste słońce roztopiło chmury i samo jedno buja po niebie, nocą stęsknione oko karmi cudnym widokiem, wszystko mu pokazuje, ale na siebie patrzyć nie pozwala. O nędzny człowieku! ty nie możesz znieść spojrzenia słońca, a myślisz, żeś Boga przejrzał na wylot; za słaby twój rozum, abyś zgadł, co słońce, a ty myślisz, żeś odgadł Stwórcę słońc nieprzeliczonych; za słabe twe oczy, aby spoczęły na słońcu, a tyś tak zuchwały, że ziemskim wzrokiem twoim patrzałbyś w samego Boga.

Co to za ogromny świat, i piękny i rozmaity, co to za rozliczność tych światów, co to za niezmierzona potęga Stworzyciela tych wszystkich światów, kiedy człowiek, co się ma za władzcę ziemi, ani wzrokiem obejrzeć, ani myślą objąć nie podoła tego ogromu, téj cudowniejszéj może jeszcze rozliczności wszech rzeczy. Kto jeszcze pomimo klęsk i nieszczęść nie uznał Boga Sędziego, kto pomimo szczęścia i dostatków nie uznał Boga Ojca, kogo widok gwiazdolitego nieba nie przejął trwogą, albo miłością Stworzyciela, niech wnijdzie na górę Besztan. Stojąc na jéj ostrym szczycie, jak gdyby w powietrzu zawieszony, spojrzy na dół na tyle przepaści i rozpadlin strasznych, na tyle spiętrzonych gór, po których jak po stopniach na ten szczyt się wdrapał, i zda mu się, że nad ten szczyt nie ma nic wyższego na ziemi; spojrzy do góry, a zda mu się, że niebo jeszcze wyżéj od niego uciekło; spojrzy na około siebie, a strach przestrzeni tak mu oczy zaćmi, że długo upłynie, nim przejrzy. Na prawo jedno morze, na lewo drugie; na północ potoczyło się morze stepów, migające różną barwą, jak bałwanami; na południe strumienie i rzeki, niedościgłym biegiem wijąc się po rozkosznych dolinach, tu i owdzie splątały się w jezioro, jak w węzeł i znowu z niego wybiegają; nad każdą rzeką zbiegły się lasy i góry i przyglądają się wdzię-

kom wody i swojéj urodzie. Im daléj, tym wyższe góry, tak cudnie ustawione, że jedna drugiéj nie zasłania, jedna drugiéj dodaje wdzięku; ale jak gwiazd na niebie nie policzysz, choć zda się, że wszystkie widzisz, tak i gór nie policzysz, choć zda się, że wszystkie widzisz; a wszystkie piękne, ta piękna lasem, ta skałami, tamta przepaściami, tamta że łagodnie, ta że raptem wstaje, ta zielonością, ta wspanialszą nad wszystko siwizną. Łańcuch gór śnieżnych zamyka widok śmiejący się i zielony, wygląda jak mleczna droga na niebie, zda się być kością pacierzową olbrzyma ziemi, a z tą kością zda się być wszystko związane, i góry i płaszczyzny. Cały widok zgodny, a nie pojęty, jak dźwięk wiatru, jak łoskot fali, jak strzał piorunu, jak przezroczystość dnia, jak wszystko, co nie jest ani wymysłem, ani sztuką ludzką, ale dziełem Boskiém, grą świata, co na słowo — stań się — stało się piękném, bogatém, roskoszném, straszném, niepojętém.

Wspomnisz sobie na ludzi; spojrzysz z téj góry na ich mieszkania, a ich wsie wyglądają jak mrowiska, a nawet ich ruchu nie dojrzysz. Do koła wzrokiem oblatujesz, bo radbyś widzieć do koła cały okrąg, wszystkie przepaści, obadwa morza razem. Patrzysz i dumasz, dumasz, dumasz i patrzysz; i nim ci przyjdzie na myśl, że tu już Azya, wykrzykniesz mimowolnie — tu raj być musiał. I nie zejdziesz z góry, aż ci obłoki zasuną cudny widok, któremu granice jeno w oku ludzkiem; powrócisz nie raz na tę górę i zawsze zejdziesz z niéj upokorzony, poprawiony, zadumany o sobie i o Stwórcy swoim, i będzie ci tęskno za tą górą, jak za świątynią, w któréj ci było błogo na duszy, jak za świadkiem twych dobrych myśli i uczuć szlachetnych, jak za tronem, z któregoś zakrólował wzrokiem od morza do morza, od szczytu gór, aż na kraj stepów.

Czerkiesi.

Każdy do siebie zapraszał, najstarszy mirza albo bimirza, albo jaki książe miał przed wszystkiemi pierw-

szeństwo; zapraszając na noc, zawsze mówił, że każe dla mnie zarznąć barana, co miało znaczyć, że przyjmie suto. Zarzynali barana, przysposabiali wieczerzę, a my tymczasem na konie i do stada.

Wyjechaliśmy na górę, zdaleka w dolinie bieleje coś jakby jezioro, a to stado: bo tam najwięcéj koni siwych i białych, a w jedném stadzie zbiorowém, bywa ich po dwa tysiące i więcéj. Czerkiesi najbardziéj cenią konie siwe, a jak się urodzi źrebię srokate, to je zarzynają i jedzą, mówiąc, że gdyby z tego miał być koń dobry, to by go Pan Bóg nie łatał. Zbrojni Czerkiesi, bo oni zawsze zbrojni, strzegą stada, a gości częstują *kumysem* — jest to rodzaj kwasu z kobylego mleka — napój biały dość przyjemny, a u nich zwyczajny. — Przejeżdżając się pomiędzy stado, wybierałem klacze, które mi się najpiękniejsze wydały, ze źrebiętami innéj maści, jak ich matki. Skoro którą pokażę, zaraz dwóch Czerkiesów wyganiają ze stada na stronę ze szczególną zręcznością: wybierając po różnych stadach, kupiłem kilkadziesiąt najpiękniejszych klaczy, które potém rozrodziły się u nas w osobne stado czerkieskich koni.

Od stada wracaliśmy późno: już ksiądz muzułmański z minaretu, uplecionego z chrustu, zawołał do modlitwy, już ze wszystkich stron *auły* czerkiesi, zprosiwszy nas z sobą, ściągają się do meczetu, wyglądającego nakształt chłopskiéj stodoły, gdzie podług starego zwyczaju odmruczeli i odleżeli modlitwy. Wyszedłszy z meczetu wprowadzili nas do gościnnego, okrągłego domku, podobnego do chlewika, a także uplecionego z chrustu i nakrytego słomą. Już była zastawiona wieczerza na stole obszernym, ale niższym od zwyczajnego krzesła; na stole kilka mis dużych i pełnych, kilkanaście misek i łyżek drewnianych; starszyzna czerkieska usiadła z nami za stołem, myśmy usiedli na ziemi, a oni stojąc na nogach zemknęli się tylko we troje, jak na zawiasach; inaczéj nie siadają, a to dla tego, aby jak najprędzéj schwycić się mogli. W jednéj misie była baranina poszarpana w różne

szmaty, w drugiéj ryż z tłustością baranią, doskonały, a nazywa się *pilaw*, w trzeciéj jajecznica z miodem, a w czwartéj kwaśne mleko z jakimiś łazankami, zatarte czosnkiem; było coś także na kształt chleba jęczmiennego, za napój kumys albo woda, i koniec. Czerkiesi bardzo mało jedzą, i mówią, że nie trzeba wiele jeść, żeby mieć siłę, to też każdy chudy i lekki jak chart, wcięty jak osa, pleczysty jak niedźwiedź, piersisty jak orzeł; u każdego żywość w ruchu, w spojrzeniu, oko pełne; rysy twarzy rzadkiéj kształtności, strój swobodny, kibić wysmukła, gibka, zręczniejsza jak u tancerza, a przy tém wszystkiém jakaś powaga na twarzy czyni czerkiesa wyobrażeniem zupełném i doskonałém rycerza wolności.

Nadeszło też i święto Bajram, na które pojechaliśmy z wód gorących do najbliższéj auły. Podewsią zebrali się liczni czerkiesi; jedni uganiali się na koniach do mety, drudzy strzelali do celu, i pieszo i z konia: z konia w największym pędzie trafiali z krucicy do czapki rzuconéj na ziemię, albo ze strzelby do deszczułek mniejszej jak ćwiartka papieru, a przytwierdzonéj do tyczki na kilkanaście łokci wysokiéj, ten ostatni sposób strzelania jest najtrudniejszy, i do niego przywiązane są największe nagrody; czasem cały dzień strzelają i nikt nie trafi. W roku przeszłym mój brat Edward wygrał tę nagrodę; było to kilkanaście sztuk złotéj i srebrnéj monety w worku skórzannym; najpiękniejsza dziewica czerkieska oddawała nagrodę, wziął worek a pieniądze zostawił temu, co najpierwszy po nim trafi; czerkiesi dziwili się zarazem i zręczności i wspaniałomyślności polskiéj. Ja chciałem spróbować tego samego szczęścia, ale żem jechał z paniami, więc zwyczajnie jak z kobietami wybierania się było bez końca; przyjechaliśmy za późno — deszczułka była już przestrzelona.

Po igrzyskach następowały tańce; muzyka nędzna: na dwóch dudach grano tańce i pieśni, których ani taktu ułowić nie mogłem. Dziewice czerkieskie strojne

bogato, wystąpiły na stołeczkach cztery do sześciu cali wysokich, na które wstępują ile razy wychodzą z domu, i aż w domu je zrzucają; stołeczki te są nasadzane srebrem, złotem, podług możności każdego; otoż dziewice wysmukłe na tych stołeczkach występują do tańca, i z nieporównaną zręcznością wykonywają taniec najtrudniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Są u nich tańce popisowe, gdzie tańcują we dwie, albo pojedyńczo; są tańce zbiorowe, gdzie mężczyzni tańczą, w sposób podobny do obertasa ukraińskiego, ale mniéj żwawy.

Strój czerkiesek jest okazały; mają dłuższą suknią z jedwabiu, krótszą z lamy srebrnéj lub złotéj, pas lity, głowę obwiniętą w szal bogaty, z pod szalu spływają długie włosy, do szalu przytwierdzona zasłona cienka, w pół przezroczysta, rękawy długie, suknia fałdzista, ale w piersiach tak obciśnięta, że trudno pojąć, jak w takiéj sukni oddychać można. Pytałem Czerkiesów, czy wszystkie mają podobny kształt ciała; odpowiedzieli, że wszystkie dziewice, że to jest u nich pięknością, że w dziesięciu, albo dwunastu latach piersi dziewcząt obszywają w skórę, którą dopiero mąż jéj przecina. Czerkieski mają oko czarne, spojrzenie głębokie, posępne, rysy twarzy pociągłe, płeć bladą, piękne są, ale Czerkiesi piękniejsi.

Czerkiesi w święto Bajramu występują w świątecznych strojach; żupan jedwabny, albo z lamy srebrnéj lub złotéj, po wierzchu rodzaj kontusza, ale bez wylotów, najczęściéj granatowy, czasem pąsowy, obszywany taśmą srebrnozłotą, spięty na haftki, a rękawy dłuższe na ćwierć łokcia od ręki; na piersiach ładunki srebrne lub złote, wyrabiane sztuczną robotą, zawieszone na łańcuszkach, chowają się do pół w kieszonki z tasiem; szyja goła, broda krótko i ostro ścięta; na ogolonéj głowie albo mała czapeczka taśmami wyszyta, albo większa z baranem, lub inném futrem w około, mogącém się zwiesić na oczy; taka czapka służy mu za hełm spuszczany; gdy baran srebrnéj białości albo kruczéj czar-

ności spłynie w jedwabnych pierścieniach na oczy, a burka najeżona włosem wysoko, natenczas nikt Czerkiesa nie pozna. U wązkiego paska wybijanego guzikami srebrnemi wisi *kindżał*, krzesiwo i kilka narzędzi do opatrywania broni; *szaszka* bogato oprawna, przewieszona na jedwabnym sznurze przez prawe ramię na lewy bok ostrzem do góry, żeby się ostrze nie tępiło, i żeby jednym zamachem i szablę dobyć i ciąć można było; na lewo zawieszone krucice, wetknięte z tyłu za pas; czasem zamiast strzelby łuk na plecach; strzelbę wieszają przez plecy w bardzo wygodnych pochwach z burki robionych, tak, że strzelba nigdy nie zamoknie, w pędzie nie tłucze o plecy, a wkłada się i wyjmuje bardzo łatwo; na szyi na jedwabnym sznurku zawieszony rodzaj kaptura, zwany *baszlik*, który w czasie słoty nakładają na czapkę, a deszcz spływa po nim na lśkniącą burkę, a po śliskiéj burce na ziemię; obuwie mają bardzo obciśnięte, raczéj nogi bardzo kształtne; po wierzchu szkarpetek safianowych noszą trzewiki safianowe bez osobnych podeszew; obuwie to byłoby niewygodne do chodzenia po bruku, ale po komnatach wysłanych kobiercami, albo po stepach wysłanych miękkim kwiatem bardzo wygodne; zresztą Czerkies chodzić nie lubi i prawie się na krok z domu nie ruszy inaczéj jak konno.

Czerkiesi tak uzbrojeni, a konie ich tak osiodłane, że nic ani dzwoni, ani brzęczy i jadącego jeźdzca nie słychać: bo téż sposób ich wojowania na tém polega, aby napaśdź, zabić, zabrać i uciec nie narobiwszy hałasu. Często dwóch, trzech wpada na cały półk, czyto jazdy, czyto piechoty, zsadzą z koni dowódzców i w nogi; jeśli ich nie zabiją puściwszy za nimi pięćset kul, to już i nie złapią: utonął Czerkies w bujnych burzanach i kiedy za nim gonią, on goni za goniącymi i kogo może, urywa z oddziału.

Kontrakty kijowskie.

Już mrozy ścinają, już niebo szarzeje, już nieznośną grudę zasypuje miękki puch, a na odpoczynek po-

dróżnym ściele się droga. Wszędzie biało, śnieg błyszczy brylantem, cisza w powietrzu, sanki mkną po śniegu, a lekko, a cicho jakby się bały budzić uśpienia świata. Wrzawa uciekła za ludźmi do domów, skupiła się przy ogniskach domowych, a czasem tylko wybiegnie z ludźmi do lasu, parę godzin zapoluje po lesie i znowu do ognia uciecze: czasem się wykradnie na sanki i pędzi z ludźmi do sąsiedniego domu i wszystkie domy kolejno obiega, po wszystkich lasach kolejno popłoszy i znowu do ognia.

Na wsi ukraińskiéj zima wesoła, a cóż dopiero jak przyjdą święta, a potém kontrakty. Nigdzie święta nie są tak huczne i gromadne jak u nas, bo nigdzie nie dochowały się tak czysto staropolskie zwyczaje. Na święta u nas zjeżdżają się w każdéj okolicy do domów najpoważniejszych: ta cześć obchodzi koleją i naprzód wiedzą, gdzie zbiegowisko. Tam już wszystko gotowe na przyjęcie bliższych i dalszych sąsiadów; pokoje gościnne ogrzane, dworki wiejskie wyporządzone, jest gdzie przyjąć i stu ludzi, jest czém nakarmić i trzysta koni. Ile razy palną z bicza, tylu gości zajechało.

Stoły wysłane sianem, przykryte obrusem jak śniegiem. Na stole w ogromnych srebrnych misach polewka migdałowa, na srebrnych postawach ogromne szczupaki wysadzane przezroczystemi przysmakami jakby drogiemi kamieniami, tam *łamańce* z makiem, tam *kutia*, daléj wykwintne łakocie i różne owoce, na środku złocisty kosz z cukrami, na koszu spoczął lecący aniołek i trzyma opłatki. Tak zastawiony stół na wilią czeka na gości; goście czekają na gospodarza, gospodarz czeka na pierwszą gwiazdę; kuchmistrz wysyła co chwila kuchcika gwiaździarza, żeby wyglądał gwiazdy, a sam pilnuje, żeby się krążki dobrze urumieniły, żeby się karp dobrze wysadził, żeby się nic nie przypaliło, nic nie zakrzepło. Wpada kuchcik i krzyczy, że gwiazdę wynalazł. W mgnieniu oka sto świec, jak sto gwiazd, oświeciło stoły, gospodarz prowadzi najstarszą niewiastę, za tą poważną parą wsunęły się liczne pary i stół opasały;

aniołek oddaje opłatki, a gospodarz dzieli się chlebem Bożym z rodziną i gośćmi, zapraszając ich do siebie znowu na rok przyszły.

Nazajutrz po trzech mszach sute śniadanie i już cały dzień huczno i wesoło; brzmi muzyka, a jak się wieczór zbliża, dziewczęta przez okna szukają gwiazdy, która pierwsza znajdzie, w pierwszéj parze wywinie mazura i sama sobie tanecznika wybierze. Kilka dni świąt schodzi na hulaniu.

Ochocze grono radzi, gdzie tu na nowy rok pojechać, a po nowym roku, gdzie na Trzech Królów, a po Trzech Królach już też pytania i rady na 10go Stycznia, wszyscy u mojéj matki z powinszowaniem imienin, które przypadają 12go, bo cóżby to były za imieniny, coby trzy dni nie trwały: 12go po wieczerzy i po tańcach, kobiety zabierają się do spoczynku, a mężczyzni do podróży.

Pełny dziedziniec sani, konie parskają, woźnicy zagrzewają ręce tłukąc je po ramionach, służba się zwija, częstuje woźniców, panom szuby podają; zapalone kagańce rubinowym ogniem płoną, rozświeciły się szeroką łuną i zaróżowały śnieg spadający szerokiemi płatami. Ściele się droga, dobre będą kontrakty. Zajeżdżaj! — dzwonki zadzwoniły — śnieg zachrupotał — kozacy z kagańcami wylecieli za bramę — sanie pomknęły jedne za drugiemi — a za niemi powlokły się długie cienia. W głębokiéj budzie, w niedźwiedzich szubach, z wilczurą w nogach śpi się doskonale na skórzanych poduszkach aż do białego dnia; dopiero popas. Rejwach w karczmie, żyd dostał w kark parę razy od kucharza, kozak za pejsy parę razy targnął i w mig wszystko jest, czego potrzeba. Po popasie jedzie się dniem, a że liczne grono więc wesoło; z sani na sanie przeskakują, strzelają, bawią się, panowie sami pojeżdżają: z góry sanie poszły w zatokę, wywróciły się; dopieroż śmiech, ten już otrzepuje się ze śniegu, tamten jeszcze w kozłach, podnieśli sanie i dalej ruszają, gwarząc, strzelając i wywracając się, aż do noclegu. Coraz więcéj sani spływa z różnych dróg na wielki szlak; zbliżając się do kar-

czem, nuż wyprzedzać się; kto pierwszy zajedzie, zdobywa karczmę dla swojego grona: pełna karczma, drzwi zatarasowane, nie puszczamy nikogo; a tam krzyczą, otwieraj żydzie! bo karczmę zapalę; żyd w strachu, a my się śmiejemy.

Ognie płoną na kominach i w kuchni, przysmażają bigosy i zrazy, zgrzeją piwo ze śmietaną, zgotują kaszę obwarzoną, i wnet obiad wyborny. Szlachta jedna gra w karty, druga strzelby myje, a wszyscy gawędzą i śmieją się, aż do późnéj nocy. Przededniem już wszyscy powstawali, już po herbacie, już wszyscy upakowani, i daléj w drogę. Im bliżéj Kijowa, tém więcéj sani: od Biało-Cerkwi już szlak zawalony saniami, a z ostatniego noclegu od Wasilkowa, to już sanie za saniami, a czasem we dwa rzędy jadą, przeganiają się, bo droga szeroka, a tak ujeżdżona, że szkli się, jak lód.

O trzy mile od Kijowa, widać już wieżę Zofijskiéj Ławry, co najwyżéj stojąc i sama najwyższa, dumnie podnosi złotą głowę swoją; daléj jakby z pod ziemi wyrastają różne kopuły i wieżyczki, a wszystkie błyszczą potrójnym złocistym krzyżem. Przed rogatką strażnik zatrzymał sanie z beczkami — wódka — a to ruble, aż oskoma moskalom, co tam stoją.

Kijów rozparł się szeroko, a góry podzieliły go na trzy części. Bolesław ciął w złotą bramę starego Kijowa, i choć już nie ma téj złotéj bramy, ale jest jeszcze mur z jéj zwalisk, i każdy Polak, co pierwszy raz wjeżdża do Kijowa, myśli o téj bramie i nim wjedzie do miasta wstępuje do niéj, choć nie po drodze. Na Peczerskiém Zofijski monaster, strzegą go pieczary pełne Świętych i twierdza; na Peczerskiém także gmachy rządowe, a na Padole Kontrakty. Tam cały ruch, tam ogrzane domy czekają na gości, tam izba kontraktowa, zabawy, muzyka, piękne wystawy zbytkowych towarów, tam najwięcéj smażonych owoców w słojach, a pieniędzy w beczkach. Sanki lekkie pędzą we wszystkich kierunkach, a tak się zręcznie wymijają, jak karty w ręku kuglarza; zwoszczycy krzyczą, piszczą, rysaki

kłusują, a skakuny wykręcone jak tancerki, chłodząc się kłębami śniegu, sadzą w czwał: i tak przez dni dziesięć.

Tyle ludzi w Kijowie; a jak kto nowy przyjedzie, w tejże chwil wszyscy wiedzą, i wiedzą gdzie zajechał, bo każdy skoro przyjechał, wchodzi do izby kontraktowéj, a tam wsze wieści spływają wszystkiemi ulicami i wszystkiemi ulicami wypływają z tamtąd na cały Kijów, a z Kijowa wszystkiemi szlakami na całą Ukrainę. Wprawny szlachcic kontraktowy rozumie tę izbę jak Francuz giełdę; wejdzie raz pierwszy, a po liczbie, po gwarze, po twarzach pozna zaraz, czy dobre kontrakty, to jest, czy dużo pieniędzy, czy drogie dobra, czy jest kupiec na zboże i wódkę; a jak się raz taki szlachcic przejdzie po izbie, to już może całe kontrakty siedzieć u siebie, bo wie, co ma robić przez całe kontrakty, bo wie, że go znajdą, skoro się dowiedzą, że ma pieniądze. Jeździłem do izby kontraktowéj, choć nie miałem tam nic do roboty; bo w niéj spotyka się i towarzyszów szkólnych i znajomych ze wszelkich stron Polski; bo tam młodzież cała. Gdzie młodzież tam ruch i życie, tam się usłyszy i dowcipny żarcik i słówko nadziei połechce ucho; tam się dowiedzieć, gdzie jaka zabawa, gdzie będą świetne zapusty, gdzie panny piękne; a więc ruszam do izby kontraktowéj. Zwoszczyk zajeżdża przed izbę aż zaburczy, wyskakuje się, jak kto umie, wbiega się, albo wyłazi się na wschody; z obszernego ganku; sto głosów woła sani swoich, a zwoszczycy tak uważni i wprawni, że kiedy zaledwie głos jego pana doleci, on już zajeżdża; po obszernym rynku dzielne konie krzyżują, i nim do izby wejdziesz, patrzysz na uganiające sanki, jak na zręcznych harcowników. Obróciwszy się ku izbie, a z izby jak z ula, wychodzi szmer głuchy; snuje się szlachta; wejdziesz do izby, gwar, krzyk, wołanie, tłum ludzi, a ten tłum ciągle się odmienia; i tak cały dzień i tak dni dziesięć. Po słupach izby poprzyklejano nazwiska wsi do przedania, albo do puszczenia w dzierzawę; po za słupami w około izby

kramy z rozmaitemi towarami. W końcu izby drzwi do izb sądowych. U tych drzwi wieczorem po zapaleniu świec, staje woźny i wykrzykuje, kto komu w dzisiejszym dniu pomimo wyroku nie zapłacił; więc szlachta skupia się i słucha, naprzód dla tego, że ciekawa, potém dla tego, że cudza bieda ludziom śmiech, a na koniec, żeby wiedziała, komu niepożyczać pieniędzy; a woźny matacz, jak mu dłużnik nic nie da, to po trzy kroć wykrzykuje jego nazwisko, tak donośnym głosem, jak Poczajowskie dudy, a jak mu się opłaci, to raz tylko wymówi, i tak urzędowym głosem zachuczy, że nikt nie zrozumie.

W tym roku jak i zawsze najświetniejsze granie Lipińskiego, bo on mistrz wielki, a do tego Polak, ulubieniec Polaków. Skoro Lipiński nie przyjedzie kiedy na kontrakty, i nie zagra co polskiego z polską duszą i sercem, to zdaje się, że czegoś bardzo ważnego brakowało. Nie jeden szlachcic, pierwéj jak o cenę dóbr, zboża, pyta, czy jest Lipiński: skoro jest, wszyscy go rwą do siebie, ten na obiad, ten na wieczór; wszyscy go otaczają tą czcią, jaka się należy ludziom niepospolitym, a do tego swoim. W tym roku Lipiński był u nas na obiedzie, bo nas z nim zapoznał jego i nasz przyjaciel, Antoni Nowotny, a to za to, żeśmy obiecali nie bardzo go już wywracać jadąc z Kijowa. Pan Antoni był człowiek pełen nauki i znawca sztuk pięknych, aleśmy go kochali więcéj niż za to, za poczciwe jego serce i za przywiązanie ku naszéj rodzinie.

Ostatnich dni kontraktów zwiedziliśmy przedniejsze cerkwie. Wiele jest w nich bogactw i dawnego smaku, każda prawie cerkiew ma swego Świętego; ale wszystkie bogactwa i wszyscy Święci zbiegli się do Zofijskiego monasteru. Tam cerkiew strojna zewnątrz dziewięciu złocistemi kopułami, wewnątrz wygląda, jakby jeden klejnot; wszystko od srebra, złota i drogich kamieni, a palące się lampy migocą w nich różnobarwném a błyszczącém światłem; wonność kadzidła zaprawiła powietrze, cichość dodała powagi temu miejscu, tak, że

wchodząc zazdrości się, że to nie kościół. Obejrzawszy cerkiew weszliśmy na wieżę; powietrze było czyste, dzień jasny: oko spojrzawszy ku dołowi widzi obszar wielkiego miasta, co błyszczy wszędzie kopułami i potrójnemi krzyżami; widzi Dniepr ogromny, co się tuli do miasta, bo mu zimno, co spokojny, bo on śpi teraz; widzi przestrzeń niezmierną a białą i tylko z jednéj strony pocieniowały ją góry, z drugiéj gdzie niegdzie poczerniały sosnowe lasy. Cudny to ma być widok w lecie, bo téż cudne położenie Kijowa, alem go w lecie nie widział.

Zeszedłszy z wieży, poszliśmy do sławnych pieczar. Już popi czekali nas z zapalonemi świecami, wzięliśmy każdy świecę do ręki; szliśmy długo pod ziemią; ciekawość i mimowolne poszanowanie dla miejsca, któremu tyle milionów ludzi cześć świętą oddaje, zamknęły usta największych niedowiarków; milczenie ma zawsze w sobie coś tajemniczego, bo w milczeniu zawsze człowiek rachuje się sam z sobą. W tém uroczystém milczeniu weszliśmy do pieczar; przy wejściu popi, co nas przyprowadzili, zostali, a czerńcy, co się modlą w pieczarach, strażnicy pieczar, słudzy Świętych, co tam mieszkają, wskazywali nam drogę podziemną; skorośmy weszli w ziemię, drogi podziemne strzeliły wązkiemi ramionami na wsze strony, z każdego ramiona nowe drogi rozchodzą się, krzyżują się, w nowe ramiona rozdzielają się i tak się wiją pod miastem, a nieskończonym biegiem przechodzą na drugą stronę Dniepru. Pieczary te ogrzane miłém ciepłem ziemi, pełne są czystego powietrza, a światło, które sam niesiesz, rozświeca ciemność i pokazuje ci błyszczące ołtarze, bogate zasłony, otwarte srebrzyste trumny, a w nich ciała Świętych owinięte w jedwabne lite szaty; tu przez okienko widzisz Świętego klęczącego, daléj spotykasz ich razem po dwóch, po trzech; daléj Siedmiu Braci Śpiących, co wystawili cerkiew zofijską, przyszli tu, gdzie ich widzisz, pokładli się i zasnęli na wieki snem błogosławionych. Daléj spotykasz Śgo. Jana, co stał kiedyś, a z cza-

sem wchodzi w ziemię, a gdy się cały zagrzebie, to się świat ma skończyć; dziś już się wkopał do piersi. Chodzi się po tych pieczarach przez parę godzin, i tylko małą cząstkę obejrzy się, a co krok to nowy Święty, a niemal przy każdym jakieś świętości do nabycia; przy tym obrazki, przy téj krzyżyki, przy tamtéj pierścienie. Są którzy mówią, że urywali tym Świętym słomiane palce, ja tego nie widziałem; ale wkrótce po mnie zwiedzała te pieczary ze swymi przyjaciołmi pewna moskiewska pani, a zwiedzając, śmiała się z prostoty tych, co wierzą w Świętych; w ciągu téj lekkomyślnéj wesołości zbliżyła się do Św. Barbary, na któréj palcach zawsze pełno pierścieni dla wiernych; płaci za pierścień i chce go zdjąć sama, jak inni czynili; bierze za jeden pierścień, pierścień nie daje się, próbuje drugi, i drugi zejść nie chce, porywa za trzeci, i trzeci się opiera; ręka jéj zadrżała, strach ją objął, przelękła się własnego życia i została pokutnicą.

Po dziesięciu dniach pobytu w Kijowie, pokończywszy roboty, jak kto mógł, ten kupiwszy parę wiosek, ten przedawszy zboże, co się ma urodzić, ten opłakawszy czyjeś straty dla tego, że sam na nich stracił, ten ograwszy się, jak włoskie skrzypce, tamten zakochawszy się jak kot, a każdy nakupiwszy smażenin i kawioru, herbaty i cukru, śledziów i minogów, nowych książek polskich i nowy kalendarz berdyczowski, wraca do domu, rad, że cały się wyrwał ztamtąd, gdzie wojenny gubernator i twierdza. Zmyka się do domu, kiedy sanna ginie, a kiedy trwa sanna, to się jeździ rzemiennym dyszlem, tu polując, tam tańcując, a wszędzie hulając.

Ślub siostry.

Na dziedzińcu kończą na łeb na szyję chwilowy gmach na uczty i tańce, w mgnieniu oka wyrosły na około niego i drzewa i kwiaty; drzewa i kwiaty wcisnęły się do obszernéj izby, skromne drzewa po kątach

stanęły, a ciekawe kwiaty pną się po słupach, wdrapały się na gzymsy, niektóre wieńcem splotły się, jak gdyby tańczyć chciały, inne spocząwszy na zwierciadłach dziwują się swéj krasie, inne wlazły na sufit, poczepiały się po oknach i świecznikach. Już szkli się posadzka, już wszystko gotowe.

Pojazdy i cugi pana młodego spoczywają dzień cały, a nadedniem, żeby nikt nie wiedział, woźnice ujeżdżają konie i uczą je, jakiemi pląsami w dzień ślubu zatańczyć mają. Muzyka mego wuja ciągnie jakby oddział wojska, za nią wozy z przyborem muzycznym, jak z bronią, ze strojną barwą, jakby ze zbrojami: idąc przez wieś brzmi polskiego, stanąwszy na dziedzińcu zwinęła się w kłębek, a z tego kłębka wywinęły się śpiewne dźwięki, świeże i czyste jak panna młoda; zgodne jak dobre małżeństwo.

Goście zjeżdżają się tłumnie; u wrót wsi stoją kozacy na koniach i rozprowadzają gości po dworach. Już wszystkie dworki zajęte; w każdym stroją się panie i panny, każdy dworek wnet ustrojony w kobierce i zwierciadła; w adamaszkową kotarę i w srebrną gotowalnię; w mgnieniu oka każdy dworek zmienił się w świątynię dumania i wdzięków, a nad każdym gdzie są goście powiewa chorągiew. Gościnne konie spoczywają, a dworskie powozy gości rozwożą i zwożą; młodzież niecierpliwa a grzeczna, odwiedza i konno i pieszo i powozami; ruch na wsi, jak gdyby w mieście w czasie ostatków.

We dworze cicho — ksiądz Markiewicz słucha państwa młodych spowiedzi, uczy ich powinności małżonków i rodziców; panna młoda płacze — pada do nóg matce — dziękuje jéj za to, że ją wypielęgnowała — płacze — przeprasza matkę za wszystkie jéj kłopoty i trudy — za wszystkie uchybienia swoje — i jeszcze więcéj płacze — matka i córka płaczą, a jak ksiądz Markiewicz powiedział — opuścisz dom matki i ojca, a pójdziesz za mężem twoim — i matka i córka zachodzą się od płaczu; matka tuli swe dziecię. — Pan młody

i bracia patrzą na tò i milczą i płaczą — a kapłan świątobliwy słowami religii zabrania zbytniéj czułości. Tak było dniem przed ślubem. Nikt panny młodéj nie widział dnia tego; przepłakała i przemodliła noc całą, a nazajutrz uklękła do ślubu z suchém okiem, bo już łez nie było.

W dzień ślubu pojazdy pana młodego wjechały z hałasem na dziedziniec, pan młody wyskoczył z pierwszego powozu; woźnice czwaniąc się końmi jak dziećmi swemi, objeżdżają w koło; dyszlowe tylko ciągną, licowe idą w samych poskokach, naręczny forytarski podniósł łabędzią szyję, jak gdyby czuł, że najpiękniejszy, wszystkie parskają na szczęście dla państwa młodych, a młodzież chwali dzielne konie i cieszy się jak swemi.

Około południa wszyscy zgromadzali się w bawialnéj komnacie, gdzie długim rzędem wiszą rodzinne wizerunki. Matka zajęła pierwsze miejsce; pannę młodą prowadziło dwóch braci; pana młodego dwie panny; weszli — padli do nóg matce — matka błogosławiła — łza spokojna spłynęła po licach — oderwaliśmy naszę siostrę od nóg matki i przy odgłosie trąb i kotłów poprowadziliśmy ją do ółtarza. Po ślubie od ółtarza odprowadzali moją siostrę stryj i wuj, oba żonaci, a jéj męża dwie panie zamężne.

Dopieroż zaczęły się zabawy i wrzawa; mężatki ciągną moję siostrę do siebie, a ona do panien ucieka; młodzież droczy się z panem młodym, odgania go od siebie, aż wkupił się do nas obietnicą stuletniego wina na cukrową wieczerzę.

Izba jadalna przystroiła się w herby państwa młodych, cukry błyszczały ich imionami; państwo młodzi zasiedli pierwsze miejsca; po dwóch godzinach obiadu zaprawionego muzyką i wesołością, po hucznych zdrowiach i państwa młodych i ich rodziców i kobiet i różnych obecnych ze starszyzny, przyszło nakoniec — *kochajmy się!* i przecież wstali od stołu. Po obiedzie spotykam kuchmistrza stojącego przy drzwiach, z chlubą go pytam: — a pieczeń łosia? była panie, jakem wcho-

dził, wtedy dano łosia, odpowiedział głosem uroczystym, rozśmiałem się a nie było z czego, bo w każdym stanie próżność, bo każdemu zdaje się, że wszyscy na niego patrzą. Nazajutrz pan kuchmistrz przyszedł do państwa młodych z winną polewką po dukaty.

Moja siostra, co wczoraj błyszczała tylko urodą, dziś wystąpiła w perłach i brylantach; co wczoraj miała włosy w kwiatach, dziś je pod czepek schowała; co wczoraj była w powiewnéj bieli, dziś uwinęła się w szal ogromny, bo taki zwyczaj; co wczoraj ją prowadzili do ślubu, ona dziś odprowadzała od ślubu męża ochmistrzyni swojéj, bo już ona pani, a choć najmłodsza między nami, już niby najstarsza; bo to ten ślub dziwy wyrabia, lotne panienki przerabia w poważne panie, a stare panny w młode mężatki.

Po trzech dniach wesela i tańców, goście zaczęli się rozjeżdżać, i rozjeżdżali się cały tydzień; po tém nuż objeżdżać sąsiedztwo, hulać po sąsiedztwie; nakoniec odprowadziliśmy naszę siostrę do jéj nowego domu.

PAMIĘTNIKI NIEMCEWICZA.

Urodziłem się dnia 16. Lutego 1758 w Skokach, majętności o dużą milę od Brześcia litewskiego, z Marcelego Ursyna Niemcewicza i Jadwigi Suchodolskiéj. Ojciec mój bogobojny, wielce był biegłym w dziejach narodowych; znał dobrze wady bezrządu naszego, ubolewał nad niemi, a co na ów czas rzadko, przyjacielem był rządu monarchicznego i dziedzictwa berła.

Znajduję pociechę w wspomnieniu o matce mojéj, była to prawdziwie starodawna cnotliwa Polka, do rzadkiéj w młodym wieku i aż do późna piękności łączyła ona czysty rozsądek, tkliwość serca i dobroć. Najlepsza matka i małżonka wydała na świat 15 dzieci, z których ośmioro w młodym wieku pomarło, siedmioro żyło je-

szcze w początku wieku tego, dziś ja najstarszy sam jeden zostałem.

Cofam się teraz pamięcią w pierwiastki dziecińswa mego, te może przytomniejszemi mi są jak świeższe zdarzenia; na świeżym bowiem mózgu dziecinnym, nie stwardniałym przez lata, głębiéj się wyobrażenia ryją. Nie wspomnę jak to, co obyczaje i ducha wtenczas panującego malować może.

Najznaczniejsza osoba, która wówczas u nas bywała, był ksiądz Infułat Rogaliński, opat Wistycki. Kiedykolwiek prałat ten miał nas odwiedzić, cały dom nasz pobożny nadzwyczaj był w poruszeniu; w pokojach, w kuchni, w piwnicy przygotowywano wszystko, co mogło być najlepszego; zamiatano, okurzano, zatykano świece jarzęce, stawiano stoliki, warcaby, nowe karty do maryasza. Opat Infułat miejsca, gdzie był słynący cudami obraz Matki Boskiéj, był to wielki personat; ubierano mię w nowe sukienki, uczono, bym jak tylko ksiądz Opat wnijdzie do pokoju, wraz plackiem padł mu do nóg i całował obydwie, jakoż tak czyniłem; Infułat mię podnosił i całował policzki. Był to ksiądz przystojny, otyły, wesoły, w powinnościach kapłańskich i obyczajach nieposzlakowany, lubiący polowanie. Pamiętam jak nieraz przyjeżdżał do ojca mego, by z ganku strzelać w lot jaskułki. Po obiedzie grano w warcaby, wieczorem w maryasza, pancerolę, kontra, tryszaka; kasztelan już nie był dobrego tonu.

Na wszystkie święta jeździliśmy do Wistyc i zostawali nietylko na obiad, lecz często na noc; opactwo było obszerne i dogodne, opat żył przystojnie, księża Cystersi toż samo; mieli oni codziennie szklankę miodu na obiad, w niedzielę i święta lampeczkę wina, jak to zwano na konsolacyą.

We wszystkich życia tego smutnych przygodach, strapieniach, udawano się z szczerą wiarą do Matki Boskiéj Wistyckiéj. Raz ja mały zachorowałem dość niebezpiecznie, ofiarowano mię do cudownego obrazu, a gdym wyzdrowiał, kazał mój ojciec zrobić *votum*, to

jest wizerunek lany z czystego srebra, mnie malenkiego; poszliśmy moi rodzice, panna dworska, służący, duży pajuk i ja piechotą do Wistycy na noc, by nazajutrz przy wotywie zawiesić ofiarowane *ex votum*. Nazajutrz poszliśmy do kościoła, a gdy miała wyniść wotywa, i ksiądz Opat miał już wyniść in pontificalibus, rozesłano dwa duże kobierce dla moich rodziców, dla mnie mały, położyliśmy się wszyscy krzyżem jak dłudzy i przez całą wotywę pobożnie leżeli; zawieszono potém srebrny wizerunek u pozłacanego rękawa Matki Boskiéj. W czterdzieści kilka lat potém, gdym Wistyce odwiedził, widziałem jeszcze ten świecący się mój wizerunek; uległ zapewne powszechnemu dziś zniszczeniu.

Mówiąc o Wistycach, muszę jeszcze jedno uczynić wyznanie. Raz gdy ks. Infułat powrócił z Warszawy, pospieszyli rodzice moi odwiedzić go; wieczorem zaczęto grać w karty, ja postrzegłszy na bocznym stoliku leżący kalendarzyk polityczny, w czerwony safian pięknie oprawny i pozłacany, podobno były w nim obrazki, przewracałem go długo, nareszcie tak mi się podobał, iż schowałem go do kieszonki i z nim do domu wróciłem; lecz o Boże, jaka burza, gdy to ojciec mój postrzegł, jak strofował, mówiąc, że kraść cudzą rzecz, jest to największy grzech przed Bogiem i wstyd przed ludźmi. Gdyby nie dobra matka moja, możeby się było skończyło na rózgach. Umyślnym odesłano kalendarzyk napowrót, a surowe napomnienie tak mocno przejęło mię trwogą, iż przysięgam, iż odtąd nicem w życiu mojém nie ukradł.

Pamiątki wielkiego nabożeństwa rodziców moich silnie w umyśle moim utkwiły; właśnie w r. 1764 zaczęła się missya wBrześciu u kss. Dominikanów; ks. kaznodzieja Obłoczyński z wymowy i świątobliwości swojéj głośno słynąć zaczął. Całe województwo Brzeskie Litewskie zjeżdżało się by go słuchać, moi rodzice byli pomiędzy pierwszymi i nieraz brali mię z sobą. Nauki księdza Obłoczyńskiego wiele dobrego sprawiały. Patetycznym głosem zachęcał on do zgody, do darowa-

nia uraz; nieraz gdy silnie krzyknął, *przepraszajcie się!* zacięci od lat wielu nieprzyjaciele, występowali z ławek, szli ku sobie i łzy wylewając, ściskali się i przepraszali się nawzajem. Jak piękny tryumf religii! w uściech cnotliwego kapłana ileżby się przyczyniała do uczynienia ludzi dobremi.

Wracam do księdza Obłoczyńskiego; wkrótce gorliwa pobożność, ostre pokutne życie jego, uczyniły go więcéj jak człowiekiem, uczyniły go świętym. Był to człowiek średniego wzrostu, chudy, blady, słodki, pokorny; uszanowanie dla niego było bez granic, gdy do rodziców moich przyjeżdżał; wszyscy całowaliśmy go w ręce. Nie chciał stać we dworze, obrał sobie mały pokoik w oficynie; rano gdy mu zaniesiono kawę, dla umartwienia lał do niéj ukrop. Gdy odjechał, panna Chajęcka, panna matki mojéj, jak wszyscy bardzo nabożna, klękała i gołemi kolanami sunęła się od dworu do oficyny, gdzie ksiądz Obłoczyński nocował; całując cały czas ścieżkę, którą święty ten kapłan przechodził. Wkrótce mąż ten świątobliwy, otrzymał sławę zgadywania i przepowiadania wszystkiego. Raz wśród kazania raptem się zatrzymał i rzekł: *król umarł!* w kilka dni potém przyszła wiadomość, że August III w Dreźnie życia dokonał.

Jedno jeszcze z przypomnień dzieciństwa mego, jest siedmioletnia wojna; często bowiem mówiono o niéj. Dziwno jak w narodzie naszym cenioną jest sława wojenna. Król pruski, zachęcony nierządem i polityczną słabością naszą, nieuważał godności narodu, jak po własnym kraju wysyłał swe wojsko po Polsce, by do służby jego werbowali ludzi naszych; przecież mimo tych obelg, że odnosił zwycięztwa, że w złych przygodach pokazał się wytrwałym, życzenia Polaków były za nim. Żydzi kramarze niemało zarabiali rozwożąc po dworach chustki z wyciskanemi na nich portretami Fryderyka pruskiego nazwanego późniéj przez Prusaków *der einzige*, bo *der grosse* niedość było dla nich.

* * *

Nim dom rodzicielski opuszczę i przystąpię do opisu drobnych zdarzeń życia mojego: nie będzie od rzeczy wspomnieć, jakie w drugiéj połowie XVIII. wieku były w Polsce zwyczaje mieszkającéj po prowincyach majętniejszéj szlachty, tém potrzebniejszém to sądzę, iż zwyczaje te coraz bardziéj zamierają, a wkrótce nie będzie nikogo coby je pamiętał.

Przedniejsze cechy obyczajów owych były: pobożność, gospodarstwo rolnicze, gościnność, uprzejmość. Po śniadaniu rannem i modlitwie wyjeżdżał gospodarz w pole obzierać roboty wiejskie, obiad zawsze w południe; ktokolwiek nań przyjechał, wdzięcznie przyjęty, po obiedzie grano w maryasza, daléj rozmowy, o siódméj wieczerza, po dziewiątéj udawano sie do łoża. W jesieni i zimą polowanie wiele czasu zabierało; ojciec mój posiadał obszerne lasy, pamiętam, że niedźwiedzie znajdowały się w nich czasem, lecz wkrótce, gdy zaczęto wydzierać nowiny, karczować, pouciekały niedźwiedzie; lecz dotąd mało znana pszenica, zamiast komiengą posyłane zboże do Gdańska szkutami, powiększyło dochody. Wielkie święta, imieniny, zapusty, obchodzone były z hojnym dostatkiem, uroczystością, weselem.

Na Boże Narodzenie, Wielkanoc i imieniny, przyjeżdżali z Brześcia i okolic przełożeni klasztorów z oracyami; na Boże Narodzenie kończyły się zawsze życzenia temi słowy: „aby ten maleńki urodzony Jezus zsyłał *largiter* na dom wasz wszystkie prosperitates i successa.

Nie dosyć na tém, przychodzili paupery, studenci z Brześcia, z gwiazdą, z jasełkami i dyalogami. Treść wystawień tych było narodzenie Chrystusa, Trzéj Królowie i Heród wycinający dzieci w Betlehem. Wystawienie to zabawiało nas, zachwycało więcéj niż dzisiejsze Rossiniego opery. W szkołach kss. Jezuitów w Brześciu na teatrze zwykli starsi studenci grywać dyalogi nakształt melodramów dzisiejszych. Jeden z nich wy-

stawiał Ś. Franciszka Xawerego w Indyach, broniącego miasto przeciw niewiernym. Baszty i mury malowane były na kartonach. Indyanie strzelali do nich z łuków, waliły się baszty i wieże, lecz ukazywał się wśrod kartonów Ś. Xawery, upadłe na ziemię mury sznurkami znów podnosiły się do góry. Druga sztuka, był Ś. Antoni Padewski nad brzegiem morza każący do ryb; karpie, szczupaki, okonie, raki, wyścibiwszy głowy nad wodę, z otwartemi pyszczkami słuchały świętego; przyznam się i ja jak mała płotka słuchałem, dziwiłem się i wierzyłem.

Wigilia Bożego Narodzenia była wielką uroczystością. Od świtu wychodzili domowi słudzy na ryby, robiono na rzece i toniach przeręby i zapuszczano niewód; niecierpliwie oczekiwano powrotu rybaków, jakaż radość, gdy przyniesiono ceber z rybami, a matka moja dawała kucharzowi rozkazy, jak każda ryba miała być przyprawioną. Dnia tego jednakowy po całéj może Polsce był obiad. Trzy zupy, migdałowa z rodzenkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucya dla służących, krążki z chrzanem, karp do podlewy, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanemi jajami i oliwą, etc. etc. Obrus koniecznie zasłany być musiał na sianie, w czterech kątach izby jadalnéj stały cztery snopy niemłóconego zboża jakiego. Niecierpliwie pierwszéj gwiazdy czekano, gdy ta zajaśniała, zebrali się goście i dzieci, rodzice moi wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każde z nich biorąc opłatek, obchodziło wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go, powtarzało słowa: „bodajbyśmy na przyszły rok łamali go z sobą.“ Potém do uczty, która się do późnéj przeciągała nocy, wino dodawało wesołości, śpiewano pieśni z kantyczek, szczególniéj:

W żłobie leży
Któż pobieży
Kolędować małemu etc.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że nuta ta miarą

polskiego tańca złożona, była faworytnym tańcem króla Władysława IV.

Obrzędy wielkanocne były następujące. W wielki Czwartek równie suto rybno jak w wigilią był stół zastawiony. Na wielki Piątek jeździliśmy do Brześcia do kss. Jezuitów na passyą, wchodziło do kościoła bractwo Biczowników, okryte od stóp do głów białą płócienną kapą z kapturami, w których miejsce tylko na oczy było wycięte. W bractwie têm znajdowali się pierwsi obywatele województwa, na czele bractwa byli starsi z laskami w ręku, za danym znakiem odkrywali pokutnicy swe plecy nagie, chłostali się dyscyplinami, niektórzy tak okrutnie, iż plecy ich krwią spływały, powtórne uderzenie laskami było znakiem, żeby przestać, powtarzało się to pięć razy na pamiątkę pięciu ran chrystusowych. Wiele osób w wielki Piątek wstrzymywało się od jedzenia, wieczorem przestając na szklance piwa, a z oliwą i kminem suchéj posolonéj grzance chleba. Nie powinienem przepomnieć jednego jeszcze wielkanocnego obrządku. W wielką Środę, na pamiątkę, że w ten dzień Judasz wydał Chrystusa Pana, studenci rzucali z chóru kościelnego *kota*, jakby to Judasza, drudzy czekali na dole z kijami, gonili go, bili, aż zabili.

Wielka Sobota poświęcona była do strojenia grobów Pańskich i odwiedzania ich. Kobiety zatrudnione pieczeniem placków i ciast wielkanocnych na święcone. Późno w nocy lub nazajutrz odprawiała się rezurekcya z wielką uroczystością. Pierwsze osoby niosły baldachim nad celebrującym księdzem. Pyszne placki, mazurki często trwały aż do przewodniéj niedzieli, lecz grzechem było trzymać je dłużéj, okruszyny nawet rzucano w ogień.

Po Bożem narodzeniu zaczynało się życie wesołe, odwiedziny, polowanie na wilki. Te jako szkodliwe trzodom, starano się wszelkiemi sposobami wytępiać, kopano doły z lekka wytrzęsione słomą, w środku na żerdzi przywięzywano gęś lub kaczkę, gdy słoma śnie-

giem przytrzęśniona została, a gęś krzyczeć zaczęła, nieraz wilk chcąc ją jednym susem porwać, w dół wpadał: nic pokorniejszego jak wilk w dole głębokim, wierzyć mu atoli nie można, psami zaszczwać, lub zabić go potrzeba.

Niebezpieczniejsze polowanie na wilki było z prosięciem. Młodzi kawalerowie wsiadali na sanki biorąc kilka sztućców i prosię z sobą. Kręcili prosię za ogon, kwik onego tak przyjemny wilkom zgromadzał ich zewsząd, wtenczas młodzież strzelała do nich kilku, lecz gdy gęsta była gromada i śmiali naczelnicy, ściągali czasem strzelców i pożerali ich.

Następowały zapusty. Tu ustawne zapraszania, kuliki, a w ostatki hulanie bez miary. Jeżdżono kulikami, to jak zebrało się kilka familii i jechało do sąsiada, za ich przyjazdem gospodarz oddawał im klucz od piwnicy i spiżarni, jedli i pili aż nie wypróżnili wszystkiego, wtenczas zabrawszy z sobą gospodarza jechali daléj, tak wesoła gromada powiększając się coraz jak kłąb śniegu, objeżdżała powiat cały, zwyczajnie do najmajętniejszego przybywano na końcu, zwyczaj kulików w ostatnich czasach coraz bardziéj ustawał.

Na same ostatki zapraszaną była familia i bliżsi przyjaciele, jak się tam zmieszczono, dziś gdy obszerniejsze pałace i mieszkania stawiają, trudno pojąć zdaje się. Przedniejsi tylko goście mieli pokoje osobne, reszta mieściła się w obszernéj stołowéj izbie, każde małżeństwo przybywało z pościelą w dużym tłumoku, słano więc tę pościel pokotem. Parawanik na żelaznym drążku śrubowany, na prętach onego w górę zawieszona karmazynowa kitajkowa zasłona łoża. Po rannéj kawie lub wódce z zakąską piernika, tłucznicy lub tatarskiego ziela, dla mężczyzn wnoszono na dużych półmiskach bigos hultajski, kwaśnéj kapusty z wędliną i kiełbasy, i znów wódkę, wszystko to spałaszowano, równie jak w godzinę potém zastawiony obiad obfity; niewiem jakie żołądki mieli ojcowie nasi, lecz jedli i pili dziś nie do wiary. Po obiedzie grano w karty, maryasza, try-

szaka, kontra, pancerolę, dzieci w gąskę. Kwindecza i faraona Moskale dopiero wprowadzili. Tańce polskie, mazurki kończyły wieczór. Muzykantów żydów sprowadzono z Brześcia. Orkiestr ten składał się z cymbałów, ze skrzypców i z basetli. Cymbały najwięcéj czyniły hałasu, pejsaki żydowskie jak gdyby wichrem wzdęte, trzęsły się nad niemi okropnie.

W początkach Lutego o Gromnicach, przypadały sejmiki deputackie, zbierała się szlachta do Ojców Bernardynów, i obierała dwóch deputatów na trybunał Litewski, ostatecznie przez sześć miesięcy w Grodnie, przez drugie sześć w Wilnie sądzący, wcześnie ukartowane wybory kończyły się zgodnie i prędko. Wybrani lautissime traktowali szlachtę braci, każdy powracał do domu. Takie zwyczaje, takie życie nieobrażające w niczém ni moralności, ni przystojności, mogły były długo zachować Polskę w pokoju (zatargi i czuby między panami niedługo bowiem trwały), gdyby Polska była wyspą, sromemi niedostępnemi skałami otoczoną, ale że była krajem na wszystkie strony na oścież otwartym, że nie uważała, że szlachta, która sobie wszystkie rządy i prawa i pieczę nad krajem przywłaszczała, dbała jedynie o wiarę katolicką i zgubne swe przywileje, spuszczając się na wszystkich świętych, nie chciała ni płacić podatków, ni mieć wojska do obrony kraju, nie dziwić się przeto, że wkrótce przyszły czasy, że czyhający na dziedzictwa jéj sąsiedzi swe zamysły spełnili na niéj.

* * *

Nastąpił rok 1777, a w nim kończy się bieg nauk moich w korpusie kadetów, mogę powiedzieć, żem liznął wszystkich nauk w szkołach publicznych dawanych, żadnéj jednak dokładnie. Do matematyki mało miałem zdolności. Historya i literatura więcéj miała dla mnie powabów. Wcześnie obudził się we mnie smak do poezyi, w szesnastym roku napisałem poema *Monomachią* czyli wojnę kobiet. Treść była następująca:

zwykliśmy byli chodzić wieczorami w Niedzielę do kapitanowéj Dyszkiewiczowéj od gwardyi litewskiéj, tuż przy pałacu mieszkającéj, zchodziło się tam wiele żon i córek oficerskich, ztąd umizgi młodziuchnych kadetów do nich, zazdrości i kłótnie, opisanie więc ich w poemacie epiczno-komicznym zawarłem; żałuję, że to poema zginęło, ciekawym byłbym widzieć płód chłopięcéj muzy mojéj, pamiętam tylko dwa pierwsze onego wiersze, nie wiele o całém dziele rokujące.

„Walecznych bohaterek śpiewać będę dzieła,
Zkąd się wojna kobieca w koszarach zaczęła.“

Nie wiem jak płód ten dziecinny dostał się do komendanta naszego ks. A. Czartoryskiego, G. Z. P. Raczył zwrócić nań uwagę i sam krytykę poematu tego napisał i mnie oddać kazał, wytykając błędy; jako dobre naznaczył dwa wiersze i miejsce, gdzie dwa przeciwne wojska kobiet z podniesionemi wachlarzami do starcia się

„Krzycząc niezmiernie, w takiéj lecą wrzawie,
Szeregiem długogarle do cieplic żórawie.“

Od tego czasu zacząłem bazgrać wiersze i nałóg ten nie opuścił mię przez lat z górą sześćdziesiąt. W miesiącu Sierpniu 1777, po odbytych egzaminach, wyjechałem z stryjecznym bratem moim Ignacym Niemcewiczem do rodziców. Ignacy został u ojca w Neplach, ja pospieszyłem do Klenik, do rodzinnego domu. Nic wyrównać nie może radości wybornéj matki mojéj, widząc dorosłego już pierworodnego syna. Dwaj młodsi bracia moi, Jan i Kajetan, przyjechali także na wakacye ze szkół pojezuickich, pod księdzem Obrompalskim w Brześciu. Cztery siostry moje były jeszcze małe. Niestety! z siedmiorga nas naówczas, jam tylko najstarszy ze wszystkich pozostał.

Wtenczas to odebrał ojciec mój od ks. Czartoryskiego z Wołczyna zaproszenie, by go odwiedził. Był tam zjazd wielki z przyczyny spodziewanego tam przybycia króla

Stanisława Augusta. Całe województwo Brzeskie Litewskie zjechało się do Wołczyna. Rodzice moi wziąwszy mię z sobą przybyli tam także. Wołczyn był dawną majętnością ks. Czartoryskich; objął go książe Generał jako spadek po stryju swoim księciu Kanclerzu Litewskim. Tu księcia Kanclerza siostrzeniec król Stanisław August urodził się, pokazują dotąd dom, gdzie pierwszy raz dzień ujrzał. Pałac o jednym piętrze obszerny, z kilką oficynami i trzema dziedzińcami, sale i pokoje bogato umeblowane, między portretami pamiętam w naturalnéj wielkości portrety dwóch królów Augustów, żony Augusta III. w bogatéj na rogówce sukni, a na téj wyszywane były papugi winogrona jedzące, portret Karóla XII., matki królewskiéj trzymającéj za rękę siedmioletniego Stanisława Augusta w żupaniku białym i kontusiku karmazynowym. Duże sale w marmurach z złotemi lisztowaniami, słowem wszystko po pańsku.

Przyjechał nakoniec król, całe województwo wysypało się na ganek dla przywitania go. Bawił dni kilka, przez które codzienne bale i uczty; król tańcował ze wszystkiemi urzędniczkami. Matka moja nie lubiąca go dotąd mniemając, że z Moskalami trzymał, ujęta grzecznością jego, pogodziła się z nim wcale.

Po odjeździe królewskim, gdy się przerzedziła kompania, książę Generał przystąpiwszy do ojca mego: syna Wać Pana, rzekł mu, biorę do siebie i będę miał o nim staranie; a księżna żona jego, wtenczas w całéj swojéj piękności, siedząc z matką moją na kanapie, rzekła jéj: tak jest, weźmiemy go i nie oddamy prędzéj aż ożenionego. Nie spełniło się to ostatnie przyrzeczenie, lecz spełniło się pierwsze, książe bowiem przez długie lata był mi prawdziwym ojcem.

Powróciliśmy do domu dla oporządzenia mego, a gdy to się skończyło, ojciec odwiózł mię do Wołczyna i zostawił mi wiernego hajduka swego Teodora jak sługę i jak guwernera, mnie zaś dał 10 czerw. złotych. Nigdy tak bogaty nie byłem.

Znalazłem się na dworze pana wielkiego, lecz świa-

tlejszego, uczeńszego niż inni panowie nasi. Dwór jego zawierał wielu urzędników, oficyalistów, cudzoziemców, metrów, prócz przyjeżdżających codzień gości. Stół był zawsze na 60 osób nakryty prócz marszałkowskiego.

Książę zostawszy właśnie wtenczas komendantem szczupłego wojska litewskiego po śmierci jenerała Withinghoff, mianował kapitana Berken, przy nieboszczyku będącego adjutantem, porucznika Orłowskiego i mnie adjutantami swymi.

Książe chcąc mię zapewne zaprawić do stylu i zatrudnień łatwą jaką pracą, dał mi do tłómaczenia dawny romans francuzki Histoire secrete de la Reine de Navarre. Późniéj tłómaczyłem inne stare romanse, Histoire de Jean de Bourbon prince de Carency, le siège de Calais, wszystko to dało mi jakąś łatwość w stylu, zwyczaj zatrudnienia, lecz jak nierównie lepiéjby było gdyby mi dano było coś ważniejszego i pożyteczniejszego do tłómaczenia, jak n. p. historyą Karóla V. przez Robertsona; mniemano zapewne, że dzieło tak ważne było jeszcze nad siły moje. Nie przestawałem przecież na prozie. Djabełek poezyi kusił mię zawsze. Jąłem więc tłómaczyć pierwsze poezye, co mi wpadły pod ręce, to jest Henryadę Voltera i przetłómaczyłem dwie pieśni, dowiedziawszy się atoli, że p. Chomentowski już poema te przełożył, dałem pokój.

Jesień była pogodna i piękna, dworscy wyjeżdżali na polowanie z chartami szczując zające, lisy i wilki, sam książe wychodził z krogulcem, puszczając go na przelatujące czaple i inne ptastwo, nieraz na przykrywanie siecią kuropatw. W Listopadzie ruszyło księstwo przodem do Warszawy, dwór późniéj za nimi, dziwno dzisiaj zdawać się będzie, jak wielcy panowie podróżowali naówczas. Stanowniczy jechał dniem wprzódy zapisywać kwatery, przygotowywać żywność i furaże. Do dnia wychodziły sześciokonne bryki, z kuchnią, kredensem, piwnicą, daléj karety z dziećmi, damami, rezydenci jechali we własnych pojazdach, my adjutanci i dworscy konno, dawano nam atoli wózki pod rzeczy

i sługi. Przyjeżdżając na popas, zastawaliśmy już obiad gotowy, toż samo na nocleg, drogi tak były złe, ciężary powozów tak ogromne, iż ledwo pięć mil na dzień ujeżdżaliśmy i z Wołczyna do Warszawy, 25 mil, pięć lub sześć dni wlekliśmy się.

W Warszawie w błękitnym pałacu, mnie i koledze memu Orłowskiemu dano jeden pokój z przegrodą dla sług, nikt bowiem wtenczas bez sługi obejść się nie mógł. Zacząłem wtenczas pobierać pensyą moją adjutancką 8 czerw. złotych na miesiąc, nadto książę każdemu z nas dawał konia wierzchowego i masztalerza, powinnością naszą było utrzymywać korrespondencyą z pułkami wojska lit., odpisywać na przychodzące listy i raporta. Z rana, gdy książę siadł do fryzowania, przychodziliśmy z listami do podpisu. Zwyczajem naówczas było, że znaczni nawet urzędnicy przychodzili z rana do wielkich panów z czołobitnością swoją, jakoż przedpokoje i pokój ubieralny jego zawsze były pełne. Książę rzadko kiedy jadał u siebie, zawsze u ojca, małe księżniczki z guwernantką, my i adjutanci u marszałkowskiego stołu.

* * *

Na sejmie 1780, gdy powierzony Andrzejowi Zamojskiemu wprzód kanclerzowi W. Koronnemu, kodex praw dokończonym został, wniesionym został do aprobacyi stanów; lecz gdy usłyszano zamiar nadania opieki i swobód miejskiemu i włościańskiemu stanowi, pełna jeszcze naówczas przesądów szlachta, z oburzeniem odrzuciła go całkiem, byłem ja na téj sessyi i nad tą zgrozą cierpiałem. Wnoszono nawet, by pod karą odsądzenia od czci i sławy, nikt kodeksu tego na potém wnosić się nie ważył, lecz głos księcia Stanisława Poniatowskiego odwrócił ten brzydki wniosek.

W tym roku zaproszony został książe od Radziwiłła Wojewody Wileńskiego do Białéj na wesele przyrodnéj siostry jego, idącéj za mąż za młodego Massalskiego synowca biskupa Wileńskiego. Zjazd był w Białéj nie-

zmierny. Prócz księcia przybył tam hetman Ogiński i wielu litewskich panów. Od dawna obronny zamek Bielski podobnego zjazdu nie widział. Lubo pośledniejszy od Nieświeża, w bogatych sprzętach i ozdobach wystawiał przecież dawny przepych polski. Sale obszerne jak stodoły, ozdobione portretami familii Radziwiłłowskiéj. Bogaty gabinet, w którym wszystkie ściany, posadzka i sufit były z zwierciadeł. Zamek otoczony wałem, przekopem, z obronną bramą, z boku któréj były więzienia; panowie bowiem sami sądzili sług, włościan swoich, a nieraz i ubogą szlachtę. Sprowadził wojewoda na uroczystość tę 3,000 nadwornego wojska. Gdzież ten cały przepych się podział? I Biała i inne po całéj Polsce i Litwie dobra Radziwiłłowskie równające się królestwu saskiemu, z ostatnią Radziwiłłówną poszły w ręce syna Wittgenszteina.

Długie były z biskupem spory koło intercyzy. Dom Radziwiłłowski miał swą osobną pragmatykę, mocą któréj kobiety z domu tego nie miały więcéj posagu jak 20,000 złotych polskich. Chciwy biskup domagał się więcéj, hojny lecz uparty Radziwiłł obstawał przy prawach i zwyczajach familii, nikt nie chciał ustąpić, schodziły dni, nakoniec ks. Wojewoda wyznaczył godzinę do ślubu.

Ubranie panny młodéj odprawiało się publicznie, fryzował perukarz, na kilka piętr wynosząc tupet, na nim pukle, z których dwa wijąc się z góry spadały aż na piersi. Ileż gaz, blondyn, koronek. Panny będące na respekcie stały w około trzymając nalewki, miednice, haftowane tureckie ręczniki i części ubiorów żeńskich; my kawalerowie staliśmy z daleka i patrzyliśmy na te obrzędy. Księżniczka oblubienica nie była ładną, lecz słodką i uprzejmą. Cóż powiem o mężu jéj Massalskim; nikczemna, drobna, słabowita figurka, tyle tylko mająca rozpoznania, że się od zwierzęcia różniła, był w niéj nawet dobry zapas waryacyi, raczéj śmiesznéj jak szkodliwéj; długo by było wyliczać ją. Massalski powróciwszy z zagranicy udał się do dóbr

swoich Olekszyc, jeżeli się nie mylę. W kilka dni urzędnicy powiatowi przyjechali, jak się mówiło naówczas, z rekognicyą do księcia pana. Cóż robi książę pan? wylatuje tyłem domu po drabinie aż na szczyt drapiąc się i tam tlejący węgiel wziąwszy w zęby, żyga nim na stojących gości na dole. A to afrykańska małpa! rzekł pisarz Szwejkowski, nie ma tu co robić, i odjechali.

Massalski był szefem, jakem już wspomniał maleńkiego pułku. Osobliwsze miał on wyobrażenie karności wojskowéj, rozumiał, że każdy wyższego stopnia mógł niższego stopniem od siebie bić kijem, i tak porucznik chorążego, kapitan porucznika swego, książę Czartoryski dowódzca całego wojska litewskiego i jego kijem wytrzepać. Na tych zasadach wsparty, rozgniewawszy się raz na półkownika swego Belcourt, brał się już na niego do kija, gdy obrażony Francuz porwawszy go za piersi i z łatwością podnosząc do góry: *Voulez vous, mon Prince*, zawołał, *que je vous jette par la fenêtre* i już niósł go do okna, nędzne stworzenie zaczęło przepraszać i skończyło się na tém.

Nieskończyłbym, gdybym wszystkie szały biedaka chciał wyliczać; wracam do wesela. Gdy się gotowalnia księżniczki skończyła i już w wielkiéj sali zebrani czekali by do kościoła wyjeżdżać; nie pokazał się chudy, maleńki pan młody. Zaczęto go wszędy szukać i obleciano cały zamek, znaleziono go nakoniec w małéj izdebce służącego, ubranego w lamowéj srebrnéj sukni jak już do ślubu, leżącego jak długi. Cóż tu książe robisz? zapytał podpułkownik jego Frankoski. Chcę jeszcze cokolwiek utyć, odpowiedziało książątko. Przywiedziono go na dół do sali, gdzie cała familia i goście byli zgromadzeni. Zaczęto czytać intercyzę; tu znów Biskup Wileński, stryj pana młodego, z przyczyny szczupłości posagu, zaczął się przeciwić. Księże Biskupie, zawołał stary Radziwiłł rozdąsany, czerwony, — synowiec waszmości ma już lata dojrzałe, może sam sobą się rządzić. Panie szwagrze, rzekł obracając się do Massalskiego, czy chcesz pojąć *in sociam vitae* siostrę moją. *Proszę*

bardzo, odpowiedział Massalski. Czytaj wasze daléj, odezwał się Radziwiłł, obracając się do mecenasa. Gdy mecenas skończył i już się jechać do kościoła zabierano, znów wysunął się Biskup. Z pasterskiéj powinności mojéj, rzecze, powinienem jeszcze zapytać młodzieńca, czyli wstępując w stan święty małżeński, wyuczony jest w artykułach wiary świętéj. Któż świat ten stworzył? Pan Jezus, odpowie półgłówek. Pan Bóg, odpowie Biskup; wiele jest Bogów? a trzy, odezwie się szepleniwy Massalski, *nie*, *nie*, jeden we trzech osobach. Panie księże Biskupie, zawołał książe Radziwiłł, to niepotrzebne mitręgi, jedźmy do kościoła, to mówiąc, ruszył z miejsca i wszyscy za nim. Gdy wsiadł do karety i my wszyscy za nim, stojące wojsko jego na obszernym dziedzińcu, artylerya, piechota, zaczęło ognia dawać i strzelało aż do końca obrządku ślubnego, kościół gorzał lampami, stanęli państwo młodzi przed ółtarzem, gdy trzy guwernantki księżniczki, pp. Tipelskirch, Sanoan i podobno Borucka rozrzewnione tym widokiem, zemdlały i wywróciły się, książe Radziwiłł tknięty tym widokiem, natychmiast każdéj po 6000 zł. dożywotnéj pensyi wyznaczył. Wróciliśmy wśród huku armat do ślubnéj wieczerzy. Hetman Ogiński wniósł zdrowie familii, gdy przyszła kolej na Massalskiego, powstał z kielichem w ręku i zawołał jak mógł tak głośno, *zdrowie familii dobrodziki!* Powstał śmiech powszechny i długo uspokoić się nie mógł. Przesadzonemi niejednemu zdadzą się może te anegdoty o biednym Massalskim, lecz ręczę za ich prawdę.

Rozgniewany biskup wyjechał i wraz zaczęła się dawna polska, huczna, serdeczna wesołość. Pito porządnie na obiadach, wraz po obiedzie zaczynały się tańce, nikt w nich prócz kilku młodzieży nieuczył się tańczyć, szły jednak zamaszysto poważne polskie tańce stworzone do ubioru polskiego. Gdy nie tańczono, bywały koncerta najpocieszniejsze w świecie. Któż na nich grał, oto stary Radziwiłł i hetman Ogiński, oba na klarynetach. Ogiński umiejący muzykę, a nawet kompozytor,

grał gładko, lecz przebóg, jakież były kwiczenia księcia Karola Radziwiłła? Lubił on opowiadać historyą dzieciństwa i młodości swojéj, a raczéj wymyślone od siebie dzikie duby; trwa ich jeszcze tradycya po Litwie. Pamiętają starzy ludzie różne historye, które Radziwiłł lubił opowiadać. Jak w pierwszéj młodości swojéj służył za chłopca u księdza, jak mu usługiwał do mszy, chędożył sutanę, opatrywał konia jego, jak często był bitym. Jak płynąc z Tryestu do Wenecyi spotkała go burza, a gdy okręt całkiem na jednę stronę się przewalał, on skoczył w morze i jak hajduk wywracającą się karętę, on okręt barkami swojemi wsparł i ocalił. Raz opowiadał przed królem, że przewodził bateryom szturmującym do Gibraltaru, a gdy się w opowiadaniu do najwyższego stopnia zmyślania posuwał, zaczęto się uśmiechać: nieprawdaż, Panie Michale, obróciwszy się do Morawskiego zapytał, wszak byłeś zemną? Mości książe, odparł Morawski, nie mogę przyświadczyć, gdyż w pierwszym szturmie zabity zostałem. Nie trzeba rozumieć, żeby Radziwiłł sam wierzył tym wszystkim baśniom. Opowiadał je przez jakąś prostotę; wreszcie nie uczony, nic nigdy nie czytający, o nic nie pytający, lubiący mówić, o czémże miał gadać? Lecz nieokrzesany ten człowiek, posiadał najlepsze serce, hojny, popularny, bez najmniejszéj pychy, nie za przysłowie ale w rzeczy samėj, brał on wszystkę szlachtę za rodzonych braci swoich; w przywiązaniu do ojczyzny nikt go nie przewyższył.

Zbyt długo może rozciągnąłem się nad księciem Karólem Radziwiłłem i opowiadaniem weselnéj w domu jego uroczystości; lecz miałem na uwadze, że to było ostatnie w Polsce podobne wesele i że drugiéj takiéj uroczystości następne pokolenia nie ujrzą. Podaję ją raczéj jak ciekawość, niż do naśladowania przykład. Ciekawi obyczajów wieków dawnych, powinniby także starać się dostąpić czytania pamiętników księdza Pijara Kitowicza; ten będąc jeszcze w stanie świeckim, był świadkiem czynów konfederacyi Barskiéj i opisywał je

z całą prostotą, ze wszystkiemi wieku owego przesądami i dla tego są bardzo ciekawe. Kitowicz zniechęcony głupstwami konfederatów wstąpił do księży Pijarów *).

Spędziliśmy dziewięć dni na ustawnych godach, opuściliśmy Białę. Wjeżdżając na most od Pragi, książe lubiący z ludem rozmawiać, spotkał furmana wiozącego drzewo. Cóż tam słychać, mój bracie? zapytał. A cóż? odpowiedział furman, nic, tylko że córka starsza księcia spaliła się! Książe daléj pytać nie mógł. Co za cios dla ojca! Było to ulubione dziecko, rzadkiéj piękności i przymiotów, spłonęła przez zajęcie się u komina muszlinowéj sukni i potrwożenie przytomnych. Nie będę rozwodził się nad ciężkim żalem rodziców po stracie tak wielkiéj; książe atoli w obywatelskiéj usłudze szukał pociechy. Trybunały, lubo już nie tak huczne, pijatyckie, nawet krwawe jak dawniéj, potrzebowały jednak przykładu ścisłéj sprawiedliwości i przystojności. Książe więc Czartoryski postanowił na rok następujący być marszałkiem trybunału litewskiego. Został więc deputatem z Słonimskiego powiatu. Z całym więc dworem ruszyliśmy tam w Maju, odwiedziliśmy w Białymstoku panią Krakowską siostrę królewską. Miasteczko Białystok porządkiem, czystością celowało w Polsce. Wspaniały pałac jego mógłby być wszędy panujących mieszkaniem. Właściciel onego hetman Branicki długo przebywał we Francyi i tam nabrawszy gustu do poloru i sztuk pięknych, przeniósł je do majętności swojéj. Dwór jego nie był tak tłumnym jak innych polskich panów, lecz był dostojny i przystojny. Mokronowski, późniéj wojewoda Mazowiecki, obojga państwa był przyjacielem. Pałac umeblowany z najlepszym smakiem, malarz nadworny Miris Francuz malował wcale dobrze supraporty i ozdoby, ogrody pełne kanałów, wytrysków, obszerne i roskoszne. Za-

*) Wiadomo, że ś. p. Edward Raczyński wydał drukiem te pamiętniki Kitowicza w kilku tomach.

staliśmy tam księcia Poniatowskiego ex-podkomorzego W. Ks., był to osobliwszy człowiek; lekkości wszystkie młodociane, passye nie odstąpiły go aż do zgrzybiałości. Dzikie jego były nieraz pomysły. On to wystawił na Szulcu pałac wiejski z ogrodem, wodami, wśród których były małe wysepki, a na nich małe, dziwaczne domki, miał on na wysepkach tych i domkach zaprowadzić kolonią małp, nie mógł atoli nigdy projektu tego doprowadzić do skutku, małpy gryzły się, topiły, zdychały. Lekki, niestały, odmieniał kochanki i faworytów. Zrana wyjeżdżał latem w nankinowym fraku na białym angielskim koniu, bez masztalerza, lecz młody jaskrawo ubrany laufer jak motylek latał przed nim. O godzinie 2giéj jak był zwyczaj naówczas, miał obiad na 10 osób, na którym czarnooka Józefka prezydowała. Daléj teatr. Iluż podobne prowadziło życie!

Między tymi muszę wspomnieć księcia Marcina Lubomirskiego, jednego z najmajętniejszych panów naszych. Ten w stolicy królewskiéj trzymał batalion nadwornéj piechoty, ta publicznie zaciągała warty u niego z bębnami i muzyką, mniejsza, że hulał, lecz niejednych dopuszczał się przestępstw publicznych. By się z nich wywinąć, pojął córkę feldmarszałka austryackiego Haddika; protekcya związku tego wszystko pokryła. W kilku latach stracił on prawie cały majątek swój, nakoniec udał się do niejakiego Franka, żyda polskiego, wodza nowéj sekty żydowskiéj znanéj w Polsce pod imieniem Szapsaświnników; sekta ta łączyła obydwa testamenta, stary i nowy, przypuszczała przyjście Messyasza chcąc uchodzić za Chrześcian, bardzo tajemnie trzymała się dawnych swoich obrządków. Nie-łączyła się jak między sobą, grzebała się osobno, zachowywała niedzielę i szabas, wszystko atoli tajemnie. Wielu żydów w Polsce przeszło na nią i między tymi najznaczniejsi Wołoscy, Krysińscy, Szymanowscy, Lanckorońscy; obierali oni bowiem sobie bez skrupułu dawnéj szlachty imiona. Frank ten niepospolity był człowiek, umiał wzbudzić w żydach rzadki entuzyazm;

hojne składki zbierano na niego. Lękając się prześladowania w Polsce, przeniósł się do Austryi, gdzie cesarz Józef II dał mu protekcyą, trzymał on dwór znaczny w Brynie i żył wspaniale. Pamiętam iż w roku 1783 jadąc do Wiednia, spotkałem go przez Bryn jadącego na spacer w pięknéj karecie; sześciu ułanów poprzedzało pojazd. W 10 lat późniéj przeniósł się on do Aszaffenburga, gdzie się z nim złączył książe Marcin Lubomirski i jak mówiono został pół żydem i córkę jego pojął. Odtąd niesłyszano o nim. Zostawił z Haddykownéj jedną córkę Łucyą wydaną za Janusza Tyszkiewicza.... Ktokolwiek czytywać będzie zapisywania te, niech się nie dziwi nieporządkowi ich. Chwytam wspomnienia jak się przesuwają w pamięci mojéj, cofają lub wyprzedzają czasy. Przerzucenie się księcia Marcina Lubomirskiego na sektę Franka, cofnęło mię w najdawniejsze chwile dzieciństwa mojego. Rodzice moi mieszkali jeszcze w Skokach, ja mógłem mieć wtenczas lat 6, gdy pamiętam drogą idącą koło dworu z Brześcia do Skoków w piątek mnóstwo wózków żydowskich przelatywało pędem. Mój dobry Boże, mówiła dobra, pobożna matka moja, do czego to przyszło, książe Radziwiłł został żydem, Kapcany lecą do Czernawczyc. Jakoż w rzeczy saméj książe Radziwiłł krajczy W. ks. Litewskiego do wielu już poprzednio okazanych znaków szaleństwa przydał i ten, że się żydem uczynił. Co piątek więc lecieli do niego żydzi na boruchy, suty łokszyn, szczupaki i kugiel; do tego prowadziła samowładność panów i szlachty naszéj. Przecież zgorszenie moralne i obrażona pycha Radziwiłłowska tak były wielkie, iż familia postarała się o kuratelę nad księciem krajczym Litewskim. Był on ojcem trzech synów: Jakóba który zwaryował, Dominika który się z siostrzenicą moją ożenił i księcia Michała wojewody Wileńskiego, który obu tych braci, lubo Dominik był zdrów, trzymał w kurateli.

Szczegóły te malujące osoby, obyczaje wieku już zeszłego, odprowadziły mię od podróży naszéj na try-

bunał Litewski. Do Grodna, później do Wilna wyjechaliśmy zwykłym licznym taborem i wlekliśmy się powoli z Białegostoku przyjeżdżając do Grodna; miasto to z drugiéj strony Niemna korzystnie się wydaje. Ponieważ prawa nakazywały, że każdy czwarty sejm dla dogodności Litwinów w Grodnie miał się odbywać, a dawny zamek, w którym król Stefan Batory umarł, już był zniszczony, August trzeci wystawił nowy, niezbyt jednak obszerny. W tym książe z całym swym dworem ulokował się, a izba sądowa była w sali sejmowéj. Deputaci, jak zawsze większa część posłów w Warszawie, tak i tu mieścili się po klasztorach. Codziennie był stół u księcia na 60 osób. Litwa miała nad Koroną tę korzyść, że nie rozrzucone w księgach praw, ale zawarte w jednym porządnym jasnym statucie ustawy swe miała. Statut ten był dziełem Lwa Sapiehy kanclerza i hetmana W. ks. Litewskiego; zebrał on je ze wszystkich najlepszych prawoksiąg w owym wieku, mianowicie z praw angielskich, w ważnych bowiem sprawach, gdy dekret w jednym dniu napisanym być nie mógł, nie wychodzono z namowy, i sędziowie całą noc zamknięci byli w izbie aż do ogłoszenia dekretu, a to by strony nie miały sposobności widzenia się z sędziami i ujmowania ich sobie. Gdy taki przypadek zachodził ciekawa była rzecz, widzieć hajduków deputackich, znoszących kilkadziesiąt piernatów, i na tych kilkudziesiąt wąsatych deputatów chrapiących pokotem.

Z zaczęciem trybunału w Grodnie w letargicznym stanie Polski zaszło ważne w kraju zdarzenie, o którém wspomnieć należy. Rozległa ekonomia czyli dobra królewskie stołowe, dane były w zarządzenie Antoniemu Tyzenhauzowi, później podskarbiemu nadwornemu W. ks. Litewskiego. Był to niepospolity człowiek. Zwyczajném tylko naówczas Jezuickiém wychowaniem, naturalném pojęciem, biegłym rozumem, pozgadywał czego się nie uczył, czego nie widział, o czém zaledwie słyszał; urządził on na nowo dobra królewskie a chcąc wzniecić nieznany w kraju przemysł, założył

w kraju rozmaite rękodzieła i z zagranicy majstrów do nich sprowadził; w tém tylko zbłądził, że od jedwabnych i zbytkowych zaczął. Nie umiejąc i słowa innego języka jak polski, w towarzystwie p. Bohusza przebiegłego jak sam człowieka zwiedził obce kraje, mianowicie Francyą i Holandyą i co w nich pożytecznego widział, to bez względu na różnicę położenia i moralnego i fizycznego, a nadewszystko politycznego wzajemnych krajów, cały gorliwością zajęty, chciał do siebie wprowadzić. Wesoły, rubaszny, skory do kielicha, mający w ręku korzystne arendy i nieograniczony kredyt u króla, stał się nietylko popularnym, ale całą Litwą rządzącym tak dalece, że na sejmach gdy przyszło wotować, pierwszy poseł Litewski z Wileńskiego, zniósłszy się z panem Tyzenhauzem, tak zawsze wotował, *cała prowincya Litewska affirmative lub negative.* Zarówno niestety! rządził on trybunałami, mimo możnych Radziwiłłów i Czartoryskich, on szalę sprawiedliwości jak chciał podnosił lub zniżał.

* * *

Rozstałem się z żalem i wdzięcznością z dobrym księciem moim i na koszt wspólny z panem Sołtykiem puściłem się na Tryest. Jakem powiedział wprzódy, *cursive* tylko tę podróż opiszę, rozciągle bowiem i na miejscach pisana zaginęła z resztą. Przejechawszy Styryę, kraj górzysty, pierwszy raz dojeżdżając do Tryestu, z wyniosłéj góry ujrzałem morze. Jestże człowiek, co pierwszy raz widząc tę okiem nieścignioną przestrzeń, te białe żagle sunące się po niéj, ten las masztów wracających, idących w różne części świata, jestże człowiek, któryby widokiem tym nie był zachwycony i nie podawał się głębokim dumaniom. Jak pięknie lord Byron opisał morze; przetłómaczyłem przed rokiem pyszne jego strofy.

Zabawiliśmy przez parę niedziel w Tryeście. Cesarz Józef II z powrotem z Medyolanu odwiedzał to miasto, widziałem go na Towarzystwie kupieckiém rozma-

wiającego z kupcami. Żaden z cesarzów niemieckich nie śmiał dawniéj tak się pospolitować. Nic lepszego i pożyteczniejszego, gdyby familiarność ta nie prowadziła ludzi do zuchwałych wstrząśnień, gdy się przyzwyczajają nic nie szanować. Dość dobra była w Tryeście opera włoska. Dawano *Didone abandonata* Anfossego. Umyśliliśmy odwiedzić Illiryą i Dalmacyą, kolonie słowiańskie. Pobratymstwo z temi ludami silnie mię do téj podróży pędziło. Wzięliśmy więc w Tryeście felukę, i płynąc brzegiem Istryi, stanęliśmy nad świtem w mieście Pola. Jakież było moje zadziwienie, gdy obudziwszy się, słyszałem nad brzegiem mówiących mową ojczystą moją, z niewielką odmianą. Dziś Pola jest małém, nieludném miasteczkiem, znaczném musiało być za czasów Rzymian, świadkiem tego kościół Augusta całkiém zachowany, amfiteatr dziś się pławiący w morzu, dawniéj może wśród miasta, *tantum potuit mutare locos vetustas.* Ludność uboga, obdarta; przy świątyni Cezara, pana świata, stał przywiązany, zamyślony, jak ja, osiełek.

Wypytując się, jak się można dostać do Spalatro, sławnego miasta, gdzie Dyoklecyan, sprzykrzywszy sobie wielkość świata, usunął się od niéj, woląc spokojnie sadzić w ogrodzie kapustę, odpowiedziano nam, że się tam pokazało powietrze; trzeba więc było porzucić nadzieję widzenia Dalmacyi i powrócić nazad do Tryestu.

Wkrótce atoli prowadząc daléj podróż naszę włoską, wypłynęliśmy do Wenecyi wraz z jenerałem austryackim Feketą, ten woził z sobą jakąś awanturnicę, nazywającą się panią Łubińską, lecz słowa nieumiejącą po polsku. Jedynowładnie rządziła ona tym austryackim rycerzem.

Jeżeli zbliżając się do Tryestu zadziwił mię sam widok morza, cóż dopiero, gdy pomyślnym pędzony wiatrem, ujrzałem z łona tego powstające wspaniałe miasto z wieżami i wspaniałemi gmachami swemi, co więcéj, gdym ujrzał mieszkańców miasta tego niechodzących, niejeżdżących, ale pływających jak ryby; prze-

cież mieszkańcy miasta tego w V wieku najazdem barbarzyńców z lądu wygnani, w tych zatokach adryatyckiego morza schronienia szukając, z czasem najbogatsze, najpiękniejsze, a w XI i XII wieku potężną rzeczpospolitę założyli; nie masz jéj dzisiaj i śladu, mało kto widział rzeczpospolitę wenecką tak jako nie w sile i poważeniu, ale w zewnętrznych swych formach była. Jam ją jeszcze tak zastał. Widziałem dożę w lamowym złotym płaszczu z gronostajami, na ogromnym złocistym bucentaurze, otoczonego senatorami, zaślubiającego morze, w Maju więc cała przestrzeń wodna okryta była gondolami, mnóstwo cudzoziemców, cała ludność wenecka wysypała się. Doża stanąwszy na przodku pomostu, rzucił ważny złoty pierścień w głębię, mówiąc: zaślubiam cię morze; natychmiast biegli nurkowie rzucili się za pierścieniem i podnosili go. Mało kto w tak żywym i okazałym stanie widział to świetne miasto. Przypadkiem zjechało się do niego trzech monarchów: Gustaw III, król szwedzki; książe panujący parmeński i arcyksiąże Ferdynand, rządzca Medyolanu. W zdarzeniach podobnych zwyczajem było w Wenecyi, że Rzeczpospolita dawała dla znakomitych gości zawody na morzu, czyli kursa statkami. Najpierwsi patrycyusze wysadzili się, kto łódź piękniejszą, z bogaciéj ubranymi majtkami wyśle na zawody te, *Regate* zwane. Było tych łodzi wiele, piękniejszych jedna od drugiéj, nie płynęły, ale lotem orła leciały.

Wieczorem Pizani dał bal wielki dla monarchów i cudzoziemców. Bal ten był na wyspie należącéj do familii Pizanich, wśród niéj wznosi się wspaniały pałac. Pałac ten i ogrody rzęsisto oświecone były lampami, na drzwiach wisiały lampy w kształt rozmaitych kolorowych owoców, widziałem więc pomarańcze, cytryny, granaty gorejące ogniami, przezroczyste. Pałac cały i ogród napełnione śmiejącemi się, wytwornie ubranemi damami i kawalerami, wszystko to czarodziejski, zachwycający przedstawiało widok.

Na ważniejsze atoli nad te patrzałem ja przedmioty.

Trwała jeszcze rzeczpospolita wenecka, lubo już bez dawnéj potęgi i znaczenia, ze wszystkiemi atoli w rządzie swym nienaruszonemi formami. Szlachta tylko składała rząd. Doża, prócz reprezentacyi, mało miał władzy: Wielka rada, senat, inkwizytorowie, byli panami osób i życia. Byłem ja na ich obradach. W ogromnych salach, ozdobionych obrazami Tintoretto i Pawła Veronese, zbiera się kilkaset szlachty w czarnych togach i niezmiernych upudrowanych perukach; peruki te ściśnięte z sobą, noszący je kandydaci kłaniający się do stóp senatorom, proszący ich o wota, miały postać zburzonego bałwanami morza. I wielka rada i senat służą tylko do wyboru; wykonanie praw i rząd cały zależy od rady dziesięciu i trzech inkwizytorów. Ci to więżą, karzą śmiercią, wskazują na wygnanie. W czasie bytności mojéj, podczas assumpcyi, wśród ustawnych uciech, wesołości, powszechnych maskarad, jeden z Pizanich schwytany i na wygnanie skazany był. Byłto już rząd słaby zewnątrz, nie raz okrutny u siebie, podejrzliwy jak każdy despotyzm, leniwy, cały rozkoszom oddany, z czasem samby się poprawił, lecz nie mieli prawa obcy wywracać go, niszczyć niepodległości jego. Tę jednak zbrodnię popełnił dyrektoryat francuski, a późniéj Napoleon.

W Wenecyi towarzysz podróży mojéj, pan Sołtyk, przymuszony dla śmierci stryja swego, biskupa krakowskiego, wracać do Polski, rozstał się ze mną; odtąd sam kontynuowałem podróż moję po Włoszech, z Wenecyi kanałem do Mestra, daléj furmanem czyli wetturynem puściłem się do Bononii, zatrzymawszy się tam ile było potrzeba, by obejrzeć piękne miasta tego malowania. Nic mię nie zachwyciło więcéj lubością kanałów i domów wiejskich, jak Brenta, gdzie po obu brzegach rzeki tworząc ulicę, ciągną się najpiękniejsze pałace pierwszéj szlachty weneckiéj, tam ona, choć krótko, poznaje się z lądem, patrzeć może na powaby natury, drzewa, kwiaty etc. Z Bononii, przebywszy Apeniny, spuściłem się w przyjemną dolinę Toskanii. —

W Apeninach widziałem chmury lecące pod nogami memi, pasterzów trzód, karmiących się polentą czyli pyzami zrobionemi z mąki kasztanów. Zachwyciła mię Florencya nadobnością budowli swoich, przepyszną galeryą, którą ród Medyceuszów sam zebrał i darem ojczyznie swéj zostawił. Jak niegdyś w Grecyi, tak tu piękne posągi niezamknięte pod dachem, lecz na ulicach, po placach publicznych, zachwycają przechodnie oczy.

Panował wtenczas nad Toskanią arcyksiążę Leopold, brat cesarza Józefa II; nie było mędrszego i sprawiedliwszego pana, a rozwioźlejszego człowieka; pociąg jego do kobiet był niewstrzymany, mówią, że do dwustu dzieci naturalnych zostawił, lecz przy téj lubieżności umiał rządzić, dał Toskanii kodex praw pełen ludzkości. Widziałem go idącego w publicznéj processyi wraz z licznemi dziećmi; świeżo zmarły syn jego Franciszek I, którego Józef II wziął do siebie na wychowanie, małym był naówczas chłopakiem. Hrabia Coloredo, ochmistrz jego, sam mi powiadał i za najpierwsze w rządzeniu dawał mu prawidło, nie rządzić nazbyt.

Stępiona wiekiem pamięć moja wstecz coraz cofać się musi, bo co tylko narodowego, pragnie w zapisywaniu niniejszém umieszczać. Na wieży świętego Marka w Wenecyi znalazłem ostrzem na kamieniu wyryte imiona polskie w XVI jeszcze wieku, między temi Firleja; nie ma zapewne prochów jego, a to co szpilką wyrył trwa dotąd. W Padwie jest wiele pamiątek Polaków uczęszczających do akademii padewskiéj. Jan Zamojski tam się uczył i był rektorem téj akademii. Włochy, późniéj Francya, były kraje, do których przodkowie nasi od wieków aż do XVIII wieku cisnęli się po naukę. Niemcy dopiero po reformie Lutra rzucili się do nauk. Od wnijścia Prusaków do Polski wielu naszych, nie tak jak wprzódy, majętnych tylko, ale nawet i uboższych, do uniwersytetów niemieckich udawać się zaczęło. Filozofia Kanta wielu skantowała głowy, dowodem Kalasanty Szaniawski, rzucający się

we wszystkie metafizyczne manowca, dziś ateusz, jutro fanatyk, znów napoleonista, znów Moskal, a nigdy Polak.

Oglądając muzeum w Bononii, postrzegłem wypchanego rysia z przyklejoną kartką z końca XVI wieku, wyrażającą, że król polski Stefan zwierzę to, jako nieznane we Włoszech, papieżowi podobno Grzegorzowi XIII darem przysłał.

We Florencyi poznałem Kawalera Mann, posła angielskiego, przyjaciela Horace Walpole; ciekawa jest korrespondencya tych dwóch uczonych Anglików.

Odwiedzałem często galeryą florencką, dziwiąc się niezmiernym jéj we wszystkich literackich i pięknych sztukach skarbom. Rzadkie kosztowne obrazy, posągi, starożytności, bronzy, rycia na kamieniu, wszystko to jedna Medyceuszów zebrała familia. O Boże, pomyślałem sobie, były i u nas ledwie nie tak możne jak Medyceuszów rody, wychowując się we Włoszech, powinny były nabrać smaku do kunsztów pięknych i nauk i poczynić ich zbiory, przecież nie widziałem ich nigdzie. Jagiellony i Wazowie kochali się w pięknych sztukach i mieli ich, jak to pamiętniki owych czasów twierdzą, znaczne zapasy, do podobieństwa, że i magnaci nasi musieli mieć kosztowne zbiory. W Zamościu był piękny obraz Zwiastowania, Carlo Dolce, w Białéj u Bernardynów, w Pożajściu u Kamedułów, w Berezie u Kartuzów widziałem niedawno piękne obrazy w ołtarzach kościelnych, gdzież się podziały?

Trudno mi opisać wzruszenia, które uczułem, gdym się zbliżał do Rzymu. Całe dzieje potężnego tego ludu, Pana świata, stanęły mi w pamięci. Stąpać po ziemi klassycznéj, po ziemi, po któréjto stąpało tylu bohaterów męztwem, miłością ojczyzny, świętemi cnotami świetnych, zanurzyło mię w głębokich dumaniach. Na ostatniéj poczcie Starta, już mię uderzyła olbrzymia kopuła S. Piotra, lecz nie nowy Rzym, Rzym dawny zajmował mię całego, nikły atoli stopniami te uniesienia, gdy wjechawszy przez Porta del popolo, spotka-

łem zamiast Quiritów i synów Marsa, mnostwo Abusiów w czarnych kitajkowych płaszczykach, upudrowanych, z wachlarzami w ręku, snujących się po ulicach. Przyjechałem do Rzymu w najsilniejsze letnie gorąca; upały nie osłabiły nadzwyczajnéj żądzy co prędzéj widzenia wszystkiego; w nankinowym fraku, w szarych dla kurzu trzewikach, wybiegłem zaraz, by widzieć kościół Ś. Piotra; proporcye w tym ogromnym gmachu, najwspanialszym ze wszystkich na świecie wieków późniejszych, tak są dobrze zachowane, że nie wydaję się tak wielkim jak jest w rzeczy saméj. Po Egipskich atoli pyramidach, nic świat bardziéj zadziwiającego nie ma. Zbierane na wystawienie i ozdobienie gmachu tego podatki były jedną z pierwszych przyczyn odszczepienia się Lutra.

Nazajutrz udałem się do Capitolium. Z jakąż czcią postępowałem temi wschodami, któremi szli niegdyś tryumfujący bohaterowie rzymscy, lecz i tu omamienie znika, zamiast kościoła Jowisza kapitolijskiego, stoi duży konwent Bernardynów Ara Coeli zwany. Ujrzałem przed podwojami kościoła tego poszóstną karetę, wkrótce wyszli w processyi Bernardyni, niosący małe dziecko z wosku ulepione, jeden z nich w komży i stule siadł wtyle, trzymając dziecko na łonie, dwóch drugich na przodzie. Pytam coby to znaczyło? *Questo e Jesu bambino*, odpowiedziano mi. By to zrozumieć, potrzeba wiedzieć, że w Rzymie panuje powszechna wiara, iż to wyobrażenie woskowe małego Jezusa jest cudowne i że położone na łóżku chorego dziecka, zdrowie mu przywraca; posyłają więc po nie i zdarza się, że dziecko chore ozdrowieje. Tu nie można powiedzieć, że wiara twoja uzdrowiła cię, bo niemowlę wiary mieć nie może, wiara chyba rodziców cud ten otrzymuje.

Zwiedziłem wszystkie zabytki starożytności, muzea, etc. Nieraz wieczorem udawałem się do Colizeum; jakież naówczas były moje dumania, w ulatujących pędem latach i wiekach, ileż wypadków, scen i odmian ten gmach ogromny, acz dużo przez Barberinich uszko-

dzony, nie był świadkiem? Tu niezłomni w wierze swéj pierwsi Chrześcianie pasowali się z lwami i wśród okrzyków tysiącznego ludu konając, obracali się do Cezarów mówiąc: *Morituri te salutant.* Miejsce to przy pogodnéj, cichéj nocy, w najsłodsze umysł wprawia zadumania; tu młodzież muzyczna włoska, niemieccy artyści zbierają się i śpiewając chórami odpowiadają sobie. Tu słodka muzyka, niemniéj słodka cichość nocy i jasność księżyca rozczula serce głęboko i myśl w tkliwych pogrąża dumaniach. Kto wie, myślałem sobie, może w tym gmachu gdzie Cezary, tryumfujący konsulowie, przychodzili okropnym przypatrywać się widowiskom, gdy te ustały, tak jak dziś w tejże nocnéj cichości, po tymże blasku drżącego księżyca rzewny Wirgili, przychodził dumać i składać boskie rymy swoje, nie przewidywał żyjący pod cesarzem Augustem, gdy Rzym był panem świata, że przyjdzie czas gdzie hordy Barbarzyńców wyleją się z północy i zniszczą to państwo tak pyszne; nie przewidywał tego tak, jak nie przewiduje dzisiaj odrętwiała Europa, że przyjdą może wkrótce Moskale, Baszkiry i Kałmuki, zagładzą te wiekami nabyte z taką pracą cywilizacyi owoce.

Pokrótce tylko wspomnę o dalszych moich podróżach, by co prędzéj do spraw domowych powrócić. Obejrzawszy przez cztery miesiące co było godnego w Rzymie, widząc Papieża celebrującego w dzień Śgo Piotra, sławną w dzień ten illuminacyą zamku Ś. Anioła, miejsce gdzie był grób Adryana, wyjechałem do Neapolu; lubo w same upały kanikuły przebywałem bagna Pontyńskie tak miane za zaraźliwe, zdrów jednak stanąłem w Parthenopie. Widziałem króla Ferdynanda IV łowiącego ryby, sprzedającego je na targu, kłócącego się z przekupkami, widziałem dzieci jego wtenczas małe; dziś już oni panowali i umarli. Co mię bardziéj zajęło, widziałem Pompeją i Herkulanum. Te miasta przed ośmnastu wiekami lawą i popiołami żywcem zakryte, dziś znów na widoku stojące, jak gdyby

Opatrzność umyślnie je zachowała, by nam dać poznać jakie były u dawnych zwyczaje, ich sztuki piękne, narzędzia, słowem życie domowe. Wszystkie te bowiem przedmioty, nawet kości i zgliszcza naówczas żyjących widzieć tam można. Wyrazić nie mogę w jak głębokich zadumaniach pogrążył mię widok tych domów, ulic, świątyń, zawierających mnóstwo tak jak my dziś żyjących. Iluzja tak była wielka, iż zdawało mi się, że i ja tam żyłem; co więcéj w blisko pół wieku późniéj, gdy wędrowny artysta przybył do Warszawy z panorama miejsc ciekawszych, między temi i Pompeja, interesowanie się moje do miejsca tego tak było żywe, żem zaniechawszy inne widoki, blisko godzinę siedział przed nim. Zdawało mi się, żem tam żył, żem poznał dom w którym mieszkałem. Podług mnie jest to jeden z najciekawszych starożytności zabytków.

Rok 1796.

Zbyt długo zapewne rozciągnąłem się nad opisywaniem uwięzienia mego w twierdzy ŚŚ. Piotra i Pawła w Petersburgu; ze wszystkich bowiem notatek i rękopismów, tyczących się wypadków politycznych, to jedno tylko opisanie pozostało w całości, z innemi Bóg wie co się stało...... Ileżbym nie dał, gdybym je mógł mieć pod ręką, osobliwie dzienniki moje podróżne i inne; w ciągu dzisiejszych pamiętników moich mniéj byłoby opuszczeń, więcéj dokładności. Ze wszystkich strat, com poniósł, zaguba rękopismów moich nie jest najmniéj bolesną. Nie mieć innych materyałów, jak tylko starą, dziurawą jak rzeszoto pamięć, jest to całe opisanie dawne uczynić w wielu miejscach pełne opuszczeń i omyłek. Przecież, gdy nastawają przyjaciele, bym ciągnął je daléj, gdy w pracy téj znajduję w strapieniu i tęsknocie mojéj niejakieś roztargnienie, piszę daléj.

Nie wyjechaliśmy sami z Petersburga. Generał Kościuszko, by większą w Imperatorze wzbudzić ufność, Pawle

prosił go, aby jeden z oficerów jego odprowadził nas do Sztokholmu. Wyznaczony do tego major Udom, tenże sam co nas od Maciejowic prowadził, człowiek obyczajniejszy od swych kolegów.

Pan Libiszewski z Wielkiéj Polski, który towarzyszył w więzieniu Tomaszowi Wawrzeckiemu, ofiarował się odprowadzić generała Kościuszkę do Ameryki. Był to młodzieniec w saméj sile wieku, hoży, mocny, usłużny, posiadający doskonale muzykę, grający na waltorni do podziwienia, śpiewający dobrze. Był on nam wielce pomocny; generał Kościuszko nie mógł jeszcze chodzić, trzeba go było nosić z powozu i do powozu, Libiszewski tę ciężką odbywał posługę z najlepszą chęcią: miał nadto generał murzyna i kucharza Jean.

Dla znacznych śniegów nie ujechaliśmy dnia tego jak ledwie trzy mile: stanąwszy na noc w pocztowym domu, wszyscy spaliśmy w jednéj izbie na ziemi wraz z małemi świnkami. To ubóstwo tak blisko stolicy zadziwiło mię nie mało, lecz więcéj nierównie, że o kilka mil od stolicy, już mieszkańcy nierozumieli prawie po rusku, lecz po fińsku mówili, a tak stolica tak potężnego kraju już była jakby w obcéj krainie. Jadąc daléj drogą Finlandzką aż do Abo, znaleźliśmy toż samo. Abo, stolica naówczas Finlandyi Szweckiéj, całe prawie drewniane, z dachami krwią wołową pomalowanemi, dość porządne; tam pierwszy raz widziałem zwierzęta Reny, równie do pożywienia jak do pociągu służące. Mieszkańcy mówią po szwedzku, są religii luterskiéj. Poznaliśmy tam generała Wredé, jednego z faworytów Gustawa III, mieszkał on w swoim Bostel, to jest w folwarku od rządu; wojsko bowiem prowincyonalne szwedzkie od generałów aż do żołnierza, zamiast pieniędzmi, bierze żołd swój w ziemi podług stopnia jaki posiada. Generał Wredé z największą podejmował nas gościnnością. Daléj, dla nawały śniegów musieliśmy używać dwóch dylów spojonych z sobą w kształt V., te ciągnione końmi odgarniały śnieg na dwie strony i gładziły drogę dla podjazdów naszych. Postępowa-

liśmy jednak powoli, najprzód dla dni krótkich, gdyż ledwie 4 godziny było widno i o drugiéj z południa trzeba już było na obiad i nocleg zajeżdżać; nietylko napoje, woda, ale mięso, drób, ryby zmarznięte, tak, że wszystko siekierą trzęba było rozcinać. Pułapy w domach Finlandzkich wiejskich są jak kabiny okrętowe budowane; górą widać drągi na których nawiązane są duże przedziurawione we środku żytne chleby z tatarskiém zielem, twarde niezmiernie, potrzebujące dobrych zębów, nie wiem czy je dwa razy pieką na rok. Domy chłopów szwedzkich są czyste i porządne. Stan wiejski jest wolny, ma wpływ do prawodawstwa, odbiera dostateczne wychowanie i nauki. Zastawaliśmy nieraz familie zgromadzone koło dużego ogniska, przy którém wisiał kocioł zawierający warzącego się psa morskiego.

Ogromne bory z świerków i sosen, łamiące się z trzaskiem gałęzie ich pod ciężarem śniegu, jarząbki czarne z ponsowemi brwiami, cietrzewie przelatywały gęsto. I Finlandya i Szwecya, kraj co do rolnictwa nie żyzny, mało ornego pola, same jeziora i skały. Przedniejszy handel jest żelazo, śledzie i wytłoczony oléj z ostatnich, reszty z wytłoczonych śledzi służą za nawóz. Bydło małe i nędzne, codzień rano gospodynie gotują obrzynki i reszty z warzywa i krowy karmią niemi, paszy prawie nie ma. Z *Abo* przyszło nam przebierać się do Szwecyi, morzem czyli golfem Botnickim, sięgającym Laponii. Trudną była przeprawa ta, raz bowiem po wierzchu zamarzłego już morza, gdy ludzie biegli przodem z bosakami, próbując czy lód dość mocny, znów otwartemi statkami, wolném morzem płynąc po wysepkach archipelagu tego, aż przybyliśmy do wyspy *Ekrew*. Tam taka nawała śniegu spadła na nas, iż dom w którym mieszkaliśmy, zupełnie z dachem śniegiem był zawalony, tak dalece, że kominem spuszczano nam żywność, najwięcéj białe zające, jarząbki, w téj północnéj krainie pospolitsze od wołowego mięsa. Drzewa w około same tylko wyścibiały wierzchołki

swoje, zresztą zakopane w śniegu. Przez kilka dni jak w oblężeniu trzymani byliśmy na téj wyspie.

O milę drogi od Sztokholmu, sam jeden puściłem się saneczkami do téj stolicy, by jenerałowi Kościuszce opatrzyć wygodną gospodę. Wieczorem już gdy pędzę, uderza mię obok drogi żywy blask jak gdyby gorejących świec: poznałem w krótce, iż to były dwa wilki stojące, szczęściem nie rzuciły się na mnie; nie pospieszając prędzéj, by nie okazać im trwogi, szczęśliwie zajechałem do Stockholmu.

Obrałem wygodne mieszkanie w hotelu trzymanym przez Francuza, w najpierwszéj ulicy, niedaleko pałacu królewskiego. Nazajutrz wziąwszy najętego lokaja, obszedłem miasto nie zawierające jak 60,000 mieszkańców, ale dla położenia swego nadmorskiego, dla mnóstwa wysepek rozsianych przed sobą, wielce przyjemne. Z południa wyjechałem naprzeciw generała i wprowadziłem go do mieszkania jego.

Przyjazd jego sprawił znaczne w Stokholmie wrażenie. Wszyscy starali się go widzieć. Jakoż nie zamykały się podwoje, uważałem jednak, że jak w Anglii tak i tu lud nie cisnął się pod okna, lecz wszyscy urzędnicy, Ministrowie krajowi i zagraniczni odwiedzali chorego wodza. P. Rosenkrantz, jeden z faworytów młodego króla, mówił ze mną bym nakłonił Kościuszkę, aby prosił o audencyą u króla; nie chciał tego jednak Kościuszko, lubo mu nawet proponowano prywatne spotkanie w wiejskiém mieszkaniu królewskiém.

Panował naówczas Gustaw IV, syn sławnego awanturniczego Gustawa III. Jeszcze on na ówczas nie okazywał znaków, tego prawie pomieszania, które go dziś włóczęgą po Niemczech i Szwajcarach uczyniło. Widziałem go na paradzie wojskowéj. Wyższy od miernego wzrostu, chudy, blady, rzekłbyś, że drugi Cezar rzymski, tak królewską powagą swoją zajęty. Już był dostąpił pełnoletności, sam rządził, usunął się stryj jego książe Sudermanii.

Wszystkie, jak już wspomniałem, wyższe matedory

ustawnie nas odwiedzały, bez huku i stuku karet, wszystkie przychodziły piechotą; przedpokój nasz pełen był błotników, (galoches) dosyć by ubóstwo kraju oznaczyć. Znaleźliśmy tam jeszcze ostatniego posła polskiego Jerzego Potockiego, starostę Tłumackiego, gdyż mimo nastawań Carowéj, aby mu kazano porzucić Stokholm, pozwolono mu w nim bawić. Królowa nawet matka naznaczyła mu małą pensyą. Z dawniéj znajomych widziałem tam barona Toll, ostatniego posła szwedzkiego w Warszawie i P. Hailes, również tam ostatniego posła angielskiego. Ten ostatni z dowcipem cierpko-satyrycznym, zawistny najmniejszego postępu czy to wolności, czy przemysłu w innych narodach, chcący by tylko jedna Anglija je miała na świecie.

Oglądałem niektóre ciekawości w Sztokholmie: katedrę, gdzie jeszcze obrazy czci katolickiéj były zarzucone na chórze i grób Karola XII. Niemasz w grobie tym żadnych posągów, żadnych ozdób. Ogromna trumna z marmuru czarnego i na niéj z pozłacanego spiżu potężna rozciągniona lwia skóra z napisem: Karol XII. Jeździłem do Drottingholm wiejskiego pałacu królewskiego o milę od Sztokholmu. Z jakiémże ściśnieniem serca widziałem tam potężne obrazy wyrażające zwycięztwa Karola XI nad Polakami, wszystkie przesadzone podług podania uprzedzonego przeciw nam Puffendorfa. Puffendorf udawał się najprzód do Polski, prosząc o tytuł historyografa i pensyą, daléj do Danii, odrzucony od obu dworów udał się do Szwecyi, gdzie przyjęty i nagrodzony, osobistą zemstę wywarł na Polaków, ze zgwałceniem pierwszego obowiązku dziejopisa prawdy i bezstronności.

Ominąwszy atoli stronnictwo Puffendorfa, wyznać należy, że wojny nasze ze Szwedami za Jana Kazimierza, haniebną są dla narodu naszego epoką. Ileż rozwiązłości, słabości w radach, nieodwagi w wojsku, niestałości, lekkości we wszystkich czynach.

Paweł I posunął grzeczność swoję tak dalece, że dał rozkaz posłowi swemu w Sztokholmie, by codzień

odwiedzał generała Kościuszkę i donosił mu o stanie zdrowia jego. Wtenczas to poznałem się z p. Alopeus sekretarzem jego, przystojnym naówczas młodzieńcem, który aż do śmierci takim się być sądził, został posłem w Berlinie i tam umarł.

W Sztokholmie rozstaliśmy się z moskiewskim oficerem Udom, któremu Kościuszko darował piękny zegarek; odprawiliśmy także murzyna i kucharza Jean, a wzięliśmy na miejsce jego kamerdynera starosty Tłumackiego Potockiego, dawniéj posła tam naszego.

Zastałem tu kilku dawnych żołnierzy polskich, wziętych w niewolę pód Maciejowicami, zasłanych do Finlandyi moskiewskiéj, zkąd umknęli do Szwecyi. Raz gdym szedł ulicą, usłyszałem śpiewanie słowika; patrzę, aż to znajomy mi żołnierz z pułku Działyńskich; ten nieraz zwykł był nas bawić w obozie, doskonałém swojém naśladowaniem słowika, był on jak Niemcy zowią *lustig* Rejmentu. Trudy i wygnanie nie zmieniły wesołości jego, z czułością przywitaliśmy się z sobą. Dałem słowikowi mały podarek.

Poseł holenderski, którego równie nie pamiętam imienia, lubo w zatraconych dziennikach moich znajdować się musi, był osobą przez którą, ponieważ Hollandya była naówczas sprzymierzoną Rzeczypospolitéj francuzkiéj, zaczął generał Kaściuszko korrespondować z rządem francuzkim: korrespondencya ta trwała aż do wyjazdu jego z Ameryki. W tenczas już chciał Kościuszko wyprawić mię do Kopenhagi, bym tam opatrzył dla niego okręt do wypłynienia, rozumiem że już do Francyi, lubo nie wyjawiał tego wyraźnie; nie przyszło jednak do tego. Przedsięwzięliśmy podróż do Gothenburga, gdzie więcéj było okrętów. Jakoż przedsięwzieliśmy tę drogę lądem, ciągle przebywając krainę skalistą, przecinaną strumieniami i niezmiernemi jeziorami, te i uprawę i ludność ścieśniały niezmiernie, drogi wyborne, robione, poczty acz przez chłopów trzymane, regularne, na każdéj stacyi jest księga, w któréj podróżni zapisują, czyli z posługi byli lub nie byli kon-

tenci, gospody acz ubogie, chędogie, wszędy widać, że lud nie żyje w niewoli.

Zboczyliśmy umyślnie z drogi, by widzieć sławny kanał Trolhaetta, połączyć mający za pomocą jezior Wenern i Orebro Baltyckie morze z północném czyli Niemieckiém; 2000 żołnierzy z liniowego wojska pracowało około niego od lat kilku i po tyluż ledwie dzieło skończoném zostało.

* * *

Jeżeli żegluga ma swoje niebezpieczeństwo i nieprzyjemności, ma też swoje chwile przyjemne. Mieszkaniec lądu nie może sobie wystawić pysznego, zachwycającego widoku słońca. Kiedy morze małym tylko marszczy się wietrzykiem, kiedy żagle z lekka zaokrąglone suną okręt łagodnie, słońce wydobywające się na widnokresie jakąż purpurą, jakiemiż bryłami złota i farb rozmaitych barwi obłoki, niż samo jak gdyby dłonią Wszechmocnego pchnięte stanie na krawędzi morskiego kryształu! Jak miłe pokazanie się wieloryba wyrzucającego wytryski wód, przerywa jednostajność zawsze tegoż samego widoku. Zielsko morskie, polipy, w kształcie wielkich gwiazd mnogiemi rączkami łapiące niedostrzeżone oku robaczki i karmiące się niemi, często w nocy fosforyczne te płazy całą przestrzeń morską jak płaszczem ognistym okrywające, wszystko to bawi, zachwyca, zanurza myśl naszą w słodkich głębokich dumaniach.

Cóż gdy na horyzoncie zabieli się żagiel! Nikt go jeszcze nie widzi, a już majtek na górze masztu lub kapitan przez perspektywy, powiada jakiéj wielkości, zkąd i dokąd płynie. Chęć widzenia podobnych sobie stworzeń, dowiedzenie się o szerokości, udzielenia sobie wiadomości nawzajem, sprawia, że dwa okręta zbliżają się do siebie, a gdy już blisko siebie staną, największa cichość panuje. Wtenczas kapitan bierze morską trąbę i głosem tubalnym zapytuje: zkąd i dokąd płyniesz, jaka twoja szerokość, jakie twoje nowiny?

Po udzielonych nawzajem odpowiedziach, bądźcie zdrowi, mówią sobie, obracają się rudle, napełniają się żagle, warzy się morze szumem: coraz bardziéj oddalają się nawy, zmniejszają i nikną.

Latające stadami ryby, uganiające się za niemi delfiny, znużonym jednostajnością nastręczają rozrywkę. Tu dodać muszę, że ryba, którą Anglicy zowią dziś delfinem, nie jest rybą u dawnych imieniem tém zwaną, głowa jéj cokolwiek przypomina dawnego delfina, lecz bynajmniéj wielkość, ta tylko jest sporego szczupaka. Szczególna własność jego jest, że gdy złapany, wyciągnięty na pomost, łuska jego mieni się ustawnie w najżywsze farby, raz złote, ponsowe, zielone i inne. Mieliśmy go gotowanego. Pospolite u żeglujących mniemanie, że czasem jest jadowitym, zwłasza gdy się ociera o miedziane grunta, jakoż gdy go gotują, wrzucają w kocioł srebrny talar; jeśli jadowity, grynszpan na talarze osiada, przeciwnie, czysty wcale jest smaczny. Francuzi zowią go *la dorade.*

Nie powinienem tu opuścić zdarzenia w téj podróży, które nas ledwie o wielkie niebezpieczeństwo nie przyprawiło.

Na szerokości 40⁰ gdy ze słabym bardzo wiatrem płyniemy spokojnie, o 1 z północy donoszą kapitanowi, że w niedalekiem oddaleniu postrzega się liczna flota, ze światłem na każdym statku. Zrywamy się, wybiegamy na pomost. Nic piękniejszego jak widok ten, te żagle białe, te liczne migające się światła, ta ogromna fregata, strzegąca je jak guwernantka dzieci, wszystko to bawiło, ale nie długo. Jeden z okrętów tych kupieckich wyboczył z drogi i prosto sztabę swoję ku nam obrócił. Napróżno kapitan przez trąbę morską wołał na sternika, napróżno sam okręt swój rudlem chciał zwrócić w inną stronę, by uderzenia przeciwnéj nawy uniknąć, wiatr tak był lekki i słaby, iż okręt kierować się nie dał. Wtenczas dopiero powszechna trwoga, gdy naprzeciw idący okręt tak do naszego zbliżył się, gdy się obydwóch żagle, liny, maszty pozaczepiały z sobą

i boki statków okropnie tłuc się z sobą zaczęły; a gdy kapitan chcąc wiedzieć, czyli już otworu nie było w bokach statku, zawołał: *all hands to the pump, wszystkie ręce do pompy,* taka trwoga powstała w mnóstwie płynących osadników, osobliwie w kobietach i dzieciach, że wszystkie z płaczem i krzykiem wcisnęły się do kabiny naszéj, jak gdybyśmy mogli im pomodz.

Blisko godziny trwało to niebezpieczeństwo, aż póki majtkowie, pobiegłszy po linach z siekierami, nie porozcinali poplątanych żagli i sznurów i nie uwolnili nawy; straciliśmy w téj przygodzie wierzchni maszt, wiele lin i żagli; statek atoli uszedł bez szkody.

Flota którąśmy spotkali, złożoną była z blisko sta kupieckich okrętów, z Jamaiki do Londynu płynących. Okręt który wpadł na nas, był *Anna*, sternik jego pijany spał na rudlu i to było przygody przyczyną. Nazajutrz fregata konwoju i z całą flotą ze dniem wróciła ku nam, pytając, czy nie potrzebujemy jakiéj pomocy. Attencya prawdziwie chwalebna.

Z nasztukowanym masztem, z podartemi żaglami postępowaliśmy leniwo, aż ujrzeliśmy się na mielżynach Newfoundland-Banks. Morze w tém miejscu wieczną jest okryte mgłą i niepogodą. Ujrzeliśmy tam na około mnóstwo wielorybów, silnemi wytryskami wyrzucających wodę do góry, niemniéj jak wielką liczbę rybackich okrętów z różnych krajów, zatrudnionych połowem sztokfiszu, zatrzymaliśmy się i my, chcąc sobie równie świeżą żywność zdobyć. Kapitan wszystkim nam rozdał wędy z dużemi hakami przywiązanemi do mocnych sznurów, kawałki wieprzowiny służyły za pierwszą ponętę, daléj wnętrzności z pierwszych sztokfiszów złapanych. Ryby te niezmiernie są żarłoczne i prędko się nader chwytają; pamiętam, iż raz, gdym jednego wyciągał z morza, hak u którego wisiał urwał się i ryba w głębię morza wpadła nazad; lecz zaledwiem inną wziął wędę i zarzucił, wraz taż sama ryba uchwyciła się, mówię taż sama, gdyż urwany pierwszy hak miała jeszcze wiszący u pyska. W godzinę czasu ułowiliśmy

blisko sta tych ryb. Niektóre miały wpojone w swe brzuchy duże pijawki, krew ich ssące. Najsmaczniejsza część w sztokfiszu jest język; wyrzynają go gdy przychodzi do suszenia. Rybacy płatają sztokfisz i wraz na pomoście solą. Stanąwszy na brzegach suszą i wędzą. Namarynowaliśmy języki dla generała Kościuszki. Z reszty sami przez wiele dni smaczne mieliśmy pożywienie.

Lubo wolni od burz i wiatrów gwałtownych, długa jednak żegluga przykrzyć się nam zaczęła, zwłaszcza iż tylko soloném żywiliśmy się mięsem, pili zepsutą wodę, w któréj już robactwo okazywać się zaczęło. Przecież litosne niebo, nigdy długo nieprzedłużające cierpień ludzkich, zaczęło nam zapowiadać prędkie ujrzenie długo niewidzianéj ziemi. Kawałki drzew jakby świeżo uciętych okazały się na morzu, wkrótce ptastwo lądowe dało się widzieć i jakieś zawiania zapach ziemi niosące z sobą. Ujrzeli nakoniec majtkowie ląd i radośnemi powitali go okrzykami. Ci tylko bowiem co długo żeglowali, pojąć mogą radość jaką ten widok roznieca. My na pomoście w kilka dopiero godzin, spostrzegliśmy ziemię. Kreśliła się ona niska z płaczącemi wierzbami gibkie długie swe gałęzie w morza kryształach. Rzeka Delaware tak jest przy ujściu swém szeroka, iż długo nią płynąc, jeszcze się zdaje, że jesteśmy na morzu. Płynąc nią daléj, okazują się dobrze uprawne niwy, okryte najwięcéj Indyjskiém zbożem *maïs*. Przybywszy wieczorem naprzeciw miasteczka którego nazwiska już nie pamiętam, kapitan kazał spuścić bat, wziąwszy mię z sobą popłynął do onego: pierwszy raz postawiłem stopę na ziemi nowego świata: najwięcéj mię uderzyły zapach cedrowego drzewa i wielka liczba murzynów. Kupiliśmy potężną sztukę świeżego wołowego mięsa, włoszczyzny i świeżego chleba, z jakąż radością pożywaliśmy je nazajutrz: wyjąłem butelkę wina du Cap darowanego nam w Londynie przez dawnego Gubernatora przylądku tego: o 4téj z południa przybliżył się okręt do nadbrzeżów Filadelfii. Uprzedzone pospólstwo czekało już generała Kościuszkę z powozem

i angielskim sposobem, samo zaprzęgłszy się doń, zaciągnęło go do hotelu pani Loveson na *second Street.*

* * *

Przebywszy na morzu 81 dni, miło było ujrzeć się na stałym lądzie: wrażenie jednak jednostajności téj wodnéj przestrzeni tak silném było na źrzenicach moich, iż nazajutrz obudziwszy się i otworzywszy oczy, przez wiele minut zdawało mi się, żem patrzał na morską równinę; lecz boleśniejszego nad te doznałem uczucia, ból nieznośny w wielkim palcu u nogi, czerwoność i nabrzmienie onego nieznośnie dokuczać mi zaczęły. Doktor Roche, pierwszy z lekarzy w Filadelfii i dawny przyjaciel Kościuszki, szczęściem pospieszył go odwiedzić i do mnie zajrzał. Ten więc nauczył mię, że ból mój nic innego nie był jak podagra, sprowadzona przez długą morską podróż, brak ruchu, żywność soloną i złą wodę. Przeszkoda ta przyszła właśnie wtenczas, gdy stan i interesa Kościuszki, pierwsze jego umieszczenie, ciekawość nakoniec oglądania miasta i tak nowéj dla mnie krainy, potrzebowały chodzenia. Wziąłem więc kule i opierając się na nich, powlokłem się powoli do bankiera i za różnymi dla Kościuszki potrzebnymi sprawunkami. W pięć dni, świeże powietrze, świeży skromny pokarm, przywrócił mi zdrowie.

Przybyliśmy do Filadelfii w kilka dni po zakończeniu sessyi Kongressu, na któréj nieśmiertelny Washington urzędowanie swe prezydenta złożył. Generał Kościuszko nie wielu dawnych swych znajomych zastał, między tymi był generał Mifflin, ten acz urodzony kwakrem, podniósł oręż w czasie wojny o niepodległość i walczył z chwałą. Był on naówczas gubernatorem Pensylwanii. Z ciekawością obchodziłem miasto; domy w sposobie angielskim, czerwone, niepobielane: miasto widać, że na urząd przez W. Penn budowane, wzdłuż ulice, noszą nazwiska różnych amerykańskich drzew, w szerz numerów 1, 2, 3, 4, 5 etc. Miasto leży między spławną rzeką Delaware i nie wielką rzeczką Shuy-

kill. Między jedną a drugą rozciągały się pola na ćwierć mili; dziś przestwór ten już napełniony jest domami.

Sama postać kraju, płody onego, zadziwiły mię nie pomału. W ogrodzie publicznym drzewa *katalpy* z pięknym kwiatem i *liliodendrum*, rodzaj klonu, noszący wonny kwiat na wzór tulipanów, *iudithtrcee*, które wcześnie na wiosnę nim wypuści liście, oblewa się całe jak krwią czerwonym kwiatem; *rhodedendron*, *camelia* etc., nowością przyjemną były dla mnie. Towarzystw nie miałem czasu poznać, wkrótce bowiem okazała się w Filadelfii żółta febra, która nas do wyjazdu przymusiła. Udaliśmy się do miasta New-York, do dawnego znajomego Kościuszki generała Gates, sławnego zbiciem i wzięciem w niewolę pod Saratogą generała angielskiego Bourgoyne z całém wojskiem jego. Miał on piękne wiejskie mieszkanie pod samém miastem. Dziś słyszę, że dom ten już wchodzi prawie w środek miasta. W Trenton wjechaliśmy do stanu New-Jersey, przejeżdżaliśmy przez Princestown, gdzie jest gimnazyum, przez Elisabethtown, gdziem późniéj osiadł, przeprawiliśmy się przez North-river czyli Hudson i o południu stanęli przed domem generała Gates. Stary ten wojownik i podeszła żona jego, przyjęli nas jak najuprzejmiéj i wygodne dali mieszkanie.

Przedniejsi mieszkańcy z New-York pospieszyli odwiedzić generała Kościuszkę, między innymi Brockholst-Lewingston i Edward kuzyn jego, ten co świeżo był posłem w Paryżu. Miasto New-York dalekiem jeszcze było od tego, czém jest dzisiaj. Ledwie 30 tysięcy mieszkańców liczyło, dziś ich liczy 150 tysięcy. Przywiózłem list do p. Gahn, konsula szwedzkiego w New-York, który późniéj porządnie zarwał ś. p. żonę moję. Z tym byłem na teatrze publicznym, ledwie on był skończony, nie było na teatrze podłogi, tak iżeśmy stali w piasku. W 10 lat potém teatr w témże mieście równał się angielskim. Sławny Cooper grał na nim.

Zabawiwszy przez dwie niedziel u generała Gates, wróciliśmy się napowrót do Filadelfii, najprzód do Eli-

sabethtown, późniéj do New-Brunswick, czekając aż zaraza żółtéj febry w Filadelfii ustanie. Stanęliśmy w prywatnym domu i wraz wszyscy obywatele z miasteczka tego i okolic zaczęli Kościuszkę odwiedzać. Pospieszyła przed wszystkiemi wdowa po dawnym przyjacielu Kościuszki pani Suzanna Kean, osoba przystojna, posiadająca wiele wiadomości, wybornego ułożenia i tonu, wraz z ośmioletnim synem swym Piotrem. Mógłżem ja wtenczas zgadywać, że osoba ta stanie się w kilka lat małżonką moją. Siostra jéj pani Ricketts i kuzyn pan Brockholst-Livingston, tuż pod Elisabethtown mieli majętności swoje. Bywałem u nich. Zabawą moją było chodzić z fuzyą i strzelać ptaszki Robins zwane, na obiad dla Kościuszki. Wkrótce generał White dawny równie znajomy Kościuszki osiadły w téjże saméj prowincyi w New-Brunswick nad rzeką Passaile napisał do nas list zapraszając do siebie. Udaliśmy się bez zwłoki. Zastaliśmy dom czysty i porządny, familią składającą się z generała White, żony jego z domu Ellis, ich córki Elizy i siostry gospodyni staréj panny Ellis, wybornéj kobiety lubiącéj ogrodnictwo. Czytanie, przechadzka z fuzyą, strzelanie robinów i turkawek było moją zabawą. Mieliśmy w ogrodzie dzikie kaczki ubrane w pierza najżywszych i najpiękniejszych kolorów, a colibri, acz już w jesieni, unosiły się jeszcze nad kwiatami, nie siadając nigdy, lecz wpuszczając dziobek swój niewiększy od igły w samym locie smokcząc z nich nektary.

Z wielką trudnością złapałem jednego. Odzież jego ze szmaragdów, rubinów i złota. Wsadziłem go do małéj klatki; lecz lubom kładł najwyborniejsze kwiaty i wodę obficie ocukrowaną, nie ruszył niczego, mocno trzepiąc się i tłukąc po klatce, tak że bojąc się by się nie zabił, wypuściłem go na wolność. Maleńka ta ptaszyna, nie mająca jak półtora cala, znieść nie może i chwili niewoli, w tak małém stworzeniu jakaż dusza szlachetna! Jakież szczęście dla kolibrów że się nie urodziły w Moskwie!

W ciągu bytności naszéj w New-Brunświck, po skończonéj sessyi kongresu, powracał prezydent naówczas John Adams, następny po Washingtonie, z powrotem do domu, do prowincyi Massachuset, powracał w dyliżansie wraz z drugimi; a że było zimno, poszedł starzec grzać się do kuchni, gdzie kucharka murzynka przygotowywała śniadanie. Nic bardziéj nie maluje prostoty obyczajów naówczas Ameryki, jak że pierwszy urzędnik potężnego kraju tak się stósował do systemu przyjętego równości. Będzież tak długo?

* * *

W roku 1802 latem odebrałem niespodzianie list od dawnego kolegi mego Tadeusza Matusewicza z doniesieniem, że ojciec mój żyć przestał i że familijne interesa moje wymagały, abym choć na czas do kraju pospieszył. Już Alexander I panował. Nie bez trudności pozwoliła żona moja na ten wyjazd; wypłynąłem w Lipcu, i po 50dniowéj żegludze stanąłem w Londynie. Tam nie zabawiwszy jak tydzień, popłynąłem do Hamburga, zkąd przez Berlin w początkach Października stanąłem w Warszawie.

Jakże opiszę silne wrażenie, które sprawił na mnie wjazd do téj stolicy. U Wolskich rogatek pruski żołnierz po niemiecku mię pytał. Miasto jak niegdyś huczne i ludne, dziś milczące i z rzadkim mieszkańcem. Nie bawiłem jak trzy dni, odwiedziwszy tylko marszałka Małachowskiego i Tadeusza Mostowskiego, kolegę więzienia mego w Petersburgu. Oddać jednak należy sprawiedliwość rządowi pruskiemu, iż nie szerzył ni prześladowań, ni okrucieństw. Każdy używał rozsądnéj wolności i bezpieczeństwa. Generał Köhler, komendant wojskowy, Meier i inni pierwsi cywilni urzędnicy, zdawali się raczéj cudzoziemcami w mieście, niżli rządzcami.

Wyjechałem do brata w Brzeskie w początkach Października. Przebywszy granice nie bez zwykłych w Moskwie na komorze przekór, zajechałem do Adam-

kowa, do stryjecznego brata mego Stanisława Ur. Niemcewicza starosty Rywiatyckiego. Tu nowe rozrzewnienia. Brat mój rodzony Jan, siostry p. Dunin, Krosnowska, Hryniewiecka, w dwie godzin czasu przybyły. Ileż lat minęło jakeśmy się nie widzieli; ileż ważnych, smutnych te lata napełniło zdarzeń i łez i ucisków! Siedmioro nas rodzeństwa, od lat tylu nie widzących się z sobą, zebrało się pierwszy raz! Niestety! dziś wszyscy już w grobie. Jam jeden najstarszy, najbardziéj skołatany pozostał sam jeden. Oboje rodzice już leżeli w kościele naprzeciw pałacu.

Słodki, lecz rzewny był pobyt mój między rodzeństwem. Ileż dawnych czasów, wspomnień, wyciskało mi łez z oczu! Sąsiedzi odwiedzali nas często, lecz ledwie część pozostała tych, których znałem w dziecińetwie mojém. Każde drzewo, każda chatka poczciwych kmieci naszych, przypominała mi dzieciństwo moje.

Obowiązki wdzięczności księciu Adamowi Czartoryskiemu G. Z. P. za wychowanie, szczególną pieczę nademną i świadczone mi dobrodziejstwa, słodką nakazywały mi powinność odwiedzenia go co prędzéj. Wyjechałem więc do Puław na święto księżnéj. Miejsce, w którém spędziłem swobodnie najlepsze dni młodości mojéj, słodko było odwiedzić. Przyjęty jak prawie dziecię domowe, nie znalazłem już Puław w dawnéj świetności i okazałości swojéj. Byt atoli onych był jeszcze dostatni. Dom zrabowany w czasie rewolucyi kościuszkowskiéj, wracał do dawnych ozdób. Dwór i rezydenci mniéj liczni, byli jednak. Ostatni młody Dominik Radziwiłł, ostatni mówię Radziwiłł chował się przy księciu. Zwyczajem bowiem było wielce chwalebnym pana tego, znaczniejszą młodzież polską wychowywać w swym domu.[1])

---

*) Zastałem w Puławach wielu jeszcze dawnych znakomitych domowników księcia, z którymi będąc adjutantem u księcia wiele lat mile spędziłem, generała Orłowskiego, półkownika Ciesielskiego, lecz iluż straciłem? Ksiądz Grzegorz Piramowicz kanonik Kamieniecki, ksiądz Kobylański, dwaj wieszczkowie Kniaźnin i Zabłocki już nie żyli. Choć kilka słów wi-

Księżna Czartoryska z największém staraniem, pracą i gorliwością zbierała najdawniejsze pamiątki i starożyt-

nienem pamięci ich poświęcić. Piramowicz, z rodu Ormian we Lwowie, był Jezuitą. Mało co nad cztery stopy wysoki, krępy, gruby, z niezmierną głową i krótkiemi nogami, prawie ślepy, niemile uderzający postacią, lecz w obcowaniu, w mowie, jak przyjemny, jak wzbudzający szacunek, przychylność, przyjaźń. W r. 1757, przy ustanowieniu kommissyi edukacyjnéj, został on jéj sekretarzem i aż do końca trwania jéj na tym pozostał urzędzie. Z rozmaitych dzieł jego, te tylko pamiętam dzisiaj: *o Wymowie i Dykcyonarz Starożytności.* Niepospolitym był on kaznodzieją. Nie wiem czy się znajduje kazanie jego na sejmie 1788 do tegoż pod Puławami miane. W potocznych towarzystwach był on pożądanym, przyjemnym, dowcipnym, wesołym. Był najprzód proboszczem w Kurowie, dobrach przyjaciela swego Ignacego Potockiego, marszałka w. Litewskiego; przed śmiercią książe Czartoryski G. Z. P. dał mu jedno z najintratniejszych probostw w Międzyrzeczu. Tam w smutku życia dokonał w r. 1800.

Ksiądz Kobylański, ex-jezuita, uczony, rozsądny, mniéj z świątobliwości znany, jedno tylko zostawił dzieło pisarza Rzewuskiego i to mu niewiele sławy przyniosło. Inaczéj się ma z Kniaźninem i Zabłockim. Obydwa na krótko przed zniesieniem Jezuitów wstąpili do ich zakonu. Książe A. Czartoryski spostrzegłszy w obydwóch talenta, na dwór swój wziął ich za sekretarzy. Kniaźnin miernego wzrostu, blady z wypukłemi oczyma, lecz słabym wzrokiem, z wąsem gęstym, rudym, nosił się po polsku. Cały on poświęcił się poezyi i z równą łatwością pisał rymy ojczyste jak i łacińskie. Niektóre wyszły drukiem, więcéj w rękopiśmie do dziś dnia pozostało. Matka Spartanka jest celném dziełem jego. Kniaźnin słodki w pożyciu, był niezmiernie tkliwego serca, wszystko głęboko brał do duszy. Ostatni cios tak żywo uczuł, że mu się umysł pomięszał, wpadł w głęboką melancholią i świat sobie zbrzydził. Książe dał mu mieszkanie i wszelkie wygody w Końskiéj Woli, gdzie życia dokonał.

Zabłocki jak Kniaźnin równy wiekiem, jak on kleryk jezuicki, przez księcia A. Czartoryskiego za kancellarzystę w kommissyi edukacyjnéj umieszczony, z gustem i talentem do literatury zrodzony, popędliwszy w miłości, pojął żonę i wkrótce ją utracił. Zachęcony od księcia A. Czartoryskiego, przetłumaczył piękne dzieło *St. Reala* w pięciu tomach, gładką piękną polszczyzną. Niepohamowana atoli passya do teatru, uczyniła go dramatycznym autorem, przetłumaczył amfitryona Moliera, kilka innych sztuk z francuzkiego. Napisał wierszem dobrą, oryginalną komedyą pod tytułem *Zabobony.* Wkrótce tak blisko ocierający się o kulisy, ściśle znajomości z aktorami zabierał, nie przestając pisać komedyi, mniéj lub więcéj szczęśliwie. Trwało to aż do drugiego rozbioru kraju. Wtenczas zniechęcony ze światem, poznawszy marność wszystkiego, udał się do duchownego stanu. Mecenas Polski, książe A. Czartoryski dał mu probostwo w Końskiéj Woli. Dziwne tych dwóch poetów i przyjaciół zdarzenie. Knia-

ności polskie i by im godny dać przytułek, wznosiła świątynię Sybilli, na wzór téj, która trwa dotąd w Tywoli niedaleko Rzymu. Późniéj wzniosła domek gotycki, gdzie średnich wieków starożytności złożyła.

Z słodką smętnością przypominając tę przeszłość przebyłem czas niejaki w Puławach, które długo były jak własnym domem moim. Wtenczas to napisałem o nich poema, dzieląc je na cztery części, Ranek, Południe, Wieczór i Noc, zawierające cały tryb życia Puławskiego. Nie było one drukowane nigdy.

Zimę przepędziłem w Warszawie, dawszy atoli księciu słowo, że go jeszcze na wiosnę odwiedzę. Dawna przyjaciółka moja pani Stanisławowa Potocka dała mi w pałacu swoim mieszkanie. Założone świeżo przez uczonego Albertrandego Towarzystwo przyjaciół nauk, raczyło mię obrać członkiem swoim. Towarzystwo to założone pod obcym rządem, acz dosyć liberalnym, dążącym jednak do zniemczenia nas, z wielką ostrożnością postępować musiało. Jakoż pierwotne roczniki onego, mało co zawierają narodowego. Sam nawet Albertrandy jeden z najpierwszych Antykwaryuszów, czytał rozprawę o nazwiskach koni Faetona. Trwożliwy bez granic, nie śmiał on narodowości i dziejów Polski dotykać. Był on prawdziwie głęboko uczonym i nadto

---

źnin ze stratą Ojczyzny stracił i rozum. Szczęśliwszy Zabłocki szukając u ołtarzy Boskich pociechy, w przykładném życiu kapłańskiém przedłużył życie. Odwiedzał on nieraz obłąkanego przyjaciela, rzecz dziwna, że Kniaźnin widząc go, rozmawiając z nim, nierównie przytomniejszym i spokojniejszym był niż zwykle; o dawnych nawet czasach rozmawiając, był zupełnie przytomnym.

Kniaźnin już nie żył; zastałem jednak Zabłockiego i odwiedziłem go w jego plebanii. Z światowego, wesołego młodzieńca, zastałem spokojnego, smutnego, zniechęconego ze światem człowieka. Nie wyruszał się prawie z probostwa, to lubo obszerne i wygodne, w największém jednak trzymane przez niego nieporządku i niedbalstwie. Znalazłem w salonie koszyk z jajami, krubkę z miodem, wory z kaszami, wędzonką, słoniną, na stole xięgi nabożne i zaczęte kazanie.

Zdarzenia smutne polityczne ze światowego człeka uczyniły przykładnego księdza, zarywającego cokolwiek klechostwa.

znacznym w literaturze naszéj, bym o nim rozciągléj nie wspomniał.

Ród Albertrandego od dawnych czasów z Włoch przeniósł się do Polski. Brat jego był rytownikiem małych winetek. On sam-udawszy się do stanu duchownego, wydał najprzód po francuzku i polsku krótki, suchy nawet zbiór dziejów Polskich na wzór historyi francuzkiéj prezydenta Henault. Niezmierną pracowitością swoją i nauką zalecił się królowi Stanisławowi Augustowi, który zamierzywszy, by Biskup Naruszewicz wydał historyą Polską, chciwy materyałów do niéj, wysłał Albertrandego do Rzymu, dla szperania w bibliotece Watykańskiéj. Ztamtąd do początków dziejów naszych wiele wyczerpał; zwiedził i niemieckie księgarnie; późniéj król, znając jak wiele łupów za Jana Kazimierza wywieźli Szwedzi z Polski, posłał go do Stockholmu; ta podróż znaczne przyniosła skarby. Po śmierci królewskiéj wszystkie te rękopisma nabył Tadeusz Czacki, starosta Nowogrodzki, któremu nauki w zabranych prowincyach Polskich, osobliwie gimnazyum Krzemienieckie, tyle są winne. Wszystkie te skarby po śmierci Czackiego, nabył żyjący dziś książe Czartoryski do Puławskiéj sławnéj Biblioteki.

Wracam do Albertrandego. Zwiędł on i wysechł nad książkami. Szczupły, blady, suchy, niedbały w ubiorze i swéj osobie, nie wychodził prawie od siebie; w jednym ręku jego było pióro, w drugim niezmierna lulka, téj on od świtu do północy nigdy z ust niewypuszczał. Został on przed śmiercią biskupem in partibus. Umarł dość podeszły.

Radzono mi, abym rozrzucone dotąd pisma moje wydał razem, i że to nawet szczupłym zapasom moim korzyść jakąś przyniesie. Jakoż zebrałem je, ogłosiłem prenumeratę; pozwolenie drukowania najmniejszéj od rządu Pruskiego nie doznało trudności. Pierwszy tom w drukarni Mostowskiego wyszedł; prenumerata nań była obfita, lecz zysk ten (jak późniéj powiem) był dla mnie stracony. Drugi tom już po wyjeździe moim dru-

kowany, nic mi prawie nie przyniósł, oddano mi bowiem moją należność w książkach drugiéj edycyi, gdy pierwsza zaspokoiła już była wszystkich.

Na posiedzeniach Towarzystwa publicznych, czytałem niektóre poezye, *Glińskiego* i tłómaczenia z *Gay Country-church-yard*, etc.

Właśnie wtenczas za staraniem księcia A. Czartoryskiego, wielkie względy i ufność posiadającego u Aleksandra I, uniwersytet Wileński, na nowo urządzony i obficie obdarzony został. Zapisywano kosztem wielkim ze wszystkich krajów, najbieglejszych do wszystkich nauk professorów i hojne dawano im opatrzenie. Uniwersytet napisał do mnie, proponując mi katedrę literatury polskiéj; lecz nie czując się dość biegłym i zdatnym do takiego zawodu, związany nadto w innéj części świata ślubami małżeńskiemi, składając winne dzięki, podziękowałem za ofiarę.

Z nadejściem wiosny 1803, podług przyrzeczenia mego, wybrałem się do ojczystego mego siedliska. Niestety! Już nie zastałem ukochanéj siostry mojéj Krassowskiéj; w kwiecie wieku zeszła ze świata. Była to kobieta, równie z przyjemnéj postaci, jak z rzadkiego rozsądku, powszechnie ceniona. Miała ona prawdziwie męzką odwagę i skłonności. Podczas wojny 1794 za Kościuszki ledwie lat 14 licząca, słysząc o walkach Kościuszki, bez wiedzy rodziców, wykradła się z domu, wziąwszy ojcowski pałasz i pistolety, wsiadła na koń, puściła się drogą do obozu i ledwie ją o dwie mile dopędzono i przywiedziono do domu. Miłe chwile spędziwszy z bracią i krewnymi, pojechałem podług przyrzeczenia mego do Puław, zkąd razem z księciem do wód Bardyowskich w Węgrzech, w téj części gdzie lud jeszcze mówi po polsku. Wielu tam zastałem panów węgierskich, od których nie mało odebrałem grzeczności. Wody te przyjemne są do picia i wzmacniające. Powracaliśmy przez Galicyą i wstąpiliśmy do siostry księcia, księżnéj Marszałkowéj Lubomirskiéj do Łańcuta. Jest to dawny starożytny zamek, utwierdzony

przeciw Tatarom, dziś obszerne gmachy jego ozdobione pięknym posągiem Kanowy, obrazami Roberta, Dawida, pani *Le Brun* i wielą innemi. Życie w tym zamku było prawdziwie pańskie. Starożytna Polska gościnność łączyła się z tonem modnym dzisiejszym. Zamek acz obszerny napełniony gośćmi krajowymi i obcymi. Widziano tam jeszcze kontusze, lecz tonęły one w mnóstwie fraków. Stary cukiernik księżnéj, odziedziczony po ojcu, księciu Czartoryskim, wojewodzie ruskim, ogolony, w kontuszu, najwyborniejsze cukry zastawiał. Księżna sama powagę z uprzejmością łączyła.

Spędziłem zimę częścią w Krakowie, częścią w Puławach. Ilekroć Kraków odwiedzam, patrzę na dawności i świetności naszéj zabytki, zdaje mi sie, że prawdziwém polskiém powietrzem oddycham, lubo już w nim panowali Austryacy. W Puławach dawnych czasów odnowiły się zabawy: wiele było młodzieży rezydującéj na dworze księcia, wiele ładnych rezydentek, panien, gości. Zaczęto wystawiać obrazy z osób żyjących, reprezentujące lub pierwszych malarzy malowania, lub z dziejów Polskich znakomitsze zdarzenia, wszystko w celu odświeżenia w umysłach młodzieży zeszłych już czasów, świetniejszéj, szczęśliwszéj, chlubniejszéj nad dzisiejszą przeszłości.

Pierwszy pomysł wystawienia podobnych obrazów należy się księżnie Izabelli Czartoryskiéj; późniéj naśladowano je w Berlinie i Wiedniu.

Księżna Radziwiłłowa, z familii pruskiéj, ciotka panującego króla, wydana za księcia Antoniego Radziwiłła, odwiedziła Puławy. Dano dla niéj widowisko obrazów i pyszniejszy nad inne wjazd Baszy Tureckiego do Mekki. Scena była na drodze, na schodzącéj drodze, za bramą pałacu do drogi ku Włostowicy. Jeszcze znajdowały się wielbłądy i piękne konie na stajni książęcéj. Skarbiec zawierał wiele bogatych starożytnych kulbak, rzędów, dyftyków, czapraków, ubiorów nawet Tureckich. Użyto tych wszystkich bogactw, by wystawę tę jak najwspanialszą uczynić. Księżna Pruska

była cała w zachwyceniu, a wróciwszy do Berlina, modę podobnych wystaw zaprowadziła do niego.

Spędziwszy półtora roku z krewnymi i przyjaciołmi mymi w ojczyznie, dzieliłem czas między jednymi i drugimi. Z poczciwym bratem moim Janem łatwo zakończyłem interes. Biedny ojciec mój, w starości swojéj cały opanowany od księży, na znaczny majątek swój zaciągał gdzie mógł długi, hypotekował je na ziemskich dobrach swoich, zaciągnione zaś pieniądze księżom oddawał, mianowicie księdzu Proboszczowi w Zbierowach, tak że po śmierci jego przyjść musiało do exdywizyi, znaczna więc część majątku odpadła od pięknéj włości *Klenik*, a mnie po odtrąceniu dawniéj zaciągniętych długów, nie zostało jak 4,000 czerw. zł.

W Warszawie od Pani Stanisławowéj Potockiéj, w Puławach od XX. Czartoryskich, wszędzie doznawszy najżywszych dowodów przyjaźni i uprzejmości, z jakimże żalem przyszło mi się rozstawać z tak dobrymi przyjaciołmi, ze smutną myślą, że już ich może nie ujrzę więcéj. Wyruszyłem przy końcu Marca 1804 r. na Berlin, drogą do Paryża, w kompanii z p. Węgierskim, który się późniéj z panną Wielopolską ożenił.

* * *

Na wiosnę roku 1805 żona moja przedsięwzięła odwiedzić krewnych swoich mieszkających po większéj części ciągiem West-River i Kudson, chcieliśmy zacząć od brata jéj Filipa, o którym już wspomniałem, lecz wprzód odwiedziliśmy siostrzenicę jéj Panią *Rudekes*, z domu *Bajard*. Tam nie wiem z jakiego powodu napadła mię febra zbliżająca się do żółtéj. Musieliśmy się więc wrócić nazad do Elizabethtown. W paroksyzmach cierpiałem tak nieznośne bole głowy, żem się zrzucał z łoża i tarzał po ziemi. Doktor *Williamson* by mię uleczyć, uciekał się do gwałtownego lekarstwa, to jest do arszeniku dawanego w niezmiernie małéj dozie; jakoż w dwóch niedzielach zginęła febra; raz więc jeszcze wyjechaliśmy, tą razą statkiem aż do West-point,

miejsca sławnego w czasie wojny o niepodległość amerykańską. Celem podróży było odwiedzenie państwa *Williams*. P. Półkownik Williams był kommendantem téj twierdzy, więcéj naturą jak sztuką mocnéj. Sama Angielka z domu *Hanke*, oboje grzeczni, światli i znać, że Europę zwiedzili. Pułkownik był siostrzeńcem sławnego *Franklina*. Córka ich, wyborna kobieta, malująca dobrze, dziwnie podobny wymalowała dla mnie portret w miniaturze Franklina, który dotąd noszę na tabakierze.

Tegoż lata sąsiad mój Lord *Bolingbroke* dla ważnych przyczyn pod imieniem Pana *Belassis* do Ameryki schroniony, wraz z żoną Hompesch wypłynął do Anglii. Wielka była to dla mnie strata, obcowanie z ludźmi lepszego wychowania, wiadomości i pozycyi, rzadkie jest w Ameryce.

Będąc u państwa *Williams*, odwiedzaliśmy znajomości nad brzegami North-River mieszkające. Nic wspanialszego jak rzeka ta, oskrzyniona niebotycznemi, stromemi skałami, tak jest szeroka i głęboka, iż ogromne trzymasztowe okręty idą nią i powracają. My małą łódką puściliśmy się nią do sąsiada i wracając późno w żegludze naszéj przez wpływ wody morskiéj zatrzymani, musieliśmy schronić się w zaciszny ustęp. Między nami i bezdenną przepaścią wątła tylko deska była, w około skały, cichość nocna wszędy, była to uroczysta chwila; późno wróciliśmy do domu.

Późno w jesieni 1806 zaczęły nas dochodzić wiadomości o wojnie między Napoleonem, Prusami i Moskwą, wojnie chełpliwością Prusaków i zawziętością pięknéj królowéj pruskiéj wznieconéj. Napoleon wsparty szczęściem szedł naprzód jak nawałnica jaka wszystko sprzątając. Bitwa pod Jena i przeważne zwycięstwo w tém miejscu aż do Poznania otworzyły drogę Napoleonowi. Tam Wybicki, Radoliński i inni Polacy zawsze gotowi przy każdéj okazyi dopominać się o utraconą Ojczyznę, zaszli drogę Napoleonowi, ofiarując mu usługi swoje, byle przywrócenie Polski przedsię-

wziął. W odpowiedzi oświadczył podbijacz te słowa, „wystawcie mi 30,000 wojska, a wrócę wam Polskę.“

Nie potrzeba było więcéj Polakom. W dwóch miesiącach czasu stanęło około 40,000 Polaków pod bronią; wszystka młodzież, chłopięta nawet cisnęli się do szyków i z zabranych na Prusakach jeńcach polskich w ich służbie będących utworzyło się kilka pułków.

Mieszkającemu w drugiéj świata połowie późno bardzo wiadomość o wojnie téj doszła. Z jakiemże upragnieniem oczekiwałem okrętów przybywających z Europy i doniesień o wypadkach wojny tak żywo mię obchodzącéj. Obumarła już nadzieja znów się odżywiać zaczęła. Miotała mną niespokojność wrócenia co prędzéj do ojczyzny i bycia jéj pożytecznym. Największa trudność zachodziła od przywiązanéj żony. Niemocnego zdrowia, nieumiejąca jak po angielsku, obca zwyczajom europejskim, mająca jedynaka młodego syna, nie chciała ze mną jechać, wzdrygała się na oddalenie moje. Użyłem więc za pośrednika p. Rudefort krewnego jéj, jednego z najznaczniejszych ludzi w Ameryce. Ten przełożeniami swemi tyle na żonie méj dokazał, że sama uznała, iż powinnością moją jako Polaka było w tak ważném położeniu spieszyć na pomoc, przyrzekła nawet, iż jeżeli Polska powróconą zostanie, pospieszy za mną.

W staréj słabéj głowie mojéj, mieszają się wspomnienia faktów i tak, zapomniałem dwóch ważnych okoliczności, zdarzonych pierwéj rokiem, najprzód, naturalizacyi mojéj na obywatela amerykańskiego, powtóre, podróży mojéj do Niagara, sławnego na świecie spadu wody. Przebywszy czas w Ameryce przepisany, by mieć prawo stania się obywatelem, udałem się do pułkownika Ogden, jednego z pierwszych adwokatów w Elisabethtown, by mi ten interes ułatwił. Wyjechaliśmy więc razem do Newark, stolicy powiatu naszego. Tam gdy półkownik Ogden poprzysiągł, żem ja mieszkał w Zjednoczonych Stanach przez lata prawem przepisane, a ja wyprzysiągłem się szlacheckiego stanu

mego, poddaństwa Carowi, a przysiągłem wierność prawom nowéj ojczyzny mojéj, wydał mi magistrat świadectwo z pieczęcią, że jestem obywatelem amerykańskim. Świadectwo to wielce mi w opłakanym stanie moim dzisiejszym pożyteczném jest i będzie. Jeżdżę bowiem i przebywam tu za paszportem amerykańskim. Przez wdzięczność dla p. Ogden ofiarowałem mu szablę daną mi w Londynie od wybornego p. Kołaczkowskiego z napisem na główni *wiwat konstytucya 3. Maja 1791.* Zostanie więc i ta pamiątka w nowéj części świata. *Quae ora in terris nostri non plena laboris!* W towarzystwie lorda i lady Bolingbroke, sąsiada mego, odbyłem podróż do Niagary. Wyrzucałbym bowiem sobie, gdybym będąc w Ameryce nie widział tego cudu natury. Niestety! puszcze przez które przebywaliśmy, były naówczas bezdrożne tak, żeśmy siekierą drogi sobie otwierać musieli. Dziś już ludne tam miasta kwitną. Podróż ta, cała opisana, została w Warszawie wraz z innemi memi rękopismami.

* * *

Jedną jeszcze z téj epoki przypomnieć muszę okoliczność, z innemi związek mającą. Od roku i więcéj zajmowałem się posągiem Kopernika, składką publiczną a nadewszystko hojnem przyczynieniem się niezgasłéj pamięci najgorliwszego obywatela X. Stan. Staszyca w Rzymie przez Torwaldsena ulanego. Jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bardziéj jak miłośnik sławy narodowéj, nie żałowałem w téj mierze trudów. P. Norblin, urodzony w Polsce, ulał ten posąg. W początkach więc Maja już był do postawienia gotów, już założono fundamenta, gdzie na pargaminie w puszce blaszanéj złożono imiona prezesa i wszystkich członków towarzystwa. Architekt chybił w proporcyi podstawy. Dzień 5 Maja wybrano za dzień uroczystości. Że to była rzecz publiczna, a zatem potrzebowała oznajmienia rządowi, napisałem do Mohrenheima, sekretarza W. Kniazia Konstantego, jako dyskrecyalną władzę ma-

jącego od Cara, prosząc go, by W. Ks. Konstantego uwiadomił. Dowiedział się o tém Nowosilców, widząc że W. Ks. zezwalał, przypadł do niego. „Przebóg co czynisz, rzecze, zważ jaki tłum pospólstwa będzie na téj uroczystości, zważ kto będzie mówił, najzapaleńszy Polak, najgłówniejszy nieprzyjaciel Rossyi. Gotów on użyć téj chwili, by publiczność całą zapalić, pobudzić do buntu.“ Konstanty, któremu mniéj potrzeba było, by wzbudzić wszystkie podejrzenia i trwogi. „Masz racyą, rzekł obracając się do Mohrenheima, napisz zaraz do Niemcewicza, by wprzód przemówkę swoją dał do przeczytania. Uczynił tak Mohrenheim, a jam niechcąc dać Nowosilcowowi prawa wtrącania się w rzecz naszą, odpisałem, że gdy tyle trudności, odsłonienie posągu Kopernika może się obejść bez żadnéj mowy. „Czy widzisz starego rewolucyonistę, rzekł Konstanty, cóż mu to szkodzi, że ja mowę jego przeczytam.“ Tu Mohrenheim, człowiek dobry, pocóż masz się dłużéj spierać, rzekł mi, pójdź sam i przeczytaj mu, co masz mówić. Czas naglił, pierwszy raz w życiu mojem udałem się do Belwederu, do W. Kniazia. Wpuszczony bez czekania, „książe, rzekłem, niechciałeś zaufać rozsądkowi memu, żądałeś czytać wprzod mowę moję, owoż ją masz.“ To mówiąc wręczyłem mu tłumaczoną po francuzku krótką przemówkę moję. Zaczął ją czytać. Wkrótce zmarszczywszy białe brwi swoje, z opryskliwym jak zwykle tonem, zawołał: „jakże śmiesz chwalić obywatelstwo łajdaka tego Staszyca?“ „Staszyc, rzekłem, był człowiekiem powszechnie szacowanym; nadto, mógłżem zamilczeć, że on ledwie nie w połowie przyczynił się do kosztów posągu tego?“ „No, rzecze, to można powiedzieć bez żadnych innych pochwał.“ I oddając mi papier: „Przyrzecz mi, dodał, że nic więcéj nie powiesz nad to, co tu jest napisaném.“ „Przyrzekam, rzekłem, nadto p. Nowosilców będzie obrządkowi temu przytomnym, on więc zda rapport.“

Tu właśnie miejsce nadmienić, zkąd pochodziła ta zawziętość W. Kniazia przeciw Staszycowi. Staszyc

urodzony z duszą pełną gorliwego obywatelstwa, z młodości chwytał się rozmaitych nauk, teologii, mineralogii, literatury, wędrował po Francyi, pisał o polityce, statystyce, pisał nawet poema o rodzie ludzkim, wierszem nierymowym, z wymyślonemi przez siebie nowemi dzikiemi wyrazami i obrotami. Wydał to poema i dzieła swoje ozdobione rycinami z niesłychanym przepychem. Znając srogość cenzury Szaniawskiego, cały pyszny nakład dzieł swoich oddał w schowanie Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Mimo tajemnicy atoli, ultraświętoszki nasze nienawidzący liberalnych zdań Staszyca, znaleźli sposób doniesienia przez Nowosilcowa W. Księciu, że dzieło Staszyca nietylko było bezbożném lecz burzącém naród przeciw najwyższéj władzy. Dosyć na tém, posyła W. Ks. Konstanty żołnierzy, odbijają skład gdzie było to dzieło, porywają wszystkie egzemplarze i do Belwederu do W. Księcia przywożą. Któż uwierzy? jak drugi Kalif Omar przez całą zimę innego na kominku swym nie miał opału jak egzemplarze dzieła Staszyca.

Wracam do obchodu odkrycia posągu Kopernika. Odbył się on dnia 5 Maja 1829; oddawna fundament i podstawa już było gotowe. Napisaliśmy program, podług którego, jak należało, od mszy ś. w kościele ś. Krzyża, uroczystość zacząć się miała. Cała publiczność z weselem czekała téj chwili. Całe przedmieście Krakowskie napełnione były tłumami ludu. Na gruntach domu Towarzystwa stanęła muzyka i śpiewacy, którzy stósowny do uroczystości hymn wykonywać mieli. Zebrani wszyscy członkowie, udaliśmy się do kościoła, lecz jakież było nasze zadziwienie, gdy zamówionéj mszy nie zastaliśmy. Późniéj dowiedziałem się tego przyczyny. Duchowieństwo nasze naówczas, oprócz niewielu światłych i przykładnych, dzieliło się na dwie części, na rozwiązłych i na fanatyków. Ci się tajemnie złączywszy, postanowili, że ponieważ Kopernik systematem swoim zgrzeszył przeciw pismu ś. i wyklętym został przez Papieża, uczcić obchód jego mszą ś. byłoby świętokradztwem. Wyszliśmy nakoniec z kościoła. Stanąłem na

postumencie i krótką uczyniłem przemowę, w ówczasowych gazetach znajdującą się. Zasłona przykrywająca posąg spadła, zabrzmiała huczna muzyka i hymn stosowny do okoliczności, okrzyki ludu rozdzierały powietrze. Niestety! ostatni to był dzień nasz radości! Wkrótce po poświęceniu posągu Kopernika i przyjeździe Cara na koronacyą, przybył z Berlina do Warszawy sławny wędrownik Humboldt, niedawno z podróży swéj na Ural, do Syberyi, aż na granicę Chińską. Że przed rokiem obraliśmy go byli członkiem towarzystwa naszego, by uczcić tak znakomitego mędrca, daliśmy dla niego wielki obiad. Dowiedział się o tém W. ks. Konstanty. Cóż robi? z rana tegoż samego dnia zaprasza pana Humboldt na obiad do siebie i od 2 godziny trzyma go do 6, naigrawając się i śmiejąc się ustawnie do swoich, że nam figla wyrządził.

Humboldt jest zapewne jednym z pierwszych uczonych w historyi naturalnéj i jeografii, lecz nie widziałem gadatywusa większego. Gdy był na sessyi naszéj zamiast odpowiedzenia na komplement, który mu uczyniłem przez $1\frac{1}{2}$ godziny trzepał nam ustawnie o podróżach swoich, toż samo u stołu, toż samo za każdém spotkaniem.

PAMIĘTNIKI
FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

Poznań 1844.

Urodziłem się w r. 1841 dnia 4 Października w ziemi Halickiéj na Pokuciu, w powiecie Kołomyjskim, we wsi Hołosków, trzy mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Czego pamięć moja nie zasięga, a co mi tylko matka powiadała, w lat pięć może wieku mojego, brat mój rokiem starszy Kajetan

umarł. Kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) opłakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki po nim pozostałe a lepsze od moich mnie się dostawały, tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam, jak w rok może potém matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jéj nieboszczyk Kajetan widocznie się jéj po śmierci pokazał i kiedy go wypytywała się na jakiéj drodze umarła jéj siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat, mamuniu i ciężko każdego obaczyć!“ To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającéj się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzono w okolicy. Ale wiek dzieciństwa mego, wiekiem był wiary zabobonnéj i przywidzeń. Taż pobożna matka moja dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się) biało ubraną, z cierniem po przyściece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potém przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź, bośmy wnet pobudzeni, pacierze klęcząc przez trzy godziny przy obiciu za tę duszę potrzebną ratunku odmawiać musieli. — Ojciec nasz słyszał jak Śty Józef z obrazu swego który był w izbie wymówił to słowo: „cnota;“ widział w wigilię Bożego narodzenia, także po północy Najświętszą Pannę na niebie w żółtym robronie, widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się opętanych od djabła, powiadał wiele historyi o oczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się djabłom, o czarownicach i babach na Łysą Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył przez szczelinę, przez sen, przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki włóczące

się i wróżące z rąk, z oczu, z fasołów na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę najchętniéj w dom przyjmował. — Z tych wszystkich zabobonów im bardziéj im w tamtych czasach wierzono i obawiano się, tém więcéj my dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś, jak dawni Grecy albo Rzymianie, wszystko prawie w urojonych cudach widzieli. Matka i ojciec mój, byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiéj powinności dobrego Chrześcianina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najsrożéj karane było, artykuły wiary najwcześniéj nauczone, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane; a mimo to ja starszą siostrę moję, że była po ospie ślepą trzy lata, rozgniewawszy się czasem, ślepą nazywałem, o co ukarany w czasach kiedy mi się naraziło to słowo, ślepa nie wymawiałem, ałem tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać i to z urodzeniem naszém rodzi się z nami. — Z drugą siostrą moją, kiedyśmy po pacierzu codziennie na śniadanie mleko lub piwo jedli, żem więcéj bo prędzéj jedząc zjadał, na co się ona skarzyła, kazałem jéj łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoję połowę trzymała, a ja tymczasem jedzący, jéj połowę jak lejką przechodzącą na moję stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy, z szyi jéj śpiącéj, kobiecie z jagodami przechodzącéj za kwartę jagód zamieniłem. Ale nie długo udało mi się oszukiwanie moje; kiedy zmłocek w stodole naszéj, nożyk swój prosty na progu położył a jam go ukradkiem schwytał, spostrzeżony potém od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany zkądbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu, żem go znalazł, udałem się; zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk, kiedy się zmłocek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przytém w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył. Kazał najprzod ojciec mój, abym upadł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił, rozumiałem, że się już na tém mojém upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść rózgę

surowy ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi 10 rózg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował, wziął potém sam rózgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 rózg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał. O święta ręko ojca mojego (chociaż cię już nie masz od tak dawnego czasu) jeszcze ja cię i teraz w myśli mojéj całuję.... Tém to ja surowém ukaraniem wziąłem wstręt największy w dalszém życiu mojém co jest cudzego tykać, karałeś ojcze i każdy upór i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się, największe w niém czyni wrażenie, o jakże często wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje! W roku moim ósmym już umiejącego czytać i trochę pisać oddał ojciec do bliskich szkół Stanisławowskich, gdzie dobrze starszy odemnie brat mój Antoni już od lat kilku uczył się, ażebym i ja do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowéj i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując do domu odjeżdżał, ja uprzedzony bojąc się nàd wszystko szkoły, za wrotami stancyi gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero wpół drogi odkaszlnieniem wydałem się, tak zaraz nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście rózg danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu interes ten zakończyło.

Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, Hetmana W. Kor. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki; i prawdziwie podobnéj ludności to miasto przedtém i potém nie widziało i widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt Senatorów, między którymi kilku Biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświetniejszemi natenczas, cóż dopiero wojsko pozgromadzane które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły, cóż dopiero niepoliczone obywatelów mnóstwo

z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał wtenczas w Stanisławowie i mógłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego po części już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnemi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotemi fręzlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezgłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych aż do katafalku na kroków kilkadziesiąt posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi na koniach wpadając łoskotu więcéj czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka Hetmana z domu Bożego stajnią zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiéj, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia niby żal po Hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrządzić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiéj niby żal i spadnienie z koni bo byli dobrze pijanymi. Blizko dwóch niedziel odbywała się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście przyjmowani przez syna zmarłego Hetmana bawili w Stanisławowie.

Pierwsza którą w tych czasiech widziałem egzekucyą kryminalisty w Stanisławowie wielkie na mnie uczyniła wrażenie; był to rozbójnik nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę czyli ulubioną piszczałkę góralską, na któréj smutne dumy góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucyę za rękę mnie prowadziwszy, stanął ze mną tak blizko, ażebym widział ścięcie zbrodniarza, które gdy

się dopełniło, tak do mnie widokiem tym pomięszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych rzeczy i może tak jak ty w dzieciństwie nożyk u kogo ukradł, co że mu wcześnie nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc że tą drogą żyjąc między ubogiemi nie tak łatwo zbogacić się potrafi, puścił się na rozbój, który prędzéj spanoszyć może; moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, któréj jad z czasem o śmierć przyprawi.

Już byłem w szkole grammatyce, kiedy na wakacye przyjechaliśmy do domu, brat mój starszy będąc rektorem a mający skłonność do stanu duchownego (co potém ziścił) w blizkiéj izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec zapytał mnie czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny, same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak giesta wszystkie kaznodziejskie udając jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcéj zabawiło, żem w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcéj za moje kazanie jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały a ja rodzynki i gruszki odebrałem. Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko Sosnowskiego i Malickiego tak jak oni do mnie przylgnąłem? trzeba wyznać że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniéj wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym na tenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączać zwykło. Z Sosnowskim który był w niższéj szkole odemnie, do takiéj przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy,

w któréj prócz poprzysiężenia przyjaźni była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwéj umarł; ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć, co żeby tém mocniéjsze było, kartkę napisaną pod obrus ółtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na téjże saméj mszy obadwaj komunikowali. W półroku potém pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszéj pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wyspowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy śmiały potém, w nocy nawet ku kracie grobowéj szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał, tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła, starsze klassy jako to Poetowie, Retorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim pod czas kazania śmieliśmy się i łokciami żartując z drugich potrącali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moję i zaszedłszy po za ławki z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek przydawszy głośno: „złego i w kościele biją,“ a potém poszedł do swojéj ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojéj strony, przypominały mi na potém skromność w kościele.

Krew żywa, która do swywol poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć

pensów najłatwiéj zawsze nauczył, a te pilność i honor jakiś sprawował żeby w szkole nademnie lepiéj się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojéj religii wpojonéj przez ojca gorąco przywiązanym. Nasłuchawszy się z żywotów śś. Pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszéj gospodyni uciekłem w nocy, do bliskiéj Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcéj bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w ółtarzu obraz ś. Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary; wiedziałem że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyznie, nie tak od Stanisławowa odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka Muzułmanów, ostatniemi lżyć wyrazami; tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego przyszło mi do głowy doświadczyć pierwéj jak téż na cierpienie ran jestem wytrzymały, dużą szpilkę utkwiłem sobie w udo, z bolu krzyku narobiwszy, i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziéj na skrzypcach, chciałem się jéj uczyć najusilniéj, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego jak i mówić po francuzku na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia połączona z chęcią nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu tam służąc przy kapeli kościelnéj, razem N. P. Częstochowskiéj

przez kilka lat służył. Ale ten układ Ksiądz mi na spowiedzi odradził, nie czynić źle (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko) człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został; nie bał się zaboru bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nic więcéj nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na takąż funkcyę. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku, pokazano tedy woźnemu i dwóm szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowém: że nic się po nim nie zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tym czasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blizko byli kościoła kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uśpiła była) ruszać się począł a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. Czasy to były w których najwięcéj w upiory wierzono i biedni chłopi zląkłszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopa kryjącego się, na Boga zaklinać począł ażeby do niego przystąpił; póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi nie dowierzali, ale potém zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy

prosił najusilniéj tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią, największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniéj służąc za jego szkody. Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz odesłał go do starego jego pana, u którego stanąwszy, wszedł mniemany trup do pokoju, w tym samym kontuszu w którym był uciekł, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącém na stoliku pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiéj izby, gdzie się zamknął. On biedny prosić przede drzwiami począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz! Poznano po wszystkich przestrachach co się stało, i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Już dwa roki odbyłem na Retoryce, i kilka kazań w Niedziele postne na nabożeństwie studenckiém w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni miasteczka gdzie był komendarzem i gdzie rodzice moi już starzy na dewocyi mieszkali, zastałem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, porucznika chorągwi pancernéj hetmańskiéj (co na ten czas wiele znaczyło) nazajutrz się odprawiać mający. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wojcickiego, scholastyka stanisławowskiéj kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swojém zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i familii, mowy żadnéj pogrzebowéj nie będzie, kiedy ksiądz co mówić miał zachorował. Proponowałem siebie za mówcę, nadewszystko, ze Roszczyc nieboszczyk, był mi dobrze znajomy, i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka a ja nie bawiąc powró-

ciwszy do domu, tę mowę sobie napisawszy, uczyłem się jéj na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczaju z karty czytać. Noc była widna i kiedy chodząc po miasteczku mowę sobie moję w pamięć wbijałem, zdybawszy kilka stróżów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem“ wołali) obiecałem im półzłotego na wódkę byle razem co mają siły, „ostrożnie z ogniem“ zawołali, było to przy jednym domie miejskim gdzie półkownik przedniéj straży Cieński z żoną, z familią i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony, obudził wszystkich i kiedy ja na zapłacenie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze strachem uciekając przecie ocalałem. Przyszedł nakoniec dzień pogrzebu; gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę moję, w któréj po wielu zmarłego pochwałach, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałéj i dzieci przyszło, dzieci które ś.p. matce oddaję, żeby ją cieszyły miasto niego a kiedyś obaczywszy się z żoną, którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich, tak to mocnemi wyrazami i tkliwym tonem głosu wyraziłem, że matka głośném szlochaniem na czas mnie zastanowiła, niżeli ją utulić mogli. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym że mi pogrzebowa mowa moja, zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszemi byłem posadzony, co moję miłość własną najmocniéj na pierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pychą nadęło.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze dla matki naszéj, a najbardziéj dla ojca groźnego uszanowanie, nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę stojąc przed nim oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimści roz-

mawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie jak przedtém przechodził. Kryminałem byłoby spytać się za co to; w milczeniu skromném, z oczyma w ziemię spuszczonémi czekałem końca, w tém ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwie co napisać umiem a ty już filozof, doświadczałem cię tylko jak też przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mię w starości mojéj szanujesz (w tém ukląkł w pośrodku izby i podniosłszy ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba pobłogosław to dziecię moje, niech żyję długo zdrowo szczęśliwie.“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku który odebrałem, a on klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi a będziesz szanowany, ten policzek który odebrałeś od ojca niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego, wzgardę takową zmazać może!“

Nie długo potém, bo może w półroku, ten srogi ale razem najcnotliwszy ojciec pożegnał nas; przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał, i widząc się bliskim zgonu, matce tylko zalecił „powiedz tam Franciszkowi niech prawdą idzie na świecie,“ i to już ostatnie jego słowa były, bo po nich skonał po daniu mi znać o trzy mile oddalenia; przyjechawszy już go ułożonego na katafalku zastałem, i już mię w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.

Cztéry lata uczyłem się filozofii głupiéj, a natenczas powszechnéj perypatetycznéj, traciłem czas młodości mojéj najlepszéj. Powiedział ktoś: „Ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzeba będzie.“ Moja pe-

rypatetyka jak nikomu tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła.

* * *

Porzucił ja z czasem świat oświecony, i kiedy świeżo, uczony Kant w Królewcu, gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę pismami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną teraźniejszą filozofią na doświadczeniach fizycznych, geometryi zasadzoną do dawnego *Eas rationis* powrócić chciał. W przeciągu kursu filozofii mojéj ciebie ja to miłości najpierwszy raz poznałem; na próżno Jezuici słodkiemi namowami przynęcali mnie abym do ich nowicyatu poszedł i był Jezuitą, mocniejsza natura nad wymowne ich przekonywania, swoją pójść drogą wołała. — Jeżeli żyjesz jeszcze najpierwsza oblubienico moja, zdrowie ci i szczęście!... więcéj stem mil oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcym ja się dla mojéj ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie. — Maryanna Bröselówna córka kapitana Saskiego, z Turkułówny urodzona, sierota bez matki i ojca, za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę miana na Pokuciu, najpierwszą była, do któréj się w życiu przywiązałem. Moja do niéj miłość była niewinna jak ona, po całych prawie nocach, ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność jeszcze mi od ojca mojego wpajaną, jakże daleko mocniéj ta niewinna panna we mnie ugruntowała. Ona to jest moja Justyna, do któréj tę najpierwszą z moich sielanek: *Tęskność na wiosnę do Justyny* napisałem, i którą pod tém imieniem tyle razy potém wspomniałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nienasyceniem się; lat kilka i ja w mojéj niewinnéj i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jéj zyskowne trafiło się zamęście, bo prędzéj przybiega szczęście, kiedy go pięknéj a cnotliwéj kobiety oczy zawołały, a ja ubogi wziąwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na

służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jéj, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potém rzecze: ja się dla ciebie prząść nauczę, i grzędę kopać będę; jużem się do niéj wracał i byłbym tego nie żałował, ale jéj i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśleć małżeństwo. A tak skończywszy drugi rok mojéj filozofii, żebym się nawet od miejsc tych, gdzie ona była, usunął, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego pułkownika synem, który pod dozór mój oddany był.

Nowy dla mnie w téj ruskiéj stolicy świat się otworzył; blisko przypadłe kontrakty lwowskie, narobiły mi wiele znajomości, między którymi pierwszy był Wacław Rzewuski, hetman natenczas polny koronny, pan słodki, skromny, najlepszy obywatel, najlepszy mąż i ojciec, któremu jako piszącemu wiersze, ja także piszący, i już cokolwiek z téj strony znany, przez Jezuitów prezentowany byłem. Zaproszono nas na obiad, gdzie między innymi i mój professor teologii, Starzeński Jezuita, razem z Sociuszem braciszkiem u stołu siedział. Wszczął się dyskurs o Rzymie, gdzie Starzeński dawniéj czas jakiś bawił, którego hetman zapytał: jak téż daleko może być prostą linią do Rzymu ze Lwowa? a ten odpowiedziawszy, że nie wie dokładnie, braciszek w głos odezwał się: 30 mil spełna. Wszyscy rozśmieli się i umyślnie o czém inszém dyskurs hetman rozpoczął. Kiedy po obiedzie ksiądz Starzeński i ja z nim razem pożegnaliśmy hetmana, i ksiądz wyszedłszy z domu, Sociusza braciszka kurtować zaczął, że się tak głupio u stołu z swojemi 30 milami do Rzymu wyrwał, on mu odpowie: „jużci łepiéj zrobiłem jak Waszeć Dobrodzieju, żeś odpowiedział: nie wiem, bo to brzydko dla Jezuity, ażeby czego nie wiedział.“ Takie to w tym zakonie było powszechne prawie o sobie mniemanie, że Jezuita wszystko wiedzieć powinien, i chociaż przyznać potrzeba, że naukami wszystkie inne,

których tyle w Lwowie znajdowało się, zakony przechodzili, przecież to im zawsze krzywdę czyniło, że i wszystkiém głośno pogardzali. — Około dziesięciu było w tamtym czasie studiów znakomitych we Lwowie i w końcu kursu nauk, professorowie zakonnicy zapraszali professorów Jezuitow na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i Jezuici, zapraszając na takież dysputy professorów zakonników czynili. Jezuita, czyli on zaproszony, opugnował to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi czyli u siebie bronił się podobnie opugnującemu professorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa która zwyczajnie trwać miała dwie godziny, po drugim albo trzecim argumencie kończyć się musiała, kiedy mnich tak student jako i professor jego, nic odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuickich prawdziwie pogarszało. Nowo przybyły professor teologii u Bazylianów, Misterski nazwiskiem, oduczył trochę pychy Jezuitów; kiedy zaproszony od nich na dysputę teologiczną, do podobnego stanu zamilczenia ich przyprowadzić umiał, do jakiego oni innych professorów mnisich przyprowadzali, ale skromny Bazylian w swoich krótkich zarzutach razem podtrącał sposób jakby się Jezuita ratować mógł i nie był publicznie zawstydzonym, a razem o ludzkiém z ludźmi postępowaniu tém samém przestrzegł.

W drugim roku teologii mojéj, podnieśli Jezuici lwowscy szkoły swoje na akademią, a między inszymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a Śtéj teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznéj pierwszéj processyi akademicznéj, tłumnie goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja doktor, ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien w płaszczyk czarny po pas, błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlagami na około, z pętliczkami srebrnemi na przodzie, w ręku berło wyzłacane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolo-

néj i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającéj, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów w pąsowym aksamitnym ze złotemi fręzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuici w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele processyą, akademik Zamojski w ławkach siedzący, umyślnie na to przysłany z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu.“ Jezuici strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się, z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszéj się rzeczy chwytając, berłem mojém w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktor także filozofii, już go był za łeb zahaczył i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymaném zwycięztwie swojém „*Te Deum laudamus*“ kończyliśmy; przyczyna miała być téj protestacyi zgwałcone dawne prawo akademii Zamojskiéj, którém warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademia podnoszona nie była. Prawo zapewne nie prawne, jak gdyby to więcéj oświecenia w narodzie, szkodliwém być miało narodowi.

Bawiąc się w Lwowie, poznałem się także z Ignacym Cetnerem wojewodą Bełzkim, najczęściéj tam przebywającym i o kilka mil ode Lwowa dobra swoje Krakowice zwane mającym. Już żony, z domu Potockiéj, u siebie niemiał, która się z nim ustawicznie kłóciła, a on z nią nigdy. Był to jeden z ludzi najpoczciwszych i najgrzeczniejszych dla każdego, nierządem w dobrach swoich i zbytecznném urzędnikom swoim pobłażaniem, ich pozbogacał, a swój ogromny majątek do więcéj połowy zmniejszył; kochał się w ogrodach, w których przez całe życie sam nawet pracować rydlem lubił często, zioła zaś i krzewy tak miał rzadkie, że kiedy potém cesarz Józef ogród botaniczny we Lwowie fundować chciał, wielu ziołami od Cetnera zapomagać się

przykazał. Ten słodki człowiek, który mnie prawdziwie kochał i dla zmartwień jego w czasie kontraktów Lwowskich, gdyby można, co dzień chciał mnie mieć u siebie na obiadach. Miał prawdziwie chrześciańską religią, w tłumie mających z nim interesa, wielu mu przykrości głośno mówili, a on często do bliskiego gabinetu wychodził i znowu do zgromadzenia powracał. Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu i znalazłem go spłakanego przy nogach krucyfixu, kiedym go cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: „przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten, który mi dopiero tak ostro publicznie gadał, bóciki mu kiedyś sprawiałem, do szkół go dawałem, bo był synem mojego ekonoma i w mojéj służbie spanoszył się.“ Najwięcéj ten zacny człowiek takiego rodzaju miał kredytorów, którzy niewdzięczni znęcali się nad dawnym panem swoim, że panem ich być nie umiał.

W tym czasie słynęła w Lwowie pobożnością i wiadomością pisma Śgo Tamburuni; była ona Polka a mąż jéj Włoch, od dziada u nas zasiedziały mieszczanin tamtejszy, on tylko poczciwy człowiek, a ona tylko niby nabożna. Zapraszana bywała do pierwszych domów i chociaż na czas krótki, zgodziła przecież z mężem niespokojną Cetnerową. Miewała kazania u siebie w kamienicy, na jedném z których i ja byłem. Wyznać potrzeba, że mowy jéj były pełne ognia, rozumu i ducha chrześciańskiego, była do tego młoda, piękna, oczy miała zawsze spuszczone na dół, a nic nigdy (jak powszechnie fałszywie głoszono) nie jadała. Ja młody, pisma także cokolwiek jako już teolog umiejący, a mający reputacyą nie rozpustnie żyjącego młodziana, znalazłem łaskę u świętochny, ta mi pozwalała częściéj bywać u siebie. Raz ją zagadnąłem: „którzy téż to są błogosławieni ubodzy w duchu?“ Kiedy mi ona prawdziwe znaczenie wyrazu tego ewangelii tłumaczyła, ja jéj odpowiedziałem, iż myślałem, że to są ludzie będący w łaźni, ubodzy bez koszuli, a w duchu, bo w gorącém powietrzu; zganiła mi żartowanie z pisma, wsze-

lako łaski u nabożnisi nie straciłem. Prawie zawsze kilku mnichów u niéj zastawałem, ale raz znalazłszy ją samą, zacząłem piękność jéj chwalić, a ona mi rzecze: „Grzeszniku, jak śmiesz to ciało chwalić, które niezabawem trupem i pastwą robactwa będzie?“ Chociaż moje pochwały były przedłużone, nie nadto się nabożnisia moja gniewała i słodko na mnie, nie w ziemię jak zawsze, patrzeć zaczęła. W tém para mnichów nadszedłszy, ona rzecze do nich, wskazując na mnie: „Oto i ten młody człowiek, drogą naszą zapuścił się.“ Przyszedłszy do przytomności i o drodze zbawienia pomówiwszy, wyszedłem, myśląc mniéj dobrze o świętochnie a nie o sobie, którym ją do téj trochę słabości przywiódł. Nie długo potém arcybiskup Lwowski Sierakoński, sławny starzec z przykładnego życia i sprawowania urzędu swego bez nagany, przyjechał do Lwowa i dowiedziawszy się o kazaniach i o poście ustawicznym bez jedzenia żadnego pani Tamburuni, kazał jéj przyjść do siebie na obiad i koniecznie pod posłuszeństwem winném Biskupowi swemu jeść mięso. Ze łzami jeść je musiała, a co dla niéj przykrzejszém jeszcze było, kazania nawet jéj mieć zakazał. On już o wszystkiém wiedział a my potém powszechnie we Lwowie dowiedzieliśmy się, że ta fałszywa dewotka zrana codziennie kilka filiżanek kawy wypijała i dużą bułkę chleba ukradkiem zjadała. Tak to fałsz nie długo w przybranéj na siebie cnoty sukience łudzi, bo poznać łatwo, że nie na niego zrobiona była.

Skończyłem kurs mojéj teologii, odbywszy publiczną nieźle dysputę, na któréj prócz innych gości był i arcybiskup Lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad i dając mi pochwały z niedawnéj mojéj dysputy, obranie stanu duchownego radził mi; kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu żadnego nie czuję, radził mi post przez 3 Środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył. Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach

znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojém dowiedzieć się. Powiedziałem mu jak było, że widząc jakiéj doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli niedobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który mimo odmówienia mojego, był potém na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszymi przyjęcie, zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojéj biegłości w filozofii i teologii.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii, do palestry udałem się. Umiejąc nie źle łaciński język, w którym ekspedycye sądowe w koronie wychodziły, jeszczem roku na téj drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam niedbał o zazdrość, kiedy mimo niéj gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoję opowiedział, i papiery do niéj potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko daje, byleby podstępnym i mogącym sąd ułudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziąłem pieniądze i zrobiłem jak szlachcic żądał. Po krótkiéj złota pociesze, przyszła zgryzota. Ojcze mój! jakże to wiele razy w życiu mojém, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś. Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego „Franciszek niech idzie prawdą na świecie,“ takaż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem, niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew pisałem? cóż mi on będzie winien, że nie tylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię! Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat?

Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyjścia kadencyi sądowéj na który czas i szlachcic któremu pozew pisałem i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczéj sam mu szkodzić mogę choćbym i sobie razem zaszkodził, szlachta się jakem żądał pogodzili, a ja bojąc się téj ślizgiéj drogi, zwłaszcza kiedy i inszemi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletniém bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie, dla odwiedzenia matki mojéj i rodzeństwa mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała. Dziedzicem tego miejsca był Marcin Koziebrodzki starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nic zgoła nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcéj on miał jeszcze bogatych kolegów, Worcela, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana. —

Nie można sądzić, żeby wszyscy z nich tą ścieżką poszli, na któréj więcéj złota znaleść można niżeli cnoty, bo mój Koziebrodzki był człowiekiem poczciwym, nie skąpo w domu żyjącym, a nadewszystko w posiedzeniach zabawnym. „Świat, większa szkoła jak lwowska“ (tak on mi mawiał) a ja sobie potwierdziłem tę prawdę wspomniawszy na księżnę Jabłonowską z Jezuitą Starzeńskim. O kilka mil od Chocimierza mieszkali państwo Ponińscy starostowie ostrowscy, z temi w domu ich Zachajpolu poznawszy się, poznałem razem tak w mężu jak i w żonie edukacyą wyższą, wiadomość rzeczy większą, jak gdzie indziéj znaleść mogłem. To mnie zachęciło że w domu ich bawić czas niejaki postanowiłem. Sam był synem wojewody poznańskiego, sama, Kalinowskiego starosty Winnickiego córką. Poniński przy wielu języków i umiejętności po-

siadaniu, wielki razem samochwał. Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszém, twarzy nie wiele przyjemnéj, ręce najpiękniejszéj i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitéj, ustawicznie dysputować lubiła; cnotliwa to razem kobieta; byłem przykładem czasem nadaremnym, mężowi swojemu nienaruszonéj wiary małżeńskiéj, a sąsiadom grzeczności w społeczeństwie. Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jéjmości, i to była druga moja Justyna, która jak pierwsza, do wszystkiego co dobrém jest, powodem była dla mnie. Ona sama początków języka francuzkiego uczyła mnie, a ja jéj synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii, albo z czem obojętném, i mogącém kogo urazić wyrwałem się. Także nauki, sam na sam jak prawdziwa przyjaciółka, dawała mi, żem uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnéj przypowieści: „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym.“ Skromność do tego przykładna, młode moje zapędy utrzymująca. Mimo różnicy wieku bo 14 latami odemnie starsza była, więcéj lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moję od rozpusty zachowała, a za jedno pozwolenie, pocałowania siebie jakże ona odemnie wielu cnót wypełnienia potrzebowała, niżeli do tego szczęścia mojego przyszło! Michał Siedlecki był u tych państwa rządcą domu, jakże rzadki taki człowiek na świecie! Gdyby był zwyczaj, wielkim cnotom gdziekolwiek się znajdującym stawiać posągi, jego by tak między pierwszemi, unieśmiertelnić potrzeba. Ale cnoty, chociaż najczęściéj między ubogimi bawić lubią, najmniéj ich tam ludzie uważają. Znający świat bo wojażował, umiał język niemiecki, architekturę, geometryą, a to przy rozumie naturalnym, najczyściejszym, przecież bez żadnéj pychy; a nawet miany był za człowieka najskromniejszego w obcowaniu. Dwór którym rządził, miał go za ojca, a pan patrzał na niego, jak na największego swego przyjaciela. Rzecz dziwna, że go nikt nigdy rozgniewanego nie widział, co czasem do utrzymania ludzi

w bojaźni i dbałości w pełnieniu obowiązków potrzebne; ale to bieg zimnéj krwi jakiéjś sprawiał, który go nawet do miłości oziębłym robił. Takim zaś był skrupulatem w pełnieniu powinności swojéj, że czasem całą noc nie spał, ażeby co ma być skończone, skończył. Krzywdy nadewszystko aby komu nie zrobił, chronił się, choćby przez zbyteczną sumienność, siebie samego skrzywdził. Tak się trafiło, że mając do dwudziestu tysięcy na rozchod domowy, w ręku swoich corocznie, przy podawaniu regestrów na końcu roku z swoich zasług, kilka set złotych przez kilka lat przyczyniał, które (jak mi się poczciwie przyznawał) przez zapomnienie zapisania drobniejszych wydatków tracił; co kiedym doniósł pani jego, wszystko mu potém powrócone, a nadal na końcu regestru dodawać pozwolono, zapomniałych ekspensów kwotę. Z takich to ja cnót człowiekiem, na serce moje pomieniałem się, i dla niego nadwornym niby byłem teologiem, a on dla mnie nadwornym obyczajności przykładem; ale on się czasem mięszał i do teologii; bo kiedy przed nim płakałem na ostrą kochankę moję a panią jego, on mnie tém łagodził, że była cudzą żoną.

Umarł August III. z domu saskiego, król polski, z którego śmierci doniesieniem do wszystkich dworów europejskich, wysłany był posłem Poniński, starosta ostrowski. Po jego wyjeździe im mocniéj namiętność moja do pozostałéj żony wzmagała się, tém więcéj cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał siebie i mnie martwić umiała.

Na miejsce Sasa, wtrącony moskiewską przemocą, wstąpił na tron Stanisław Poniatowski stolnik litewski. Początkiem domu Poniatowskich w Polsce, był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygenat przed 200 latami, ożenił się z panną Poniatowską ostatnią z domu, a to pod kondycyą, ażeby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd (jak się to często dawniéj dla utrzymania imienia praktykowało) nazy-

wał się Poniatowskim, przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska ciołek, bo Torelli, we włoskim języku ciołek znaczy. W trzecim sukcesorze zubożał dom ten, w czwartym go podniósł Poniatowski z księżniczką Czartoryską ożeniony, kasztelan potém krakowski, pierwéj sławny bawieniem przy Karólu XII królu Szwedzkim i robieniem jego interesów, którego syn Stanisław, przez miłość dla niego Katarzyny II, imperatorowéj rossyjskiéj, królem polskim, pod imieniem Sanisława Augusta ogłoszony. Co wkrótce potém nienawistne magnaty nasze, nagle tego domu podniesienie się, w dwóch wierszach polskich znajomych powszechnie wyrazili:

Przedziwne to jest dzieło Boskiéj opatrzności
Syn królem, ojciec w krześle, a dziad podstarości.

Nie na tém skończyli magnaty nasze, bodło ich to ustawicznie czemu nie Radziwiłł, Lubomirski albo Potocki królem — jakby narodowi więcéj zależało na tém kto z domu król ten? niżeli żeby sprawiedliwie panował. Radziwiłł wojewoda Wileński z Branickim hetmanem W. koronnym mieli najznaczniejszą, bo dwadzieścia kilka tysięcy wynoszącą, przeciwko téj nowéj elekcyi partyą. Ale i Potoccy w kilku województwach mieli po kilka tysięcy ludzi, zebranych w celu zrzucenia z tronu nowo obranego króla; wszelako te wszystkie dywizye łatwo porozpraszano od wojsk moskiewskich i skończyło się na tém, że gniewając się jeszcze na króla, przepraszali go magnaty nasze.

U pani Ponińskiéj bawiąc, albo z nią w różnych domach bywając, poznałem się między inszemi z Mrozowickim rejmentarzem partyi ukraińskiéj, i z Bielskim łowczym nadwornym koronnym, za którymi były siostry Ponińskiéj. Mrozowicki poczciwy ten i piękny Polak, większą część majątku swego na usługach ojczyzny straciwszy, spokojny starzec w domu przesiadywał, lubił słuchać o dziejach dawniejszych sławnych męztwem Polaków i w całém życiu starał się ich na-

śladować. On mi to mawiał: „mam jeszcze siłę, ale nie trafia się sposobność!“ Piękne syny i córki, wszystko to grzeczne, z sercami najlepszemi, równie jak ich ojciec i matka. — Antoni Bielski z żoną swoją Teklą z Kalinowskich, ludzie bogaci, żyli téż najokazaléj. Dwór liczny, kapela, błazny nadworne, polowania kosztowne, córki piękne, wszystko to robiło ich dom najzabawniejszym i wiek mój młody, gdzie dziewcząt wiele, gość ustawiczny i tańce częste, do Pieniak, Bielskich mieszkania, nęcił mnie najczęściéj. Ten zacny i prawdziwie piękny człowiek szczerze mnie sobie upodobał, do wszystkich mnie rozrywek, do wszystkich biesiad używał; najbardziéj zaś lubił z filozofii albo z teologii dysputy, które mi łatwo przychodziły. Sposobność zaś dostania bohaterów, którzyby się ze mną potykać mogli, była najłatwiejsza z kks. Dominikanów pobliskiego Podkamienia, gdzie oni mieli swoje studja. Raz u stołu siedząc, gdzie prócz inszych gości Regent teologii z Podkamienia ze swoim lektorem i nadworny teolog Bernardyn siedział, wśród najżywszéj mojéj z nimi dysputy, postrzegłem że ktoś na koniu nędznym na dziedziniec wjechał. Spytałem Bielskiego siedząc przy nim i żartując, że ten jakiś Pauper, nie rychło na obiad jego przyjeżdża. Odpowiedział mi, że to Bazylian Nestorski, Superyor nad dwoma Bazylianami, którzy w bliskiéj wiosce jego mieli swoją cerkiewkę i kilka włók gruntu, a zapewne ten superyor po odebranie procentu kilkaset złotych funduszowego przyjechał. Ani mi do myśli przyszło, żeby to był ten sam Nestorski, który za mojéj teologii we Lwowie, nad wsystkich tam uczących teologii słynął, Jezuitów tyle razy w dysputach przemógł a przemoc swoją przez skromność zawsze utaić starał się. Kiedy wszedł do sali, poznałem go, że tenże sam był i zdziwiłem się razem, że tak wielki w zakonie swoim człowiek na tę nędzę przyszedł, że sam (jakem się wtenczas od Bielskiego dowiedział) czasem nawet rolę ubogą orał. Powiedziałem panu domu co był za człowiek Nestorski, dano mu miejsce

u stołu i Bielski o dyspucie zaczętéj powiedziawszy mu, (jak dawniéj) skromnie i księdza Regenta teologii i jego lektora i Bernardyna nadwornego i mnie równie poprawił. Mnichy z gębami otwartemi dziwili się tylko a ja, pewny zwycięztwa Nestorskiego, w duszy mu winszowałem, któremu moja tam natenczas bytność na dobre wyszła, bo Bielski prócz zwyczajnego procentu, drugie mu tyle pieniędzy na jego potrzeby własne ofiarował. Z tego zdarzenia uważałem, że chociaż jedni z najdawniejszych są mnisi Bazylianowie, przecież najmniéj od pierwiastkowego instytutu odstąpili, i największy u nich człowiek posłuszny swojéj zwierzchności, kiedy kazała do pługa nawet pójdzie; ale zda mi się, że sami tylko Bazylianie, swoich mają Cyncynatów, chociaż w regule ś. Benedyktyna fundatora tychto najbogatszych mnichów wyraźnie napisano: „Stary mnich niech się modli w chórze za młodego, a młody niech rolę orze, ażeby i siebie i starego pożywił.“

Bielski we wszystkiem chwalebny, miał skłonność do wina, i w ten czas, kiedy sobie podpił, najhojniejszym był dla tych, których polubił. Ja chociaż ubogi miałem sobie za upodlenie, wtenczas mu się nastręczać, kiedy on pijany prezenta faworytom rozdawał; dla tego też od niego nic nie zyskałem, bo też on nic nigdy trzeźwy nikomu nie dał. Wszelako i pijany miał uwagę w rozdawaniu darów swoich. Raz starego swego kamerdynera Przyjemskiego zawołał do garderoby, i otworzywszy bióro z talarami, pozwolił mu wziąść talarów tyle, ile tylko może na raz dwoma garściami zająć. Przenosząc z bióra do czapki swojéj, w garściach talary kamerdyner, kilka mu na ziemię upadło, które on potém zebrawszy, nazad do bióra położył. Co widząc pan pochwalił wierność, i drugie dwie garście wziąść talarów pozwolił. Wyszedł kamerdyner chwaląc się przed kolegami służącymi z hojności pańskiéj i zdarzenia o drugich garściach powiadał. Zawołany w krótce do garderoby i kapelmeister, kiedy mu równie garść talarów wziąść pozwolił, a on w przenoszeniu umyślnie

kilka wypuścił i potém zebrane nazad do bióra włożył, ażeby mu jak kamerdynerowi i drugą garść wziąść pan pozwolił, poznał to Bielski, i pierwéj nawet wzięte dwie garście talarów nazad do bióra włożyć kazawszy: „To (powiada) w Przyjemskiego cnotę przybrałeś się?“

Miałem lat około 26 kiedy się konfederacya Barska zaczęła. Początkiem jéj niby był Krasiński i Puławski, ale Potoccy i inni magnaci, nie kontenci z króla, podnieśli ją; nareszcie jeden z Potockich podczaszy litewski, naczelnikiem jéj u nas na Rusi ogłosił się. Byłem wtenczas w domu Bielskiego, kiedy szumne uniwersały Potockiego mające za hasło: „wiarę i wolność“ do Bielskiego do Pieniak przyszły. Z niewymowną radością, dzień ten był obchodzony; ja sam wiedząc, jakie niełady u nas wyrabiały się, cieszyłem się w duszy, że przecież naród poczuł krzywdy i upodlenie swoje, aleć nie rozumiałem w czém to ta wiara ukrzywdzona!!! Bo chociaż dyssydenci Polacy téj zawieruchy początkiem byli, gdy żądali i otrzymali, przez udanie się do Moskwy i Prusaka, potwierdzenia dawnych przywilejów w narodzie, ażeby do wszystkich urzędów przypuszczanymi byli, zdaje się, iż o to katolicy urażać się nie powinni byli; wierz jak chcesz, ale prawa narodu zatrzymaj, kochaj ojczyznę jak matkę to już tém samem, masz cechę obywatela. Ponieważ podczaszy lit. Potocki, był już z wojskiem, po większéj części z pospolitego ruszenia zebraném, w miasteczku Podhajce, odległem od Bielskiego około mil 10, pojechałem z nim do tego miasteczka konfederacyi Barskiéj, który Bielskiego na samym wstępie tak przywitał: Mospanie Łowczy, dosyć już tego panowania Poniatowskich,“ z takiego przegrywku poznaliśmy, jaki to będzie taniec, i że to ani o wiarę, ani o wolność idzie, jak w uniwersałach swoich popisali, ale był im nieznośny, na tronie siedzący Poniatowski. Cóżkolwiek było, Bielski jako kochający ojczyznę swoją obywatel, ktokolwiek tam królem będzie, byle się lepiéj działo narodowi, i byleby od jarzma cudzego uwolnić się, powró-

ciwszy do domu, stokonną chorągiew, z ludzi i koni pięknych zebraną odesłał do obozu konfederackiego. Tymczasem i mój weteran, dawny Rejmentarz partyi Ukraińskiéj, Mrozowiecki z dwoma synami swoimi Józefem i Mikołajem kilkanaście przytém ludzi zbrojnych mający, wyjechał do obozu konfederackiego. Inszych prócz tego wielu, tak z korony, jak z Litwy, obywateli osobiście stawiło się, ale magnaci tajemnie tylko konfederacyję barską wspierali, czekając okazania się losu jéj. Różny ten był w początkach; ale nakoniec kiedy po większéj części decydowało się szczęście za stroną moskiewską i Potocki próżno od starego Wita, komendanta Kamieńca Podolskiego, napierał się ustąpienia mu tej fortecy pogranicznéj, z swoją partją uchylić się musiał na Wołoszczyznę, z kąd pomocy tureckiéj przeciwko Moskwie, równie także Turkowi ciężkiéj, spodziewał się. A tymczasem marszałkowie równych konfederacyi, różnym losem Moskalom w Polsce opierali się. Byłem przytomny w Lwowie, kiedy do tego miasta niby to fortecy, czterech marszałków konfederackich, z wojskiem około czterech tysięcy przyszło, chociaż tam Moskwy nie było; ale komendant garnizonu, generał Korytowski, w kilkaset ludzi swoich, oparł się tłuszczy niesfornéj i widzieliśmy go jednego poranku w szlafroku skutecznie odpierającego konfederatów, wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze. Trwoga była powszechna w mieście i wszyscy zgromadziliśmy się do Potockiéj, kasztelanowéj lwowskiéj, któréj syn był jednym z marszałków konfederackich. Ale po dwóch dniach potém, konfederaci widząc niesposobnosć swoją do odebrania Lwowa, przedmieścia tylko popaliwszy gdzie i kościół jeden karmelitański zgorzał, od oblężenia miasta odstąpili. Czas to był w którym i ja ruszony patriotyzmem (gdyby, jakem się spodziewał, konfederaci Lwów odebrali) miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem był przygotowania; ale widząc największą między niemi niesforność, pijaństwo i rabunki,

zupełnie tę myśl z głowy usunąłem; najbardziej kościół dobrowolnie przez nich spalony, co za wiarę (jak w swoich uniwersałach ogłaszali) bić się wyszli, oświecił mnie, że to zapewne o wiarę im nie chodziło.

* * *

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju, a za granicą, nim się rozruchy narodu uspokoją, czego się nauczyć, i z powodu téj przyszłéj wędrówki mojéj przebrałem się po francuzku. — Wyjeżdżał po niejakim czasie ze Lwowa do Wiednia, młody Puzyna, starościc upitski, z guwernerem swoim księdzem Kolańskim Jezuitą, znanym potém w Polsce, z pięknych pism swoich i z pięknego myślenia sposobu przyjacielem moim. Z niemi ja zabrałem się do Wiednia, około dwieście dukatów mając tylko zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżeliśmy do Krakowa odjechali, przejeżdżając pomiędzy różne tłumy niekarnych naszych konfederatów, nie tylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie bać się przyszło. Z pomiędzy nas trzech jadących, ja jeden najwięcéj byłem przedmiotem wyrzucania ich, że młody i czerstwy, wyjeżdżałem z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba, a wszyscy prawie którzy mię tak groźnie karcili pijanymi byli. W takim stanie, ja nie mając się czego spodziewać, z bezrządnéj konfederacyi, nie ratowałem prawda ojczyzny mojéj, ale i oni pijani nie wiele ją mogli poratować. W Głogowie u ks. starościny Bolimowskiéj, konfederatki zaciętéj jaki był i brat jéj, hetman Branicki, odebrałem z Warszawy patent kapitana złotéj chorągwi, który mi tam miał być i był przysłany z Warszawy, co mi w Wiedniu, jak mię przed wyjazdem ze Lwowa nauczono, dało wstęp, mając mundur oficerski i port d'épée, kiedym chciał na cesarskie pokoje. Tam u księżny, nasłuchałem się modlitw publicznych ku potłumieniu króla, i Moskalów. Tam prócz innych konfederatów poznałem i Potockiego, starostę szczereckiego, który potém od konfederacyi był

posłem do Konstantynopola, a który w krótce w Wiedniu będąc, wiele mi dowodów przyjaźni swojéj oświadczył.

Do Krakowa przybywszy, przysiągłem Bogu w Jego kościele, żyć najskromniéj w Wiedniu, o którym mi powiadano, że był najrozpustniejszym. Widziane piękności Krakowa, dały mi myśl jaki też Wiedeń będzie, ta dawna cesarzów stolica? Ale potém tam przyjechawszy, prócz większéj nierównie ludności miasta, nic piękniejszego w Wiedniu nie widziałem, nad kaplicę w kościele katedralnym, sławną grobami królów polskich w Krakowie.

Jadąc do Niemiec, w Białéj, ostatnim miasteczku polskim, zastaliśmy wiele marszałków naszych konfederackich, (między którymi był sławny pułkownik Paszczowski) już trzymających się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzéj ziemi. Co też nie długo potém nastąpiło. Z kąd wyjeżdżając, do bliskiego miasteczka szlązkiego Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojéj, którą porzucałem. Postrzegłem w Bilitz, zaraz inszy porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędóstwo wszędzie największe, wtenczas kiedy my, jak we wszystkiém, tak około domów i miast naszych niedbali. Szląsk kiedyś był polską prowincyą i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy, spytać się moim językiem wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderburga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderburg, a to miasto zowie się Bogamirów po dawnemu.“ Jak to dawność i usiłowanie niemieckie, nie mogło wymazać z pamięci pospólstwa nazwiska starożytnego miasta tego. Znowu ja na ciebie wspomniałem, ojczyzno moja, jak daleko kiedyś rozciągały się twoje osady, które nieładem potraciłaś! A ten mój język pozostały jeszcze pomiędzy pospólstwem, potwierdził mi wielkość dawnych naszych Słowianów, którzy tak zmaleli w czasie teraźniejszym.

Przez Opawę, Ołomuniec, Brün w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówiłem się, i dopiero do Austryi wjechawszy, już chłopi niemieckim tylko odpowiadali. Wszystkie wsi, miasteczka i karczmy uporządkowane, co tylko wygoda chciała, dostarczyły; drogi najlepiéj utrzymywane, podróż najmilszą czyniły. Ale wjechawszy w Austrją, obraziło mnie przy stacyach podróżnych wybieranie od podróżujących myta, po krajcarze jednym więcéj od mili, jak dawniéj płaciliśmy. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi: że ponieważ odeśrodka Marca, zima jest, opłaca się zwyczajnie w tych czasach na kożuch dla cesarzowéj Maryi Teressy krajcar na milę jednę od podróżnych. Znowu ja pomyślałem: czyliż ja temu winien, że zimno? i czyli Marya Teressa nie ma z czego sobie kożucha sprawić, ażeby aż podróżnych w zimie także jadących obdzierała! Tak uważając ślady absolutnego panowania, znowu sobie słodziłem moje, chociaż w kłótliwym ale kraju wolnym, urodzenie.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiednia, do tego miasta tak żądanego odemnie, Puzyna z Kobylańskim zajechali prosto do Teresianum Collegium, gdzie młody Puzyna, w tym konwikcie miał się edukować. Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z Trynitarzem Niemcem spolszczałym, który miał ojca w Wiedniu, i kiedy proszony od niego, dałem mu na drobne jego potrzeby kilka czerwonych złotych, on mi napisał list do ojca swego mieszkajacego w Wiedniu, pod znakiem złotego Pelikana, na przedmieściu Józefstadt nazwaném, zapewniając, że pewno u ojca jego stancyę mieć będę. Z takim listem, przenocowawszy w Teresianum, nieumiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkadziesiąt, wyszedłem szukać w tém ogromném mieście przedmieścia Józef-Stadt, złotego Pelikana, i bildhauera czyli snycerza Szwarca nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem, a on gdy przeczytał, rzucił się na mnie spła-

kany starzec, i z czuciem największém powtarzając syna, o którym od kilku lat żadnéj nie miał wiadomości, ścisnął mnie serdecznie, i zaraz porządny alkierz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, i sprowadzenia się mojego, jakem to mógł wyrozumieć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak miłość syna, którego on dawno nie widział, zrobiła mi przyjaciela u ojca, którego nigdy nie znałem.

Do Wiednia przybyłem w roku 1769 w Marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozleglejsze a ludność do 300,000 mieszkańców mająca, w początkach bawiły mnie. Zaufany w mój mundur oficerski i w port d'épée, który nosiłem, a nauczony jeszcze w Polsce, że w takim ubiorze, choćby gdzie nieproszony na muzyki, które znaczniéjsi ludzie w tém mieście dają, wchodzic mogę, przechodząc raz blisko domu jakiegoś, i słysząc muzykę grającą, wszedłem do sali, gdzie światła wiele, obicie adamaszkowe czerwone, i gęste zwierciadła, dały mi do myślenia, że tam książe jakiś niemiecki mieszka. Przybiegła do mnie jakaś piękna dziewczyna, i mówiła do mnie coś po niemiecku, czegom nie zrozumiał prócz dwóch słów *essen* i *trinken* ukłoniłem się jéj tylko, domyślając się fałszywie, że mi w tym domu, jeść i pić czyli wieczerzę dać chciano. Kiedy w taniec kilka par poszło, zdziwiłem się, że jak mężczyźni tak i dziewczęta w zwyczajnym tam mieszczan ubiorze, co już dobrze znałem, tańcowały. Oświecił mnie w krótce jakiś koło mnie siedzący Niemiec a po łacinie cokolwiek umiejący, że to była austerya, gdzie pospólstwo przez cały tydzień prócz Piątku i Soboty bawi się. Tak ja najpierwéj, dla pokazania się między Niemcami, mego munduru złotéj chorągwi i port d'épée użyłem.

Po kilku niedzielach bawienia mego w Wiedniu, nadjechał tam ksiądz proboszcz kolegiaty wiślickiéj Strumiński, dobrze po niemiecku umiejący prałat, ale za granicą jak i ja niebywały. Z nim według afiszu, których tam po bramach pełno, poszliśmy na licytacyą sprzętów różnych. Wszedłszy do sali licytacyi, z ciężkością przecisnęliśmy się przez tłum pospólstwa i widząc tam Niemców po większéj części ubogich, nie zdjęliśmy w sali kapeluszów. Już do stolika przystąpiliśmy, za którym siedzący przedawacz zawołał: „Dwa kapelusze na sprzedaż!“ kiedy go pytano gdzieby były, pokazał je na głowach naszych i po niemiecku potém do nas rzecze, co mi potém mój prałat wytłómaczył: „że ta licytacya imieniem cesarza odbywa się i miejsce to powinno być szanowane.“ Tak ja znowu mój oficerski kapelusz upokorzony zdjąć musiałem, co mój prałat przedemną zrobił. Z tymże księdzem po kilku dniach poszliśmy na nieszpory do katedralnego kościoła Śgo Szczepana, na słuchanie tam najpiękniejszéj muzyki, siedzieliśmy u stallów kanonicznych przy wielkim ołtarzu i o różnych rzeczach rozmawialiśmy. W tém ku wielkiemu ołtarzowi i ku nam idzie jakiś, po wszystkich szwach sukni bogato galonowany Niemiec; stanąwszy przed nami, grzecznie nam się pokłonił i my powstawszy, obydwa grzeczniesmy mu się odkłonili; zaczął mówić do nas po niemiecku, a po skończonéj perorze ukłonił się odchodząc i my się wzajemnie ukłonili. — Wytłómaczył mi ksiądz prałat, że to był szwajcar kościelny arcybiskupa wiedeńskiego, który przestrzega gadających w kościele podczas nabożeństwa, ażeby drugich nie gorszyli — a czasem nieposłusznych i wyprowadza. Znowu ja z moim mundurem w oczach 2000 może ludzi będących w kościele upokorzony, a mój prałat bardziéj, bo szwajcar, jak księdzu, miał mu zapewne więcéj nagadać. — Tak płaciłem wstydem za nieznajomość kraju i zwyczajów jego, tak zapłaci i każdy przyjeżdżający do zagranicznego miasta, niemający nikogo, ktoby przestrzegał. Ale prócz szwajcara i sam

rozum powinien był przestrzegać, że w kościele gadać nie należy.

Że z przedmieścia Jozefsztadt daleko było do miasta, gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał rozstając się ze mną i najmniéj mnie dwa razy w tydzień nawiedzał. — Tak dobry uczynek mój dla syna we Lwowie, zrobił mi w ojcu prawdziwe przywiązanie. W mieście wygodniéj mieszkałem, u metra francuzkiego języka, tańczyć i nauk w uniwersytecie jakich tylko żądać mógłem zręczniéj uczyłem się. Najbardziéj mnie bawiła fizyka experymentalna, przez sławnego Franz Jezuitę dawana i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie Jakin profesora. Zgromadzenie na lekcyach bywało największe, z pierwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. — Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna experymentalna w Bürger-Szpital pod starcem profesorem Antonim Ham głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatr, hece, widowiska różne, licytacye różne i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały. Ale skwasiło wkrótce wszystkie te piękne rozrywki jakieś niszczenie ciała mego widoczne i mimo rady najsławniejszych w mieście doktorów v. Switena, Haena i Humelawra coraz w gorszym się stanie widziałem. — Byłem wszelako przez półtora roku bawienia mego w mieście chorym chodzącym i może więcéj rozrywki różne, niżeli doktory przy życiu mnie utrzymały. Co Środa bywałem na obiadach u księżnéj Lubomirskiéj, wojewodziny krakowskiéj, w Wiedniu od dawna mieszkającéj, téj kobiety prawdziwie najcnotliwszéj, powszechnie w mieście, począwszy od cesarzowéj Maryi Teressy, szacowanéj, a matki Polaków wszystkich, przejeżdżających albo bawiących w Wiedniu. Z wyjazdem wróciło mi zdrowie.

* * *

Na końcu dzierzaw moich w Galicyi Żabokruki trzymając, zdziwiłem się że chłopi tamtejsi mieli także

swoją mitologią, raz z jednym z nich saneczkami przejeżdżając o ćwierć mili od wsi, obaczywszy przy drodze kamień jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do dziesięciu mający, pytałem mego wieśniaka, coby znaczył ten kamień, a on mi odpowie: przed wiekami matka z córką pracowała na téj łące i kiedy matka najpilniéj robi, córka często sobie folgując, napominania matki nie słuchała; matka rozgniewana, przeklina ją ażeby się w kamień obróciła i oto, mówi daléj wieśniak, taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i tu przy drodze stoi. Nie śmiałem się z baśni téj błędnego wywodu, kiedy tak użyteczny cel miała. Ale nazajutrz gromady wieśniaków znowu o tenże słup pytając, najpierwsi starcy toż samo potwierdzili, jeden z nich tylko, chociaż był jeszcze młodszym, rzecze: ja temu panie nie wierzę, bo gdzieby dziewka tak gruba i tak wysoka była. Dobrowody, wioskę od Bielskiego arędując, miałem sąsiada w Monasterzyskach: starostę halickiege Potockiego, człowieka najpoczciwszego i żonę jego z książąt Lubomirskich; Witosławskich podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie; a najbliżéj stolnika Piaseckiego, rzadkiéj poczciwości człowieka; temu przed kilku latami pułkownik rosyjski idąc na Turczyna pod Chocim, a słysząc o cnocie jego, dał 3000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeliby na téj wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego odda jenerałowi jego, a drugą sobie weźmie; jeżeliby zaś z wojny wyszedł, tedy je odda całe pułkownikowi; trzy lata o pułkowniku nie było słychać, na koniec powrócił i Piasecki zupełne mu pieniądze, odkopawszy z ziemi, oddał. Poczciwy pułkownik, rozkochany w cnocie poczciwego Piaseckiego, czyni mu dar całéj połowy tychże pieniędzy swoich za wierne ich dochowanie, których tenże nie przyjmuje, mówiąc: że swojéj cnoty nie sprzedaje i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złotych niemiał majątku więcéj. Nie widziałem człowieka większą mają-

cego rezygnacyą na wolę Boską jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi; najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nic go prawie nie obchodziło, i zawsze go widziałem wesołego z tém swojém hasłem: „Bóg tak chciał.“ U żony jego, już jak on dobrze staréj, widziałem piękną małą szkatułkę jaszczurem obitą. z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą 4 butelki kryształowe i kieliszek takiż we środku, a pod wiekiem otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło; miała ten prezent (jak powiadała Piasecka) od pani swojéj Sieniawskiéj, u któréj za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jéjmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzałkę póty, póki się jéj czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. — Mój Piasecki jedynym był w naturalności w wszystkich swoich odpowiedziach: — już po zabraniu kordonu, na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mnie potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora; że tam chyba za meldowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokoje, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc Sarmatę z wąsami, a nie spodziewając się, iżby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał: jak tu wszedł, nieopowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem że tędy ludzie przechodzą i ja téż przeszedłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział: spytano znowu: czegoby żądał? że mnie szukał; sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzéj zbyć tego człowieka nie podług niemieckiéj etykiety.

Trafiło się, że u Witosławskiego podczaszego był w domu brat jego, oboźny koronny Witosławski, który zemną poznawszy się, wiele mi o nieznanéj odemnie

Warszawie, wiele o królu, a najwięcéj o domie księcia generała Czartoryskiego nagadał: jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem, ato zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą robót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą“ w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potém przez tegoż oboźnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznajomemu nieznajomy przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w téjże książce pod tytułem „Sumienie“ dedykowane były. Naruszewicza tak nieznałem jak i Czartoryskiego; pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potém w Warszawie poznałem się; z tak tkliwie opisanéj zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogoś może zabiłem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia inne może mieć powody. — Ale nieznałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślał w Galicyi.

Po niejakim czasie przesłania zabawek moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękować staroście kaniowskiemu Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych, zlewek sukcesyi na siebie spadłéj po Opalińskiéj, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. — Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną z domu Dąbrowską, skarbnikową halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u PP. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozwodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencyi zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego

obrządku; ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął: Dawniéj jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszyscy bezkarnie popełniając kryminały, czasem téż Potocki — Potocki ten przypominał sobie religią! — Sprowadził do Horodeńki, miasta swojego przy granicy wołoskiéj, księży misyonarzy, którym 30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął. Przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zabłockiego przystąpił. Zacny ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać niechciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia przed przeszłemi spowiedziami popełniał a poprawy żadnéj nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. — Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalać każe, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczciwi księża, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodeńki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzał przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcéj rozwalać zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadany i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął, 30,000 zł. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspaniały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwiastkowego przyczynił.

Kiedy książe Czartoryski do niego (jak się wyżéj wspomniało) z podziękowaniem przyjechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiéj pod Buczaczem w dobrach kiedyś swoich, a ztamtąd przyjechali obydwaj ci panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego na dwa dni. Nie wiedziałem o niczém w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczerzy czytając książkę,

wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec po francuzku ubrany. Był to Julian Niemcewicz z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniéj mnie poznać żądający, od Witosławskich o pół mili odemnie odległych przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześnie do sąsiada przyjechałem i znalazłem księcia jak dla wszystkich, tak i dla mnie najgrzeczniejszego. Co inszego spotkać mi się było z tyranem Potockim, starostą kaniowskim, który chociaż już nikomu strasznym być nie mógł (bo jak się powiedziało) i pod Niemcami szumieć nie można było, a nawet z dóbr się już wyzuł i spokojnie na dewocyi siedział w Poczajowie, ale wspomnienie na okrucieństwa jego dawniejsze, oczy jego nawet najdziksze, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły.

* * *

Wjechałem nakoniec w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P. jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem. Po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: waćpana Sielanki we Lwowie drukowane, dawniéj go nam zaleciły; kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany. — Kazano mi siedzieć i słuchałem tłómaczenia pięknéj ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłomaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego w krótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teressy Czartoryskiéj, z któréj okoliczności napisane wiersze moje, powszechnie podobały się, a najwięcéj zjednały mi łaski księżnéj, matki téj zmarłéj nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teresa przy kominku, zapaliły się jéj suknie, i mimo przytomnych

w pokoju wielu kobiet, (z których jedna z przestrachu zemdlała, insze zaś przytomność potraciły,) biegając, przelękniona, tém bardziéj jeszcze rozżarzała na sobie płomień; przygaszono nakoniec ogień na księżniczce, ale mniéj może z oparzelizny niżeli z przestrachu w malignę wpadłszy, po kilku dniach umarła. Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwacha, coby w mieście słychać było? a ten odpowiedział, że księżniczka jakaś Teressa Czartoryska spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek na dom jego trafił.

Książe generał podolski już był naznaczony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencyą wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzyć się Warszawie; z resztą co mi o niéj poczciwi ludzie Witosławski, oboźny koronny, i Borzęcki, marszałek dworu książęcego powiadali, potém przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale zarazem w czynnościach tak słaby, że sam sobie prawie nigdy nie wierzył, i dla tego radząc się drugich, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę gdzie żądał. — Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rządnie czyni; pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnymi nabyć można (i to by się bardziéj pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno) drugi sama natura daje, albo umyka. — Wolał często zniżyć się niżeli podnieść, ażeby się nie podał w niebezpieczeństwo, wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większéj liczbie fałszywych nie naraził. — Lubił pochlebców i pozbogacał pochlebiających w tenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma jego chodząc, próżno

się wsparcia spodziewał. — Jako to owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju Lachowskiego, kaznodzieję królewskiego potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał, biskupem i panem.

Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę. Rozpusta do tego stopnia przyszła, że w mieście tém (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcéj rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całéj. — Nawet już w zwyczaj między możniejszemi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby się, któraby strona rozwodzić chciała, to drugiej pewną summę płacić obowiązaną była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religią, i w kilka lat potém sam to słyszałem, jak u siostry swojéj Branickiéj, kasztelanowéj będąc, kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiadał: moja siostro, ja w pacierzu szczerze te słowa wymawiam i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju; pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa Boskie i ludzkie gotowi byli podeptać; zabójstwo, krzywoprzysięztwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich ważone, a takiemi drogami idąc, stali się potém nieszczęśliwymi, bo szczęśliwymi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydlęciem kładli, mieszczanina w ostatniéj pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica tylko dla tego, że ubogi, upodlili — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy, upadam do nóg, całuje nogi pańskie, niegodny podnóżek i tym podobne i może nieznane w całéj Europie. Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia, wyjąć potrzeba niektórych wartych lepszego wieku narodu, takim był znany ze wszech miar August książe Czarto-

ryski, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpionéj śmierci, dobrze Sztąkelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego niema teraz przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego Lubomirski, marszałek wielki Koronny, takim syn Adam Czartoryski G. Z. P., Stanisław Małachowski, referendarz Koronny; Ignacy Potocki, marszałek litewski; Czapski, wojewoda chełmiński; Radziwiłł kasztelan wileński i kilku innych.

Księża po większéj części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony. Wyjąć wszelako z pomiedzy liczby ich należy: Szembeka, płockiego; Okęckiego, poznańskiego; Cieciszewskiego, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoją, nie przyczynili się. Szlachta po województwach na zawołanie magnatów przedażna, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Stąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się i ten, który ustawicznie i upadał do nóg i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nieszczęśliwéj ojczyznie swojéj.

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości, i chociaż król wszelkiemi sposobami temu zapobiegać chciał, szlachcic wszelkiemi sposobami przeszkadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojéj, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się i ta miłość dobra własnego, sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła.

* * *

Powróciwszy z kadencyi Wileńskiéj do Warszawy, wydałem pismo *o wymowie w prozie albo w wierszu*, które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisyi edu-

kacyi, ażeby według prawideł, w témże mojem piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę dla szkół narodowych; przyjąłem z ukontentowaniem, pochlebne to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisząc to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz *Grzegorz Piramowicz*, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisania o wymowie, gdyż on od kilku lat zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do téj pracy wezwania, kiedy i insi za nim do mnie interessowali się. Czekano wydania książki Piramowicza, więcéj dwóch lat, a potém wyszła w samych cytacyach autorów, jak dawnych tak i późniejszych, bez wytknięcia w niéj uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziéj, te i tym podobne pożyteczne wyłuszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była dużą. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi darował myśl moją, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało ażeby była krótsza.

W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiéj z *Kniaźninem*, który dawniéj był sekretarzem u księcia, a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale czy to szkólnéj przysady pełne, nie wszystkim podobać sie mogły; poprzyjaźniwszy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcéj prostéj a tkliwéj natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniéj przed Rzymianami Grecy, albo za czasów starych Rzymian tkliwy Wirgili albo Horacyusz napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojéj Kniaźnin i tym sposobem napisał: „*Żale Orfeusza nad Eurydyką*,“ które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyćby można.

Bywał często w domu książąt *Józef Szymanowski*, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego i pięknych jego poezyi, zwłaszcza kościół Wenery w Knidos i mnie z nim poprzyjaźnił. Nikt nadto nie pochwalił grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutéj Warszawie obyczajów jego nieskażonych.

Nie samą moją prawdą powiedzianą czasem narażenie się książęciu Czartoryskiemu, ale i cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podżegania osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył, że książę wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszeć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między inszymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkiem, który chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował mi pensyą, a po skończonym 4roletnim wojażu wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intraty czyniącą, dożywociem zapisywał; żal mnie objął, że stracę ulubionego pana księcia Czartoryskiego i odmówiłem Sanguszkowi.

Książę Czartoryski zdawał się być kontent, kiedym mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potém książę proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniéj prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowy marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniéj zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał; ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdym się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań nazywano, która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszém każdego w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powie: to dziecię sierotą, bez ojca jest, matka jego nie wiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie

weźmiesz, przed Bogiem na ciebie skarzyć się będę. Wzruszony łzami téj najznaczniejszéj pani, przyjąłem obowiązek zatrudnienia się, formowaniem i dozorem nad *edukacyą Romana Sanguszki*, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całéj Warszawie chłopca, przy znacznéj pensyi rocznéj, a po 9ciu leciech, wsi do 10 tysięcy czyniącéj dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do staréj Sanguszkowéj pałacu, chcąc pożegnać księcia, w pokoju go nie zastawszy, że był u księżnéj żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niéj nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układów dworu tego, i księżną w łóżku jeszcze leżącą, a księcia przy niéj kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chleb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu razpłakawszy się, powiedziałem, nietylko uczynkiem, ale myślą, nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojéj śmierci żyć chciałem. Rzucił się książe do mnie i z uczuciem rzecze: toż u mnie zostań, z całego serca proszę. Odpowiedziałem, że dałem już słowo Sanguszkowéj i zapłakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem Kazimierzem Sapiechą jen. lit.; król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowéj i wkrótce potém przeprowadziliśmy się do konwiktu warszawskiego księży Pijarów, gdzie z inszymi kawalerami pod rektorstwem najzacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a ja tylko obyczajów i jego doglądał; po kilku dniach bawienia mojego u Pijarów, musiałem pokochać się i przywiązać.

* * *

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzy-letniem bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy

do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki, i widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem między panami żałował wraz ze mną czasu i pieniędzy straconych, bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nietylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blisko 80 dukatów straciłem, na porządniejsze we wielkim świecie utrzymywanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa, Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. — Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą poczciwą kobietą, jéj stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazyą wierszów, które napisałem pod tytułem *„Powrót z Warszawy na wieś“*; a te na niemiecki język wierszami przetłumaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego u Pijarów stanąłem, który mnie ze łzami radości witał. Najpierw poszedłem do Czartoryskiego który mię dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich „Powrót z Warszawy na wieś“ opisał, odpowiedziałem: alboż to książę do siebie bierze te wiersze? po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie; już on czytał dawniéj moje wiersze Powrót z Warszawy na wieś, i tak mnie obaczywszy ze łzami radośnemi wita: cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał?“ odpowiedziałem: „właśnie to samo, że nic nie zrobiła.“ Król zagadał mnie czém inszém, zamawiając sobie że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu śreber z kościołów, jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historyi galicyjskiéj;

ledwiem zaczął mówić o zabieraniu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczynowi i dodawszy: „niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko ludzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze,“ to kiedym wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniéj, w 3 minutach sam się zostałem. — Wtenczas jak obudzony, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich.

Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił jak myślę, a potém bawienie się moje zawsze między równymi, między którymi przywykły mówić co myślę, były przyczyną téj mojéj niedworności, która mi u Czartoryskiego będąc, często szkodziła. Ale po niejakim czasie król trafił na surowszego jeszcze weredyka; powracając z przechadzki, wstąpił do kościoła Bernardynów na Pradze, w którym to kościele podług rozmiaru w Lorecie uczynionego, był wymurowany domek Najśw. Panny Loretańskiéj, wielu pobożnych srebrnemi wotami wzbogacony. Król wszedłszy do tego domku, kiedy wszystkie ściany gołe zastał, rzecze przytomnym Bernardynom: „a moi ojcowie słyszałem, że tu wiele sreber mieliście, a teraz żadnego wotum nie widzę?“ nie przyszło księdzu gwardyanowi odpowiedzieć, bo się skwapliwie braciszek, przed nim wyrwał: „niemasz sreber, nie było i nie będzie!“ Król rozśmiał się i odjechał. Ale kiedy gwardyan zaczął fukać braciszka, o porywczość w głupiéj odpowiedzi do króla, braciszek mu rzecze: „kiedym źle zrobił, żem królowi tak odpowiedział, to pójdę, mu powiem, gdzieśmy srebra pochowali.

* * *

W tych latach zaczął się sejm 3 Maja, nazwany od konstytucyi tegoż sejmu kilkuletniego w tym dniu pod-

pisanéj polskiego na potém i tronu dziedziczném ogłoszenia. — Ponieważ wiele o tym sejmie dokładnych wiadomości z druku już powychodziło, nic o nim pisać nie będę, to tylko namienię, do czego ja chociaż nie byłem posłem, wchodziłem skrycie, bo za zepsuciem się wszystkiego w ojczyźnie, ubogiemu o tém radzić głośno i mówić wolno było, i tylko magnaci decydować mogli. Decydowali zaś tak, jak swój pożytek widzieli, a ubogi miany był powszechnie za niewiadomego rzeczy i pogardy godnego. Widząc ja przez nieszczęśliwe elekcye do zguby coraz bliżéj Polskę przychodzącą, bo król elekcyjny nie myślił nadal o dobro narodu naszego, gdyż kiedy dzieci dziedziczyć po nim nie miały, cóż on miał dbać o to, co się po jego śmierci z Polską dziać będzie; magnaty zaś nasze umyślnie elekcye wolne królów utrzymywali, że może z nich który, albo przynajmniéj z dzieci jego tym królem będzie obranym, a przynajmniej jaki z pretendentów obcych do korony bogato go za porobione przez jego partye obdarzy.

Magnaty nasze tę wolną elekcyą zrzenicą wolności nazywali. Zważyszy ja to, wszystko na pół roku jeszcze przed sejmem 3 Maja, widząc, że Stanisław Małachowski, referendarz koronny, ten najpoczciwszy z pomiędzy magnatów już był wcześnie marszałkiem tego sejmu naznaczony, a książe Adam Czartoryski, także pan dobrze o narodzie myślący, oświadczył się, że chce być posłem ze swojego województwa lubelskiego; przyszło mi na myśl napisania 4 listów; do Małachowskiego, do Czartoryskiego, do Radziwiłła Karóla, wdy. wil.; znaczącego w narodzie i słynącego obywatelstwem i do Szczęsnego Potockiego, wdy. ruskiego, który bogactwem, kredytem natenczas w kraju i obywatelstwem był znakomity, bo darował R. P. harmat pięknych spiżowych 24, pułk swoim kosztem własnym do swojéj śmierci utrzymywany i wtenczas sam też go między inszémi w piśmie mojém: „*o szczęściu człowieka w towarzystwie*“ pochwaliłem; ale nietrzeba widzę nikogo chwalić, póki życia dobrze nie skończy. Listów

tych moich 4 jednakie było brzmienie, że ponieważ sejm przyszły czyni nadzieję sejmu obywatelskiego niechby się uśpiony naród obudził, niechaj osłabiające nas coraz bardziéj elekcye królów porzucił, i tron napotém dziedziczny naznaczył, a ponieważ sami nie jesteśmy w stanie oparcia się trzem, które nas rozbierały mocarstwom, niechby król pruski (Wilhelm natenczas panujący) ogłoszonym był przez konstytucyą, królem dziedzicznym polskim po śmierci Poniatowskiego, a tak on swój zabór Polszcze pewnie powróci, a od dwóch pozostałych potencyi, zabory odebrać silnie pomoże. Co mi tylko wymowa i prawdziwe uczucie ucisków natenczas poszepnąć mogło, wszystko to w tych listach wyraziwszy, nie podpisawszy się kto byłem, tylko jak obywatel, wspólną ze wszystkimi nędzę i upodlenie cierpiący, listy 4 wspomniane w swoje miejsca na pocztę porozsyłałem i miałem potém wiadomość, że wszystkie poodchodziły. Wda. wil. Radziwiłł najżywiéj list do siebie pisany poczuwszy, pojechał nawet umyślnie do króla pruskiego, i namawiał go do przyjęcia korony polskiéj. To tedy niewiadomą inszym przyczyną było, dla czego natenczas król pruski z taką gorliwością do sejmu 3 Maja przykładał się, dla czego przez posła swojego Lukiezyniego alians zrobił z Polakami, wojska 20,000 na potrzebę narodu naszego dać obiecał tymczasem, a w potrzebie większéj, bronienia nas całą potęgą swoją nadzieję zrobił. W czasie sejmu tego będąc przytomny w Warszawie, jużem się w cichości cieszył pomyślnym skutkiem listów moich, kiedy wszyscy prawie posłowie o ustanowienie dziedzictwa tronu głośno gadali. Ale magnaci, kiedy to na obywatelach polskich nie mogli przynajmiéj odmienić, przyszłego króla chcieli, i bojąc się, jak sam byłem przytomny gadaniom ich jak powiadali wolności narodowéj, ażeby mocny u siebie Prusak jéj nie przygniótł, elektora Saskiego po śmierci Poniatowskiego królem naznaczyć woleli, z którym (myśleli magnaci) jak z słabym łatwiéjby sobie począć mogli i intrygi robić po dawnemu.

Przyszedł nakoniec czas ogłoszenia konstytucyi 3 Maja, w któréj kiedy Lukiczyni elektora saskiego następcą po Poniatowskim usłyszał, głośno odezwał się i oświadczył, że tylko do obwołania konstytucyi 3 Maja trwał alians jego monarchii z Polakami, króla swojego widząc od tronu usunionym.

Kiedy to w Polsce w czasie 3 Maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie, i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypomniałem, a on mi na to najpochlebniéj odpowie: honor w. pan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem. To królewskie oświadczenie chociaż mi niedało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się królowi przypomniałem, a on mi rzecze: krzywdy mi w. pan robisz tą prośbą swoją, ja bez przypomnienia o w. panu myśleć powinienem, i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić; słuchałem króla, nic mu o sobie niemówiąc i on téż nic o mnie nie mówił do śmierci swojéj, żeby mi datek jaki z siebie ofiarował, a wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotnie, królewszczyzny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich, wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie konstytucyi 3 Maja. Wszelako król, chcąc się niby uiścić z obietnicy swojéj wspierania mnie, najcięższym dla mnie uiścił się sposobem, kiedy się umówił z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego księcia Dominika Radziwiłła, Ordynata Nieświeża i Ołyki, ażebym ja przez 10 lat był jego rządcą edukacyi, i razem nauczycielem obyczajów. Płaca roczna przez opiekuna naznaczona mi była tysiąc dukatów a matka małoletniego potém obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie prócz tego po wyjściu z opieki podług prawa litewskiego za lat 10 tegóż dziecięcia, miał mi być dany dożywociem folwark jaki ordynacki. Wielkie to w prawdzie zyski, ale większa daleko także ofiara moja, bo

wolności przez lat dziesięć utracenie, a jeszcze mnie już wtenczas więcéj lat 50 mającemu. Wymawiałem się z początku od tak ciężkich obowiązków, wspomniawszy, jak żadnéj godziny wolnéj dla siebie mieć niemógłem, chcąc się poczciwie sprawić, i jak dawniéj trochę u księcia Romana Sanguszki, w takimże będąc obowiązku przez rok jeden, życia tylko ledwie niestraciłem ze zgryzoty. Dobrze to dawni powiedzieli: „kogo Bogowie nienawidzą, tego dozórcą małoletnich zrobili;“ bo jakże dziecię z pod oka swojego, choćby na czas najkrótszy wypuścić można, kiedy to, co przez pół roku wmawiając w niego cnoty pracowałeś, jedna godzina, w któréj by się dziecko opuszczone od dozórcy z służebnym jakim nieobyczajnym zdobywszy, zupełnie zniszczyćby mogła. Wymawiałem się tedy ile możności, ale nakoniec zwyciężony naleganiem króla i usilnemi prośbami zacnego ze wszech miar opiekuna, przyjąłem najprzykszejszy dla mnie według sposobu myślenia mojego ten obowiązek niewoli dziesięcioletniéj. Dał mi znać potém do Suchodoliny książe opiekun przyjechawszy sam do Zabłudowa, gdzie matka z małoletniém dziecięciem mieszkała; tam gdy przybyłem, najlepiéj przyjęty od cnotliwego opiekuna, ale zimne od nadto swe dziecię pieszczącéj matki, zaraz po obiedzie wyjechaliśmy do bliskiéj sąsiadki na kawę: opiekun, księżna, małoletni Dominik i ja. Wąską drużyną kawalkata księżnéj, kilkunastu służalców przed naszą landarą otwartą jadąc, i widząc ja z daleka chłopca naprzeciwko jadącego wóz swój worami ciężkiemi naładowany mającego, kiedy mu dworzanie ustąpić z drogi kazali, a on ustąpić z drogi nie mógł, dla kolei, w któréj głęboko koła zapadłe były, kilka pacholików dworzańskich z konia z siadłszy, wóz ze wszystkiém na bok wywrócili dla przejazdu wolnego książętom; ja to z daleka widząc, kiedy się kareta przybliżała do wywróconego z worami wozu, zawołałem na stangreta, ażeby stanął z landarą, co gdy tak się stało, wtenczas mówię do małego księcia: oto Dominisiu ludzie wasi wywrócili z wozem i z temi worami tego wieśniaka ubo-

giego, a któż go tu wśród pola poratuje, ażeby te ciężkie wory nazad do woza powkładał, ludzie nasi przyczyną są umartwienia jego niewinnego, niechże ci ludzie nazad mu, jak wywrócili, na wóz te wory powkładają; a tak, czyż nie lepiéj, iż cię będzie błogosławił, aniżeli przeklinał ten biedny chłopek, i twoi służący będą się strzegli krzywdy na potém nikomu nie robić. Pierwsza to była lekcya obyczajności w tym dniu pierwszym przybycia mego do Żabłudowa. — Poczciwe serce mego opiekuna wzruszyło się i zapłakał, kiedy tymczasem służący za rozkazem małoletniego wory chłopu sami na wóz poukładali, a dziecko pojęło dobrze lekcyą, bo torbę jeszcze z chlebem wieśniaka na boku pozostałą obaczywszy, służalcom swoim podjąć i na wóz włożyć rozkazało. Złe domowe przykłady, które długo byłoby wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że nie mogłem tak z dziecięciem postępować jak chciałem i należało, i czucie moje nad tém tak się pomnożyło, że przez rok bawienia mojego w Zabłudowie 5 razy przed matką małoletniego płakałem, ażeby mi nie broniła według mojego sposobu myślenia rządzenia dziecięciem jéj; ale kiedy nadaremne były łzy moje, namawiałem ją przynajmniéj, ażeby na aniwersarz 3 Maja konstytucyi narodowéj pojechała do Warszawy, gdzie dziecię i świat razem obaczy, (i jak mówiłem) kiedy królowi opowiem wszystko, pewnie ją król namówi, że z dziecięciem dla jego edukacyi, mieszkając w stolicy, razem się tam i złych domowych przykładów uchronimy.

Wyjechaliśmy przecież z Zabłudowa do Warszawy, a tam ten dobry mój projekt nie udał się, i kiedy ani król, ani inni znaczniejsi namówić księżnéj nie mogli do bawienia dłużéj nad dwie niedziele w Warszawie, powróciliśmy nazad do Zabłudowa. Tymczasem nieprzyjaciele konstytucyi, samiż wyrodni Polacy pobudzili Moskwę przeciwko patryotom i wojna w kraju zaczęła się. Znowu ja moją księżnę do Warszawy namawiam a powodem mi było niby niebezpieczeństwo saméjże księżnéj i dziecięcia, dla wojsk nieprzyjacielskich w blis-

kości; przecież dała się namówić, że po półroku upłynionym znowu powróciliśmy do Warszawy, ale zaraz po pierwszym noclegu z domu wyjechawszy, tak się uparła powrócić do Zabłudowa, że wszystkie moje przekładania były nadaremne i powróciła jak żądała do domu nazad, a ja podziękowawszy jéj po roku smutnego życia mego, porzuciwszy okrutny obowiązek i pieniądze, nawet mi naznaczone od opiekuna, wyjechałem z noclegu tego do Warszawy, gdzie król i opiekun, jakem im wszystko opowiedział to moje porzucenie małoletniego, uznali za niewinne. Pieniądze zaś mi należące za rok ten męki mojéj, kiedy opiekun, książe Maciéj Radziwiłł był odmieniony, a opieka małoletniego przysądzoną, wojewodzie wileńskiemu, zostały w skarbie Radziwiłłów przez lat 13 opieki księcia wojewody, dopiero kiedy małoletni doszedłszy lat według prawa litewskiego zaczął rządzić sam dobrami, oddał mi należytość za mój rok pracowity 1000 dukatów, ale 500 dukatów od matki małoletniego mi obiecane przepadły. Jakże to małe było nieszczęście moje z porównaniem z nieszczęściami, które czułem ku ojczyźnie mojéj. W oczach to moich było, jak ona od zdrajców Polaków naszych cierpiała, i wydam też ich po imionach, bo kiedy im najgorzéj czynić milionom ludzi wolno było, zacóżby mi pisać o tém nie wolno? Nawet dla poskromienia na potém podobnych winowajców, których potomność przeklinać będzie, pisać koniecznie należy.

Szczęsny Potocki, wda ruski, i *Seweryn Rzewuski*, hetman polny koronny, pierwszy i drugi kiedyś obywatele najlepsi, bo pominąwszy pierwszego, o którym wspomniałem wyżéj, Rzewuski z ojcem swoim Wacławem, hetmanem koronnym, najpoczciwszym obywatelem, na dobrowolne więzienie, chcąc tém ulżyć ojcu nieszczęśliwemu, poszedł do Moskwy, ale sprzykrzyło mu się potém temu wyrodnemu synowi poczciwą drogą chodzić, i poszedł tędy, gdzie wszystkich idących przeklinają. Ci tedy dwaj magnaci po obwołaniu konstytucyi 3 Maja uważając w pysze swojéj i że dziedzictwem

korony polskiéj dworowi saskiemu oddaném im samym a może ich potomkowi, któremu droga do tronu posunienia się, na wieki zamkniętą była, kiedy elekcye królów usunięto; miotani ambicyą, że mieszczanom nawet radzenia o narodzie w czasie sejmów przez wspomnioną konstytucyą moc była dana, a z tego powodu i książę *Sapiecha*, kanclerz litewski, do tych dwóch trzeci z czasem przystąpił, ułożyli sobie *targowicką* podnieść konfederacyą, któraby ustawy sejmu 3 Maja i tronu dziedzicznego obaliła. Jakoż to pewna jest, że Szczęsny Potocki, widząc, jako był nienawistny dworowi petersburskiemu na tronie siedzący Poniatowski, łącząc się przez konfederacye z Moskalami, spodziewał się, że detronizawszy Stanisława Augusta, sam po nim na tron polski nastąpi, na czém się i sam oszukał i naród zgubił.

Konstytucya sejmowa ogłoszona 3 Maja 1792 r., a dnia 9 tegóż roku w Maju dnia pamiętnego w potomności dla Polaków, bo targowicka konfederacya przyczyną była zupełnego upadku Polski, wyszedł uniwersał do narodu o obranym marszałku konfederacyi koronnéj w Targowicy na Ukrainie Szczęsnym Potockim.

Wkrótce w tejże Targowicy wyszedł uniwersał do duchownych, ażeby oświecali lud o zbawiennych zamiarach konfederacyi targowickiéj, a 20 Junii uniwersał do narodu, powracający mu rzpltą, którą sejm 3 Maja, jeszcze trwający, a który raczéj spiskiem nazwaćby się powinien, w monarchią przeistoczył. Potém nastąpił uniwersał, niszczący patenta i znak od despotycznego rządu warszawskiego spisku dawane żołnierzom, a województwo podolskie w liście swoim do Szczęsnego nazywa go twórcą zbawienia i nowéj szczęśliwości rzpltéj. W tém imperatorowa przez list swój barona Büchlera do sprawowania interesów przy konfederacyi mianowała, aby był tłumaczem dawnych przyjacielskich myśli imperatorowéj dla Polski. Konfederacya zaś do Warszawy dla odebrania przysięgi od

gwardyów i jakichkolwiek bądź tamże znajdujących się żołnierzy, równie i odróżnych tamże magistratur.

W Sierpniu gromi konfederacya Bazylianów włodzimirskich o przywiązanie ich do konstytucyi 3 Maja i wskazuje, ażeby *ad loci ordinarium* na karę odesłani byli.

Zakazuje potém konfederacya przez uniwersał noszenia medalów i krzyżyków od rządu despotycznego 3 Maja wojsku rozdanych, a nieposłusznym surową karą grozi. W Wrześniu delegowani od konfederacyi do Petersburga oświadczyli imperatorowéj, że w najdalszych potomkach wdzięczność dla niéj Polacy mieć będą. Oświadczając nadto, że przed całym światem ogłaszać będą Polacy, że ich ratowała Katarzyna. Posłowi francuzkiemu Dessorches powiedzieć kazano od konfederacyi, że już nie jest posłem od rewolucyonistów francuzkich i naszego posła Oraczewskiego z Francyi odwołano, jakož temu Dessorches w dniach 10 z Warszawy wyjechać kazano.

Po takich oświadczonych łaskach imperatorowéj przyszedł od niéj dyspartyment do konfederacyi targowickiéj, ażeby dla wojsk imperatorowéj w Polsce i Litwie będąych, dostarczano na 8 miesięcy furażu: mąki żytniéj 500,000 korcy, krup około 50,000 korcy, owsa do miliona korcy i siana około dwóch milionów cetnarów, co nie zapłacono.

Oświadczyła konfederacya przez swój uniwersał, że ktoby od dnia 16 Listopada za dwa miesiące najdaléj nie uczynił akcesu do konfederacyi targowickiéj, miał być uznany za niezdatnego do wszelkich na potém urzędów.

W tém przyszła wiadomość, że wojska pruskie do Polski weszły, z tego chociaż już można było domyślać się o intencyach dla Polski sąsiadów naszych, przecie konfederacya targowicka, jak gdyby w najlepsze czasy dnia 5 Grudnia ustanowiła medal dla obrońców rzeczypospolitéj z napisem: „Civibus quorum pietas conjuratione die 3 Maj 1792 oblitam et diletam libertatem

Polonam tueri conabatur; z drugiéj strony: „Decreto Reipublicae nexa confederationis junctae; w koło: Gratitudo civibus exemplum posteritati.“ Ustanowiła ta konfederacya także przysięgę professorom szkoły kadetów, że nic czynić nie będą, coby było przeciwko religii i rządowi teraźniejszemu krajowemu, nic uczniom nie wspomną, ani o rozszerzeniu władzy królów, ani o sukcessyi tronu i monarchii.

W Styczniu wyszła 1793 deklaracya pana Buchholza, posła pruskiego, że bojąc się Jakobinów w Polsce, król pruski wprowadza wojska swoje dla poskromienia onych.

Odpowiedziała konfederacya, że o żadnych Jakóbinach nie wie, że ma i swoje wojsko dla poskromienia ich, gdyby byli, i prosi, ażeby się Prusacy do kraju swego usunęli, a Prusacy tymczasem Toruń gwałtem odebrali. Kiedy Prusak wchodził w kraj nasz dla zaboru, nasze małe korpusy wszędzie wojsku jego ustępowały, jeden Dąbrowski wice-brygadyer, (który potem w wojsku francuzkiém na taką sławę i stopnie zasłużył) oparł się mężnie w Gnieźnie z dwoma swemi szwadronami dwa razy większéj sile nieprzyjaciela, i aż za rozkazem wyższéj swójéj kommendy, ustąpił.

W tém wyszedł uniwersał konfederacyi do narodu na pospolite ruszenie, ażeby się mieli w gotowości, ale w drogę aż za ostatnim rozkazem wyruszyć mają.

Wieść się też rozchodzić zaczęła, że Moskwa chce dezarmować wszystkie wojsko polskie i o to nota podana do Sywersa, posła moskiewskiego, który przez notę odpowiedział, że niepodoba się imperatorowéj pospolite ruszenie nakazane, oświadczając, że imperatorowa każe rozgramiać wszystkie kupy zgromadzające się.

Król przystąpił do konfederacyi targowickiéj, mimo najusilniejsze prośby poczciwych obywatelów, a między innymi Małachowskiego, referendarza, maszałka sejmu 3. Maja, który kiedy żadnym sposobem od tego przedsięwzięcia odwieść go nie mógł, oświadcza mu, ażeby przed przemocą moskiewską do drugiéj stolicy swojej do Krakowa z sejmem usunął się, a jeżeliby i tam ci-

śnieni od Moskwy byli, która mimo pamiętnego oporu walecznego Kościuszki, wojsk naszych natenczas jenerała, już się natenczas ku Warszawie zbliżała, tedy w témże Krakowie przez Wisłę w Kordon austryjacki przeprawić się radził, a z tamtąd dopiero wysłać posłów do cesarza niemieckiego, prosząc o wdanie się do Katarzyny moskiewskiéj: w czemeśmy téj monarhini zawinili, prócz téj poczciwéj przyczyny, że sejmem 3. Maja porządek jakiś w kraju zrobić chcieliśmy i kiedy 3 potencye, związawszy się w téj porze przeciwko Francuzom, mocą prawa zgwałconego na królu ich ściętym przez kata, za cóż tu Moskwa w tym samym czasie niewinnego króla prześladując, z kraju go nawet swego wypędza. Jeżelibyś N. P., mówił daléj królowi Małachowski, (jak mi to sam potém powiadał) na tę podróż do Krakowa pieniędzy niemiał, dam ci swoje 30,000 dukatów, które mam w domu, a na 70,000 znajdę dziś kredyt u bankierów, a tak przyjmij 100,000 dukatów od obywatela, który i ciebie i naród ocalić pragnie Ale ani wszystkie przekładania jego, ani łzy naszych poczciwych obywatelów nie pomogły. Przemogła intryga Prymasa, brata królewskiego, a między inszymi i Chreptowicza, kanclerza litewskiego, pensyonowanych od Moskwy. I zgodne to było z charakterem króla, najłatwiéj odmieniającym się; z duchem niewojennym i lubiącym spokojność, choćby to go najdrożéj kosztowało. Tak zrobił przed rokiem: wybrał się ze wszystkiem do obozu na Pradze stojącego, rozesłał uniwersały po koronie i Litwie z wyrazem, że osobiście stawi się w wojsku, zjadł obiad ten bohater na Pradze z Generałami naszymi, a na noc do Warszawy powrócił, zkąd się potém nie wyruszył.

Na tém przystąpieniu królewskiém do konfederacyi targowickiéj, naród stracił prawdziwą szczęśliwość, a Szczęsny Potocki urojoną: bo myśląc, że po odrzuceniu obrzydzonego od Katarzyny Poniatowskiego, on będzie królem polskim, o czem już i wiele przyjaciół moskiewskich myślało, a między innymi Branicki, het. ko-

ronny, publicznie u stołu Kochanowskiego, generała komendanta przeciwko Polakom wojsk rossyjskich, pił zdrowie: Najjaśniejszego Szczęsnego!

Potocki, mówię, na tém przystąpieniu króla do konfederacyi, najwięcéj stracił, bo tém samem już król z Moskwą pojednał się, a jemu zupełnie nadzieja polskiego tronu upadła.

Żona Potockiego, Mniszkówna, która z nim dawniéj ozięble żyła, a nawet często z niego szydzić śmiała, kiedy im nadzieja błysnęła tronu, pogodziła się zupełnie z mężem, górnémi równie z nim myślami upojona. Była natenczas w Wiedniu u księcia Lichtensteina na balu, kiedy tam wiadomość przyszła o przystąpieniu królewskiém do konfederacyi targowickiéj. Francuz, przytomny także na tym balu, kiedy się już goście późnym wieczorem rozjeżdżali, rzekł do pani Potockiéj: „dobranoc mościa pani exkrólowa!“ To prawda, że gdyby był Poniatowski do konfederacyi targowickiéj nie przystępował, Rossyanie dowiedziawszy się, iż chłopów polskich obruszono, jakoby im schyzmę wprowadzać chciała Katarzyna, a ci z kosami i siekierami gromadnie (zwłaszcza mazury i krakowiacy) iść chcieli na Rossyanów, broniąc wiary katolickiéj, dowiedziawszy się w Petersburgu, że król uniwersałami swojemi szlachtę w narodzie do obrony ojczyzny pobudził, że rzucając domy i wioski swoje, z gotowizną pieniężną jaką mieć mogli, ze wszech stron ku Warszawie ciągnęli, obawiając się złego końca Katarzyna, generałowi swojemu przeciw Polakom Kochanowskiemu, traktatem z naszymi tę wojnę zakończyć kazała, gdyby był tymczasem król niewieściuch do konfederacyi targowickiéj nie przystąpił.

Dnia 7 Marca 1793 roku, napisana instrukcya Potockiemu, marszałkowi konfederacyi, do Petersburga jadącemu, ażeby tam mówił o złączeniu najściślejszém Polski z Rossyą, i razem żeby doniósł, że naród poprzysiągł w konfederacyi bronić całość granic, czynił zaś to na fundamencie obietnicy imperatorowéj w po-

czątkach konfederacyi, że miała całość Polski granic tymczasowych utrzymać, co nawet królowi, kiedy przystąpił do konfederacyi, obiecała; do tego konfederaci targowiccy za wiadomością jéj nawet przysięgali na te konfederacye przy swobodach narodu i całości granic polskich, bo taka jéj na to była deklaracya. Pod niebytność Potockiego, marszałka, zastępcą jego obrany Antoni Puławski, marszałek konfederacyi województwa wołyńskiego. Za jego zastępstwa d. 9 Kwietnia przyszła deklaracya imperatorowéj przez Sywersa, posła jéj w Warszawie konfederacyi oddana, o podziele polskiego kraju i o potrzebie zwołania nowego sejmu w Polsce, przez któryby Polska trzem potencyom podzieloną była, co sejm przyszły potwierdzić miał. Sejm grodzieński zaczęty na wiosnę r. 1793, był jeden z najburzliwszych dla pomięszanych wielu poczciwych posłów z zdrajcami ojczyzny. Ambassador rossyjski Sywers, siedmiu gorliwych posłów w areszta żołnierzom rossyjskim pobrać kazał, których potém na czas jakiś za prośbą króla wypuścił, ale potém znowu ich pobrano i pod konwojem rossyjskim do swoich powiatów, zkąd byli posłami, odsyłano. I kiedy król, jak inni poczciwi posłowie, zdawał się w początkach być przeciwnym nowemu zaborowi Polski, jako niezgadzającemu się z traktatem 1773 r., którym trzy dwory zabezpieczały natenczas całość kraju Polsce pozostałego, przez swoją gwarancyą, uczyniono to na postrach drugim (co pewnie było tajemnie z królem umówiono), dobra królewskie Moskwa zasekwestrowała, toż uczyniwszy z marszałkiem litewskim, Tyszkiewiczem. Kiedy posłowie Sywersowi wspomnieli, że imperatorowa konfederacyi nawet targowickiéj, obiecała całość granic Polski, on na to odpowiedział: że myślała imperatorowa o tych granicach, które teraz po tym zaborze naznaczą się. Na tym to sejmie chciała Moskwa, ażebyśmy się do państwa rossyjskiego wcielili, a to na jedno wychodziło, co się zrobić poddanymi rossyjskimi. Tenże Sywers oświadczył sejmowi, że do wszystkich posłów

przeciwnych traktatowi podziału, poszle Moskalów do wsi ich na eksekucyą; codziennie zaś przed bramą zamku grodzieńskiego, gdzie się sejm odprawował, stał hauptwach z kilkuset żołnierzy rossyjskich z kilku armatami ku drzwiom zamkowym dla postrachu wyrychtowanemi. — Posłowie, którzy na tym sejmie grodzieńskim obywatelstwem swojém dystyngowali się, byli następujący: *Krasnodębski*, poseł litewski, który w mowie swojéj publicznie królowi wyrzucał, iż wojskom naszym pod komendą synowca swojego, Józefa Poniatowskiego będącym, umyślnie przed Moskwą umykać się kazał, chociaż (jak wiadomo wszystkim) my byli jéj zwyciężcami; *Karski*, poseł płocki, wyrzucał także wyraźnie niedbanie o ojczyznę i między inszemi wyrazami (co ja przytomnym będąc na sessyi sejmowéj, sam słyszałem) powiedział w mowie swojéj: stało się tak N. P., jakoś sam w początku panowania swego, będąc od przeciwnych sobie obywatelów rozgniewany, powiedział: „że choćby tyle Polski zostało, któréjbyś ziemię kapeluszem swoim przykryć mógł, utrzymasz się przy koronie.“ Król na to rozgniewany, z tronu zakrzyknął: „nieprawda.“ Wrzawa potém posłów z obydwóch stron wszczęta, z których,królewscy przyjaciele dopraszali się o sąd na Karskiego, jako występnego o obrażony majestat.

Po téj sessyi będąc u pani Krakowskiéj, siostry królewskiéj, kiedy tamże do niéj przyszedł z sessyi, i marszałek litewski, Tyszkiewicz, a ta mu z uczuciem wspomniała, (bo już jéj ktoś to doniósł) jak Karski publicznie królowi gadał, Tyszkiewicz weredyk na to odpowie: gdyby Karskiego przedemnie, jako przed marszałka litewskiego pozwano, jak chciano do moich sądów marszałkowskich pozwać, jabym go niemógłkarać, bom toż samo o królu, że miał to zapewne mówić, słyszał od nieboszczyka księcia marszałka korony Lubomirskiego, który jako poczciwy człowiek nie lubił zmyślać, a powiadał, że był przytém, kiedy się król rozgniewany z takim wyrazem wyrwał. Prócz tych dwóch

posłów wsławili się jeszcze obywatelstwem na tym sejmie *Skarzyński*, poseł łomżycki, *Szydłowski*, poseł płocki, *Mikorski*, poseł wyszogrodzki, *Ciemniewski*, poseł różański, *Aleksandrowicz*, poseł smoleński. Ci cnotliwi obywatele i wielu innych im podobnych przyszli na pokoje królewskie i widząc go skłonionego do podpisania zaboru kraju, a tym się najwięcéj składającego, że i dobra mu nawet tronu pokonfiskowano, a tak zkądby żyć miał nie ma, i jeszcze (jak mówił) mnie z wami razem Moskwa zabierze: „pójdziemy z tobą królu, odpowiedzieli poczciwi posłowie, w najdziksze kraje, będziemy jeszcze tam na ciebie zarabiać, ażebyś miał wyżywienie i wygodę jakąś, a nie czyń narodu twego nieszczęśliwym podpisaniem podziału kraju.“ Jakoż to pewna, że gdyby król był nieprzystąpił do podpisania traktatu podziałowego kraju, nigdyby był pewnie ten podział nie doszedł. Ale widać było wyraźnie, że byle spokojnie na reszcie kraju panował, nie dbał o tak wielką szkodę narodu. Miał dnia jednego dwie mowy długie na sessyi; w pierwszéj niby jest obojętnym na traktowanie z ambassadorem rossyjskim o podział kraju; radzi posłać do niego, ażeby zatrzymał się, niżeli poseł nasz od imperatorowej powróci; na co gdy ambassador nie pozwolił, drugą znowu miał dłuższą mowę, gdzie radzi przystąpić do traktowania podziału. Te dwie duże mowy, potém drukowane, w jednym dniu nie mogły być skomponowane, tak wytworne jak były, i widać, że dawniéj obydwie zrobione, i że w tym dniu na zrobienie drugiej czasu nawet nie miał król, a z tąd widać, że chciał podziału; tak się wcześnie z ambassadorem skrycie umówił. Które posądzenie potém się i potwierdziło: bo kiedy kraje królowi pruskiemu wyznaczono, a między niemi Gniezno, Poznań, te pierwsze siedziby przodków naszych, okrzyk powszechny posłów naszych, nawet przyjaciół rossyjskich zrobił się: jakim prawem Prusak dziedziny najdawniejsze Polaków zabierać miał? i kiedy nikt do podania do laski marszałkowskiéj projektu takiego nie

idzie, dwaj, *Podhorski* i *Miączyński*, poseł wołyński, projekt ustąpienia królowi pruskiemu kraju wspomnionego do laski marszałkowskiéj, jak zwyczaj, podali.

Marszałkiem tego okropnego sejmu był Stanisław Bieliński, tak przekupiony, jak i inni, i kiedy wołać zaczął: otóż są i projekta na wydział pruski od posłów podane, przystąpiwszy patryoci posłowie do stołu marszałkowskiego i obaczywszy, że te projekta podpisów nazwisk tych, którzy je podawali, nie miały, okrzyk znowu zrobił się: otoż zdrajcy wstydzili się nawet na swoich projektach podpisać, a tém samém jak też potrzeba według prawa nic nie są warte; marszałek sejmowy chciał dać pióro i kałamarz kolegom swoim do podpisania się; ale przeciwni posłowie poczciwi kałamarz i pióro pochowali, że nie było sposobu podpisania się. Wtenczas król na tronie siedzący, w oczach narodu, na co i ja patrzałem, a potém dla wstydu spuściłem na dół oczy, dobył z kieszeni ołówek i Miączyńskiemu z Podhorskim oddał, ażeby się na swoim podpisali projekcie: „Heu! regni rerumque oblite tuarum!“

Tak jest on to zapewne zrobił, zapomniawszy się, ale on to zrobił, co w duszy myślił, chcąc skończyć kłopoty, a nareszcie w kraju spokojnie siedzieć. Zapomniał się król, Polak nieobywatelski, bo w oczach narodu zgromadzonego nigdy tego zrobić nie powinien był. Stał się traktat tego drugiego, a okropniejszego nad pierwszy, podziału kraju polskiego podpisany, którym to grodzienskim traktatem zaborowym, więcéj Rossya, Prusak i Austrya wzięli ludności i mil kwadratowych kraju naszego, niżeli się reszty całéj Polski zostało. Zaraz po podpisaniu traktatu tego, ponieważ sejm ten był pod konfederacyą targowicką, Puławski, téjże konfederacyi zastępca marszałka, dał bal z tańcami w Grodnie na Worodnéj, gdzie miał tymczasem mieszkanie. O ścianę sali, gdzie całą noc tańczono, ja nocowałem; oni tam śpiewali i tańczyli, a ja to słysząc płakałem.

Po skończonym sejmie grodzieńskim ja nie mając

już domu inszego (bo klucz Suchodolina puszczony mi 6 letnim kontraktem od przyjaciela Badeniego, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła, subarendowałem na drugie triennium), sprowadziłem się do mojéj kolonii w brzeskiém województwie, przy lesie białowieskim sytuowanéj na którą to kolonię, czyli kawał ziemi pustéj z lasu wyrąbanego pozostałéj, około włók 20, na którą tenże poczciwy Badeni bez mojéj o to prośby, jeszcze w roku 1791 wyrobił mi przywiléj u króla: bo kiedy każdemu kto chciał (a odbierali tatarzy i żydzi nawet) pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie, taż kolonia do króla wtenczas polskiego, jaki natenczas będzie, powracała bez żadnéj nagrody za zabudowanie wszelkie i osadzenie wieśniaków, — przyjaciel Badeni jak się rzekło i dla mnie takiż przywiléj uzyskał, o czém król i zapomniał, bo zdziwił się, za dwa lata potém, kiedy mu w Grodnie po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii. — Pobudowawszy się w téjże kolonii, chociaż ubogo, ale wygodnie, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość, swoj mając kawałek chleba, po cudzych kątach nie poniewierać się. I nie mając majątku żadnego prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było uskutecznić bez żadnego poddanego wytrzebienie dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcéj 50 lat mający do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich, tyle wieku marnie przepędziwszy; zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem. — Najemnicy którzy przy mnie pracowali z tém większą robili mi ochotą, im szczerzéj i mnie też przy sobie pracującego widzieli; skutek téj pracy mojéj był najlepszy: bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniéj. Nie masz wstydu za robotę około roli co pierwszém człowieka jest powołaniem, i kiedy raz JW. sąsiad sześcią końmi i karetą przejeżdżał, a ja blisko publicznéj drogi

krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, niemniéj którzy przy mnie robili przestrzegli mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażebym roboty mojéj poprzestał, jam odpowiedział: że tym bardziéj robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny JW. i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż samo co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze: że piękniéj jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić. — W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do mnie do kolonii przyjaciel mój Badeni poczciwy, i kiedy mu o mojéj pracy powiadałem około roli, — ażeby mi jéj ulżył, wypuścił mi pańszczyznę, blisko mnie wsi ekonomicznéj Kletno nazwanéj, a tak przez ten rok do 7 włók gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze licznego, wytrzebiłem; wieśniaków do tego uboższych z bliskich kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło, i jak można na prędce za przyłożeniem się mojém pobudowało się, z umową 5cioletniéj wolności, po których upłynionych, dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli, albo czynsz od pół włoki swojéj siedziby złp. 60 na rok płacić. Tak już blisko wioskę mając, mieszkanie moje w kolonii nie zdawało mi się być dzikiém. Kiedym tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiedli, czytał, a w nich między inszemi było umieszczono, ażeby w przypadku jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć pobity oddać mu wzajemnie nie miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić, wtenczas dwór zawsze jednostajnie osądzi: że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu różgami, nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam rózgi bijącemu dawać będzie. Tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wiśniaczych i po takiéj karze na jednym z bogatszych, a tym samem pyszniejszych, wieśniaków wypełnionéj skończyło się. Że jeżeliby się z czasem między nimi pokazał jaki, tedy za pierwszą poszlaką, rózgami pośrodku

wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku, pola i zabudowania ze wsi wypędzonym. Jeden z tych wieśniaków nazwiskiem Jakób Mosiéj padł mi ze łzami do nóg, dziękując za to prawo, czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w téj kolonii. Jakoż pokazało się potém, że tenże Jakób był człowiekiem w każdém zdarzeniu najpoczciwszym i od wszystkich wieśniaków szanowany, a odemnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potém w roku 1808 umierał on; przez tydzień choroby najweselszym go widziano, a płaczącéj żonie i dzieciom widzącym śmierć jego bliską, śmiejąc się mówił: „oto wojska rossyjskie wkrótce przechodzić mają i ciemiężyć was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwéj, a wy się tu nacierpicie; jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na prażnik do Ojca!“ Winienem był wspomnienie rzadkiéj cnocie wieśniaka tego, nad którego grobem płakałem.

* * *

Od r. 1795 spokojnie siedząc w kolonii mojéj, która z ostępu, dawniéj Kraśnik nazwanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawiałem rolę zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawieniu losu mego przemysłowi mojemu zostawiony. Mógłem mieszkać gdzie w mieście jakiém i żyć z procentu 2000 dukatów, które miałem natenczas, ale znając cokolwiek świata wielkiego, że ledwie dziesiąta część ludzi znajduje się, z któremiby niecierpliwemu żyć można było, ażeby się z niemiłemi ust wiecznie nie zdybać, wolałem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób zagrodzenia się od złego człowieka, żeby mnie nie naszedł? Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad, i dwie na wieczerzą, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając miewam często i gości, ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie widział i nigdy

nie miał. Jeden importun, że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadała, nigdy nie opuścił, ażeby mię kilka godzin gadaniem bez związku nie nudził. Ani u sąsiadów moich będąc, więcéj nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opodal trochę odemnie jesteś przyjacielu Stryjeński, i coś jeszcze jest, co mię czasem od domu twojego odstręcza; a ty cnotliwy Badeni, w inszym kordonie mieszkający, i więcéj stu milami odemnie oddalony, jakże się przyjaźnią twoją pocieszyć mam? Tu w powiatach okolicznych, jakże już wiele nabiegałem się, a przyjaciela znaleść nie mogę. Miałem go niby, kiedy on był nieszczęśliwy po upadku ojczyzny, bawiłem go w smutku, ratowałem trochę pieniędzmi, i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potém zapomożony zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mojéj się uciekł przyjaźni; ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego, już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały niedbać o niego potém. Inszy magnat, niby z przyjaźni ofiarował mi 3000 dukatów, bylebym przy nim do śmierci mieszkał; podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym do śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknego, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz; otóż przez wdzięczność, bez żadnéj pretensyi, zwłaszcza nie daleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę. Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu, o coś posprzeczaliśmy się z sobą, i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnéj nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać.“ Ja mu zaś na to: „Tak jest, mój Panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które gdybym był przyjął,

jakaś wdzięczność kazała mi by zawsze powtarzać: tak jest panie dobrodzieju.“

Do inszego magnata w inszém zgromadzeniu, tony sobie dającego, rzekłem: A pan téż podatek wypłacił imperatorowi?“ On rzekł: „skądżeto? wypłaciłem.“ A ja mu na to: i ja „wypłaciłem, i tak chociaż już nie mam ojczyzny mojéj, przynajmniéj nie znęcają się nademną jak dawniéj w anarchii polskiéj wielkomożni, i mogę im prawdę powiedzieć bez bojaźni zemsty ich.“ Insi moi to niby w okolicach tutejszych przyjaciele, przyszedłszy do honoru jakiego w powiecie swoim, zaraz tonem pysznym ze mną rozmawiać zaczęli, a po upłynionym urzędzie znowu grzecznie jak dawniéj; ale mnie już do siebie nigdy przyciągnąć nie mogli. Oni głupi! myśleli że urząd robi człowieka zacniejszym, zapomniawszy, że pokorną cnotą najwyżéj się podniesiemy. Insi zabierali przyjaźń ze mną, żeby co zyskać, a widząc że się im nie udaje, porzucili. Insi widząc mnie, mającego jakiś szacunek między ludźmi, nazywali mnie w posiedzeniach swoim przyjacielem, co mię jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwymi, wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcéj, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali, w jednym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich pod tytułem: „*Żale Sarmaty*,“ jeszcze na początku panowania Pawła napisanych, jak w nich dałem sobie słowo wierszów odtąd nie pisania, tak odtąd żadnych nie pisałem.

W tęsknicy, domowéj osobności, najwięcéj bawią mię książki i gitara. Książek mi najpiękniejszych pożyczał, grzeczny dla mnie jak dla innych obywatelów, blisko w Szerszewie konsystujący z pułkiem swoim generał rossyjski Kamieński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufałości, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on poważał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między książkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka, par Mr. Michau: o wierze, pra-

wach i obyczajach Indyanów, i tę przetłumaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niéj wiele mniej ciekawych opisów. Przed wyjściem nieco i po wyjściu generała Kamieńskiego pod Austerlitz, zaczęły się kłopoty koło nas, które wojska moskiewskie przechodząc tędy, koniecznie za sobą prowadzić muszą. Kilkunastu generałów w domu moim w przechodach swoich ałmakowało, a wieśniacy moi biedni czasem każdy po 40 żołnierzy na noc do jednéj chaty z obejściem przyjmować musieli, dając darmo żołnierzowi barszcz i krup trochę, chleb zaś trzy funty na dobrą wagę płacony. Kogoż łzy ludzi płaczących rozerwać mogą!?

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego, i będąc tak już na siłach słabym żegnam się z wami: najpierwéj krewni moi, Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcéj od lat 40 przyjaciele moi: Karólu Prozorze, oboźny litewski, i Ignacy Sicheniu, starosto krzemeńczucki; jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się?! Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie ojcze mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czém ty mnie w młodości mojéj napominałeś; ale przynajmniéj od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu (jak sobie przypominam) krzywdy niezrobiłem. — Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mię konający napominał i chociaż ta droga wiodła mię czasem do umartwienia, ale też taż sama prawda wyznana (jakeś mi to przepowiedział) słodziła potém smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego tam jesteś dobrze położony; powiedz za dziecięciem twojém: że było ułomném, ale przynajmniéj starało się, aby zbrodniarzem nie było.

PAMIĘTNIKI
Ks. ANDRZEJA KITOWICZA.

Poznań 1840.

Panowanie Augusta III.

O początkach panowania Augusta III. niepiszę: bo w tych byłem dzieckiem, anim wziął przed się pisanie dawniejszych dziejów, tylko tych, które się za używaniem rozumu mojego zdarzyły. To jedno przytaczam, co ulgnęło w moją młodą pamięć: że w dzień koronacyi Augusta III. w Krakowie odprawionéj, po wszystkich miastach publicznych, z rozkazu rossyjskiego, była palona illuminacya. Każdy mieszkaniec musiał oświecić okna domu swego. Niebyła to tak przednia illuminacya, jaka dała się widzieć palona Stanisławowi Augustowi (o któréj będzie w swojem miejscu), ale tylko świeczki łojowe i lampy takież wystawiono w oknie na prostéj desce; a w niektórych pałacach świece woskowe i lampy oliwne, bez żadnych figur malarskich i snycerskich. Ktoby zaś nie palił świeczek, przynajmniéj dwóch w oknie, byłby poczytany za nieprzyjaciela króla Sasa, a partyzanta Leszczyńskiego, i jako taki źle od Rossyan traktowany; dla tego najuboższy gospodarz wolał stracić dwie świeczki, niż nabyć na grzbiet sto knutów czyli batożków. Ta illuminacya zaczęta w wieczór trwała do wypalenia się świec.

Drugi obmiot, który do dziś dnia nieuszedł z pamięci mojéj, był następujący: Żołnierze rossyjscy, mający kordygardę w domu rodziców moich, nalawszy wody w dużą misę, śledzia surowego z łuską w drobne kawałki pazurami szarpiąc w tęż wodę wdrobili, potém sucharów podobnież nadrobili, a nażegnawszy się nad nią i nakiwawszy, z wybornym apetytem ową zupę jedli. Pieniądze kopiejkami zwane nosili w gębie między wargą spodnią i zębami. Gdy mieli co jeść lub pić,

owe kopiejki brali do ręki. Grubsze zaś pieniądze chowali w kieszeniach. Niechlujstwo ich w jedzeniu, piciu i odzieży było aż do obrzydzenia; rozrabiając w dzieży ciasto na chleb, z którego potém robili suchary, takim chlebem albo sucharami wcale się niebrzydzili. Oficerowie niżsi, wyjąwszy sztabowych, mało co byli schludniejsi od gminnych sołdatów; dla uniknienia gadu, używali koszul kitajkowych rozmaitego koloru, w któréj materyi, ile śliskiéj, robactwo niekowane, nie tak łatwo jak w płótnie utrzymać się mogło, i kitajka nie tak często prania potrzebuje.

O głodzie pod panowaniem Augusta III.

Po wyjściu Rossyan z Polski, jakoś w drugim czy w trzecim roku po koronacyi, nastąpił głód, którego te okoliczności pamiętam: najprzód że żadna potrawa tak nie smakowała jak chleb, nawet ludziom dobrze się mającym, i w inne czasy mało chleba używającym; powtóre, że w Warszawie pełno było ludu zgłodniałego, schodzącego się do niéj z okolic. — Panowie i majętniejsi obywatele czynili wielkie składki na tych nędzarzów, których mimo tę opatrzność co dzień wielka liczba umierała. Grzebiona w wielkie doły po cmentarzach i po polach, przez grobarzów umyślnie na to wysadzonych, którzy zmarłych zbierali po ulicach, kładli na kary i do dołów zwozili. Żywym dawano pewną porcyą chleba co dzień, w pewnych miejscach murem albo parkanem opasanych. Byli ludzie z długiemi biczami, od nich zwani biczniкami, którzy przed godziną dystrybucyi chleba zganiali ubóstwo do owych miejsc, zajmując wspomnionemi biczami i pędząc jak bydło. Wielu albowiem z tych mizeraków, z łakomstwa głodem rosnącego, spodziewając się większego pożywienia w pojedyńczéj od domu do domu żebraninie, unikało zajmu do gromady. Wpędzonych w zamknięcie potém wypuszczano po jednemu tąż samą bramą, dając każdemu pod równą miarą sztukę chleba; i tak czyniono co dzień. Umierali jednak i przy takiéj opatrzności, mianowicie

ci, którzy niewstrzymując apetytu, prócz chleba rozdanego, szukali większego gdzie mogli posiłku; a nawet końskie mięso z zdechłych koni żarli. Wielu zmarłych znajdowano z kawałkiem chleba u gęby; gdy ściśniony żołądek, niemogąc trawić pokarmu chciwie jedzonego, odejmował jedzącym życie.

Od roku 1743 zacząłem notować moją chronologią; którego roku jakoś ku jesieni pokazała się gwiazda wielka ogromności księżyca w pełni, z ogonem nakształt miotły długim i szerokim; była figury okrągłéj, gładkiéj, bez promieni do koła. Jasność miała bystrą, tak w swojéj kulis, jak ogonie równą. Wchodziła i zachodziła ta gwiazda przez niedziel sześć po zachodzie słońca, równo z księżycem; widziana nietylko na horyzoncie polskim, ale téż nad całą Europą, jako o niej były zewsząd uwiadomienia. Odbywszy swoją wizytę więcéj się niepokazała. Za pierwszém swojem zajaśnieniem nabawiła ludzi wielkiej trwogi. Jedni mówili: iż kto się téj gwiazdce przypatruje, ten roku niedożyje; drudzy: że któryś monarcha europejski umrze; inni: że będzie głód; inni: że powietrze; inni: że wojna. Tego, co nastąpiło, nikt jednak niezgadł, to jest: powietrza na bydło (o którém zaraz) i prócz którego Polska niemiała szczęśliwszych czasów, i podobno więcéj takich mieć nie będzie, jak były pod słodkiém panowaniem Augusta III., przeciw któremu niewdzięczność Polaków, sprawiedliwie ukarały niebiosa następném panowaniem.

O sejmach.

Nieszczęśliwe sejmy, zrywane regularnie, nieoziębiały jednak chęci dobrego króla do składania następnych, to ordynaryjnych, na które ten monarcha punktualnie zjeżdżał z Saksonii, do któréj po zerwanym zwyczajnie sejmie znowu powracał. Przed każdym sejmem na ćwierć roku zjeżdżał król do Wschowy, miasta pogranicznego, gdzie odprawiwszy Senatus Consilium w materyach, jakie miały być traktowane na przyszłym

sejmie, i uniwersały na sejmiki przedsejmowe podpisawszy, wracał do Saksonii, bawiąc tam aż do zbliżenia się czasu sejmu, uprzedzając czas jego zwyczajnie dwiema lub trzema niedzielami. Takim sposobem August III. panował w Polsce, aż do wojny siedmioletniéj, od zaczęcia któréj, jako się wyżéj mówiło, mieszkał ciągle w Warszawie.

Zrywacze sejmów różnych do zerwania używali pozorów; nigdy sprawiedliwych: bo te z natury rzeczy takiemi być nie mogły. W roku 1758. po obraniu marszałkiem Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, sejm zerwany został dla téj przyczyny, że rosyjskie wojska znajdowały się w Polsce. Co za racya płonna?— to i owszem radzić należało, aby niebyły; radzić zaś ważniéj inaczéj niemożna było, tylko na sejmie; ale to był tylko wybieg; — przyczyna zrywania sejmów była zawsze jedna: chydzenie panowanie Augusta. Obaczymy pod następném panowaniem Augusta, jak ta Rosya, która pod Augustem III. wcale się niewdawała do sejmów, ani żadnych krajowych spraw, pod Stanisławem Augustem zupełnie rządziła niemi i wartami swemi otaczała izby sejmowe, a przecie sejmy się nierwały i za ważne uchodziły, gdy ta *familia*, która za panowania Augusta III. wszystkie sejmy psuła, za Stanisława Augusta psuć je zaniechała.

W roku 1760. znowu sejm zerwany, z téj saméj, co i poprzedzający, przyczyny, to jest, że Rosyanie w Polsce; że pod bronią żołnierza exotycznego sejm wolny być nie może. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka.

Tegoż roku 1760. zgorzał kościół katedralny gnieźnieński, tłustością w pobliskiém domu przez nieostrożne smarzenie zapaloną, na dach kościelny podczas upałów wiatrem zaniesioną i w szczerbę blachy, pokrywającéj dach na wiązanie drzewiane, wiekiem wysuszone, ściekłą.

Następującego roku 1761 zwołał król sejm extraordynaryjny; zaczął się 27 Kwietnia pod starą laską

Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, bawił się na rugach aż do dnia 2 Maja, którego zaszedł przeciwko niemu manifest, nie już od jednego posła, jak przeciw dawniejszym bywało, lecz od trzydziestu dziewięciu posłów w grodzie warszawskim podpisany. Jak liczba zrywaczów wielka, tak przyczyna zerwania mała: oto, że tego sejmu niepoprzedziło Senatus Consilium, które nic więcéj nie miało w mocy, jak tylko wynajdować materye do przyszłego sejmu; te zaś były w uniwersałach na sejmiki wydanych dokładnie wyłuszczone, i czy wyszły z izby senatorskiej, czy z kancelaryi koronnéj, jeden obmiot miały: przygotowanie Polaków, o czém radzić na sejmie mają. Zawzięte duchy, na uczynienie niesławném panowanie Augusta III., nawet mu pomyśleć dobrze o kraju niedopuściły, zrywając sejm dla tego, że sam król, nie z senatem, wydał na sejm uniwersały. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka, lubo się wlókł tydzień, mozoląc króla przejażdżką codzienną z pałacu saskiego na zamek do izby senatorskiéj, momentu drogiego czasu z swojéj przyczyny niezwlókł izbie poselskiéj, skoroby się z senatorską, po obraniu marszałka, złączyć chciała. Ukarany król za to, iż przed nim nie miał rady stanu, złożył ją dnia 13 Maja, nie żeby co pożytecznego na niéj przedsięwziął, gdy wszystkie usiłowania jego ku dobru kraju były zdesperowane, ale żeby coś czynił i nie próżnował. Jakoż nic na niéj wielkiego nie traktowano, jedynie o sposobie zapobieżenia monecie złotéj, w kraj wchodzącéj. W téj materyi resultatum tego Senatus Consilii zostawiło w mocy królowi, złożyć sejm extraordynaryjny, kiedy zechce. Znudzony król sejmami wciąż zrywanemi, nieskładał pozwolonego. Jakoż, gdyby był złożony, byłby i zerwany, a materya monety na sejm wprowadzona, już tém samem, że sejmowa, nie mogłaby być od żadnéj zwierzchności szczególniéj traktowaną i rozwiązaną. Podskarbiowie tedy obojga narodów, z innymi panami, rej wodzącymi,

zniosłszy się, zrobili redukcyą, którą otrąbiono w Warszawie dnia 12 Września 1761.

O sejmie ordynaryjnym 1762.

Ostatni to był sejm pod panowoniem Augusta III., co do liczby sejmów, pierwszy zaś co do gwałtownego sposobu sejmowania, który da się widzieć w dalszém swojém opisaniu, do którego nim przystąpię, muszę wprzód ukazać czytelnikowi przyczynę, która tę gwałtowność spłodziła. Raczy sobie tedy przypomnieć czytelnik to, co się o szlachectwie grafa Bryla, przez dekret trybunalski zyskaném, wyżéj powiedziało, i to drugie, że familia Czartoryskich, pół Polaków po sobie mająca, sprzeciwianiem sie ustawiczném najlepszym albo najniewinniejszym na czas zamysłom dobrego króla, wszystkie niemal urzędy dla swoich partyzanów na nim, ułagodzić ją sobie pragnącym, wymuszała. Przydać jeszcze muszę trzecią przestrogę do pierwszych dwóch: że przy końcu panowania Augusta III. graf Bryl, minister królewski, Jerzy Mniszek, marszałek nadworny koronny, zięć pierwszego, i Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, kreatura tych dwóch, składali trójcę dworską, i nią powszechnie zwani byli, za któréj zdaniem szedł we wszystkiém August III.; ta trójca szafowała łaskami królewskiemi; bez niéj nikt niczego od króla nie dostąpił. — Blisko przed tym sejmem zawakowały niniejsze urzędy: pieczęć wielka koronna; pieczęć mniejsza litewska, buława wielka litewska i województwo wileńskie. Te wszystkie urzędy familia Czartoryskich uwzięła się pozyskać dla swoich przyjaciół. Trójca dworska oddawała do jéj woli buławę mniejszą litewską (bo większa z dawnego zwyczaju należała hetmanowi polnemu), podkanclerstwo litewskie i województwo wileńskie; zostawiła tylko do wolnego szafunku królowi Jmci, a raczéj sobie, podkanclerstwo koronne. Czartoryscy, jako już dawno postanowili u siebie pokazać jawnie moc swoją, górującą nad mocą trójcy, któréj nienawidzili, tak na ofiarę

niezupełną wszystkich urzędów żądanych, podaną sobie przez Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, odpowiedział książe kanclerz litewski, Czartoryski, głowa i rządca familii: „albo wszystko, jak my chcemy, albo nic.“ Mniszech, któremu też nie zbywało na dumie, spytał się kanclerza: „a kiedy nic?“ na co kanlerz: „kiedy nic, to będziemy wiedzieli, co z tém czynić.“ Zirrytowany temi groźbami dwór, oddał zaraz województwo wileńskie ks. Karólowi Radziwiłł, miecznikowi litewskiemu, buławę polną Sapieże, wojewodzie płockiemu, podkanclerstwa zaś koronne i litewskie zachował podług prawa do przyszłego sejmu. Między okolicznościami, wchodzącemi do województwa wileńskiego, godna wspomnienia następująca: gdy Bohusz, sekretarz R., przyszedł do Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego z propozycyą wyliczenia zaraz 40,000 czerwonych złotych, byleby pan jego, książę Radziwiłł, otrzymał województwo wileńskie, rzekł do niego marszałek: „Ale mospanie, jakże mu dać tak wysokie krzesło, kiedy to człowiek szalony!“ — Na co Bohusz: „Tém lepiéj; jeżeli albowiem dacie ten wakans mądremu, książę Czartoryski, kanclerz litewski, znajdzie rozum na rozum i potrafi mądrego przeciągnąć na swoją stronę; szalonego zaś przerobić na swoją partyą nie potrafi.“ — „Bravo, mospanie! licz waść pieniądze!“ — i takim sposobem R. (w saméj rzeczy szaleniec) otrzymał województwo. — Ta dystrybucya wyżéj wspomnionych wakansów przejęła do żywego Czartoryskich: postanowili tedy Bryla młodego, cześnika koronnego, posłem ziemi warszawskiéj na sejm nadchodzący obranego, wypchnąć z poselskiéj izby, jako nie szlachcica polskiego, tylko przez dekret trybunalski piotrkowski takim zrobionego. — To tedy było, co Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, na tymże sejmie poseł litewski, chciał Brylowi zadać, a czego partya dworska Brylowi niedopuścić uwzięła się. Gdy tedy Poniatowski jeszcze przed elekcyą marszałka sejmowego chciał ostrzedz sejm, że w izbie między po-

słami znajduje się jeden poseł nie szlachcic, i na ten koniec żądał od marszałka staréj laski głosu pozwolenia, Radziwiłł, podkomorzy litewski, który miał głos mocny, będąc partyi dworskiéj, niemal razem z Poniatowskim zawołał, albo raczéj tęgo krzyknął: Mci panie marszałku, proszę o głos! Co Poniatowski powtórzył: Mci panie marszałku, proszę o głos! to wzajemnie Radziwiłł krzyczał: proszę o głos. Było tego po kilka razy między tymi dwoma tylko sam na sam wołającymi. Lecz gdy Poniatowski, nie dbając już o danie sobie głosu, zaczął wymawiać te pierwsze słowa: „*Znajduje się między nami*“ — huknęła na niego cała partya dworska, naprzeciw niéj nowym hukiem obydwu stron wrzeszczących na siebie: „Nie masz zgody na głosowanie przed obraniem marszałka i prosimy o głos dla posła mówiącego“ — dalszych słów Poniatowskiego, które były: „*nie szlachcic Bryl poseł Warszawski,*“ nikt przed hałasem słyszeć nie mógł, chyba tuż siedzący przy Poniatowskim. Zaczęty ten wrzask od samych posłów stał się powszechnym i arbitrom, którzy się w kole poselskiem między posłami znajdowali, a z tych najwięcéj było czeredy służącéj Radziwiłłom i Czartoryskim, lub tych dwóch partyi przyjaciołom, uzbrojonéj pałaszami i pistoletami pod sukniami.

Trwała ta wrzawa z pół kwandransa, aż nareszcie w dobycie szabel wybuchnęła, co iż się stało w okamgnieniu, trudno było dostrzedz z któréj strony i kto pierwszy dobył szabli. Ile jednak siedząc w górnéj ławie i mając pod okiem całe poselskie koło, mógłem dostrzedz, przy roztargnionym wzroku na Poniatowskiego i Radziwiłła, to mi się zdawało, że najpierwsza szabla która błysnęła, była litewska, osadzona w furdyment i trzymana od ręki obleczonéj w rękawiczkę łosią z karwaszami pod sam łokieć długiemi: głowa zaś tego junaka nakryta była po same oczy czapką tęgą, drutami i bawełną przeszywaną, jakich czapek Litwini do pojedynków i tumultów zażywali, za czém rozumieć mogę, że wspomnione dobycie szabel wszczęło się

w partyi Radziwiłłowskiéj, azatém dworskiéj. Równo z dobyciem szabel, pomieszane wprzód między sobą ile w ciasnym na taką ludność cyrkule partye, rozskoczyły się i stanęły naprzeciwko sobie w dwóch ścianach, sięgać się ciosami wzajemnie mogących; do czego jednak nie przyszło: bo Małachowski, krajczy koronny, marszałek staréj laski, biegając od końca do końca między owemi ścianami, stawiając przed oczy bliską przytomność króla wizbie senatorskiéj z senatorami siedzącego, obrazę majestatu królewskiego przez dobycie szabel, zgwałcenie świątyni praw, przykład straszny zuchwałości i tym podobne uwagi, dokazał tego, że szable pochowano i uciszono się. Po tém uciszeniu marszałek Małachowski miał mowę długą swoim zwyczajem, ubolewając nad tak nieszczęśliwym dla przyszłości przykładem, a daléj ciągnąc rzecz obligował posłów, ażeby dla naradzenia się in plena activitate, co z tym przyprzypadkiem czynić należy, raczyli przystąpić ad turnum, to jest do głosowania porządkiem województw, a że tego roku koléj pierwszeństwa przypadała na prowincyą małopolską, zatém dał głos województwu krakowskiemu, pierwszeństwo w prowincyi małopolskiéj trzymającemu. Lecz gdy miasto czekania kolei swojéj, Poniatowski, stolnik litewski, zaczął domagać się głosu, i podobnież jak pierwéj swojem wołaniem o głos zaczął go tłumić Radziwiłł, znowu powstała wrzawa, znowu się zaczęli rozstępować na partye i mieć ku pałaszom, acz ich jeszcze nie dobywając. Marszałek widząc, iż nasadzona jest rzecz na wypchnięcie Bryla z poselskiéj izby, coby się stać nie mogło bez wielkiéj rzezi, odwołał sessyą na dzień jutrzejszy. Takim tedy sposobem przyjaciele dworscy uratowali Bryla od hańby publicznéj zarzutu nieszlachectwa. Ale że ten sposób, ile był pomocny w krytycznéj owéj godzinie Brylowi, tyle przeszkadzał sejmowi i przy zaciętości familii Czartoryskich na Bryla, byłby dni wszystkie jego zniszczył i wycieńczył aż do limity, a możeby przyszło w dalszych sessyach do krwawéj rozprawy, któréj skutkiem byłoby

zerwanie sejmu, zaczém nietracąc darmo czasu i nieczekając jakiego fatalnego skutku, wypadało dworskiéj partyi zerwać go bezzwłocznie, niechcąc Bryla expoaować na hańbę nieszlachectwa. Jakoż tego samego dnia pokazał się manifest przeciw sejmowi uczyniony w grodzie warszawskim przez Szymakowskiego, stolnika i posła ciechanowskiego. Przyczyna w tym manifeście do zerwania sejmu dana: gwałt wolności przez dobycie szabel w izbie sejmowéj zadany, acz może i on sam, razem z drugimi, jako mazur kordyaczny, dobył swojéj serpentyny. Lecz tak mu podyktowano: bo słusznéj przyczyny do zerwania sejmu nigdy wynaleść nie można było. Potomność niechaj osądzi, jeżeliby nie lepiej było, skryć grafa Bryla i niepokazywać go na sejmie, niżeli zrywać tenże dla punktu honoru jednéj osoby. Gdyby był dwór tak pomyślił, cała wina zepsucia sejmu spadłaby była na Czartoryskich, jako zawsze sejmy psujących, a Bryl byłby szlachcicem, jak nim został za dekretem trybunalskim, i mając inne honory i urzędy publiczne, obszedłby się był bez poselstwa przemijającego. Ale ambicya wzięła górę nad wszystkiemi z strony dobra publicznego uwagami, i wpisała dwór ten jeden raz w regestr zrywaczów sejmowych.

Jeszcze dwa dni po manifeście Szymakowskiego zjeżdżali się posłowie do izby poselskiéj, ale już mów żadnych nie było, prócz jednego marszałka, który izbę zagajał i zaraz po zagajeniu posłów po dwóch do szukania Szymakowskiego i sprowadzenia go, aby izbie sprowadził activitatem, delegował, i to zrobiwszy, natychmiast sessyą do jutra limitował, po których dniach, gdy delegowani uczynili izbie wiadomość, że Szymakowskiego nieznaleźli w okręgu Warszawy, sejm pożegnał, wywarłszy w mowie pożegnawczéj wszystkie przekleństwa na tego, kto był przyczyną zerwania sejmu. Niewymienił jednak nikogo, lubo dobrze wiedział, (bo i sam jako przyjaciel dworu w te rady wchodził), kto go zerwać kazał, i kto się téj przysługi podjął, i że zaraz pan zrywacz sejmu, zrobiwszy tę dobru publicz-

nemu psotę, z dukatami za nią nabytemi z Warszawy prysnął. Szukali go delegowani dla zachowania formalności w zwyczaj wprowadzonéj szukania zrywacza od pierwszego sejmu zerwanego, i aby na szukaniu czas trawiąc, nieszczęśliwemu sejmowi godzin przyczynili.

Na taką wrzawę i tumult, wszczęty w kole poselskiém (jako się wyżéj opisało), arbitrowie siedzący za kołem po ławach przy ścianach będących, jedni przejęci strachem na łeb pozskakiwali na ziemię, uciekając co ducha w sobie z poselskiéj izby i roznosząc fałszywą wieść po ulicach, że się rąbią w poselskiéj izbie; drudzy śmielsi, powstawszy na nogi, cofnęli się tyłem z niższych ław na wyższe: raz dla tego, ażeby od szabel, gdyby się te po całéj izbie rozpierzchły, po nogach nie dostali; drugi raz, ażeby z wyższego miejsca tumultowi w kole poselskiém wybuchłemu lepiej się przypatrzyć mogli, którém cofnięciem nagłém i tęgiem od liczby osób skupionych uczynionėm, stojących za sobą naprzeciw oknu dwóch młodych Radziwiłłów, podkomorzyców litewskich studentów, podówczas w konwikcie pijarskim i jednego towarzysza huzarskiego témże oknem na ulicę wypchnęli. Towarzysz, mężczyzna słuszny, azatém ciężki, uderzywszy czołem o bruk przed kancelaryą, zabił się na miejscu. Radziwiłły, chłopcy lekkie, jeden spadłszy na towarzysza, zdrów przemierzył wysokość trzeciego piętra do ziemi, drugi, niedostawszy żadnéj podkładki, tylko trochę błota, złamał rękę; i na tym przypadku skończyło się fizyczne dobra publicznego nieszczęście.

Jak partyi dworskiéj niebył tajny zamach Czartoryskich na Bryla, tak wzajemnie Czartoryskim niebyła tajna tego zamachu przedsięwzięta z strony dworskiéj odsiecz; co się ztąd pokazać dało: *najprzód:* że posłowie nie zasiadali miejsc swoich podług ziem i powiatow, ale partyami; *powtóre:* że w koło nie weszli sami jak należało, lecz z wielką i zbrojną assystencyą (jak się wyżéj rzekło); *potrzecie:* że skoro błysnęły

szable, natychmiast używającym sukni francuzkiéj w miejsce szpad dodano rapirów dragońskich: *poczwarte:* iż z izby poselskiéj niewychodzili razem, lecz partyami, zatrzymując się druga, póki zupełnie niewyszła pierwsza; *popiąte:* że do domów nie powracali karetami, w których przyjechali, ale na koniach, w mniemaniu zapewne, iż na ulicy jaka walka między czeredą służącą wyniknąć może, z któréj panowie łatwiéj na koniach niż w karetach wymknąćby się potrafili. Te tedy okoliczności mocnym są dowodem, iż ta scena, ktora się w izbie poselskiéj odprawiła, niebyła przypadkowa, lecz urządzona. Że zaś do rozlania krwi niedoszło, przypisać to należy albo jakiéjkolwiek na króla refleksyi, albo, że nikt nieśmiał zostać pierwszym w téj jatce publicznéj zarębaczem, albo na ostatek geniuszowi, wpływającemu już mocno na naród, burzliwemu ale niekrwawemu. z Pamiętników ks. Andrzeja Kitowicza.

O śmierci i przymiotach Augusta III.

Umarł tenże król w Dreźnie, tegoż roku 1763, na apoplexyą, dnia 1 Października. Z jego życiem skończyła się szczęśliwość Polski, nareszcie i exystencya, jako się da widzieć pod następném panowaniem.

Był August co do ciała wzrostu wielkiego, a przytém kształtnego. Nikt go z panów niedosięgał wzrostem, tylko jeden Chodkiewicz, starosta żmudzki; lecz jak był wysoki, tak był chudy, gdy przeciwnie August był tuszy do wzrostu proporcyonalnéj. Minę miał wspaniałą i zawsze wesołą, wzrok i chód powolny. Co zaś do przymiotów duszy, te opisać trudno. Niewchodził w żadne poufałe obcowania z panami, niezatrudniał się żadnemi interesami publicznemi, w których dwóch okazyach własność duszy najlepiéj wyszpiegować można.

Zdawał się we wszystkich sprawach publicznych i domowych na ministra. Minister był jego natchnieniem, minister był jego wyrokiem. Jak go minister natchnął, tak on postępował; jak minister komu sprzyjał, takiego ten affektu i od króla doznawał. Zgoła królem

rządził minister, ministrem zaś Mniszech, marszałek nadworny koronny i Sołtyk, biskup krakowski. —

Król nie pokazywał się panom, tylko raz na dzień, gdy z pokojów swoich szedł do kaplicy na słuchanie mszy, któréj żadnego dnia nieopuszczał, chyba wtenczas, gdy był chory. Szedł do kaplicy przez salę, w któréj się panowie o 11 godzinie punktualnie zgromadzali i przez długi kurytarz do kaplicy, na boku pałacu stojącéj, prowadzący, z rękami wyciągnionemi, w które go szeregi panów i szlachty z obu stron uszykowane całowały. Kto z pospolitszych obywateli miał jaką suplikę do króla, podawał mu podczas tego marszu, nisko nachylony, albo na jedno kolano przyklęknąwszy. Król odebrane supliki oddawał paziowi za sobą idącemu, a paź odniósł je do ministra, który podług woli swojéj imieniem królewskiém dawał na nie odpowiedzi, albo téż w kąt zarzucał za niewarte lub natrętne uznane. Zawsze przed królem, pokazującym się na widok, postępowało z laskami dwóch marszałków krajowych, a przynajmniéj jeden, albo na jego miejscu znajdujący się przy królu pieczętarz koronny lub litewski. Bez laski, przynajmniéj jednéj, nigdy król niewychodził z apartamentów swoich na widok publiczny. Nawet gdy się znajdował w innym kościele na nabożeństwie, zawsze mu laska asystować musiała. W drodze do kaplicy szedł za królem tłum panów, biorąc miejsce jedni przed drugimi, podług godności. Wtenczas po słówku posyłali do uszu królewskich jakie potoczne zdarzenia, lub swoje żądania. Powróciwszy król z kaplicy zatrzymywał się w sali przedpokojowej, przez ten czas, który zbywał do godziny dwunastéj, przechodząc się między panami, z tym i z owym cokolwiek rozmawiając. O godzinie dwunastéj schyliwszy nieco głowy ku panom, na znak pożegnania, wchodził do swoich apartamentów, które natychmiast za nim odźwierniowie zamykali. Panowie zaś pobawiwszy się z sobą jaki kwadrans czasu rozjeżdżali się z pokojów, i już od téj godziny król był niewidzialny aż do jutra. Kto jednak z panów wielkich

miał jaki interes do króla, znalazł przystęp o godzinie wprzód naznaczonéj, o którą trzeba się było postarać u grafa Bryla, bo inaczéj warta stojąca przy pokojach nikogo nie puściła. Damy pierwszéj rangi prezentowały się królowi w jego apartamentach tylko w dni galowe z powinszowaniem jakiego festynu, idąc szeregiem, ubrane w roby i w klejnoty i przystępujące do pocałowania ręki królewskiéj jedna po drugiéj według rangi. Po skończoném całowaniu ręki królewskiéj, postawszy przed nim jaką chwilę, którym król na znak szacunku pokazał jaki wdzięk uśmiechający i przemówił jaki żarcik wesoły, odchodziły tym samym porządkiem, którym weszły. Pojedyńczo i prywatnie żadna u niego dama przystępu niemiała. Zachował albowiem ten król czystość swojego stanu nienaruszoną, przykładem od jego dworu bynajmniéj nienaśladowanym.

Niemając, czy niechcąc mieć król żadnego zatrudnienia na swojéj głowie, cały czas w zimową porę przesiadywał w pokojach swoich, bawiąc się z domownikami swymi potocznemi dyskursami, a najwięcej myśliwskiemi, projektując polowania na które wyjeżdżał często: to do Kozienic, ekonomii królewskiéj, to do dóbr Radziwiłłowskich w puszcze i wielkie zwiérza obfitujących. Lubił także polowanie na głuszcze, na które ordynaryjnie wyjeżdżał na wiosnę. Aże ten ptak grę swoją odprawia w głębokich lasach, do jazdy powozem niesposobnych, przesiadał się na konia, na którym dojeżdżał do stanowiska, mając idących wedle siebie hajduków mocnych, którzyby za potknięciem się konia, ciężarem osoby królewskiéj zwątlonego, króla od upadku ratowali. Szczęścia posłużonego na tém polowaniu znakiem były pióra tego ptaka, przypięte do kapeluszów albo czapek wszystkich osób, które królowi na tém polowaniu asystowały.

Chował przy dworze swoim błazna czyli trefnisia, który go, w melancholicznym humorze będącego, śmiesznemi żarcikami i kuglarskiemi figlami rozrywał, i drugiego poetę, który w niemieckim języku z każdéj oko-

liczności dowcipne i śmieszne wiersze nagle składał. Ci dwaj ludzie mieli przystęp do króla wolny każdego czasu. Asystowali mu także podczas publicznych obiadów, i kiedy w ogrodzie do tarczy strzelał. Tytuń palił mocno, a najwięcéj po obiedzie, po którym przy tytuniu popijał sobie saskie piwo, tęgie i tłuste, dla niego robione. Prócz wyrażonych dopiero, miał jeszcze jednę rozrywkę, nie ze wszystkiem przystojną. Kazał przywłóczyć przed okna swego pałacu w miarę strzelania ścierwy zdechłych koni dla zwabienia psów. Te strzelał z wiatrówki, a hycel płatny miesiącami, ubite psy codzień wieczorem wywłóczył z dziedzińca, i zakładał nowe ścierwy, z gnatów ogryzionych wyczyszczając dziedziniec.

Jadał tłusto i wiele. Kuchnia jego niemiała równéj w Europie, tak co do wytworności potraw, jak co do wielości ich; kucharzów, kuchcików, posługaczów kuchennych, pomywaczek, liczbę do setnéj dochodzącą. Tóż samo niemal było w cukierni. Choć sam jeden obiadował, zastawiano jednak przed niego najmniéj 20 potraw i potém wety i cukry. Ale zato niejadał wieczerzy, chyba bardzo rzadko i to bardzo lekki specyalik. Lecz za niego pili dobrze jego dworscy. Zgoła, co się tyczy stołu ten był suty aż do zbytku, iż weszło w przysłowie (kiedy kto miał dobry obiad) mówi: „jadłem dzisiaj jak król polski.“ Szambelan, odprawujący dzienną służbę, podawszy królowi pierwszą farfurkę z potrawą, siadał z nim do stołu, i kto jeszcze inny z domowych, kogo król zawołał.

W dni galowe, jako to w dzień narodzin, koronacyi królewskiéj i tym podobne, dawał król otwarte stoły dla senatorów i urzędników koronnych, do których zasiadali za biletami liczbowanemi, losem ciągnionemi. Jaką kto wyciągnął liczbę, takie zasiadł miejsce, podobnąż liczbą do krzesła przypiętą oznaczone, pokazując król tym sposobem, że wszystkich, mimo różnicę godności każdego, równo szanuje. W dzień 3ci Augusta dla samych tylko orderowych dawał król obiad, do którego

siadali porządkiem wyżéj opisanym. Tego dnia, imieniny królewskie i uroczystość orderu Orła Białego znaczącego, ubierali się wszyscy w suknie jednakowe, to jest czerwoną wierzchnią, białą spodnią.

Kiedy przyjeżdżał z Saksonii do Warszawy, albo z Warszawy do Saksonii, albo do Grodna na sejm, lub gdzieindziéj na polowanie, czynił to pocztowemi końmi, w pomoc którym panowie przystawiali po stacyach swoje cugi, i kto tylko miał, najmował do téj jazdy swoje konie, od których pocztmajstrowie brali na dwie mile po 5 tynfów od pary koni, a najemnym płacili po dwa szóstaki na jednego konia, i tak wszyscy znaczne zyski z jazdy królewskiéj ciągnęli. Postylioni brali tryngieltu po 3 złote, ci co smarowali powozy, za jedno nasmarowanie tynfa jednego. Zgoła nikt dla króla nogą ani ręką nieruszył bez dobréj natychmiast zapłaty. Stanowiska w podróży do Saksonii i ztamtąd kiedy jechał na Wrocław, to jedno było w Lubochni, drugie w Sokolnikach; kiedy na Poznań, to w Kleczewie, w których miejscach były pobudowane dla niego pałace i przy nich utrzymywani kosztem jego murgrabiowie, a po śmierci jego też pałace ze wszystkiemi meblami dostały się posesorom dóbr, w których były zbudowane.

Lubił też strzelanie do tarczy, na którą zabawę, o kilkaset kroków od pałacu odległą, nosili go hajducy w lektyce, na trzy stacye po dwóch rozstawieni, szybko, choć z ciężarem nie lada jakim cetnarowéj osoby królewskiéj, nogi zbierający. Po obu stronach lektyki biegli paziowie, szambelan i oficer, a za lektyką lokaje, służbę dniową u króla trzymający. Tuż za królem w drugiéj lektyce tymże sposobem niesiono ministra grafa Bryla. To strzelanie zaczynało się o godzinie czwartéj po południu i trwało do godziny szóstéj przez jeden miesiąc Maj, do którego strzelania wzywał król niektórych senatorów i urzędników koronnych orderowych; którzy się ofiarowali do téj zabawy królowi, byli zapisani w katalog, i podług tego katalogu byli przywołani do strzelania. Mający strzelić wchodził do

strzelnicy o 300 kroków od tarczy odległéj, gdzie mu strzelec królewski podawał sztuciec nabity i odbierał wystrzelony. Kto zaś nie chciał strzelać z sztućca królewskiego, wolno mu było strzelać z własnego, od swego strzelca nabitego. Za każdém wystrzeleniem laufer ubrany w togę kitajkową czerwoną, wybiegał z za tarczy, z dołu dla siebie za nią wykopanego, oglądał w tarczy postrzał, zabił go kołkiem, i na tabliczce białéj okrągłéj pokazał czarno odmalowany numer taki, jaki kto w tarczy ustrzelił. Jeżeli zaś kto wcale tarczy chybił, obiegł ją trzy razy do koła. Poeta królewski za każdém strzeleniem na pochwałę strzelającego, albo na żart z niego, powiedział parę wierszy niemieckich; błazen zaś ciągle podczas tego strzelania rożne figle stroił, albo z drugim nadwornym którego pana błaznem w czuby i zapasy dla rozrywki królewskiéj chodził. Gdy się skończył miesiąc strzelania, rozdawał król dziesięć premiów między tych, którzy się najlepiéj popisali, mniéj zręcznych pominąwszy. Te premie składały się z numizmatów różnego waloru złotych, albo z sztuk porcelanowych. Nie było obowiązkiem wpisanym w katalog każdego dnia znajdować się na strzelaniu; wolno było czasem nie być. Przez przypodobanie się jednak królowi rzadko który opuścił bytność swoją. Miły widok króla wspaniałego i wejrzenia wesołego zwabiał licznego spektatora obojéj płci z osób dystyngowanych, oprócz tych, którzy należeli do strzelania.

Niewypowiedzianą dobroć tego króla ukazać może czytelnikowi następujący przypadek: Gdy razu jednego w Piotrkowie wywrócił go z królową pocztylion, tak, iż oboje, jedno przez drugie wytłoczyli się z karety na bruk, i ze strachu uciekać począł, złapanego przez ułanów król przed siebie przyprowadzić i rozśmiawszy się do niego, oraz dawszy mu za tę sztukę dukata jednego, usiąść na konia i jechać daléj z sobą kazał.

Kochał się także ten król wielce w orskiestrze, czyli w kapeli, do któréj dobierano wirtuozów, śpiewaków

i śpiewaczek w całéj Europie najsławniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował, i na operach, dobierając do siebie na wspomnione opery kapelów różnych panów, mianowicie Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, i książęcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit., tak iż liczba muzykantów, grających operę, przenosiła sto osób. Te opery wielkie odprawiały się dwa razy w tydzień: we Wtorek i Piątek. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jednę operę grano przez pół roku, po staremu król bywał na każdéj punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednéj półrocznéj reprezentacyi, siedział w loży niepoVruszony, przez trzy godziny a czasem i dłużéj trwającéj opery, i gdy widział operhausa nienapełnionego spektatorem, dziwił się niegustowi polskiemu, iż się nieubiega do widzenia rzeczy, tak wielce delektującéj oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, któréj widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nie żałuje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były; podczas sejmu lub innych zjazdów za biletami dla dystyngowańszych osób; prócz sejmów i zjazdów bez biletów, dla wszystkich, jakiegokolwiek gatunku ludzi.

Niemiała Polska i niebędzie miała tak dobrego, tak wspaniałego króla, jak miała Augusta III., a oraz tak nieszczęśliwego dla Polaków, iż mu nic dobrego dla kraju (choć z duszy tego pragnął) zrobić niedozwolili, zrywając sejmy ciągle, a wszystkę winę nieładu i nierządu stąd pochodzącego, na niewinnego króla składając. Na ostatek familia Czartoryskich przez fakcye swoje przewrotne i dumne, ochydziwszy przed narodem po większéj części zwiedzionym panowanie Augusta, detronizować go postanowiła, gdyby go była śmierć przed tym zamachem wściekłym, a nawet względem dworów obcych nierozumnie przedsięwziętym, nieuchyliła. Bo August urodzony książęciem dziedzicznym saskim, skoligowany z cesarzem niemieckim i innymi

królami europejskimi, miał więcéj reputacyi w całéj Europie, wiadoméj przyczyn nierządu polskiego, niż jeden kanclerz Czartoryski, głowa przewrotna swojéj familii, który u cesarzowéj rossyjskiéj pracował o zepchnięcie króla z tronu, osadzenię na nim swego synowca Adama, generała ziem podolskich; na czém tak by się był zawiódł po detronizacyi Augusta, jak się zawiódł w tém przedsięwzięciu po śmierci jego, jako się niżéj da widzieć. — Panował August nad Polską lat 30, godzien wspomnienia słodkiego i pamięci nieśmiertelnéj.

O sejmie electionis 1764.

Sejm tedy electionis zaczął się dnia 27 Sierpnia 1764 r. pod szopą, która była drewniana, tarcicami obita i tarcicami przykryta, a nazajutrz dla większego przestworu udał się w okopy, w kwadrat uformowane, z czterema bramami. W środku okopów były ławy proste do siedzenia dla posłów i arbitrów i krzesła dla senatorów. Materya tego sejmu była: obranie króla nie innego, tylko Polaka i ceremonia, jaką miało być odbyte to obranie. Wiedzieli od sejmu konwokacyjnego wszyscy dobrze, iż nie kto inny, tylko Poniatowski będzie królem: bo nikt prócz niego konkurentem jawnym i mocnym do korony nie pokazał się. Lecz dla uformalizowania wolnéj elekcyi, wszystko tak robili, jak być było powinno, gdyby w saméj rzeczy naród wolnie, nie z przymusu, nie pod armatą rosyjską, króla sobie obierał. A że Rosyanie temu sejmowi asystowali, stojąc na pogotowiu pod Warszawą, przeto niebyło nikogo, którzyby się propozycyi podanéj od prymasa, aby Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego obrać i narodowi ogłosić za kandydata tronu, sprzeciwił. Cały skład sejmu jednemi usty odpowiedział: „zgoda“ i już pierwsza materya najważniejsza w jednym momencie została ułatwiona. Druga co do sposobu czyli ceremoniału tego obrania również niemiała trudności, lecz dla operacyi swojéj więcéj potrzebowała czasu, przeto ją téż kilka

dni wleczono; aby tylko dla kształtu, chociaż nie dla potrzeby.

Na początku tego sejmu Sołtyk, biskup krakowski przybył do Warszawy; z stanowiska swego posłał do książęcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit. z propozycyami, iż gotów jest przystąpić do jedności obrad publicznych, uznać Poniatowskiego królem, byle władza odebrana Branickiemu była przywrócona, i dekret zapadły na R. został zawieszony do sejmu koronacyjnego. Lecz gdy familia Czartoryskich wszystko w ręku swoim mająca, takiemi propozycyami jednego księdza, który niedawno uciekał przed ich partyą, wzgardziła, odjechał napowrót do Kielc, dóbr swoich biskupich, z miną grożącą, od któréj żeby się familia zabezpieczyła, posłała w dobra jego 1300 Rosyan, którzyby jego próżną fantazyą na wodzy trzymali.

Sejm tymczasem swoją drogą spokojnie postępował. Uchwaliwszy w okopach zgodnie kandydatem do tronu Poniatowskiego, należało podać to do wiadomości i akceptacyi całemu narodowi. Dzień do tego dzieła naznaczony został 7 Września, które odprawiło się takim sposobem.

Wszystkie województwa, senatorowie, posłowie i nieposłowie, zjechali się na pole elektorskie i stanęli na koniach, jak się wyżéj opisało. Do tak stojących przyjechał prymas z swego pałacu z znaczną assystencyą, kariolką bogatą, od złota aksamitu ponsowego i galonów na wszystkie strony blask rzucającą, czterokonną, z stangretem i forysiem na koniach siedzących, także galonami, a konie czubami złotemi błyszczących. W takiéj figurze (niemogąc konno, bo na krzyże zawsze stękał i dla tego pochyło chodził) objeżdżał województwa. Najprzód przyjechał do województw poznańskiego i kaliskiego z aryngą następującą: Witam waszeciów mościwych panów i braci na tém elektoralném polu, oraz pytam, jaka jest wola i zgoda prześwietnych województw wielkopolskich, kogo mam mianować za króla i pana? — Odpowiedzieli na

to Twardowski, wojewoda kaliski (bo książę Jabłononowski, wojewoda poznański, sekretny, a od nikogo niewsparty pretendent tronu, nie śmiał się pokazać na tym sejmie) i Mielżyński, kasztelan poznański, że sobie nie kogo innego życzą mieć królem, tylko imci pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego, i natychmiast podali do rąk prymasowi kandydacyą, podpisem szlachty obudwóch województw stwierdzoną. Tę odebrawszy prymas stojący w karyolce, pytał się po trzy razy szlachty tychże województw: „Jestże zgoda w.w. panów, abym nominował za króla i pana imci pana Poniatowskiego, stolnika litewskiego?“ A za każdym razem odebrawszy odpowiedź w krzyku donośnym: „*Zgoda*“ i „wiwat!“ pokłoniwszy się usiadł i jechał ku następującemu województwu. Że zaś poczynając od województw wielkopolskich tę objażdżkę, uczynił krzywdę województwom małopolskim, na które przypadał tego roku turnus pierwszeństwa, przeto się przed wotowaniem żalili na prymasa seryo Krakowianie i Sandomierzanie, których on przepraszając za tę omyłkę, złożył ją na kalwakatę przed karyolką przodkującą, iż go ta do pomienionych województw wielkopolshich zaprowadziła.

Niebyło żadnéj odmiany we wszystkich województwach, wszędzie jedna arynga, pytania i odpowiedzi, wyjąwszy województwo kijowskie, do którego gdy przybył prymas z zapytaniem wyżej wyrażoném, Potocki, wojewoda kijowski, na czele swego województwa na koniu siedzący (jedynie przez bojaźn ściągnienia Rossyan do dóbr swoich téj elekcyi assystujący, w sercu zaś haniebnie jako pan wielki brzydzący się tak ubogim królem) z pacierz ruchając wargami, nie mógł wykrztusić tego słowa Poniatowski, ale tylko odpowiedział: „Zgadzam się z poprzedzającemi województwami, a reszty (dołożył oddając kandydacyą prymasowi) ten papier nauczy.“ Szlachta zaś jego na zapytanie odezwała się: „Zgoda i wiwat!“ Druga także osobliwość zaszła w województwie ruskiém. Szlachcic

jeden nie paradnie ubrany i na koniu podłym, wysunąwszy się z szeregu ku prymasowi, zaczął do niego jeszcze przed pytaniem taką perorę: „Mości książę! proszę waszéj książęcéj mości imieniem całego naszego województwa, ażebyś nam nominował za króla i pana jaśnie oświeconego książęcia Jmci wojewodę ruskiego, od którego nasze województwo ruskie wszelkich doznaje dobrodziejstw“ (a notabene, nie obejrzał się po sobie i chudym koniu swoim, że na nim żadnego pańskiego dobrodziejstwa znać nie było; lecz wróćmy się do rzeczy). Prymas jakby tego nie uważał, swoje pytanie zaczął, na które książę wojewoda ruski wyraźnie odpowiedział, iż chce mieć za króla i pana Stanisława Poniatowskiego, i oddał prymasowi kandydacyą, jeszcze zaś wprzód uchyliwszy kapelusza, odpowiedział szlachcicowi: „dziękuję wmcpanu.“ Uważałem, iż książę wojewoda ruski, na siwym mierzynku siedzący, odpowiadając prymasowi, dużo był na twarzy pobladł; czy go ów szlachcic zmięszał swoją niespodziewaną i bez wszelkiej konsekwencyi nominacyą, czyli też usta nie zgadzały się z sercem, które dużo na to boleć musiało, iż za jego pieniądze korona się nie jego Adamowi, ale Stanisławowi dostawała.

Tak tedy dzieło najpryncypalniejsze całego narodu niemal w godzinie odbyte zostało, w zgodzie, w spokojności i w skromności od wieków w tém królestwie nie praktykowanéj. Powiadają starzy: iż na przeszłych elekcyach pijaństwo i rąbanina tak były zwyczajne, jak gdyby były częściami istotnemi całego dzieła. Na téj zaś nikt się ani krwią nie oblał, ani winem nie zachłysnął, bo nietylko wina, ale i szklanki wody od pragnienia na polu elektoralnem nie było.

Nazajutrz Sosnowski, pisarz polny litewski, marszałek sejmowy, zagaiwszy sessyą sejmową pod szopą, przeniósł się z senatorami i posłami w okopy, dla większego przestworu, gdzie stanąwszy w środku na krześle książę prymas, pytał się po trzy razy, jeżeli jest zgoda stanów sejmujących, żeby przystąpił do nomi-

nacyi za króla Stanisława Augusta, wczoraj na polu elektoralném przez naród zgodnie podanego. Na co gdy od wszystkich zewsząd słyszane były odpowiedzi, po tyleż razy *„zgoda!“* przystąpił do téjże nominacyi, którą w krótkich słowach odbywszy, zlecił marszałkom dwom litewskim, to jest Ignacemu Ogińskiemu, wielkiemu, i Józefowi książęciu Sanguszkowi, nadwornemu (bo tylko ci dwaj sejmowi temu assystowali, koronni zaś w domach swoich na króla się dąsali), ażeby ludowi pospolitemu okopy otaczającemu, obwieścili po bramach okopowych, że Poniatowski, stolnik litewski, zgodnemi i powszechnemi głosami obrany jest królem polskim pod imieniem Stanisława Augusta, pod którém imieniem ma być uznawany od wszystkich stanów i kondycyi całego narodu za prawdziwego i prawnego monarchę. Co gdy marszałkowie wspomnieni w czterech bramach okopowych głosem ile mogli mocnym ludowi donieśli, i doniosłszy do koła sejmowego powrócili, książę prymas zaczął hymn: „Te Deum,“ który śpiewali wszyscy przy odgłosie trąb, kotłów i bicia z armat. Po odśpiewaniu hymnu ruszyli się wszyscy w paradzie do pałacu Poniatowskich na krakowskiém przedmieściu, obok koszar Kazimirowskich zwanych stojącego, w którym się znajdował król świeżo obrany. Tam odebrawszy zwykłe takim dziejom powinszowania, i oddawszy wzajemne podziękowania, wsiadł na konia, niebogato lecz gustownie w rząd i siatkę przybranego, jechał otoczony panami i niezmierną kalwakatą do kollegiaty ś. Jana, która kalwakata miała przed sobą chorągiew ułanów królewskich, a za sobą wydział gwardyi konnéj koronnéj. Wszyscy jadąc z wolna wykrzykiwali vivat, które słowo gdy przeszło od końca do końca, znowu się zaczynało i trwało ciągle i hucznie aż do samych wrót kościelnych.

W kościele powtórnie było śpiewane Te Deum przy biciu z armat i powinszowania od prywatnych, a najwięcéj od dam królowi oddawane, po których skończonych szedł król gankami z kościoła do zamku prowa-

dzącemi w niezmiernym tłoku, trzymając obiedwie ręce wyciągnione do całowania wszystkim, mimo których przechodził. Na zamku małą chwilę zabawiwszy między owym tłokiem, zamknął się w gabinecie swoim ażeby radości, przed obliczem narodu w sobie tłumionéj, mógł rozpuścić cugle i podzielić się nią z faworytami.

1768.

Konfederacya w Barze zawiązała się w Lutym a dała się widzieć w swojéj zbrojnéj postaci w Marcu roku 1768. W początkach nie miała tytułu ani konfederacyi jakiego województwa, ani konfederacyi ogólnéj całego narodu, ale od miejsca nosiła tytuł konfederacyi barskiéj. Marszałkiem jéj był Michał Krasiński, podkomorzy rużański, konsyliarzem Puławski, starosta warecki, dawniéj sławny patron trybunalski i plenipotent generalny całéj familii Czartoryskich, a potém obmierzywszy sobie ich fakcye w zrywaniu sejmów, główny nieprzyjaciel. Ci dwaj w początkach cały réj wodzili i pryncypałami stanęli. Zasada téj konfederacyi była przy wierze katolickiéj i dawnéj wolności polskiéj. Miała też ta konfederacya i proroka, wspomnionego w manifeście czyli akcie swoim, niejakiego Marka karmelitę, z pobożności prawdziwéj czy obłudnéj (sam Bóg wie) wziętego wielce u panów ruskich, który téj konfederacyi pomyślny obiecywał skutek i na dowód swojéj obietnicy pioruny i grzmoty jako niegdyś Samuel prorok z nieba sprowadził, albo też gdy z naturalnéj przyczyny zburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał, i tym sposobem zaufanie swemu proroctwu zjednał. Lecz nie sprawdził, bo konfederacya zniszczoną została, sam zaś prorok Marek schwytany od Rossyan, batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony z oczu ludzkich zniknął.

Skoro w Warszawie usłyszano o pomienionéj konfederacyi, natychmiast na jéj rozproszenie wyprawiono

wojska rossyjskie i pułki łekkie koronne, jakoteż ułanów królewskich pod pułkownikami Arnoldem Byszewskim, faworytem królewskim, Chojeckim, wojną i innymi mniéj sławą *junaków* zaszczyconymi, a nad tymi wszystkiemi przełożono Xawerego Branickiego, łowczego pod on czas koronnego, człowieka nieustraszonego serca. Ta tedy partya Rossyan i Polaków najprzód dobyła Baru, konfederatów rozproszyła, wielu w niewolę pojmała, reszta rozproszonych konfederatów, goniono po Rusi i różnemi klęskami niszczona, zamknęła się w fortecy berdyczowskiéj, gdzie ich Branicki, przywodząc piechocie rossyjskiéj na froncie, w saméj bramie kulą karabinową po kapeluszu draśniony, żwawo nacierając i wołając na Rossyan: „stupaj, przystupaj!“ dobył, wielu w niewolę zagarnął; reszta obronną ręką uszła.

Niemogąc się konfederaci nigdzie w kraju oprzeć Rossyanom, wynieśli się na Wołoszczyznę. Tam do konfederatów pierworodnych barskich przyciągnęli konfederaci litewscy pod marszałkiem Pacem, starostą ziołowskim, wkrótce po konfederacyi barskiej związani, podobném nieszczęściem jako i barscy od Rossyan i pułków królewskich w rozmaitych potyczkach pobici.

Do tych konfederatów, w Wołoszczyźnie będących, przyłączył się Joachim Potocki, podczaszy litewski, generał rejmentu konnego, który chodził pod tytułem królowéj Jadwigi. — Tego Potockiego konfederacya uczyniła rejmentarzem generalnym. Że imie Potockich wiele znaczyło u Turków, tak iż je Turcy inaczéj nie wspominali, tylko: Wielika Potocka, przeto wspomniony Potocki usilnie namawiał konfederatów, aby się udać do Turka i żądać jego protekcyi, Przeciwnie Puławski wszelkich sił dobywał rozumu swojego, aby się konfederacya wyniosła z Wołoszczyzny i udała się pod protekcyą Józefa cessarza, jako pochop od niego do związania się i pomoc w czasie obiecaną mająca, przywodząc za przyczynę takiego zaufania wdzięczność, którą dom austryacki mieć powinien Polakom za oswo-

bodzenie Wiednia od oblężenia tureckiego przez Jana Sobieskiego króla. Te dwie głowy pasowały się uporczywie, a cały skład konfederacyi deliberował, czyjéjby rady chwycić się pożyteczno było. Przezwyciężył Potocki, Turcya na jego perswazyą wypowiedziała Rossyi wojnę i zaraz ją rozpoczęła, konfederatów z Wołoszczyzny do kraju swego przyjęła, wszelką im z razu ludzkość świadczyła i we wszystkie potrzeby opatrywała, spodziewając się (jak byli od głów konfederackich upewnieni), że się cały naród polski porwie do broni i z swojéj strony Rossyą atakować będzie, Puławskiego zaś poczytawszy za zdrajcę, w kajdany okuli i do Stambułu odesłali, w których tamże w pół roku umarł. Lecz gdy Turcy, wplątawszy się w wojnę z Rossyą dla interesu Polski, widzieli, że cały prawie naród polski cicho siedzi, jedno z królem i z Rossyanami trzyma, a tylko garstka niedobitków konfederatów przy nich się tuła, poczęli ich zaniedbywać, żywności im i innych potrzeb odmawiać, nareszcze gdziekolwiek po kilku zdybanych, od korpusu odłączonym, głowy ucinać i swoim wodzom obyczajem tureckim jakoby rossyjskie odnosić, postrzegli konfederaci, iż się w ostatniém nieszczęściu znajdują. Potracili albowiem na usłudze tureckiéj w potyczkach wszystkie konie, innych niedostawszy, większą połowę ludzi przez głód, przez choroby, przez morderstwa tureckie i przez apostazyą do tureckiéj wiary. Zatem reszta pozostałych konfederatów prosili cesarza tureckiego, aby im pozwolił wyjść z jego kraju, i aby im na ten koniec dał konwoj, bez któregoby ich Turcy byli co do jednego wygubili, obiecując cesarzowi iż powróciwszy do ojczyzny, oziębłych braci swoich zagrzeją i przygaszoną konfederacyą rozniecą po wszystkich województwach. Cesarz turecki, który w ich stanie biednym i w garstce małéj żadnéj dla siebie nie widział pomocy, uczynił z łaskawością ich prośbie zadosyć.

Wynieśli się tedy konfederaci z tureckiego państwa do Węgier, przedniejsi wołami, podlejsi pieszo, odarto,

wynędzniało. Zapomniałem (za co czytelnika mego przepraszam) umieścić w swojem miejscu: że Potocki z Krasińskim na wstępie w kraj turecki zaciągnęli od Turczyna długu na rzeczpospolitą polską trzy miliony złotych polskich, które rozrzutność, mnogość potrzeb i niewierność szafujących niemi, a mianowicie Kossakowskiego, marszałka pod ten czas powiatowego wiłkomierskiego konfederacyi, o skradzenie znacznéj części téj summy i ujechanie z nią do Polski obwinionego, wkrótce roztrwoniły, tak iż owi panowie naczelni powracając z Turecczyzny (jako się wyżéj rzekło) na lepszy ekwipaż od wołowego zdobyć się nie mogli. Rewers zaś na te trzy miliony, dany Turkom, dostawszy się Rossyanom z całą kancelaryą turecką po przegranéj batalii, przepadł na wieczne czasy, który zachowany od tego przypadku i przy lepszym losie niż wypadł wojny tureckiéj z Rossyą, mógłby był obciążać albo ubogą zawsze rzecz pospolitą polską, albo dobra zaciągających pomieniony dług.

Trzymając się konfederaci pogranicza węgierskiego i wchodząc tedy owedy w kraj swój, otrząśli się tureckiéj nędzy, zmocnili się nowemi partyami rodaków i zaczęli po Podgórzu i Krakowskiém nowe gonitwy z Rossyanami, losem atoli zawsze niemal dla siebie nieszczęśliwym; bo po każdéj potyczce ustępować placu Rossyanom byli przymuszeni, choć nieraz więcéj Rossyan niż swoich zgubili. W takich gonitwach zaszli aż w góry między góralów, którzy dali się namówić do broni przeciw Rossyanom, jakoż nie mało im zatrudnienia i szkody ci sprawni ludzie między górami przynieśli. Lecz gdy konfederaci, najwięcéj z jazdy składający się, długo w górach trzymać się nie mogąc, w kraj równiejszy wyciągnęli, i ową piechotę góralską za sobą wyprowadzili, Rossyanie zastąpiwszy im od gór, niemal wszystką ową piechotę kartaczami wygubili, reszta uszedłszy w góry, więcéj serca do wojowania z Rossyanami niepokazała; jazda zaś konfederacka rozproszona, w różne strony kraju pouchodziła,

zbierając się coraz na nowo i rozpraszając po każdéj przegranéj. Takiemi gonitwami upędzana z miejsca do miejsca, przyszła aż pod Bielsk, miasto górnego Szląska, należące do Sułkowskich, w którém mieście za pozwoleniem cesarskiém starsze głowy konfederackie, to jest marszałkowie, regimentarz generalny i konsyliarz założyli sobie siedlisko dla spoczynku, którego jako nieprzywykłe do niewczasów wojennych, po owéj przykréj i niebezpiecznéj z Turek aż tu włóczędze wielce potrzebowały, korpusy wojskowe z wodzami swemi na pograniczu zostawiwszy. Lecz gdy rossyanie natarłszy na owe korpusy zebrane pod Bielskiem, znieśli je, a za niedobitkami aż w kraj szląski zapędzili się, widząc owi panowie naczelni, iż w tak bliskim miejscu granicy mogliby Rossyanie śmiałość swoją posunąć lada kiedy daléj, i wpadłszy do samego Bielska, zagarnąć wszystkich w niewolę, prosili powtóre cesarza, aby im samym ty ko, bez wojska pozwolił jakiego głębszego w kraju swoim schronienia. Cesarz udając zawsze przyjaciela konfederacyi, wyznaczył im miasto Preszów w Węgrzech, uważając zapewne, iż takowém umieszczeniem i Węgrom, mającym wino do zbycia, i Polakom, wina węgierskiego miłośnikom, dogodzi.

O ataku Częstochowy.

Gdy Zaremba zatrudniał się ściganiem i ukaraniem Malczewskiego, tudzież komedyą graną pod Poznaniem, Rossyanie tymczasem szturm za szturmem do Częstochowy przypuszczali, jako się da widzieć niżéj.

Naradzano się w Warszawie, czy mają, czy nie mają kusić się o Częstochowę, kiedy słabszych twierdz Lanckorony, Bobrka i Tyńca konfederatom wydrzeć dotąd nie mogli. Drewicz pułkownik, między innymi oficerami rossyjskiemi, przeciw konfederatom walczącymi, najbieglejszy w sztuce wojennéj, oświadczył Wejmarowi, generalnemu komendantowi wojsk rossyjskich w Polsce będących, iż byle jemu dana była dyspozycya tego dzieła, tedy za trzy godziny najwięcéj

dobędzie tego kurnika: mniemając takiem imieniem urągającym Częstochowę, który ułożywszy u siebie za nieomylnie pomyślny, skoro wyszedł z Warszawy, posprowadzał z Berlina jubilerów i złotników do taksowania klejnotów i sreber Częstochowskich, jakby je już miał w ręku. Nim przystąpił pod fortecę, o kilka dni jeszcze będąc, tentował Puławskiego, aby dobrym sposobem poddał fortecę, któréj zapewne dłużéj nad 24 godzin utrzymać nie potrafi. Jeżeli się dobrowolnie podda, obiecywał mu generalstwo w wojsku rossyjskiem i pierwsze u imperatorowéj względy: jeżeli zaś szturmem dostanie się w ręce rossyjskie, ma się spodziewać najokropniejszéj surowości, jako wiarołomca, niedotrzymujący słowa danego na piśmie, pod Barem złapany: iż więcéj przeciw wojskom imperatorskim walczyć nie będzie. — Puławski odpisał Drewiczowi: Jeżeli się sam osobą swoją przeniesie do konfederacyi, generalność da mu marszałkowską godność, wyższą generalskiéj. Takowe przeniesienie nie powinnoby go zastanawiać, jako już raz z służby pruskiéj do rossyjskiéj bez abszytu (co w saméj rzeczy tak było) przeniesionego. Co się zaś tyczy rewersu danego pod Barem, wytknął podobnież jednego majora rossyjskiego Szuwałów, czyli na podobieństwo (zda mi się) takiego imienia zwanego; który złapany w potyczce od Puławskiego pod Jampolem na Podolu, dał takiż na siebie rewers, a z tem wszystkiem znajduje się teraz pod Częstochową, w pułku generała Szuwarowa. Zatém wiarołomstwo Puławskiego równém wiarołomstwém majora Szuwałów zostało pokwitowane. Przydał na ostatek, iż jeżeli jeszcze raz bądź z takiém, bądź z innêm jakiemkolwiek pisaniem do niego przyśle, ten kto je przyniesie, natychmiast zostanie na bramie powieszony. Zrozumiawszy Drewicz z takiego odpisu humor twardy Puławskiego, więcéj go nie kusił. Udał się do Paulinów, których przez sekretne bilety namawiał, aby jakim sposobem Puławskiego zdradzili i do wzięcia fortecy Rossyanom dopomogli, obiecując im

niezmierne nagrody za taką przysługę: przeciwnie, jeżeli się do niéj nie przyłożą, grożąc spaleniem dóbr ich, i po dobyciu fortecy wszystkich w pień wycięciem. Znając Paulini tyrański umysł Drewicza, na wielu duchownych, zamordowanych z lada podejrzenia o sprzyjanie konfederatom pokazany, postanowili ułasić się mu. Odpisali: że ile z nich, będą się starali ułatwić Rossyanom dobycie fortecy, ale że do tego małą mają sposobność, ponieważ Puławski wszystkich ich w jednym kurytarzu osadzonych trzyma pod mocną strażą. Jakoż Puławski, niedowierzając bojaźliwym zakonnikom, ściśle ich trzymał w klasztorze: co jeszcze bardziéj obostrzył, gdy jeden z takich biletów, donoszący Drewiczowi o stanie fortecy mocnym i więcej nad istotność samą wyniesionym, w maźnicy w blaszanéj puszce u prowizora na wieś dla żywności klasztornéj za pozwoleniem swojém wyjeżdżającego znalazł. Nie czynił jednak Puławski za to Paulinom więcéj przykrości, tylko tyle, ile ostrożność wyciągała, uważając, iż to czynili z bojaźni Drewicza okrutnika. Drugi raz przejęto dziewczynę od Drewicza z biletem od Paulinów z podobnąż do zdrady namową pisanym, niosąc dla pozoru koszule jakoby Frenkowéj, żydówce z mężem i córką w fortecy w areszcie osadzonéj od lat kilku, którą dziewczynę Puławski zaraz na bramie obwiesić kazał.

Gdy się te sztuki nie udały Drewiczowi, podstąpił pod fortecę. Puławski z swojej strony przygotował się na przyjęcie Rossyan jak najlepsze, najprzód kazawszy ludziom wynieść się z majątkami, spalił rzuconemi wieńcami ognistemi domy pod fortecą będące. To zrobiwszy kazał zatoczyć w bramę ośm sztuk armat, kartaczami nabitych, we dwa gradusy uszykowanych, otworzył bramę, wyszedł wprost niéj za rogatki z dwoma set piechoty, kazał broń złożyć na ziemię, udając poddawającego się. Na tak powabny widok Drewicz oślepiony chciwością, rozumiejąc, że Puławski przerażony ogromnością armii rossyjskiéj, szczupłéj swojéj sile nie

ufając, upadł na sercu i w saméj rzeczy poddaje się, począł wołać na swoich: „stupajte rabiata, stupajte, poddajet się Puławska!“ (tak go zwali Rossyanie). Zaczém piechota rossyjska, w liniach maszerująca, skoczyła hurmem do fortecy, a gdy się zbliżała na strzelenie z flinty, Puławski swojéj piechocie kazał nagle porwać broń i wydać do Rossyan ognia: toż usunąwszy się na bok bramy, odsłonił armaty w niéj zasadzone, z których sypiąc ogień i z ręcznéj broni, położył trupem do dwóchset, nim uchodząc nazad na raczku tak daleko się odsunęli, że ich kartacze sięgać nie mogły. Dopiero pokłoniwszy się z daleka Drewiczowi, wszedł do fortecy. Drewicz zawstydzony takiém pierwszém przywitaniem, a oraz porywczą lekkomyślnością swoją, cofnął się pod starą Częstochowę, grożąc jak najprędzéj pomścić się na Puławskim. Kazał narobić drabin, spędził kilkaset chłopstwa z siekierami do niesienia tychże i różnych innych posług wojennych. Przez dwie niedziele co noc szturm za szturmem przypuszczał coraz z innéj strony, zawsze ze stratą odpędzony. W dzień zaś kawalerya rossyjska wychodziła naprzeciw kawaleryi konfederackiéj, czyniąc między sobą rozmaite harcowania z małą obu stron stratą. Bo jeżeli Rossyanie upędzili kawaleryą konfederacką, ta uchodziła pod wały fortecy, z któréj armatą od dalszego zapędu nieprzyjaciela wstrzymywano. Toż samo czyniono z obozu rossyjskiego, jeżeli jazda konfederacka jazdę rossyjską pędziła. — Wyrzucili Rossyanie do fortecy 500 bomb, z których dwie tylko wpadły do fortecy: jedna w refektarz, skórą mokrą wołową natychmiast zgaszona, druga w kopułę wieży, z małą tejże szkodą; inne wszystkie albo nie dosięgały fortecy, albo ją przenosiły. — Armata częstochowska tak była donośna, że sięgała pod starą Częstochowę, połowę niemal mili od téj fortecy odległą, co się dało widzieć jednego razu, gdy oficerów rossyjskich jedenastu dla przypatrzenia się dziennym harcom usiadło na stosie drzewa na kupie leżącego, na najwyższym klocu, przy nich ekonom z Kruszyny, ma-

jętności jednéj pani wielkiéj (nazwiska jéj nie pomnę), przełożony nad chłopami do obozu spędzonymi, opowiadacz tego przypadku. Puszkarz częstochowski dał do nich ognia trochę za nisko, że kula uderzyła w sam rdzeń kloca, z którym lecąc na ziemię, pokaleczyli sobie ręce, nogi i głowy. Gdyby był wziął na cel cokolwiek wyżéj, byłby wszystkim postumenta poucinał.

Jednéj nocy, gdy się Rossyanie uciszyli gotując się do generalnego szturmu, Puławski zrobił na nich wycieczkę w 200 ludzi pieszych; napadł na śpiących, rąbał, kłuł bagnetami, biegając między nimi i wołając: „Mospanie Zaremba, tu, tu!“ Ubił ich do 200, nim przyszli do sprawy, którzy w saméj rzeczy rozumiejąc, że Zaremba na nich napadł, miasto obracania się ku fortecy, skąd była wycieczka, obracali się w tył swego obozu, z kąd napaść mniemanego Zaremby być rozumieli. Gdy się zaś postrzegli i do sprawy przychodzić poczęli, Puławski rejterował się pod nocy zasłoną do fortecy, straciwszy swoich tylko 15. Sam jednak ledwo nie zginął, albo nie wpadł w ręce Rossyanom. Bo gdy się spóźnił za swoimi, a Rossyanie już go doganiali, upadł czemprędzéj na ziemię i przykrył się płaszczem, trafunkiem napadniętym. Rossyanie więc rozumieli, że leży trup zabity, minęli go nacierając za konfederatami uchodzącymi; aż gdy z fortecy armatą wstrzymani, do swego się stanowiska wrócili, Puławski podniósł się, i szczęśliwie uszedł do fortecy.

Nakoniec Rossyanie co bądź to bądź przypuścili szturm walny do koła. W jednéj ścianie już byli wysoko na drabinach, od którego kirysyerów rossyjskich imperatorskiego pułku legło 150 i jeden rotmistrz, rodem Kurlandczyk, który jęcząc w fosie do białego dnia wzięty do fortecy, w niéj wkrótce skonał. — Wszystkich zaś Rossyan i chłopów polskich do dźwigania drabin i w tym szturmie legło przeszło 2000. — Po najnieszczęśliwszym tym szturmie jeszcze bombardowali fortecę trzy dni, ale żadnego szturmu nie przypuścili: nareszcie nic nie wskórawszy i bynajmniéj fortecy nie nadwyrężywszy odciągnęli.

O ubieżeniu zamku krakowskiego.

Miasto Kraków i zamek krakowski znajdowały się w ręku rossyjskich w jak największem bezpieczeństwie, ponieważ konfederaci o wyparcie ich z tego siedliska nigdy się nie kusili. Jednakże szczęście zrobiło sobie raz igraszkę: że bez szturmu na kilka niedziel zamku krakowskiego konfederatom powierzyło. — W tym zamku znajdował się niewolnikiem Besiekierski, konfederat łęczycki, po wygojeniu się z ran przez nadskakiwanie oficerom rossyjskim, wolném chodzeniem po zamku bez pilnowacza żołnierza udarowany. A jako ptak, choć się ma najlepiéj w klatce, jednak myśli ustawicznie, jakby z niéj wylecieć, tak téż i Besiekierski spaceru nieużywał z indifferencyą, tylko szukając dziury, którąby mógł wycisnąć się na świat. — Jednego dnia zaszedłszy w kąt pod mur ku Wiśle prowadzący, natrafił na loch zarosły z wierzchu krzewiną. Spuściwszy się weń, wyszedł nim na zamek nad Wisłą ku Tyńcowi i naznaczywszy ową jamę, którą wyszedł na wolność, co prędzéj pospieszył do Tyńca: opowiedziawszy, jakim sposobem uszedł z niewoli, i że tym sposobem mógłby być zamek ubieżony, dodał ochoty do wykonania tak pomyślnego zdarzenia, ile gdy opowiedział, że w zamku mało co jest Rossyan i komendant z oficerami bawi się w mieście. Wybrali tedy konfederaci z pomiędzy siebie czterdziestu, szablą tylko i karabinem uzbrojonego. A dla poznania się w ciemności nocnéj koszule na wierzch sukien powdziewawszy, ruszyli w marszu jak najcichszym pod komendą pułkownika francuzkiego Szoazel, zwanego za przewodnictwem owegoż Besiekierskiego. Weszli owym lochem w zamek, rzucili się na odwach, z którego ubiwszy kilku w pierwszym impecie, resztę poddającą się bez oporu jako snem rozmarzoną i niespodzianym atakiem prawie z zmysłów ogołoconą zagarnąwszy w niewolę, do jednéj piwnicy wszystkich wtarasowali. Toż samo uczynili i z tymi, którzy usłyszawszy rozruch, z kwater na sukurs do odwachu się zbiegali: a tak w momencie prawie bez najmniejszéj

swojéj straty zostali panami zamku. Komendant rossyjski, będący w mieście, przerażony tym niespodziewanym przypadkiem, chciał garnizonem małym, będącym w mieście, rzucić się do odbicia zamku. Lecz Szoazel, aby go od tego zamysłu odstraszył, kazał konfederatom biegać ile sił po zamku, i ze wszystkich okien bez przestanku sypać ogień na snujących się po mieście Rossyan, co ich strwożonych mniemaniem wielkiéj siły, do nadejścia sukursu zatrzymało, a oraz dało sposobność konfederatom opatrzenia przyzwoicie zamku w ludzi i amunicyą: do którego najprzód Walewski marszałek wstępnym marszem w dzień odstrzeliwając się, dwieście ludzi, a potém w kilka dni ówże Szoazel, idąc na przebój zastępującym sobie Rossyanom i gwardyi konnéj koronnéj, Mirowskim zwanéj, z Warszawy na sukurs Rossyanom nadeszły, ale murem stawić się na drodze konfederatom obcesowo z ogniem i ręcznéj broni i armaty idącym nieśmiejącéj, tylko z daleka zaskakującéj tak jak i Rossyanie, wprowadził szczęśliwie do zamku czterysta konfederatów.

Opatrzywszy tedy należycie ludźmi i amunicyą zamek, bronili się w nim mężnie konfederaci przez sześć tygodni. Lecz na początku szóstego tygodnia poczęło konfederatom zbywać na żywności, któréj z nikąd dostać nie mogli, będąc znaczną siłą nieprzyjaciela z różnych miejsc pociągnionego pod Szuwarowem i Branickim zewsząd opasani. Jeden Tyniec, jako bliski tylko milą drogi od Krakowa, mógłby ich był potrzebami przez odważne nocne wycieczki suplementować. Lecz Walewski marszałek po odprowadzeniu do zamku pierwszego wydziału konfederatów powróciwszy do Tyńca, stał się zupełnie nieczynnym. Zachwycił zapewne od Branickiego przekonywającéj wiadomości: że konfederacya niema żadnego fundamentu i że wkrótce koniec weźmie. — A tak niemając z nikąd wsparcia, pozjadawszy wszystkie konie, a Francuzi jako delikatniejsi, wszystkie koty, które złapać mogli, na ostatku poddać się musieli.

O końcu Pułaskiego i reszty konfederacyi.

Puławski dowiedziawszy się, że Zaremba przeszedł na stronę rosyjską, mając go dawno za podejrzanego, wtenczas zupełnie osądził go za zdrajcę. Wziąwszy tedy 600 ludzi, szedł spieszno do dóbr jego pod Piotrkowem leżących, z intencyą zrabowania ich i spalenia. Pod Radomskiem, mil 8 od Częstochowy będącego doszedł goniec wyprawiony od Radzimińskiego, komendanta pod ten czas w Częstochowie, donoszący mu, że Austryacy wypędzili generalność z Preszowa, że pod pozorem zasłonienia konfederatów od Rosyan opanowali Tyniec, Lanckronę i Bobrek, wyrugowawszy ztamtąd konfederatów poobdzieranych z broni, koni i wszystkich bagażów, niewiedzących, co się stało w Preszowie, i dla tego Austryakom za przyjaciół mianym wnijścia do pomienionych fortec niebroniących: że takimże chydnym sposobem obeszli się z generalnością: że Radzimiński przestrzega go, jako o porwanie króla obwinionego, azatém w największém niebezpieczeństwie od wszystkich konfederatów zostającego, aby się jak najprędzéj wrócił i radził o sobie zaniechawszy Zarembę, który, że się wywikłał z honorem z nieszczęśliwéj konfederacyi, wart, (gdy można) naśladowania, nie zemsty. Przerażony Puławski tak okropném doniesieniem, wrócił się czemprędzéj do Częstochowy, gdzie rozmówiwszy się krótko z Radzimińskim, uszedł w pięć koni za granicę pod ukrytą osobą. Przebrał się do Ameryki, gdzie pod ten czas Amerykanie prowadzili wojnę z Anglikami, wybijając się z pod ich jarzma.

Sejm następujący w Warszawie ponowił dekret na Puławskiego: osądzony za królobójcę, za zdrajcę ojczyzny, i głowa jego na śmierć od kogokolwiek wskazana. — Puławski w amerykańskiém wojsku tak się wsławił walecznością swoją, że został generałem. Lecz wkrótce przyszła wiadomość, że w jednym ataku okryty wielą ranami umarł. Późniéj zaś: że po skończonéj wojnie w pojedynku od jednego Anglika zginął. Bądź

w ataku, bądź w pojedynku zginął: to pewna że nieżyje, i żadnéj o nim więcéj wiadomości niebyło i niemasz.

Chcieli Austryacy tym sposobem opanować Częstochowę, którym opanowali Lanckoronę, Tyniec i Bobrek, lecz ta sztuka już była wiadoma Radzimińskiemu, dla tego ich dobrowolnie nie przyjął. Oni też atakować nieśmieli, aby ze wstydem nieodeszli, a do tego że Częstochowa w ich podział, który wkrótce po konfederacyi nastąpił, Polski, niewpadała. Niechcieli tedy nakładem swojego życia komuś innemu służyć, Radzimiński dosiadywał w Częstochowie, póki nie nadszedł książę Galiczyn, generał rosyjski, z niewielką dywizyą. Jemu tedy Radzimiński, niemając dalszego opierania się fundamentu, oddał fortecę przez kapitulacyą, która zawierała w sobie: 1. że konfederaci wyjdą z fortecy bez broni, tylko z rzeczami swojemi, a oficerowie tylko z szablą przy boku: ale zaraz wyszedłszy za obóz rosyjski powinni się rozejść z kupy, żadnych odtąd dywizyów nieformować, i dać na siebie starszyzna rewersa, jako odtąd żadnego rozruchu w kraju czynić niebędą: jako zupełnie związku barskiego odstępują i generalności preszowskiéj jako zniszczonéj: jako ją za bunt poczytują: jako Stanisława Poniatowskiego za prawego swego króla uznają. 2. Że ludzi z regimentu gwardyi konnéj koronnéj, zabranych pod Krakowem, a znajdujacych się w fortecy, z końmi, bronią i wszelkim munderunkiem, nieukrywając żadnego między sobą żołnierża, w téjże fortecy wiernie zostawią. 3. Że oficerowie tylko ci przy rangach swoich i przy dalszéj służbie zostaną, którzy przed zabraniem od konfederatów w tymże regimencie służyli; którzy zaś od generalności konfederackiéj kreowani zostali, żadnego znaczenia mieć niebędą i razem z innymi konfederatami z fortecy oddalić się powinni. —

Po takiéj kapitulacyi Radzimiński otworzył bramę i wyszedł z wszystkimi konfederatami. — Lecz inne komendy rosyjskie, niezważając na paszporty Gali-

czyna, gdzie tylko napadli konfederatów powracających z Częstochowy, wszędzie obdzierali.

Galiczyn, pobożny Rosyanin, odebrawszy fortecę, żadnéj krzywdy Paulinom tamtejszym nieuczynił, owszém ludzko się z nimi obchodził. Żakupił mszą świętą przed obrazem cudami słynącym i téj klęcząc słuchał. Oglądał skarbiec nietykany zostawiwszy.

Armaty wszystkie śpiżowe przeprowadzili Rosyanie do Warszawy, a zabawiwszy kilka niedziel w fortecy, oddali ją regimentowi polskiemu generała Wybranowskiegó.

Mazowiecki regimentarz ziemi Dobrzyńskiéj, i Wielichowski rotmistrz i Bońkowski porucznik konfedercyi wielkopolskiéj, niemogąc sobie wyperswadować, że to już przyszedł koniec konfederacyi, mając nabitą głowę posiłkami zagranicznemi, włóczyli się jeszcze ze cztery niedziele po województwie lubelskiém i sandomirskiém. Napadli raz w Kozienicach na huzarów, niedawno Zarembowskich, wtenczas już królewskich, ubili kilku i zabrali im dziewięć koni. Lecz niedługo po téj akcyi rozpędzeni od Rosyan z stratą kilkunastu swoich, więcéj się niezbierali. Mazowiecki wszedł za granicę, jako masz wyżéj. Wielichowski zaś i Bońkowski, mniéj znaczni w kraju, ukrywali się w nim aż do sejmu, który dla wszystkich konfederatów ogłosił generalną amnestyą, pod zasłoną któréj zaciągnęli się na towarzyszów do kawaleryi nadwornéj.

PAMIĘTNIKI
JANA CHRYZOSTOMA PASKA.

Poznań 1840.

Rok 1657.

Roku pańskiego 1657, mieliśmy wojnę węgierską, na którą były zaciągi nowe, między któremi zaciągał też Filip Piekarski, krewny mój, z któréj przyczyny i ja tam po-

jechałem. Złodziéj Węgrzyn, szalony Rakocy, świerzbiała go skóra, tęskno go było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niżli węgierski smaku.

Jako Xerxes podniósł przeciwko Grecyi wojnę, tak i pan Rakocy podobnąż szczęśliwością we czterdzieści tysięcy Węgrów z Multanami, Kozaków zaciągnąwszy drugie tyle, wybrał się na czosnek do Polski: Aleć dano mu nietylko czosnku, ale i dzięglu z kminem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię; palił, ścinał, gdzie tylko zasiągł, wodę a ziemię zostawując. Potém od matki Rakocego wielki okup wziąwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby wszystkiego czosnku niezjadał, i przynajmniéj na rozmnożenie zostawił! A my téż już z Czarnieckim posługiwali jakeśmy umieli; i tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wszystko wojsko zgubił, sam się w nasze ręce dostał; potém uczyniwszy targ o swoję skórę, pozwolił miliony, i uprosiwszy sobie zdrowie, jako Żyd do granicy w bardzo małym poczcie udał się, kilku tylko wielmożnych hrabiów zostawując w zastaw umówionego okupu, którzy z razu wino pili, na srebrze jadali w Łancucie; jak zaś nie było widać okupu, pijali wodę, drwa do kuchni rąbali i nosili, i w téj nędzy żywot kończyli. Okup przepadł, on téż sam (Rakocy) nigdzie nie mając oka wesołego, bo gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przekleństwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiéj pogubił, wpadł w desperacyą i umarł. Otóż masz czosnek! Kiedy na tę wojnę wyjeżdżał Rakocy, pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia; w oczach jéj padł koń pod nim. Kiedy mu matka perswadowała, żeby zaniechał téj wojny, mówiąc, że to znak jest nie dobry, odpowiedział: że to nogi końskie złe, ale nie znak. Przesiadł się tedy na innego; aż tu złamał się pod nim most i znowu spadł z konia; na to powiedział, że dyl był zły. Jak to przecie przepowiedzenia te zwyczajnie rade się sprawdzają!

Rok 1658.

Roku pańskiego 1658 król z jedném wojskiem pod Toruniem, drugie wojsko w Ukrainie, jedna zaś dywizya z panem Czarnieckim. Pod Drahimem staliśmy przez miesięcy trzy. Na końcu Sierpnia poszliśmy do *Danii*, na pomoc królowi duńskiemu, który uczynił dywersyą wojny szwedzkiéj u nas w Polsce; nie tak ci to on podobno uczynił z politowania nad nami, lubo ten naród jest od dawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nie-

nawiść i owe zawzięte w sąsiedztwie nieprzyjaźnie, chwycił się sposobności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić. Wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał. Gustaw, wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy z Polski i niektóre fortece w Prusiech osadziwszy, potężnie przycisnął Duńczyków, tak, że i swoje od nich odebrał i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy koloryzując rzecz swoję, że to właśnie z miłości ku narodowi naszemu uczynił, że pakta złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs Polaków: prosił też i cesarza. Cesarz wymówił się paktami, które miał z Szwedem, i że z téj przyczyny posłać posiłków nie może. Druga wymówka była, że wojska natenczas nie miał, pozwoliwszy królowi polskiemu zaciągnąć wszystko na jego usługę. Król tedy nasz posyła Czarnieckiego z sześciu tysięcy wojska naszego. Posyła też, wprawdzie z swego ramienia, generała Montekukulego z wojskiem cesarskiém. Tam kazano nam iść kommonikiem (t. j. jezdno, — bez wozów z prowiantem); Wilhelm zaś, elektor brandenburgski, był w osobie króla polskiego, i onto był nad temi wojskami niejako naczelnikiem. Zastawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplinku, mając nadzieję powrócić do nich najwiecéj za pół roku.

Tam kiedyśmy wychodzili, było bardzo wiele i różnych namyślań w ludziach wojskowych. Trwożyło to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie postała, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, któregośmy potęgi w ojczyznie naszéj wszystkiemi siłami nie mogli wytrzymywać! A jeszcze też nie było udecydowaném, żeby wojsko cesarskie miało z nami pójść. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię boskie wziąwszy na pomoc, tém się najmniéj nietrwożył, ale szedł śmiele tam, gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwém ojcowskiém i macierzyńskiém, obiecując gorąco majestatu boskiego błagać i upewniając mię, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli bożéj. Gdyśmy tedy poszli do Międzyrzecza, już na granicy uchodziło siła kompanij i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków, z pod tych nowo-zaciągniętych powiatowych chorągwi, jakoto: starosty osieckiego, półku wojewody podlaskiego, Opalińskiego. Chorągiew Kozubskiego wszystka się rozjechała, sam tylko

z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł. Wojewody sandomierskiego Zamojskiego, chorągwi huzarskiéj została wszystka kompania, prawdziwiéj, pouciekała, tylko przy chorągwi sześciu towarzyszów i namiestnik zostawszy; poszli przecie z nami i włóczyli się tak przy wojsku; zwaliśmy ich cyganami: że to w czerwonych szatach była czeladź. Z pod inszych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Tak oni tchórzowie i dobrym pachołkom serce byli zepsuli, że nie jeden wodził się z myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojéj intencyi swoje Bogu złożył śluby; zaśpiewało wojsko polskim trybem: *O gloriosa Domina;* konie zaś po wszystkich półkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to osądzili za znak dobry, jakoż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki obejrzawszy się, pomyślił sobie: „miła ojczyzno! czy cię téż już więcéj oglądać nie będę!“ Jakaś tęskność ogarniała z razu, póki blisko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jakby ręką odjął; a daléj poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało. Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uprzejmie, wysławszy kommisarzów swoich jeszcze za Odrę. Pierwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrzynem, i tak dawano wszędy, pókiśmy elektorskiego państwa nie przeszli, i przyznać to musimy, że dobrym porządkiem: bo już było takie urządzenie, żeby noclegi były rozpisane przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Postanowiona téż była w wojsku naszém maniera niemiecka, że przechodząc miasta, oficerowie z szablami dobytemi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź bandolety do góry trzymając. Karanie zaś było za przekroczenia już nie ścinać, ani rozstrzelać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włoczyć po majdanie, (t. j. po placu) tak we wszystkiém, jako na uczynku złapano według dekretu, albo téż dwa lub trzy razy na koło; zdało się to zrazu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna to jest męka, bo nie tylko suknia ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości.

Ruszyło się potém wojsko do Nibolu, ztamtąd do Apenrade, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do *Haderschleben*, gdzie wojewoda sam stanął z jednym tylko półkiem naszym królewskim i półkiem jego dragonii; inne zaś półki w Kolbryku, w Horsenz i po inszych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiéj miało iść wojsko w duńskie królestwo, uważał to jednak dowódzca, żeby stanąć na zimę jako najbliżéj z téj przyczyny, aby przecie więcéj jeść

chleba szweckiego niż duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek wybiegały, mszcząc się na nich krzywd naszego narodu. Opisaćby siła było, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeże od nich krzywdy w ojczyźnie swojéj. Prowadzono z czat wszelakich prowiantów a szczególniéj miodu wielką wieziono obfitość: bo po polach lada gdzie przestronne pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach; ryb wszelkiego rodzaju podostatkiem, chleba siła, wińsko złe, ale zaś miody dobre; drew o male, bo ziemię rzniętą a suszoną palą, z któréj węgle są takie jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze; jeleni, zajęcy, sarn nad miarę i nie bardzo płoche, bo się nie każdemu godzi je szczuwać; wilków téż tam nie masz i dla tego zwierz nie płochy, da się zjechać i blisko do siebie strzelić, a osobliwie takeśmy je łowili: upatrzywszy stado jeleni w polu, (bo i pod wieś przychodziło to licho jak bydło), to się one objechało z téj strony od równego pola, a potém skoczywszy na koniach i krzyk uczyniwszy, nagnało się je na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a któreto doły są bardzo głębokie i szerokie, w które tego dużo nawpadało; ztamtąd dopiero trzeba je było wywłóczyć i rznąć. O wilkach namieniłem, że ich tam niemasz; prawo bowiem takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tak po miastach jako téż i po wsiach, i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go albo umorzą, albo utopią, albo złapią, a nie obdzierając go, tak ze wszystkiém na wysokiéj szubienicy, albo na drzewie, obwieszają na grubym żelaznym łańcuchu, i tak długo wisi, póki kości staje. Nietylko rozmnożyć, ale i prezentować się wilkowi nie dadzą. Kiedy mu się zdarzy wniść na jeleninę, to z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki; z inszej zaś strony nie ma nigdzie przystępu: bo z jednéj strony morze baltyckie, z drugiej strony od północy Ocean oblewa to królestwo; chyba, żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął okręt do przewozu, zapłaciwszy od niego dobrze! Z téj przyczyny zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś nie masz z téj przyczyny, że to jest zwierzę głupie: przelęknąwszy się lada czego, to wpadną w morze i utoną.

Lud też tam nadobny; białogłowy gładkie i zbyt białe; stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie; gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki. Sposób życia ich ucieszny bardzo: bo rzadko

co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą, (bo tam białogłowa młóci cepami jako i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem to posiędą na słomie, i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kąsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszéj kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namieszawzy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych, tém kiszkj owego bydlęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieńcem na wielkiéj misce koło głowy owegoż bydlęcia te kiszki, i tak to na stole stawią przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach ślacheckich tak czynią; i mnie częstowano tém do uprzykrzenia, ażem powiedział, że się Polakom tego jeść nie godzi, boby nam psy przyjaciółmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, chyba wielcy panowie, bo od nich wielki podatek na króla idzie; powiadali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szerokie, przy których krzesełek stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadłszy to się tak ogrzewają; albo téż, dla lepszego izby ogrzania, jest w środku izby rowek jako korytko, który węglami napełniwszy, rozedmą z jednego końca i tak się to żarzy i ciepło sprawuje. Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtém bywały katolickie nabożeństwa; piękniejsze téż, niżeli u naszych polskich Kalwinistów, bo są ołtarze, obrazy po kościołach. Bywaliśmy téż na kazaniach, gdyż umyślnie dla nas gotowali się po łacinie i zapraszali na swoje *praedikta*, (bo tam tak zowią kazanie), i tak kazali ostróżnie, żeby najmniejszego słowa nie wymówić przeciw wierze; rzekłby kto, że to rzymski ksiądz każe; i tém szczycili się mówiąc: my w to wierzymy co i wy, daremnie nas nazywacie odszczepieńcami. Ale po staremu ksiądz Piekarski łajał o to, żeśmy tam bywali.

Wspomniony elektor Wilhelm bardzo się nam grzecznie stawiał, we wszystkich okazyach akkomodował się, częstował, popolsku chodził. Kiedy wojsko przechodziło, więc zwyczajnie ten tego, ten téż tego powita, to on wyszedł przed namiot, lub téż przed stancyą jeżeli w mieście stał, i trzymał tak długo czapkę, póki wszystkie niepoprzechodziły chorągwie. Pono téż to on spodziewał się, że go powołają na państwo po śmierci Kazimierza. Jakoż ledwieby było do tego nieprzyszło, gdyby był nie podrwił poseł podczas elekcyi, któremu gdy rzekł pewien senator: „niech książe jmć porzuci Lutra, a będzie u nas

królem", odpowiedział na te słowa, deklarując: „żeby tego nie uczynił i dla cesarstwa"! a co mu książe miał bardzo za złe i złajał go, że tak grubiańsko odpowiedział, nie pytawszy go się o to. Tam będąc w Danii znosił się z nim wojewoda często, gdyż on był w osobie króla polskiego i miał dowództwo tak nad naszém jako i nad cesarskiém wojskiem, którego było 14,000 z generałem Montekukulim, a z nim było Prusaków 12,000, ale lepszego ludu niżeli cesarscy.

Aż tam już radzą jak się pod *Koldyng* zamek podszańcować, jak mury rąbać; a czém rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz Wołoszy z pod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy, dla nabycia siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie leżało. Skoro tedy zegary poczęły bić i z północka kazano trąbić pobudkę, wstał sam strażnik, mało co śpiąc, i owe siekiery kazał podzielić między chorągwie i piechotę; w godzinę po pobudce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmu za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach, dla postrzału od ręcznéj strzelby; ażeby wszyscy raz skoczywszy pod mury i jako najlepiéj przycisnąwszy się do nich, żeby z góry nierażono, drugim odstrzeliwali. Gdy tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżéj pod miasto. Ja téż dopiero do księdza; rzecze mi potém: pan porucznik Charlewski prosi cię z ochoty do przywodzenia czeladzi! „Niechże tam już oni idą, a waść zostań", odpowiem. „Już to wszyscy słyszeli, żeś mię waćpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam; pójdę". Jakeśmy z koni zsiedli, aż téż zsiada Kossowski Paweł i Łącki. Było nas tedy przy czeladzi z pod naszéj chorągwi pięciu; ale komenda po staremu przy mnie była: bo mi już była dana dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę. Oddawszy się tedy Boskiéj i jego Najświętszéj Matki protekcyi, każdy swoje z osobna Jego S. Majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się téż już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Ksiądz Piekarski, Jezuita, uczynił do nas exortę w ten sens: „Lubo wdzięczna jest Bogu ofiara każda, z serca szczerego dana, to ta osobliwie najmilsza ze wszystkich, kto krew swoję za dostojeństwo Jego świętego Majestatu na plac niesie. Za cóż pobłogosławił Abrahamowi, że wszystek świat plemię jego odziedziczyło? tylko za to, że na jedno Boskie rozkazanie z ochotą krew ukochanego poświęcił Izaaka. Woła na nas krzywda Boska, od tego narodu poniesiona; wołają świątnice pańskie, od nich po całéj Polsce zprofanowane; woła krew braci naszych i ojczyzna ręką ich spustoszona; woła na ostatek.

Najświętsza Panna, Matka Boska, która jest imienia przeczystego, że ten naród jest bluźniercą! żebyśmy za te pretensye ujęli się szczerze, żeby w osobach naszych widział jeszcze świat nieumarłą przodków naszych sławę i fantazyą. Niesiecie tu, odważni kawalerowie, z Izaakiem krew swoję na ofiarę Bogu; upewniam was imieniem Boskiem, że kogo Bóg, jako Izaaka, samą jego kontentując się intencyą, zdrowo i z sławą dobrą z téj wyprowadzi okazyi, i nadal wszelkiém swojém nagradzać mu będzie błogosławieństwem; kogoby zaś cokolwiek potkało, za najświętszy majestat Boga i Matkę jego wylana kropla krwi, by najcięższe, wszystkie obmyje grzechy i wieczną bez wątpienia w niebie zgotuje koronę. Oddajcież się Temu, który dziś ubogo w jasełeczkach położony, krew swoję ochotnie dla zbawienia waszego ofiaruje Bogu Ojcu. Ofiarujcież te swoje teraźniejsze czyny w nagrodę jutrzejszego nabożeństwa, które zwyczajnie o tym czasie odprawiamy, witając nowego Gościa Boga, w ciele ludzkiém na świat zesłanego. A ja w tym mam nadzieję, którego przenajświętsze wspominam imię Jezus, i w przyczynie przenajświętszéj Jego Matki, do któréj wołam: „broń czci syna Twego!“ Przyczyną swoją Matko u Syna spraw to, żeby tę imprezę raczył pobłogosławić, żeby tę zacną kawaleryą szczęśliwie z tego upału wyprowadził, i na dalszy zaszczyt swego Boskiego Majestatu zachować raczył. Tych tedy w przedsięwziętą drogę daję wam wodzów, zastępców i opiekunów; w tych gruntowną pokładam nadzieję, że was wszystkich powracających w dobrém witać będę zdrowiu“. — Mówił potém z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy, to jest te, co się odprawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy do niego bliżéj, rzekłem: „ja też proszę mój dobrodzieju o błogosławieństwo“. Ścisnął mię z konia za głowę i błogosławił, a zdjąwszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: „idźże więc śmiało, nie bój się“. Ksiądz Dąbrowski, także Jezuita, jeździł do innych półków; ten prawie więcéj płacze niżeli mówi; bo taki miał zwyczaj, choć był nie zły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozpłakał się i nie skończył kazania, a narobił śmiechu.

Tymczasem powraca trębacz do Szwedów wysłany, częstując nas ich słowami: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazya kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardżiéj i tu się nie boimy“. Zaraz potém zaczęli strzelać; bo nas lekce ważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden półk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonowa ludzi trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to

ludzie do szturmów nie zwyczajni i pójdą w rozsypkę jak raz ognia dadzą, co nam sami więźniowie powiadali.

Już każdy z pachołków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy téż z bronią palną; a w tém przyjeżdża wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojéj opiece i imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fossę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ Że zaś tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni: bo to samém było świtaniem w dzień narodzenia pańskiego, zacząłem tedy z tymi, co w mojéj komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego.“ Wolski także Paweł, który potém był starostą lityńskim, towarzysz natenczas królewskiéj pancernéj chorągwi, co także swojéj chorągwi czeladź przywodził, kazał tóż samo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fossy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czaladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fossę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali owę fossę tak, że już daleko lepiéj było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z półku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdował w nich kulę, co i do połowy nieprzewierciała. Wychodząc tedy z fossy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus, Marya!“ lubo insi wołali: „hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcéj pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan *hu*. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecą kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pachołkami, że przy srogim filarze, albo raczéj narożniku, było jakieś okno, w którém srodze gruba żelazna krata; zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę: ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiém piętrze nad nami także takie okno, z takąż kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innéj strzelby nie mógł strzelać do nas i wysadzać się nijak, dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam téż kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcéj rąk pokazować, ale tylko kamienie wypychali na nas przez owę kratę; ale już się tego przecie snadniéj można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak rąbią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby

Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owéj kraty widać, radziśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; roskosz, by coprędzéj wniść pod dach; ale że nie było czém owéj kraty wyważyć, musieli jeszcze daléj rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włazić pojednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „ja wlezę". Tylko wlazł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go też tu nazad wydzieramy; ledwieśmy chłopa nie rozerwali; woła na nas: „dla Boga, już mię puśćcie, bo mię rozerwiecie!" Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia". Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopieroż my po jednemu owém oknem leźli; już nas tam było z półtorasta; tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, co to znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie z sklepu i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcéj ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znakiem proszenia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego: powiadali bowiem dawniéj, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamięszania w wojsku nieprzyjacielskiém. Wolski także z swoimi w dziedzińcu. Nie masz nic. Wszyscy ludzie porozsadzani, i każdy swojéj pilnował kwatery. Aż tu widać, po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swoich towarzyszów: „a otoż mamy gości." Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem; bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wziąść na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot; wychodzą tedy w dziedziniec i zaraz stawają do ordynku; my też do nich przystępujemy; już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo ich już był Tetwin, obersztleitnant, z dragonią złamał. Skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam też wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na schody, zkąd przyszli; drugich zaraz lewem skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich siec! Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem; dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę,

w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. Gdy się to dzieje, wchodzi téż Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: „a tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało?“ „My,“ odpowiedział Wolski; „ale i dla was będzie, ano wyglądają z wieży.“ A w tém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: daj sam, zetnę go; on prosi: niech go pierwéj rozbiorę, bo suknie na nim piękne pokrwawią się. Rozbiera go tedy; wtém przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego, i mówi: panie bracie, gruby ma kark na waszmości młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli nasi i do sklepu w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z luntem zapalonym i bierze téż proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący! kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry, latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na któréj wierzchu nie było dachu, tylko płasko; cyną wszystka pokryta, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężnozłociste, a w koło tego statuy także na rogach także z mosiędzu, a grubo-złociste; miejscami téż osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieuszkodzonych z bliska nie widział, ale po rozrzuceniu przypatrowaliśmy się. A jednę wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była jak kobieta żywa, do któréj na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona komendanta, wyrzucona prochami; a tu leżała owa statua, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznać tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na téj wieży, albo raczéj sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacye jadali, tańce i różne odprawiali zabawy, bo jest w ślicznéм bardzo położeniu; może z niéj wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżą komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nie rychło, prosili; co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć;

dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiéj, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczono; Piotr święty przywarł zaraz fórtkę, mówiąc: „A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i nie potrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupno, jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem, chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili? A przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobolę, szlachcica tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został; i teraz strzelaliście gęsto, a nie wieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny; a toż macie jego usługę!“ Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się zbudowali tę samołówkę: bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli ten przypadek obaj królowie, duński i szwedzki; widziały wszystkie wojska cesarskie i brandenburgskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szweckiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś inszego; niemasz tego u Polaków w zwyczaju, tylko na wielkanocne święta. Po oném szczęśliwém zwycięztwie zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętéj słuchać; mieliśmy księdza, ale nie było apparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą apparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: „Panie bracie, przynajmniéj ręce umyć.“ Odpowie ksiądz: „Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.“ Spotykaliśmy potém naszych lóżnych, wiozących naszym różny zasiłek.

Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyczajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką; oboje mógłby był mieć od elektora blisko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała się sława, ufając w Bogu porwał się i dokonał.

Rok 1659.

Rok pański 1659 zaczęliśmy tamże w *Haderschleben*, daj panie Boże szczęśliwie, gdzie zażywaliśmy i mięsopusty, lubo nie z taką przecie, jak w Polsce, wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę *Alsen*, która że nam w tyle zostawała, dla tego téż nam na wielkiéj była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano i zdobycz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koło niéj wojsko brandenburgskie i z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nię nie śmieli, czyli téż nie chcieli, jak to powiadają, że „kruk krukowi oka nie wykole.“ Wojewoda pojechał raz na rozpoznanie w trzysta koni, wprawdzie na przejażdżkę; nic nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość była wszelka i na koń wsiadano. Jużeśmy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku: bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności, i takeśmy jechali. W pewném miejscu odcięliśmy lód siekierami: bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; to samo uczyniła dragonia na drugiéj stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedziała w mieście i po wsiach. Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku téj odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć: bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; półki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął, i kazał każdéj chorągwi odpocząć, a potém daléj. Konie już były do pływania probowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mięszano, nie dając mu tonąć; dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potém zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew téż każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych téż co przybywali na pomoc, przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich

jako w dym! Powiadali zaś więźniowie: „rozumieliśmy na was, żeście djabli, nie ludzie.“ O komendanta tamecznego przysłał król duński z prośbą, żeby mu go żywcem dostawić, bo miał do niego wielką jakąś pretensyą; nie wiem, jak go tam przywitano. Po owéj robocie, jak się wojsko dorwało do ciepłéj izby, kto go mógł złapać, chłopa lub też kobietę, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrząsnąwszy tedy ową wyspę, bo to nie wielka, jeno jéj siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam wojewoda na komendzie grzecznego kapitana, szlachcica duńskiego, z ludźmi nowozaciężnymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali, i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały; wziął jednak wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomięszał ich między dragonią, w nagrodę tych, co przecie tu i owdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie: gdzie drwa rąbią tam wiory padają. Potém wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy ten rok pięknie się skończył wzięciem *Koldynga* z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się w fortunnie zaczął, wzięciem tak chwalebnie téj wyspy Alsen.

PRZEWAGI
Elearów polskich, co ich niegdyś Lisowczykami zwano

przez

Wojciecha Dębołęckiego. 1623.

O przyczynie zaciągu Elearów polskich na cesarską.

Stojąc na niepochybnéj prawdzie słów Bożych, iż bez niego nic nie możemy: jemu samemu w Trójcy ś. jedynemu, naprzód przyczytać się musi przedziwna opatrzność jego, i uznana być wszechmocność ręki jego nad kościołem św. katolickim. Dla którego, aby bramy piekielne przeciw niemu nie przemogły, sam Elearów Polskich serca do siebie przyciągnąwszy, ich przeciwko nieprzyjaciołom wiary św. obrócił, męstwa dodał, szczęściem błogosławił, i sam im hetmanił.

Gdy albowiem w bujnoczęsnych krajach cesarskich, niebaczni poddani jego, jadem wielorożnych herezyi zarażeni, i nimi jako truciznami nadęci, zapuchłe oczy mając do obaczenia prawdy, naprzód na kościół św. katolicki bluźnierskie usta swoje wywarli, a potém tych obecnych lat, i na wła-

snego pana swego, cesarza chrześciańskiego Ferdynanda II. samą świątobliwością nad insze nieszczęśliwego, (gdyż według Pawła św. wszelki pobożnie w Chrystusie żyjący, przenaśladowanie mieć musi) zbrojno-wojenną rękę podnieśli, jemu wiernych katolików z zamku Praskiego na pański despekt oknem powyrzucali, i naostatek, przeklęci, dla ufnosci w samych sobie, zbrojach, fortecach, i fortelach swoich, tak wysoko w zaczętéj rebelii postąpili, iż mniemanych panów sobie naobierawszy, pod ochroną ich, kościoły katolikom gwałtem brali, ciała wiernych z grobów dobywali, relikwie świętych Bożych palili, na ółtarzach bluźnierstwy swemi gniew Boży na naród ludzki wzbudzali; obrazy świętych, a na ostatek i krucyfiksy deptali, kielichy, krzyże, i insze srebra kościelne wiecznemi czasy na chwałę Bożą oddane, na pieniądze przerabiali, dzwony na działa przelewali, kapłany i zakonniki męczyli: którémi i inszémi podobnemi skutkami niewiar swoich rozruchani, w roku Pańskim 1620 niesłychaną ludzką potęgą z pomienionymi pany swemi mniemanymi, to jest: Niemcy z Frydrychem, Falsgrafem Palatinem Renu, a Węgrowie z Bethlem Gaborem, wojewodą Siedmiogrodzkim, od Czechów na ratunek wezwanym, pod Wiedeń przyszli dobywać pomazańca Bożego, którego przed tém za cesarza i pana swego obrawszy, jemu przysięgali: O jak straszna rzecz była patrzyć wtenczas z wiedeńskich murów, tak na arcyzbrojną potęgę Czechów, Morawców, Rakuzan, Szlązaków i wszystkiéj prawie Rzesze (choć cicho) tratującéj pod opieką Frydrycha, bałwannego króla czeskiego, w ogrodzie cesarskim, gdzie więc lwy i insze bestye chowywał, wykrzykujących; jako i niezliczone Węgierskie mrowie pod tytułem Bethlemgaborowym, po polach Wiedeńskich biegające! O jako brzydko było słuchać niebezpiecznych o zdradę wnętrzną przegróżek, samychże Wiedeńczyków! O jako żałośna rzecz patrzyć na niewinnego cesarza Chrześciańskiego, zewsząd utrapionego, na męczeńską koronę gotowego; ale saméj się tylko klęski kościoła Bożego, a tém większego katolictwa przenaśladowania bojącego! O jako do serca przenikały głosy wielu biskupów i inszych niezliczonych kapłanów, którzy z różnych miejsc zbiegali się współumrzeć z pomazańcem Bożym, a widząc ono według Dawida św. zgrzytające pogaństwo i narody próżnomyślne około stojące, z swymi królami szczeroziemskimi i książęty współzgromadzonymi przeciw Panu Bogu i przeciw pomazańcowi jego, wołali nie wychodząc z kościołów do władce wojsk wszystkich: *Excita domine potentiam tuam, et veni ut salvos facias nos.* Wzbudź panie moc twoję, a przyjdź, abyś nas zbawił!

W takiém utrapieniu widząc cesarza Chrześciańskiego

w Wiedniu z ostatkiem katolików między wnętrznymi zdrajcami zawartego, ktoby był nazwał Wiedeń Bethulią, cesarza Danielem między lwami, a jego wiernych gromadkę Zuzanną między dwoma w zawziętéj niecnocie starcami, Frydrychem i Bethlem Gaborem, niewieleby był tytułów słuszności pochybił, gdyż ratunku, prócz od Boga cudownego, niskąd nie było.

To tylko samo nadzieję poniekąd czyniło, iż przyszedłszy pod Wiedeń, w tym się ogrodzie obozem położyli, gdzie pospolicie cesarze lwy i insze rzadko widziane bestie dla uciech chowywają. Z tego abowiem dobrowolnego abo raczéj od Boga sporządzonego ich zjednoczenia się mieszkaniem z bestjami, znak był i nadzieja, iż miał sam Pan Bóg wszechmogący z bestjami porównawszy, w moc i posłuszeństwo cesarzowi oddać, jako niegdy i one Adamowi.

Przyczyny dla którychby Bóg wszechmogący, pod tym czasem kościół swój święty i hetmana, jemu na obronę danego cesarza Chrześciańskiego tak bardzo ucisnąć i tak się niebezpiecznie niepokalanéj wierze powszechnéj zachwiać dopuścił, między inszemi, saméj tajemnicy Boskiéj wiadomemi, te są. Naprzód: aby obiecana opieka jego, z defektu natenczas mocy i ratunku ludzkiego, wiernym Chrystusowym tém wdzięczniejsza, i do potwierdzenia w ufności potężniejszą była; a nieprzyjaciół wiary i hardogłupie ich rozumki, aby tém bardziéj zhańbiła, i obrzydliwość ich grzechu pokazawszy, do pokuty ich tém prędzéj nagnała. Druga: aby tak prałaci kościoła Bożego, jako i monarchowie katoliccy państw doczesnych, takim uciskiem do serc przenikającym przestrzeżeni, na potém wszelkie kacerstwa zawczasu póki się nie rozkrzewią wykorzeniali. A na ostatek też pono i dla tego, aby się niesłychaną cierpliwością i łaskawością cesarza Chrześciańskiego, drudzy monarchowie karali, a przeciwnikom kościoła Bożego i wiary świętéj, mając ich zmoc, jako cesarz swoim, nie folgowali: Bo cierpliwość, jako chwałebna jest o krzywdę swoję, tak o Bożą nagany godna.

W ostatnim tedy ucisku, jak się pokazało, będącemu dla pomienionych przyczyn, acz przez krótki czas, cesarzowi Chrześciańskiemu, gdy na samego Boga przyszło dać ratunek oblubienicy swojéj, kościołowi świętemu, acz mógł mając pełne niebiosa starowiecznego harcownika z diabłem, wypuścić którego z nich na syny jego, jako niegdy w starożytnym zakonie czyniwał; mógł z niebieskich szańców obłokami osypanych strzelbę ognistych piorunów wypuścić; mógł ich rozstępnéj ziemi, jako Datama i Abirona, rebellizantów Mojżeszowych, darować; mógł wodami jako Giganty zatopić, lubo wiatrami jako słomę po świecie roznieść, lubo ogniem, jako

Sodómczyki zapalić; mógł głodem, morem, języków i zmysłów pomieszaniem i rozlicznemi inszémi sposobami miecz gniewu swego na nie obrócić. Aby jednak wszechmocność jego pokazała się być mądrością przeplecioną, raczył sobie obrać, aby słabością katolicką potęgę kacerską, głupstwem ich mądrość, a pokorą pychę ich, jako krwią dyament, skruszył i rozsypał.

Ztąd samże Pan Bóg, na obronę pomazańca swego Chrześciańskiego w Wiedniu oblężonego, zaciągnął przez podanie do serca a poselstwo Jerzego Chumaniego, męża nie mniéj żarliwością jako i urodzeniem wielkiego, w roku pańskim 1619, kozactwo Polskie, które pospolicie Lisowczykami zwano. Któremu wojsku, acz się już ojczyzna zdumiewała, uważając jako świeżo było w tak małéj gromadzie wszystkie Moskiewskie ziemie, pełne żołnierza ojczystego, i ze wszech miar jako pod czasem wojny uzbrojone, z wielką odwagą wszerz i wzdłuż za dzielnomężnym wodzem Alexandrem Lisowskim, mężem jako ze wszech miar szczerowojennym, tak i wiecznéj pamiątki godnym, przeszło, zamki i miasta na króla pana naszego Zygmunta III. odbierając. Dla samego jednak kozackiego ich sposobu wojowania, świat ich między pospolitymi kozakami, dla lekkości i nieużywania zbroi za najpodlejszego, dla ślepo natarczywéj rezolucyi za najgłupszego, dla ustawicznéj chętki wojowania i dobrowolnego się na nie natrącania za najniespokojniejszego żołnierza poczyta: choć nimi Pan Bóg przeciwniki swoje, jakokolwiek najforemniejsze, najmędrsze i najgórniejsze, upokarza i tłumi.

W którym zaciągu Boskim tego ludu z narodu Pańskiego, na obronę kościoła świętego i hetmana jego cesarza Chrześciańskiego, naprzód uważyć potrzeba osobliwą łaskę Boską przeciw koronie Polskiéj: iż nie inszym, prócz tym narodem, ulubił sobie na wieczną pamiątkę w Chrześciaństwie zbuntowanego kacerstwa przytłumić. W tém abowiem nic inszego się rozumieć nie może, tylko to, iż z osobliwéj łaski swojéj, naród Polski pod Boską łaskawą opieką jego wojujący, jako niegdy Machabejski, wszém narodom straszny raczył chcieć uczynić. Czego i sam czas potwierdza, przez to, iż nie wprzód był pomieniony Boski zaciąg narodu Polskiego, aż pierwéj, zgromadziwszy się na obronę cesarza Chrześciańskiego Hiszpanowie, Francuzowie, Węgrowie, i wszelkie Chrześciańskie narody wojenne (wcale ich męstwo zachowując, gdyż nikt nie może nad Boskie dopuszczenie), królestwo Czeskie, Morawę i Szląsk skutecznie utracili; Węgierskiego także królestwa, z przyległemi xięstwy jego, już poniewoli odstąpiwszy, przed własnymi się Rakuzanami w Wiedniu zawarli; i broniąc się, według wyższego pokaza-

nia, niedostateczni byli. Wtenczas dopiero Bóg wszechmogący z narodu Polskiego *Eleary* zaciągnął, i nimi, jako się niżéj pokaże, moc swoję oświadczając, cesarza Chrześciańskiego wybawił, i wszystko co przedtém jego było, onemu z tryumfami powrócił.

Na ostatek, żeby się i tego na wzbudzenie do chwały Bożéj nie opuściło, tak się Pan Bóg raczył wezbrać na sławę narodu Polskiego, iż gdy znowu potém wszystkiém, uporu swego pokrzepiać chcieli, nikim inszym tylko tym narodem, złość ich zawsze potłumiał, a potęgę rozgramiał. Za co jego najświętszemu majestatowi, niech będzie wieczna cześć i chwała.

B.

BIOGRAFIE

CZYLI

ŻYWOTY HISTORYCZNE.

ka, niezwyciężeni byli. Wtenczas dopiero Bóg wszechmogący z narodu Polskiego żołnierzy zaciągnął, i nimi, jako się niżej pokaże, moc swoję oświadczając, cesarza Chrześcijańskiego wybawił, i wszystko co przedtém jego było, onemu z tryumfami powrócił.

Na ostatek, żeby się i tego na wzbudzenie do chwały Bożej nie opuściło, tak się Pan Bóg raczył wezbrać na sławę narodu Polskiego, iż gdy znowu potém wszystkiém, uporu swego pokazować chcieli, nikim innym tylko tym narodem, złość ich zawsze poskromił, i potęgę rozgromił. Za co jego najświętszemu majestatowi, niech będzie wieczna cześć i chwała.

ŻYCIE
JANA ZAMOJSKIEGO,
kanclerza i Hetmana wielkiego kor.

przez

Franciszka Bohomolca, w Warszawie 1775.

Wstęp.

Między trudnemi do pojęcia rzeczami i nad tą często się zamyślam: czém się to dzieje, że w niezmiernym owym Obywatelów świata tłumie, nie wielu tak zacnych ludzi znajdziemy, którzyby się w czym wielkim, a mianowicie w przymiotach do rządzenia zdatnych, znacznie nad innych wsławili. Nie jest mi tajno, że wielu narodom, ba i całym wiekom, na światle nauk zbywało a przez niedostatek pisarzów nie mało zacnych mężów pamięć u potomnych narodów straciło, z tym wszystkim ich liczba nie może być tak wielka, żeby miała wniść w porównanie z niezmierną tych ludzi zgrają, którzy się po ziemi czołgając, żadnego pamiętnych dzieł śladu po sobie nie zostawili.

Wszakżesz i w oświeconych narodach taż trudność zachodzi. Żadnego nie znajdziemy, któryby i liczbą i wielkością dzieł sławnych nad inne tak bardzo wygórował, jak Rzymski. Nie zbywało w nim i na pilnych dziejopisach, którzy nie tylko współżyjących, ale i dawniejszych wieków zaciągając pamięć, wypisali znaczne swych bohatyrów czyny i do naszéj wiadomości przesłali. Więcéj nie równie w tym narodzie osobliwszych mężów każdego wieku znajdziemy, niż w innych przez wszystkie wieki. Z tym wszystkim, szczupła nader zdaje się być temu ich garstka, kto tego Państwa niezmierną ludność i obszerność rozważa.

Wszyscy to sprawiedliwie wyznajemy, iż nad inne narody Rzymianie mieli osobliwsze do rządzenia światem przymioty, co i Wirgiliusz rzeczą im właściwą być sądzi:

Tu regere imperio populos Romane memento.

Wszakże nie wielu i między nimi było Fabrycyuszów, Kamillów, Scypionów, Fabiuszów, Paulinów, Marcellusów, Pompejuszów i Cezarów.

Ale od dawnych wieków, obróćmy oko na teraźniejsze, przebieżmy myślą wszystkie świata krainy, nie wielu zaiste takich znajdziemy, o których to mówić można, co Homer z okoliczności śmierci Tyrezyasza rzekł o małéj liczbie bohatyrów na polu Elizejskiém spoczywających:

Hi soli sapiunt: reliqui volitant velut umbra.

Tę tak znaczną między ludźmi różnicę niektórzy mniéj baczni fortunie raczéj i przypadkom, niż cnocie przypisują; drudzy ją na czasie urodzenia zasadzają, jakby to tegoż samego czasu i pod tąż planetą, pod którą mąż wielki wziął życie, inni tak podli nierodzili się, że ledwo między ludźmi policzeni być mogą.

Są drudzy, którzy cnocie najwięcéj przypisując, twierdzą, iż do wielkości człowieka i saméj nawet cnoty wydoskonalenia, zewnętrzne niektóre rzeczy wielce pomagają, jako to czerstwość i ozdoba ciała, ojczyzna, w któréj kto żyje, współobywatelów obyczaje, dostatki fortuny i inne okoliczności. Tym rzeczom, jeżeli mamy jaką moc przypisywać, tedy możemy to mówić, co niegdyś rzekł Temistokles pewnemu obywatelowi Seryfińskiemu. Gdy bowiem przymawiał Temistoklesowi, iż on nie przez się, ale przez zacność swéj ojczyzny wielkim stał się człowiekiem, Temistokles na to: *to prawda*, odpowie, *gdybym ja był Seryfinem, a ty Ateńczykiem, nie bylibyśmy oba sławnymi.*

Ztąd wnosić możemy, że jako cnota bez tych zewnętrznych posiłków nie zawsze być sławną może, tak i one bez cnoty nic nie dokazują. Któż bowiem tego nie widzi, iż wielu i urodzeniem i dostatkiem i ciała ozdobami zaszczyconych, że się w gnuśności i lenistwie kochali, ani cnoty gruntownéj przez pracę, ani sławy pamiętnéj przez cnotę nie nabyli.

Przeciwnym sposobem nie mało takich znajdziemy, którzy lubo żadnéj zewnętrznéj pomocy nie mieli, samą jednak umysłu statecznością wsparci, i cnoty dostąpili i z cnotą wielkich rzeczy dokazywali. Przetożto za rzecz pewną mieć powinniśmy, iż sama cnota prawdziwa, wielkimi nas czyni. Wszakże i o tém wątpić nie możemy, że taż sama przy zacném urodzeniu i dostatkach silniejszą bywa i piękniéj się wydaje.

Sławny téj prawdy przykład mamy w *Janie Zamojskim*, którego tu żywot dla przykładu, naszym i potomnym wiekom, do publicznéj wiadomości podać umyśliłem. Nie są nikomu tajne zewnętrzne jego ozdoby, jako to: zacność urodzenia, wielkość dostatków, wysokość urzędów, dzieł niepospolitych świetność, i inne tym podobne. Wewnętrze jednak, z których tamte jako ze źrzódła wypłynęły, bardziéj podobno są sławne, niż doskonale nam wiadome. O wiel-

kich jego tam na wojnie, jako i w pokoju dziełach, najodleglejsze nawet narody słyszały, i zadziwiały się, o prywatnych zaś jego i domowych cnotach, o gruncie serca o doskonałości rozumu i o znakomitéj a gruntownéj pobożności, wielu jest, którzy dostatecznéj niemają wiadomości. Przetoż dla pokazania prawdziwéj jego wielkości, i te wyrazić umyśliłem. Zebrałem je z różnych pism tych ludzi, z których jedni będąc jego domownikami, drudzy poufałymi przyjaciołmi, lepiéj go znali, niż inni.

Urodzenie Zamojskiego.

Urodził się Jan Zamojski z Stanisława kasztelana Chełmskiego i z Herburtownéj, w roku Pańskim 1541 d. 1. Kwietnia, w Skokowie zamku ojcowskim, w Chełmskiéj na Rusi ziemi leżącym. Ród jego z ojca pochodził od jednéj z najdawniejszych i najszlachetniejszych *kozłorogów* familii, która starożytnością swoją żadnemu w Polsce domowi nie ustępuje, i nie mało zacnych mężów tak w rycerskim jako i senatorskim stanie, a w tym biskupów i arcybiskupów wydała.

Jeszcze za Władysława Łokietka jeden z téj familii od szaréj sukni Saryuszem nazwany, podczas wojny z Prusakami trzema włoczniami srodze raniony, leżał na placu potyczki, i wypływające z siebie wnętrzności ręką wstrzymywał. Zdarzyło się, że król objeżdżając ten plac, postrzegł i owego Saryusza między trupami w tak okropnym stanie leżącego, a zdjęty użaleniem zawołał: *o jak wielki ból ten nieborak cierpi!* Na co mu Saryusz: *większy o królu*, rzecze, *jest ból, w jednéj wiosce mieć złego sąsiada.* Zdziwiony król tak wielką umysłu jego statecznością, uczcił ją wieczną pamiątką i do dawnego herbu, przydał mu trzy włócznie. Ażeby zaś odtąd spokojniejsze miał życie, kupił od kłótliwego sąsiada grunta, i one nadał Saryuszowi.

Od owego czasu *kozłorogowie*, którzy za herb mieli w polu czerwoném kozę, połowę kozy do hełmu przenieśli, a na to miejsce trzy włócznie położyli. Z téj przyczyny kozłorogowie Jelitczykami, od wypływających jelitów, nazywali się. Najdawniejsze ich siedlisko było w województwie Sieradzkiem.

Gdy po długich wojnach Polskie panowanie Ruś przyjęła, wielu Polaków obrało sobie mieszkanie w téj obfitéj prowincyi, ile gdy z dawnych familii Ruskich jedne przez wojny wyginęły, drugie na wygnanie poszły. W tymże czasie, to jest po roku Pańskim tysiącznym, najpierwszy z Jelitczyków *Tomasz* na Rusi osiadł. Po uczynionym albowiem dóbr ojcowskich z bracią podziale, gdy widział szczupłość cząstki na siebie spadającéj, przedał ją braci, a sam prze-

niosłszy się do ziemi Chełmskiéj, kupił tam dobra dla siebie. Że zaś wioska jego, w któréj mieszkał, była mostem oddzielona od sąsiedzkich, przetoż nazwano ją *Zamościem*, a Tomasza, zwyczajem pod ten czas pospolitym, *Zamojskim* od wioski mianować zaczęto.

Od tego *Tomasza* nie tylko familia bardziéj się na Rusi rozkrzewiła, ale się i dzierzawy onéj, częścią przez przykupna, znacznie pomnożyły. Między innemi dwa najcelniejsze Zamojskich były tam siedliska. Jedne, *Stary Zamość* nazwany, mający kilka wiosek do siebie należących, które po śmierci stryja swojego, chorążego Chełmskiego bez potomstwa zeszłego, Tomasz objął. Drugie siedlisko, które miał Tomasz po ojcu, *Skokowką*, a potém Nowym Zamościem było nazwane. Ten zamek zdawna drewniany, leżący przy dwóch rzek spławie, miał do siebie kilka wiosek przyłączonych.

Przy samych osiadłości swojéj na Rusi pierwiastkach, Kozłorogowie przypuszczeni byli zaraz do urzędów téj prowincyi i wkrótce do téj przyszli powagi, że inni obywatele we wszystkich sprawach za ich szli powodem. Wszakże między wszystkimi Kozłorogami, czyli Jelitczykami, najbardziéj, ile wiedzieć możemy, celował *Mikołaj Zamojski*, dziad stryjeczny naszego *Jana*, który i dowcipu bystrością i niepospolitą tak w prawie ojczystém, jako i w rządach biegłością znakomity, naprzód referendarzem koronnym, potém sekretarzem większym od Zygmunta I. był uczyniony i znacznemi dochodami kościelnemi od niegoż opatrzony został. Brat jego *Felix*, a *Jana* dziad, prywatne sobie życie ulubił, wszakże i ten znaczne w swéj ziemi urzędy sprawował. Syn Felixa *Stanisław* a ojciec *Jana*, chcąc na większą imienia swojego sławę zarobić, obrał życie żołnierskie, i na wielu potyczkach, a osobliwie pod Rewlem z Moskalami, dał wielkie dowody i serca nieustraszonego i biegłości w sztuce rycerskiéj: za co od Zygmunta Augusta najprzód wodzem nadwornego wojska królewskiego, potém starostą Bełskim uczyniony, nakoniec wziąwszy kasztelanią Chełmską w senacie umieszczonym został.

Wychowanie Jana Zamojskiego.

Jan w dziecinnym jeszcze wieku utraciwszy matkę, posłany był zaraz na nauki do Krasnostawu, które to miasteczko jest stolicą kapituły Chełmskiéj, i po Chełmnie najpierwszém po tenczas było w téj prowincyi, a z dobrami Zamojskich graniczyło. Tam pod Wojciechem Ostrowskim, sławnym nauczycielem, w pojęciu nauk pierwiastkowych wszystkich prawie współuczniów celował. W samym jego dziecińtwie,

roztropność nad lata i chęć do cnoty wcześnie rokowała, jak wielkim miał być potém w ojczyźnie mężem. Szczęśliwy, iż miał takiego ojca, który tych wrodzonych jego przymiotów nie zaniedbał wydoskonalać: jakoż to było pierwszym gruntem i zasadą przyszłéj jego wielkości.

Wysłanie do cudzych krajów Zamojskiego.

Miał on brata imieniem *Aukta*, którego ojciec postanowił do rycerskiego życia sposobić, obróciwszy *Jana* do obywatelskich rzeczypospolitéj usług. Wkrótce *Auktus* umarł, a *Jan* ledwie dziecinny wiek skończywszy, wyjechał z rozkazu ojcowskiego do Paryża, do dworu Delfina francuzkiego, Franciszka. Tam będąc Jan, nietylko w dworskich obyczajach, ale też w naukach pilnie się ćwiczył, aby przez to zdolniejszym stał się do służenia swojemu królowi i ojczyźnie. Często on w późniejszym wieku mawiał, iż pod ten czas przeciwko pospolitemu młodych obyczajowi postąpił. Drudzy albowiem chcąc jak najprędzéj z jarzma nauk uwolnić się, spieszą do dworów królewskich lub pańskich, on zaś, z innych podziwieniem, umyślił od dworu do szkół, od próżnowania do pracy, od roskoszy do niewygód szkólnych udać się. Znał on to dobrze i w kwitnącym wieku, że od młodości źle lub dobrze przepędzonéj, dalszego wieku los zawisł. Przetoż wykonał to mężnie, co mądrze postanowił.

Oddaliwszy się od dworu, zamknął się, iż tak rzekę, w cieniu Lutecyi. Zdawna te szkoły największą miały w Europie zaletę; pod ten czas jednak przez zacnych zbiór nauczycielów najbardziéj kwitnęły. Do nich tedy udał się Zamojski. Do ćwiczenia się w krasomówstwie używał Adryana Turneba i Dyonizego Lambina, do filozofii Jakóba Karpentariusza, a do matematyki Piotra de Penna, których wszystkich sława, aż do naszych wieków przez mądre księgi od nich wydane doszła i w potomne trwać będzie. To mię zadziwia, iż on przy tych naukach nie zaniedbał i arytmetyki, która podówczas była w wielkiem pogardzeniu u ludzi zacniéj urodzonych. Mniemali oni, że ta nauka samym tylko rachmistrzom, ludziom najemniczym jest przyzwoita. Inaczéj o niéj Zamojski sądził i publicznie tego dowodził, iż ona niemniéj do spraw domowych, jako i do dobrego rzeczypospolitéj rządu jest wielce potrzebna.

Na tych i tym podobnych naukach lat cztery we Francyi przepędziwszy, udał się do Strasburga. Uczynił w tém zadość woli ojca swojego, który łosem owych czasów uniesiony, kacerstwem się był zaraził, przetoż syna swojego do przyjaznéj swym błędom akademii wyprawił. Nie strawił i tam próżno czasu, bo pod Janem Sturmiuszem bardziéj

się w krasomówstwie wydoskonalił. Nie zaniedbał on i języka greckiego, ale do zupełnéj jego umiejętności nieprzyszedł, na co potém nieraz się uskarzał.

Dawną on miał chęć zwiedzenia krajów włoskich, wiedział bowiem jak wielu tam sławnych było mężów w naukach. Padwa jednak między innemi miasty włoskiemi najbardziéj pod ten czas słynęła, tak dalece, iż ją siedliskiem i stolicą wszech nauk nazywano. Przetoż ze wszystkich narodów, niby na jarmark najsławniejszy, młódź zacna do niéj się zbiegała. Tam tedy, za otrzymaném choć z trudnością pozwoleniem ojcowskiem, Zamojski przeniósł się z Strasburga. Było pod ten czas dwóch sławnych nauczycielów w Padwie, którzy w krasomówskiéj sztuce największą zaszczycali się doskonałością: Franciszek Robertellus Utyneńczyk, i Paweł Sygoniusz Modeńczyk rodem. Oba ci zacni mężowie miłością sławy pobudzeni, jeden drugiego chcąc przesadzić, ustawiczną z sobą wiedli utarczkę. A jako w rzeczach pospolitych, tak i w szkołach to bywa, że za powodem dwóch hersztów uczonych a sobie przeciwnych, pospólstwo téż szkolne na dwie strony rozdzielać się zwykło. Toż samo działo się pod ten czas w Padwie. Robertellus miał po sobie Niemców, a Sygoniusz Francuzów. Zamojski do żadnéj z razu nie wziął się strony. Tym bowiem do Padwy przybywszy umysłem, aby tych wszystkich czcił i szanował, od którychby się mógł czego nauczyć, równie się obu zasługiwał. Że zaś potém odstąpił od téj obojętności, stało się to z niejakiegoś przypadku, którego było przyczyną grubiaństwo Robertella. Rzadko to bywa, żeby człowiek głęboko uczony, nie miał jakiego dziwactwa. Zaprzątniony ustawicznie naukami, a przeto rzadko z ludźmi przestający, łatwo wykroczy z granic obyczajności. Toż i Robertellowi przytrafiło się. Gdy bowiem razu pewnego przyszedł do niego Zamojski, szukając w jakiéjsiś szkólnéj trudności u niego objaśnienia, Robertellus rozumiejąc, iż on od Sygoniusza namówiony, chciał go, jak mówią, w pole wyprowadzić, grubiéj nieco niż ludzkość wyciągała, odprawił go od siebie. Tą niegrzecznością obrażony Zamojski, przywiązał się zupełnie do strony Sygoniusza, i w wielu mu rzeczach przeciw Robertellowi dopomagał. Nie tylko albowiem Polaków tam uczących się do niego przeciągnął, ale też i różnemi pismami, któremi uczniowie nawet, na siebie wzajemnie powstawali, honor nauczyciela swojego utrzymywał. Największą jednak w tym jemu przysługę uczynił, gdy osobliwszym swoim przemysłem i sprawnością tego dokazał, iż senat wenecki prym Syngoniuszowi nad Robertellem przyznał.

Dla lepszego téj sprawy i innych po niéj następujących

objaśnienia, umyśliłem przełożyć niektóre Padewskiéj akademii ustawy.

Ponieważ pomieniona akademia nad wszystkie inne europejskie najbardziéj pod ten czas kwitnęła, przetoż i uczących się mnóstwo, z różnych krajów tam przybywających, niezmierne prawie bywało. Dzieliła się na różne narody, jako to: francuzki, niemiecki, hiszpański, polski, angielski, szkocki, czeski etc. z każdego z tych narodów obierano co rok kolejno rektora akademii. Przywileje jego osobliwsze były. Do niego należało sądzić sprawy między obywatelami szkólnymi, bez żadnéj od tego sądu appelacyi, i wykraczających karać, urzędników szkólnych obierać, i onym jurgielty rozdawać, ustawy nowe przepisywać lub odmieniać. Z tych najsławniejsze są, które za rektorstwa Jana Zamojskiego i jego pracą były ułożone. Znalazłem je w bibliotece tutejszéj publicznéj *Załuskich* pod tytułem *de Constitutionibus et immunitatibus almae Universitatis etc.* Libri IV. Patavii 1564. Jest to książka dość spora in 4to.

Powaga rektora tak wielka była, że wszyscy miasta urzędnicy, prócz prezydentów, wszyscy prałaci i biskupi, prócz Padewskiego, na wszystkich zgromadzeniach pierwsze miejsce i prawą rękę dawać mu powinni byli. Miał zawsze przy sobie wyznaczonych dla powagi, kiedy gdzie szedł, urzędników akademickich i sług, którym wolno było szpad używać, nawet gdy sami gdzie bez pana wychodzili. Ale powróćmy do sprawy Robertella z Sygoniuszem.

Przyjaciele Robertella, chcąc pierwszość dla niego wyjednać, wysłali dwóch posłów z pomiędzy siebie do senatu weneckiego. Zamojski dowiedziawszy się o tém, przyjął na siebie poselstwo przeciwnéj strony, dla pomieszania zabiegów tamtéj. Do swego towarzystwa dobrał innych wielu, których rozumiał i porozdawał każdemu z nich różnych narodów imiona. Senatorowie rozumiejąc, iż Sygoniuszowi wszystkie narody sprzyjały, a Robertellowi dwa tylko, przyznali swym wyrokiem prym pierwszemu.

Wielkość dowcipu, doskonałość w naukach i przyjemność w postępowaniu ze wszystkimi, taką Zamojskiemu miłość u młodzi szkólnéj zjednała, że najprzód ogłoszony był od nich *princeps juventutis Literatae*, a potém na godność rektora téj akademii wyniesiony, a to z tém większém wszystkich podziwieniem, że w tamtym roku urząd rektora przypadał na niemiecki naród, jemu przeciwny. Nie wspominałbym tu tych prywatnych jego nad rówiennikami zwycięztw, gdyby to nie miało służyć do pokazania w młodym wieku téj jego wielkości, która przyszłéj niejakim była zadatkiem.

Wyniesiony na tak wysoki w owéj akademii stopień Zamojski, nie przestawał w różnych naukach, a najbardziéj w jurisprudencyi, szukać większéj doskonałości. Wiedział on, iż ta nauka wielce pomaga do sprawowania wysokich w rzeczypospolitéj urzędów. Przeplatał te prace swoje czytaniem ksiąg w każdym rodzaju najsławniejszych. Gdy wszystkie z pilnością i uwagą przeczytał, udał się do ksiąg ojców świętych i doktorów kościoła. Zkąd ten największy odniósł pożytek, że błędy Lutra, któremi od ojca był nieco zarażony, zupełnie porzucił i w pobożności chrześciańskiéj mocniéj się ugruntował.

Bawiąc się pomienionem różnych ksiąg czytaniem, miał zwyczaj myśli swoje nad tém zastanawiać, co mu przynieść jakieś oświecenie mogło; nad temi jednak najbardziéj bawił się naukami, które mu większą do służenia ojczyźnie sposobność ukazowały. Nie szedł on torem tych ludzi, którzy dopiero uczyć się poczynają obowiązków swego urzędu, gdy go objąwszy sprawować powinni. Przyprawował on wcześnie swój umysł do spraw rzeczypospolitéj, aby za powrotem swoim do ojczyzny mógł zdolnym być do nich. W tych myślach zanurzony, postanowił dać dowód swojéj nauki, wydając na światło publiczne księgi dwie o *Senacie Rzymskim,* który swojego czasu mógł się nazywać szkołą publiczną rządu wszystkich narodów. Te księgi lubo w pierwiastkach młodości swojéj napisał, w wielkim jednak aż dotąd są u mądrych szacunku. Łacina w nich wyborna, uwagi rozsądne, nauka gruntowna i niepospolite z dziejów starożytnych przykłady. Dla téj doskonałości nie raz były przedrukowane w różnych krajach pod tytułem *Joannis Sarii Zamosci de Senatu Romano Libri Duo.*

Wstęp do usług Rzeczypospolitéj Zamojskiego.

Po wydaniu tych ksiąg wkrótce Zamojski do ojczyzny powrócił. Przyjazd jego poprzedziła sława o pięknych serca i dowcipu jego przymiotach. Nie zawiódł on publicznéj nadziei, która o przyszłéj jego wielkości powzięta była. Zygmunt August, który ojca jego dla wielkich cnót i zasług miłował, uwiadomiony wcześnie o syna w naukach doskonałości, wziął go zaraz do siebie; a wiedząc o tém, iż prawdziwa mądrość na pożytecznem nauk zażywaniu zawisła, polecił go Piotrowi Myszkowskiemu, w greckich i łacińskich naukach biegłemu senatorowi, na podkanclerskim pod ten czas urzędzie zostającemu, aby przy nim sprawując urząd sekretarza, do usług rzeczy pospolitej zażył swych przymiotów. Najpierwsza to i najdostatniejsza w królestwie szkoła bywała, w któréj nie tylko pisząc, ale też i w pu-

bliczne wchodząc sprawy rzeczypospolitéj, do wyższych w niéj urzędów sposobniejszymi stawali się a potém już nie gośćmi w ojczystych prawach do senatu wstępowali. Postrzegł w nim zaraz Myszkowski i gruntowną naukę i obyczaje chwalebne, przetoż nie bawiąc, dał mu pole do pokazania ich całemu królestwu.

Księgi publiczne rzeczypospolitéj, albo *Archiwa*, w których się zawierają granice królestwa, sojusze z innemi państwy, prawa albo pretensye do narodów sąsiedzkich, ustawy ojczyste, przywileje, zwyczaje i podatki, te mówię księgi w Krakowie w skarbcu królewskim pilnie chowane, tak były rozrzucone i pomięszane, że ich w potrzebie użyć niepodobna rzecz była. Ułożył je był niegdyś sławny Kromer, ale czy to z niedostatku czasu, czy z niedostatku pilności, nie było w tém ułożeniu dobrego porządku. Po nim, w tak długim czasu przeciągu znowu się te księgi rozrzuciły i tak się pogmatwały, iż dla trudności ich użycia, cale już były zaniedbane i w niepamięci, iż tak rzekę, pogrzebione. Potrzeba je przypomniała. Poznano, jak wiele na tém zależy, aby te księgi przejrzano, porządnie ułożono, i rejestr onych spisano.

Rzecz tak wielkiéj wagi wyciągała pracy takiego człowieka, któryby dowcipem, nauką, roztropnością i wiernością nieposzlakowaną był zaszczycony. Między wszystkimi zdał się być najzdolniejszym do tego dzieła Zamojski, i zaraz był od króla do tego wyznaczony. Przyjął on chętnie tę pracę na siebie, i z osobliwszą pilnością przez całe trzy lata nad nią się bawił. Powynajdował tam niektóre księgi, od kilku wieków nietykane, niektóre przegniłe lub od molów popsute, a niektóre starożytnym charakterem tak pisane, że prawie niepodobne zdawały się być do czytania. Ten tak nudny ksiąg stósami nieporządnie leżących widok, odraziłby i najpilniejszego człowieka: ale Zamojski im więcéj w tém znajdował trudności, tém usilniéj starał się uczynić zadość swemu obowiązkowi. Jakoż wszystkie te pisma popleśniałe, wprzód z wielką pilnością przeczytał, potém ich summaryusze pospisywał, nakoniec tak porządnie one ułożył, że za pierwszém w jego rejestra lub summaryusze wejrzeniem, mógł każdy bez trudności poznać gdzie, w któréj księdze i na jakiem miejscu tego szukać, czego potrzebował. Ta jego dla ojczyzny usługa dobrze mu się opłaciła: bo i sławę mu wielką i pożytek przyniosła. Trzyletnie albowiem tych ksiąg czytanie i wypisowanie, zjednało mu niepospolitą w sprawach i dziejach rzeczypospolitéj biegłość, która mu potém ku wielkiéj bywała pomocy w sprawowaniu najwyższych w ojczyźnie urzędów.

Tą jego tak użyteczną usługą król ucieszony, w nagrodę prac na niéj podjętych, ofiarował mu królewszczyznę Zamechską. Ojciec zaś widząc wiek swój podeszły chciał go za życia swojego postanowić. Hieronim Ossoliński, kasztelan sandomierski, mąż zacny i przyjaciel ojca, ofiarował swą synowicę w małżeństwo Jana. Chętnie on na to zezwolił, ponieważ i uroda i piękne przymioty zalecały tę damę; ale nie długo z téj swojéj cieszył się pomyślności. Rok jeszcze nieupłynął był po weselu, kiedy jednegoż prawie czasu i żonę i ojca utracił. Ojciec albowiem w wielki Piątek, a żona w Poniedziałek po przewodniéj Niedzieli z tym się światem pożegnali. Fatalna to była dla niego Wielkanoc, bo i ojca, i żonę serdecznie kochał.

Po śmierci ojca odebrał od Zygmunta Augusta ofiarowane sobie starostwo Bełskie, którą to łaskę królewską często wspominał z wielką wdzięcznością. Gdy bowiem rozrzewniony nowiną o śmierci ojca odebraną, przyszedł ze łzami do króla, król z przyrodzenia swego ociągający się, i wszystko do jutra odkładający, zapomniawszy pod ten czas swego zwyczaju, zaraz mu to starostwo obiecał, i otarłszy mu swą ręką łzy, zalecił, aby się od nich wstrzymał, i nikomu o śmierci ojca nie wspominał, a to dla uniknienia natrętów o to starostwo.

Tym urzędem zaszczycony Zamojski, miał i do zasług w ojczyźnie drogę otwartą i większą do nich przez pomnożone intraty sposobność. Co wkrótce pokazało się. Gdy bowiem Zygmunt August nie bawiąc z tym się światem pożegnał, Zamojski, nie tylko dla biegłości w sprawach ojczystych, ale też i dla bogactw, między najpierwszymi strony dworskiéj przyjaciółmi był policzony.

*
* *

Wyprawa na Moskwę.

Po skończonym sejmie 1579 i uchwalonych na poparcie wojny podatkach, Stefan Batory z Warszawy do Wilna wyjechał, gdzie wszystkie swoje myśli ku rozporządzeniu wojny przedsięwziętéj obrócił. A najprzód pisał do Mieleckiego, który podczas wyprawy Połockiéj hetmanił, zapraszając go do obozu, i więcéj jeszcze dając mu władzy nad wojskiem, niż przedtém miał. Ale on, czy to dla odpoczynku po trudach przeszłych, czy też dla dawnéj urazy, wymówił się z téj usługi. Przykre mu było, jako się rzekło, nieposłuszeństwo Węgrów, i większe króla do Bekiesza niż do niego przywiązanie. I to téż go bolało, że król bardziéj zdawał się sprzyjać Zamojskiemu, niż jemu: przetoż i prywatne między nimi, choć szwagrami niesnaski panowały.

Król sam na siebie przyjąwszy urząd hetmana, przybrał sobie ku pomocy Zamojskiego i zalecił mu część zaciągania tak jazdy, jako i piechoty. Doświadczywszy albowiem na Gdańskiéj i Połockiéj wyprawie jego zdatności do dzieł rycerskich, powziął nadzieję, iż on, jako mający miłość i powagę u stanu rycerskiego, wielu do wojskowéj służby pociągnie. I nie omylił się na tém. Na samę albowiem sławę imienia Zamojskiego, szlachta, nawet znaczniejsza, kupami leciała do obozu. Prócz tego, iż go kochali, mieli też i na to wzgląd, iż on jako wiele mogący u króla, potrafi dobrze nagrodzić ich trudy i zasługi. W krótkim tedy czasie tak liczną zgromadził jazdę, iż i najmocniejszemu nieprzyjacielowi oprzeć się mogła. O piechotę trudnosć zachodziła. Szlachta albowiem, sądząc ją za niegodną stanu swojego, wstręt od niéj zawsze pokazywała. Mieszczanie do wygód miejskich przyuczeni, mniéj zdatni byli do trudów wojennych, a chłopi niewolniczem jarzmem obarczeni nie mieli ducha żołnierskiego. Przetoż na przeszłéj wyprawie musiano użyć piechoty zagranicznéj. Zamojski chcąc i ten rodzaj żołnierstwa, tak wielce ojczyźnie potrzebny, wprowadzić, wszelkiego o to starania dokładał.

Miał on przy sobie Mikołaja Urowieckiego, krewnego swojego, męża dzielnego, który zostając przy jego ojcu dobrze się w sztuce wojennéj wyćwiczył. Podczas dobywania Połocka, był nad jedną jazdy chorągwią przełożonym i znakomite dał męstwa swojego dowody. Tego tedy wyprawił Zamojski do saméj szlachty pod piechotę zaciągania. Toż samo zalecił Wybranowskiemu, Mroczkowi i Łukaszowi Sernemu, który niegdyś z honorem służył w wojsku francuzkiém. Te Zamojskiego starania pomyślny skutek odebrały. Każdy albowiem z pomienionych rotmistrzów koło 500 piechoty z szlachty zaciągnionéj przyprowadził.

W tym samym czasie, gdy Zamojski żołnierzy zbierał, małżonka jego z domu Radziwiłłówna z tym się światem pożegnała. Wkrótce i córka jego jedynaczka poszła za matką do grobu. Był to cios ciężki na Zamojskiego, bo i żonę i córeczkę serdecznie kochał. Wojsko jego całe, tak jazda jako i piechota, widząc wodza swojego kochanego w tak ciężkim smutku, dobrowolnie wzięło na się żałobę. Tą barwą lud jego od innego wojska różnił się i nazywany był powszechnie: czarnemi pułkami. Tymczasem Moskal różnemi poselstwami króla uwodził, ale widząc, iż go nie może od wojny przedsięwziętéj odrazić, wyprowadził częścią pieniędzmi, częścią obietnicami niejakiegoś szlachcica Ościka w to, iż się on odważył uczynić zasadzki na króla w Wilnie będącego; ale szczęściem pierwéj je odkryto, niż do

skutku były przyprowadzone. Takiemi książęcia moskiewskiego postępkami król bardziéj rozjątrzony, postanowił zaraz swe wojsko ruszyć do miasta w Moskwie znacznego, *Wielkie Łuki* nazwanego.

Dobycie Wielkich Łuk.

Miasto *Wielkie Łuki*, leżące w bliskości rzeki Ławaty, która nie daleko od niego wpada do wielkiego jeziora Perby, wielki handel i wygodny prowadziło. Okolice jego w łąki i zboża obfitujące, wabiły zewsząd do siebie mieszkańców. Z tych przyczyn do takiéj wielkości i bogactw przyszło, że po Moskwie, mieście stołeczném i po Pskowie, najpierwszém całego Państwa Moskiewskiego miastem nazywać się mogło. Sławne téż było i mocną fortecą, do któréj dwanaście twierdz na około wystawionych, przystępu broniło. Xiąże Moskiewski po dobyciu przez naszych Połocka, przejrzał to, iż Polacy do tego miasta pomkną się, przetoż kazawszy spalić miasto i przedmieścia, fortecę samą jak mógł najmocniéj obwarował i straż tak liczną w niéj osadził, że nie tylko się bronić, ale i na otwartem polu mogła się bezpiecznie potykać z Polakami. Słowem tak ją opatrzył i utwierdził, jakby na niéj całą pomyślność téj wojny pokładał.

Król stanąwszy obozem, zlecił Zamojskiemu dobywanie tej fortecy i prócz wojska, które miał pod sobą, przydał mu część piechoty Węgierskiéj. Rzeka Ławat i bagna wielkie dzieliły obóz królowski od fortecy. Zamojski tak porządnie wszystko ułożył, iż w jednym dniu całe prawie swe wojsko przeprawił, i one należycie oszańcował. Nazajutrz wziąwszy część jazdy, wyjechał dla oglądania i poznania przystępów do fortecy. Wypadli nań Moskale, ale tak mężny odpór znaleźli, iż utraciwszy kilku swoich, do fortecy cofnąć się musieli. W kilka dni potém postrzegłszy Moskale, iż nasi, dalszych szańców kopaniem zmordowani, mniéj ostróżnie i niedbale powinność swą na strażach czynili, wypadli na nich, zabili jednego, a chorążemu, który się im niepoddawał, chorągiew poszarpawszy, z wielkim pospiechem do swoich powrócili. Po kilka razy przypuszczali nasi szturm do miasta, który że się nie udawał, poczęto szemrzeć w obozie i tracić nadzieję dobycia onego: nakoniec radzili królowi odstąpić od téj fortecy; ale Zamojski im się oparł i króla w tem przedsięwzięciu utwierdził.

Tym czasem jezioro, które część słabszą fortecy zasłaniało, nasi spuścili. Mając tedy wolniejszą już drogę, Węgry na siebie szturm przyjęli, i tak się w nim popisali, że potrafili wzniecić pożar w fortecy. Moskwa samym widokiem

tak licznego rycerstwa Polskiego dosyć już strwożona, bardziéj się jeszcze przeraziła tym pożarem. Przetoż wysłała do króla posłów, prosząc go o wstrzymanie wojny na niedziel dwie, żeby tymczasem o stanie fortecy mogła donieść książęciu swojemu i prosić go o zezwolenie na jéj poddanie, pod uczciwemi warunkami. Wielu radziło królowi, aby nie był ich prośbie przeciwnym; ale Zamojski znając, iż się to działo dla zwłoki czasu utwierdził króla w popieraniu zaczętego oblężenia. Z tymwszystkim pozwolono Moskwie wysłać kogo do książęcia, i na to pas wolny dano, wszakże bez przerywania dzieł wojennych.

Zamojski po kilku szturmach uważywszy, iż działa jego nic nie szkodziły fortecy, ponieważ jéj wały gęstą darniną okryte były, chciał przez podkopy drogi do niéj szukać, ale się i to nieudało, bo grunt na około fortecy był miękki i błotnisty. Uradzono tedy: darninę od wałów oddzierać, a drzewo, z których się te wały po większéj części składały, różnemi podżogami zapalić. Na ten koniec podszańcowawszy się pod najwyższą twierdzę, która fortecę od wojska naszego zasłaniała, a z drugiéj strony rozłożywszy armaty, dla przeszkodzenia Moskwie wycieczki, wysłano ku téj twierdzy jednego piechura dla doświadczenia, jeśli się ten zamysł mógł udać. Już ów piechur zaczął był motyką darninę rozwalać w tym Moskale wypadli i zabili go. Pomścili się za niego nasi, kilku nieprzyjaciół z dział ubiwszy i kilku złapawszy, przez co tego dokazali, iż się odtąd nie śmiała Moskwa z fortecy wysuwać.

Zamojski wybrawszy z piechoty jak najdzielniejszych i częścią pochwałami, częścią obietnicami ich serca zagrzawszy, wysłał ich do szturmu. Wielu, a nawet zacnie rodzonych, dobrowolnie na tę wyprawę swe usługi ofiarowało. Dodając tedy wzajemnie sobie serca, z taką ochotą i żwawością przypadli do owéj twierdzy, że prawie w momencie odarłszy z niéj darninę, do ścian drewnianych dobrali się i taką w niéj dziurę zrobili, że się w niéj znaczna część naszych pomieścić mogła, równie od dział, jako i ręcznych pocisków bezpieczna. Tymczasem drudzy z obozu, z ogniem i różnemi podżogami przybiegli. Nieprzyjaciele widząc swoje niebezpieczeństwo, ostatnich sił do swojéj obrony zażyli. Jedni z twierdzy, drudzy z wałów, inni z okien różnemi pociskami i strzelaniem naszych odpędzali. Ich rozpacz a naszych chęć sławy do dzielnéj walki pobudzała. Przetoż zapomniawszy na swe niebezpieczeństwo nasi, jedni coraz więcéj podżog dodawali, drudzy odstrzeliwając się podżegaczów bronili.

W kilku już miejscach ogień wybuchać poczynał ale

nieprzyjaciel różnemi sposobami, a najbardziéj skórami mokremi tłumił ten pożar, i szerzyć się mu niedopuszczał. Nakoniec zdawało się, iż go cale ugasili.

Byli w naszym obozie, którzy szemrali, iż rzecz z tak wielkim kosztem i niebezpieczeństwem przedsięwzięta, nie dobrze się powiodła: ale Zamojski mąż statecznego umysłu, nic na to nie uważając, większe daleko kazał czynić przygotowania do ponowienia nazajutrz takiegoż szturmu. W tym o trzeciéj w noc straży, ogień ów, który w pośrodku wałów przytłumiony był tylko, ale nie cale ugaszony, zaczął sił coraz większych nabierać, i tym mocniéj wybuchnął, im dłużéj tlał zatrzymany. Przetoż nie tylko tę twierdzę i domy jéj przyległe, ale téż i kilka cerkwi zamkowych w momencie prawie ogarnął. Moskale, nietylko strwożeni, ale i po większéj części opaleni, nie wiedzieli sami, co mieli czynić, nasi tymczasem ze wszystkich obozów ruszywszy, kędy kto mógł, wpadli do fortecy. Żadnéj tak ciężkiéj, jak tam, przez całą tę wojnę klęski Moskwa nie doznała, do któréj jednak sama dała przyczynę. Wiedząc albowiem z jednéj strony ogień, z drugiéj nieprzyjaciela u siebie, przecież w najlepszym była stanie, mocno się z naszemi o poddanie fortecy targowała. Zaczym gdy coraz uciążliwsze obowiązki zwycięzcom podawała, tymczasem ogień dobrał się do składu wielkiego prochów i znaczną część Moskwy jednych porozrywał, drugich podusił; resztę nasi długim ich uporem rozjątrzeni, dokonali.

Zamojski hetmanem.

Król mający do Pskowa ciągnąć, począł myśleć, komuby mógł dać najwyższy rząd nad wojskiem. Mielecki był hetmanem; ale roku przeszłego wymówiwszy się królowi z dalszych wojennych usług, złożył buławę. Król pod ten czas w niedostatku wodza, sam hetmanił; ale ztąd różne nieprzyzwoitości wynikały. Wiele takowych rzeczy działo się w obozie, o których hetman wiedzieć powinien. Trudny do króla przystęp, ile innemi sprawami zaprzątnionego, czynił to, iż inaczéj szły rzeczy, jak należało. Nad to i na samego króla przyciężko było, i nieprzyzwoicie, zatrudniać się temi rzeczami, których mógł bezpiecznie komu innemu powierzyć. Wojskowi téż przełożeni, uczyniwszy wprzód między sobą radę, upraszali króla, aby urząd hetmański w tym królestwie zawsze poważany przywrócić i buławę komuby sam rozumiał, ofiarować raczył.

Tą odezwą wojskowych król w swoich zamysłach potwierdzony, zaraz oczy swe obrócił na Zamojskiego. Wielkie już w całym wojsku miał on imię, przetoż wszyscy

powszechnie życzyli go na tym stopniu oglądać. Król i ich żądaniu i swojéj chęci dogadzając, posłał mu buławę przez Jędrzeja Zborowskiego, marszałka swego nadwornego. Ta łaska królewska zmięszała Zamojskiego. Wyjechał on z domu niespodziewając się tak wysokiego w rycerstwie stopnia; przetoż nie miał takiego przygotowania, jakiego tak wielki urząd wyciągał. Z téj przyczyny wymawiał się z razu od téj godności, ale nakoniec, gdy go król przymuszał, uczynił jego woli zadosyć. Hetmańska władza nie miała przedtym żadnych granic prawami opisanych. Każdy hetman tyle jéj miał, ile mu król pozwalał. Jan hrabia Tarnowski, będąc hetmanem, tak wielkie miał sobie przywileje nadane, jakich żaden ani przed nim ani po nim nie miał aż do owego czasu. Król Stefan znając i wierność ku sobie i wielkie do rządzenia wojska Zamojskiego przymioty, wszystkich tych przywilejów pozwolił jemu, któremi niegdyś Tarnowski był zaszczycony.

Śmierć Zamojskiego.

Ten zacny mąż za życia jeszcze swego, nietylko od obywatelów, ale i od zagranicznych wielkim sprawiedliwie nazwany, gdy już był przyszedł do tak wysokiego zasług i sławy stopnia, że mu sami nieprzyjaciele nic zadać nie mogli, prócz jego wielkości i wagi, postanowił był od spraw publicznych cale się oddalić, i resztę dni swoich w spokojności przepędzić. Ale nie długo jéj na tym świecie zażywał, bo roku pańskiego 1605 dnia 3 Czerwca, mając lat wieku swojego 64, przeszedł do wieczności. Godna jest wspomnienia odpowiedź jego, którą skończywszy lat 63 wieku swojego, dał winszującym sobie, iż przebył ten rok klimakteryczny. Podziękowawszy albowiem za ich życzliwość rzekł: „Kto skończył rok sześćdziesiąty trzeci, temu już każdy rok jest klimakterycznym.“

Miał on we zwyczaju na początku wiosny, co rok bawić się dietą i lekarstwami osuszającemi, zostając przez trzy lub cztery tygodnie pod dachem. Tegoż sposobu ratowania zdrowia, na wyprawie Inflantskiéj i sejmowych sprawach zwątlonego, powróciwszy do Zamościa, używał przez czas niejaki. Dnia 3 Czerwca po wesołych z domowemi i gośćmi rozmowach, nie czując żadnéj na zdrowiu słabości udał się do snu, którego po południu miał zwyczaj zażywać. Gdy się ocknął, mdłości go niespodzianie ogarnęły tak mocno, że w krótkim czasie, na ręku żony, syna jedynaka i przyjaciół, dokonał chwalebnego życia.

Pogrzeb swój wcześnie za życia ułożył, zalecając, aby go bez wszelkiéj okazałości obrządkiem katolickim pocho-

wano. Nad grobem nic więcéj nie kazał napisać, jak tylko te słowa: *Joannes Zamojscius Regni Poloniae Cancellarius et Exercituum Praefectus, Quod Mortale Habuit, Reliquit.*

ŻYWOT I ŚMIERĆ
JANA TARNOWSKIEGO,
kasztelana krak. hetm. w. kor.

pisany niegdyś przez

St. Orzechowskiego, a wydany w Warszawie 1773.

Wstęp.

Piszesz do mnie Jakubie Gorski, abym ci pogrzeb pana Jana Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana koronnego, nieodjeżdżając z Tarnowa Łacińskim językiem wypisał. Krótki czas naznaczyłeś mi, i ku łacinie, i ku pogrzebu: albowiem, i po łacinie mnie do ciebie pisać ziemianinowi, który ledwie polskie umiem, nie jest łatwa; i pogrzeb tak zacny i żałosny onego dobrego człowieka, i sławnego pana, i dzielnego hetmana tak wystawić, abyś ty słysząc o nim, tak żałosnym był, jako ja jestem na ten pogrzeb patrząc, to na mnie trudna jest. A wszakżeż, iż podobno myślisz to w cudze krainy daléj ludziom po łacinie podać, co się sam w Tarnowie na tym pogrzebie działo, wypiszęć wszystko porządnie, jakoby jaki komentarz, dodając wam uczonym materyi, na którejby pióro wasze łacińskie tak bujało, jakby jedno chciało.

Winnismy tę posługę uczynić, naprzód ojczyźnie polskiéj, matce naszéj wspólnéj, która szczęśliwa tym swym płodem była: winniśmy też to onemu zmarłemu, który na wszystkim narodzie polskim to wysłużył, aby w pamięci naszéj on wiecznie żywym był: winniśmy też samym sobie, abyśmy tego daru Bożego, który miły Pan Bóg nam był dał z domu Tarnowskiego, wdzięcznemi się być pokazali, chcemyli drugi taki z rąk Bożych wziąść. Ale nie bawiąc się zalecaniem długo, słuchaj pogrzebu.

O pogrzebie Wielebnego Pana, zacnego męża i bohatyra wielkiego, pana Tarnowskiego tak rozumiéj, że pogrzeb ten przystojny był śmierci jego, tak jako też i śmierć żywotowi jego przystojna była. Jeśliż tedy o pogrzebie jego mam do ciebie pisać, muszę od żywota jego począć, a przez śmierć do pogrzebu jego nakoniec przyjść, abyś wiedział, iż wszystek pogrzebu tego pana obchód, był przystojny Tarnowskiemu,

na którym nic zmyślonego nie było, ale wszystka prawda żywota jego rzetelnym wszystkim obchodem wyobrażoną była; co więc dziwna na inszych pogrzebach: gdy za szczekarzami drzewa łamią, albo za kacerzmi świece noszą, którzy, iż nie byli godni znaków tych, nieprzystojnie obchód chrześciańskimi albo rycerskimi upominki się im wyrządza. Pierwéj tedy powiem ci który, a jaki człowiek w Polszcze umarł, potym ci kształt pogrzebu jego wypiszę temu umarłemu przystojny. Tu mało cię prosić będę, abyś nie czekał odemnie o tym umarłym takiéj mowy ludzi onych, którzy pochlebstwem jawnym ludzie śmiertelne, nieśmiertelnymi Bogi czynią, wyciągając sławę ludzką. Ja do ciebie pisać będę o Janie Tarnowskim, człowieku u Boga grzesznym, ale u wszech ludzi dobrym, i przez wątpienia Bogu miłym, dla prawdziwéj swéj wiary, który teraz to przed sobą ma, czym się Bogu i ludziom za żywota podobał, to jest: prawdziwą wiarę przeciwko Panu Bogu, a skutki wiary téj przeciwko bliźniemu swemu; z kąd téż i ozdoba chwały jego, a nie z moich słów w tym naszym Komentarzu niech będzie; gdyż tak i w zakonie pisano jest: Qui gloriatur, in Domino glorietur. Z tego ja kresu nie wykroczę, ani od tego przykazania nie odstąpię ani na lewą, ani na prawą. Tak do ciebie o Janie Tarnowskim pisać będę, jako o jednym darze Bożym wielkim, którym darem domu Tarnowskiego Pan Bóg uczcił, uraczył i uwielbił naród nasz wszystek polski. Bo abym to porządniéj uczynił, pierwiéj powiem o zacnym narodzie jego, potym o wychowaniu jego, nakoniec o dzielności jego; niczego tu nie powiem, czegobyś z wielką pociechą nie rad słyszał.

Wychowanie Tarnowskiego.

Został był Jan Tarnowski po ojcu swym Janie, panu Krakowskim, z matką swą w dzieciństwie sierotką. Był wychowany od poczciwéj matki swéj z wielką pilnością. Ale i to muszę, co mu się było będącemu w pieluchach przytrafiło, wypisać. Miał mamkę, któréj piersi pożywał, która niźli rok dziecięciu wyszedł, umarła, po któréj dziecie mamki żadnéj innéj jąć się niechciało, tak, że przez tę przyczynę pana tego ciało zliszajało nad zwyczaj rodzaju Tarnowskiego, krasnego, urodziwego rodu. Ten mimo inne, za tą przygodą człowiekiem krótkiego ciała był. Co nie jest dziw: bo i między zwierzęty każde zwierzę, które czasu swego nie dosie, zliszeje: ale jednak nieszczęście to jego, dziwnym sposobem, natura ona ostra i dzielna Tarnowska jemu nagrodziła. Albowiem dziecię ono przed dwiema laty dobrze mówiło i piątego Donaty umiało, dziesiątego

po sto wierszy z Wirgiliusza mówiło za text, piętnastego roku listy łacińskie w potrzebach swych do rad koronnych, i do króla Olbrachta pisało.

Miał dwa braty rodne: Aleksandra, który na Bukowinie zabit i Pana wojewodę Sendomirskiego, który potym umarł. Sam ten został w znamienitéj ojczyźnie swéj. Mógł był użyć swéj woli, mógł był, jako mówią świata zażyć w młodości swéj. Ale się jemu też trafiło, co i Herkulesowi za wieku dawnego, który w młodości rozmyślając sobie, w którąby się drogę udać na świecie miał, na puszczy widzi dwie panie: jednę rozkosz, drugą cnotę. Rozkosz mu zalecała dziwne biesiady, pieszczoty, maszkary, psy, kotki; a druga, to jest cnota, obiecowała mu srogość życia, nieprzyjaźni, niebezpieczeństwa, prace i wojny. Tu więc Herkules, gdy obaczył w téj rozkoszy upadek, udał się za cnotą, za którą sława, i błogosławieństwo wieczne tudzież w tyle było. Tę baśń wyraził dobrze w polskim wizerunku swym stryj mój Mikołaj Rej Oksza. Także ten Jan Tarnowski w rękach swych miał rozkosz, i cnotę. Ojca nie było, bracia pomarli, opiekuna téż piętnasty rok nie cierpiał. Młodość go wiodła ku rozkoszy, była chuć ku złemu, była też możność ku uczynieniu, co ciału lubo było. A wszakoż krew ona Tarnowska sama przez się chyliła go od rozkoszy ku cnocie, i ktemu go przywiodła, iż on dawszy diabłu, i rozkoszy po gębie, za cnotą się udał, i opuściwszy matkę i dom, do mądrego człowieka i urzędnika wielkiego Macieja Drzewieckiego, biskupa Przemyskiego, a podkanclerza na on czas koronnego, wszystek się był skłonił, aby jego radą i sprawą na dworze Olbrachta króla młodość swą wyprawował ku wszelkiéj cnocie, i ku wszelkiéj uczciwości, domu wielkiego synowi przystojnéj: z któréj sprawy swojéj takie miejsce u króla Olbrachta miał, iż gdy był król zachorzał, a dekret był uczyniony, aby żaden do króla na pokój nie chodził, jedno wezwany, sam tylko pan krakowczyk, (bo go tak po ojcu naonczas zwano) dekretem albo edyktem o nim był wyjęty, aby jemu samemu tylko, i niewezwanemu wolno było do króla na pokój wchodzić. Tom ja słyszał od ojca swego, który naonczas dworzaninem u króla Olbrachta był. Takie świadectwo o wychowaniu swym, i wyćwiczeniu w młodości swéj pan Jan Tarnowski miał.

Potém gdy z młodości już wychodził po śmierci Olbrachta króla, u Aleksandra, a potém u Zygmunta między pierwszemi dworzany był poczytany, który jakoby szczenię jakie z rodu myśliwe pokazywał się, ku jakiemu się on urodził polu: spraw bojowych na dworze się przysłuchiwał,

hetmanów się dzierżał, w rozmowach ich się kochał, historye możnych królów i hetmanów rad czytał.

Przyszła bitwa u Orsze z Moskiewskim, na którą Jan Tarnowski na swą szkołę z innémi panięty jechał. Tam na onéj wojnie moskiewskiéj, on panięcy huf świetny, i zacny, w którym Kmitowie, Tenczyńscy, Tarnowscy, Zborowscy, Ostrorogowie, Czarnkowscy, Zarębowie i innych rozliczne wielkich domów panięta, wszyscy Jana Tarnowskiego sami sobie i hufowi swemu byli przełożyli. Tam ona wrodzona w onym panie natura ukazała możność swą: albowiem nigdy przedtém nietylko wojennéj sprawy hetmańskiéj, ale nigdy na wojnie nie będąc, tak on panięcy huf sprawował, jakoby przedtém hetmanem zawsze ludu wielkiego bywał: albowiem tak on huf sprawował, iż z nim jedno jeden Kmita, a jeden Zborowski zabici są.

Te były, iż tak rzekę prymicye albo początki hetmana tego, u króla Zygmunta miłe, a u wszech sławne: i już w tenczas z tego początku rosła o nim nadzieja przyszłéj dzielności wielka.

Cudzych krajów zwiedzenie.

Po bitwie moskiewskiéj, schowawszy matkę swą r. 1517, nie chciał przestać na sprawach i na obyczajach domowych, ale opuściwszy dom, i dwór polski precz wyjechał, i po rozlicznych krainach pielgrzymował, szukając tak po ziemi, jako téż i po morzu onéj drogiéj perły, którą nam ewangielia święta zaleca, ważąc na nię nie tylko koszt, ale nakoniec i zdrowie swoje. A tu mię spytasz co tak za droga perła jest? Powiem ci krótko. Być dobrym a cnotliwym.

Jan tedy Tarnowski widząc wielkie przykłady domowe, a chcąc nietylko równym przodkom swym być, ale chcąc téż przodki swoje celować, szukał pomocy ku tak wielkiemu celowi. Przeto nie gnił doma na Tarnowskim miedzie, nie trawił młodości swéj sprosnemi biesiadami dworskiemi; nie przestawał téż na imieniu swoim Tarnowskim, chwałę przodków swych, za hańbę swą miał: poczytając sobie za hańbę imię Tarnowskich bez dobroci a cnoty Tarnowskich.

Przeto jakem już pisał, Chrześciańskie i pogańskie kraje przechodził, przez bystre Dunaje i burzliwe morza pływał; w morzu, i w ziemi szukając godności wielkiemu człowiekowi przyzwoitéj: i jeżdżąc, chodząc, pływając, nie oparł się, aż na Synai górze, w Jerozolimie oblanéj krwią Pańską. Aleksandryą, i wszystek Egipt, miejsca pamiątkami staroświeckiemi nadobne, przechodził, Ateny uczone widział, w Rzymie apostolskiéj się stolicy ukłonił, a ztamtąd do Hiszpanii, a potém do Portugalii jechał na

wojnę, przeciwko murzynom, Emanuelowi na pomoc: na któréj wojnie, gdy mu się było zdarzyło dobrze, przez francuzką ziemię, a potém przez niemiecką i przez angielską do polskiéj się był wrócił, wdzięcznym u pana swego poddanym, i wszem zaleconym człowiekiem.

Bitwa Obertyńska.

Skoro hetmanem Jan Tarnowski został, Piotr Wołoski wojewoda, podniósł walkę, hołd rzuciwszy, na króla Zygmunta, hołdownego swego pana. Posłan był na jego Jan Tarnowski, hetman wielki, z pięciu tysięcy ludu tylko, między którémi młodzików, aniżeli ćwików więcéj było. Widział Jan Tarnowski, że go Wołoszyn przesiągł ludem i mocą: widział też w wojsku swoim być trwogę, i rozpacz, jako to zwykło bywać na młodziki, którzy *Tyrones* po łacinie się zowią. Chcąc tedy niebywalce one na nieprzyjacielu z nienagła naprawić, a serca im dodać, u Grudca na Pokuciu z sześcią tysięcy bitwę zwiódł i nieprzyjaciela poraził: w któréj bitwie, acz sam hospodar mołdawski nie był, a wszakże onym szczęśliwym początkiem tak był młodziki swe Tarnowski zaprawił, że z chucią wszego swego wojska naprzeciwko hospodarowi samemu ku Obertynu obozem pociągnął. Miał Piotr wojewoda pięć i dwadzieścia równego ludu tysięcy: miał dział wiele, miał nakoniec wszemi rzeczami przeciwko naszym przyprawne wojsko. Który to Piotr, wiedząc o małości wojska polskiego, hardzie i swobodnie nocą przyszedł na obóz nasz, urągając, wyzywając, i hańbiąc wojsko polskie nasze. Wtenczas Jan Tarnowski hetman pokazał się czém był: albowiem sprawiwszy wojsko porządnie, sam na krzyż między wozy upadł, wzywając przeciwko mocy onéj wielkiéj wołoskiéj, ratunku Bożego na pomoc; polecając ziemie ruskie, sam siebie i wojsko swe w obronę przeciwko mocy onéj Panu Bogu. Takowe nabożeństwo nieżyczliwi jemu za bojaźń poczytali: co i ja im przyznawam, i powiadam, że sroga tam tego hetmana bojaźń natenczas była. Bał się o ruskie ziemie, które na bitwie onéj, jako na szańcu były wystawione; bał się o cześć królewską, o którą Zygmuntowi królowi z hołdownikiem swym szło; bał się o wojsko swe jemu zwierzone: bał się sam o siebie jako człowiek śmiertelności poddany. Bojaźń tedy ona była, która tam wtenczas męstwo hetmana ostrzyła. Strachci męstwo pokazuje. A przeto Jan Tarnowski w onym wielkim strachu będąc, ku samemu się Panu Bogu uciekł, widząc nikczemne być siły wojska swojego; to też pewnie wiedząc, iż nie w wielkości ludu, ale w siłach Bożych położone są wszystkie ludzkie zwycięstwa.

Jako ta pokora wielkiego tego hetmana u Pana Boga ważna była, wnet się na świtaniu ukazało. Albowiem dał mu był Pan Bóg serce mężne, sprawę mądrą, rycerstwo posłuszne: przeto on oną miłością wojska swego wielkie, i nadęte wojsko wołoskie poraził, Piotra wojewodę rannego, i ostatek wojska jego gonił, działa mu pobrał, ziem ruskich obronił, Pokucie wygrał, sprawiedliwość pana swego, i króla wszemu światu okazał! Czego wszystkiego w wielkiéj pokorze płaczliwemi dziękami ku Panu Bogu używał, jemu samemu cześć i chwałę oddawał, rycerstwo swe umiłował, i każdego cnotę, i męstwo bez zwłoki wysławiał, upominki wszystkie tak od króla, jak od innych panów sobie posłane, między rycerstwo rozdawał, zbite ludzie znaczne z płaczem pogrzebował. Takiéjci pokory w wielkim zwycięstwie zażywał, że go nikt nigdy nie słyszał tak mówiąc: poraziłem, wygrałem; ale: poraziliśmy za łaską Bożą, i sprawiedliwością pana, a króla naszego. O cnoto! jakoż ty dzielna! Paniś jest, gdy na swego trafisz!

Po téj sławnéj bitwie ruszył się do Zygmunta króla pana swego. Gdy od Mohiły ku Krakowu się przybliżał, rada koronna, i duchowieństwo, i wszystek Kraków jezdno i pieszo przeciwko niemu wyszedł witając. Toczono naprzód obfite działa, sztuk kilkadziesiąt, na których były herby polskie, przez Olbrachta króla w Wołoszech na Bukowinie stracone. Więźnie też zacne, Wołoską radę, przed nim wiedziono. Lud pospolity krakowski palcem sobie na działa, i więźnie pokazywał, mówiąc: ten jest Logofet kanclerz ziemie mołdawskiéj; ten hetman mołdawski, dwornik Burkulap: to wszystko był król Olbrecht na wojnie potracił, co teraz nam Pan Bóg do naszego Krakowa wraca: bądźże Tobie Boże chwała; a ty bądź zdrów Tarnowski! bądź nam szczęśliwym hetmanem! i tak tryumfując na zamek wjechał.

Tam w kościele naprzód głownym przed ołtarzem na swe kolana z radami koronnemi upadłszy, Panu Bogu podziękował, że posług jego i królowi Panu zwierzchniemu, i wszystkiemu narodowi polskiemu poszczęścił. Po modlitwach onych, chorągiew ziemi Wołoskiéj, z wielką bawolą głową, i z innemi chorągwiami mniejszemi, na wojnie wołoskiéj zdobytemi, na grobie świętego Stanisława zawiesił, nie ku chlubie swéj, ale ku chwale Bożéj, i ku ludzkiéj wiecznéj pamięci.

Potém z kościoła z wielkimi tłumy ludzi wyszedł Jan Tarnowski ku królowi. Gdy na plac wchodził, tę cześć Zygmunt król temu hetmanowi wyrządził, któréj był za wieku królowania swego żadnemu hetmanowi nie wyrządził. Albowiem on wielkiéj powagi król, z miejsca swego kró-

lewskiego powstał, i przeciwko niemu aż na ganek wyszedł. Tamże Jan Tarnowski Zygmunta, jako poddany a hetman króla swego z wielką uczciwością witał. Summa witania była: dzięki wprzód Bogu za zwycięstwo, a pokorne do króla upominanie, aby drugi raz Bogiem nie kusił, mało ludu przeciwko nieprzyjacielowi wielkiemu na harc sadowiąc. Potém męstwo rycerskie (a o swoim nic) opowiadał, i prosił aby rycerstwo miłował. Na co król łaskawie odpowiedział, z zdrowia i szczęscia się jego radował, łaskę jemu, i rycerstwu obiecował.

Obchód pogrzebu.

Był na ten czas pan Jan Krysztof, kasztelan Wojnicki, syn jego w Gorliczynie u Przeworska, który dowiedziawszy się, że Ojciec już swój wiek zakończył, dniem i nocą z małżonką swą ku Wiewiorce bieżał. Tam przyjechawszy ojca umarłego znalazł; ztąd w taką żałość, i w tak wielki smutek był wpadł, że się Doktorowie i służebnicy jego oń bardzo bali. Także potym obiwszy żałobą w kościele, postawiono ciało, przy którym ustawicznie kapłani psałterz śpiewali, i msze miewali. Pan też Wojnicki z miłą i smutną małżonką swą, każdy dzień przy ciele mszy słuchali, od ciała całe trzy miesiące nigdzie z Wiewiorki nie odjeżdżali, świetność swoję, i Dworu swego w grubą żałobę wnet odmienili, i wszystko wesele w smutek wielki obrócili.

Po Polsce wszędzie, także w Litwie, i w Rusi, pełno żałości i smutku było. Naprzód król Jegomość, jako żałościwym królem po tym hetmanie swym w Litwie był, wypisał o tym dostatecznie łacińskim językiem Piotr Rojzyusz, Hiszpan. W Polsce też, a zwłaszcza w Rusi, jako śmierć pana tego niezasmuciła wszystek lud pospolity, ztąd znać możesz. W niektórych miastach azwłaszcza w Przemyślu burmistrz zakazował tańców i biesiad wesołych dnia onego, którego ta smutna nowina do Przemyśla przyszła była. U jednego mego przyjaciela byłem na biesiadzie: były krotofile tam wielkie; ale skoro ta wieść o śmierci tego pana przyszła, wnet nasze wesele w żałościwą boleść się obróciło. Panny tańców wnet przestały, umilkli piszczkowie, zgasła biesiada; a gdzieśkolwiek się obrócił, nie usłyszałeś głosu innego, jeno: „jużeśmy siedli; jużci nie będzie Jan Tarnowski na podwodziech do Rusi biegał nas bronić!“ Takiego płaczliwego narzekania wszędzie było pełno po Rusi.

Ale co się o tym długo bawić? Pogrzebu pompa żałosna jego, pokazuje jawnie, z jaką boleścią pospolitą Jana Tarnowskiego, hetmana i senatora, korona polska straciła, o którym pogrzebie słuchaj:

Gdy czas pogrzebowi na poniedziałek przed świętym Bartłomiejem założony był, w sobotę przed tym ciało z Wiewiorki na zamek Tarnowski było przywiezione, które ciało smutny syn z małżonką swą, i z panem wojewodą Sendomirskim, Stanisławem, bratem swym stryjecznym, w wielkim zebraniu pań i panów z Wiewiorki na Tarnowo prowadził, aby z tamtego miejsca do grobu ciało prosto wiezione, na którém się téż miejscu urodziło, było: bo pan Jan Tarnowski, na Tarnowie był się urodził. W niedzielę zjechało się było, jakoby na pogrzeb pospolitego Ojca wiele rozliznego ludu, którego tak wielka moc była, że w mieście, po przedmieściu, po wsiach, wszędzie pełno koni i ludu było, którym wszystkie stajnie i obroki hojnie rozdawane były.

W poniedziałek nad południem z zamku Tarnowskiego do kościoła ciało prowadzono. Tłuszcze były wielkie ludu, pola między zamkiem a miastem ludem smutnym, a czarnym były przykryte. W procesyi ubogich w kapach z świecami, huf wielki był, za któremi szli kapłani, między któremi ci byli pierwsi: Jakób Uchański Biskup Kujawski: Walenty Herburt Biskup Przemyski, Stanisław Słumowski Szufragan Krakowski, Andrzéj Przesławski Scholastyk i Wikary Wojciech Starzyski Archidyakon Krakowski, Jan Ławczowski Opat Tyniecki i drugi téż był Pokrzywnicki, Jan Zborowski proboszcz sendomirski, Marcin Łyczko, proboszcz Tarnowski. Za xiężą tudzież kilkadziesiąt koni wiedziono, jedwabnémi dekami przykryte. Za końmi szły mary pod złotogłowy, srebrnogłowy, aksamity, których było kilkadzisiąt. Za nim jechał Stanisław Kozicki młodzieniec z proporcem czarnym, na którym złotém było wybito obraz krzyża śgo., a około, te były litery: *In hoc signo vinces:* a na drugiéj stronie tegoż proporca złotym pismem, krótka historya dziejów jego była wyrażona.

Za tym proporcem jechało drugie pachole Bobola z drzewem: za nim Kiryśnik Brzostowski, za Kiriśnikiem jechał Nikodem Radoszowniecki podkomorzy w czarnéj atłasowéj długiéj szubie sobolami podszytéj, w kuczmie sobolowéj, reprezentując pana swego umarłego. Za tą jazdą potém ciało wieziono. Po marach, i po koniach herby jego cztery: Hleliwa, Sulima, Gwiazda, Koń stary. Za ciałem przy panu Wojnickim panów, paniąt i ludu pospolitego tłum wielki. Przy pani Wojnickiéj takoż pań i panien mnóstwo wielkie.

Gdy ciało już w kościół Tarnowski nad wieczorem wprowadzone było, Łukasz Dominikan Lwowczyk, osobliwe kazanie na onym pogrzebie uczynił. Tema kazania onego była: Izajasza proroka Cap. 1. *Et derelinquetur Filia Sion,*

ut umbraculum in vinea, et sicut tugurium in cucumerario, et sicut civitas, quae vastatur.

Było wprawdzie czego słuchać: i nie był na kazaniu żaden, aby się téj profecyi nie lękał. Przypomniał téż o żywocie pana tego tyle, ile czas mógł znosić. Po kazaniu tegoż dnia był kondukt, po kondukcie ciało do grobu nowego schowano na prawéj ręce ołtarza wielkiego. Proporzec czerwony nad grobem zawieszono.

Nazajutrz procesye po kościołach były, za któremi panowie i panie nabożnie chodzili. W kościele u Bernardynów ksiądz biskup Przemyski żałobną mszą śpiewał: na ofiarę i panie chodziły. U Fary także ksiądz biskup Kujawski żałobną mszą śpiewał: po ewangelii kazał. Pełen kościół ludzi był. Kazał około bojaźni: żywot téż umarłego pana przypomniał, słuchali tego kazania, pan Wojnicki, pan Spytek Jordan wojewoda Krakowski; pan Marcin Zborowski wojewoda poznański, pan Stanisław Tarnowski, wojewoda Sendomirski: Stanisław Herburt Lwowski, Walenty Dębicki Sądecki, Zbigniew Sieniawski Sanocki, Jan Herburt Lubaczowski kasztelani. Byli téż Posłowie na pogrzeb posłani, jako: pan Jan Ocieski kanclerz koronny poseł króla Imci; tak téż poseł Niemiec był od książęcia pruskiego, poseł książęcia Ostroskiego i poseł wojewody Wileńskiego.

Po kazaniu u ołtarza podawano znaki, tak rycerskie jako i chrześciańskie tego pana umarłego. Pan Wojnicki syn jego szczyt świecami oblepiony. Pan wojewoda Sendomirski synowiec niósł Kapalin świecami oblepiony, pan Jan Rzewuski niósł miecz świecami oblepiony. Pan Jan Sieniawski wojewodzic ruski herbownych panów z Tarnowa niósł, i łamał drzewo. Potém Brzostowski kiryśnik z konia spadł z srogim i ogromnym trzaskiem. Nie jeden tam w tenczas zapłakał, patrząc na onę śmiertelności odmianę; a jak ludzka cześć i chwała wniwecz się rychło odmienia, a prawie w proch się obraca. Ale jednak one wyświadczają, iż Jan Tarnowski prawdziwym chrześcianinem i rycerzem był. Oddawał nam żywym na swym pogrzebie zapaloną świecę, na znak, iż on świecy, którą był na chrzcie z rąk kapłańskich raz wziął, nie zgasił niewiarą, ani kacerstwem żadnym, jakoś to z żywota jego jaśnie poznał. Oddawał nam też zbroję całą, na znak tego, że w rycerskim stanie był dobrym, a cnotliwym rycerzem. A iż on dla rzeczypospolitéj drzewa, zbroję, szczytu, konia swego przeciwko nieprzyjacielowi polskiemu, wiernie, a mężnie używał, z tego wszystkiego niech będzie dana od nas samemu Bogu cześć i chwała. Po tych i innych wszystkich ceremoniach, był obiad na probostwie wielki i długi. Ja nie byłem na tym obiedzie, bom się był zabawił koło tego

pisania; dla tego téż o nim nie piszę: to tylko wiem, że był dostatni, jako u pana wielkiego.

JAN ŚNIADECKI.

(z Wypisów p. Łyszkowskiego.)

W liczbie współziomków, którzy przez charakter, naukę, pracę, gorliwość o dobro powszechne i położone zasługi, mają prawo do pamięci i wdzięczności naszéj, jedno z najznakomitszych miejsc zajmuje Jan Śniadecki.

Urodził się dnia 29 Sierpnia 1756 r. w Żninie, województwie gnieźnieńskiém. Młodość Śniadeckiego była nieprzerwanym ciągiem najusilniejszéj pracy i przykładania się do nauk; nadzwyczajna bystrość pojęcia, szczęśliwa pamięć i zapał szlachetny do celowania w postępkach i nauce, zdziałały to, iż w 18 już roku życia swego, w którym gwałtowność namiętności porywa zwykle innych i czułego dozoru wymaga, Śniadecki przewodniczył już innym, zjednawszy dla siebie przychylność i zaufanie najpoważniejszych osób. Miłość pracy i doskonalenie się w naukach, zamieniła się u niego w niezwyciężoną można mówić namiętność. Przebywając w Getyndze, dni trawił na lekcyach publicznych, oddany ćwiczeniu się w astronomii, w téj cudownéj nauce, która, jak sam powiadał, najwięcéj przynosi zaszczytu umysłowi ludzkiemu, i w pomocniczych jéj umiejętnościach, a nocy przepędzał na uczeniu się budownictwa wojskowego, języka i literatury niemieckiéj.

Ale ta chciwość pracy niszczyć zaczęła młode jego siły i wzrok nadzwyczajnie bystry z przyrodzenia przytępiać. Uważając to przyjazny jemu, a znamienity w owych czasach lekarz Baldinger, zaledwo mógł wyrwać zapalonego młodzieńca ze smutnego stanu zdrowia, w jakim się znajdował; on mu kazał zapakować książki i wyjechać natychmiast z Getyngi, dla zwiedzenia obcych krajów i przepędzenia kilku przynajmniéj tygodni na rozrywce. Przekonany wreszcie o zupełnem sił swoich wyczerpieniu wyjechał Śniadecki w Listopadzie 1779 r. z Getyngi do Leidy, sławnéj wówczas tylu uczonymi ludźmi, i tam główne założywszy siedlisko, kanałami różne odbywał wycieczki po całéj Holandyi.

Te małe podróże wzmacniając nadwątlone zdrowie, przynosiły mu razem inne, a nie mniéj ważne od samych książek korzyści. Jan Śniadecki zwiedzając obce kraje nieporzestawał na powierzchownem ich oglądaniu; szukał on

znajomości i towarzystwa sławnych nauką i publicznemi cnotami ludzi, bez których każdy kraj, pozbawiony życia, mimo najcudowniejszych dzieł przemysłu i geniuszu ludzkiego, martwym byłby tylko siedliskiem niemych pomników. W obcowaniu więc z najuczeńszymi mężami Holandyi, nową i powabną znajdował naukę, obszernych nabywał wiadomości. Jakoż jednem z najpierwszych prawideł jego życia było, że się wszędzie starał o przybliżenie do najznakomitszych ludzi, wszędzie i zawsze szukał z nimi związków. Takim sposobem nabył wkrótce młody wędrownik polski między rówiennikami swoimi wielkiéj wziętości i znaczenia, a wrodzona uprzejmość, żywość i rzadki dar przekonywającéj wymowy, garnęły do niego serca wszystkich, z którymi zabierał znajomości.

Naukowy zawód swój rozpoczął Śniadecki w akademii krakowskiéj od czasu jéj urządzenia za Stanisława Augusta i zostawał w niéj aż do początku 1806 r.; w tym przeciągu czasu odbył powtórną podróż za granicę r. 1804.

Podczas pobytu swego w akademii krakowskiéj wydał algiebrę r. 1783 a między rokiem 1782 — 1785 rozprawę o Koperniku i geografią astronomiczną.

Odtąd co dzień rosła sława i wziętość Śniadeckiego, na którą bądź pięknemi płodami swojéj nauki i wymowy, bądź niezgiętą prawością i mądrem urzędowaniem zasługiwać nieprzestawał. Po powrocie z zagranicy Śniadecki uległ silnym naleganiom i przeniósł się do Wilna. Zostawszy rektorem uniwersytetu wileńskiego, piastował ten urząd aż do roku 1823. Szkoła ta jemu winna swoje zakwitnienie, i pod jego sterem ukształciła tylu nauczycieli gruntownie oświeconych, tylu biegłych lekarzy i znamienitych autorów. Nigdy nie odmawiał rady, zachęty wsparcia uczniom, w których dostrzegał prawdziwy talent, pracowitość i dążenie do gruntownéj nauki.

Dobroczynność była jedną z najpierwszych cnót Jana Śniadeckiego, ale skromna i ukryta: bo z serca pochodząca; nieodbijała tak głośnego echa, jakie się roznosić zwykło od tych miłosiernych datków, które są owocem próżności i rachunku. W ostatnich kilku latach życia zdaje się, iż cnota stała się w nim panującą. W wiejskiem ustroniu, hojną ręką rozdzielał na około siebie dary. Ubogi wieśniak za najmniejszą przysługę, umyślnie wskazaną sobie, odbierał sowitą nagrodę. Nieszczęściem jakiem przywalony, lub podupadły, niechybne znajdował wsparcie. Co większa, każdy dar, każda pomoc Jana Śniadeckiego połączona była z tą rzadką delikatnością, która nieupokarzając nikogo, tysiąc razy milszą ją czyni i saméj tylko wdzięczności uczucie zostawia.

Dnia 21 Listopada 1830 r. skończył życie Jan Śniadecki w Jarzunach, powiecie wileńskim i tam spoczywają zwłoki jego. Dnia tego zdawał się być zdrowym i jak zwykle siadł do stołu. Przy końcu obiadu głowę oparł na ręce, rozumiano że zasypia, wszyscy wyszli w cichości, aby nieprzebudzać ze snu czcigodnego starca. Niestety! był to sen śmierci. Zgon jego tak był lekki, spokojny, wolny od cierpienia, iż zdaje się, iż odpowiada użytecznemu życiu, niezakłóconemu nigdy żadną burzą, ani ciężkiemi przygody.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o pismach jego Oprócz dwóch jego dzieł naukowych Algebry i Trygonometryi, pisma Jana Śniadeckiego ogłoszone drukiem przystępne są dla każdego stanu i wieku. Obejmują one: geografią matematyczną, żywoty naukowe: Kopernika, Poczobuta, Kołłątaja, zagajenia akademickie, listy, rozprawy w naukach, rozprawy filozoficzne i filozofią ludzkiego umysłu.

Wszystkie te pisma cechuje jasność wykładu, czysta, wzorowa polszczyzna i nieprzerwany wzgląd na rzeczywisty pożytek, na stan naukowy swych współziomków. W geografii astronomicznéj znajdujemy wykład prawd przez Kopernika i Neftona odkrytych i tłómaczenia najważniejszych zjawisk natury; ale to sposobem tak jasném tak wzbudzającym zamiłowanie do nauki, że dzieło to nietylko u nas, ale i między dziełami najbardziéj posuniętych narodów znamienite by miejsce zająć powinno.

Zdaje się, że Jana Śniadeckiego możemy uważać jako wzór tego praktycznego rozumu i zastósowania się do potrzeb kraju, którym odznaczyły się prace współczesnych jemu uczonych, jako to: Piramowicza, Kopczyńskiego, Dmochowskiego, tłomacz Iliady, Potockiego, Karpińskiego, i. t. p.

Może późniejsze pokolenie daléj posunęło wyobrażenie swoje co do pojmowania poezyi, ale nigdy nie przewyższy mężów tych w zasługach położonych dla kraju, języka i oświaty.

KOPERNIK.

Przez

Jana Śniadeckiego. Wilno 1818.

W dwudziestym szóstym roku panowania Kazimierza Jagiellończyka, Ery zaś chrześciańskiéj roku 1473 dnia 19 Lutego urodził się Kopernik w Toruniu, z ojca Mikołaja, i z matki Barbary Watzelrod, siostry Biskupa War-

mińskiego. Odesłany na nauki do akademii krakowskiéj, i w rejestr jéj uczniów roku 1492 zapisany, czerpał w téj jedynéj podówczas polskiéj szkole przez lat pięć wiadomości literatury greckiéj, łacińskiéj i nauk matematycznych. Tym trojakim rodzajem nauk słynęła pod ów czas w Europie szkoła krakowska. Jakób z Kobylina, Mikołaj Szadek, Marcin z Olkusza, sławni matematyki profesorowie, byli współuczniami Kopernika, wszyscy zaś w matematyce i astronomii uczniami Wojciecha Brudzewskiego: i kiedy za naleganiem Xiążęcia Kardynała Fryderyka Jagiellończyka, Brudzewski wyjechał do Litwy na urząd sekretarza przy księciu litewskim Alexandrze, królu potém polskim; Kopernik w r. 1497 przeniósł się do Bononii: gdzie pod astronomem Dominikiem Marya z Ferrary, jak świadczy Retykus, nie jako uczeń, ale jako świadek i pomocnik, nad obserwacyami gwiazd pracował.

Wyjechał więc z ojczyzny swojéj Kopernik już opatrzony w wiadomości astronomii i matematyki: któremi tak słynął we Włoszech, iż w dwudziestym siódmym roku wieku swego, ucząc publicznie matematyki w Rzymie, liczne bardzo zgromadzenie uczniów na swoje lekcye ściągnął. Tam w ciągu swego nauczycielstwa, nie zaniedbując obserwacyi gwiazd, uważał zaćmienie księżyca w roku 1500. Wracając z Włoch do Polski, w Padwie popisywał się z swego w Anatomii postępku, i stopień doktora Medycyny otrzymał. W Krakowie zaś w liczbie akademików roku 1504 jest zapisany: i zdaje się, jak gdyby było jego przedsięwzięciem zostać przy akademii, gdyby go był wuj jego Biskup Warmiński, dawszy mu kanonią, do Warmii nie zawołał.

Ale nie zapuszczajmy się w dociekania i domysły o drobnych zdarzeniach i znikomych dziejach jego życia: bo historya człowieka, który pierwszy założył niewzruszone grunta nauki, i stał się, że tak powiem, nauczycielem wieków i narodów, bydź powinna historyą jego rozumu. Zamiast więc szperać, za przykładem niektórych, po jego rodzie i pokoleniu, wnidźmy raczéj w genealogią wielkich o budowie świata myśli i wynalazków, żeby się przekonać, iż Hypparch, Philolaus, Apollonius i inni wielcy w starożytności ludzie byli godnymi przodkami; Galileusz, Kepler i Newton potomkami Kopernika.

Jak szedł do poznania dawnych błędów i ich poprawy.

Co tylko osiadł w Frauenburgu, pilne uważanie biegów niebieskich, doskonalenie istotnych do tego pomocy, a najbardziéj, jak się Pawłowi III. Papieżowi spowiada, ścisłe roztrząsanie wykładu i wszystkich Astronomii początków,

cały jego umysł zajęło. Chcąc odkryć i pokazać dzieło natury, zaczął naprzód bydź surowym sędzią tego, czego się nauczył. „Wystawmy sobie (mówi Kopernik w przedmowie do Pawła III.) członki ciała ludzkiego rozrzucone, pochodzące od osób różnego kształtu, urody i wielkości: gdyby kto pozbierawszy te tak różnorodne części do siebie źle przystające, w proporcyi niezgodne, w stosunku nieforemne, uwziął się połączyć je razem i złożyć; wystawiłby zapewne raczéj poczwarę, jak postać szykowną człowieka. Taką budową wydała mi się w ścisłém rozstrząśnieniu dawna nauka astronomii. Widziałem w tłumaczeniu biegów niebieskich mniemania naciągane do jednych przypadków, odmieniane lub odrzucane w drugich: tam wiklące porządek rzeczy, tu mięszające pojęcie, a nigdy prawie nie dogadzające przekonaniu: w dziełach zaś natury więcéj okazujące dziwactwa i zamięszania, niż szyku i porządku. Cóż wypadało sądzić o całym tym gmachu, okrytym chmurą ciemności i chwiejącym się pod ciężarem zarzutów i trudności? Oto, że cały fundament, na którym osiadł, musi bydź nieugodzony, słaby i fałszywy."

To surowe o nauce Ptolemeusza zdanie, mające dziś za sobą całą moc ściśle dowiedzionéj pewności, powiedziane na początku XVI. wieku, przed głową na ów czas całego chrześciaństwa, wystawia nam w Koperniku człowieka, który natchnięty mocą przekonania, wynosi się pierwszy nad powagę czternastu wieków, nad uprzedzenia uporczywe i powszechne uczonych, wreszcie nad pozorne zmysłów świadectwo, i w rzeczach dociekaniu ludzkiemu zostawionych oddaje cześć prawdziwie, mężną ale przystojną odwagą. Wyćwiczony przez nauki matematyczne w sztuce ugruntowanego, czystego i porządnego myślenia, którego wzorem były i będą zawsze pisma Jeometrów dawnych, poniósł ten wielki człowiek w naukę astronomii tę głęboką i skupioną uwagę, tę skrzętną i surową ścisłość w równaniu, wiązaniu i dowodzeniu myśli: a nie mogąc zaspokoić swego przekonania tém, co się w oczach innych wydawało pewnością; odważył się wniść w źródło wątpliwości, i sądzić mniemania ludzkie, równając je z widowiskiem biegów niebieskich.

Jakie miał niebezpieczeństwa do uniknienia.

W tak trudném przedsięwzięciu trzeba było uniknąć dwóch równie niebezpiecznych przypadków, przez które przechodzić zwykły nauki fizyczne, naznaczone w epoce swego dziecińswa najczęściéj piętnem słabości ludzkiéj. Tworzyć bowiem w fizyce mniemania i domysły, jestto czasem naukę dzieł przyrodzenia zamienić na zbiór uczonych

przywidzeń: zabronić sobie znowu wszelkich myśli do tłumaczenia i związania skutków nataralnych, postrzeżeń i doświadczeń, jest zostawić, że tak rzekę, odłogiem wiadomości nasze, a naukę skazać na wieczną nomenklaturę, obciążającą pamięć bez zatrudnienia myśli i rozsądku. Trzeba więc do pomyślności w podobnym zawodzie szczególnie uprzywilejowanéj głowy, obdarzonéj siłą nie marzenia, ale zgadywania tajemnic natury. Nie dosyć, że jaka trafna myśl zabłyśnie rozumowi w takowém dociekaniu; pozostaje mu jeszcze téj myśli, poznanie wszystkich jéj stron i postaci, godzenie jéj z działami natury i świadectwem zmysłów; pozostaje nadto dostrzeżenie pewnych granic, do których nas te zmysły prowadzić mogą: rozróżnienie wszystkich odmian przypadkowych i obcych, którym czucia nasze podlegać zwykły: wreszcie pokonanie tego rodzicielskiego do myśli naszych przywiązania, które nas utrzymuje i zapala, ale téż częstokroć i zaślepia w poznawaniu rzeczy.

Zbiór i widok ogólny jego nauki i wynalazków.

Trafność w myśleniu i stósowaniu, utrzymanie pewnéj uwagi między usługą zmysłów i władzą rozumowania, uśpienie miłości własnéj przez wygórowaną miłość prawdy, te są wielkie i rzadkie przymioty, które doprowadziły Kopernika do odkrycia porządku świata, i które on w jego wyłożeniu za prawidło myślenia potomności zostawił.

„Że słońce jest gwiazdą nieruchomą, otoczoną szeregiem planet około niego krążących, których jest i środkiem biegu, i pochodnią oświecajacą: że oprócz planet głównych, są planety drugiego rzędu czyli księżyce, naprzód około swych planet, a potém wraz z niemi około słońca bieżące: że ziemia jest planetą głównym, bieg trojaki mającym: że wszystkie widowiska biegu dziennego i rocznego, wszystkie pory roku, i z nich wypadające odmiany w świetle i powietrzu są rzetelnemi skutkami biegu ziemi wirowego około swéj osi, i peryodycznego około słońca: że wszystkie biegi gwiazd stałych są tylko złudzeniem oka naszego, a prawdziwym wypadkiem biegu ziemi: że nakoniec w biegu wszystkich planet, tak pierwszego, jak drugiego rzędu, zachodzą dwojakie skutki bacznego rozróżnienia wyciągające, to jest jedne które pochodzą od biegu ziemi; drugie, które wypadają z ich własnego około słońca obrotu." Te są niewzruszone i wieczne w fizyce niebieskiéj prawdy, które Kopernik pierwszy światu objawił i wyłuszczył w swém nieśmiertelném dziele o obrotach niebieskich.

Umarł Kopernik, kiedy wyszła jego książka o *obrotach*

Niebieskich już drukiem ogłoszona:[1]) był to wschód nieśmiertelności przy zgonie niknącego człowieka. Jego gieniusz w tém dziele wylany, wcielał się już że tak powiem, w pamięci ludzkie, mając tak szczęśliwie zatrudniać uwagę, i upłodniać myśli i pojęcia następnych wieków. Wypracował i obiawił dzieło to Kopernik, kiedy Zygmunt pierwszy władał szczęśliwie berłem polskiém. To panowanie tak dla Polski dobroczynne i świetne, tak dla nauk łaskawe i przyjazne, warte było tego znakomitego zaszczytu: jakoż rządy tego wielkiego, a zawsze miłego Polakom króla, będąc już pod ów czas przykładem mądrości, stały się jeszcze stolicą oświecenia dla całéj Europy.

W pasmie przemian i znikomości rzeczy ludzkich, dwa tylko są źródła rzetelnéj, trwałéj i dobroczynnéj chwały człowieka: dzieła sprawiedliwości, któremi się tworzy, utrzymuje i zdobi porządek towarzyski; i wynalazki, które doskonaląc siły i władze ludzkie, odsłaniają nam porządek fizyczny świata. Świat bowiem jest zbiorem niewyczerpanéj rozmaitości stworzeń; jego poznawanie jest składem niezliczonych porównań, których człowiek istotnie potrzebuje do znalezienia i ocenienia swojéj prawdziwéj wartości: gdyż jéj wiadomość jest najczęściéj matką błędu i okropnych skutków moralnego nierządu. Te same zaszczyty, które uzacniają człowieka w porządku towarzyskim, stanowią rzetelną chwałę narodów w porządku politycznym: i dla tego rządy pracujące nad szerzeniem dzieł sprawiedliwości, i opiekujące się postępkiem nauk, są prawdziwą i widzialną na ziemi Opatrznością; bo wpływają skutecznie w doskonalenie obyczajów, i władz człowieka: z ktorych pierwsze stanowią całą dostojność i zacność; drugie zawierają całą dzielność natury ludzkiéj: tamte kierują czyny, te prowadzą myśli ludzkie do najważniejszych osobistych i towarzyskich korzyści.

Liczymy w dziejach polskich te, lubo przemijające jednak zawsze chlubne epoki rządu opatrznego. Kazimierz wielki i Zygmunt pierwszy, zawsze będą odbierać błogosławieństwa Polaków: ostatni nawet zgon bytu politycznego Polski, nie przestanie być sławnym w dziejach narodów, pierwszym przykładem w ustawie i dziełach kommisyi edukacyjnéj. Jéj usiłowaniem zaszczepione w Polakach szlachetne do nauk i ich wzrostu przywiązanie, dało początek naszemu towarzystwu, i téj gorliwości, z którą stara się czcić i uwielbiać wynalazki i prace swych uczonych rodaków. Ustały dla nas pożytki wielkich przykładów cnoty publicznéj i męztwa z dziejów domowych: ale owoce dowcipu i ro-

[1]) Umarł Kopernik 1 Czerwca 1543.

zumu, które się zrodziły na ziemi polskiéj, zapalać nas powinny do utrzymania tego dziedzictwa chwały narodowéj przez nasze niewinne prace około wzrostu nauk i umiejętności. Skazani na pokutę za błędy i przewinienia ojców naszych szukajmy pociechy w spokojném, ale najdogodniejszém człowieka zatrudnieniu, to jest, w rozwadze prawdy i natury; w przyjemnościach i rozkoszach dowcipu.

ŻYWOT Ś. WOJCIECHA
ARCYBISKUPA GNIEŹNIEŃSKIEGO.

Żył około roku Pańskiego 950.

przez księdza Piotra Skargę.

Sława i światłość wielkich narodów, czeskiego, polskiego, węgierskiego, przenajchwalebniejszy mąż, kapłan i męczennik Chrystusów z narodu onego słowiańskiego, z Czechów idący, zacne i z królami krwią spojone rodzice miał: których on chwałę i stan wielki świecki, świętym i dziwnym żywotem swoim duchownym okrasił i wsławił. Będąc niemowięciem, zachorzał, i żałość nie małą rodzicom uczynił: którzy pragnieniem zdrowia jego ściśnieni, pociechy swéj doczesnéj w nim odstąpili, a P. Bogu na służbę go poślubili: woląc raczéj żywym go między sługami kościelnemi widzieć, niż na smętną śmierć jego patrzeć. Ponieśli go na poły umarłego do ołtarza przeczystéj matki Bożéj Maryi: prosząc aby ona na służbę synowi swemu nowego a maluczkiego sługę przykazała, a zdrowie mu do tego zjednała. Nieomieszkając dzieciątko ozdrowiało. Anielska i nasza cesarzowa świętą przyczyną swoją i cudem onym, naznaczyła sługę wielkiego Panu Bogu. Skoro trochę podrosł, oddali go rodzice kapłanom, i z sługą, który go z dzieciństwa pilnował. Ale gdy sługa on przez niestatek swój od pacholęcia uciekł, Wojciech też święty po nim tęskniąc do ojca pobieżał. Niewdzięcznie go ojciec przyjął, i jako zbiega rózgami obił, i do szkoły oddał: a Pan Bóg rozum Wojciechowi otwarzając, i baczenia zaraz z nauką przymnażać mu począł. Widząc dowcipne dziecię, rodzice dali go arcybiskupowi magdeburskiemu na wychowanie, na imię Albertusowi, u którego tak był wdzięczny, iż mu swe imie przy bierzmowaniu dał: i przeto dwoje imie miał, i z chrztu Wojciech, i z bierzmowania Adalbertus. Dziewięć lat na nauce strawiwszy, stał się z niego uczony człowiek w każdéj nauce, iż mało sobie

równych towarzyszów w téj mierze miał. I wrócił się po skończonych naukach do domu ojca swego, gdzie go młodość i krew bujna uwiodła. Bo gdy z pracy szkólnéj wyprzągł, a próżnowania sobie dopuścił, za światem się i jego próżnościami udał: na Pana Boga mało wspomnieć, roskoszy, marnéj kosztować, z rówiennikami biesiad używać, i inne pochlebstwa a zwodzenia świata tego przyjmować począł. Nie długo w takim stanie nieprawéj drogi trwał: Pan Bóg upominał go śmiercią pierwszego biskupa Pragskiego Drytmara, do któréj się był trafił: który iż umierać straszliwie wołał, że go czarni czarci do piekła wlekli, wielki mu gwóźdź w serce wbił, iż o poprawie żywota swego i drogach Bożych, któremi pierwéj chodził, statecznie myślił, i niemieszkając, ukrócił obyczaje swoje i w klubę je bogobojność wprawił. Rychło potém na pragskie biskupstwo, jako swoje krew, i zacnego, uczonego, a cnót pełnego człowieka Czechowie po Drytmarze obrali. Obrany będąc, jechał na poświęcenie do arcybiskupa Moguncklego, i przy cesarzu Ottonie wtórym na dostojność biskupa poświęcony był. Wróciwszy się na biskupstwo, dochody kościelne na cztery części rozdzielił: jedną na kapłany i kleryki swe, drugą na ubogich, trzecią na poprawę kościołów i wykupno niewolników, czwartą na swoje wyżywienie. Wiódł żywot świątobliwy: bogactwy gardził, złoto sobie za błoto miał, i roskosze do piekła prowadzące o ziemię uderzył. To jedno jego pragnienie i staranie było, aby o Chrystusie myśląc, nic sobie innego nie smakował, niczego innego nie szukał, posty gęstemi i wielkiemi trapił członki swoje: a modlitwa, była mu chlebem powszednim, w któréj się ustawicznie za swe i ludzkie grzechy, Panu Bogu skruszonym sercem korzył. Wszystką się siłą starał, jakoby był złe namiętności swe i chuć, i pokusy świeckie i cielesne, z serca swego wykorzenił. Serce wolne od myśli świeckich chować, na skrzydłach je rozmyślania nabożnego w niebo podnosił, i jako uczył tak żył, iż mu nikt rzec nie mógł: przyjacielu, zlecz sam pierwéj siebie. Wtym tylko nieszczęśliwy był, iż czujność około owiec swych mając, mało im pomagał: bo na złą a zepsowaną rolę trafił. Ludzie nieukarani, w zbytki wielkie i rozpustność cielesną się wdawali: niewolniki chrześciańskie, i dzieci swe żydom przedawać śmieli, święta gwałcić, postów nie chować, nikogo nie słuchać, to ich obyczaje były. Klerykowie też i stan duchowny naprzód się był skaził, karność kościelną zmiatali, biskupa sobie nic nie ważyli, i świeckie przeciw niemu a możniejsze pany pobudzali. Leczył wrzody one upominaniem, karaniem, przykładem: ale jako szaleni z ran tych tak szkodliwych, przywijania i ma-

ści drogie zdzierali, pracy było dosyć, a pożytku nic: upominania gęste, ale sprzeciwienie większe. Co miał czynić ś. biskup. Z jeziora niepołownego sieci zdjął, a bojąc się aby przy złych rybach a głębokiéj wodzie i sam nie utonął, myślić o sobie téż począł. I postanowił udać się na pielgrzymowanie. W Rzymie u świętego Bonifacyusza, w zakonny się ubiór oblókł, i pod posłuszeństwem starszego, ochotnie się do zamiłowania Boskiego w żywocie onym zapalał, każdemu najmniejszemu służył tym ochotniéj, im mu co wzgardzeńszego poruczono, wzgardy się samego siebie a pokory pilnie ucząc, stał się jako maluczkim już w leciech doskonały, między małémi braty kuchnią umiata, miski i naczynia umywa, wodę nosi, wszystkiéj się domowéj służby u starszego domaga. Myśl każdą swoją i co mu kolwiek czart do serca przyniósł, starszemu oznajmił. A w tym jednak mądrze się o trudnościach pisma świętego pytał, i o sposobach i naturach cnót i występków, rad rozmowy i nauki słuchał. I tak co daléj postępując, założył osnowanie pokory, na któréj inne cnoty szczęśliwie postawił, i stał się domem i budowaniem Bożym.

Przez pięć lat tam będąc, wszystkim się wdzięcznością obyczajów swych w miłość podał, wiele ich w cnotach doskonałości przechodząc; jeżeli kto zazdrością zdjęty oko nań nieżyczliwe obrócił, umiał go rychło pokorą ubłagać i ująć. W tém stęsknią się Czechowie i Prażanie bez swego biskupa, i wyprawili dwóch poń, Pappata i Chrystyana mnicha wymownego, którzy wziąwszy list od arcybiskupa Moguncкiego do papieża jachali, prosząc: aby biskupa ich posłał do sprawowania owiec, wszelaką poprawę ludu i posłuszeństwo pasterzowi swemu obiecując. Acz ta perła miła była papieżowi, i nierad z niéj Rzym zubożył, wszakże dla ludzkiego zbawienia, Wojciechowi wrócić się na biskupstwo kazał. Toż mu i opat jego poruczył. On posłuszeństwem wol swoję przełomiwszy, wrócił się z onymi posły. Lecz skoro w jedno miasto czeskie, wszedł, wyjrzał iż przekupują w dzień święty, i frasować się począł, mówiąc, takąście poprawę obiecali? Obruszyła ta rzecz bardzo świętego Wojciecha, a gdy co dzień większych grzechów przyczyniali, a za stare nie pokutowali, umyślił ich drugi raz odbieżeć, i powiedział swemu wiernemu towarzyszowi Pappatowi: abo masz zemną iść, abo mię więcéj nie ujrzysz. I puścił się do Węgier, gdzie mu się niejaka droga do szczepienia chrześciańskiéj wiary otworzyła. Bo książę Węgierskie Gejssa i z żoną przychylnym się wierze świętéj pokazował, i syna swego Stefana do chrztu, abo jako drudzy piszą, do birzmowania świętemu Wojciechowi ofiarował.

Tam nieco znajomości Bożéj, przez rok i daléj z nimi mieszkając, w serca one pogańskie wsiawszy, i Chrystusa im opowiedziawszy, gdy do zupełnego fundowania tam wiary jeszcze pogody nie widział: znowu się do Rzymu do klasztoru swego do Benedyktynów wrócił.

Gdy Otto trzeci cesarz w Rzymie od papieża koronowany był: arcybiskup Moguncki pisał znowu do papieża, aby do owiec biskupa świętego Wojciecha z Rzymu wygnał. Długo się wymawiał, o pożytku swych owiec wątpiąc, a o swe się roztargnienie bojąc: wszakże iż nadzieję miał, że go męczeńska korona potkać miała: dla téj saméj ochotnie się zasię wrócił. Przybliżając się do Czech niechciał prosto na swe biskupstwo jachać, ale się udał do Polski do księcia polskiego, Bolesława chrobrego: który napierwéj koroną królewską Polskę ozdobił, który go już przedtém znał i wielce miłował. Przyjęty jest z wielką czcią od Bolesława jako człowiek święty.

Bolesław książę polskie, papieża prosił, aby mu go za arcybiskupa do Gniezna dał: wtenczas gdy stolica po Robercie pierwszym arcybiskupie osierociała. Tam w tym jako głównym mieście, jako pasterz najwyższy wszystkiéj Polski, Polaki nowe chrześciany w wierze świętéj posilił: zbawienną im drogę ukazując, i w niebie patronem zostając, których i pieśni onéj, Bogarodzica, nauczył. Potém słysząc iż w Prusiech byli srodzy poganie i możni, którzy królom polskim wielkie i trudne wojny zadawali: ludzkiego zbawienia i chwały Chrystusowéj rozmnożenia pragnąc: Bolesława prosił aby go do Prus wodą, na nawrócenie pogaństwa do wiary Chrystusowéj wyprawił. Acz mu żal było bardzo z ziemie swéj tak drogi skarb wypuścić, wszakże bacząc tak wielką i pilną około dusz ludzkich posługę, uczynił to; wyprawił go wodą, dobrze szkuty opatrzywszy. Dwóch z sobą towarzyszów wziął kapłanów Wojciech święty, Gaudencyusza, i drugiego na tę drogę już z tym umysłem idąc, iż abo one pochańce nawrócić, abo wzdy mężną, i któréj dawno pragnął, śmierć za Chrystusa podjąć miał. O nienasycone miłości Bożéj serce, małoliś już był prac dla Chrystusa podjął.

Wysiadł Wojciech święty z towarzyszami na jeden wysep, który Wisła w Prusiech czyni; i tam się modląc, gdy sobie szczęśliwego wejścia na posługę Pańską prosili, Prusacy je niektórzy wypatrzyli, i cicho się do nich przewiozłszy, ujrzeli ludzie dziwne, niewidziane, w odzieniu mniskim, ale jako owieczki pokorne, i umyślili je poimać. Tedy jeden z nich najgorszy cicho schodząc na świętego Wojciecha, który wtenczas psałterz mówiąc, drogę swoją Panu Bogu polecał, okrutnie go wiosłem z tyłu między łopatki uderzył.

Padł o ziemię święty Wojciech, a oni wołali: co tu czynicie, uciekajcie z tąd, pozabijamy was i pomęczemy prędko. A święty Wojciech on wielki ból cierpiąc, dziękował Panu Bogu w sercu swym.

Wyniść przecię z onéj pruskiéj ziemie niechciał: ale szedł do jednego miasta gdzie był zjazd ludzi wielki do przekupna. Obstąpili je ludzie oni srodzy, pytając: coście zacz, co chcecie: A święty Wojciech powiedział: idziem z Polski, niosąc wam zbawienie wasze, sługam jest Boga żywego, co stworzył niebo i ziemię, i wszystko co jest na nich. Poznajcie Pana Boga jednego, a wybawcie dusze wasze z mocy piekielnéj i czartowskiéj, wreszcze w Jezusa który świat odkupił, a chrzcicie się na grzechów waszych odpuszczenie. Takie i inne ewangielii ś. słowa, gdy chodząc po wsiach i miastach rozsiewał. Prusacy się śmiali, a słuchać nie chcąc, kazali im z ziemie winiść, rozkazując pod utratą gardła i majętności, aby ich nikt do gospody nie przyjmował. Szli wzgardzeni z miasta w pole się udając. Myślił i mówił ś. Wojciech: podobno się tym ubiorem naszym brzydzą, abo by odmienić nam te mniskie szaty, a wziąść kleryckie; zapuścim już brody, a tym czasem idźmy do Litwy, potém się tu z lepszym szczęściem wrócim, albo tu gdzie wyrabiajmy chleba, u jakiego wieśniaka, wzdyż albo co ich zbawieniu pomożem, albo wżdy koronę męczeńską najdziemy. I puszczając się ku Litwie, w polu mszą świętą odsłużywszy, a trochę się chlebem posiliwszy, w drogę swoją szli, a gdy czas nocny na odpoczynienie przychodził, położyli się w polu i spali, Panu Bogu drogę i zdrowie swoje polecili. A gdy nazajutrz służbę ś. rano w polu czynili, Prusacy z poduszczenia najwyższego ich kapłana, którego Krywe zwali, żałowali iż świętego Wojciecha zdrowo puścili, i goniąc z gniewem, naleźli je niedaleko miasta Romowe nazwanego, na onejże służbie Bożéj. Tam wnet porwawszy świętego Wojciecha, siedm włóczeń w nim utopili, i rozsiekawszy na drzewie zawiesili. Tak ten wielki święty oddał ofiarę swoję Bogu swemu, a męczeńskiéj korony, któréj długo w rozlaniu krwie swéj dla Chrystusa Boga swego pragnął, ucześnikiem się stał. Dwa jego towarzysze poimani są od onych okrutników, a ciało trzy dni tak leżąc rozsiekane, straż od jednego orła miało, aż się jeden zmiłował, i ono pogrzebł. Gdy się tego dowiedział Bolesław książę polskie, bardzo wielką żałością zdjęty, posłał zacne posły do Prus, żądając ich o ciało Wojciecha ś. A oni widząc iż się tak pilnie o nim król pyta, i stara, chlubili się z tego, mówiąc: Bogaśmy polskiego zabili, i nie damy go inaczéj aż nam tak wiele srebra przywieść król każe, jako ciało

samo zaważy. Nie żałował się na tak wielką utratę, pan on pobożny: wiedząc jako go Pan Bóg w wielkich a sławnych zwycięstwach za przyczyną tego świętego szczęścił, nad wszystkie skarby najdroższe sobie członki, w których Duch święty przemieszkiwał, i pałac Boskiego przebywania poczytając, zebrał wielką kupę srebra, i posłał do Prus. Ale Pan Bóg nabożeństwo i chęć pobożną Bolesławowi, cudem wielkim uczcił, i swego męczennika zasługę wsławił, bo ciało ono tak się lekkie na wagach stało, iż bradzo mało srebra wzięło. Z jaką czcią i radością, tryumfem i pokorą on król z kapłaństwem i ludem swym ciało ono pierwéj do Trzemeszna, potém do Gniezna prowadził, baczeniu twemu polecam czytelniku, gdzie cudami wielkiemi słynie po dziś dzień, i korony polskiéj którą on wyniósł, wielkim obrońcą i patronem zostaje, przed sędzią i Bogiem naszym Jezusem, którego z Ojcem i z Duchem świętym moc, sława i rozskoszowanie na wieki. Amen.

pod utratą gardła i majętności ... nie przyjmował. Szli wzgardzeni z miasta w pole się udając. Myślił i mówił s. Wojciech: podobno się tym ubiorem naszym brzydzą, abo by odmienić nam te mniskie szaty, a wziąć kleryckie; zapuścim już brody, a tym czasem idźmy do Litwy, potem się tu z lepszym szczęściem wrócimy, albo ini gdzie wynajdujmy chleba, a jakiego wiosniaku, wżdyż albo co ich zbawieniu pomożem, albo wżdy koronę męczeńską najdziemy. I puszczając się ku Litwie, w polu mszą świętą odsłużywszy, a trochę się chlebem posiliwszy, w drogę swoją szli, a gdy czas nocny na odpoczynienie przychodził, położyli się w polu i spali, Panu Bogu drogę i zdrowie swoje polecili. A gdy nazajutrz służbę s. rano w polu czynili, Prussacy z podszczuwania najwyższego ich kapłana, którego Krywe zwali, żałowali iż świętego Wojciecha zdrowo puścili, i goniąc z gniewem, nałeźli je niedaleko miasta Romowe nazwanego, na onejże służbie Bożej. Tam wnet porwawszy świętego Wojciecha, siedm włóczni w nim utopili, i rozsiekawszy na drzewie zawiesili. Tak ten wielki święty oddał ofiarę swoję Bogu swemu, a męczeńskiej korony, której długo w rozlaniu krwie swej dla Chrystusa Boga swego pragnął, uczestnikiem się stał. Głowa jego towarzysze poimani są od onych okrutników; a ciało trzy dni tak leżąc rozsiekane, strzeż od jednego orła miało, aż się jeden zmiłował, i ono pogrzebł. Gdy się tego dowiedział Bolesław książę polskie, bardzo wielką żałością zdjęty, posłał zacne posły do Prus, żądając ich o ciało Wojciecha s. A oni widząc iż się tak pilnie o nim król pyta, i stara, chlubili się z tego, mówiąc: Bogiswy polskiego zabili, i nie damy go inaczej aż nam tak wiele srebra przywieść król każe, jako ciało

C.

CHARAKTERY

CZYLI

WIZERUNKI HISTORYCZNE.

JAN KARÓL CHODKIEWICZ

przez

Adama Naruszewicza. Warszawa 1865.

Widzieć było w Chodkiewiczu niepospolity szczęścia ludzkiego udział w saméj jego postaci. Oblicze z wejrzenia groźne, lecz pełne powagi; czoło wysokie, nos orli, oczy bystre i przenikające, znaki pewne wspaniałéj duszy i marsowego umysłu. Taż sama fortuna, która mu wysoki ród zdarzyła, nie była skąpą i w szafunku bogactw. Pojął w małżeństwo naprzód Zofiją Mielecką, wojewodziankę Podolską i hetmanównę wielką koronną, wdowę po Symeonie Olelkiewiczu księciu Słuckim: potém Annę Aloizyą księżniczkę na Ostrogu, wojewodziankę Wołyńską: obie panie urodzeniem, wychowem, pobożnością i bogatemi wnioskami znakomite. Sam idąc przez stopnie do najwyższych w narodzie dostojeństw, naprzód podczaszym Litewskim i hetmanem pólnym, potém starostą Żmudzkim, gubernatorem Inflant i hetmanem wielkim, naostatek wojewodą Wileńskim został. Dzieła wojenne, odniesione z nieprzyjaciół zwycięstwa, ciągły niejakiś i ustawiczny pomyślnych losów akt w życiu jego związały. Atoli rządziła nim gruntowna cnota, która mu we wszystkich sprawach towarzysząc, pamięć jego wiekom podawać niestanie.

A naprzód zalecają jego pobożność, wiara żywa, gorliwość o nią, część Bogu czystem zawsze i żarliwem sercem oddawana, usilnie przed walkami modły, po nich uprzejme dziękczynienia; stateczne we wszystkie dni sobotne spowiedzi, i do stołu Pańskiego przestępowania. Nie ściskał dłoni dla rozszerzenia chwały bożéj i pożytku bliźnich, poczyniwszy w Kretyndze, w Bychowie i Krożach dostatecznie dla różnych zakonników fundusze. A kochając Boga, musiał kochać i ojczyznę, ile że jedno bez drugiego być nie może. Świadkiem są tego sprawy jego i koszta łożone na obronę kraju. Miasto Bychowskie szańcami i murem, według żołnierskiéj budowli należycie opatrzył: zamek Lachowicki mocnemi twierdzami obwarował: po wielu dobrach swoich pobudował arsenały, różnym one

rynsztunkiem i działami napełniwszy. Cnotę hojności, którą płonne umysły rozrzutem nie darami mierzą, do potrzeb tylko i nagród rozszerzając, ubogich prawdziwych wspierał, ranionych albo zasłużonych żołnierzy pieniędzmi, odzieniem, bronią, udziałem stołu, dawaniem koni obdarzał. Z łaskawości wielką sobie u obcych i swoich sławę zjednał, nie pastwiąc się nad więźniami, ale ich z honorem, darami i paszportami do swoich krajów odsyłając. Po zwycięstwie Kircholmskiem, pobitych nieprzyjaciół zwłoki, w najokazalszym sposobie, według obrządku ich religii pogrześć rozkazał lub dopuścił,

Wszystkie wyprawy jego do Inflant, dzielności, szczęścia i pracy będą wiekuistym dowodem. Nie było trudności w przeprawach któréjby nie przełamał: nie było miejsca tak obronnego, gdzieby zwycięzkich orłów i pogoni nie utkwił: nie było nieprzyjaciela, któregoby się uląkł i nie zgromił. Zamek Wołmierski bez klęski swoich, otwartym szturmem zdobył: Parnawę odzyskał i bronił: Rygę, Dyament, Derpt, Białykamień od szwedzkich zamachów mężnie zasłonił: a przenosząc męztwo z lądu na morze, tychże Szwedów okręty, niezwykły do wodnych przygód Litwin popalił. Kircholmskie jego zwycięstwo, w dziejach nawet obcych słynie; gdzie z trzema tysiącami jazdy, do czternastu tysięcy Szwedów, Niemców, Francuzów i Belgów z pola pozmiatał. Przydam tu, co mi sama prawda mówić każe; że przez tyle lat płosząc Szwedy, żadnéj bitwy nie przegrawszy, całéj téj wojny zupełnym pogromcą został. Wciągnęły go potém losy do kłótni Moskiewskich. W najtrudniejszych ojczyzny czasach wojskiem rządził: przecież choć w głodzie, nieprzyjaźniach, zazdrości, buntach żołnierskich, z ogromnemi Moskalów pułkami, krwawe zwodząc boje, sławę Rzeczypospolitéj i drobne jéj siły, które miał pod sobą, w całości zachował. Próżno mu zawiść niepomyślność pierwszéj wyprawy zarzucała: jakby wódz ten, na cel swywoli i nieposłuszeństwu cudzemu wystawiony, idąc w zapasy z domowem szaleństwem a obcą potęgą, nie wiele dokazał, gdy obywatelów ocalił. Na długiéj z Władysławem expedycyi, odzyskawszy obszerne włości i prowincye, chwalebne wojsko do domu odprowadził. Nakoniec po tylu pracach i trudach podjętych, taki mu kres życia nieba zrządziły, ażeby je razem z wojną, ze wszystkich, ile ich prowadził, największą dokończył.

Był Chodkiewicz z przyrodzenia i zwyczaju na wszystkie wojenne fatygi i niewczasy nad spodziw otwardniały. Czułość, głód, upały, zimna, miękkich pieskliwców, postrach wyrodny, bardziéj go jeszcze w statku krzepiły. Niezaspał

nigdy na pomyślne okazye: nie żałował kosztów na pomyślne szpiegi: a w rychłém i porządném szykowaniu tak był dzielny, że się znajwiększemi w starożytności wodzami zrównał. Umiał geometryą i architekturę żołnierską: w językach różnych był biegły. Piękne konie, siedzenia, rynsztunek wojenny wielce kochał, i wnie się aż do okazałości sposobił. Słowem, z twarzy, głosu, jestu, chodu, odzienia, do wojny od natury uformowany. Mówił krótko, zwięźle i żarliwie w obozie jak żołnierz, w radzie jak senator. Z powagą słodycz, grzeczność i wesołość w prywatnych posiedzeniach łączył: chyba że w nim przy końcu melancholia górę wzięła, któréj z różnych chorób, pracy i troskliwości naciągnął, mianowicie podczas wojen moskiewskich, dla rozpusty żołnierskiéj, a zazdrości równych. Wyprawa Chocimska, nie taka jak żądał umysł jego obszerny, a w szczupłym nader obrębie zacieśniony, do większego jeszcze smutku przywiodła. Często się wydawał z niepomiarkowaną cholerą, nie umiejąc powściągać pierwszych gniewu zapędów, mianowicie na wojnie tureckiéj: dla któréj przyczyny wielu go żołnierzów nie lubiło. Przyznać jednak należy, że gdyby w rozhukanem konfederacką i moskiewską rozpustą wojsku, karności nie utrzymał, stracilibyśmy dawno już skołataną tylą przeciwnościami ojczyznę. Żył lat sześćdziesiąt, przebywszy zawsze prawie w polu i na koniu około czterdziestu. Ciało zmarłego z Chocimia do Kamieńca, potém do Ostroga przeniesione, w grobie od żony zbudowanym złożone spoczywa.

DŁUGOSZ.

Przez

Jędrzeja Moraczewskiego.

Długosz na swoją epokę prawdziwie wielki pisarz, jest jedynym z tych, któremu od wstąpienia na tron króla Władysława Łokietka z małym wyjątkiem tego, co Archidyakon gnieźnieński dobrze opisał, niemal wszystko zawdzięczamy o Polsce i nawet o postronnych państwach aż do traktatu ołomunieckiego.

Nie w tém Długosza zasługa, że zaspokaja ciekawość ale w tém, że przez niezmordowaną pracowitość więcéj nad wszystkich innych pisarzy przyczynił się do obwarowania miłości ojczyzny w sercach polskich. Zakończył on swoje błogie dla Polski życie w dniu 29. Maja 1480. roku. Rok

przeszło ciężką słabością złożony, w spokojniejszych chwilach brał pióro do ręki i bieżące wypadki, jak mógł zapisywał, dopókąd w Bogu niespoczął. Trudno się wstrzymać, aby z rzewliwego zamknięcia jego dzieła, albo raczéj dziejopisarskiego testamentu, przynajmniéj trzech ustępów nie przytoczyć: „po zgłębianiach i rozmyślaniu,“ są słowa Długosza „po podróżach i zachodach, które przedsiębrałem dla wyszukiwania źródeł i swoich i cudzoziemskich, po zniewagach i obmowach, po ubliżeniach i naganach, unoszę się i niedrobną rozkoszą wśród ciężkich i na łożu boleści, żem do końca niniejsze doprowadził dzieło.“ A jeżeli się czytelkowi pokaże coś, alboli wszystko nieskładnem, bez ogłady, niechaj przebaczy brakowi nauki wysłowienia, zdolności. W tym obszarze tak rozmaitych przedmiotów, trzebaby być aniołem, aby umieć wszystko do jasnéj prostoty a szczeréj prawdy doprowadzić. Niepisałem ja ewanielii ani listów kanonicznych jak święci apostołowie, tylko według mego ducha pisałem o rzeczach ludzkich, przechodnich, zmiennych, ale odpowiedzialność za rzetelne przedstawienie biorę na moje sumienie, bez obawy nadwerężenia.“ Złożywszy dzięki Panu Bogu, Najświętszéj Pannie, archaniołom i świętym patronom Polski, dodaje Długosz nakoniec: „wzywam was duchownych, zakonników, mężów świeckich wysokiego ukształcenia, doktorów, profesorów, magistrów, i młodzież naukową i przepisywaczy ze wszystkich wydziałów świetnego naszego uniwersytetu krakowskiego, ażebyście, jak który będzie miał sposobność, w całości lub częściowo, moje dzieje daléj prowadzili, a upaść i przeminąć im niepozwolili. Was jeszcze doktorowie, magistrowie, profesorowie proszę, błagam, zaklinam: wyznaczcie jednę z lepszych kollegiatur, a do niéj zaopatrzcie magistra ze zdolnościami, posiadającego naukę i wyższe wiadomości: niechaj wolny będzie od wszelkich innych zatrudnień, wyłącznie poświęca się dziejom: nad niemi myśli, w nich się tylko kocha i rozkosz znajduje, przy nich czas spędza, o nich tylko we dnie i w nocy z drugimi i z sobą rozmawia.“

Długosz urodził się roku 1415 we wsi Niedzielsku pod Wieluniem, żył więc lat sześćdziesiąt i pięć: nauki odbywał w Krakowie, a poświęciwszy się stanowi duchownemu, snadno wyszedł na kanonika krakowskiego i kustosza kollegiaty wiślickiéj. Kardynał Olesnicki, przez znaczny ciąg czasu rządca Polski, to pod imieniem zgrzybiałego Jagiełły i rejencyi, albo w zastępstwie Władysława Warneńczyka, lub w bezkrólewiu po nim, a nakoniec za pobytu w Litwie Kazimierza Jagiellończyka, nie w jednéj ważnéj sprawie polegał na Długoszu. Jemu to polecił posłannictwo do Rzymu

względem ostatniego otrzymania kardynalstwa i na Węgry w celu pogodzenia Hunyadego z Giskrą. Za Kazimierza króla dla niełaski z powodu zatargów o biskupstwo krakowskie, przez czas niejaki niebrał Długosz udziału w sprawach królewskich i Kraków opuścić musiał, jednakże potém wrócił do łaski króla, prowadził układy o Malborg i inne miasta z najemnikami krzyżackimi; do traktatu toruńskiego znacznie się przyczynił. On należał do pełnomocników królewskich, co oddawali Czechom powołanego na tron Władysława Jagielończyka, on bronił jego praw przy układach w Nisse, a lubo dla swego niższego tytułu ukazuje się wszędzie po za biskupami, wojewodami, kasztelanami i urzędnikami królestwa, przecież każdego zbiorowego działania śamą treść stanowił. Jak oświatą, tak bezinteresownością wyższy nad drugich, niewiązał się ani do króla, ani do papieża, bo wtedy tylko osobistości, a nie uczucie do prawdy i sprawiedliwości się odzywały: dla tego w sporze władz duchownych ze świeckiemi, patrzał, na któréj stronie cel dobry przeważa i téj zaraz się chwytał. Słynąc z pobożności, nie zapominał o szczęściu doczesnem narodu, a interes całego chrześciańśtwa z interesem Polski starał się godzić. Dzieje polskie Długosz przez lat dwadzieścia pięć z wielką pilnością pisał: nieraz wykrywszy nieznane źródło, znaczną część na nowo, a czasem do szóstego i siódmego razu przerabiał. Prócz dziejów ogromnéj obszerności, wygotował geografią Polski, opis życia świętego Stanisława, niemniéj świętéj Kunegundy żony Bolesława wstydliwego, książkę o rodach i herbach szlachty polskiéj. Ułożył z należytemi opisami wykaz wszystkich dochodów nietylko katedralnych, ale i klasztornych i rozmaitych kościołów i pobożnych zakładów w dyecezyi krakowskiéj. On miał pierwszy przywieść z Włoch do Polski rękopisy historyków łacińskich Liwiusza, Salustiusza, Kurcyusza, Justyna, a zarazem niemało dzieł Cicerona, o czém jednak wątpić trzeba bo niektórzy ci autorowie: już dawniejszym polskim pisarzom znani byli. Będąc już na łożu choroby, został Długosz przez króla do Rzymu przedstawiony na arcybiskupstwo lwowskie, które jako w kraju ruskim, bardziéj z tytułu tylko, niż z innych względów ponętnem być mogło. Przyszła atoli śmierć, nim się w zupełności doczekał tego wysokiego urzędu nie tak w kościele, jak na radzie królewskiéj. Ciało Długosza złożono na Skałce i obok grobu świętego Stanisława, jako w kościele, przy którym on dopiero Paulinów osadził i uposażył.

CHARAKTER SŁOWIAN.

Wyjątek z dzieła A. W. Maciejowskiego: „Historya prawodawstw Słowian,“ Warszawa i Lipsk 1832—1835 roku. Tomów 4.

Słowianie mieli ciała rosłe, zdrowe i silne. Z twarzy wszyscy byli podobni sobie; toż samo z koloru włosów, oczu, z mowy i charakteru, który był prosty, otwarty i łagodny. Z natury weseli, szczególniejsze znajdowali upodobanie w muzyce; mieli oddawna wyraz *guśle* od Serbów dziś jeszcze używany, na oznaczenie muzycznego narzędzia. Byli religijni, ale się oraz gusłom i wieszczbiarstwu oddawali, i to pomiędzy niektóremi ludami słowiańskiemi mieszkańcami z téj strony Karpat upowszechnili. Lubili nad wszystko wolność, nie cierpieli mieć pana nad sobą. Późniéj od Greków przymuszeni żyć pod władzą jednego, rodakowi rządy oddali, woląc swemu raczéj, niż obcemu ulegać. Skromni w jedzeniu i napojach uczt nie lubili, łatwo znosząc głód, niedostatek i trudy. Wszakże przykrzyli sobie znosić rolnicze znoje; woleli raczéj trudnić się pasterstwem i chowem bydła: ale z czasem polubili wiejskie prace i wielce im się oddawali. Domowe ich pożycie było wzorowe. Pospolicie odbierała sobie życie żona po stracie męża, nie mogąc przeżyć jego śmierci. Z cudzoziemcami do siebie przybyłymi, jak najgościnniéj się obchodzili, i wywierali zemstę na tego, który się z przychodniem źle obszedł. Domy swe stawiali w niedostępnych miejscach, a będąc zewsząd otoczeni nieprzyjaciółmi i zawsze ich napadu lękając się, mieszkania swoje opatrywali wielu wychodami, ażeby się tém łatwiej w razie niebezpieczeństwa uratować mogli. Z tego też powodu mniéj dbali o wygodne mieszkania; i to zazwyczaj się składało z chałupy nieczystéj i brudnéj. W obrębie granic swych walcząc, nadludzkie okazywali męstwo. Najbardziéj lubili walczyć w ciasnych i do nagłego napadu sposobnych miejscach. Lekka zbroja najbardziéj im przystała i walka nie w szeregach, ale pojedyńcza. Z wrogiem zaciętym walcząc, strzał jadem zatrutych używali: a w razie grożącego im niebezpieczeństwa, wskakiwali w wodę, pod którą długo bez utraty życia zostawać umieli. Wszakże wroga swego dopóty za nieprzyjaciela uważali, dopóki stał na placu bitwy. Z pojmanym obchodzili się łagodnie, nieobracali go na niewolnika, lecz po skończonéj wojnie pozwalali mu za okupem powracać do domu, albo jeżeli zechciał, pozostać u nich i żyć z nimi w przyjaźni. W zdrowych i pięknych mieszkając okolicach bardzo się rozmnażali, i dla tego wcześnie zaczęli w obcych krajach osady zakładać.

Przeszedłszy góry posuwali się coraz daléj na zachód i połączyli się z przedkarpackimi Słowianami, w Morawii, Czechach i nad Elbą mieszkającymi. I tych obyczaje powabnemi kolorami malują nam kronikarze niemieccy; ale ich charakter w wielu razach, różnił się od charakteru Słowian zakarpackich. Podług wyznania tychże kronikarzy, poczciwość, rzetelność, łagodność nawet względem swych nieprzyjaciół zachowana, piękne ich cechowała dusze. Był to lud pracowity i na wszystkie niewygody i trudy zachartowany; ale ucisk i przemoc Niemców zrobiły go gnuśnym i niedołężnym. Starszym i przełożonym okazywał wielkie uszanowanie. Był religijny i niczém się nie dał skłonić, ażeby, nawet gdzie tego zachodziła potrzeba, przysięgał. Gościnność aż do tego stopnia posuwał, iż osobne czcił bóstwo gośćmi się opiekujące (*Radagast*). Charakter jego otwarty, sposób myślenia prosty i niedostępny, obyczaje łagodne; ale im bliżéj Niemiec mieszkał, tém był skrytszy lud słowiańskii w zawieraniu przyjaźni ostrożniejszy; wszelako z kim ją zawarł, wiernie mu jéj dochował. Bratem swoim nazywali Słowianie przedkarpaccy tego, z kim się rozmówić i zrozumieć mogli; ale o tém braterstwie zapominali ci, którzy z Niemcami sąsiadując, ich językiem przemawiać, i ich obyczajem rządzić się nawykli. Od nich to i od Prusaków, narodu niesłowiańskiego, przyjęli wiele szpetnych zwyczajów. Do tych ja liczę zabijanie ludzi bogom na ofiarę, mordowanie nowonarodzonych dziatek i wielożeństwo, które na Pomorzu i nad Elbą u wszystkich klas ludu miało miejsce; gdy przeciwnie u innych Słowian, podobnież jak i u Scytów, tylko królom było dozwolone. Wszakże z tego co im jest wrodzone, to jest, z zamiłowania wolności, którą nad życie cenili, nigdy się nie wyzuli Słowianie; bronili jéj do upadłego: i naród który jaki lud Słowiański ujarzmił, musiał go albo wytępić, albo swobody jego zachować. Więc ażeby zawsze być w stanie obronienia tego, co najdroższém dla serc swoich mieli, zarówno kobiety, jak i męszczyźni uczyli się władać orężem. Nawet i Wenus słowiańska wyobrażoną była zbrojno.

Odkąd się Słowianie na osobne podzielili pokolenia, i osobne narody składać zaczęli, charakter ich w głównych zarysach wszędzie był jednaki, w szczegółach się tylko różnił. Wszakże malując charakter głównych narodów przedkarpackich i zakarpackich, nie na pojedyncze zdarzenia wzgląd mieć należy, ale potrzeba badać ogół, i ztąd pewny wyprowadzić wniosek. Dawni kronikarze tu i ówdzie nieco nam w téj mierze napomknęli: ich następcy mniemali, że dosyć jest wiele nagromadzić szczegółów, ażeby dokładnie

charakter narodu opisać, dla tego téż pożądanego nie dopięli celu. Daléj w téj mierze postąpili pisarze nowsi; wszelako i z ich opisów coś dokładnego o duch narodu, a przynajmniéj co się pierwszego okresu[1]) dotyczy, wyciągnąc niepodobna.

Charakter Polanów, narodu, jak się zdaje z Lachami, późniéj nazwanemi Polakami, będącego w związku, krótko ale dobitnie opisał Nestor. Samychże Lachów dzieje tego okresu roztrząsnąwszy, pokaże się że umysł ich był jużto spokojny i łagodny, już prędki i porywczy jak nurty Wisły, któréj zamieszkiwali brzegi. Ręka zręczna tym narodem kierująca, i w duchu narodowości jego działająca, potrafiła zawsze jak miękkiemu woskowi nadać kształt, jaki sama chciała; zwłaszcza jeżeli żywy jego umysł zawsze czemsiś zająć się potrzebujący, stosownie zatrudnić umiał. Ale czemsiś użytecznem niezajęty umysł Polaka, sam się zaprzątnąć potrafił. W obradowaniu i sejmikowaniu najbardziéj sobie podobał: i to jest jego istotny żywioł, do którego zawsze tęsknił i wzdychał. Zalety jego i wady te same są któreśmy w ogólnych zarysach dopieroco opisali mówiąc o zakarpackich i przedkarpackich Słowianach. Zwykł on je odkrywać w czasie wielkich niebezpieczeństw ojczyzny i dowieść, co też istotnie już w tym okresie za czasów Władysława Łokietka światu objawił, że wszystko dla dobra powszechnego poświęcić jest gotów, niekiedy nawet i osobistą urazę. Rolnictwem, pasterstwem i łowiectwem zajmował się szczególniéj: prawodawstwo jego dostarcza na to dowodów.

W ciągu okresu drugiego, u wszystkich Słowian, włościanie a poniekąd i mieszczanie, mało co obyczaje swoje zmienili; ale będąc upośledzeni, w późniejszym zwłaszcza czasie, przez panów i szlachtę, upadlali się, gnuśnością i pijaństwem. Szczególnie też o włościanach polskich i ruskich, rozpajanych przez żydów, powiedzieć to należy. Po miastah większych, panował obyczaj i zwyczaje cudzoziemskie. Właściwy więc charakter słowiańskich ludów, jaki one w tym okresie rozwinęły, upatrywać należy w stanie wyższym.

W ogóle przyznać trzeba, że wszelkie wady, jakie się panów i szlachty czepiały, miały swój zaród w braku gruntownéj oświaty, o którą się przecież słowiańskie ludy zawsze ubiegały, ale jéj stale posieść nie mogły. To sprawiło iż panowie i szlachta, czeska téż mianowicie i polska, raz popadłszy w błędy, pozbyć się ich nie mogła; dla tego, że będąc powierzchownie ukształcona, lubiła słuchać rozsie-

---

[1]) Maciejowski dzieli historyą prawodawstw słowiańskich na dwa okresy: pierwszy kończy się w XIII i XIV wieku, drugi w XVII i XVIII.

wanych o sobie pochwał, a za urazę poczytywała, jeżeli jéj ktoś błędy wytykał i na dobrą naprowadzał ją drogę. Co większa, łudząc się pozorem, w błędach nawet własnych pewne upatrywała zalety, a przejmując obce wady, mniemała że narodowość jéj, nie tylko na tém nie szwankuje, ale owszem wznosi się i krzepi. Tak więc panowie czescy, zapatrując się na magnatów zachodniéj Europy, włoskim obyczajem, pod owe czasy żyjących, włoskim odznaczali się polorem, a w ich ślady wstępując stan miejski, a poniekąd i wiejski, podobnież jak i Włosi miał upodobanie w sztukach pięknych, w próżniactwie i t. p. wszakże wad szpetnych, mieszkańcom włoskiéj krainy właściwych, potrafił uniknąć. Czeskim obyczajem prowadzili się z początku panowie polscy; ale późniéj, mianowicie też przez królowe Francuzki, i ogólny pociąg do francuzczyzny całéj niemal Europy, francuzkie polubili obyczaje. Jednakże Polaków obyczaje nie zfrancuziały; bo Polak nie zasmakował w dowcipach i uszczypliwości francuzkiéj. Pańskiemu sposobowi życia, potakując szlachta i chętnie na ich przebywając dworach, pańskie obyczaje i zwyczaje w domach swoich zaszczepiała. Nie dziw więc, że teraz i w szlacheckich dworkach, obcych poniekąd obyczajem prowadzić się zaczęto, i chętnie obcemi przemawiano językami. To bardzo było na rękę cudzoziemcom, tłumnie się do słowiańskich krajów zbierającym: uwielbiali oni polor i oświatę słowiańską, a szlachta lubiła słuchać pochwał rzęsisto sobie ztąd sypanych.

Rozmaite okoliczności wzbudzały chęć w panach i szlachcie, podania do potomności swojego imienia. Kiedy jedni, za własną lub obcą walcząc sprawę, na polu marsowem, chlubne zbierali wawrzyny, inni, w zaciszu ukrywając się domowem, obrali sobie sądownictwo za środek do dopięcia swego celu. W Polsce zawierając umowę obywatel, i z tego powodu akt urzędowy spisując, w niego niemal cały rodowód wpisywać polecał. W Czechach pilnie wyszczególniano w prawnych wywodach, rodowitość i familijne stosunki takie, które do rzeczy wcale nie należały; i tamże częstokroć pieniano się dla tego jedynie, ażeby publiczne i prywatne archiwa, zapełnić plikami sądowych papierów. Nikt się więc dziwić temu nie będzie że u nas, na Węgrzech i w Czechach, upowszechniło się pieniactwo w wysokim stopniu, i że, jak wyraźnie w prawach naszych i czeskich powiedziano, umyślnie nabywano spory od obcych, byle się pieniać w sądach.

Z zamiłowania publicznego życia i uczęszczania na sejmiki i sądy, wylęgła się rubaszność, którą łatwo przy-

swoił sobie wesoły i lekki umysł Słowianina. Ztąd poszło, że u nas i gdzieindziéj, do najpoważniejszych rozpraw mieszano żarty, najbardziéj ponurowatą twarz rozśmieszyć zdolne, i że nieraz poważne sprawy w śmiech obracano, byle innych pobudzać do śmiechu.

Atoli rząd sprężysto działający, tudzież skromne i cnotliwe słowiańskie niewiasty, potrafiły zawsze utrzymać na wodzy płeć męzką w należytych karbach przyzwoitości; bo dla obudwu miał naród wiele szacunku. Każdego niemal słowiańskiego ludu ustawy, osobne przyznały białymgłowom prawa, świadczące, jak wielce bitni i czuli Słowianie, ród poważali niewieści. Burzliwy i na obradach publicznych opryskliwy Słowianin, w domowém zaciszu zupełnie się dał powodować swojéj małżonce; a przy końcu okresu tego, w publiczném nawet życiu, podług ich woli, albo raczéj rozkazu, stawiał swe kroki.

D.

MONOGRAFIE HISTORYCZNE.

swoił sobie wesoły i lekki umysł Słowianina. Ztąd poszło, że u nas i gdzieindziéj, do najpoważniejszych rozpraw mieszano żarty, najbardziéj ponurowatą twarz rozśmieszyć zdolne, i że nieraz poważne sprawy w śmiech obracano, byle innych pobudzać do śmiechu.

Atoli rząd sprężysto działający, tudzież skromne i cnotliwe słowiańskie niewiasty, potrafiły zawsze utrzymać na wodzy płeć męzką w należytych karbach przyzwoitości, bo dla obudwu miał zarówno wiele szacunku. Każdego niemal słowiańskiego ludu ustawy, osobne przyznały białygłowom prawa, świadczące, jak wielce lubili i czcili Słowianie, ród poważali niewieści. Burzliwy i na obradach publicznych opryskliwy Słowianin, w domowem zaciszu zupełnie się dał powodować swojéj małżonce; a przy końcu okresu tego, w publicznem nawet życiu, podług ich woli, albo raczéj rozkazu, stawiał swe kroki.

DZIEJE PANOWANIA ZYGMUNTA III.

Przez

J. U. Niemcewicza. Warszawa 1836.

Sejmiki po śmierci króla Stefana.

Rok 1587.

Już zdobywca Połocka i Inflant, mężny król Stefan Batory, w Grodnie, dnia 12. Grudnia 1586 r. życia dokonał. Porwały go Polsce zawistne przeznaczenia, w chwili gdzie zwycięzkim bułatem rzuciwszy postrach na sąsiedzkich mocarzów, od zwalczonych pokoju pewny, ciężkie rządu naszego wady, poprawić, niepewność losów naszych ustalić zamyślał. Niepłonnem jest dziejopisów zdanie, że mąż ten wielki, za przeważnym Zamojskiego wpływem, zamyślał przed zgonem swoim, lub ustanowić następstwo, lub przynajmniéj sposób elekcyi poprawić, że chciał położyć szranki swawoli, ukrócić zuchwalstwo możnych, słowem swobodom, rządowi naszemu, nadać trwałość i pewność. Zamysł acz i w tenczas już trudny, wyrównywający jednak Bohatera śmiałości! Już wieści o tych wielkich odmianach rozchodziły się po kraju: cieszyli się miłośnicy powszechnego dobra, znana w królu przeciw burzycielom surowość, świeży na Zborowskim przykład, powściągały zuchwałych szemrania; zbliżaliśmy się do szczęścia, oddalił je na zawsze nagły prawie zgon najwaleczniejszego z królów.

Gdy wieść o tak ciężkiéj stracie rozeszła się po kraju, pomięszanie, okropna żałość przejęły serca Polaków, nadewszystko ludzie rycerscy, przypominając odbyte świetne pod nim wyprawy, niebezpieczeństwa nawet i trudy, opłakiwali w Stefanie, króla, wodza, dobroczyńcę, całą chwałę i zaszczyt swój.

Stanisław Karnkowski, prymas królestwa i arcybiskup gnieźnieński rozesłał uniwersały na sejmiki, senat zaś zwołał do Warszawy na dzień pierwszy Lutego. Stanisław Żołkiewski, ojciec sławnego późniéj hetmana, krótko przed śmiercią Stefana na województwo ruskie wybrany, we Lwo-

wie, szlachtę ziem swoich zgromadził. Zjechał tam i Zamojski, ani zcierpiał by się zaczęły obrady, aż żałobna uroczystość jak dług winny pamięci zmarłego króla wypełnioną zostanie. Ze łzami, z smutną wspaniałością odprawiły się te święte obrządki. Maciéj Piskorzewski, sekretarz królewski, miał pogrzebową mowę w łacińskim języku. Lecz nieostygły jeszcze śmiertelne Batorego zwłoki, gdy przytłumione tylko namiętności, gdy pycha, zazdrość, nienawiść wybuchać zaczęły, tym śmieléj, że zawieszone w czasie bezkrólewia i władze, i prawa, zuchwalstwu złośliwych, wszelki odejmowały hamulec. Dwa możne naówczas domy, Zborowskich w małéj Polsce, Górków w wielkiéj, niechętne zeszłemu królowi, zawisne Zamojskiego, możne w dostatki, niespokojne, wyniosłe, by własnéj dogodzić i pysze i zemście, nie wachały się rzeczy powszechnéj zaburzyć.

Szeroko rozrodzony dom Zborowskich trzech jeszcze żyjących braci zaliczał: Krysztofa, podczaszego koronnego, Jędrzeja, marszałka nadwornego, i Jana kasztelena gnieźnieńskiego, czwarty Samuel, za zabicie Wapowskiego w czasie króla Henryka wygnany, późniéj z wzgardą praw, burzący w kraju, czychający na życie królewskie, przez wyrok Zamojskiego mieczem skarany. Wpływający do sprzysiężenia Krysztof i Jędrzéj, pierwszy uszedł do Moraw, i wsparcie u domu Rakuskiego znalazł, zawieszono sprawę Jędrzeja; Jan tylko najstarszy z braci do spisku nie wchodził, miał on nawet nadzieję otrzymania od zmarłego króla darowanie winy dwom braciom swoim.

Po opuszczeniu przez Henryka tronu polskiego, Zborowscy przyczynili się najwięcéj do wyboru Stefana, i za tę przysługę dumni, wymagali od króla całéj wdzięczności prywatnego człowieka. Czynił Batory, co zwrot na przysługę bez krzywdy zdatniejszych i uszczerbku dobra publicznego kazały, lecz że wszystkiego co chcieli nie czynił, poczytali Zborowscy jak gdyby nie wypłacił się niczem. Bodło ich najbardziéj raptowne wyniesienie Zamojskiego, rozjątrzyła do końca śmierć brata Samuela; żalem, zemstą i zawziętością, więcéj jeszcze niż związkami krwi złączeni, jak tylko śmierć Batorego wszelką bojaźń odjęła, wygnanego Krysztofa przywołali do kraju.

Przyjaciele i krewni, ludzie chciwi nowości, do poruszeń gotowi, wszyscy co niechęci Zborowskich dzielili, lub z własnych pobudek, lub poduszczeni od nich, związali się z burzycielami. Przed zaczęciem jeszcze głównych królestwa obrad, zamiary przeciwne Zamojskiemu, duch zawziętości, niezgody, wszędy w Sejmikach wywierać się zaczęły. We Lwowie nawet, gdzie wpływ Zamojskiego tyle znaczył, zna-

leźli się stronnicy Zborowskich: z tém większem zadziwieniem ujrzano na ich czele Mikołaja Jazłowieckiego starostę śniatyńskiego, że ten żadnego nie miał powodu być w nieprzyjaźni z Zamojskim; przeciwnie i owszem: bo gdy przy wstępie Stefana na tron Zborowscy chcieli mu wydrzeć starostwo śniatyńskie, wstawiając się za nim u króla, Zamojski nieprzyjaźń Zborowskiego wojewody krakowskiego ściągnął na siebie. Przecież niepomny na to Jazłowiecki, wołał do swóich: „Czas jest o bracia położyć tamę wyniesieniu i potędze jednego człowieka nad nami wszystkimi! I komuż są jeszcze tajne zuchwałe jego zamysły? Sam się on z niemi, przechwala w tych listach, któremi pokrzepiając nadzieje przyjaciół swoich, wystawia im obszernie władzę, bogactwo i silne z Batorami związki. I któż z was jeszcze nie wie, że sam jeden, z wzgardą praw waszych, książęcia siedmiogrodzkiego, lub którego z Batorych, na wolnym tronie polskim osadzić zamyśla? „I czemże przeciw nadużyciu władzy, przeciw wygórowaniu jednego nad wszystkimi my wszyscy bronić się mamy? czem uwolnić rzeczpospolitą od ustawicznéj bojaźni? Przykróceniem, zniesieniem władzy téj. Wymagają tego i całość rzeczypospolitéj, i przodków naszych ustawy. Napisane od kilku wieków prawa, mówią iż ze śmiercią królewską, ustają władze wszystkie, i że wtenczas równa wszystkim wolność, urzędników nie cierpi. Jeżeli prawu temu posłuszne są inne zwierzchności, jeżeli w czasie bezkrólewia, nieczynną jest pieczęć królestwa, czemuż buława działającą ma zostać? Postrzeżmy się, zaradźmy złemu wcześnie, inaczéj srogo już doznane przewodzenia, wiecznie na karkach naszych ciężyć będą.“

Przyjęta ta mowa od stronników z oklaskiem, od większéj części zebranéj szlachty z oburzeniem i zgrozą, a gdy gwar ustał, Zamojski w ten się odezwał sposób; „Jakichkolwiek bądź w téj ojczyźnie naszéj dostąpiłem dostojeństw, nie dostąpiłem ich przez pochlebstwa, nie wymusiłem naprzykrzaniem, nie pozyskałem żadną chytrością, lub czyny niecnemi. Z pierwszéj młodości mojéj, ciągłą i pilną pracą, w dojrzalszym wieku, w obozach trudami, niebezpieczeństwy, bojem, w senacie zdrową radą, stałem się tém, czém mię widzicie; powierzonéj mi od króla władzy, używałem zawsze przeciw nieprzyjaciołom, naprzeciw ojczyźnie nigdy. Świadkami jesteście sami, jakem aż nadto może gorliwie, stawał przy swobodach narodu, anibym chciał dzisiaj obalać tego, czego z wami zarówno używam, za com walczył, czego zawsze broniłem: jeżeli winowajca skaranym był, nie ja to, lecz skarało go prawo. Fałszywemi są o Batorych wieści; nie jestem tak zapamiętałym, bym kogokolwiek,

przeciw woli wszystkich, zamyślał na tron wprowadzić, a gdybym nawet mógł to, nie chciałbym. Zaprzeczam ja, by z śmiercią królewską wszelkie władze ustawać miały; sam rozsądek wskazuje, że zawsze być powinny, że zawsze trwają. Mniéj nad inne rządy, rzeczpospolita bez rządu wojskowego obejść się, i stać może. Nie dla powagi królewskiéj ustanowieni wodzowie, lecz dla pożytku i spokojności téj ojczyzny, która w czasie bezkrólewia, na większe niż w innych czasach rozruchy i niebezpieczeństwa wystawioną jest. Na próżno więc te pierwiastki obrad publicznych płonnemi mieszać trwogami, winowajczem jest potwarzać tego, na którym plamy niema. Nie we mnie szukajcie niebezpieczeństw dla wolności polskiéj; jeżeli co wolność tę nadwyrężyć, jeżeli co zniszczyć ją może, to niezgoda, zawziętość, wyuzdana swywola i pycha.“

Powstali niektórzy przeciw téj mowie, lecz widząc, że Zamojski nietylko liczbą przyjaciół, lecz powagą i wzięciem ich w narodzie silniejszym był, nie już o odjęcie władzy hetmańskiéj, lecz o przydanie mu towarzysza walczyli: gdy bowiem obyczajem przodków, prócz hetmana wielkiego był jeszcze i polny, którego powinnością było strzedz granic państwa, domagali się by wakujący ten urząd przez śmierć Sieniawskiego, komu innemu w tak niebezpiecznych chwilach był powierzonym, i już na miejsce to wyznaczyli Jazłowieckiego; lecz nie tak bojaźń niebezpieczeństwa, jak żądza osłabienia przewagi Zamojskiego, pobudzała Zborowskich. Trwały przez dni kilka te spory, i jak nieraz zdarza się, nic nie ustanowiono z tego wszystkiego nad czém spierano się tak długo. Prawami jednak w czasie dawniejszych bezkrólewiów ustanowionemi, zabezpieczone sądy; obostrzona karami spokojność publiczna; na sejm warszawski z obydwóch stron wybrani posłowie.

Co Zborowscy na Rusi, to samo przeważny Górka w wielkiéj Polsce wyrządzał; po wszystkich prawie sejmikach, też same skargi i powstawania nieprzyjaciół Zamojskiego, taż sama z strony przyjaciół jego obrona, słowem taż postać rzeczy, i tenże skutek.

* * *

Zamordowanie Dymitra 1606 r.

Przez dni szesnaście trwały gody weselne, lecz gdy dwór cały i Polacy oddawali się radości, Iwan Wasilewicz Szujski, tenże sam, któremu Dymitr niedawno życie darował, zgromadzał w domu swoim sprzysiężonych, i do spełnienia okropnéj zbrodni tajemne czynił układy. Odkryte między strzelcami bunty, przytłumione zostały surowością wodza

ich Mikulina, znaczna ich liczba skarana śmiercią. Tatyszczew za wstawieniem się Bosmana darowany życiem. Zganił nawet Dymitr surowość wyrządzoną nad winowajcami. Te tak często wylatujące iskry ostrzegać go były powinny, że tlały pożaru płomienie; przecież zaufany ślepo; ani te grożące oznaki, ani ostrzegania wojewody sandomirskiego i innych Polaków, nieuczyniły go baczniejszym, i owszem za naleganiem posłów naszych, aby się miał na ostrożności, wysłał do nich kanclerza swego Buczyńskiego, upominając, aby byli bezpieczni: tak dobrze, mówił Dymitr, wziąłem we władze to państwo nasze, iż nad wolą moję nic się w niém stać nie może.

Jeżeli rzecz jaka tę niesłychaną ślepotę wymówićby zdołała, to udatne powiększenie od Szujskich, i sprzysiężonych, wszelkiéj życzliwości i poszanowania dla cara: by tém bardziéj Dymitra i Polakow oszukać, rozpoczęli hersztowie z posłami naszymi negocyacye, o przymierze między dwoma państwami naprzeciw Turkom. Dymitr Szujski jeden z sprzysiężonych najwięcéj w tém okazywał się czynnym. Nie opuszczano niczego, coby tylko podejrzenie najmniejszą bojaźń usunąć mogło: a gdy nasi na cześć nowéj carycy, rycerskie turnieje wyprawiać mieli, gotowali tarcze, kopije i godła, spiskowi zachęcając, by się spieszyli, rozsiewali między pospólstwem, że te wszystkie przygotowania na wytępienie ich czynione były.

Taką podwójnością, takiém ukrywaniem się zachwycili i Cara Dymitra, i naszych bez żadnego przygotowania i obrony. Już ponaznaczane kredą wszystkie gospody, gdzie stali Polacy, gdy dnia 27 Maja po wesołych godach, przeciągnionych do późnéj nocy, udał się Dymitr do spoczynku. 300 halabardników Niemców strzegło carskich podwoi, i wierny Bosman spał w przedpokoju: gdy jeden z sprzysiężonych przyszedł do Niemców niby imieniem cara, pozwalając im udać się do domów swoich: uwierzyli niebaczni i oddalili się, 30 tylko zostawiwszy na straży. Równo ze świtem huk ogromnego dzwonu, w który w gwałtownych tylko okolicznościach uderzają, przeraźliwie słyszeć się daje. Porywa się Dymitr, narzuca na siebie polską czamarkę, bierze szablę turecką, wychodzi; spotyka Dymitra Szujskiego: zapytuje, dla czegoby dzwoniono? na ogień, odpowiedział Szujski; toż samo pytanie czyni po mieście poselstwo, sprzysiężeni odpowiadają, że Litwa bojarów wyrzyna. Natychmiast we wszystkie uderzają dzwony, zbiera się hurmem pospólstwo uzbrojone rohatynami, rusznicami, siekierami, staje na czele ich Wasil Szujski, w jednym ręku trzymając krzyż, w drugim dobytą szablę. Idźmy, wołał,

ukarać przywłaszczyciela i tyrana, jeżli go nie zabijem, głowy nasze stracone. Na głos męża, święty znak Zbawiciela trzymającego w ręku, rzuca się pospólstwo do zamku. Staje w bramie trzydziestu pozostałych halabardników i mężny odpór dają; lecz gdy kilkakroć strzelono do nich, wielu legło, inni porzuciwszy halabardy, ratowali się ucieczką. Tymczasem Piotr Bosman usłyszawszy rozruch zawołał do cara: *Zdrada, ja umrę, a ty radź o sobie.* To mówiąc stanął we drzwiach pokoju, a siekąc wdzierających się szablą, sam nakoniec od licznych ich ciosów poległ. Dymitr bez żadnéj widząc się obrony, wyskakuje przez okno i ciężko się tłucze; wtenczas jeden z Moskwy głęboką ranę zadaje mu w łytkę; pada car zbroczony w krwi własnéj, omdlewa; przybiegają strzelce, a ulitowawszy się stanu jego podnoszą, oblewają wodą, i do zmysłów wracają. Zemdlonym głosem odzywa się, by go bronili, obiecuje obrońcom majątki i żony bojarskie. Nadbiegają sprzysiężeni, a widząc strzelców już strzelających do dworzan, idźmy, wołali głośno do miasta w domy strzeleckie, a wyrzynajmy wszystkie żony i dzieci ich; strwożeni tém odkazaniem się strzelce, spuścili na dół rusznice i rozeszli się. Przypadli naówczas dumni bojarowie, wyrzucając Dymitrowi, że nie był carem, ale Hryckiem Otrepiowem Roztrygą, a gdy on się odwoływał do matki, kniaź Galliczyn przydał: wypiera cię się matka twoja; w czasie tych rozmów, syn jeden bojarski *Gregory Wołniew* wcisnąwszy się między ludzi, zpod germaka strzelił, i nieszczęsnego zabił. Przypadło pospólstwo, a długo nad ciałem się pastwiąc, zawlokło je za nogi do monasteru, gdzie matka jego mieszkała, pytając, czyliby to był syn jéj. Ona ze łzami rzekła: *pytać mnie było o to, kiedy żył, dziś gdy nie żyje, już nie mój.* Ztamtąd zawleczono ciało na rynek, i położono obok ciała wiernego Bosmana. Tymczasem gdy jedni z sprzysiężonych ścigają i mordują Dymitra, drudzy z dość znacznym pocztem rzucają się na pokoje carowéj. Nie miała ona przy sobie jak panie dworskie, i kilku pacholąt polskich: nie wielkiéj obrony z téj słabéj młodzieży można się było spodziewać, przecież starszy nieco od innych Osmolski, herbu bończa, słysząc że się już zuchwale wdzierali do pokojów carowéj, stanął we drzwiach, i mężnie bronił przystępu, lecz wkrótce kilka z rusznic wystrzałów zwaliło go na ziemię. Jedna z tych kul trafiła ochmistrzynię carowéj, panią Chmielecką, i ta z rany umarła: niewstrzymały zapalczywych przestrach i łzy nieszczęsnych kobiet. Ta carowa, przed którą wczoraj jeszcze jak przed panią zginano kolana, obdarta z wszelkich ozdób i naga prawie z kobietami swemi, zawleczona do innego domu.

Gdy się to dzieje (mówi jeden z przytomnych na Moskwie dworzan polskich) i Polacy jak gdyby za karę wyuzdań, i popełnionych gwałtów, zaślepieni od Boga, po wczorajszych godach rozmarzeni winem, spoczywali bez żadnéj straży i opatrzenia; okropne bicie dzwonów przebudziło ich dopiero, lecz przebudziło ich za późno. Porywają się, widzą pomordowanych już na ulicach tych wszystkich, którzy, czylito dla potrzeb domowych na rynek, czy za innemi sprawami wcześniéj od innych powychodzili: żaden z spotkanych bezbronnych Polaków nie uszedł śmierci, sam strój stawał się zbrodnią. Nie dosyć na tém, nadchodziła zapalczywa czerń na wszystkie już wprzódy naznaczone kredą naszych gospody, zabijając, dusząc, ze wszystkiego plądrując. Przy rabowaniu domu pana Słońskiego, który już Polskę porzucił, i do cara był przystał, znaleźli Moskale składy wina i miodów, zagrzani napojem, tém śmielsi jeszcze, nadchodzą na dom Tarły chorążego przemyskiego, który się był z panem Lubomirskim zamknął. Tu pierwszy dano im odpór; udano się do zdrady, całują krzyż, przysięgają, że zdrowi przy życiu i majątku zostaną, byleby się poddali. Zaledwie ich wpuszczono, pada 36 czeladzi rozsiekanych na sztuki; tam Tarło, Lubomirski, pani Tarłowa, Herburtowa, potłuczeni, skrwawieni, obnażeni do koszuli, zawleczeni do zamku. Ksiądz Pomiński przy samym podniesieniu świętéj ofiary cięty w głowę upada, brat jego zabity. My dworscy poselscy (mówi daléj przytomny pisarz, z którego dziennika niniejsze okoliczności wyciągnęliśmy pokrótce) my poselscy, skoro się tumult ten wszczął, obwarowaliśmy dom nasz wokoło, czekając tylko póki się nie zbliżą, oddając się Bogu, w przedsięwzięciu jednak bronienia się do upadku. Był naprzeciw dom pana Mniszcha, starosty łukowskiego, gdzie niemało i innych znaczniejszych osób mieszkało. Najwięcéj Moskwa zażartą była na nich, z przyczyny odebranych naigrawań się i obelg. Nie tajném było niebezpieczeństwo staroście łukowskiemu; przywiązawszy więc do strzały kartkę, i wypuściwszy ją, dał tym sposobem znać poselskim o niebezpieczeństwie swojém, i wraz odbiegłszy całą swą czeladź, w jednym żupanie wpadł do poselskiego domu. Przestrzeżona od bojarów czerń, by nie gwałcić domu posłów, dotąd nie odważyła się nań targnąć, lecz gdy za Mniszchem i inni wymykali się, a lud jął strzelać do nich, wtenczas ludzie poselscy w obronie rodaków gęstą strzelbę puścili z dachów i okien; tym sposobem odparci, rzucili się na dom Kazanowskich, rozszarpali go ze szczętem, i 22 czeladzi zabili. Szerząc coraz daléj łupiestwa i rzezie, przyszli nakoniec do dworu Stefana

hospodara wołoskiego, u którego książę Konstanty Wiszniowiecki stanął był gospodą, ten obwarowawszy się, i mając z sobą dzielny poczet ludzi, bronił się odważnie i długo; zatoczyła czerń działa, lecz wystrzały idąc górą, nie wiele szkodziły.

Wtém czasie przybiegł przed wrota dworu poselskiego *Boris Naszczokin* prosząc o rozmowę: wyszedł do bramy Gąsiewski starosta wilejski, przed którym Naszczokin, imieniem dumnych bojarów żaląc się na wprowadzenie samozwańca i gwałty Polaków, kończył, prosząc aby się posłowie nie mięszali z tymi Polakami, którzy z wojewodą sandomirskim przyjechali do Moskwy, że tym tylko sposobem całymi zostaną.

Gąsiewski odpowiedział w te słowa: „Przybyliśmy tutaj w poselstwie do Dymitra cara: boście wy go sami za hospodara waszego uznali; dziś zamordowawszy go, powiadacie, że nim nie był. Nam nic do tego; niech wam Bóg, podług prawdy waszéj pomaga. My jako posłowie piwinniśmy być pewni bezpieczeństwa naszego, jednak zgwałcono je, czego nawet w dzikich narodach nie widać. Co się tyczy szlachty polskiéj z wojewodą sandomirskim przybyłéj, przybyła ona tu nie na wojnę, lecz na gody weselne, zaproszona od cara, i od wszystkiéj ziemi waszéj; jeżeli się niektórzy ze sług dopuszczali zbytków i nieprawości, udawać się należało po sprawiedliwości, nie zaś za kilku występnych, krew niewinną tak okrutnie przelewać. Dziękujemy dumnym bojarom, za dobre ich chęci ku nam, powiedzcie im imieniem naszém, niech baczą, by krew niewinna JKMci pana naszego, dłużéj przelewaną nie była: gdyby ich zaś (co uchowaj Boże) daléj przed oczyma naszemi mordować miano, tedy ani na to zimno patrzeć, ani żelaz naszych wstrzymać nie będziemy mogli. Będziemy się bronić, polegniemy wszyscy, ale co z tego wyniknie, łatwo dumni bojarowie przeglądać mogą."

Skoro Naszczokin odpowiedź tę odniósł do zamku, wraz Szujski i inni bojarowie wpadłszy na konie, biegali po ulicach, hamując pospólstwo od łupiestwa i mordów. Kniaź Mścisławski biegł na ulicę mielecką, gdzie najwięcéj sług carskich i carowéj poległo, kniaź Wasil Szujski przybiegłszy do domu księcia Wiszniowieckiego, zastał tam rzeź niezmierną, bronił się Wiszniowiecki walecznie, a mając do 200 kopijników na koniach, chciał z nimi wypaść z domu i na szturmujących uderzyć; wstrzymali go od tego dowódzcy pospólstwa, zapewniając wszystkim całość i bezpieczeństwo; lecz skoro Polacy pozsiadali z koni i odprowadzili je do stajni: wraz lud niewinny strzelać i wdzierać

się do domu zaczął. Wiszniowiecki, znowu się zamknąwszy, z górnéj sali odważnie się bronił; w téjto chwili przybiegł Wasil Szujski i Iwan Mikitycz. Ci z wielką pracą uśmierzywszy pospólstwo, ocalonych Wiszniowieckiego, Stadnickich, Kazanowskich, Tarła, zaprowadzili do rozmaitych gospód; domy zaś i sprzęty ich złupione, pobita czeladź. Zabitych w dniu tym Polaków jedni do 2000 drudzy do 4000 liczą. Sprawiedliwie piszący dziennik téj rzezi, uważa, że gdyby Polacy nie byli się tak ślepo oddali napojom i ospalstwu, gdyby byli rozdzielone siły swoje, czy w domu poselskim, czy u księcia Wiszniowieckiego skupili, pokonaliby byli niesforne i źle uzbrojone hufy pospólstwa; lecz stracili przytomność, uzbrojeni nawet bronić się niechcieli; słowem Bóg, chcąc ukarać dumę ich o przestępstwa, nieszczęsnych zaślepił.

Już téż z zapadającym zmierzchem ustała zapalczywość ludu, dano straż bezpieczeństwa do poselskiego domu, powrócona niejakaś na mieście spokojność. Jak żałosna noc nastąpiła po dniu tym rzezi! Rozproszeni po odległych gospodach Polacy, niewiedząc o sobie, szukali się nawzajem. Ileż radości ze znalezieniem opłakanego już przyjaciela, ile żalu i smutku, gdy krewny lub przyjaciel postrzeżony wśród stosu trupów! Co chwila przybywali do domu posłów, kapłani, rycerstwo, niewiasty! wszyscy obdarci, skaleczeni lub zbici. Za pozwoleniem bojarów wysłali posłowie do pana Tarły i Lubomirskiego, dowiadując się o losie ich. Znaleziono nieszczęsnych w postrzelanéj i krwią zewsząd zbryzganéj budowie: na podrzuconéj na ziemi słomie, leżał w jednym końcu Tarło z Lubomirskim, grubą tylko przyrzuceni koszulą, w drugim pani Tarłowa, Herburtowa i inne Polki potłuczone srodze, okryte najuboższą odzieżą: zbyt raptowne, niestety! przejście z przepychu i bogactw do najsmutniejszéj nędzy! Natychmiast posłowie wysłali im szaty, bieliznę i wszystkie potrzeby. Nie tu tylko okazała się ich hojność; dosyć było być rodakiem i nieszczęśliwym, by doznawać od nich wszelkiéj pomocy i wsparcia.

Po długiém naleganiu, odkryto nakoniec Mniszchowi, że córka jego była przy życiu; odprowadzono ją nawet do ojca z kobietami jéj, nie już w carskim przepychu, lecz w stósownéj do stanu jéj dzisiejszego nędznéj odzieży. Co za widok dla nieszczęśliwego starca! Tém zapewne dotkliwszy, że w upokorzeniu tém córki, widział własnéj wyniosłości ofiarę. Przecież cios tak okropny nie uleczył w starcu dumnych jego urojeń; z przerwaniem snów wielkości, nie zniknęły powrotu jéj nadzieje. Przyjął wojewoda Marynę z największém uszanowaniem; ustąpił jéj całego domu

swego, wolał czcić jak panującą, niż jak nieszczęsną córkę do łona swego przytulić.

Co do Maryny, mówi Cilli, doznane nieszczęście, widok śmierci tak bliski, wyniosłości jéj nie ugięły bynajmniéj. Przestańcie, mówiła do starających się ją w nieszczęściu pocieszać, przestańcie żalów waszych niewczesnych; raz uznana za panią mocarstwa tego, nigdy nią być nie przestanę; ten któryby mi chciał wydrzeć koronę, wprzód życie wydrzeć musi.

Dnia 29 Maja, to jest w trzy dni po rzezi, właśnie gdy grzebano trupy naszych w polu za miastem, bicie dzwonów cerkiewnych, huk trąb i kotłów ogłosiły miastu, że kniaź Wasil Iwanowicz Szujski obrany został carem moskiewskim. Dozwoliły mu losy przez chytrość i podstępy dojść do celu wszystkich życzeń jego, dozwoliły wstąpić na tron, by go zeń wkrótce strącając, tém jawniéj okazać światu, że są sprawiedliwe nieba, ścigające zbrodnie na majestacie samym.

Rok 1611. Pożar Moskwy.

Groźby wodza polskiego nie zmniejszając w niczém złéj woli, skrytszemi tylko uczyniły postępki; podwojono oświadczenia wierności z większą niż kiedy pokorą, cisnęli się bojarowie na Gąsiewskiego podwoje: unikało pospólstwo wszelkiéj z naszemi kłótni; lecz w tymże samym czasie pod pozorem nadchodzącéj chrzczenia wody uroczystości i większego w mieście bezpieczeństwa, tłumami lud napełniał stolicę. Żołnierze nawet Łepunowa z ukrytą bronią cisnęli się do niéj. Baczny na wszystko Gąsiewski, widząc krocie ludzi, pomnażających już niezmierną stolicy ludność, widząc swoich zbyt słabe siły, by ją całą osadzić, do zamków Krimgrodu i Kitajgrodu pułki swoje pościągał; zamki te bardziéj utwierdził, i z Białymgrodem nowemi murami połączył.

Wkrótce straże nasze odkryły u bram miasta stosy broni na wozach, zbożem i sianem nakryte; przynieśli szpiegowie wieść, że Łepunów w 80,000 wojska, Zarucki we 20,000 dońców do stolicy zbliżają się i są tylko o mil 20; postrzegano, że lud znów zuchwaléj postępował z naszemi. W tym stanie były rzeczy, gdy dnia 28 Marca 1611 roku dano znać Gąsiewskiemu, że na Kitajgrodzie wszczęła się kłótnia między naszemi a Moskwą. Przypada Gąsiewski na koniu, usiłuje bój rozerwać; napróżno: już zbyt posunięta zawziętość: mnóstwo trupów moskiewskich leżało na ziemi, sama noc rozjęła walczących. Nazajutrz znów się wszczyna bunt w Kitajgrodzie, i okropnie do Białegomuru szerzy się; w pierwszém miejscu, przez mało zbrojnych zamieszkanem kupców, 6000 Moskwy wycięto, mocniejszy posadą

swoją Biały-mur, samych kramów do 4000 liczący, bitniejszym osadzony ludem, zaciętszą sprawił walkę: porwało pospólstwo kilka działek z basztów, i zatoczywszy na ulicę, jęło strzelać do naszych; napróżno towarzystwo posunęło się do nich z kopijami: wszędzie znalazło zatrzymujące je, gotowe już zapory; stawiał lud przed sobą stoły, ławy, niezmierne kłody drzewa, i z za tych, jak z za blankietów, gęsty ogień wypuszczał; nadto z okien i dachów, z rusznic, samopałów, drągami nawet rażono Polaków potężnie; jeżeli ci, chcąc ich za sobą pociągnąć, zmyślali niby ucieczkę, Moskwa teżsame zapory niosąc w ręku za sobą, i zastawiając się niemi, sama bezpieczna ze swobodą nacierających gromiła. Znojno już było naszym, gdy Gąsiewski przysłał im sto piechoty, śpieszyło się kilka towarzyskich hufców; acz w porównaniu z nieprzyjacielem liczba ta, zbyt była słabą, z taką jednak rzuciła się zapalczywością, iż rozerwała sztachety, i moskwę daleko odparła; nieprzyniósł zapęd ten końca zbyt krwawym zapasom. Zatoczywszy więcéj dział, z pomnożoną liczbą, ze czterech stron natarła Moskwa, i już Polaków odegnała daleko; w téj ostateczności, gdy już Polacy o sobie powątpiewać zaczęli, dał się słyszeć głos: *ognia, ognia, podpalajcie domy*! Rzucili się natychmiast pacholicy, i obwiodłszy kilka domów pakułami i smołą, zapalili łuczywem; powstał wiatr z naszéj strony, a płomień ku nieprzyjacielowi pędząc, do ucieczki przynaglił. Dla bezpieczeństwa schronili się nasi w wieczór do Krymgrodu i Kitajgrodu.

Tam w głębi nocy, przy blasku okropnego łuna, zeszli się wodzowie na radę: postanowiono, by pułki stojące dawniéj w spalonym już Białym-murze z 2000 piechoty niemieckiéj, wyciągnęły za miasto, prócz dwóch Chorągwi poważnego znaku, cośmy zachowali konie, księcia Poryckiego, w któréj ja byłem porucznikiem (mówi Maszkiewicz) i Tyszkiewicza, któréj Ludwik Poniatowski dowodził; reszta towarzystwa zpieszoną być musiała. Gdy oddział po lodzie przechodził przez rzekę, postrzegła straż z wysokiéj Iwanowéj wieży w Krymgrodzie, że Struś ciągnący do stolicy, z małemi hufcy Polaków, ugania się z tłumami zebranéj pod miastem Moskwy, niedopuszczającéj, by się z naszymi połączył. Ogromny parkan przedzielał dwa wojska Polaków; ci co wyszli z Białego-muru, niewiedząc jak się dostać do Strusia, dzielący ich, wysoki, ciągnący się daleko, parkan sosnowy w kilku miejscach kazali zapalić razem: gorzała smolna budowa, iskry, okropny płomień, i kłęby czarnego dymu zionąc w powietrze; gdy Struś mąż nieustraszonego serca, zebrawszy swoich „*Wiara* (zawołał) *kto cnotliwy*, *niech*

idzie za mną," to mówiąc, spiął konia ostrogami i sam pierwszy w pałającą odchłań rzucił się: poszło za nim rycerstwo; z niewymowną radością ujrzały się dwa wojska połączone z sobą.

Nieprzyszło dnia tego do boju, pożar bowiem rozszerzywszy się do ulic pobliższych, potężnym rozdymany wichrem, gnał Moskwę przed sobą: szli za nią bezpiecznie Polacy, coraz bardziéj podniecając płomienie. Sami bowiem przychylni naszym bojary zachęcali, by nie oszczędzać. Doszedł nakoniec ogień do najludniejszéj miasta części, i wkrótce ogarnął ją w koło: z smolnego drzewa wyniesione gmachy w jednéj chwili płomieniste tylko okazały ściany; któż okropność téj nocy wystawi? Ogień falami wzbijając się do góry, na szeroko rozciągniętym horyzoncie krwawo czerwone łuno rozwinął; niżéj czarne tło gęstego dymu ciężyło nad nieszczęsnym grodem: wylatujące przez nie ogniste iskry, i pałające drzazgi, powiększyły okropność. Trzask walących się wież cerkiewnych, przekleństwa nieszczęsnego ludu, płacz i narzekania niewiast, z bogactwy, z drogiemi dziećmi ginących śmiercią okropną! jak gdyby niedość wszystko pożerającego żywiołu: grzmot rozstawionych dział polskich w gęste pospólstwa tłumy mordy i kalectwa roznosił. Przez trzy dni i nocy trwała wściekłość nic nieszczędzącego płomienia, dłużéj jeszcze wśród dymiących się pożogów szerzył chciwy żołnierz łupiestwa i mordy swoje. Do stu tysięcy spalonych i poległych mieszkańców liczą dziejopisowie ówcześni; ocalono żywcem, z przedniejszych Andrzeja Galliczyna, brata Wasila; zrzucono patryarchę z dostojeństwa i do więzienia wtrącono.

Ustały mordy i wrzawa wojenna. Gdzie gród niezmierny niegdyś, wznosiły się białe stosy popiołów i dymiące się do góry pożogi: gdzie niedawno snuły się roje żyjącego mnóstwa, głuche milczenie. Inna Kitajgrodu postać; skład najbogatszych wschodnich i zachodnich towarów oszczędzony od ognia, by się stał niepochamowanéj chciwości łupem: tysiące sklepów rozszarpane w dniu jednym, i jak zwykle w bojach, ci, co w nich narażali się najmniéj, bogacili się najwięcéj. Z tąd w wojsku zwady, zarzuty i szkalowania; spierano się o wydarte nieszczęsnym łupy, jak gdyby o prawem należącą własność. Te to pożogi, łupiestwa, i mordy, zostawiły jad zemsty i nienawiści w sercach najpóźniejszych pokoleń.

Niestety! późno lecz surowo pomścił się za nie straszny oddawca łez i narzekań ludzkich!

Wkrótce wśród bogatych sprzętów, wśród pereł, złota i srebra, uczuł żołnierz polski najokropniejszą nędzę, zu-

pełny niedostatek żywności; pochłonął ogień zapasne składy, gdyż nie miano ostrożności przewieść ją do Kitajgrodu; głośno żołnierz o pożywienie wołać zaczął. Niezostawał inny środek, jak się jéj po kraju dobijać orężem.

Śmierć Zygmunta III. 1632 r.

Czterdziesty szósty rok panowania dopełniał już Zygmunt; ucichły zawzięte niechęci, sama sędziwość, długo doznawane przykrości, łagodziły serca dla niego; zaczynał król ten patrzyć spokojnie na zbliżający się zachód życia, gdy nieba raz jeszcze boleśnym ugodziły go ciosem. Ulubiona małżonka, matka licznego rodu, Konstancya Austryacka, nagle porwaną mu była. Zarzucali Polacy pani téj, z innych stron przykładnéj i świątobliwéj, że więcéj pamiętała, iż się urodziła arcy-księżniczką rakuską, niż że była królową polską. — Przecież domowe jéj cnoty, przystępność, łagodność, nadewszystko myśl, że ona jedyną była pociechą, wiekiem i chorobą znękanego króla, sprawiały, iż żal po niéj był powszechny i szczery.

Nic atoli wyrównać nie mogło rozpaczy i tęskności króla samego. Dwadzieścia i sześć lat spędzonych w miłości i zgodzie, słodki obyczaj wspólnego znoszenia i dobrych i przeciwnych kolei, niedostatek ufnego powierzania się, którego nic już zastąpić nie mogło, widok nakońcu tylu osierociałych dzieci, napełniały serce Zygmunta goryczą i ciężkim żalem.

Zmieniła się odtąd postać dworu całego: król we łzach i smutku rzadko kiedy dozwalał się widzieć: cięższy niż wprzód przystęp do Pana; niedopuszczały go otaczające niewiasty (przez troskliwość dla starganego zdrowia), niewchodzili do komnaty, jak poufali ze sług i urzędników: zaniedbane publiczne i domowe sprawy, wszystko szło przez ręce Urszuli Meierin, do najskrytszych domu przypuszczonéj tajemnic. — Jeżeli potrzebnym był podpis królewski na dyplomacie jakim, że król z trudnością już pióro mógł trzymać, niesiono je do sypialnego pokoju, tam nie jedno podług woli i upodobania, otaczających domowników, podpisywano.

Do smutku i ciężkich boleści, któremi Zygmunt był obarczony, niemało przyczyniła się rozrzutność królewicza Władysława: ustąpione mu dochody z całego księstwa Siewierskiego, nadane liczne i bogate starostwa, rocznie z skarbu królewskiego wyznaczone sumy, nigdy dostatecznemi nie były. Kiedy Adam Kazanowski, pierwszy Władysława powiernik, kiedy inni domownicy opływali w dostatkach, sam królewicz zawsze widział się w potrzebie. Dochody, kosz-

towne sprzęty, wszystko przenosiło się do Kazanowskiego do tego stopnia, iż król dom jego zapieczętować, i komissyią do wejrzenia w nadużycia wyznaczyć był przymuszony, z tąd ciężkie między Zygmuntem i synem zarzuty i skargi.

Tymczasem starania lekarzy, szczególniéj użycie zawłok do ściągania humorów, pokrzepiło nieco zdrowie królewskie. Użył król polepszenia tego, by raz jeszcze ze stanami o sprawach publicznych, i o zapewnieniu losu licznego potomstwa naradzić się: zwołany więc sejm nadzwyczajny trzyniedzielny na dzień 1 Kwietnia.

Gdy się już stany do izby senatorskiéj zebrały, a król dla ciężkiéj niemocy, wśród ministrów i dygnitarzy koronnych na krześle do tronu był przyniesiony, smutek na bladéj twarzy wyryty, schorzała postać jego, tkliwém politowaniem scisnęły serca wszystkich: nigdy izba sejmowa w smutniejszéj nie okazała się postaci: senat i posłowie czarną po królowéj okryci żałobą; na wszystkich twarzach żałość i boleść. Oznajmił kanclerz od tronu, iż car moskiewski, mimo trwającego jeszcze sojuszu, nietylko nowe do wojny przygotowania czyni, lecz już niespodziewanemi najazdami granice rzeczypospolitéj trapi. Postanowiono zatém, by, *ne quid Respublica detrimenti capiat*, królewicz Władysław zniosłszy się z hetmanami obojga narodów (przy których władza najwyższa trwać miała) z uchwaloném wojskiem na granice moskiewskie ciągnął; gdyby zaś car do zachowania pokoju szczerą chęć okazywał, naówczas wyznaczeni na tymże sejmie komisarze, z ścisłą ostrożnością, przeciw zwykłym narodu tego wybiegom, trwanie pokoju obwarować i podpisać mieli.

Zaledwie wniesiono projekt opatrzenia rodu królewskiego, gdy stany głośno króla prosić zaczęły, by królewiczowie i królewna wezwani, i obradom publicznym obecnymi być mogli. — Nieprzytomnym był królewicz Władysław, lecz weszli królewicze Jan Kazimierz, młodsi bracia jego Jan Albrycht, Karól Ferdynand, Aleksander Karól, i młoda infantka Katarzyna. Zasiedli miejsca niżéj tronu: widok licznego w pierwszéj młodości na ziemi polskiéj zrodzonego królewskiego plemienia, co dziś w połowie, wkrótce całkiem osieroconem być miało, widok rodu, któren rzeczpospolita przyjmowała na łono swoje, tkliwą radość wzbudził na twarzach wszystkich; wypogodziło się zachmurzone Zygmunta czoło: nastąpiło uroczyste milczenie; król, acz słabym głosem, w te słowa odezwał się do stanów:

„Przy jawnéj wszystkiemu światu wierze narodu nam od Boga za wolnemi głosami poddanego zawsze ta bywała *pietas* i życzliwość ku królom i panom swym, iż potomstwa

ich, pomnąc na zasługi przodków, nieopuszczali. Oto są te dzieci zrodzone na ziemi polskiéj; oto potomstwo razem moje i wasze; nie ma ono już matki, a wkrótce i ojca postrada. Poruczam je rzeczypospolicie całéj; kiedy mnie nie stanie, niech troskliwość wasza czuwa nad niemi, niech hojność wspiera!“

Tkliwe, pocieszające głosy napełniły gmach cały obrad publicznych. Wśród powszechnego wzruszenia, nie było oporu, gdy czytano ustawę opatrującą potomstwo królewskie. Królewiczowie Jan Albrycht i Karól Ferdynand z dzieciń每stwa od króla poświęceni kapłaństwu, jeden z nich biskupstwo warmińskie, drugi biskupstwo Wrocławskie na Szląsku otrzymał.

Dziś po śmierci Andrzeja Lipskiego, z pozwoleniem stanów, biskupstwo krakowskie pierwszemu z królewiczów oddano. Pozostali Jan Kazimierz, i Aleksander podzielili między siebie oprawę zeszłéj królowéj Konstancyi. Jako to: Tucholą, Upitę z Piłą, Swieć, Latowice, Leżajsk, Kamieniec, Zawiszyn, i Stanisławów; — w Litwie zaś ekonomią Kobrzyńską i Olitę. Królewnie Katarzynie, aż póki postanowioną nie będzie, nadano starostwa brodnickie i golubskie. Król wynurzając wdzięczność swoją dla stanow, praw korony do mennicy rzeczypospolitéj ustąpił.

Przypuszczono do posłuchania króla i stanów, posłów rakuskich; ci w tkliwych mowach błagali o posiłki naprzeciw przewadze i szczęściu Gustawa. Odpowiedziano: że wstrzymanie przez lat tyle Szwedów od rzucenia się na kraje Ferdynanda, ważną już było usługą, że daléj Polska w walkę tę wdawać się nie może; przydano, że ostatnia pruska wyprawa, drogie jéj odkupienie, najlepszą będzie odmówienia tego u dworu wiedeńskiego wymówką.

Nie było, jakeśmy namienili, przeciwieństwa w hojném opatrzeniu potomstwa królewskiego; lecz gdy Zygmunt, czyli to z szczeréj troskliwości o spokojność wewnętrzną, czyli z chęci wiedzenia przed zgonem, kogo mu Polacy za następcę przeznaczają, projekt względem poprawy trybu elekcyi królów wnieść zalecił: dotknięcie tak tkliwéj dla silnych przesądów materyi, żywy opór wznieciło.

„Nietykajmy, mówiono, opoki, na któréj spoczywają wszystkie wolności nasze. Trwożą nas sąsiadów przykłady: patrzmy, co w Czechach, co w Węgrzech dzieje się; i te ludy, jak my, były niegdyś wolnemi; lecz zaledwie dumny Rakuszanin osiadł trony te, lubo święcie prawa i swobody ludów tych zaprzysiągł, skoro wolne królów wybory w dziedzictwo przemienił, zginęły wolności, swobody, zginęła mowa ojczysta, synowie wolnych ludzi niewolnikami stali się.“ —

Tak jedni mówili z przekonania, inni nie chcieli opuścić tych bezkrólewiów, gdzie przez śmiałość i obrót utracone majątki odzyskać, nieposiadane nigdy nabyć, tak łatwo było. Nierozumiejmy atoli, by zbywało na światłych, bezstronnych, nieuprzedzonych mężach, którzy silnie popierali obostrzenie srogich bezkrólewiów nadużyć; lecz ci przemagającemu mnóstwu uledz musieli. Spory w téj sprawie cały czas sejmowania zajęły, nieraz zbolały król do drugiéj i trzeciéj z północy przysłuchiwać się im musiał. Przyszedł nakoniec dzień zawarcia sejmu, i posłowie raz ostatni pożegnali kròla. Rzadko bowiem był taki, któryby patrząc na ustające siłyjego, najmniejszą mógł karmić nadzieję, że go raz jeszcze ujrzy.

Sprawiedliwą troskliwość ta była. Zbytnie dla tak słabego już ciała trudy sejmowe stan zprowia królewskiego pogorszały codziennie. — Zapadł nakoniec król niebezpiecznie dnia 23. Kwietnia r. 1632, a 30 t. m. przeniósł się do życia lepszego.

Czytający z uwagą dzieje te, charakter, przymioty i wady pana tego mógł już łatwo ocenić. Jedne i drugie były skutkiem wychowania, pierwszych młodości wrażeń; późniéj skutkiem obcowania z ludźmi, których król ten do bliższéj poufałości swojéj przypuszczał. Chwalebna, gdyby niewyłączna gorliwość o wiarę, przesadzone wyobrażenie o władzy królewskiéj, szczególniéj o niczém nie mogącéj być zmienioną prawości dziedzictwa; uleganie duchowieństwu i obcym ,zaciętość w odzyskaniu berła szwedzkiego, długo zachowana obojętność dla Polski, łatwość w chwytaniu się wielkich zamiarów, oziębłość i opieszałość w wykonywaniu ich, obok wachania się, upór, obok wyniosłości, słabość, statek, wiara, i uprzejmość w stadle małżeńskiem, wyniosła niedostępność dla wielkich, dla domowników poufała łagodność, miłosc, sprawiedliwość, prędko zapomniane niechęci, łatwo nawet przebaczane urazy, te są duszy i umysłu Zygmunta celujące znamiona. Wychowany pod okiem czułéj matki Katarzyny Jagiellonki, powodującéj się całkiem radami Kardynała Hozyusza, ks. Stan. Warszewickiego jezuity, późniéj od mnóstwa otaczających go jezuitów, Skargi, Wysockiego, Herburta, Wujka, przyjął młody Zygmunt z dzieciństwa właściwe zakonowi temu prawidła. W dzieciństwie nauczył się wierzyć, że władza królewska żadnemi ustawy ograniczoną być nie może; że prócz jednego rzymskiego wyznania wszystkie inne wyznania były bezbożne; że w całém duchowieństwie jedni tylko jezuici godni byli ufnośc! i wiary. Niedziw więc, że z takiemi prawidłami przybyły do Polski młody książę, na samym wstępie niepodobał sobie Polaków, ani od nich polubionym został. Przyzwyczajonemu

księciu do posępnego uszanowania, niemiłą zdała się ta szlachetna swoboda w zdaniach, pismach, mowach nawet. Polacy nawykli do połączonéj z godnością przystępności Jagiełłów, uczuli się obrażonymi dumném Zygmunta milczeniem. Im bardziéj się młody król wpatrywał, im bardziéj rozciągłą władzę panujących w Szwecyi, pewność dziedzictwa berła porównywał z ograniczoną i dożywotnią tylko władzą królów polskich, tém bardziéj żądza do ojczystéj ziemi górowała w sercu jego. Ogromnośc, ludność, zamożność potężnéj na ówczas Polski, traciły z swéj ceny, gdy ich tylko docześnie i niezupełnie przychodziło używać. Ztąd w całém ciągu panowania swego patrzał Zygmunt na Szwecyą jak na dziedziczną własność, na Polskę jak na przemijającą dzierżawę. Wolność, z którą Zamojski, Zebrzydowski, i wielu z przedniéjszych odważało się mówić, przeniosły poufałość Zygmunta do tych cudzoziemców, którzy lepiéj pochlebiać i ulegać umieli. Podwójne z domem rakuskim zpowinowacenie, napływ z arcy-księżniczkami jezuitów, niemców, dam dworskich odosobniając króla od narodu, coraz bardziéj powiększały niechęć ku niemu.

W wyprawach moskiewskich popełnione błędy, zarówno na króla, jak i na zawiść między wodzami, niesforność, rozpustę w żołnierzu, na gorszącą obojętność i niechojność w podatkach składaćby można.

Ślepe oddanie się rakuskiemu domowi, uporczywe i niekorzystne z Szwedemi walki, tylokrotne odrzucania świetnego pokoju, nienagrodzona nigdy strata Inflant i portów nadmorskich, są winą Zygmunta samego. Jakoż, co było świetnego w tém panowaniu, nie Zygmuntowi, słuszniéj przypisać należy tym wielkim mężom, których Opatrzność w jednym czasie tak licznie Polsce nadając, zdaje się iż okazać chciała, czémby był kraj nasz, gdyby nad nim król dzielny umysłem i sercem panował. Pod nim świetne hetmanów naszych zwycięstwa, nie stałyby się jak pod Zygmuntem nieużytecznemi; pod nim wzgarda praw i majestatu, niesforność, gorszące związki wojskowych, rozprzężenie wszystkiego w ściślejsze karby ujęte, nieprzyniosłyby klęsk tylu. Lecz jeżeli ciężko zasmucające nas wykroczenia te, ciemną plamę na wiek ów rzucają, ileż uświetnia go czynów chlubnych i wielkich! Gdziekolwiek obrócił się oręż polski, wszędy zielone wawrzyny spadały na zbroczone żelazo onego. Czyjaż nie podniesie się dusza na widok Zamojskiego, wiodącego syna Cezarów w okowach, nadającego prowincye hołdowniczym koronie polskiéj książętom! Nic nigdy niezatrze pamięci przeważnych zwycięstw Klisowa, Kircholmu i Trzciany.

Ileż twierdz szturmem dobytych, ileż wytrzymanych okropnych oblężeń! Przeznaczyły losy (nam niestety przeciwne) żyjącym w czasach Zygmunta Polakom patrzyć na tryumfy Rzymianom tylko znajome: widzieć zwalczonych, pojmanych mocarzy, korzących się przed królem, senatem i ludem! Męstwem i wytrwałością zrównali się hetmani nasi starożytności wodzom.

Widziały cecorskie błonia siedmdziesięcioletniego starca, przekładającego śmierć nad więzy haniebne. Równy mu wiekiem i dziełami Chodkiewicz, omdlewający na siłach, trzema dniami przed śmiercią, rzucał się w nieprzeliczone Muzułmanów zastępy, a ostatni widok, co uderzył obumierające oczy jego, stawił mu pierzchające ich tłumy. Te to wspomnienia pocieszają zasępione późniejszemi nieszczęściami serca Polaków, i mówić każą: *Nos quoque floruimus!*

Większego geniuszu, tęższéj duszy potrzebował Zygmunt, by z znarowioną już szlachtą panować świetniéj i dzielniéj. Gdyby był atoli przy niedostatku tylu przymiotów, posiadał znajomość charakteru narodu naszego, nam wiele strat, sobie niemało poniżenia byłby oszczędził. Przy schyłku dopiero życia upamiętany Zygmunt w ślepym uporze odzyskania berła szwedzkiego, od zmiennych Szwedów do wiernych Polaków przeniósł serca swego życzliwość: wtenczas dobry naród dotknięty tym zwrotem przychylności, czule dzielący pana swego i straty domowe, i ciężkie dolegliwości, uraz dawnych zapomniał, okazał dowodami przywiązania i hojności, iż dobre ku niemu chęci nigdy straconemi nie są.

OSTATNIE LATA
panowania Zygmunta starego i Zygmunta Augusta

przez Joachima Lelewela. Warszawa 1821.

Rok 1548.

Strapiony pod koniec życia Zygmunt I. burzliwością gminnowładztwa szlacheckiego, miał przynajmniéj pociechę, że za długiego panowania swego sprawiał rzeczpospolitę, bez wewnętrznego krwi rozlewu, ochraniał ją nawet od ciężkich wojen postronnych, co wszystko srodze za jego żywota inne kraje trapiło. Francya przyszedłszy, do sił wewnetrznych przez rozszerzenie władzy królewskiéj, przez utrzymywanie znacznéj siły zbrojnéj zapoczęła od niejakiego czasu ubijać się o Neapol i do Medjolanu

swe prawo rozciągała. Wkroczył w te prawa Franciszek I., i po czterykroć odnawiał krwawe z Karólem V. zmaganie się. Politycy postrzegli w praktyce równowagę polityczną w téj czterokrotnéj walce, zbiegiem różnych pobudek podniecanéj; ujrzeli szlachetny ze strony Franciszka opór, ochraniający Europę od jarżma Habsburgskiego; walkę ciężką, w któréj Franciszek I. wszystką przemoc Karóla V. na sobie trzymał. Karól V. król Hiszpanii i Indyi zachodniéj, obojéj Sycylii, niższych Niemiec dziedzic, Sardynii pan, zostając cesarzem niemieckim, odzierżył wielką część Lombardyi; naczelnik książąt niemieckich, a brat jego Ferdynand arcyksiąże całéj Austryi, dopinając królestw Czeskiego i Węgierskiogo, rozpostarł szeroko w Europie władzę Habsburgskiego domu od krańców Portugalii do Włoch, a od połnocnego morza do brzegów Afryki, gdzie zdobycze Karóla V, orły niemieckie w Tunis zatykały. Tak ogromne ciało: różnorodne, morzami przerwane, wnet dało uczuć we Włoszech małym panom, że nie ich rzeczą jest, z nim się mierzyć. Włochy od niego ujarzmione. Części tego państwa, więcéj niż inne Europy strony, kwitnące i zamożne, lud w boju dotrwały i łupy z Ameryki na czas skarb zasilają. Od strony Polski spokojne, cierpiało i zapominało zmianę losu Prus i Krzyżaków. W ciągłym jednak ruchu: w jednéj stronie szeroko na lądzie i na morzu opierało się o potęgę Solimana II. w innéj, otaczało sprężystą Francyę. Gdziekolwiek Karóla V. umysł losami Europy zaprzątnął się, wszędzie z Franciszkiem lub Solimanem miał do czynienia. Franciszek stanął jak główny przedmiot równowagi. On sam jeden równoważący; albowiem: jeśli wzywał Baltyku, było to bezskutecznie; jeśli Anglii, to było niestałe; jeśli Włoch, w tych znikły środki szukane; jeśli Niemiec, w nich niedojrzałe; jeśli naostatek Solimana II., w nim, nie tyle wyszukany, co zwykły domu Habsburgskiego uciążliwy domownik znajdował się. Tak Soliman II. czy w przymierzach czy bez przymierzy w jednostajnym działaniu wspólniczył Franciszka krokom. Długi czas, prawie nieprzerwanie ucierając się oba z Karólem V. odwlekli ciosy na drobniejszych książąt wymierzone. — Zaburzone religijnym niepokojem Niemcy napełniały się tym czasem wojennemi poróżnieniami. Potępienie z woli cesarza, od wielu książąt osłanianego Lutra, groziło wielkiéj części Niemiec pomstą papiezką i cesarską, tyle odwlekaną, ile stawało przeszkód od Francyi; ile groza Turcyi radziła Karólowi wielkie zamiary do czasu odkładać a wzywać zlutrzałych książąt do silnego odporu moszlema. Wywdzięczali się za samą odwłokę książęta protestanccy, tak od swych protestacyi (r. 1529) nazwani. We wzrasta-

jących atoli podejrzeniach: to w przymierzach, to w Smalkaldzkim związku (r. 1530) wzmocnienia słabych sił swoich szukali. Palił ludzi ich wyznania, jako kacerzy, król Franciszek, ale z nimi szukał przyjaźni; a następca jego, tegoż kacerstwa prześladowca, głosił się opiekunem wolności niemieckiéj. Cóżkolwiekbądź, nadszedł czas, gdy Karól V. cesarz i różnych królestw król związał się z Rzymem, na wytępienie kacerstwa, kiedy w Niemczech samych, milczeniem pokrywając podwójne zamiary, ścigał orężnie niektórych książąt rzeszy, tych którzy bezprawia popełniali i konstytucyę przestąpili. Zwycięstwo i złamane przyrzeczenia, podały w więzy cesarskie naczelników związku Smalkaldzkiego i luteranizmu. W téj chwili, tak sąsiedzkie spokojnéj Polski ludy przerażażającéj, w Czechach, gdy już od niejakiego czasu Ferdynand ich król, pierwszy z narodem zaprzysiężone pakta zerwał, strwożyli się Czesi o całość swych swobód i narodowość, i dotknął ich pierwszy cios uszczerbku praw. Sejm krwawy w Pradze (r. 1557) ogłosił wyroki króla zwycięscy; publiczne smaganie wbijało w pamięć poniżonych Czechów, że tron Habsburgski jest dziedziczny: miasta rozbrojone i więzy nad nimi rozpięte. W Niemczech zaś Karól V. na szczycie wielkości r. 1548 traktuje swobody Rzeszy, rozkazuje sumieniom, im wiarę przepisuje, a pomyślnością opojnoy, mściwe opłaty wybiera, miasta obala, zawczasu wszelkim dowolnictwem gniecie. W tym: niewiara, zdrady, niewdzięczność, stanęły w zapasy z gwałtownością i wykroczeniami zwycięscy; z cicha nasadziły raz ostry na wytężoną Karóla wyniosłość. Runęła niespodzianie pod obrótnością Maurycego nowego elektora Saskiego cała wielkość Karóla. Niemcy, wolność odzyskały: a Karól widząc skruszoną nadzieję, widząc dzielącą się jedność Habsburgskiego domu, niezdolny zapewnić synowi cesarskiéj korony, zmierził sobie własne trony, ustąpił z nich synowi i bratu, którzy z następcami w różnym sposobie w wielkiéj części Europy, dźwigali ciężkie berło, ucążliwe umysłom i poniżonéj ludzkości. Niedożył końca Karóla V. Zygmunt, ale był jeszcze świadkiem bez przerwy rosnącéj jego znikoméj wielkości i wespół z innymi wielkimi ludźmi trony sprawującymi razem temu wiekowi przyświecał. Henryk VIII. przy niemałych usposobieniach osobistych i szczęśliwym położeniu większą część życia na małżeńskich, miłosnych i rozwodowych sprawach, a na teologicznych zatargach strawił; w kapryśnéj mieszaninie działania swego, rozpuścił cugle gorzkiemu humorowi; dziki despota upadlał swém dzielném skinieniem publizne narodu obrady. Soliman II. właśnie wspaniałomyślny despota: do zwycięstw Bóg go

powołał, z szablą w ręku wśród zwycięstw, folguje zwyciężonym, których jak bezbożników za łatwe ofiary poczytuje; lecz umie szczerośc wzajemnością wypłacać: drżéć rozkazuje Węgrom, zapewnia Polsce spokojność. W upartych między sobą walkach, Franciszek z Karólem zatrzęśli Europą, a w ich zajściach: szczerość, zamięszała obłuda i oszukanie; przyjazne pojednanie, gniewne uniesienia; obok prędkiego puszczenia w niepamięć najdolegliwszych obraz i zniewag prędsze pojątrzenie; przy najzacniejszem zaufaniu, najwyszukańsze wykręty; kroki naostatek odrażające i śmieszne. Podrażniła ich emulacya i podburzyła namiętności; cierpkość wieku, wywiodła przed oblicze świata pojedynki i pozwy; niemiała wstrętu od upadlającego wzajem traktowania się; zwichnięte wyobrażenia o prawości szukały wybiegów i rozgrzeszeń; wreszcie, kształcąca dyplomatów gabinetowych włoska niemoralność i polityka, niewzdrygała się zbrodniczych zarzutów i postępków. Franciszek łącząc w sobie wszystkie swego narodu usposobienia, ich płomień, w mgnieniu oka łatwo płonący, do sławy i rycerstwa zapalony, pędził się za swem imieniem. Żacny i uczciwy, niezdolny przez się dopuścić się podłości ani o nią posądzać, podobał się narodowi swemu z serca i duszy. Uniesiony za obecną chwilą i powabnemi poradami uwodzony, działania swe płochością a często brakiem roztropności naznaczył. Karól V. doświadczeniem poduczony, ilu narodów był władzcą, tylu charaktery, zdawało się, w jednym sobie wykształcił. Raczéj ciszą i pogodnem uczuciem przejęty, niż wesołością zachwycany, na uniesienia czułości oziębły, szukał środków skutecznych, patrzał jedynie na powodzenie w którémby duma i wyniosłość, wypocząć mogły, a chciwość władania nasyconą została. Zastanowił on a często zadziwił narody swoim umysłem i głową. Niczém niezachwiany przy miernych, ale do rzadkiéj dojrzałości rozwiniętych talentach, niepowierzał się; od zapędów wolny, od wpływu obcego bezpieczny, długo przetrawiał cząstki, obejmował całość, kojarzył przyszłość z przeszłością, nim uknute zamysły, z dyssymulacyą i ubliżeniem prawości, do ostatka z energią coraz więcéj natężonym popierał krokiem. Wzajemne wysilenie się, Franciszka i Karola, dało się ich narodom uczuć. Franciszek jedynie spójnością łatwo wymierzonych środków mocny, dał odpór i ocalał. Karólowi V. rozmaitsze, nie tak łatwo obliczone i wyczerpane, a daleko większe los udzielił: odpierał on jednego nieprzyjaciela, wstrzymywał we wskazanych obrębach drugiego; wielu mniejszych i ludy pognębił; wreszcie, sprawa religii, po raz pierwszy w polityce, sprężystości dodała. Wzywali oba sporni mocarze królów Europy

do walki, wzywali i Zygmunta polskiego: lecz Zygmunt przemawiał głosem jednawczym i pokoju. W cichéj ustroni, utrzymywał się zdala od burzliwości Europy i zalety swego narodu w wysokiéj dojrzałości w sobie ukazał. Brak w nim zupełny zapędów Franciszka, przebiegłości Karóla, ale spokojna dusza, nieznała ni chciwości ni zazdrości; panuje wszelkiem poruszeniom. Serce proste i otwarte, zdolne jednać nieograniczone zaufanie, łatwe do złudzenia i uwiedzenia, gdyby go zdrowa rozwaga od uchybień nieochraniała. Niebrakło mu męstwa chociaż miłość pokoju do nieczynności przywodziła. Ztąd Zygmunt, łatwo przyzwalający, powolny aż do opieszałości, łagodny aż do pobłażania. Moskwa, Prusy, Turcya, Węgry i Austrya, różnemi sposobami doświadczyły tych usposobień jego, niekiedy do słabości i cierpliwego krzywdy znoszenia pomknionych. Lecz każdy krok jego, wolny od ostrości wieku, wolny od dzikich uprzedzeń, tchnął majestatyczną powagą i godnością: nigdzie z zacnéj drogi swéj nieschodził, nieskaził się dziwacznemi lub poniżającemi się kroki, jakożkolwiek, zpomiędzy królów Europy, najmniéj na tronie władzy mając, w bezwładnym stanie swoim, do niedołężnych wyskoków najwięcéj pochopu. Zapewnił na długie lata pokój narodowi, zjednał sobie wszystkich dworów przyjaźń i wysokie poważanie. W tymże czasie, gdy pierwszy on luterskiego książecia stanowi, odbierał błogosławieństwa Rzymu, kiedy z Solimanem II. stałe przymierza kojarzy, wówczas dochowywa przyjaźń domowi Habsburgskiemu. Bez wielkich przedsięwzięć, bez wielkich wypadków, bez rażącego blasku, w mierności swojéj jak niczem nieprzyćmione światło równą jasnością łagodnie działa, przejmuje uczuciem ciszy, uprzejmie pociesza i spokojną roskosz wznieca. Dał Zygmunt czas do rozwinięcia się talentów i usposabiania do przyszłego znaczenia. Trzeba było jego powolności, jego łagodności i baczności, by kierować i unosić, z cicha niebezpiecznie poruszonym statkiem. W tym niespodziany zawrót, poruszył bałwany: niknął wzgląd dla dostojnego dobroczyńcy ludzkości, dla prawdziwego ojca ojczyzny i dotknął go w chylącym się do grobu wieku, dolegliwem zatrudnieniem, może już zbyt ciężkiém na zwątlałe barki. Przy czerstwości jednak umysłu, przebywszy lat ośmdziesiąt, jeszcze na łożu śmiertelném, starzec sprawy narodu czynnie odbywał, a czterdziestoletnie dostojeństwo, aby się dorwać większego w rządach królestwa wpływu, z innemi wielu, odjąć zamierzali: biskup Maciejowski i hetman Tarnowski.

DZIEJE W KORONIE POLSKIÉJ
od 1538—1573.

przez Łukasza Górnickiego. Warszawa 1829.

Nie surowy regiment[1]), a przystojna panowania miara, króla Zygmunta pierwszego, mądrość, stateczność, szczęście, wielkość zwycięstw nad nieprzyjacioły, i insze jego wielkie a prawie królewskie cnoty to sprawiły, iż synowi swemu Zygmuntowi Augustowi, spokojne królestwo, a w nieprzyjaciołach téj korony, strach wielki zostawił; rozdzieliwszy się z tym światem dnia wielkanocnego przed wielką mszą, *roku 1548.* Na ten czas ksiądz *Samuel Maciejowski* biskup krakowski i kanclerz koronny, przy skonaniu z królową Boną i z królewnami będąc, zaraz komornika, o śmierci królewskiéj znać dając, do króla Zygmunta Augusta, który na ten czas był w Wilnie, wyprawił. Tegoż dnia do tegoż pana z ostatniejszą sprawą[2]), księdza *Przerębskiego*, proboszcza krakowskiego (który potém podkanclerzem bywszy, i biskupem chełmieńskim, na arcybiskupstwo gnieźnieńskie wstąpił, i na nim dokonał żywota), posłał, napominając króla, żeby się z przyjechaniem swym do Krakowa pospieszył. Po przyjechaniu księdza Przerębskiego, jako się w niektórych rzeczach z strony królowéj Barbary postąpiło, niżéj będzie. Tu król August zaraz się począł gotować, posławszy pierwéj przed sobą *Jana Radziwiłła* podczaszego wielkiego księstwa litewskiego, do królowéj matki swéj, który szerokiemi słowy imieniem króla pana swego królową ciesząc, o powolności i miłości synowskiéj przeciwko matce wiele a gruntownie obiecując, ujął nie mało smutku pani strapionéj. Rychło potém król sam do Krakowa przyjechał, a zwoławszy senatorów do siebie celniejszych, posły do postronnych panów, i czas pogrzebu nazajutrz po świętym Jakubie naznaczył. Miał król Zygmunt od cesarza Karla[3]) Velus aureum[4]) dawno sobie na znak braterstwa posłane: które iż po śmierci tego który je miał, do podskarbiego tego bractwa, abo do starszego brata odesłać była powinność: pana *Stanisława Ostroroga*, który kasztelanem międzyrzeckim umarł z tym do cesarza Karla, a do Węgier do siostry królowéj węgierskiéj Izabelli, księdza Filipa Padniowskiego sekretarza (który potém pieczęć mniejszą puściwszy, biskupem krakowskim umarł) z poselstwem pełnym miłości, i do

[1]) Rząd. [2]) Z dokładniejszą wiadomością. [3]) Karól V. [4]) Order złotego runa.

inszych panów chrześciańskich na pogrzeb prosząc, posłał. Przyjechał był prawie tych dni, gdy król Zygmunt umrzeć miał, Stanisław Łaski, wojewoda sieracki, z sejmu rzeskiego od cesarza Karla, na którym sejmie iż się upominał pruskiéj ziemie *Dayer Michel*[1]) i o Łaskiego to się oprzeć musiało, jako posła od króla polskiego: po niektórych traktaciech, dał się do tego przywieść Łaski, iż zezwolił na kompromis o ziemię pruską; w którym kompromisie, król rzymski Ferdynand, brat Karolusów, był naznaczony superarbitrem. Ten kompromis na piśmie przyniósł z sobą, którym ja w ręku miał, i czytał służąc księdzu Maciejowskiemu. Co król i senatorowie obaczywszy, i widząc wielkie w tym niebezpieczeństwo, a zwłaszcza, iż za dawnych czasów te kompromisy dały się znać koronie polskiéj: zdało się królowi i senatorom, kogo znowu posłać, żeby ten kompromis skażon być mógł[2]). Jakoż zgodzili się wszyscy na księdza Hozyusza, biskupa chełmińskiego, ktory potém kardynałem umarł, jako tego, który pruskich rzeczy był dobrze wiadomy. Tego wyprawiono znowu, i czas niemały tam strawiwszy, do tego wżdy rzeczy przywiódł, iż on kompromis szyję złamał. Co iż się wszystko działo za mych dorosłych lat, i bycia mego u dworu, wspomnę i to, co się za lat mych pacholęcych toczyło, a dziękuję Panu Bogu, jako za wszystkie insze wielkie łaski, tak i za tę, że mi się dał urodzić za panowania króla Zygmunta pierwszego: którego żywot, iż wypisany dostatecznie nie jest, od tych którzy od niego dobrodziejstwa odnieśli, jest czego zaprawdę żałować, i na te niewdzięczniki w sercu gniew sprawiedliwy ponosić. Idę tedy do tego czasu gdy mię na naukę do Krakowa dano, co było roku 1538, we trzech lat po starodubskiéj, a w rok po kokoszéj wojnie. Wtenczas król Zygmunt August, (którego natenczas królewiczem zwać będę, chociaż już był koronowanym królem) wyprawował się do Wołoch. A z królewiczem jechał Jan z Tarnowa kasztelan krakowski, hetman koronny, i Andrzej z Górki kasztelan poznański, a Generał wielkopolski. Wyjechał królewicz z Krakowa ku końcu miesiąca Sierpnia, a z nim król stary i królowa. Pierwszy nocleg był w Wieliczcze, wtory w Bochni, gdzie się syn z rodzicami pożegnał. W drodze téj do Wołoch, pamiętając ci dwa senatorowie kogo im w opiekę poruczono, mieli do *tego* królewicza[3]), żeby o wszystkim w ciągnieniu wiedział, sprawy i postępki wszystkie rycerskie miał przed oczyma, a bez wiadomości jego, żeby się nic nie działo.

---

[1]) Mistrz Krzyżaków w Niemczech. — [2]) Zniweczony być mógł. — [3]) Skłaniali ku temu królewicza.

Zaczym musiał się ledwie nie każdego dnia nie mały czas trawić, jako na sądziech, tak zasię, gdy albo takie, albo owakie sprawy następowały, że i do utęsknienia królewiczowi przychodziło i do utyskiwania na niedobre zdrowie. Co komorni jego widząc, dali znać królowéj, że panowie senatorowie małe baczenie mają na lata młode, i słabe królewicza zdrowie, zamykając się z nim po kilka godzin zawzdy i w ustawicznéj pracy go mając, zaczym do niedobrego zdrowia już przychodzi. Co gdy królową doszło, jęła narzekać, lamentować, ganić to, że król od siebie, syna jedynego mając, w tak daleką i niebezpieczną drogę posłał. Owa tak długo było tych lamentów, tych próźb, iż król stary zwyciężony temi rzeczami, kazał się królewiczowi wrócić, i wrócił się z Glinian. Bardzo ganili ludzie to wrócenie królewiczowe, i byli ci którzy mówili, a mianowicie Raczkowski rotmistrz, że ten pan, prawi, gdyż teraz za lat swych młodych strzelby nie słyszał, ludziom się w ordynku nie przypatrzył[1]), szyku bitwy nie widział, już ten pan walecznym nigdy nie będzie.

Rok 1544.

Z Warszawy król z królową Boną, i z królową młodą jechał do Brześcia na sejm litewski, na który przyjechał téż król August z Wilna, i stał w dworze biskupa łuckiego za Muchawcem, bo na zamku dla niego stanie być nie mogło. Tam była rada o wielu rzeczach, lecz ta była najgłówniejsza, jeśli król stary miał puścić księstwo litewskie synowi, czy po staremu sam oboje dzierzeć, a syna i z żoną jego mieć przy sobie. Było nieco panów, którzy nie radzili tego dzielić. Tegoż zdania była i królowa Bona; lecz większa częśc senatorów, łapując łaski u pana młodego, przemogła, iż król puścił synowi księstwo litewskie, zostawiwszy sobie tylko ten tytuł: Supremus Dux Lithvaniae[2]). Nie wszyscy to królowi staremu chwalili, i było co mówić, na obie strony. Jakoż czas to pokazał potém, byłoli to dobrze, albo źle. Jechał tedy z Brześcia król młody, i z żoną, na księstwo litewskie do Wilna, a król stary z królową do Krakowa, gdzie mieszkając, sejm roku 1545 złożył, na którym okrom czopowego z miast królewskich i duchownych, na żołnierza pogranicznego, nic się nie postanowiło. Tu w tym czasie przyjeżdżali do króla z Litwy, jako senatorowie, tak dworzanie, i insi rozmaici ludzie, i powiadali o sprawach, dzielnościach, pracach, sądach króla młodego, chwaląc przed królem, i do nieba wynosząc mądrość, i czu-

[1]) Porządku wojskowym. [2]) Najwyższy książe litewski.

łość jego; rzekł król: zostawcie téż co ganić, mili panowie. Jakoż tak było, że król August urzędowi swemu pańskiemu czynił dosyć, ale Pan Bóg onéj cnotliwéj a świętéj królowéj Elżbiety, żony jego długo na świecie mieć nie chciał; umarła w Wilnie tegoż roku i tam pochowana. Żył potém król August w Litwie bez żony, nieco odmieniwszy obyczajów. A król stary, to takie, to owakie o synu miewał wieści. Nastąpił zaś rok 1546, którego do Turek Stanisława Broniowskiego dworzanina posłano, i po nim Mikołaja Cikowskiego. Tegoż roku Carolus cesarz na niemieckie książęta lud cicho zbierać począł: a Polska nasza tymczasem w pokoju stała, i nie było potrzeby sejmu składać, aż w rok 1547 którego roku ono zebranie ludzi od Karolusa cesarza do skutku przyszło bitwą, w któréj Fryderyk kurfirst Saski[1]) był poimany. Lecz ja do sejmu naszego idę, na który król jechał z królową Boną do Piotrkowa, gdzie téż był na ten czas z Litwy przyjechał król August. A iż było sławę puszczono o nim, żeby miał pojąć żonę z domu panów Radziwiłłów, Barbarę, która przedtém była za Stanisławem Gasztoltem, kasztelanem trockim, przeto król stary osobno na pokoju pytał o to syna, i żeby mu powiedział prawdę. Tam jako odpowiedział ojcu, nikt tego nie wie; lecz tak rozumieli ludzie, że się nie przyznał: albowiem po starcu nie znać było frasunku żadnego, który podobnoby się był pokazał, gdyby się był syn przyznał, a najbardziéj z téj miary, iż bez woli i rady jego do tego małżeństwa przystąpił. Na tym sejmie (który nie bardzo był ludziom ku myśli, iż królowa Bona za starością i niedobrem zdrowiem królewskim brała na się rządy), byli ci którzy radzili, iżby król stary regiment synowi spuścił, i zażył téj pociechy, patrząc na porządne a świętobliwe panowanie syna swego; jakoż nie bardzo się tego zbraniał król stary. Lecz królowa Bona coś inszego, a podobno swego upatrując, prosiła, żeby król nie kazał o tym przed sobą wzmianki czynić. Gdy się tedy co inszego, jako być mogło, na tym sejmie postanowiło, i skończyło: a trwał sejm czas nie mały, iż i w rok 1548 wstąpił, król młody do Litwy się wrócił, a król stary z Piotrkowa do Krakowa jechał bardzo chory.

Nie długo po przyjechaniu do Krakowa, gdy i lata dojrzałe ujmowały sił przyrodnich, i choroba co daléj, to się bardziéj szerzyła, dnia wielkanocnego przed wielką mszą (jakom to na początku tego pisania mego wspomniał), słuchając mądrego napominania spowiednika swego, księdza Wita, zakonnika od ś. Trójcy, oddał Panu Bogu ducha swego,

---

[1]) Elektor saski.

przy bytności królowéj i królewien, i księdza Maciejowskiego, biskupa krakowskiego, który jako, i przez kogo królowi do Litwy dał znać, i w inszych rzeczach jako się postąpiło w sprawach R. P. już się to wyżéj napisało.

Idę do pogrzebu tego wielkiego króla, który się odprawować począł, nazajutrz po świętym Jakubie, z wielką pompą, to jest we Czwartek 26 Julii. Byli posłowie wielcy od cesarza Karolusa, Ferdynanda króla rzymskiego, elektorów, książąt czeskich i włoskich, od królowéj węgierskiéj, od Wenetów, i od innych wielkich książąt; a margrabiowie brandenburscy sami osobami swemi byli. Panowie téż koronni stawili się mało nie wszyscy. Dawano wszystkim cudzoziemcom dostatki wielkie[1]) tak iż przedtym żadnego polskiego króla, z większą pompą, z większemi ceremoniami, z większemi dostatki nie grzebiono. Kazanie na mszy wielkiéj po łacinie uczynił ksiądz Maciejowski biskup krakowski, którym tak wzruszył ludzie, iż i ci którzy nie do końca rozumieli[2]) języka łacińskiego, musieli płakać. Po pogrzebie (który trwał trzy dni, z odprawowaniem processyi) po odprawie posłów cudzoziemskich, i po odprawie dworu, zdało się tak ludziom, iż królowa Bona radaby była mieszkała przy synie; lecz nie wiem z któréj przyczyny poczęła być jakaś niesnaska między niemi. Zaczym królowa jęła się gotować w Mazowsze, żeby na oprawie swéj usiadła[3]). Ochmistrzem u niéj był[4]) Jan Ocieski, który potém po śmierci Grabi podkanclerzego, był podkanclerzem, i po śmierci księdza Maciejowskiego kanclerzem koronnym. O czym niżéj się powie. Nie długo po pogrzebie, król pan nowy w Piotrkowie sejm złożył tegoż roku, na który zjechawszy się panowie koronni i posłowie, iż nie tajemne było małżeństwo królewskie, (bo na on czas jeszcze, po przyjechaniu do Wilna księdza Przerębskiego, po śmierci króla starego, królowa na zamek wzięta i urzędnicy byli jéj oddani) najprzód o ożenieniu tym mówić, porozumiewać się senatorowie społy poczęli, zgodnie to chcąc mieć, żeby król rozwiódł się z żoną. A gdy widzieli posłowie za pierwszą proźbą stateczny umysł królewski, że przysięgi łamać żonie niechciał: powtóre rozkazali, żeby Piotr Boratyński uczynił do króla nową prośbę.

A tu dopiero król sam temi krótkiemi słowy rzecz tę

---

[1]) Wygody wszelkie. [2]) Nie zupełnie. [3]) Oprawa, czyli reformacya, fundusz dożywotni od męża dany żonie, w miarę jéj posagu, Czacki o prawach T. 2 s. 7 tu więc znaczy: osiadła w dobrach puszczonych jéj w oprawie. [4]) Marszałkiem dworu.

skończył. „Co się stało, odstać się nie może: a *wam* przystało nie o to mię prosić, iżbym żonie wiarę złamał, lecz o to iżbym ją każdemu człowiekowi na świecie dochował. Przysiągłem żonie, téj nie odstąpię póki mię Pan Bóg na świecie zachowa: a milsza mi jest wiara moja, niż wszystkie na świecie królestwa.“

Zatém król do sądów przystąpił: i sądził kto się wdał w sądy. Zaś posłowie znowu przyszli, prosząc króla żeby zaniechał sądów. Na co ksiądz Maciejowski od króla odpowiedział, że król powinności swéj królewskiéj chce czynić dosyć, a proźbie panów posłów w téj mierze dogodzić nie może. Zatym rozjechała się większa część senatorów, i posłowie; a król osądziwszy nieco akcyi[1]) z temi co zostali senatorami, uniwersały po koronie rozesławszy (w których obciążał sobie na posły, iż sejm rozerwali, a do tego co był król uczynić gotów, potwierdzenie praw[2]), podług obietnicy dawnéj swojéj przyjąć nie chcieli) ruszył się z Piotrkowa do Krakowa, i tam mieszkał przez rok 1549.

Zaczém przyszło potém do koronacyi królowéj Barbary. Koronował ją ksiądz arcybiskup Dzierzgowski chorą, i taż choroba potém żywot jéj odjęła. Przy któréj koronacyi był ksiądz Zebrzydowski kujawski biskup, i insi biskupi, i senatorowie, jako się wspomniało wyżéj; a po koronacyi odprawił się hołd książąt lennych. A iż o sobie czuł[3]) ksiądz biskup kujawski, Zebrzydowski, pzez wojewodę wileńskiego, a Trzebuchowskiego czyniąc staranie: przeto tamże w Krakowie dano mu biskupstwo krakowskie. Biskupstwa zasię tak insze poszły: Drohojowskiemu kujawskie, a chełmskie którym był Drohojowski, Jakubowi Uchańskiemu referendarzowi dano, a ksiądz Podlodowski na plebanii przestać musiał, nie złéj wprawdzie, lecz fortuny w rzeczach swych tym sroższéj doznał, im go była obietnicą swą wyżéj podniesła: dano mu potém i referendaryą po księdzu Uchańskim.

Nastąpił rok 1551, którego królowa Barbara umarła, z wielkim królewskim żalem. Ciało król do Wilna prowadził, mając z sobą dwór osobliwych ludzi, i sekretarzów duchownych godnych niemało, między któremi był ksiądz Jan Przerębski. Tamże król z wielką uczciwością, królowę na zamku, gdzie i pierwszą żonę, pochował. Tego roku był głód wielki, i siła ludzi od głodu pomarło. Rychło po pogrzebie król w Wilnie sejm litewski złożył. A w Polsce Synod był w Piotrkowie, z którego puszczona jest na świat Con-

---

[1]) Spraw. [2]) Swobód. [3]) Dbał o siebie, czynił staranie.

fessio[1]) księdza Hozyusza, który potém kardynałem w Rzymie umarł. Tego téż roku Andrzej z Górki kasztelan poznański, a generał wielkopolski, umarł; po nim kasztelanią dał król Piotrowi Czarnkowskiemu, a generalstwo Janowi Kościelskiemu. Na tenże czas téż Andrzéj Zebrzydowski, zabiegając iżby katolicka religija wątlona nie była, słysząc o Krupce Przecławskim, iż sobie Marcina Lutra heretyka naukę upodobał, i jawnie dobrą ją być wyznawał, pozwał go przed się. Sąd był w Krakowie w biskupim dworze. Z tym Krupką niemało przyjechało było ludzi: między którem był Marcin Zborowski, kasztelan kaliski, z wielką gromadą przyjaciół swoich, a stał w dworze swym przeciwko dworowi biskupiemu. A iż ze wszystkim hurmem do dworu biskupiego przyjść chciał, biskup obawiając się takiego rozruchu, kazał wrota wielkie zamknąć, a za wroty przeciwko ulicy kilka działek zatoczyć; jednak fórtka była wolna. Zaczym kasztelan kaliski posłał do biskupa z niejakim uskarzaniem, iż przed nim, i przyjacioły jego wrota zawarto, i działa zatoczono: wywodząc to, iż sąd każdy nie w zawarciu, ale jaśnie, jawnie, przy bytności jako najwięcéj ludzi może być, być ma. Jakoż gdzieby wrota nie były otwarte, że on fórtką, jako dziurą, i z przyjacioły swemi do tego sądu przyjśćby nie chciał; ale i Przecławski nie byłby winien, aniby przeciwko niemu dekret stać się mógł, gdzieby do takiego sądu zawartego stanął. Na to poselstwo biskup wskazał, iż przez sługi swoje da odpowiedź: i wnet potém posłał kilku sług swoich, między którem byłem i ja, służąc na onczas po śmierci księdza Maciejowskiego temu biskupowi, do pana Kaliskiego, umawiając się, iż te wrota zawarto nie przed kasztelanem kaliskim, radą pańską, ale przed pospolstwem, żeby to, jako nieunoszone, rozruchu jakiego nie uczyniło u sądu; a co się dział tyczy, te zdawna tak są zatoczone, i zawżdy potém tak je każdy zatoczone znajdzie, które jednak tak zatoczone nikomu nie szkodzą. A przecie sąd ten w zawarciu nie jest, ani dwór zamkniony; są dosyć przestronne insze miejsca, którem do dworu nie jedno wchód ale i wjazd jest. Owa po posyłaniu z obu stron raz i drugi, iż ksiądz biskup wrót otworzyć nie kazał, kasztelan z przyjacioły swemi nie przyszedł; tylko Krupka z kilką osób stanął. A będąc na sądzie pytany z strony wiary, powiedział, iż podług ewangielii świętéj a szczerego słowa Bożego wierzy, a wyznawa głowę kościoła Bożego Pana Chrystusa. Wszakoż jeśli mię, prawi, kto lepiéj nauczy, upornym nie będę. Powiedziano mu od biskupa, że z tych słów znać,ześ jest przeciwny kościołowi;

[1]) Książka pod tym tytułem czyli wyznanie wiary.

którego acz jest Pan Chrystus głową, jednak widomą głowę tu na ziemi chce mieć, i ma namiestnika swego, ojca świętego, papieża, który uznawa między trądem, a nie trądem. Przeto ta rzecz odwłoczóna być nie może; musisz jaśnie powiedzieć, jeśliś jest, i być chcesz, katolikiem prawdziwym, nie słuchając ani u siebie mając inszych księży, jedno te którzy od biskupów swoich przystojnie są poświęceni, i trwają w starożytnéj katolickiéj wierze, wyznawając głową, a Chrystusowym namiestnikiem w Rzymie, ojca świętego papieża. Czyli masz jaką inszą cudzoziemską religią? Tu Krupka rozmaitych wymówek używając, i układnie mówiąc do biskupa, radby był zniknął od sądu tego, dobrym sposobem; wszakoż gdy docierano nań, nie mogło być inaczéj, jedno się przyznać, że nie tak wierzy, jako księża mówią. Biskup zatém uczynił rzecz do niego: że się zawiedzie bardzo ten każdy, kto kościoła nie słuchając, udaje się za nowemi proroki, i woli jednemu człowiekowi wierzyć, niż zgromadzeniu wszystkiego świata. Przeto aby się radniéj wrócił do religii przodków swoich, niżeli żeby miał za uporem swoim, i majętność stracić, i coś droższego niż wszystkie majętności. Jakoż gdzieby nadzieja pewna była o jego nawróceniu, łatwiéjby się dekret odłożyć mógł. Te słowa biskupie nietylko nie pochamowały Przecławskiego, ale go zagrzały bardziej, że na nie taką dał odpowiedź: iż od téj religii którą wziął przed się, żadna go rzecz na świecie, by najsroższa, nieodstraszy. Przy tym sądzie byli kanonicy krakowscy i kollegiaci, którzy wszyscy gdy się zgadzali na jednę sentencyą, iż Krupka jest heretykiem znacznym, biskup pro tribunali[1]) siedząc, a uczyniwszy umowę[2]), iż pomniejszy Bogu jest, niż ludziom, pronuncyował[3]) Krupkę być heretykiem, i odesłał go do urzędu świeckiego, iżby na nim prawo pospolite, na heretyki postanowione, było wykonane. Przy tym wszystkim ja byłem: i jako po mnie, było nieco godnych ludzi, okrom osób duchownych, którzy nie bardzo to chwalili księdzu biskupowi, że taki uczynił dekret, wątpiąc żeby miał mieć swój skutek: a kładąc sobie przed oczy księdza Maciejowskiego który i biskupem krakowskim, i pieczętarzem, i w łasce u króla będąc, jednak takiego dekretu przeciwko onym, które był przed się pozwał o wiarę, uczynić nie śmiał, widząc że rzeczy tych dopiąć trudno było. Po tym dekrecie, kasztelan kaliski objechał celniejsze senatory w Polsce: jako kasztelana krakowskiego, Kmitę Sobieńskiego, wojewodę kra-

[1]) Na sądach. [2]) Wspomniawszy, iż więcéj względu mieć powinien na Boga, niżeli na ludzi, więcéj pamiętać o Bogu. [3]) Ogłosił.

kowskiego, i siła inszych wojewód, i kasztelanów. Także przyjaciele insi jego, po różnych miejscach się rozjechali, sławiąc biskupa o tak ostry dekret: i ukazując jako rzecz niebezpieczna jest wolnościom szlacheckim, żeby księża podczciwych ludzi (gdyż każdy heretyk infamis), czci odsądzać mieli. Owa po tym obostrzeniu ludzi wielkich i małych przeciwko biskupowi, roku 1552 sejm jest złożon: a miejsce sejmu w Piotrkowie, na który król z Litwy przyjechał w wielkiéj poczcie ludzi osobliwych. Tam po propozycyi nioczym posłowie mówić nie chcieli, ażby dekret biskupa krakowskiego podniesion[1]) był: czego posłom celniejsi senatorowie pomagali. Bywało mowy dosyć w radzie, to od biskupów, to od senatorów świeckich, przecz nie przystoi praw dawnych burzyć: ukazowali biskupi, iż żadna insza rzecz rychléj nie wywróci każdego państwa, każdego królestwa, jako różność w chwaleniu Boga. Drudzy zaś przyznali to, iż odmiana wiary, odmianę państw czyni: jednak żeby to w mocy księży być miało, czynić *infamem* kogo chcą, Boże tego uchowaj! Po długim tedy rozbieraniu tych rzeczy; król uczynił dekret: Iż z strony religii, nikomu inszemu uznanie nie należy, kto dobrze albo źle wierzy, jedno biskupom; lecz około poczciwości nie onych to sąd. Tym dekretem stan duchowny tak był obrażon, iż uczyniwszy protestacyą, że się gwałt dzieje ich prawom, kilka dni do rady nie chodzili. I od tych czasów, nietylko sąd z strony wiary biskupiéj ustał, ale i listów onych do starostw wydawać z kancelaryi przestano, żeby się wwięzowali[2]) imiona tych szlachciców, którzy klątew przez rok i sześć niedziel nie znieśli z siebie. A za tym zepsowaniem jurysdykcyi księżéj, do tego przyszło, iż *impune*[3]) teraz bracia, siostry, synowcy, stryje, i insze powinne powinni pojmują: są i ci co po dwóch żon mają: są i ci którzy z cudzemi żonami ślub biorą, i mieszkają. Co jeśli dobrze, czas to pokaże.

Potém we Gdańsku dowiedziawszy się książę pruskie, iż król przez Żmudź do Litwy jechać chce: prosił króla do siebie do Królewca, i po prożbie rychło ze Gdańska sam wyjechał, także i książę pomorskie. Więcéj we Gdańsku nic się nie sprawiło, okrom tego, że tam Brodnicę król dał na wieczność Działyńskiemu, która to Brodnica to sprawiła, iż eksekucya[4]) za czasem doszła. Ruszył się król ze Gdańska ku końcu Septembra, i przyjechał do Królewca, gdzie cały tydzień mieszkał: a książę pruskie podejmował dwór wszy-

---

[1]) Usunięty. [2]) Obejmowali. [3]) Bezkarnie. [4]) Odejmowanie posiadaczowi dóbr korony nieprawnie rozdanych.

stek, i tak hojnie, iż co jedno kto zamyślił wszystkiego dawano. Byli ci którzy na pany swe obroki brali, a panów u dworu nie było: co acz książę wiedział, jednak dawać kazał. Jednego dnia trafiło się, iż książę chciał królowi ukazać owce swoje, i jako owczarze płoty owcze z miejsca na miejsce dla pastwy owcom przenoszą. Wyjechał król w pole z książęciem dla tego, a iżby książę tym większą wdzięczność królowi pokazał, rozkazał w pole wywieść strzelbę ognistą. Tam gdy już król i owce, i płoty i insze gospodarstwo książęce oglądał, i ku miastu jechać miał: kazało książę ogniste kule z moździerzów wypuszczać; Puszkarz zapalił raz, i drugi, zkąd ogień do cyntlochu dojść miał. Nie doszedł ogień, raz i drugi; posłało zatém książę do puszkarza z gniewem, że tak nierządnie tę strzelbę nagotował, a iż go o to karać chciał. Puszkarz strwożony, iżby niełaski książęcéj nie odniósł, rozsypał siła prochu blisko moździerza, tak iż i pod moździerz nie mało się wtoczyło; a gdy zapalił on proch, który do cyndlochu miał ogień podać, zapalił się i on co się pod moździerz wtoczył a ruszywszy moździerza, nawrócił go ku królowi. Wypadła kula, a wypadłszy zaraz zgasła; jednak obaczyli wszyscy, że prawie nad ludźmi gdzie król, i książę stało, spaść miała: jęli się umykać, rozjeżdżać; a w tym jako pacholę z szefelinem za królem na koniu stojąc, kniaź Wiśniowiecki w górę patrzył na kulę, tak kula uderzyła go w wierzch czoła, i wyrwała zadnią część głowy z muzgiem, że i na króla mózg strzelił, a tymże pędem konia pod kniaziem w krzyż trafiła, że i kniaź i koń, na miejscu zaraz zostali. Książę strwożony nad miarę, kazał puszkarza poimać i na gardło go skarał. Król obaczywszy książęcą z przypadku tego wielką żałość, cośmy wszyscy jaśnie z twarzy jego widzieli, cieszył książę pięknemi słowy, i napominał, żeby się nie frasował, gdyż widoma to rzecz jest, że nieumyślnie to się stało: bo w tymże sam książe był niebezpieczeństwie, w którym i król; i dołożył król chcąc to koniecznie mieć, żeby puszkarzowi żywota nie brano. Na wieczerzy król jadł z książęciem pospołu, i dodawał mu dobréj myśli. A iż z królem był Gabryel Tarło, który potém ochmistrzem był u królowéj Katarzyny i starostą chełmskim, a miał u książęcia z dawna wielką łaskę, naprawił go król na książę, iżby często pił do niego za zdrowie królewskie; sam téż król kilkakroć pił do niego. Owo książę był podpojony, lecz mu to przęcię z głowy nie wyszło, wyznawając, że go tym Pan Bóg nie ladajako dotknął; a choć tu u króla pana swego wymówiony jest, jednak nieprzyjaciel jego bez wątpienia najdzie, co w téj

mierze zechce poganić. Ku końcu jednak wyjazdu królewskiego, a zwłaszcza iż go w tym król często napominał, zdało się to wszystkim, że tego żalu w książęciu ujęło się niemało. Wyjechał król z Królewca, a już dżdże jesienne przykre następować poczęły; dostatki w drodze wszystkie od książęcia dawano, lecz dwa noclegi były, gdzie jedno król sam tylko domek jeden, izbę z komorą dla siebie mieć mógł, a wszyscy na chłodnikach z chróstu przestać musieli. Na takim noclegu gdyśmy byli, przyszła nowina, iż Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski, a hetman polny, wprowadził na województwo wołoskie Aleksandra wojewodę, który niemały czas w Polsce mieszkał. Ta nowina króla bardzo zafrasowała, i wielce ganił to Sieniawskiemu, że się tego ważył. Obawiał się bowiem król, żeby tego za zgwałcenie przymierza Turek nie brał sobie, a zatém na koronę się nie oburzył: przeto wnet uniwersały pisać kazał do Rusi, aby do Wołoch od naszych najazdy nie były; a ci którzy są w Wołoszech, żeby z tamtąd co najrychléj wyjeżdżali pod srogim karaniem, a iż nie było gdzie pisać, pisaliśmy w izbie téj nędznéj, z któréj pokój królewski był, noc całą. Nazajutrz z temi uniwersały komorniki odprawiono. A król do Żmudzi wjechał, gdzie go Hieronim Chodkiewicz starosta żmudzki, hojnie przyjął, w niemałéj poczcie przeciwko niemu wyjechawszy.

Rok 1565.

Tego roku sejm był w Piotrkowie, i na nim bardzo wiele konstytucyi uczyniono, między któremi i ona była, żeby król mógł wziąć na dobra stołu swego pięćkroć sto tysięcy złotych. Drugiego zasię roku 1566 sejm lubelski nastąpił, na którym niewiele się sprawiło, co łatwie obaczyć z recessu[1]) lubelskiego. To tylko pamięci godne, iż k. arcybiskup Uchański, mając tę wiadomość, iż król odesłać królową żonę swą do brata cesarza Maxymiliana chce, ku końcu sejmu, wstawszy ze stołka swego, a zaraz powstała i rada wszystka koronna, przy czém i posłowie byli, uczynił rzecz do króla dosyć poważną, przekładając niebezpieczeństwa, któreby na koronę przyść musiały, gdzieby małżonkę król, panią świętobliwą odesłać do braci miał; więc gniew boży, którego zatém i król i R. P. nadziewaćby się mogła, gdyż królowa do niełaski nie dała żadnéj przyczyny; o czém dosyć szeroko i mądrze mówiwszy klęknął, a potém padł na twarz, prosząc z płaczem króla, przez Boga żywego, iżby królowéj

[1]) Przedmioty, które na żadnym sejmie nie były uchwalone, recessem odsyłano do postanowienia na drugim.

nie odsyłał, a w zgodzie i miłości z nią tak jako przystoi mieszkał: płakać pomagali i senatorowie arcybiskupowi. Zatém król kilka słów rzekłszy na on czas, odłożył do jutra odpowiedź swoję, i dał ją taką: że tego przywieść na sobie nie może, iżby takiéj dogodził prośbie, a iż cięższaby mu to rzecz była, niż pozbyć żywota: przeto aby mu w tém już pokój dano, prosił. A iż był na sejmie Piotrkowskim wyżéj mianowanym, król postanowił ciągnąć z wojskiem na Moskwę, i w radzie jawnie, jaśnie odpowiedział, że osobą swą iść chciał, dokładając tego, iż za sprawiedliwością swoją, a pomocą bożą, obrałby to radniéj, sam a sam z nieprzyjacielem czynić, niżby za stoczeniem ku bitwie wojsk siła krwie Chrześciańskiéj wylać się miało: przeto w roku tym 1567 ruszył się z Wilna już w jesieni, pierwéj do Markowa, potém do Radoszkowic, gdzie szyk był[1]). Z któréj zasię przyczyny ta wojna nie doszła, i co za poselstwo do króla od moskiewskiego było, Kozłów Moskwicin jako zginął, Szylin jako w więzienie wzięt, przestąpić to słuszniéj jest, niż pisać. Lecz tego zamilczeć się nie godzi, iż od Rzeczypospolitéj polskiéj, senatorów i rycerstwa, mieli legacyą, ksiądz Piotr Myszkowski, podkanclerzy; pan Łysakowski, kasztelan chełmicki; a pan Stanisław Czarnkowski, komendor do panów i rycerstwa wielkiego księstwa litewskiego, z sejmu piotrkowskiego, wzywając Ich M. do *Unii*: którą legacyą bardzo pięknie odprawił ksiądz Myszkowski w Mołodziecenie, ukazując jako wiele na zgodzie i miłości należy, a przypominając obietnice, spiski [2]) i przywileje, jakiemi to dwoje państw zdawna złączone jest, a skutek się ze złém obojga państwa przewłacza. Dali odpowiedź panowie litewscy, iż nie są od tego, żeby Unia skutecznie dosyć nie miała: lecz z takim warunkiem, jakoby najmniéj poniżone nie było wielkie litewskie księstwo i nic w tytułach, nic w prawie, nic w intracie nie było zmniejszone, abo urażone. Po téj radoszkowskiéj, Jan Chodkiewicz, starosta żmudzki, z częścią ludzi, a działy królewskiemi szedł pod Ułę, pod którą leżawszy nieco czasu, iż zima twarda była, szańcować się trudno było, odciągnął. Téj *Uły* zasię innego czasu, kniaź Roman Sanguszko, bez wielkiego wojska, jedno rozumem, sprawą, a czułością, dostał z wielką swą sławą. Rychło potém, iż frajbiterowie[3]) które król miał na morzu, dla wielu przyczyn, gdańszczanom byli ciężcy, wygubili je, dawszy jedne potracić, a drugie

[1]) Przegląd wojska. [2]) Opisy. [3]) Dowódcy okrętów, którym poruczone było dopilnowanie, ażeby handel zakazany nie był prowadzonym, na ile ażeby nie oszukiwano.

wygnać; czém król obrażonym będąc, kommissarze do Gdańska posłał, lecz do miasta nie są puszczeni. Zaczém pozwano miasto na sejm przyszły, a ten do Lublina był obiema narodom dla skończenia Unii złożony na dni grudniowe roku 1568, trwał ten sejm aż się w końcu lata odprawił roku 1569. Na nim skończyła się Unia: lecz nie pierwéj, aż król Podlasze i Wołyń do korony przyłączył. Sądzeni też Gdańsczanie byli, nalezieni nieprawi[1]) i do więzienia wzięci, jednak nie skarani; ale znowu zdało się królowi kommissarze tam posłać. I posłał biskupa kujawskiego, Karnkowskiego, który był potém arcybiskupem gnieźnieńskim; Sierakowskiego wojewodę łęczyckiego, Mikołaja Firleja, na on czas kasztelana krakowskiego. Na tém sejmie książe młode pruskie Albrycht Fryderyk hołd czynił; i tego też czasu książe mekielburski, Magnus, który dla nietrafnych spraw swoich, w Inflanciech był pojmany, i dany do Rawy na więzienie, jakom to wyżéj wspomniał, za przyczyną wielu książąt niemieckich, wolnym uczynion jest: uczynił jednak pierwéj przystojną królowi, i R. P. przysięgę. Niż się ten rok skończył, Strasz, Polak poturczony[2]), posłem od Turka do króla przyjechał. Po poselstwie Straszowém, Andrzéj Tarnowski do Turek wyprawion: który potém za ludźmi cesarza tureckiego posłany był z Carogroda, z czauszem, aż tam gdzie wojska tureckie ziemią i morzem szły ku ziemi moskiewskiéj do Astrachani. Te wojska Turek dla tego był wyprawił, iżby przekopali górę, którą zowią Perewoloka, żeby te rzeki, Wołcha i Don, zejść się mogły: ale się Turkom bardzo nieszczęściło, tak iż i morzem, i ziemią ledwie się ich co do domu wróciło; a Tarnowski z ludźmi temi wszystek czas bywszy, dla tego żeby wojska tureckie ziemie królestwa polskiego nie zajmowały, ztamtąd się z Perekop do króla wrócił. Po zwróceniu Tarnowskiego, z którym był i czausz turecki przyjechał, był sejm w Warszawie roku 1570 na którém kommissarze, co je z Lubelskiego sejmu wysłano było do Gdańska, dali sprawę królowi z postępków swoich, które się podobały królowi: odnieśli za to pochwałę, a od posłów dziękę. Z tego sejmu zaś drudzy kommisarze do Gdańska posłani, żeby ono postanowienie pierwszych kommisarzów skutek wzięło: lecz do tego skutku nie przyszło. Tegoż czasu do Moskwy posłani byli: Jan z Krotoszyna, wojewoda inowrocławski, Rafał Leszczyński, starosta radziejowski; a z Litwy Jan Talwosz, kasztelan żmudzki, a z nim Andrzéj Iwanowicz Charytonowicz Ubrynski, pisarz litewski, podług zwyczaju. Daléj

[1]) Występni. [2]) Z chrześcianina na turecką przechodzący wiarę.

coby u nas tego roku znacznego, i do napisania godnego było, nie widzę; ale Moskiewskiemu pamiętny to rok Pan Bóg posłał: bo Tatarowie aż do Moskwy miasta przyszli, i spalili wszystko, zkąd korzyść wielką, i ludzi niezliczoną liczbę w więzienie wziąwszy, znowu się do Perekopu wrócili. Nastąpił rok 1572. Złożony sejm był w Warszawie tego roku, którego statecznie zacząć, nierzkąc kończyć, powietrze nie dopuściło; ale i choroby królewskie, podagra i chiragra, czyniły króla do sejmowania nie sposobnego. Tymczasem jednak testament tajemnie pisać kazał; pisał go na pokoju doktor Augustyn Rotundus, sekretarz i wójt wileński, człowiek cnotliwy, a w prawie i inszych naukach biegły. Gdy tedy powietrze szerzyć się gwałtowniéj poczęło, król mając z Warszawy, a choro bardzo, do Knyszyna wyjechać, niż go z łóżkiem na wóz na to urobiony wniesiono, iż sobie nieco brał za obrazę od królewny Anny, siostry swéj, i przez niemały czas do siebie jéj nie przypuszczał, rzekł mu Karwicki Obożny: Miłościwy królu, a więc tak W. K. M. odjedziesz ztąd, z królewną się Jéj M. siostrą swą nie pożegnawszy? Ba miłościwy królu, umrzeć jéj pewnie od żalu przyjdzie: każ jéj W. K. M. przyjść do siebie, bo ona o to W. K. Mości, łzy wylewając, prosi. Tu król zamilczawszy trochę, rzekł: każcież jéj przyjść. Przyszła potém królewna, i z płaczem przeprosiła króla, a król oddał jéj spisany testament, kilka słów do niéj rzekłszy. Potém na wóz wnieść się kazał; gdy na wóz z łóżkiem wstawiony, dwiema jurgieltnikom na wozie przy sobie bydź kazał, Andrzejowi Boboli, a Fabianowi Klińskiemu; było i pacholąt kilka na wozie, i tak wyjechał z Warszawy. Gdy miał przyjeżdżać do Tykocina, z noclegu przed Tykocinem pisał do mnie, żebych nikogo do miasta nie puszczał z tych co naprzód jadą. Ja uczyniłem dosyć woli pańskiéj, zaczém wielki orszak ludzi z wozmi, z kolasami, stał przed miastem. A kiedy król wjeżdżał we wrota miejskie, jęli ludzie krzyczeć, prosić żeby król puścić je do miasta kazał, a Karwicki obożny do woza przystąpiwszy, powiedział: Miłościwy królu, tu w tym obozie są żony woźnic, masztalerzów: jako tu zostaną przed miastem, tak woznice, masztalerze, odbieżą od koni do żon, żeby tu u nich iedli, i tak szkoda w koniach bydź może; przeto każ W. K. M. puścić do miasta, i kazał król żeby wjechali; a zatém obozem ludzi stajennych, powietrze do miasta weszło, i było bardzo wielkie, iż ledwie się, przeszedłszy pół zimy, uspokoiło. Tego dnia król pytał mię, jeźli się już bernardyni wyprowadzili z murowanego kościoła do drewnianego w mieście;

powiedziałem, że się nie wyprowadzili; pytał czemu; albo tamten klasztor jeszcze nie gotów? Powiedziałem, iż gotów ze wszystkim, lecz nie mając i ja rozkazania Waszéj Królewskiéj Mości żeby się wyprowadzili, nie śmiałem ruszać ich z miejsca dawnego, ażbym pierwéj dowiedział się woli W. K. M. Tu król: idźże do nich, i rozkaż im, żeby się prowadzili. Szedłem zaraz, i opowiedziałem zakonnikom wolą królewską, którzy dali tę odpowiedź, że są gotowi wypełnić Jego K. M. roskazanie. Nazajutrz król wyjechał do Knyszyna; bernardyni téż w kilka dni tamże jechali, za któremi ksiądz Krasiński, biskup krakowski i podkanclerzy, przyczynił się do króla, iż król im użyczył czasu do prowadzenia sześc niedziel, które niż wyszły, król Panu Bogu ducha oddał. Przed śmiercią dzień, w Niedzielę, 6. Julii, gdym przyjechał do Knyszyna, i przyszedłem przed króla do łożnice, spytał mię, jeślim z sobą przywiózł wizerunki: odpowiedziałem, żem ich nie wziął, rozumiejąc iż Wasza K. M. tego czasu tym bawić się nie miałeś. Król zatém: jedźże do Tykocina, a bądź u mnie jutro z niemi. Poszedłem zaraz z oczyma zapłakanemi, a widząc pana zbytnie schorzałego, i rozumiejąc że ledwie jutra doczekać miał, jechałem zaraz na zamek, (bo przedtém mieszkanie było moje w mieście w dworcu), i tam przeniósłem się ze wszystkim. Tego dnia, gdym ja w Knyszynie był w Niedzielę, powiedzieli doktorowie królowi przy księdzu biskupie krakowskim, iż lepiéj, prawi, żebyś W. K. M. z Panem Bogiem się pojednał: bo acz jeszcze znaków śmiertelnych nie widziemy, jednak od spowiedzi, od przyjęcia Najświętszego *Sakramentu* bywa to często, że się ludziom na zdrowiu poprawuje. Zatém król: powinniście to, prawi, byli dawniéj mi powiedzieć, a nie cieszyć mię niepotrzebną pociechą; a toż jutro księże biskupie ja to uczynię, a do tego co należy, żeby gotowo było. Nazajutrz tedy w Poniedziałek, 7. Julii, Najświętszy *Sakrament* po spowiedzi, i oléj święty przyjąwszy, rozdzielił się z tym światem, z niewymownym żalem nas wszystkich sług jego, którzy nie panaśmy mieli, ale dobrotliwego Ojca. Lat miał gdy umarł 52 bez kilka Niedziel. Pan to był cnot wielkich, które wyliczać i zdobić słowy, méj głowy nie jest, lecz najdzie się ten, kto to uczyni, i na przykład inszym królom, żywot jego na piśmie poda, iżby umieli insi królowie wolnym rozkazować ludziom, i mieć taką w królowaniu miarę, jaką on miał, iż i ci, którzy kiedy za dekretem jego szli na śmierć, żadnego okrucieństwa jemu nie przypisowali, a w obec wszyscy w koronie ludzie, i wielcy i mali, tak drogie mieli jego zdrowie, iż

każdy za nie żywot swój był położyć gotów. A tu przypatrzyć się każdy może, jako owi monarchowie są nieszczęśliwi którzy mówią: Oderint dum metuant[1]). Ten pan miłością ku poddanym wszystko był sobie zjednał, i dla tego szczęśliwe było jego królowanie.

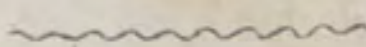
1) Niech nienawidzą, byle się lękali.

E.

KRONIKI

I

SYSTEMATA HISTORYI.



każdy za nie żywot swój był położyć gotów. A tu przypatrzyć się każdy może, jako owi monarchowie są nieszczęśliwi którzy mówią: Oderint dum metuant[1]. Ten pan miłością ku poddanym wszystko był sobie zjednał, i dla tego szczęśliwe było jego królowanie.

1) Niech nienawidzą, byle się lękali.

Z KRONIKI POLSKIÉJ

MARCINA BIELSKIEGO.

Kraków 1597.

O przyjściu Lecha do Polski.

Już tedy ukazawszy to na oko każdemu, że naród nasz polski poszedł od Słowian, a Słowianie od Henetów, którzy w Azyi mniejszéj nad morzem czarnem mieszkali naprzód, a z tamtąd na dwoje się rozeszli: jedni z Antenorem po wojnie trojańskiéj do Illiryku, a drudzy jeszcze pierwéj dobrze z Alanem wtórym wodzem swym, tu do Sarmacyi, i rozszedłszy się, zasię się z sobą pomieszali, to jest nasi sarmmaccy z tamtymi illiryckiemi: tedy już mi tu nic innego nie przyjdzie ukazać, jedno to, zkąd, jako, i kiedy Lech Słowianin najpierwszy wódz nasz tu do nas na te kraje przyszedł; do czego niż przyjdziemy, różne o tym sentencye kronikarzów naszych pierwéj położemy.

Pisali jedni Lecha z Czechem, książęta słowiańskie, z Dalmacyi, albo Karwacyi, jeszcze przed Narodzeniem Pańskim, w te krainy przyjść, a naród Słowiański w Dalmacyi, w Illiryi, Istryi, Bulgaryi, Pannonii, zdawna przebywać. Drudzy zasię powiadają, że nie z Dalmacyi, ani Karwacyi tu przyszli: ale jako do Illiryku i Dalmacyi z Rusi albo Sarmacyi, tak i tu do Polski i do Czech z Rusi. I téjże sentencyi jest Marcin Kromer, co ma, rozumiem, z Blondusa. Acz i Wapowski tegoż rozumienia był. Wszakże wolę się ja z starszymi w téj mierze zgadzać: którzy mając to, jako przez podanie, od swych dawnych przodków, mocno twierdzą, że to dwoje pomienione książąt Lech i Czech przyszli tu do nas z Kroacyi, gdzie mieszkali nad rzeką Krupą, we wsi albo miasteczku, które zwano Psary: gdzie jeszcze i po dziś dzień znać, że tam był zamek, a wieść trwa do tych czasów. Coby była za przyczyna wyjścia ich z tamtych krain tu do nas, (gdyż pospolicie ludzie zwykli, z stron północnych do zachodnich, albo południowych się cisnąć, nie z południowych do północnych) tedy nierozu-

miem, żeby była inna przyczyna, jedno ta, że im podobno ciasno było: zaczym przychodziło im do zwad i do rozruchów domowych. Albowiem z tych krain wiele się tam ludzi, do nich nacisnęło. A ktemu wiedzieli, że te tu kraje były jako na poły puste, z których Wandalitowie precz wyszli byli. Może i to być, że ci Wandalitowie, co tu byli ostali, posłali sobie po tych dwoje książąt pomienionych do Karwacyi, aby im tu przyszli panować: gdyż Czechom, albo morawskiéj ziemi nie bardzo odległa jest karwacka ziemia. Aeneas Silvius tę przyczynę kładzie: żeby Czech jedno książe miał tam zabić, i przetożby i z bratem miał z tamtąd wyniść. Ale to nie ku rzeczy: bo jeśliby Czechowi z gardłem uciekać przyszło, tedyby Lech nie był powinien tego dla brata uczynić a pogotowiu poddani ich.

Któregoby téż czasu tu przyjść mieli ci bracia pomienioni Lech i Czech, różni są w téj mierze historykowie. Bo jedni dobrze jeszcze przed Bożym Narodzeniem powiadają, jako to chce mieć Wincenty Chadłubek, i inni starzy: a drudzy po Bożym Narodzeniu. Wapowski twierdzi, że roku pańskiego 550. Wszakże przypatrzywszy się okolicznościom wszystkim, i czasy dobrze zgodziwszy, podoba mi się zdanie Wapowskiego w téj mierze: i ja na nim przestawam. Którędyby téż do nas ciągnąć te książęta mieli, naznaczyli niektórzy, zwłaszcza Czescy piszą, że szli jako najprościéj przez węgierską ziemię, Morawie przyległą, i przyszli naprzód do Morawy, gdzie téż swego języka wiele ludzi naleźli: a potém do Boemiey weszli, która zdawna tym imieniem była nazwana od Bojów, Gallów, albo Francuzów: w któréj mieszkali, Niemce wypędziwszy: a potém je Niemcy Markomani z tąd wypędzili. Skoro oglądali oną krainę, podobała się im bardzo, i tam na jednéj górze rzeczonéj Rzyp, między dwiema rzekoma Elbem i Wołtawą, namioty swe rozbiwszy sadzić się poczęli. A gdy Czech brata swego prosił, żeby mu onych krain ustąpił; a sobie innych szukał, uczynił mu to Lech kwoli, że ustąpił jako młodszemu; gdyż Lech był starszy, jako Długosz pisze. Acz téż czescy kronikarze Czecha starszym czynią. Także pożegnawszy się z nim, postąpił daléj z ludźmi swemi, i obrócił się prosto ku północy, a ku wschodowi słońca: i przyszedł na te miejsca, gdzie dziś Szląsko a Wielka Polska, Margrabstwo, Pomorzanie, Mekielburg i inne: a wszędzie swego narodu języka wiele ludzi nalazł, zwłaszcza Wandalitow, albo Wenedów, z którémi lud swój spolił. I przeto nas też niektórzy Wandality zowią. A nawet jeszcze i dziś w kościele śpiewają: Benedic Regem cunctorum, conversa gens Vandalorum. A tę pieśń powia-

dają złożył Wojciech święty jako i Bogarodzicę, którą przodkowie nasi, idąc do potrzeby, zwykli byli śpiewać, i szczęściło się im. Którą i ja też tu wpiszę, dla wiecznéj pamiątki.

Bogarodzica Dziewica Bogiem sławiona Marya, u twego syna Gospodynia Matko zwolona, Maria, ziscisz nam, spuścisz nam: Kyrie elejson.

Twego syna Krzciciela zbożny czas. Usłysz głosy: napełni myśli człowiecze: słysz modlitwę, jenże się prosimy.

To dać raczy, jego prosimy: Daj na świecie zbożny pobyt, po żywocie Rajski przebyt: Kyrie elejson.

Narodził się nas dla syn Boży: w to wierzaj człowiecze zbożny: iż Bóg lud, przez swój trud, odjął djabłu stroże.

Przydał nam zdrowia wiecznego: Starostę skował piekielnego: śmierć podjął: wspomionął człowieka pierwszego.

Jenże trudy cierpiał bezmierne: jeszczeć był nieprzyśpiał za wierne, aliż sam Bóg zmartwychwstał.

Adamie, ty Boży Kmieciu, ty siedzisz u Boga wiecu, domieść nas swe dzieci, gdzie królują Angeli.

Tam radość, tam miłość: tam widzenie Tworca Angelskie bez końca: tam sie nam zjawiło Diable potępienie.

Ni srebrem, ni złotem, nas Djabłu odkupił, swą mocą zastąpił: ciebie dla, człowiecze, dał Bóg przekłóć sobie ręce, nodze obie: krew święta szła z Boku, na zbawienie tobie.

Wierzże w to, człowiecze, iż Jezus Chryst prawy cierpiał za nas Rany, swą świętą krew przelał, za nas Chrześciany.

O Duszy o grzesznej sam Bóg pieczą ima, Djabłu ją odejma: gdziesz to sam przebywa, tu ją ksobie przyma.

Już nam czas, godzina, grzechów się kajaci, Bogu chwałę daci, ze wszystkiemi siłami jego miłowaci.

MARYA Dziewica, prosi syna twego, Króla Niebieskiego, aby nas uchował odewszego złego.

Wszyscy święci proście, nas grzesznych wspomożcie: byśmy zwami byli, Jezu Chrysta chwalili.

Tegoż nas domieści, Jezu Chryste miły, byśmy z tobą byli: gdzie sie nam radują wszystkie niebieskie siły.

Amen, amen, amen, amen, amen, amen, amen, tako Bóg daj, byśmy poszli wszyscy w Raj, Gdzie królują Angeli.

Wszedł tedy tu Lech z ludźmi swemi roku Pańskiego 550, za panowania Justyniana cesarza rzymskiego, i to zacne królestwo polskie założył.

* * *

Bitwa Warneńska

Lata Pańskiego 1444 dnia 20 Września król nie mając i połowice ledwie tego wojska, co miał pierwéj, i przetosz smutny był bardzo, wyjechał z Segedzina, i ciągnął prosto do Bulgaryi: trzeciego dnia Października u Orszawy rzeki się przeprawił przez Dunaj: a tam goniec polski ścignąwszy go, oddał mu listy, które on przeczytawszy, łzy mu się z oczu rzuciły: co też jedną nie dobrą wróżką było.

Amurates gdy się tego dowiedział, dziwował się temu barzo, i nie ważąc sobie tego lekce, wnet się pojednał za

jakimi mógł kondycyami z Karambeglem Tatarzynem, i pojednawszy, z onym wszystkim wojskiem z Azyi do Europy się obrócił: a jeszcze do Grecyéj do swych starostw wszystkich pisał, aby co nawięcéj ludzi zbierali, a pod Adryanopole się z nimi stawili, obiecując tam sam z tym wojskiem, które miał, niedługo do nich przybyć: a nad Władysławem się tego jego krzywoprzysięstwa zemścić, samegoż Jezusa chrześciańskiego Boga, któremu Władysław wiarę złamał, biorąc sobie na pomoc. A Władysław ku Nikopolim miastu, które jest głową wszystkiéj Bulgaryi ciągnął, tym umysłem, aby jako mógł naprędzéj do Kalliopolim i Hellespontu przybyć, a tam się z armatą chrześciańską złączyć. Aczkolwiek była inna droga prostsza na Adryanopole, ale że się onychże gór co pierwéj bał, wolał daléj a lepiéj na Bulgaryą polmi czystemi objechać, udawszy się trochę na lewo ku morzu Pontskiemu. I tak przyjechał do Nikopolim, dnia 26 tegoż miesiąca, gdzie iż było miasto dosyć opatrzone dał mu pokój, tylkoco przedmieścia około niego spalił. Tamże przyjechał do niego Dragula, Wojewoda nadolnéj ziemie wołoskiéj, ze cztermi tysięcy koni, który prosił króla, aby mu za złe nie miał, że ołdował Turkowi, bo musiał. A gdy ujrzał mały lud węgierski, mówił: iż więcéj Turek miewa ludzi gdy w łowy jedzie, albo na przejażdżkę. Gdy nie było wszystkiego a wszystkiego wojska więcéj dwudziestu tysięcy, jezdy szesnastu tysięcy a piechoty czterech z Krzyżowniki, a tak radził królowi, aby się wrócił a nie zwodził bitwy z Turki, tusząc straconéj bitwie: jedna, iż nad przymierze, druga, iż mało ludzi. Podobała się ta rada wielom ich w wojsce: ale Julianus kardynał nie dał na to słowa rzec, powiadając: że naciężéj nam do Helespontu przyjść, zastaniem tam swych dosyć, z któremi gdy się złączym, będzie nas z Turka. Co słysząc Dragula ruszywszy ramionami rzekł: Boże daj to by tak było, co ten ksiądz powieda. Gdy tedy widział, że nie mogło być inaczéj, zostawił królowi ludu swego cztery tysiące i z synem. Acz i sam miał był wolą jechać, ale widział, jako w zwierciedle, do czego miało przyjść: jakoż i wieszczka jedna (któréj on bardzo wierzył) źle zgoła królowi tuszyła: i przetoż wolał sobie dać pokój, tylko przedsię syna wyprawił, którego z płaczem prawie żegnał i napominał, aby jako nabarziéj króla był pilen. Co widząc wielom się łzy z oczu puszczały. Przetoż dał téż królowi dwa konia barzo prędkie dla jakiéj złéj przygody, i dwu przewodników, którzy wiedzieli przeskoki wszędzie tamtych miejsc. Potém od Nikopolim, w lewo zostawiwszy Dunaj, podle góry Hemu ciągnęli do Tracyi, gdzie rozkazał król pod gardłem, aby kościołów chrześciańskich nie łupili, ani

palili, ani ludzi mordowali, tylko żywności brali. Ztądże się ich wiele z dobréj woli poddawało królowi. Puściwszy téż kilku więźniów Turków, dał im król takowe listy, aby Turkom wolno było z miast i z zamków bliskich uciekać ku morzu, które wszystkie wcale obiecował król kazać przewieść do Azyi, żeby tam sobie bezpiecznie mieszkali, a Tracyi dali więcéj pokój. Wszakże wolało się ich nabieżeć do Sumena i Petrasza, zwłaszcza z Machoraczu, Warny, Kanarny, Galaty, i z innych miast które są nad morzem: bo tam były troiste mury mocne, i przekopy głębokie w koło; ale ich przedsię nasi tegoż dnia gdy przyśli dobyli: gdzie na pięć tysięcy Turków wzięli. Tam wtenczas dwa Polacy dobrze sobie poczynali: Jan Tarnowski, a Leszek Bobrzycki; gdy Tarnowski u Sumenu wrota wysiekł, (gdzie odniósł dwie ranie srogie) a Bobrzycki naprzód u Petraszu na mur wskoczył. Słał téż król do Szkanderberga do Albanii o pomoc spólną przeciw Turkom, według powinowactwa chrześciańskiego: i obiecał się, by go jedno Jurek Deszpot chciał przepuścić przez Rachą ziemię przez góry wolno; ale nie mógł tak prędko przyjechać, bo téż nie ufał Deszpotowi, iż z Turki przeciw jemu pierwéj dzierzał. A w tym czasie Amurat przewiozłszy się przez morze u Kalliopolim z ludem swym wszystkim, którego miał około ośmdziesiąt tysięcy, a drudzy piszą sto tysięcy, przyciągnął do Adrynopola, gdzie złączył się z drugim swym wojskiem. Nie zawściągnęli ich nasi Chrześcianie, jako byli rzekli, i jeszcze snać brali myto od nich po czerwonemu złotemu od głowy gdy je przewozili. Przyjechali szpiegowie, którzy znać dali królowi o wielkim ludzie tureckim, wszakże nie lękał się nic tego. A tak wojsko naszych przyszło dnia 10 Listopada do Warny, miasteczka pod górami, które już nasi byli wzięli. Wtém przyszła nowina o wschodu słońca, że Turcy już barzo blisko są. Przeto poczną się nasi co prędzéj gotować. Króla że na ten czas lewa noga bolała, bo się mu był wrzód na niéj uczynił, Jan Huniad szykował wojsko, które między góry a jeziorem co jest u Warny postawił, czoła trochę zakrzywiwszy, na lewym rogu tylko cztery chorągwie nad błoty, jakoby w bezpieczniejszém miejscu postawił, i tamże sam stanął: a króla za sobą w pośrodku z dworem jego wszystkim. Na prawym rogu który był ku górom postawił Frankobana z Hagierskim biskupem, którym Deszpota i Juliana z Krzyżowniki i Wołochy przydał. Za nimi Waradziński biskup i Bobrzycki Polak stanęli. Więc chorągiew S. Ladysława, która już na ostatku ku obozu stała: a tenże opodal stał, ku żadnemu pożytku naszym nie był. Także nasi w szyku będąc na trzy godziny na dzień Tur-

ków czekali. A to za złą wróżkę mieli, że proporzec królewski wiatr zrzucił i podarł: i królewski koń długo na się królowi nie dał wsieść. Naprzód tedy Turków 6000 przed wojskiem swym przyszło z wielkim okrzykiem, z któremi się Frankobanus i Symon Hagerski biskup mężnie potkają, i łatwie porażą, tak iż poczną uciekać Turcy. Co obaczywszy Waradzyński biskup, który pozad stał, rzuci się z swego miejsca w pogonią za nimi: toż i Deszpot i Wołosi uczynią: I tak oni obadwa biskupi i Deszpot i Wołosza zagonią się za nimi, mniemając, że to już koniec: ano źle na górę wbieżeli, ali obaczą wojsko takie tureckie, którego oczyma przejrzeć nie mogą. Przeto niewiedząc gdzie, trzy biskupi w lewo się udadzą chcąc uciec, ale trudno było: bo błota zastąpiły: na których Waradzyński uwiązł i z koniem, i tak marnie gardło dał; a Hagerski widząc że źle, niechciał za nim, ale nad błoty prosto ku Galacie się udał, i tam zabit: a drudzy powiedają że poiman i mianoby go widzieć potém w Turczech, a on chodził za owcami. Deszpot i Wołosza tém sobie lepiéj poczęli, że zasię na swe miejsce przyszli. Zaczym Turcy mocą wszystką przyszedłszy na tak zamieszany prawy róg, łatwie go starli, a Wołoszéj w góry napędzili. Potém aż do chorągwie S. Ladysława się przebili: gdzie Frankobanus a Julianus kardynał tylko się im trochę oparł. Tamże i Bobrzycki Polak zabit tuż u samego obozu. I do obozu już poczęli się byli Turcy sypać, a nasi z prawego rogu wszyscy uciekać, aż król Władysław przybiegł z hufcem swych i ratował ich: zaczym Turcy jęli wnetże tył podawać. Nie goniąc ich jednak daleko król wrócił się zasię do Juliana i do Frankobana, na które gdy świeży lud turecki nastąpił, znowu sroga bitwa między nimi była, i Turków tam znowu legło bardzo wiele, (acz tego przed wielkością nie znać było) bo gdzie się jedno na nie Władysław obrócił, tedy drogę w nich sobie wszędzie uczynił, tak iż już co żywo pierzchało przed nim, ani mu się żadne ufce tureckie oprzeć nie mogły. Wtém nasi trafili na wielbłądy, na których rzeczy cesarskie były, a tych bojąc się konie żadną miarą na nie przytrzeć niechciały: wszakże Wołosza przypadłszy z gór, odpędzili je precz, i pole wolniejsze naszym uczynili: a wszakże siła zaraz na kupie naszych padnie. Wtém przyjdzie na króla ufiec wielki tatarski, ale i ten król niezadługo rozgromił. Po nich już ostatni ufiec turecki nastąpił, wszakże i ten jął sprośnie uciekać, i nieostali się drudzy aż w Adrynopolu: i roznieśli tę byli wszędzie nowinę po tureckiéj ziemi: że Turki porażono. Jańczarowie tylko sami na placu zostali: gdzie azyjski basza z bitwy uciekł, i Amurat głową swą uległ:

a ten chciał już był uciekać, aż mu Jańczarowie pobocz na konia włożyli, jako Wapowski pisze: który wnetże jął ich i dla Boga prosić, aby sobie jako najmężniéj poczynali: a téj zdrady i złamania wiary Bogu swemu nad Gaury do gardł swych się mścili. Potém w Niebo wejrzawszy pocznie tak do Boga głosem wielkim wołać: O Boże chrześciański, jeśliżeś jest Bóg prawdziwy (jakoż ja ledwie nie rozumiem tego, o tobie) zemścijże się ty dziś nad Chrześciany swymi tego coć wiarę swą złamali, i imie twe święte nadaremno wzięli. Władysław także widząc, iż na Jańczarach wszystko prawie zwycięstwo należy, wkrótce swoich napomni, aby się nic nie trwożyli, a w Panu Bogu a Zbawicielu swym, o którego krzywdę czynią, zupełną nadzieję mieli. Zaczym wszystką mocą rzuca się do nich. Ale Jańczarowie leżeli mocno w sprawie, przetoż trudno im było co uczynić. Widząc tedy Huniad, w jakim niebezpieczeństwie król był położony, przybiegł do niego z lewego rogu, który też nie źle sobie poczynał, prosząc i dla Boga, aby uježdżał, a na lepszy czas się chował: ale mu król powiedział: że wolę umrzeć a niż uciekać. I tym się bardziéj jeszcze począł drzeć między Jańczary, gdzie i baszę azyatyckiego, który tam był uciekł, sam swą własną ręką zabił. Przetoż Huniad chcąc radzić wczas o sobie z lewym swym rogiem wszystkim uciekł, króla na mięsne jatki wydawszy, który tylko z trochą Polaków zostawszy, mężnie się bijąc, zabit od Jańczarów, gdy konia pod nim przebito że padł. Polacy co byli przy nim dali się także zbić. Potém głowę jego uciąwszy Jańczarowie na drzewiec wetkli, którą po wojsku na znak zwycięstwa nosili. I tak zginął król osobliwy w swoich młodych leciech dosyć marnie: którego żałowali niepomału wszyscy chrześciańscy panowie: bo w nim nadzieję pokładali, że ten był miał wyswobodzić wszystko Chrześciaństwo od mocy tureckiéj: lecz iż szczęście inaczéj chciało, żal się tego Boże. Kallimach inaczéj trochę tę bitwę opisuje, powiadając, że Huniad (który nie lewego tylko rogu pilnował, ale wszędzie biegał po wojsku, i pomoc dawał gdzie było potrzeba) nie uciekł aż po straconéj bitwie, i już było króla zabito między Jańczary, którego ciała gdy nie mógł dostać, dopiero uciekł z Wołochy tylko samymi. Ale jakożkolwiek, dobremu słudze godziło się było przy panu umrzeć. O Julianie téż pisze i o Deszpocie i Frankobanie, że do obozu już byli uciekli wtenczas, gdy ich król ratował. Insze rzeczy także pisał. Trwała ta bitwa aż do wieczora: i przetoż Turcy nie gonili nikogo: nawet całą noc Jańczarowie nie spali, obawiając się Chrześcian, aby na nie znowu nie uderzyli. Przetoż i nazajutrz na obóz nie

śmieli uderzyć, aż trzeciego dnia, bo się bali jakiéj zasadzki: gdzie kogokolwiek naleźli, nikogo nie żywli. Julian uciekając zabit od Wołochów. Drudzy piszą na przewozie, gdy Wołoszyn przewoźnik obaczył u niego tłomoczek ciężki, i zabiwszy go wrzucił w wodę. Z Polaków tylko dwa uciekli: Jan Rzeszowski herbu półkozic, który był potém biskupem krakowskim, a Grzegorz z Sanoka, herbu strzemię, który był potém arcybiskupem lwowskim. Zabici téż wtenczas dwa bracia Tarnowscy, Jan Major i Jan Gratus, i Zawiszowie dwa czarni. Tamże téż metryka polska, jako ją pospolicie przy królach wożą, zginęła: i mają jéj jeszcze kilka ksiąg w Konstantynopolu Turcy.

Z KRONIKI
MACIEJA STRYJKOWSKIEGO.

Królewiec 1582.

O przyjęciu wiary Chrystusowéj.

Wszystek jakmiarz okrąg świata szerokiego zaraz od wtórego początku i rozmnożenia się narodu ludzkiego, przez Noego patryarchę i synów jego, po onym wielkim a straszliwym potopie i zalaniu wszystkiéj ziemie, zdradą chytrą fałszywych kłamców djabłów zwiedziony, prawdziwą Boga jednego, wiecznego i wszechmocnego chwałę w niepobożne ku wielu fałszywych bogów nabożeństwo przemienił był, tak, iż naprzód ludzi umarłe dla dobrodziejstw od nich wziętych, albo dzielności w rycerskich sprawach dokazanych, albo dla wynalezienia rzemiosł i naczynia ludzkiemu pożywieniu i robocie należących, chwalił.

Naszy Sarmatowie, Polacy, Rusacy, Litwa, Prusowie onych szaleństw starych naśladowali, gdyż ty krainy północne nad insze narody w tych sprosnych błędach dłużéj trwały, dla wrodzonéj swojéj srogości i zwierzęcéj okrutności, dla któréj w te kraje przyjść apostołom i ich posłańcom trudno było z nauką ewangielii. A téż naszy przodkowie będąc w one czasy narodem najwaleczniejszym, w rycerskich sprawach wszystek wiek swój bawiąc, nie dysputowali się koło religiéj. Naprzód tedy Polacy, Pomorczycy, Mazurowie, ty naprzedniéjsze bogi mieli: Jowisza, którego oni zwali Jesse, tego chwalili za wszechmocnego i za dawcę wszech dóbr. Plutona téż boga piekielnego, którego zwali Nia, chwalili wieczór, prosili téż od niego po śmierci lepszego i wcześniejszego miejsca w piekle i dżdżów

albo uskromnienia niepogody, którego kościół był w Gnieźnie najświętszy, jako Dlugosus świadczy. Cererę też boginią ziemną, wynalezicielkę zboża wszelkiego, którą oni zwali Marzana, téj też w Gnieźnie, jako Wincenty Kadłubkus, biskup krakowski, pierwszy kronikarz polski pisze, był wielkim kosztem zbudowany kościół, gdzie jéj na chwałę dziesięciny wszelkiego zboża po żniwach ofiarowali, prosząc na drugi rok o żyzne urodzaje. Wenerę też boginią miłości zwali Żizilią, któréj modły czynili dla płodu, i wszelkich roskoszy cielesnych od niéj żądali. Dianę, boginią łowów, swym językiem zwali Ziewonią albo Dziwanną. Castora też i Polluxa, rzymskich bożków chwalili, których Lelusem i Polelusem nazywali, co jeszcze i do dzisiejszych czasów u Mazurów i Polaków na biesiadach, gdy sobie podleją, jawnie słyszemy, kiedy Lelum po Lelum wykrzykają. A zwykli byli mężowie i niewiasty, starzy i młodzi, na święta tych bogów swoich w jedno się schodzić miejsce do tańców i krotofil inszych, którą schadzkę *kupałą* zwali, zwłaszcza 25 dnia Maja miesiąca i 25 Czerwca, co jeszcze do tych czasów w Rusi i w Litwie zachowywają: bo skoro po Niedzieli przewodniéj aż do ś. Jana chrzciciela niewiasty i panny do tańca się gromadą schodzą, tam ująwszy się za ręce: Łado, lado i lado moja! powtarzają, acz prości ludzie nie wiedzą zkąd ten obyczaj urosł. Także owy kołyski dziwne, o świętym Pietrze, i wieczory święte po narodzeniu Pańskim, wszystko od starodawnych zabobonów pogańskich poszło, bom się też tego i w Turczech sam własnym okiem napatrzał, roku 1575 Decembris 20 die, i zaś kiedy u nas Szrodopoście wielkie.

Chwalili jeszcze Polacy wiatr szumiący za boga, który nazywali Żywie, także Pogodę, boga jasnych a wesołych dni, jako słyszał Miechovius od przodków swoich.

Chwalili też drugi wiatr Pochwist, który, jako Miechovius pisze (ale Kromer Pochwist niepogodą wykłada) jeszcze Pochwiscelem zowią, przeto kiedy już taki się wiatr świszczący trafił, padali i klękali.

Chwalili nadto i Ruskie bogi, to jest: Pioruna, Striba, Mokossa, Chorsuma, i inszych, którym był Włodzimirz, monarcha wszystkiéj Rusi, syn Swentosławów, czyniąc ofiary za braty pobite, w Kijowie bardzo wiele kościołów zbudował i bałwanów po górach okolicznych nastawiał, a zwłaszcza bałwan Piorunowi, bogowi gromów, chmur i łyskawic (którego najwięcéj chwalił) naozdobniéj wystawił; ciało samo i kształt wzgórę wyniosły, był z drzewa misternie rzezany, głowa jego z srebra, uszy z złota, w ręku zaś trzymał kamień nakształt pioruna pałającego, któremu na cześć i na

chwałę ogień dębowy, który wiecznym zwano, kapłani ktemu przystawieni palili, co jeśliby dla niepilności stróżów kiedy zgasł, takowych na gardle karano, co też Litwa, Żmudź i starzy Prusowie zachowywali.

Tymże kształtem obraz tego Pioruna był w Nowogrodzie wielkim postawiony i z wielką uczciwością za boga chwalony, na tym miejscu gdzie teraz jest manastyr chrześciański, Peruńskim nazwany. Potém gdy wiarę chrześciańską Rusacy wszyscy według greckich ceremonii przyjęli za Włodzimirza Swantosławowica roku od stworzenia świata (według ruskiego rachunku) 6497 a od Chrystusa 980, jakośmy o tém wyżéj napisali, zaraz ten bałwan z mostu w rzekę Wołchowę wrzucili.

Czechowie zaś i Bulgarowie Sławacy, bracia naszy, też bogi chwalili, ale osobliwie Nerota i Radamasa mieli. Najpierwszy z Sławaków Bulgarowie między wielkimi skałami za Dunajem ku Tracyi mieszkający, jakom sam od ich teologów, gdym tamtędy dwa kroć i tam i sam jeździł, ale raczéj chodził (bo trudno dla wyniosłych skał pod niebo na wozie leżeć) słyszał, i jako Cromer lib. 3 i Blondus świadczą, wiarę chrześciańską przyjęli za Mikołaja tego imienia papieża rzymskiego trzeciego, po Chrystusie roku 860. Potém mniéj niż we trzydzieści lat tym w sąsiedztwie przylegli: Raczowie, Serbowie, Bosnowie, Karwaci, Dalmate, Illirykowie, za panowania Swantopługa sławiańskiego książęcia, wiarę chrześciańską i lepsze obyczaje od Greków i Włochów sąsiednich przyjęli.

O tym Swentopługu pisze Wenceslaus kronikarz czeski, iż w Morawach na tenczas królował, w Wielogradzie stolicę mając, a z Morawcami swoimi naprzód się ochrzcił i wiarę Chrystusową uznał, a potém za jegoż staraniem i Borzywoj, czeskie książę, chrześcianinem został i żonę Ludmiłę i wszystek naród swój ku téjże wierze prawdziwéj przywiódł, lata od Chrystusa 900; a Długosz zaś świadczy, iż troje książąt Słowiańskich: Rościsław, Swantopełk i Kocel, od Greków wiary chrześciańskiéj przyjęli ceremonie, roku od Chrystusa 800, gdy na wschód słońca, to jest w Konstantynopolskim cesarstwie Michał, a na zachodnym rzymskim, Arnolphus, którego wszy ujadły, panowali.

A nawięcéj około ćwiczenia i nauczania w nowéj wierze tychto narodów słowiańskich świeżo ochrzconych Cyryllus i Metodius, biskupowie święci, pracowali, którzy też tego za dozwoleniem papieskim dowiedli, iż Słowakom swoim przyrodzonym językiem godzi się liturgie albo msze i insze obrzędy kościelne odprawować Omnis spiritus laudet Dominum! Aby wszelki duch chwalił Pana.

Polacy zaś naszy po Słowakach inszych roku od Chr. Pana 965 do wiary chrześciańskiéj przystąpili, z téj przyczyny, iż gdy był syn ślepy Zemomysławowi Leszkowicu, prawnukowi Piastowemu, książęciu polskiemu, roku 921 urodził, a gdy mu już lat siedm minęło, tedy książę Zemomisław wezwał do Gniezna, gdzie była jego stolica, wszystkich panów radnych i szlachtę, aby onemu dziecięciu, według zwyczaju pogańskiego, włosy przystrzyżono: bo w siedmi lat u Polaków, Mazurów i Pomorczyków był starodawny obyczaj dzieciom włosy pierwsze (co dziś u chrześcian chrzest, a u Żydów i Turków obrzezanie waży) postrzygać i imię dawać. A gdy się zjechali panowie do książęcia na one ceremonie, smętnie je odprawowali, gdyż i książę Zemomisław niemniéj się frasował, jako kiedy bez potomstwa był, tak i wtenczas, ponieważ syna ślepego, w starości ledwo doczekanego, widział, a gdy tak wszyscy miasto wesela żałośni byli, wnet oto radość niespodziana smutnych pocieszyła i uweseliła, bo dziecię bez żadnéj pomocy lekarzów przejrzało, które bez mieszkania sama księżna matka przyniosła z radością, dobrze widzące, do ojca przed biesiadujące. Co ujrzawszy oni goście, wnet wszyscy z niewymownym weselem z onego cudu dziwnego poruszeni, książęciu, księżnie i młodemu dziedzicowi szczęśliwego panowania winszując, radowali się, wierząc to być ku swojemu i wszystkiéj rzeczypospolitéj dobremu od bogów zrządzenie, przeto tym ochotniéj, weseléj i hojniéj, jeden za drugim i każdy z osobna radując się, za zdrowie, według zwyczaju pili, gonitwy stroili, tańcowali, krzyczeli, bogom dzięki czynili, etc. A dziecięciu onemu imię Mieczysław dali, jako temu, który sobie mieczem (ojczyznę rozszerzając) miał sławy nabyć, według Długosowego świadectwa. Ojciec jego Zemomisław, odprawiwszy wesele, i goście, pany radne i szlachtę pospolitą hojnie udarowawszy, opuścił ich, a od wieszczków pytał, coby się rozumiało to ślepe narodzenie, i nierychłe, aż w siedmiu lat oświecenie syna swojego, i jakieby powodzenie za jego żywota być miało; którzy powiedzieli: iż Polska w ciemnościach do tych czasów leżąca, za jego panowania oświecona być miała, co poganie rozumieli, iż miała być szerokością granic rozmnożona. Przeto ono dziecię za rozkazaniem ojcowskiem, jako na książęcy stan należy, było wychowane. Potém gdy Zemomisław Leszkowic, prawnuk Piastów, umarł, jako Długosz rachuje roku od Chrystusa 964, w Gnieźnie go pogańskim obyczajem pochowano, a na jego miejsce Mieczysław, syn ślepo narodzony, dobrowolnie od wszystkich stanów, monarchą polskim piątymnastym od Lecha rachując, wybrany. Ten, pierwszy

swój wiek w cnotliwym życiu wykonał, ale jako skoro dorósł lat swoich i swowoleństwa, rozpustniejszym został, bo żon siedm pogańskim obyczajem pojął, z którymi wszeteczności swojéj dosyć czyniąc, jednak potomstwa nie mógł otrzymać, dla czego często się uskarżał na nieszczęśliwą niepłodność swoję A między Polaki już byli niektórzy z wędrówki kupiectwa z Czech i z Morawii, z Szląska i z Oławy, wiarę chrześciańską, wracając się do domu zanieśli. Było też wiele cudzoziemców, częścią księciu polskiemu na dworze służących, częścią kupiectwa sprawujących, a częścią pustelnicy żywot w dalekich a głębokich pustyniach lasów, dla spokojnéj chwały Chrystusowéj wiodąc, wiele chrześcian mieszkało. Ci tedy poczęli książęciu Mieczysławowi radzić, przepowiadając mu prawdę wiary chrześciańskiéj, a obiecując mu na wszystkim szczęśliwe powodzenie i potomstwa rozmnożenie, skoroby jedno tę wiarę świętą szczerze przyjął. Opuścił tedy Mieczysław one pierwsze siedm żon, z któremi pogańskim obyczajem długo obcował, a zaraz posłał w dziewosłęby do Bolesława, czeskiego książęcia, (który ono był Wacława, między święte policzonego, brata swojego, w kościele na modlitwach zabił) aby mu siostrę swoję Dąbrówkę w małżeństwo oddał, czego mu Bolesław nie odmówił. A skoro przyrzekł wiarę chrześciańską gwoli małżonce przyjąć, posłał mu siostrę swoją, Dąbrówkę w świetnych pocztach do Gniezna, roku od Chrystusa Pana 965, gdzie tegoż dnia samo książę Mieszko, albo Mieczysław ze wszystkimi pany polskimi, przed oblicznością Dąbrówki oblubienicy swojéj i przed czeskimi pany, wiarę chrześciańską przyjął i ochrzcił się.

Pisze Miechovius, iż mu z Mieska Mieczysław imię na chrzcie przemieniono; tamże zaraz ślub małżeństwa świętego z księżną Dąbrówką przyjął, potém wesele z wielką a królewską prawie hojnością przez wiele dni wypełniwszy, pany czeskie, którzy Dąbrówkę przyprowadzili, znacznie udarowane odprawił, a wszytek się udał na rozmnożenie i gruntowanie w państwie polskim wiary Chrystusowéj, za napominaniem i usilnym staraniem żony Dąbrówki, kościołów dziewięć na różnych miejscach z ciosanego kamienia wnet postawił, i dochodami, także nadaniem klejnotów ubogacił, które na dwie diecesie stołeczne rozdzielił i dwu arcybiskupów w Polsce gnieźnieńskiego i krakowskiego, ustawił; drugie zaś kościoły i biskupstwa, jako poznańskie, smogorowskie, które bicineńskie, a potém wratysławskie przezwane jest; kruczwickie także, które za postępkiem czasów do Władysławia na kujawskie biskupstwo przeniesiono, płockie w Mazowszu, chełmińskie w Prusiech, lubuskie w Sląsku, i kamieńskie

biskupstwa założył, którym dziesięciny z wszelkiego zboża, tak z swoich jako szlacheckich i chłopskich ról, wiecznym wyrokiem przypisał i nadał. Przy tych fundacyach był legat papieski, Egidiusz kardynał, biskup tuskulański; a na arcybiskupstwach i biskupstwach, kanoniach i plebaniach hojnie nadanych, Włosi, Francuzowie, Niemcy, naprzód byli przełożeni, gdyż jeszcze Polacy do takich urzędów byli dla prostości pogańskiéj niesposobni. Pierwszy arcybiskup gnieźnieński był Wilibalmus; krakowski drugi arcybiskup Prechorias; poznański biskup pierwszy Jordanus, wratisławski Gotfridus; kruszwicki albo władysławski Lucidus; płocki Angelotus, chełmiński Octavianus; kamieński Julianus; lubuski Jacintus biskupi etc., za których pilnością i usilnym staraniem, wiara chrześciańska w Polsce wielkie wzięła pomnożenie, zwłaszcza gdy ich wiele podarkami książęcymi, który wszytko państwo swoje w téj świętéj sprawie objeżdżał, byli przyłudzonymi. Drudzy zaś groźbami do chrztu świętego przymuszeni bywali; za czym pogańskich onych bożków bałwany w miasteczkach i po wsiach były tłuczone, łamane i palone, i one ich sprosne pogańskie obrzędy wygładzone były od wojewodów, starost, wójtów i inszych przełożonych.

A iż tak w szerokim państwie księstw polskich, wiele ich było chrztu albo odrodzenia z wody i z Ducha świętego potrzebujących, a lud polski był bardzo prosty, gruby i uporny, dla tego książę Mieczysław jawnym wyrokiem wywołać po miastach i wsiach wszędzie kazał, aby każdy z osobna, tak szlachta jako poddani i wszelkiego stanu ludzie, pod gardłem i straceniem majętności, siódmego dnia Marca miesiąca, pochrzcili się, i tak wszyscy przez chrzest święty wiarę chrześciańską nabożnie przyjęli, a bałwany wszytkie popsowali. A pamiątkę burzenia tych bałwanów jawnie co rok, gdy ten dzień przyszedł, sprawowano; co i dziś w Wielkiéj Polsce i w Szląsku zachowują, abowiem dzieci w Niedzielę srzodopustną, uczyniwszy sobie bałwana na kształt niewiasty Ziewoniéj, albo Marzanny, który pierwéj chwalili, wetknąwszy na kij długi noszą, żałośnie śpiewając, a jeden po drugim opiewając, albo na wózku wożąc. Potém w kałużę albo w rzekę z mostu wrzucają, a do domów co wskok uciekają, jakoby od bałwanów do prawdziwéj chwały Chrystusa Pana.

Wyczyściwszy tedy od onych sprosnych pogańskich obrzędów Polskę swoję książę Mieczysław, dla gruntowniéjszego znaku, i zapalczywéj chęci wiary chrześciańskiéj, ustawił to, aby każdy slachcic, gdy kapłan miał ewangielią zaczynać na mszej: *Initium sancti Evangelii,* etc. mieczów do

połowice z poszew dobywali, które zaś chowali, gdy chór odśpiewywał: *Gloria tibi Domine*! jakoby okazując w sobie chęć zapaloną bronić ewangielii i wiary nowo przyjętéj: i długo ten obyczaj trwał w Polszcze.

HISTORYA NARODU POLSKIEGO.

przez A. Naruszewicza. Lipsk 1836.

Wstęp.

Kraj Polski, w jakiéj go teraz rozległości widziemy, utworzył się w przeciągu wieków z różnych ziem: które z początku, to jest, jak tylko o nich pamięć ludzka, bądź przez pisma, bądź przez podania zasięgnąć może wiadomości, od różnych krwią, językiem, i obyczajami ludzi były posiadane. Przypadki od rzeczy śmiertelnych nierozdzielne, a z nich pochodzące częste mieszkańców przemiany, jak innym krajom tak i naszemu nie jedną zdarzyły cywilną postać: póki już pewnem, i trwałem jedności, rządu, religji, i nazwiska ogniwem związanym nie został. Cóż albowiem była Polska teraźniejsza w pierwiastkach wiadomości o swojéj posadzie przed Erą chrześcijańską, owszem i długo po niéj? Oto kraj pusty i lesisty, albo w częściach tylko swoich niektórych tym ludem nasadzony, który starożytność piśmienna pod powszechnem Scytów, Celtów, Celtoscytów lub Sarmatów imieniem ukryła. Znali ją Grecy, lecz tylko przez handel, i przez osady swoje, które ku Dnieprowi pomknęli, gnieżdżąc się około Czarnego morza. Znali ciż sami, albo przynajmniéj słyszeli o głębszych jéj częściach około dolnéj Wisły, i morza Baltyckiego: z powieści tych co im bursztyn przedawali. Wszakże ta znajomość ciemna i niedokładna, mieszając bardziéj jeszcze prawdę przez podania gminne, przez dodatki zmyślonych powieści natworzyła tyle przeciwności, że w tym sprzecznych z sobą baśni odmęcie, ledwo tylko co podobnego dociekać można, a pewnego nic stanowić nie podobna. Zniknęło potém i to nazwisko Scytów w niepamięci ponurzone, lub rzadszem być poczęło. Rzymscy pisarze, gdy ich naród opierał już broń swoję zwycięzką z jednéj strony o Eufrat w Azyi, z drugiéj o Elbę, Dunaj i Dniestr w Europie, cisnąc się ku wschodowi i na północ, postrzegli znowu zdala tę naszą dziczyznę: lecz prawie na nią tylko spojrzawszy, mało coś pewnego i prawdziwego o Sarmatach w niéj mieszkających

powiedzieli. Powieści ich były ogólne, i niedokładne, albo na domysł tylko rzucone. Wielbiły łacinskie pióra Rzymiany, jako zwycięzców Sarmackich: namieniały czasem i o klęskach przez Sarmaty poniesionych; lecz jacy to byli Sarmatowie? zkąd się wzięli? gdzie mieli pewne swoje siedliska? zamilczały. Ciż Rzymianie, Panowie prawie świata, i już po zbitych na teraźniejsyéj Wołoszczyznie Dakach, sąsiedzi tychże Sarmatów, około Dniestra i gór karpackich siedzących, możeby przez osadniki tam swoje pewniejszego coś o nich powiedzieli, gdyby powstające wkrótce nieznajomych dawniéj barbarzyńców wylewy, a ciągnące się ku Dunajowi przez kraje Sarmackie, lub około nich zbrojne Gotów, Alanów, Hunnów i Wandalów orszaki, większą jeszcze ciemnotą, i tumanem krajów Sarmackich nie ogarnęły. Któż mógł dojrzeć iskierki światła prawdy w téj powszechnéj pomroce, przez cztery prawie wieki trwającéj? Zamieszały się w niéj narody Germańskie znajomsze Rzymianom, i od nich okoliczniéj opisane: a cóż mówić o Sarmatach, których udzielne imię albo zniknęło zgoła, albo wpadłszy w otchłań innych setnych narodów zbijających się z sobą, i pomieszanych, w ich się naturę przeistoczyło? Napełniła się po Gotach i Hunnach znagła Słowakami, nie tylko Sarmacya dawniejsza, ale Pannonia, Mezya, Illiryk, i Germania; którzy wytrąciwszy lub podbiwszy pod swoje jarzmo wędrowne przed sobą przybysze, oraz pierwotne, jeżli się jacy zostali, osadniki, sami szeroko hordami swojemi różnych nazwisk, od Wołgi do Elby, i Dunaju zalegli. Z tych to poślednich porodziły się nieznajome pierwéj ani Grekom, ani Rzymianom przez dziewięć blisko wieków narody i królestwa: Rusinów, Morawców, Czechów, Bulgarów i wielu innych: z tych wyszedł i naród Polski.

Nie przyznajemy sobie tyle światła, abyśmy najdokładniejszy jego z tylu wieków, z tylu ciemnot, i niepewności wywód uczynili. Próżneby to było przedsięwzięcie, lub na samych tylko domniemaniach i podobieństwach nazwisk trafunkowych słabo ufundowane. Myślą naszą jest to tylko powiedzieć o téj ziemi, i tych na niéj dawniejszych mieszkańcach, co o nich przypadkiem najdawniejsi pisarze powiedzieli. A tak uchyliwszy na stronę próżne szlakowania narodu Polskiego, że tak rzekę, z arki Noego od innych przyprowadzonego, przełożemy tylko czytelnikowi posadę kraju Polskiego, idąc za niezmiennem gór, rzek i morza przewodnictwem. Okażemy czasy, kiedy ten kraj, i jakim ludem był osadzony. Mówić będziemy w pierwszéj księdze o Scytach, Sarmatach, i Getach przed Erą Chrześciańską tu zamieszkałych: potém o tychże Sarmatach, Getach,

i Germanach po przyjściu Chrystusowem przez dwa wieki tu siedzących; tudzież o przechodzie Gotów przez Sarmacyą, i onych tam osiadłościach. Druga księga zamknie dzieje trzech wieków dalszych, sławnych przechodami różnéj dziczy Azyatyckiéj, ku granicom Państwa Rzymskiego około Dunaju; tam rzecz będzie o jéj zdobyczach, wojnach, klęskach, a z nich zguby, lub posuwania się ku Włochom, i za Elbę otwartą drogą do Europy Słowiańskich narodów kreślony zostanie obraz. W trzeciéj powiemy o Słowianach, ich rozległości, obyczajach, i religii. Czwarta zamknie początkowych niepewnych książąt naszych historyą: i zkąd wypłynąć mogły te baśnie, któremi ona jest napełniona.

* * *

Rok 1331.

Tymczasem nie przychodziły do skutku krzyżackie obietnice względem mającego nastąpić sądu polubownego o Pomeranią. Nowy mistrz krzyżacki Luder, książe na Brunświku, następca Wernera nie czuł się być w obowiązku dotrzymania umowy swojego poprzednika, ani na czas umówiony sprowadził króla czeskiego; lubo Łokietek uiszczając się w słowie zaprosił do siebie Karóla węgierskiego na dokonanie pokoju. Ten pierwszy krok wiarołomstwa potwierdził się nagłym Krzyżaków na zamek Bydgoski napadem, i onego zabraniem, nim jeszcze wyszedł czas zawieszeniu broni zamierzony. Król lubo nie ufał nowemu mistrzowi, iż z jego odmianą, rzeczy téż odmienić się miały, dla pokazania jednak powszechności, że słowo trzymał, oczekiwał do upłynienia czasu umówionego: a nimby znowu przyszło do wojny, widząc się być starym i słabym, umyślił rozdzielić ciężar panowania oddając Wielkopolskę pod rząd synowi Kazimierzowi. Dochodził już ten młodzieniec lat dwudziestu jednego, i zdał się być zdolnym do ulżenia prac sędziwemu ojcu, mając wszystkie przymioty godne tronu i miłości u ludzi. Wyznaczył zatym Łokietek miasto Chęciny w księstwie Sandomirskiem na zjazd powszechny wszystkich ziem, dla naradzenia się względem wojny z Krzyżakami, dla sądów walnych, i dla oświadczenia narodowi swojego przedsięwzięcia. Na tém zgromadzeniu za radą przytomnych panów poczyniwszy niektóre rozporządzenia, i ogłosiwszy różne edykta, ruszył z urzędu generalstwa Wincentego z Szamotuł wojewodę Poznańskiego, a księstwo Wielkopolskie oddał z zupełną władzą Kazimierzowi, aby sam w Krakowie spokojniejszy wiek kończył, mając towarzysza i pomocnika prac królewskich. Upominał syna do sprawiedliwego i łaskawego

z poddanemi postępowania; do pilnéj straży państwa, do odzyskania dawnych onego granic, przez Niemce, Czechy i Krzyżaki zabranych, a do naśladowania siebie męztwem i stałością w przywodzie walecznemu rycerstwu na odpór nieprzyjacielowi; że tym sposobem przy bojaźni Bożéj, a miłości ojczyzny, we wszystkich sprawach swoich pomyślne znajdzie powodzenie.

Ledwo Kazimierz przybył do Wielkiéjpolski, znalazł tam swojego i ojczyzny zdrajcę w osobie Wincentego wojewody. Odebrany mu poważny i zyskowny urząd starosty generalnego, za nie nader dobre onego sprawowanie, wzniecił w nim chęć szkodliwą zemsty i niewdzięczności ku panu, z którego ręki to dobrodziejstwo otrzymał. Książęta Szląscy, sami już hołdownicy Czechów, zdawali się być Szamotulskiemu słabymi nader do dźwigania go w ułożonem przedsięwzięciu. Udał się więc do Malborga, do mistrza Krzyżackiego Ludera, ofiarując mu poddanie Wielkiéjpolski, w któréj wiele jeszcze zamków i miast miał pod swoją strażą, z obietnicą przystawienia w ręce nieprzyjacielskie samego Kazimierza. Wzrastająca Krzyżaków duma w pochłonieniu całéj Polski kazała się im chwycić tak pochlebnéj okazyi. Zgromadzone natychmiast wojsko w jak największéj tajemności wzięło rozkaz ciągnąć za Wisłę w Kujawy. Dani mu za wodzów Teodoryk de Aldenburg marszałek, Otton de Luterberg wielki kommendor i Tomasz Oward Anglik, który mało co przed tym ze stokonną chorągwią na pomoc im przybył: a ci wszyscy z Wincentym wojewodą znosić się mieli. Około 22 Lipca przebywszy Krzyżacy rzekę pod Toruniem, gdzie wielki mistrz miał oczekiwać na skutek téj wyprawy, pokazali się naprzód pod Brześciem i Inowracławiem tak niespodziewanie, że gdyby straż czujna, postrzegłszy chorągwie nieprzyjacielskie, nie miała się do broni i bram nie zawarła, byłyby oba zamki w ręku krzyżackim. Straciwszy nieprzyjaciel do dwuchset ludzi, nie chciał się bawić oblężeniem dalszem tych fortec, spiesząc do Wielkiéjpolski, a zysk swój w prędkości i postrachu pokładając. Jakoż dobył naprzód i spalił Słupcę, miasteczko biskupa Poznańskiego; potem ruszywszy ku Pyzdrom, gdzie przez szpiegów o bytności Kazimierza wiedział, łatwo i to miasto opanował. Omyliła go jednak nadzieja pojmania królewicza, który znalazłszy sposób ucieczki, w lesie gdzieś okolicznym schronienie znalazł. Rozgniewany tą utratą mniemanéj zdobyczy żołnierz, rzucił się na gmachy miejskie: i całe to miasto z domami i kościołami w perzynę obrócił. Naostatek zapuściwszy drapieżne zagony za przywodem Szamotulskiego po obu stronach

rzeki Warty, nic tam w całości nie zostawił: a w oczekiwaniu z Prus i Inflant posiłków, tymczasem z niezmiernemi łupami znowu za Wisłę przepadł.

Tak pomyślna dla Krzyżaków wyprawa dała im powód wkrótce do drugiéj, lecz obfitszéj w ludzie i klęski wzajemne. Ruszone od mistrza wszystkie wojska z Prus, Pomeranii, z ziemi Chełmińskiéj i Michałowskiéj pod ich szczególnymi kommendorami. Ściągnęło się do ich obozu wiele panów Niemieckich od Renu i z innych krajów tegoż narodu ze swojemi pocztami. Pomnożyli tenże obóz Krzyżacy Infllantscy z ludźmi Szamotulskiego. Co wszystko wynosiło do kilkudziesiąt tysięcy bojowników w piechocie i jeździe. Przeprowadzone to wojsko przez Wisłę u Torunia pod sprawą Teodoryka z Altemburga marszałka, Ottona de Luterberg kommendora wielkiego, Sywarda Szwarcemburga i Jana kommendora Dobrzyńskiego, udało się ku Łęczycy, opuszczając Kujawy, których rabunek mistrz do powrotu swoich zachował. Obronił się zamek Łęczycki; miasto z okolicami wypalone. Przeciwnie w Kaliszu dobyta forteca, a miasto ocalało ze stratą oblężeńców po kilku dniowym szturmie, którzy tam oczekiwając próżno na posiłki Czeskie, rozsypali się na dalsze spustoszenia. Gniezno, Żnin, Nakło, Środa, Pobiedziska, Kłecko i Kostrzyń wszystkie te miejsca popsuły nieprzyjacielskie pożogi. Nie przepuszczono kościołowi katedralnemu w Gnieźnie: a gdy w nim nienasycona chciwość dostać nie mogła świętych zwłok męczennika Wojciecha, ukrytych dobrze przez tameczne kapłany, zostały w odpowiedzi wszystkie sprzęty koscielne wynalezione i rozszarpane. Z Wielkiéjpolski przenieśli rozbój w Sieradzkie, gdzie równie nie uszły klęski od ognia i łupiestwa zamki i świątynie, w Sieradzu, Uniejowie, Warcie, Szadku i Stawie wespół z miastami popalone lub zdarte. W Sieradziu przeor Dominikański, udawszy się do jednego z wodzów Krzyżackich, nazwiskiem Hermana, kommendora Elbińskiego, gdy go przez dawną przyjaźń w Elbingu, a litość chreściańską i skromność współzakonną zaklinał, aby niewinnym ludziom życia i majątku nie odbierał, odpowiedział mu hardy mnich językiem Pruskim *nesprest* to jest *nie rozumiem:* i złupiwszy kościół ze wszelkich ozdób, same mnichy z kapic, a czeladź ich z koszul na szyderstwo odrzeć kazał. Poszli znowu Krzyżacy do Kalisza, którego gdy ani tą razą dla posady i warunku od oblewów rzeki Prosny dostać nie mogli, po dwóch dniach oblężenia z utratą swoich kilkudziesiąt, udali się do Konina: a przenosząc ogień, trwogę i pustynie z jednego na drugie miejsce, wielką część Wielkopolski niesłychanych w dawniejszych wiekach szkód nabawili.

Uchylając się od podobnych klęsek ziemianie mieszkający w okolicach jeziora Zaniemyśla, ukopali wał na siedm mil długi z głębokim rowem, poczynając go od Zwolny i Kępy aż do Głuszyny, w który napuściwszy z jezior i błot przyległych wody, rozumieli się być bezpiecznymi od nieprzyjaciela. Szlachta, wieśniactwo, i kto tylko miał jaki majątek w sprzętach i dobytku, cisnął się za ten przekop, dla ocalenia fortun i osób własnych. Uwiadomiony o tym składzie nieprzyjaciel, wysłał tam trzy tysiące jazdy Pruskiéj; lecz i nasi ostrzeżeni od chłopstwa o ich ciągnieniu, posłali do króla, który już wszedł do Kujaw, prosząc o pomoc. Wyprawiony marszałek dworski z kilkuset nadwornéj milicyi, znalazł gotowe do obrony obywatelstwo z przybranym gminem; a z nim wespół wyszedłszy za okop, tak potężnie przyjął owe Prusaki, że z nich mało co z pogromu uszło. Długosz powiada, że za czasów jego jeszcze na tém bojowisku znajdowano liczne koście, świadeczne klęski nieprzyjacielskiéj. Lecz i na innych miejscach rozgromiały królewskie podjazdy rozbiegłych po łupiestwie Niemców tym śmieléj, że król był niedaleko z obozem, a na pierwszy odgłos wpadnienia ich w Łęczyckie, zebrał niepospolite wojsko z Sandomierzanów, Krakowianow, i Wielkopolanów, których rebellia Szamotulskiego nie dotknęła. Atoli widząc nierównie większe siły krzyżackie, w porządne hufce lekkiéj i ciężkiéj jazdy, oraz piechotę niemiecką opatrzone, nie śmiał im stawić pola; ale się tylko od Łęczycy za niemi gonił, lub wyprzedzał, szarpiąc z zasadzek, gdzie się podała okoliczność. Postanowili Krzyżacy napaść na obóz królewski w powrocie swoim niedaleko Konina, i tak zręcznie pod niego się podemknęli, że król rzucić musiał nagle swoje stanowisko, zostawując w nocy nieprzyjacielowi wozy i inne wojenne zawady a sam pomknął się ku Radziejowu. Trapiła go wielce nierówność mocy, aby się mógł w polu otwartém rozprawić, i w jednym dniu szczęśliwą bitwą tylu klęskom kochanéj ojczyzny tamę położyć. Przedsięwziął zatém zamysł trudny i niebezpieczny, lecz który pomyślny skutek w rozum i cnotę obrócił. Wiedząc iż Krzyżacy na radach i pomocy Szamotulskiego polegali, posłał do niego tajemnie z przełożeniem usilnem powszechnych narodu nieszczęśliwości, a razem z obietnicą powrotu do łaski i zapomnienia wszystkich przestępstw, byleby Krzyżaków porzucił. Obeszły okrutną duszę sromota zdrady, i żałość skrzywdzonéj ojczyzny: przystąpiła chęć dumna sławy, aby ten co jéj niedawno był zbójcą, został życia dawcą i mścicielem. Pod pozorem wybadania sił królewskich, wyszedł Szamotulski w postaci szpiega z obozu Niemiec-

kiego i przed królem się stawił. Miłość żarliwa ocalenia narodu od gorszych skutków kazała dobremu królowi zapomnieć na winę złego obywatela, i przyjąć go do łaski. Opowiedział wojewoda o stanie wojsk krzyżackich: iż lubo w nim wiele było mężów rycerskich, dobrze w odwagę, oręż i konie opatrzonych, więcéj atoli znajdowało się hałastry, czyniącéj pozór tylko wielkości, lecz płonnéj i bez serca. Radził królowi nie uchylać się od walnéj bitwy: że złamawszy naczelne tylko hufy strojne i dzielne, resztę ich sama trwoga zburzy i rozproszy. Obiecywał dołożyć starania, aby nieprzyjaciela okazywaniem słabości wojsk polskich od wszelkiego podejrzenia potyczki odwiódł: a w czasie gdy ona zajdzie, że z tyłu nań z ludźmi swojemi uderzy.

Po takich ułożeniach wrócił się Szamotulski do Krzyżaków, zapewniając o wszelkiem bezpieczeństwie: że król, świadomy dobrze ich większości, myślił tylko o porządnem cofnieniu się, aby z tak niebezpiecznego kroku swoich wyprowadził. Krzyżacy ufając powieści wojewody, jako mającego u nich wiarę, zaniechali gotowości do boju: a w przedsięwzięciu tylko uprowadzenia za Wisłę niezmiernych plonów z Kujaw, Sieradza i Wielkiéjpolski zabranych, poczęli ruszać się z wolna, ile przy nadchodzących już jesiennych niewczasach do Prus. Otton, wielki kommendor z niejakim Reus de Plawen wyszli przodem z częścią wojska dla opanowania Brześcia. Druga część ciągnąc obciążona zdobyczą ku Radziejowu, zbliżyła się ku wsi Płowcom czyli Blewo, i tam na noc obóz założyła. Równiny okoliczne, zdatne do wysforu koni i bitwy jezdnéj, w któréj najbardziéj król ufał, determinowały go, aby nie czekając daléj na tém miejscu spotkał się z Krzyżakami, ile już rozdzielonymi na dwa osobne zastępy. Dnia 27 Września ze wschodem słońca zbliżył się król pod obóz nieprzyjacielski, gdy jeszcze Krzyżacy spokojnie zasypiali, trunkiem całonocnym rozmarzeni i bezpieczni. Za ostrzeżeniem czatników powstała w ich obozie trwoga tym większa, że na słowo wojewody nikt się niespodziewał, aby Polacy nastąpić mieli. Mgła straszna nie dała korzystać królowi z rozruchu nieprzyjacielskiego. Trąby, kotły i wrzaski żołnierskie słychać było z obu stron: strony siebie nie widziały. Nieprzyjaciel miał czas do szyku: a król też nim przyszło do sprawy, wymowniejszy wiekiem i pracami podjętemi, niżeli w słowa, po krótkiém swoich upomnieniu na czele wojska oczekiwał. Wszakże szanowny monarcha, w bojach zrosły i osiwiały, niosąc szczątek życia na ofiarę dobra poddanych, uchylić się kazał, acz poniewolnie, synowi Kazimierzowi, oddając go pod straż szlachcicowi Nekandzie, herbu Topór, aby w przygodzie śmierci ojcowskiéj miał naród mściciela i obrońcę.

Z rozegnaną mgłą, gdy dzień jasny mężów, oręż i losy ich z pomroki wynurzył, ukazał się Krzyżacki zastęp straszny i ścisły. Albowiem kommendanci i waleczniejsi z Niemców bojownicy, żeby się w szykach i związku nieodstępując do upadłéj bronili, łańcuchami przez pasy puszczonemi samych siebie powiązali. Z piąciu królewskich hufców poskoczył pierwszy, złożony z nadwornego ludu i przebrańszego rycerstwa: za nim inne kolejno ze szlachty, z różnych księstw zebranéj. A gdy się zmierzały oba wojska, jak Krzyżacy mężnie się bili, tak Polacy choć od przewyższającéj liczby Niemców ogarnieni, ostatnich sił, nie cofając kroku, dobywali. Wstąpiła w okrzepłe siedmdziesiątletniego starca członki zielona pierwszych lat jędrność. Biegał między nieprzyjacielskiemi stosami król waleczny, zasłaniając się puklerzem od ciosów, a mieczem wzajemnie przeciwnikom zadając razy. Po kilkogodzinnych zapasach, gdy wojewoda obiecanéj nie dawał pomocy i wątpić poczęto o jego wierze, ukazał się on nakoniec, biorąc z tyłu nieprzyjaciela. Swieża moc na zmordowanych i niespodziewana wprawiła Krzyżaków w większą słabość, a daléj w utratę serca, zamieszanie i rozsypkę. Cisnęli ich tym dzielniéj nasi i byłaby już zaraz wygrana, gdyby Otton z Plawenem uwiadomieni około Brześcia o rozpoczętéj bitwie, uciekających swoich nie wstrzymali. Za ich nadbieżeniem odnowiła się bitwa, lecz nie na długo. Zwycięzcy nie chcieli sobie dać wydrzeć wygranéj: Krzyżacy téż znużeni drogą, i nie mogąc już do ładu przywieść swoich, podali tył sromotny. Tu już nie była równa walka, ale rzeź i zabój; mianowicie gdy Teodoryk, marszałek w głowę cięty, dostał się w niewolę z hrabiami de Plawen i Honstein. Do samego wieczora ścigany i bity nieprzyjaciel zasłał szeroko trupami pola. Legło wielu braci i Niemieckiego rycerstwa, a więcéj nierównie innego gminu. Liczba wszystkiéj straty wynosiła do 20 tysięcy. Z naszych zabito kilkaset: a między innymi znaczniejsi: Żegota z Morawicy, chorąży krakowski, Krystyn z Ostrowa chorąży Sandomierski, syn Prandoty kasztelana krakowskiego, i Jakub z Szumska, kasztelan Żarnowski.

Wiem o tém, iż z Niemieckich pisarzów jedni to sławne Polaków pod Płowcami zwycięstwo w milczeniu zostawili. Drudzy przyznawszy im wygraną z początku, tegoż samego dnia zwycięzców w innéj potyczce do szczętu znieśli. Inni nakoniec obie strony na równéj straty i sławy szali położyli. Myśmy poszli za Ekhardem spółczesnym, Cornerem późniejszym nieco, kronikarzami także niemieckimi: a Anonimem i Długoszem, z których pierwszy żył za Jagiełła, drugi za niego także: oba zaś co napisali, sły-

szeli o tém od starców na téj bitwie znajdujących się. Życie stuletnie nie było tak rzadkie w wiekach żołnierskich, pracą i wstrzemięźliwością hartownych, jak w naszych, gdzie młódź z pieluch pieskliwie wychowana, kwiat młodości rozpustą wędzi, a w pierwiastkach wiosny swawolna i słaba nieużytecznie niknie. Nazajutrz gdy król objeżdżał plac potyczki, znalazł jednego szlachcica, przebitego trzema włóczniami, nad którym gdy się zastanowił ubolewając iż wiele cierpiał, odpowiedział mu Floryan Szary (było to jego nazwisko): królu bardziéj mię boli zły sąsiad, niżeli te rany. Na to Władysław: bądź dobréj myśli: uwolnię cię od tego sąsiedztwa: i kazawszy go zanieść pod namiot dla wyleczenia, gdy żołnierz do zdrowia przyszedł, całą mu tę wioskę kupił a na pamiątkę cnoty rycerskiéj do dawnego herbu, zwanego *Koźlerogi*, trzy włócznie przydał.

Nie omylił się téż na słowie królewskiem Szamotulski; przywrócony do sławy i honoru, acz nie na długo: ponieważ w roku następującym szlachta Wielkopolska, uczyniwszy nań tajemny spisek za poniesione straty w czasie rebelii, na sztuki go rozsiekała. Nie był téż szczęśliwszy od Krzyżaków wierny ich sprzymierzeniec Jan Czeski: albowiem gdy tegoż samego czasu obległ Poznań, szlachta poznańska z mieszczanami dała mu odpór, że straciwszy przy oblężeniu do siedmiuset ludzi i porzuciwszy szturmowe działa, nazad wrócić się musiał, nadgradzając niepomyślność téj wyprawy kupnem Głogowa od Jana książęcia. Wreszcie ani poniesiona pod Płowcami klęska, ani bulla papiezka wyznaczająca komissyą na zweryfikowanie szkód biskupowi kujawskiemu poczynionych, ani nakoniec, jako pisze Długosz, negocyacya królów Czeskiego i Węgierskiego nakłonić mogła Krzyżaków do wrócenia Pomeranii: owszem oni tegoż samego czasu zprowadziwszy z Niemiec za pieniądze wiele pocztów zbrojnych, nowe przy końcu Listopada w Kujawach uczynili spustoszenie.

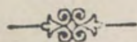
II.

PROZA

NAUKOWA I ROZUMOWA

CZYLI

DYDAKTYCZNA.



STOPIEŃ III.

ZASADNICZOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.

szeli o tém od starców na téj bitwie znajdujących się. Życie stuletnie nie było tak rzadkie w wiekach żołnierskich, pracą i wstrzemięźliwością hartowanych, jak w naszych, gdzie młódź z pieluch pieszczliwie wychowana, kwiat młodości rozpustą wędzi, a w pierwiastkach wiosny swawolna i słaba nieużytecznie niknie. Nazajutrz gdy król objeżdżał plac potyczki, znalazł jednego szlachcica, przebitego trzema włóczniami, nad którym gdy się zastanowił ubolewając iż wiele cierpiał, odpowiedział mu Floryan Szary (było to jego nazwisko): królu bardziéj mię boli zły sąsiad, niżeli te rany. Na to Władysław: bądź dobréj myśli, uwolnię cię od tego sąsiedztwa; i kazawszy go zanieść pod namiot dla wyleczenia, gdy żołnierz do zdrowia przyszedł, całą mu tę wioskę kupił a za pamiątkę cnoty rycerskiéj do dawnego herbu, zwanego *Kozlerogi*, trzy [illegible] przydał.

Nie omylił się też [illegible] kujawskiem Szamotulski; przywróceniem do łaski i honoru, ale nie na długo; ponieważ w [illegible] uczyniwszy mu tajemny spisek za poniesione straty w czasie rebelii, na sztuki go rozsiekali. Nie był też szczęśliwszy od Krzyżaków wierny [illegible] Jan Czeski: albowiem gdy tegoż samego czasu oblegli Poznań, szlachta poznańska z mieszczanami dała im odpór, że straciwszy przy oblężeniu do siedmiuset ludzi i porzuciwszy szturmowe działa, naząd wrócić się [illegible] nagradzając niepomyślność téj wyprawy [illegible] Jana książęcia. Wreszcie ani [illegible] papieska wyznaczająca komisyą na zweryfikowanie szkód biskupowi kujawskiemu poczynionych, ani nakoniec, jako pisze Długosz, rekwizycya królów Czeskiego i Węgierskiego nakłonić mogła Krzyżaków do wrócenia Pomeranii: owszem oni tegoż samego czasu sprowadziwszy z Niemiec za pieniądze wiele pocztów zbrojnych, nowe przy końcu Listopada w Kujawach uczynili spustoszenie.

A.

FANTAZYE

i

CHARAKTERYSTYKI UMIEJĘTNE.

OBRAZ
UMYSŁOWÉJ SFERY CZASÓW.

przez K. Gaszyńskiego. 1843.

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historyi swojéj: — w Religii do zupełnego zwątpienia — w Filozofii do zupełnego obalenia zasad Politeizmu. Augur śmiał się z Augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące śród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — quot capita tot sensus. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się, jąk mary po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcyi, rewolucyi, wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem, i plebejanin Mariusz i patryciusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiéj rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczynić!— Smierć tylko śmiercią wprowadzić można; — jedno życie tylko nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy czy *zatraciciele*, czy *odnowiciele* z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą: — pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży historia świata. — Jedni trzymają się podania Grakków, i chcą demokracyi — drudzy wierzą jeszcze w *Bogi Many* Appiuszów i marzą o arystokratycznéj Rzeczypospolitéj. — Takiém marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyznie i Bogach, i krzyknie: „Cnota jest także złu-

dzeniem." — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanéj przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiéj piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten bliski dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tém. Inna jeszcze tu występuje cecha — nad wszystkie ważna, dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materyalnéj strony ówczesnego człowieczeństwa. Kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, zkądinąd wszystko na polu materyalnych spraw i celów coraz bardziéj się kupi, zrasta,ześrodkowywa. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnéj nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imie: Juliusz Cezar; — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik, powie *jacta alea est*. — Cywilnéj wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallią o Egipt uderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomiesza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion nieznających siebie zetrze na piasek jeden, tensam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa! I o nim żydzi myśleć będą, że on jéj Bogiem! — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jéj Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! — On, świat przywiódł do materyalnéj jedności, bez któréj żadne słowo życia, rozejść się nie może — on ziemie znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat niewiele późniéj, któż zaczął stąpać po téj bitéj drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr — czy nie Paweł — czy nie Jan Święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcian przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowéj religii — że to samo co ich na *krótko-* i *kroto-*

chwilnych Bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi poczętemu z nieba — i że jedność materyalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyi podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym, postępu dla Chrześciaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jéj o ile sił zniewieściałych im stało — a tém samém ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym chrześciaństwa wzrostém! W ręku Optarności narzędziami byli — prawa historyi dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlerze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu szatanów widomych na ziemi, każden był sługą bożych myśli — każden jedną cegłą więcéj rzuconą do budowy kościoła. — Jako Imperatory prześli oni obarczeni przekleństwami ludzi — jako *cegły* zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w Historyi!

Discite historiam exemplo moniti! — Lat dwa tysiące upływa a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu; — ostatnie podrzuty Rzeczypospolitéj rzymskiéj odbiły się w strasznėm, epileptycznėm zadrgnieniu rewolucyi francuzkiéj. — Zerwały się cienie Maryusza, Sylli, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, St. Justa, Robespiera — wrzeszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! — A chrześciański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem któremu kwoli Duch Boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: „*odemnie liczyć się będzie nowéj Ery początek.*“ Wtém słowie zawarta prawda i jego i całéj przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska Napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w *niszczeniu*, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! — Od Grakków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa; od Lutra nowożytny nie miał pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziéj — i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okręgach religijnych wszędzie rozbrat: — Kościół katolicki, jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty — Schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześciaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana; protestantyzm sam sobie zagadki rozwiązujący i mówiący *consuma-*

tum est! W okręgach filozoficznéj wiedzy pewność — ale *braku* tylko; — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. *Wście-kło-flegmatyczne*, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii do najwyższego bezkształtu doszło. Jednostronność *myśli* tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódy jednostronność materyi, któréj się trzymał ród Encyklopedystów francuzkich. Ztąd mniemań, teoryi, przypuszczeń, systematów zgmatwany rój, brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześciańskie wszystkie, panteizm Indyjski cały, Dualizm perski, Monoteizm hebrajski, Idealność wyłączna i Zmysłowość wyłączna, wskrzeszone razem i w téj mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zsuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnienia, same proszące się o śmierć, by się prędzéj przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi napowrot! — Oto obraz umysłowéj sfery czasów naszych!

RODU LUDZKIEGO PRZESILENIE.

(Z dzieła: Ojcze-Nasz. 1848).

Święty Boże! cóż się dzieje w świecie? jakże uroczo, jakże obrzydliwie razem! Zewsząd prawda się wykluwa a kłamstwo przemaga wszędy. — Stroi się świat jakby na gody, przy pogrzebowem łkaniu głodzonych lub mordowanych; — morże roskoszy — i ocean cierpienia; — a przy roskoszy nuda, rozpacz przy cierpieniu! Powołani, obsiedli rozpustne życia biesiady, a niepowołanym przekazali zgrzytanie zębów na ziemi, a w ziemi wspólne grobowisko: bo mędrcy tego świata wyrzekli, że dla nich u stołu żywota nie stało już nakrycia. W sprawach publicznych prywata, w prywatnych zakała. Próżność się święci, a cnota próżnuje. Bożego słowa każden używa, albo nadużywa, ale nikt w niém nie żyje, ni ono nie żyje w nikim. Braterstwo ludzi i ludów się głosi, a Kainowe zbrodnie przeszły od ludzi do ludów! Tu postęp występkiem, ówdzie występek postępem! Tu życie silne a nikczemne, ówdzie konanie nikczemne a silne. A to życie pozorne, bo już zarażone śmiercią; a tamto śmierć pozorna, bo już zapłodniona życiem!

Oto przed nami nieprzypuszczane cuda przemysłu, oto niedomyślane skarby nauki, oto rosnące wciąż ślady olbrzy-

miéj a gorączkowéj pracy; oto zbytki, o jakich nigdy Sybarytom się nie śniło, oto siły jakich nawet wyobraźnia barbarzyńców... jecznym Tytanom przypisać nie śmiała! A przy tém wszystkiém lud i ludy łakną, pragną, i jęczą wzdychaniem niewymowném! Na cóż się to wszystko zdało? do czegóż to prowadzi? Cóż opatrzyła nauka uczonych, cóż zarobiła praca robotników, cóż obmyły nareszcie łzy tylu pokoleń? Święty Boże! cóż się dzieje w świecie!

Dzieje się po raz drugi to, co *raz* dopiero odbyło się w historyi, ale co już więcéj się niepowtórzy póki ludzkość ludzkością: rodu ludzkiego *wtóre* przesilenie. Świat stary umiera, a nowy się rodzi; świat *trzeci* nastaje!

Byćżeż to może? nasz świat pełen otuchy, w żywotne soki bogaty, w zasoby odwieczne uzbrojony, w drogi swoje zadufany; ów świat tak silny, że sił swoich chełpliwie nadużywać zdolen; tak uczony, że już ani wierzy, ani nawet wątpi; tak uczciwy z rachuby, o ile uczciwość popłaca; tak pewien siebie, że aż obojętny: miałżeżby już ustępować przed nowym światem w téj właśnie chwili, kiedy się sam zabiera tak wygodnie u siebie się rozgościć?

Pomnijcie na ostatek dni starego Rzymu, na jego wiekową potęgę i dzielność, na legiony jego nieprzezwyciężone, na praw jego zawarte sklepienie, na wszystko złoto przez niego zdobyte, na wszystko zboże spływające corocznie ze śpichlerzów świata całego, by karmić jego obywateli, tych panów świata; na jego drogi i wodociągi, na jego trudy i igrzyska, na fortunę rzymską wreszcie, któréj żadna ani przedtém ani potém niesprostała; i powiedzcie sami: kiedy takie słońce zaszło, jakieżby zajść nie mogło?... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające je przestrogi! Pomnijcie nareszcie na wyraźne przestrogi Zbawiciela, na dni Noego i na dni Lotowe. Wszakci i wtenczas ludzie jedli, pili, kupowali i sprzedawali, sadzili i budowali... i ufali w siebie, aż do dnia onego, w którym Noe wszedł do Korabia... albo Loth wyszedł z Sodomy. — Pomnijcie więc i czuwajcie!

Miałżeby świat nasz zasłużyć na los Rzymu, albo na los Gomorry? miałżeżby znowu potop jaki, potop krwi albo ciemnoty osromocić naszą ziemię?

— O nie! Potopu już nie będzie, na skażenie ziemi. Mogą być klęski, mogą być powodzie, jeźli je sami rozpuścicie; a wtedy jako ślepe uragany, porwać mogą ludzi złéj i dobréj woli. A zapobiedz im, od was samych zależy. Bo spojrzyjcie, wszakże wykształca się już różnobarwna *tęcza ludzkości*, ów znak wiecznego przymierza, znak spokoju

i pocieszania! Patrzcie a domyślcie się dróg i środków pańskich!

Wszakże już nie słabi jak dawniéj, ale przemnożni wołają o pokój! Wszakże już nie gołębice, ale sępy niosą gałązkę oliwną; a wszakże już nie sępy, ale gołębice zaprawiają się do walki! Cóż to znaczy? Oto, że ludzie, którzy znać za własnym tylko uganiają się zyskiem, pracują dla ludów; oto że ludy, które znać za własną tylko miłością rzucają się w katusze, pracują dla ludzkości!

Widzimy... i płaczemy nad niemi; bo oto tamci gubią się bezmierną chciwością, a oto ci gubią się bezmierném poświęceniem! A chociaż ani chciwość jednych, ani poswięcenie drugich nie mają spełznąć daremnie, to jednak żal nam słodkich cierpień tych, i gorzkich rozkoszy tamtych!

I żal nam onych którzy żadnéj rozkoszy ducha dotąd niezaznawszy, przecież cierpienia wiekuistego domyślać się już zaczynają.

O! wybaw, wybaw nas Panie!

O biedni my i słabi, mimo wszechbogactw i sił naszych! O nieradni my i nie dzielni, mimo doświadczeń i wszelkiéj wprawy naszéj! Mamyż więc sami jąć się dzieła, któremu dotąd niesprostały wieki, mimo natchnionych Boga posłańców? Gdzież mądrość, gdziez hart ducha po temu? Tylko zamęt w umysłach, czczość w sercach, niedołęztwo w charakterach! Zdołamyż biedne sieroty odbyć ten straszny przepływ ze starego świata ku nowemu o włosnych wiosłach i żaglach, bez gwiazdy, bez magnesu, bez sternika!

Sternikiem waszym Chrystus, magnesem bratnia miłość jego, przewodnią gwiazdą Święta Modlitwa którą wam przekazał. W téj to modlitwie zawarł on wszystko, czego wam na dal potrzeba; w niéj wskazał wam wszystko, do czego dotąd mieliście dążyć, do czego się sposobić, a co dziś właśnie przy spełnieniu czasów, pojąć i osiągnąć macie. Wszakże on przyrzekł, odchodząc do Ojca, iż niezostawi was sierotami, a czuwając nad wami do dziś dnia niebieskiém okiem swojém, obmyślił wam od początku a zostawił w pamięci waszéj zapis przyszłego dziedzictwa na czas pełnoletności waszéj.

SEN W PODHORCACH.

przez ks. Stanisława Chołoniewskiego. Wilno 1847.

Roku 18.. wracałem z Galicyi na Wołyń i przybyłem na nocleg do Podhorzec. — Ilekroć trafiło mi się przejeżdżać przez tę majętność Rzewuskich, zawsze mnie skorciło odwiedzić piękną kaplicę architektury włoskiéj i stary zamek. — Znany ci on dobrze ze swoich wielkich, niewygodnych, zimnych pokojów, wspaniale marmurami ozdobnych, z sufitów obyczajem włoskim urządzonych i z rozmaitéj swéj staroświeczczyzny. Była to późniejsza jesień, dzień przykry, dżdżysty, prawdziwie listopadowy; lecz że dość wcześnie przybyłem na nocleg, udałem się do kaplicy. Ta była zamknięta. — Przykro było patrzéć na jéj piękną facyatę już dość bliską upadku. Daléj poszedłem do zamku; lecz i ten był ciągle niezamieszkały. Zastałem na dziedzińcu tegoż samego burgrabiego, który mnie przed kilką laty wszędzie oprowadzał. Skoro mię postrzegł, dobył z kieszeni pęk kluczów i otworzył drzwi od głównego wchodu. Luboć nie raz jeden oglądałem osobliwości pałacu tego, przecież nie miałem serca odrzucić uprzejméj posługi, o którąm nie prosił, więc udałem się za nim do zamku.

Przeszliśmy wolnym krokiem, nigdzie się nie zatrzymując, wszystkie większe i mniejsze komnaty, aż do sali, w któréj, nie wiem, czy przypominasz sobie, znajduje się ów sławny okrągły stół z Oleśka, na którym, zaraz po narodzeniu się swojém król Jan III. był położony. Zachodzące za krwawy obłok słońce, przykry rzucało blask przez okopcone okna na ściany czarnego marmuru. Przewodnik mój i ja nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia: bo on już kilka razy wyspowiadał mi się był wszystkiego o tym zamku, a ja wcale nie byłem w humorze rozumowania, tak mi się smutne myśli snuły po głowie. — Nie dawno bowiem ojciec mi drogi przeniósł się do wieczności, a te marmury czarne, przywiodły mi na myśl moją ciężką stratę. Tylkom raz zapytał burgrabiego: — Dawno tu już panowie nie byli? — Dawno panie! odpowiedział. Nieboszczyka pana hetmana nie znałeś kochanku? Nie panie. Ani pani hetmanowéj? Nie znam jéj panie. — A pana Wacława? I tego nie znam: bo ich noga tu nie postała, od kiedy mnie tu na burgrabiego przysłano, to jest od lat dwunastu. Więc już go daléj nie pytałem, i jakeśmy przyszli, takeśmy w dwóch wyszli z pałacu milczkiem, jak ludzie idący processyą na eksportacyi jakiéj, Okazawszy potém wdzięczność moją sta-

ruszkowi, wróciłem spiesznie do kwatery mojéj w gospodzie. Mocno zimnym wiatrem przejęty, po krótkim pacierzu udałem się na spoczynek.

Ale daremnie; sen od powieki coraz daléj ulatywał a mnie się po głowie poczęli snuć wszyscy mi znajomi Rzewuscy, z których niektórzy pomarli, a drudzy nie są w stanie ten zamek od ruiny zachować.

Spojrzałem przez sen, a powieki były zamknięte.

Miły Boże! cóżem zobaczył? Wielki, wysoki pokój sypialny cały adamaszkiem karmazynowym wybity. Po prawéj stronie dwa staroświeckie ogromne okna szczelnie okiennicami zaparte, nad któremi firanki tegoż koloru były zapuszczone. — Po lewéj wysoki z czarnego marmuru komin, z zegarem kształtu antyków. Nad nim z niewielkich tafel układane zwierciadło weneckie, w ramy srebrne misternéj filigranowéj roboty oprawne. Z jednéj strony komina bliżéj mego łóżka dwa ogromne obrazy od sufitu do podłogi ścianę zakrywały, z drugiéj strony dwa drugie téjże saméj wielkości ukazywały się. — Odźwierki okien, drzwi i podłoga były czarnym marmurem wykładane. — Sufit z tafli snycerskiéj roboty, mocno pozłocony. — Przy ścianie poprzecznéj naprzeciw miejsca, w którem się znajdowałem, stało łóżko staroświeckie z baldachinem i firankami jedwabnemi karmazynowemi, które podniesione były. — Na łożu nawpół siedział nawpół leżał młodzieniec jakiś w stroju niedbałym. — Przed nim stolik, na którym lampa słabe rzucająca światło i kilka leżało ksiąg rozwartych i papieru kilka arkuszy porozrzucanych. Zdawało się, że pisaniem był zajęty. — Wszystko to mi się dość niewyraźnie ukazało dla braku żywszego światła. Wtém na zegarze wybiła dziesiąta, głownia na kominie z trzaskiem wielkim prysnęła, przeraźliwym długim piskiem jęknęła, i tak się dzielnie zajął ogień, że cała komnata nagle, jakby pochodniami oświecona została. — A mnie taka opanowała ciekawość, żem już nie myślał o przewróceniu się na drugi bok, tylko lepiéj jeszcze przez sen oczy otworzyłem, a powieki były zamknięte.

Chciałem przedewszystkiem młodzieńcowi się przypatrzyć na łożu spoczywajcemu; ale nim tam doleciał wzrok mój, pomimowolnie zatrzymały go najbliższe dwa obrazy obok komina umieszczone. — Pojrzę na pierwszy.

Boże mój! cóż to za prześliczny Polak!! (pomyślałem sobie). Był to pan wysokiego wzrostu, wspaniała figura od stóp do głowy. Oczy miał ciemnobłękitne, i niewypowiedzianie szlachetnym sposobem wesołe. Wszystko w nich było, co tylko wielka dusza pozazdrościćby mogła; uprzej-

mość, wyrozumiałość, bystrość dowcipu, bez najmniejszego cienia obłudy, rozsądek, stateczność bez uporu, jakieś spokojne męstwo z głębokich źródeł serca płynące, wszystkie te promienie duszy na przemiany odbijały się w jego wzroku, jak w czystém zwierciadle, i wielki rzucały blask na wypogodzone czoło, a żaden z nich zbytnie nie raził. Całe to oblicze zdawało się powleczone cichością serca, jakby jaką srebrzystą zasłoną. — Inne rysy twarzy były także bardzo piękne; czupryna podgolona trochę, włosa ciemnego, wąs takiż, broda niezbyt długa i nieco kędziorem wijąca się; cera świeża, nieco ogorzała, lekki rumieniec, okazywały jeszcze wielką czerstwość wieku, lubo gdzie niegdzie srebrzył się włosek na głowie i koło ust wielce powabnych. — Co się zaś tyczy sztuki malarskiéj, ten obraz był najdoskonalszym ze wszystkich w tym pokoju będących. Strój zaś był taki: (równie bogatego w życiu mojém nie trafiło mi się widzieć ani na obrazach, ani w istocie). Krój kontusza był z czasów zygmuntowskich. Podobnie się nosił stary wojewoda Kicki, któregom pierwszy raz widział roku 18.. na pokojach u cesarza Aleksandra. — Kontusz zaś sam na obrazie był koloru jak śnieg białego, w kwiateczki także białe, wyrabiany z misternéj jakiéjś materyi mnie nie znanéj, wiem tylko, że nie bławatnéj: poły miał z przodu dobrze rozchodzące się, wyloty w tył zarzucone. Żupan karmazynowy z przecudownego bławatu perskiego, rozlicznemi wzory i barwy mienił się; pas po żupanie tegoż samego koloru z tyftyku perskiego wielkiej ceny, bóty skórzane ponsowe tak przychodzące do nogi i stopy, iż rzekłbyś pończoszki jedwabne; podkówki złote. — Lecz nadewszystko ozdoby z drogich kamieni biły w oczy i prawie raziły swym blaskiem. Wielki soliter, jak orzech włoski, błyszczał w spince u szyi. Z jednego boku kontusza wszystkie haftki były brylantowe, a z drugiego każdy guz była jedna perła urjańska między dwa brylanty osadzona. Guzy zaś żupana wszystkie, były także wielkie dyamenty. Równéj zaś wielkości kamienie, jak klejnot w spince, okrywały rękojeść karabeli i część pochwy, reszty bowiem nie można było dostrzec pod zapuszczoną połą. Dziwnie pięknie blask tych wszystkich brylantów odbijał się na czerwieni spodniéj szaty. Na piersiach miał gwiazdę także z ogromnych soliterów. Z razu nie mogłem dostrzedz, jaki to był order, tak mi klejnoty wzrok ćmiły; kształt przytém gwiazdy nie był podobien do tych, które mi były znane. Potém, przypatrzywszy się lepiéj, ujrzałem na krzyżu gwiazdy te słowa, także brylantami wysadzone. *Vicisti, vince* i przypomniałem sobie, że Władysław IV. ustanowił order na cześć Niepokalanego

poczęcia Maryi Panny, który niepamiętam już dla jakich powodów nie przyszedł do skutku, bo dopiero król Sas utworzył order orła białego z godłem: Pro fide, lege, et rege. Piękny ten pan na obrazie miał jednę rękę wspartą na pasie a w drugiéj trzymał lekką czapkę z drobniutkim barankiem, piękne pióro czaple w kokardzie dyamentowéj osadzone było.

Któż to być może ten Sarmata wspaniały? — Ot sen i mara, nic więcéj, lepiéj więc przewrócić się na drugi bok i porządnie zasnąć!!... Tylko com miał to uczynić, głośne, głębokie westchnienie pomimowolnie zmusiło mię patrzeć przed sobą i pojrzałem, lubo powieki były zamknięte:

Młodzieniec zerwał się z łoża i począł niespokojnym krokiem przechadzać się po pokoju; mógłem mu więc z bliska dobrze się przypatrzyć. Mógł mieć lat około 23. Rysy twarzy były piękne, delikatne, lecz zniewieściałe. Włos jasno żółtawy, rozczochrany, czoło zupełnie odkryte, brwi bardzo ciemne i skupione nad oczyma blado niebieskiemi; i ta sprzeczność nadawała jego twarzy jakąś cechę dziwactwa, był to, iż tak powiem, wybitny rys kaprysu. W rannéj odzieży, z piersią i szyją odkrytą, niepewne stawiał kroki i zatrzymywał się często zamyślony; widać było zaraz, że to on tak głęboko przed chwilą westchnął. Porwał potém nagle lampę ze stolika, szybko postąpił do portretu, który po drugiéj stronie komina, trzeci po panu Koniecpolskim, znajdował się i zapalił lampę, przymocowaną do jego ramy, urządzoną w celu malarskim, żeby obraz w przyzwoitém sobie ukazywał się świetle. Jest to scena z poematu Götego, w któréj Mefistofil z Pentogrammatu czarnoksięskiego siłą, mocą, zaklęciem dobyty, ukazuje się w postaci znakomitego męża przed Faustem.

W tém turkot powozu zajeżdżającego przed dom dał się słyszeć, a ja pomyślałem sobie: „Chwała Bogu! ktoś do tego panicza przybył z wizytą; przerwie mu jego niedorzeczne monologi, które gniewają pp. hetmanów, a mnie wielka opada trwoga, ilekroć oni się odezwą.

Jakoż w istocie w kilka minut potém pokryte drzwi adamaszkiem i zupełnie dotąd przezemnie nie postrzeżone, z trzaskiem się rozwarły, i wszedł do pokoju raźnym krokiem dziwacznie przybrany młodzieniec. Był on twarzy wesołéj i dość przyjemnéj, lecz wiekiem zdawał się być starszym nieco od tamtego panicza; w ręku trzymał maskę. Strój jego także był maskowy i najdokładniéj naśladujący ubiór Mefistofila na obrazie, tak, że nawet o klamerce płaszczyka hiszpańskiego nie zapomniano. Włosy, wąsy i bródka, były równie jak u Szafrańca.

— Wszak to Miecielski? (zapytał młodzieniec wahającym się idąc naprzeciw niemu krokiem).

Miecielski. Czyś mnie nie poznał od razu Zygmuncie? Przecież nie włożyłem jeszcze maski na twarz. — A to przednia rzecz!

Zygmunt. Nie kładź jéj wcale Stasiu, tak będziesz lepiéj mógł oddać charakter twarzy Mefistofila.

Miecielski. Dziękuję za łaskę, nieczuję w sobie najmniejszego powołania do zręcznego małpowania tego arcyłotra, i przejęcia się jego, (jak ty mówisz) geniuszem. Przyznam ci się nawet, żem ci nie mały dał dowód przyjaźni, kiedym się zgodził na ten kostium tego obmierzłego szatana.

Zygmunt (śmiejąc się). O cóż ci idzie, wszakże i u nas w Polsce nie inaczéj tylko tak musi być ubranym.

Miecielski. Właśnie to téż wielkiem głupstwem znajduję. Dla czegoż my to nie możemy mieć naszego narodowego djabła? Wy, literaci, ciągle rozprawiacie i piszecie o narodowości, a jeszcze niezgodziliście się na kostium djabła polskiego. Powtarzam więc, że wasza erudycya, panowie literaci, funta kłaków nie warta, kiedy nie umiecie się zgodzić na kostium djabła polskiego. — Stryj mój, pan kasztelan Sandecki, wielki znawca i miłośnik starych gminnych powieści, zapewniał mnie, że wyobrażenia o djabłach w sukniach hiszpańskich, czy niemieckich, zjawiło się dopiero w Polsce wtedy, kiedy za Zygmuntów nasza szlachta zaczęła wysyłać dzieci do Witembergu i innych akademii luterskich, z których potém oni niemieckie nowinki do kraju przywozili z sobą; lecz że przedtém djabeł polski inaczéj zupełnie wyglądał w oczach ludu.

Zygmunt. Jakże naprzykład?

Miecielski. Oto był cały czarny, jak murzyn; rogi miał na głowie, twarz najochydniejszą, oczy jak dwa żarzące się węgle, pół łokcia języka czerwonego z pyska mu wisiało, koźle kopyta miasto stóp ludzkich, potężne pazury u palców, nakoniec długi sążnisty ogon. I nato są niezaprzeczone dowody po starożytnych obrazach w naszych starych cerkwiach i kościołach. Drwij sobie, drwij! To był prawdziwie djabeł narodowy. — Sto tysięcy razy charakterystyczniejszy, zabawniejszy i tęższego ducha, od tego waszego luterskiego, szwabskiego, wymokłego bakałarza Mefistofila, (potém spojrzawszy na siebie dodał). Cierpieć tego kostiumu nie mogę, i wolałbym już pójść na bal w stroju starego djabła z rogami i językiem karmazynowym.

Zygmunt. Dobrze, dobrze, drwij sobie. — Ty wiesz, że poeci są jasnowidzący, jak lunatycy; widzą, chodzą, dzia-

łają, żyją życiem wzniosłem, duchownem wśród najciemniejszéj nocy waszego prozaizmu.

Miecielski. I jak puszczyki poczciwym ludziom spać nie dają. — Gniewaj się, nic to nie szkodzi, bo ja choć raz muszę ci Verba veritatis dobrze wyrecytować. — Co mi tam po waszém poetyckiém życiu, kiedy w niem zdrowego rozumu nie ma; co mnie tam po waszéj wyobraźni, co jak szalona dziewka po domie biega, gotowa nawet z trzeciego piętra skakać dla tego, że gospodarz domu, rozsądek, bezwładny leży, jakby paraliżem ruszony. Ja wiem, że to wy się niby tém szczycicie, iż się nie poddajecie zimnym rarachubom rozumu i rozsądek kładziecie w rzędzie jałowéj prozy. — A jabym się niewiedzieć o co założył, że Homer wasz protoplasta, że Dante, Milton, Wirgili, Szekspir, i wielu ich tam liczycie ojców poezyi, byli w swéj sztuce pisania najrozsądniejsi ludzie. — Wszakże sami ich pod niebiosa wynosicie z głębokiéj ich znajomości serca ludzkiego i stosunków świata, który nam przed oczy stawią: jakżeby ją posiadać mogli bez rozsądku i rozwagi? prawdziwy, niesztuczny zapał poetyczny nielęka się rozumu, owszem bierze go za mocną podstawę wszystkich swoich utworów. Tylko chwilowy szał rozhukanéj fantazyi nadrabia chałasem, żeby pokryć niedostatek siły duchownéj i zrywa skwapliwie więzy przyzwoitości i odwieczne prawa umysłu, zupełnie w tém podobny do ckliwego szampana, którego pianka wysadza z trzaskiem korek butelki, łechce trochę podniebienie, lecz w słabości sił nie podźwignie. A mnie się zdaje, że geniusz jest jak stare wino węgierskie, od którego naczynie nie pęka, lecz kto go w miarę umie zażyć, wzrasta na siłach i trzeźwy jest, nie doświadcza bolu głowy.

Teraz pozwalam ci Zygmuntku do woli się dąsać, bo co tylkom miał na sercu przeciw tobie, wyszło jak oliwa na wierzch.

Potém Miecielski przechadzając się po pokoju z Zygmuntem zatrzymał się przed obrazem magnata, bogato w klejnoty przystrojonego, a przypatrując mu się długo z upodobaniem, tak się odezwał:

To mi ale pan i piękna postać! Pan kanclerz wielki koronny. Jakże to ja kocham twego Antecessora linii macierzyńskiéj, pana Jerzego Ossolińskiego. Jakiż to był piękny, ukształcony umysł przy najszlachetniejszych przymiotach serca. — Któż wspanialéj potrafił Rzymowi ukazać w swéj osobie zacność wielkiego narodu, jak ten wielce przyjemny i uczony pan? Mniejsza o to, że przy jego tam paradnym wjeździe na poselstwo powodowe bachmaty jego,

srebrne, czyli złote podkowy gubiły: bo przepychem i Turek rad się nadstawia; ale kiedy on z posłami europejskich dworów, wówczas w Rzymie bawiącymi, z każdym jak najpłynniéj własnym jego językiem począł rozmawiać, i wszystkich swoją nauką i miłem obejściem się w zachwycenie wprawił, jak niegdyś sławny Jan Zamojski, o! wtedy, to każdemu przytomnemu Polakowi miło musiało być przyznać się do rodu takiego człowieka. Zygmunt pojrzawszy na obraz i na Miecielskiego uśmiechnął się. Miecielski rzekł: Cóż cię tak rozwesela?

Zygmunt. I ty Stasiu śmiać się będziesz, jak ci się do jednéj rzeczy przyznam; możeby lepiéj było milczeć, ale nie, w takiś mnie dobry humor wprawił, że ci się z tego dziwactwa wyspowiadam. — Być może, że mi na to znajdziesz lekarstwo jakie, bo mnie samego ta rzecz czasem trapi.

Miecielski. Mów, mów — cóż takiego?

Zygmunt. Wiedz tedy, że kiedy z wieczora zasnąć nie mogę i smutne mam myśli, albo nadedniem, w łóżku z zamkniętą powieką marzę o dawnych dziejach, w fantazyi mojéj staje zupełnie, jak go tu widzisz, pan kanclerz Ossoliński, we wszystkich tych drogich kamieniach, tylko że one wówczas daleko mocniéj błyszczą, niżeli na obrazie, luboć on jest niepospolitego włoskiego pędzla. — Powiesz mnie: nic dziwnego, dla tego, że to malowidło mam zawsze przed oczyma; prawda, lecz w tém jest rzecz osobliwa, że ja w tym stanie dobrze poznając, iż to jest mój pan kanclerz z portretu, przecież mam jakieś niczem nie przezwyciężone wewnętrzne uczucie, że ten sam pan Ossoliński jest także (zatrzymuje się).

Miecielski. Cóż jest? co? powiedz!

Zygmunt. Jest moje własne sumienie.

Miecielski. Jakto sumienie twoje? niewiedzieć co!

Zygmunt. Tak, sumienie moje, albowiem ilekroć trafi mi się błąd jaki popełnić i niespokojność mnie ogarnie, ten pan kanclerz staje przedemną i wymawia mi głośno. — Najskrytsze myśli moje, które chciałbym ledwie nie przed samym sobą zataić, na jaw mi dobywa. Czasem grozi, czasem upomina tylko; niekiedy bardzo słodkim głosem przemawia do mnie, jak najczulszy ojciec, i głęboko nademną wzdycha. Bywają dni, w których bliżéj do mnie przystępuje, np. w rocznicę śmierci matki mojéj, w którym dniu mam zwyczaj spowiadać się, niezawodnie widzę go z rana, a on po prostu napędza mię do kościoła. Także kiedy jestem zajęty jakiémś nowém przedsięwzięciem, albo rozmy-

ślam o jakiemś nowem dziele, lub téż z kim mam zabrać znajomość.

Miecielski. Proszę cię mów daléj, bo to mnie wielce zajmuje.

Zygmunt. Owoż tak, jak ten pan kanclerz, w roli sumienia mego, ukazuje się także w myśli mojéj, w stroju zupełnie takim, jak dziś twój....

Miecielski. (Przerywając mu) Mefistofil, zaraz domyślałem się tego. Piękne towarzystwo, nie ma co mówić. — I jakim ci się okazuje?

Zygmunt. Zupełnie takim, jakim go geniusz Göthego na świat wydał. Wysokim, śmiałym duchem, pełnym nowych oryginalnych myśli. — Jest on najlepszego tonu, przytém grzeczny niezmiernie, lecz trochę pochlebca, a nadewszystko w najwyższym sposobie drwiarz dowcipny i z tego względu rozmowa jego jest czasem przykra.

Miecielski. Jakto, ty się wdajesz z nim w rozmowy?

Zygmunt. Dziecko jesteś, Stasiu! wszakże to są czcze płody fantazyi, któréj twórcza siła swobodniejsza jest w tym półcieniu myśli przy nawpół uśpionych zmysłach. — Ilekroć Mefistofil mi się więc zjawia, zaraz pan kanclerz w. dąsa się i poczynają sobie się sprzeczać, bo się nie cierpią od dawna. Mefistofil jest zwykle grzeczniejszy i dowcipniejszy w swych odpowiedziach; ale pan kanclerz ma za to więcéj Logiki i powagi. Z tém wszystkiem widzę, że to zakrawa coś bardzo na chorowity stan jasnowidzących, albowiem od niejakiego czasu nadto mi się naprzykrzają te somnambuliczne mary. Muszę pomówić z moim doktorem, żeby mi dał coś chłodzącego. — No Stasiu, śmiej się — co się tobie stało?

Miecielski. (Pokrywając smutek). Śmiać się nie mogę. (zdejmując z szyi medalik Matki Boskiéj na jedwabnym sznureczku i podając go Zygmuntowi mówi): Mnie ten medalik dała ciotka, Karmelitanka bosa w Krakowie, zapewniając, że kto go nosić będzie z wiarą na sobie, wolny będzie od wszelkiéj trwogi i niepokoju dniem i nocą. — Ja mam drugi taki i sam doświadczyłem, że jéj słowa są prawdziwe. Proszę cię, włóż go na siebie, a zobaczysz, że będziesz lepszy miał sen. Wszakże ty nie Wolterzysta, bo to już nie w modzie u was: Z resztą dobra noc, Zygmuntku.

Zygmunt. Dobra noc — Stasiu — kłaniaj się pięknie odemnie wojewodzinie i oświadcz proszę mój żal, że mi zdrowie nie dozwala być na jéj balu.

I zasnął młodzieniec i była cisza grobowa. Wtém od portretów uderzyła jasność i dym. Struchlałem. Kanclerz, sumienie wystąpił na pokój a równocześnie prawie ruszył się Mefistofil.

Sumienie poszło wprost do okien i otworzyło okiennice. Dzień był już wielki i jasny, niebo pogodne, i cała ta część pokoju dobrze oświeconą została.

Mefistofil wnet począł szukać najciemniejszego kątka, żeby się w nim ukryć. — Sumienie tym czasem tak się odezwało: „Kryj się, jak chcesz, znam cię ptaszku nocny, nic ci to nie pomoże.“ Potém przystąpiwszy do łoża młodzieńca śmiało, z surową twarzą, tak doń przemówiło: „Wstawaj, już pora, panie Zygmuncie, Aleksandrze, Napoleonie, czy jak ci tam imię, bo waćpana z niepotrzebnéj dworszczyzny coraz inaczéj w dzieciństwie przezywano. Wstawaj, czy to się godzi tak długo leżeć? Wstydź się. — Przeżegnaj się. — Pomódlimy się nie długo, ale szczerze, a potém pogadamy o ważnych waćpana interesach. Człowiek na to przyszedł na ziemię, aby pracował, i to poczciwie.“

Zygmunt. Ach! szanowne sumienie! prawdę mówisz, ale zawsze jedno a jedno, czy nie masz, drogi panie, co nowego?

Sumienie. Nic nie mam nowego dla ciebie, panie Zygmuncie, Aleksandrze, czy jak ci tam imię, póki się waść sam na nowego człowieka nie przerobisz, nic nowego, jakem sumienie! wszystko stare, ale pożyteczne dla waćpana. Porzuć waść łegatorstwo, porzuć to nieustanne przy sygarze polowanie za nowemi jakiemiś myślami, to niedobre literackie próżniactwo. Czyś waćpan zapomniał o starém przysłowiu Salomonowém: Nihil sub sole novum? (Ecles. C. I. v. 10). Nie nadymajże się z téj odrobiny talentu, coć Bóg udzielił w miłosierdziu swojem. Nie ufaj ślepo każdéj myśli, coć przez głowę przeleci, jak nietoperz przez stary, otwarty lamus; lecz wprzód ją dobrze waż na szali rozsądku, inaczéj narazisz się na największe brednie, i na szwank wystawisz twe uczciwe serce, jak to się wczoraj już stało, kiedyś waść zamyślał na bohatera forsztelować tego watażkę Chmiela. Co za srom i hańba! Mój Boże! mogłżem się ja tego spodziewać po waści, panie Zygmuncie, potomku tak wielkich miłośników wiary i ojczyzny? — A wiesz waćpan z kąd to pochodzi? po części z niegodziwych książek, więcéj może jeszcze z nieukostwa w rzeczach religii, a nadewszystko z najgorszego towarzystwa, w którém waćpan zostaje. (Tu pojrzał groźnie na Mefistofila). Nie dziw, że

z takim doradzcą różne nieprzyzwoite zamiary snują się waści po głowie.

Mefistofil. Ja od początku świata, dniem i nocą nad niczem innem nie pracuję, jeno nad konkordancyą rozdwojonego ducha ludzkiego, żeby się on pozbył owéj szkodliwéj tęsknoty za rzeczami niewidzialnemi, za jakiemś szczęściem urojonem, nadziemskiem, (prawdziwe gruszki na wierzbie), co odrywa go tylko od rzeczywistej, dotykalnéj pomyślności, którą ma pod ręką. Pracuję, żeby w człowieku i sumienie się uspokoiło i ludziom było wesoło na świecie. Wszakże to dzieło jest godne prawdziwych przyjaciół i dobroczyńców ludzkości. A przecież, wieleż ja tu już wycierpiałem prześladowań za tę moją krwawą pracę, za tę walkę zaciętą ze zgubnemi przesądami? — Ale taki był i będzie zawsze los poświęcających się dla narodów; zawsze płytka zawiść gminu powstaje z zawziętością przeciw wspaniałym przedsięwzięciom, bluźni to, czego pojąć nie jest w stanie. Wszakże cechą prawdziwéj cnoty jest statek, a wielkie przeciwności podwajają siły wielkich serc. Z tém wszystkiem nie przeczę, że pragnąłbym pomocy, czynnego współdziałania w pięknym zawodzie, (tu obrócił mowę do sumienia i rzekł sentymentalnym głosem) Szanowny mężu! połączmy nasze usiłowania...

Sumienie. (Ze świętym gniewem powstawszy, krzyknęło). Bodajeś na wieki przepadł, czyli raczéj wrócił tam, zkądeś na zgubę tego młodzieńca wyleciał! Vade post me Satana! Mnie się z tobą godzić? i łącznie z tobą działać? jest to to samo, co samobójstwo popełnić. Ale ty wiesz dobrze, duchu nieczysty! że ja umrzeć nie mogę, bo Chrystus położył na mnie cechę wieczności, zapalił w mem sercu pochodnię światła swego boskiego.... Tu Mefistofil zniknął.

Między Zygmuntem a sumieniem jego, czyli panem kanclerzem, taka się nakoniec wszczęła rozmowa:

Sumienie. Jak się czujesz na zdrowiu Zygmuncie?... uspokój się.

Zygmunt cały drżący i blady zdawał się nie słyszeć tych słów, z trwogą się przytulał do ramienia pana kanclerza niespokojnie patrząc obok siebie, jakby się obawiał czyjejś bytności: nakoniec słabym odezwał się głosem:

— Ach! gdzież to ja byłem?... jakaś przepaść... nie wiem gdzie byłem, mój Boże!... co to za okropna twarz, jeszcze w blasku słońca i obok ciebie panie.... Ach żebym tylko mógł wygluzować z pamięci tę szkaradną poczwarę piekła.... ona mnie oczy i mózg wypali.... ona mi zaczerni i zabrudzi

wszystkie myśli.... wyssie wszystką krew serca mego.... Ach! nieopuszczaj mnie kochany, szanowny mój dobroczyńco! Nie opuszczaj mię, ojcze, królu méj duszy! Przebacz memu niewypowiedzianemu głupstwu i szaleństwu! Bez ciebie ja żyć nie mogę... I tak mówiąc, to składał swoją głowę na ramię pana kanclerza, to przyciskał oczy do piersi jego, jakby chciał o wszystkiem zapomnieć, to znowu wiodąc na wszystkie strony wzrok obłąkany, kilka razy się odezwał, jak nieprzytomny sobie: Gdzież on jest?.... gdzie?.... Ach jakaż to okropna twarz w blasku słońca i twego oblicza, Panie!... Pan kanclerz widząc stan jego tak litości godzien, cieszył go i uspokajał gruntownemi wywodami z pisma Bożego. Nakoniec począł młodzieniec szlochać i płakać jak dziecko. Zdawało się, że cały we łzach się rozpłynie. A płacz to był tak serdeczny, żem sobie we śnie pomyślał: kto takiego płaczu nie słyszał, ten nie może mieć wyobrażenia, do jakiego stopnia serce ludzkie może cierpieć, a przecie nie pęknąć. Nakoniec sumienie uroczystym głosem rzekło: Pax tecum! Pytasz mię Zygmuncie, gdzie wróg Boga i ludzi podział się? Wiedz tedy, że skoro jasność Boska błysnęła nad nim z gromem a obiwszy się o klejnoty moje twarz mu oblała, on wnet w krwawym ogniu spłonął i w powietrzu zniknął.

Tu Zygmunt począł z wielkim płaczem całować ręce panu kanclerzowi, potém rzekł: Wszakże nigdy mię już nie opuścisz, nie prawda?

Sumienie. Nigdy, to nie jest w mojéj mocy.

Zygmunt. I zawsze będziesz mnie tak otwarcie, mocno, po ojcowsku upominał?

Sumienie. Będę, jeśli mnie szanować będziesz.

Zygmunt. O! wiecznie! wiecznie!

Sumienie. Zygmuncie! dziś rocznica śmierci twojéj świątobliwéj matki. Dziś trzeba, żebyś szedł do spowiedzi. — Wiedz, że to za jéj gorącą modłą jam od Chrystusa moc pozyskał z Nieba do otrzymania w twém sercu zwycięstwa nad duchem ciemności. — Pamiętaj, żeby dzisiejsze moje i twoje cierpienia nie były bez owocu. Nie podawaj się ślepo wszelkiego rodzaju myślom, jakkolwiekby ci się pięknemi wydawały, lecz waż je wprzód na szali wiary i rozsądku, bo w krainie myśli, prócz twego własnego, inne jeszcze możesz posłyszeć głosy, a nie wszystkie od Boga pochodzą. Strzeż się samotności bez Boga.

Idźmy gotować się do spowiedzi i rachować się ściśle z sobą.

Zygmunt. Idźmy!.... w twojéj wierny przyjacielu pomocy całą mą nadzieję po Bogu pokładam.

Sumienie. Pax hominibus bonae voluntatis. (Łuk. II. 14.)

Wtém liczne harfy z wielkiéj wysokości odezwały się. Zygmunt zdumiony zapytał: Zkąd te dźwięki i nadludzkie głosy? A pan kanclerz rzekł: To chór aniołów radujących się z opamiętania się serca ludzkiego.

Tum i ja się ocknął.

B.

MONOGRAFIE UMIEJĘTNE.

Sumienie. Pax hominibus bonae voluntatis. (Łuk. II. 14.)

Wtém liczne harfy z wielkiéj wysokości odezwały się. Zygmunt zdumiony zapytał: Zkąd te dźwięki i nadludzkie głosy? A pan kanclerz rzekł: To chór aniołów radujących się z opamiętania się serca książęcego.

Tum i ja się ocknął.

TEORYA

JESTESTW ORGANICZNYCH

przez

Jędrzeja Śniadeckiego. Wilno 1838.

Wszystkie rzeczy przyrodzone, których umysły nasze dostrzegać mogą, na dwa wielkie podziały rozłożyć się dają. W jednym z nich widziemy ciała bezwładne zajmujące miejsce, i wszystkim popchnęciom zewnętrznym równie posłuszne; ale same w sobie żadnego źrzódła odmian nie mające, a zatém takie, że i same przez siebie exystować by mogły, i zostawione sobie samym, w nieskończone pasma wieków, trwaćby nienaruszone i niezmienne musiały. Takowe ciała zajmujemy pod nazwiskiem ciał martwych. W drugim wydziale widziemy ciała takie, w których oczewiście wewnętrzny jakiś ruch i pasmo ciągłych odmian ma miejsce; widziemy, że exystencya tych ciał jest przemijająca, że się poczynają, rosną, do pewnéj doskonałości dochodzą, i nareszcie giną; zostawując po sobie i z siebie wydając ciała inne sobie podobne, które ich zastępują miejsce. Takowe ciała nazywamy *ożywionemi*, *żyjącemi*, lub przez wzgląd na ich ukształcenie *organicznemi*.

Istotna między ciałami żyjącemi i nieżyjącemi różnica jest ta: iż te ostatnie znajdują się w doskonałym stanie spoczynku, i dla tego oddzielone od wpływu ciał innych, pasmem wieków swój właściwy i charakterystyczny stan zachowują. Drugie znajdują się w stanie ruchu, który, za wyłączeniem ich od ciał innych, natychmiast ustaje na zawsze, i nigdy rozpoczętym na nowo być nie może. Cała treść następującéj nauki, różnicę tę jak najjaśniéj okaże.

Ciała organiczne dzielić zwykliśmy na dwie klassy, z których jednę oznaczamy imieniem roślin, drugą imieniem zwierząt. W pierwszéj ciała te przywiązane są do miejsca w którém rosną, doskonalą się, wydają owoce i giną, nie mając władzy, przenoszenia się same przez się z tego miejsca na inne. Dla drugich wolne są poruszenia, mocą któ-

rych położenie swoje i miejsce odmieniać, według poruszeń zewnętrznych lub wewnętrznych, mogą. W ciągu téj nauki okaże się, iż rośliny przywiązane są do ziemi, powietrza i wody; zwierzęta do ziemi, powietrza, wody i roślin.

Mówimy nadto, że wszystkie jestestwa organiczne *żyją*. Życie to, w całym ożywionym świecie, zależy na wzroście i doskonaleniu się organizowanych jestestw, przez przybieranie sobie i wyrabianie szczczególne niektórych ciał otaczających; w niektórych nadto roślinach i zwierzętach wszystkich na poruszeniu i czuciu. Niektórzy nawet poruszenie i czucie do samych tylko zwierząt ograniczyć chcieli, lecz niesłusznie: gdyż ruch oczewiście i w roślinach ma miejsce, lubo nie we wszystkich równie widoczny; o czuciu innych jestestw zaledwo z jakążkolwiek pewnością sądzić możemy. Wreszcie wyobrażenie czucia wzięte jest z nas samych i zastósowane do zwierząt, w których fenomena życia bardzo są do nas podobne. Lecz fenomena życia roślinnego więcéj się od nas oddalają, a zatém gdyby nawet istoty te czuły, wszelako sposób którymby czucia swoje wyrażały, musiałby być całkiem różny od tego, jaki w nas samych postrzegamy, i jaki w zwierzętach widzieć się daje.

Dwa zatém są fenomena ożywionemu światu właściwe, to jest: *organizacya i życie.* Obadwa lepiéj się czuć, niżeli opisać dają. Mamy ich w nas samych, mamy w tysiącznych otaczających nas jestestwach przykłady. Od czego zawisły, jakim są prawom i siłom przyrodzonym posłuszne, w ciągu następującéj nauki dochodzić mamy.

Ponieważ tedy materya odżywna raz organizowana, bez przyzwoitego ciepła, wody i powietrza, rozkładać się zupełnie, nawet po wygaśnieniu siły organicznéj, nie może: więc ile razy w takim się znajdzie przypadku, a od innych ożywionych jestestw za pokarm użytą, i przerobioną nie będzie, tyle razy trwać w składzie swoim nienaruszoną, pasmem nawet wieków, może. W dawnych czasach, ludzie możni, których zawsze próżność najulubieńszym była żywiołem, nie umiejąc przelewać w późną potomność swéj duszy, starali się ciała przynajmniéj nienaruszone dla niéj zostawiać. Na ten koniec następcy ich, ciała te obmyte, po wyjęciu z nich, lub zepsuciu wszystkich wnętrzności: posypywali sodą i w niéj przez dni kilkadziesiąt trzymali; potém obmyte i wysuszone, ciałami olejnemi, pachniącemi i balsamami napawali. Te broniły przystępu powietrza i wody, a same, przyciągając zwolna kwasoród, zamieniały się w gatunek pokostów, tym mocniéj przystępu wody i powietrza broniących. Całe potém tak przygotowane ciała, cieńkiém naklejoném płótnem, jak najmocniéj w koło obwi-

jano. Niektóre takowe starodawnych Egipcyan roboty, naszych nawet doczekały czasów.

Natura, która jednem swojem dziełem, wielu razem największym zadosyć czyni zamiarom, częstokroć ogromne istót organicznych lub ich zwłok massy pasmem wieków we wnętrznościach ziemi grzebie i ukrywa. Oprócz tego albowiem, że cała zwierzchnia kuli naszéj warsta, całkiem niemal, istotom organicznym winna jest swój początek i ze zwłok ich na wpół rozrobionych po większéj części się składa, nieskończone istot takowych lub pokruszonych ich części mnóstwo codziennie się, dosyć głęboko, pod ziemię dostaje. Morze oblewając większą część ziemi, nieokreślone mnóstwo istot organicznych w sobie mieści, które codziennie kończąc kres życia swojego, na dnie morskiem się gromadzą i nawzajem z sobą mięszają. Oprócz tego, wszystkie wody powierzchnią ziemi obmywające: deszcze, wylewy, potoki, zbiegając się do wspólnych koryt czyli rzek, zewsząd części organiczne lub ich ułamki w znacznéj obfitości z sobą toczą i do morza spławiają, którego dno wyściela się zwolna, takowemi pokładami. Dodać należy, że taż sama woda razem przynosi i składa ułamki gór i koryt rzecznych, przez co dno morskie podnosi się zwolna i nieznacznie, kiedy wyniosła powierzchnia ziemi co raz się bardziéj zniża. Z tąd wypada, że morze po upływie wielu wieków przymuszone jest dawne swoje siedliska opuszczać i coraz inne części ziemi zalewać; a im większa była w miejscach, które niegdyś zalewało, wody głębokość, tym osadzone naprzód istot organicznych zwłoki, głębiéj się w ziemi pochowane znajdą. Do téj codziennéj lecz nieznacznéj pracy wody przydać należy nagłe i ogromne rewolucye, którym ziemia nasza pokilkakroć, jak się zdaje, ulegała. Do takich rewolucyi liczyć należy i obszerne wystąpienie wód ze swoich brzegów, czyli potopy, obszerne i gwałtowne poruszenia atmosfery, przez które częstokroć całe lasy pokładane bywają i t. p.

Takowe składy organiczne, bądź na dnie morskiem osiadające, bądź przez gwałtowne wzburzenia ziemi w jéj przeniesione wnętrzności, znajdują się w zupełnem niepodobieństwie doświadczenia dobrowolnego rozkładu. I temperatura albowiem miejsc, w których osiadają, nadto jest niska i przystęp powietrza niepodobny. Zaczém wodą zalane, jéj tylko jednéj i niektórych istot kopalnych pobliskich doświadczać mogą czynności. Woda wszystkie naprzód słodkie, klejowate, solne, i extraktowe części w sobie rozpuszcza i unosi; potém zwolna części włókniste odmiękcza, rozrabia, drobni i rozprasza; przez co części roślinne

i zwierzęce przywodzą się zwolna do samych olejów, żywic, siarki i tłustości, na które woda żadnéj niema mocy. Takowe pierwiastki żywiczne i tłuste, ostateczne zepsutych istot organicznych w królestwie kopalném zabytki, znajdujące się w tychże samych lub poblizkich pokładach istoty ziemne napawają i przejmują; albo zgromadzając się na dnie twardém i skalistém, tu i owdzie z wodami razem na powierzchnią ziemi wytryskują. I ten jest prawdziwy początek tak nazwanego węgla ziemnego i wszystkich tłustości ziemnych. Że ciała te kopalne niczem się istotnie od olejów i żywic nie różnią, a zatém z tego samego źrzódła pochodzą, pokazuje ich rozkład chemiczny. Że zaś przez takowe psucie jestestw organicznych, za pomocą wody, z tłustościami i żywicami razem wydobywa się znaczna część siarki, zatém nie dziw, iż we wszystkich pokładach węgla ziemnego, tak wielka się znajduje obfitość pirytu.

Te zabytki jestestw organicznych w królestwie kopalném, tak są, w czasach naszych obfite, iż, wyjąwszy samo jądro kuli ziemskiéj, które całkiem z granitu uformowane się być zdaje, reszta ziemi zupełnie się z warstw, w pamiątki organiczne mniéj lub więcéj bogatych, oczywistego dzieła wody, składa. Węgiel ziemny wszystkie inne tłustości mnóstwem przechodzi, tak, że ledwo jest kraj jaki, któryby w pewnéj głębokości ziemi, w wielu miejscach ciałem tém nie był podesłany. Tak wielkie zaś mnóstwo ciał tłustych i zapalnych pomiędzy warstami ziemi ukrytych a szczególniéj pirytów, które wszędzie w takowych pokładach nader są obfite, zapaleniu się niekiedy podpadać może. Ponieważ albowiem woda wszędzie się pomiędzy takowémi pokładami, sączy i zbiera, musi nakoniec sama rozkładowi ze strony pirytów podpaść. Tym sposobem kwasoród przechodząc do związku z siarką, opuszcza znaczną część materyi ciepła, przez co, całe takowe pokłady rozgrzewają się zwolna. Wzbudzone ciepło, tym bardziéj rozpoczęty rozkład wody przyspiesza, przyśpieszony, tym większe i gwałtowniejsze wzbudza ogrzanie. Wszystkie te odmiany nieznacznemi rozmagają się stopniami, aż nakoniec ogromne owe istot zapalnych magazyny rozgrzewają się mocno; całą znajdującą się przy sobie wodę, albo rozkładają, albo zmieniają w parę; i jeżeli, na ówczas, otworzą sobie kommunikacyą z morzem, jeziorami, lub znacznemi rzekami, rozpalenie ich, rozkład i zmiana w parę wody, posuwają się nagle do najwyższego stopnia. Na ówczas uformowana niezmierna gazu wodorodnego i pary wodnéj ilość, niemogąc sie w żadnych podziemnych wydrążeniach, rozpadlinach, i jaskiniach pomieścić, nieopisanym, nieograniczonym, zaledwo pojętym

gwałtem, na wszystkie się strony rzuca i rozpiera; najuporczywsze i inaczéj nieprzełamane przeszkody targa i roznosi, całe wnętrzności ziemi wstrząsa i kołysze, całą jéj powierzchnią porusza i trzęsie. A natężając usiłowania swoje w proporcyi oporu, wszystko nakoniec łamie, rozrywa i znosi, dopóki sobie na powierzchnią ziemi wolnéj nie utoruje drogi. Tak dopiero, otworzywszy powietrzu atmosferycznemu wolny do ogromnych owych, zapalnéj i rozżarzonéj materyi składów, przystęp, całe wnętrzności ziemne płomieniem zapala. A tu przez wzmaganie się jeszcze większe mocy ognia, zamiana wody w parę i formowanie się gazu wodorodnego natęża się i rośnie, przez co nowe częstokroć powstają trzęsienia, znaczną powierzchnią ziemi, prowincye, państwa niekiedy całe, zajmujące, dopóki sobie uformowane istoty lotne do pierwszego ogólnego otworu, wolnéj nie utorują drogi. Tutaj zaś znosząc i gromadząc to wszystko, cokolwiek im opór czynić mogło, mnóstwo ognia, wody, popiołów, ziem, kamieni, ciał stopionych lub na wpół ogniem strawionych, z niezmiernym hukiem i impetem na wierzch wyrzucają. Pierwsze takowe, gazu wodorodnego i pary wodnéj do wybuchnienia usiłowania, dają początek trzęsieniom ziemi, samo wybuchnienie wulkanom.

Do trzęsienia zatém ziemi, dosyć jest, ażeby woda warsty pirytów, lub węgla ziemnego w piryt bogatego obmywająca rozłożyła się po części, i początek gazowi wodorodnemu dała; do wulknnów i przystęp powietrza jest potrzebny. I ponieważ rzadka jest część ziemi, którąby, w głębszych swoich warstach, pirytów i węgla ziemnego nie miała; dla tego i trzęsienia ziemi wszędzie się zdarzyć mogą, i wólkany albo się w każdéj części ziemi znajdowały, albo pokazać się na przyszłość mogą. Jakoż, w saméj rzeczy, każda część kuli ziemskiéj ma swoje wólkany, że nic nie wspomnę o wygasłych, których ślady w każdym, niemal kraju natrafić można. Trzęsienia ziemi, na ówczas się tylko, zdarzyć mogą, kiedy uformowane, pod ziemią, istoty lotne wyjścia wolnego nie mają; dla tego albo bywają w miejscach od wólkanów odległych, i wybuchnienie ich kiedyżkolwiek obiecują, albo w miejscach bliskich wólkanów, jeżeli zniesiona jest przypadkiem miejsc tych z otworem wólkanu kommunikacya, naówczas samo wybuchnienie poprzedzają i nim się kończą. Ta nauka wszystkie fenomena wólkanów jak najjaśniéj tłomaczy, lubo, w tém miejscu, wchodzić w żadne obszerne tłómaczenia nie mogę.

Takim tedy sposobem zabytki organiczne, w królestwie kopalném, zgromadzone, rozkładają się, nareszcie, i palą. Takowa kombustya wszystkie te istoty zmienia ostatecznie

w wodę, kwas węglowy, kwas i podkwas siarczany, które przez otwór wólkaniczny ulatują; i w popioły, które wybuchnienia na powierzchnią ziemi wyrzucają. A tak składające zagrzebanéj owéj odżywnéj materyi pierwiastki powracają na powierzchnią ziemi, gdzie w nowe istoty organiczne przechodzić, i życie na nowo rozpoczynać mogą. Tym sposobem niezmierne odżywnéj materyi zbiory, którym natura długie przeznaczywszy, w wnętrznościach ziemi mieszkanie, sposobność do organizowania się i życia odjąć się zdawała na zawsze, zyskują nową do życia okazyą, a narzędziem, którego przyrodzenie do tak wielkiego używa zamiaru, są wólkany. Widzimy zatém, jak jest wielki ich, w ogólnym natury układzie pożytek; jak potrzebne są do utrzymania powszechnéj równowagi, jak psując niekiedy małą i nic nieznaczącą cząstkę żyjących jestestw, całéj ich powszechności usługują; i jak dziwnie najwyższy wszystkich rzeczy autor, nierozerwanym skutki z przyczynami jednoczy węzłem. Bez przytomności jestestw organicznych na ziemi, nie miałyby miejsca wólkany, które się bardzo późno po pierwiastkowym utworzeniu świata pokazać musiały. Bez wólkanów, wielka część materyi odżywnéj, przenosząc się codziennie w głębokie ziemi wnętrzności, a nie mając sposobu powrócenia na jéj powierzchnią, straconąby na zawsze dla życia i organizacyi była; a gdy te straty pomnażają się codziennie bez powrotu i nagrody, liczba jestestw organicznych zmniejszaćby się nakoniec, w tym samym stosunku, i wreszcie zaginąć całkiem musiała.

Najistotniejsze zaś narzędzie, którego natura do tak wielkich używa zamiarów, jest *woda*. Ona najmocniejszym jest jestestw organicznych żywiołem; ona najwalniejszą ich przenoszenia się pod ziemię i długiego tam przemieszkiwania przyczyną; ona podobnie szczególniejszego ich w tém zdarzeniu, rozkładu i zamiany w istoty tłuste, narzędziem; ona zatém początkiem warstw węgla ziemnego i piritów; ona nakoniec pierwszą do rozkładu tych ostatnich pobudką, a przez to najważniejszą poczęcia się i wybuchnienia wólkanów przyczyną. Więc ta sama przyczyna, która materyi odżywnéj, na tak długi przeciąg czasu, drogę do organizacyi i życia zamknęła, do nich ją późniéj powraca, i znowu nakoniec grzebie; tak że w tym równie, jak w całym natury układzie, przyczyny i skutki, spotykają się i wiążą nawzajem z sobą.

LISTY Z KRAKOWA

przez

Józefa Kremera. Kraków 1843.

Sztuka i przyroda.

Nikt nie przeczy, iż Sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielką wszystkich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóżbyśmy więc mieli tworzyć z całym mozołem i poświęceniem naszém to, co już przyroda sama tak sutą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniéj potrzebna?

Odwiedźno te nasze Tatry, zapuść się w serce olbrzymich grodów natury, a wnet cię odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszące się błogosławieństwem zbożne łany, i wstąp na ostrze łomnickiéj iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku wspinając się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrzyj się przez wszystkie szczeble coraz biedniejszéj, coraz niższéj roślinności. Przebywszy bory ciemnéj sosny, wyżéj dosięgniéj krzewów karłowatéj brzozy, wyżéj jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnéj ojczyznie gładkich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy poczyna się grobowe samowładztwo martwego kamienia. W koło dźwigają się stós na stósie gruzy ogromnych bałwanów granitowych: — głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się zewsząd niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek zabłyśnie, ni ptaszek zaszeleści, wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko, usłyszysz martwy i trupi łoskot, jest to skała granitowa, co urwawszy się z posady swéj, w podskoki szalone podbijając się coraz, chyżéj a chyżéj pędzi i warcząc przepada w otchłaniach, porywa w swym polocie do okropnéj podróży tłumy skalnych ułomów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura w koło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżéj a wyżéj po urwiskach sterczących i stromych upła-

zach, aż cię kołem obstąpią, niby straszydła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innéj natury, co je zrodziła wśród mąk i cierpień ziemia nasza. i wśród wywrotów całéj świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokryte są śniegów płachtą niby koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiéj fizycznéj pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickiem, swiat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą, niby morzem nieprzejrzanem, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się, jakby oceanu wody. Turnie sterczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

W rychle wiatry tu i owdzie podarły obłoków oponę, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, rozkoszny. Teraz rozstąpiły się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mappą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widokręgu, święci się stary Kraków nasz. Kréchy ciemniejsze tu i owdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, sioła i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny i trop dzikiéj kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiéj: przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia!

Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przeczucie nieśmiertelnéj istoty twéj wzmaga się w piersiach, i tysiączne dotychczas drzemiące w duszy głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; — coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przebył chwilę skonania twego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień srzężogę patrzał się na lata twoje upłynione na ziemi, co jeno słabo jeszcze brzmią w sercu, niby głos dalekiéj muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią, niby dymy ofiarnych kadzideł; posyła je świat ku niebu, jako modlitwy dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem.

Mamyż cię jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistéj Himalai, lub na lodowych Andów lub Alpów rogalu? kędy atmosfera rzadka, misterna, niezafarbowana więcéj błękitną barwą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

A przecież, zaprawdę, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące! Zaprawdę, wysokie są Alpów i Tatrów przyczoła, ale wyżéj sięgają zacne człowieka sprawy! Gwiazdy goreją chwałą Boga na niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożéj się dzieją. Bóg promieniem swéj wiekuistéj mądrości przeświecając świat materyi, zapala go życiem jestestw milionów, ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieczego, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzma kryształowe puszczone, zajaśnieje złotemi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością: bo zaświeci wiarą, pięknością i mądrością. Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi błogosławieństwem nieba. — — —

Jeżeli zaś człowiek w Sztuce pięknéj ma wybierać, co jest najwznioślejszém w Naturze, wypływałoby znowu ztąd iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą iéj potęgę w całéj świeżości jéj uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma: bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonéj, albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo też na zawsze zasłonione przed śmiertelnemi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek ciałem swém z prochu do ziemi przykuty zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to królestwo niebieskie, mijać tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jednę świecącą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać się w te myśli zawroty; alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknéj, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi?

Czyliż cała przeszłość ziemi naszéj, cała historya jéj żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swéj wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie: bo właśnie gdy planeta nasz odprawiał młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, Sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwając cały wątek łomotów i wywrotów, jakie przecierpiała ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły ostatecznie na węgłach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak niby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuść się w głębiny ziemi, rozświeć te jéj tajniki ukryte przed światłem dnia białego; odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennym późniejsze przywaliły stulecia: tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata; myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz, jak to ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne gruppy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innéj wielkiéj epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim czasu przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruchotane, wykręcone, a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były massy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym cisnęły się w górę, gruchocząc, podzwigując, rozrywając i przeginając ławy dziełem wód będące. Te massy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków; są to bazalty, porfiry, gnejzy, granity sterczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich ziemi naszéj, i stanowią jakby jéj wzrąb i wiązanie. Tak na rozkazanie Boże ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wólkanów, trzęsienie ziemi dające się uczuć po przez pół oceanów przestrzenie, i owe podnoszenie się lądu szwedzkiego na ogromnéj przestrzeni od Kalmaru do Tornea odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszemi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwignienie się onych skał ogniowych.

Łomoty te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedya świata z wielu — z wielu bardzo aktów złożona. Lądy tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchę ziemską; tak lądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów lądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na téj scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowéj ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią koléj przyszła i wszystko przepadło w żywiołów zamęcie, i znow mór padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłonął, a wszystko, co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest deszcz z nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiéj żywota uczty. A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w puściźnie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica ziemia nasza pełną jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi do tysiąca stóp poniżéj posady morskiéj znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Tak tedy cała kula była życiem hożém i pełnem siły, z którém porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczach zwrotnikowych, jest martwą i głuchą. Wszak pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącemi śniegami podbiegunowéj trupiéj strefy, odkrywamy, skamieniałe reszty organicznego świata, będące téj saméj istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tylko wśród spieków i waru ciepła. W zimnéj północy Europy i Azyi znachodzimy kości krokodylów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarnéj strefy, kędy nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te cząstki spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weż np. one reszty palmów i paprociów w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż

wszystkie ich cząstki, nawet najmisterniejsze, jako kwiaty i kity w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod bieguna przyniesione. Z tego raczéj rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącém właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom, czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycały sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach potwornych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. A w tych kształtach natura czyż była, czy jest dostępną dla sztuki?

Doczesność i wiekuistość.

Oniemiały dzwony krakowskie, całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, by po staremu cześć dał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasnem spojrzeniem rozpłynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię i w serce ludzi nadzieją świecąc.

Bóg umarł, i potęga przyrodzenia uśpiona, jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go cięższéj kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie, póki i na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w któréj i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy téj ziemi, i jéj biedy, i jéj płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onéj wielkiéj zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota, i niby Bożem imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niém tęskne obrazy upłynionéj młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnéj naszéj istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiéj pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, i światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnéj życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ułud złocistych zgasło. — Aleć im samotniéj, im smętniéj i ciszéj w duszy, im więcéj traci wagi doczesność, tém jaśniéj wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka, i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiań-

ską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści umilkną — a w sercu świąteczno, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niém płomień nieskończonéj miłości, i jakby organy, zagrzmi samotne duszy nabożeństwo. — W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie te nocne widziadła doczesności naszéj, ulatują niby ptaków płoche stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowiecza do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnowidzenie rozświeca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego rodu, i własne serca bicie nie ma więcéj dla nas tajemnicy, rozwięzują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych, duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem, zna, że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota niesmiertelna a wiekuista, którą Bóg tchnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historyi rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecna, niezerwana nigdy, i sama zostaje i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się pada, i wszystkie inne jéj nitki pruchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje, wystąpi na jaw jaśniejąc swém złotém.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy, od kolebki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego.

Potocz okiem na pasowanie się całéj historyi człowieka, zacząwszy od owéj wielkiéj chwili, gdy się dotknął poznania owocu, tracąc niewinności raj; podsłuchaj tajemną robotę stóleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają światu ulatujący do wieczności zywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historyi, nieskończoność istoty człowieka. Bez niéj ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze jeden i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwierząt koła, dzieje jego przekazaneby były historyi przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznéj, przesuwają się po nieruchoméj ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie lampy płomień, co w ciemnym pokoju gore niewidomie, tak przemykają się lat tysiące, i narody,

i wielkie imiona w historyi na nieruchomém wieczności tle; ale lampa, co je prześwieca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swéj, jest oną wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującém jakby z kwiatu pączków wielkie epoki i wielkie czyny w historyi, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i na jawie i we śnie, ona wznosi się w pacierzu dziecięcia i w hymnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierci na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiera tajemnicze ziemi łono, waży słońc i planet brzemię, roztwiera księgę przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najgłówniejszych praw jego: bo religii, filozofii i sztuki pięknéj. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego, i już nie pytaj, zkąd się one biorą. Człowiek z nieskończonością zarazem odebrał i Sztuki piękne, i mądrość i religią; nie utyskuj tedy nad znikomością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak wprzód zasklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotém jaśniejąc skrzydłem: a przekonanie o nieskończoności istoty naszéj, wykwita z uważania skończoności. Bo zważ, dęby długo - wieczne tak przemijają, jak ich liście, a skały granitowe tak się rozpływają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przelewające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przelewa się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spojrzy jasne opatrzności oko, zapalają się iskrami jestestw miliony, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną, zamigocą się i gasną. Więcéj jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historyi rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznanych światów zamglonéj przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznanych zwierząt ze starych lat, toczy jakieś gruzy dawnych świątnic, pomników ułomy, i jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, światowładnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych, a gdzieniegdzie unoszą się na jéj falach jakby

kwiaty jakieś, pieśni stare, strzaskanéj lutni reszty i laurowe wieńce; a przecież po obu stronach onego biegu historyi, a z daleka od jéj brzegów, rozlegały się zaiste ludy liczne, jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa; o nich historya milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utonęły te narody i państwa w wiecznéj otchłani zapomnienia, jak tonie rozbitek na otwartém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyszy ostatnie wołania jego skonu. Lecz dokądże płynie ona rzeka, w jakąż nieznaną dal przebierają się jéj wody? by znów z kolei późniejszym lat tysiącom zanieść jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów? kędyż jest ujście téj rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historyi są znikomości obrazem, témci więcéj wnętrze istoty naszéj jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tem wspominaliśmy już wyżéj. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich: boć właśnie jéj poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności istoty naszéj. Bo zważ, czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia nieskończoności? zkądżeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myślili o jakiemś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkądżeby nam przychodziła ona tęsknota, patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność.— Te dwa pojęcia odwrotne sobie, zawsze razem chodzą. Nieskończonosć tedy iście w naszéj myśli mieszka.

O Ideale.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty — czylito on będzie jestestwem natury, jako n.p. postać człowieka, zwierzęca, okolica i.t.p. czylito będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych, i przeniesiony w obraz, lub tragedią, komedyą, powieść i t. d. zawsze on będąc cząstką rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią wplecioną w całą tkaninę natury i społeczeństwa. — Tysiące stósunków i węzłów, łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do którój należy, i dla tego też on na sobie nosi cechę swéj istoty ułomkowéj, znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie cząstką jakiéjś całości, i ta to

cecha jest piętnem doczesności jego. Taka więc jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat Sztuki, wtedy się też wskroś przeobrazić winien; bo skoro on nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy; wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będące skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości téj służył, ale ducha był wyrazem, więc też zrywa te wszystkie nitki łączące go ze światem rzeczywistem, odłącza się przedmiot od niego, staje się nie zawisłym — usabnia się, zakończa w sobie. — A lubo zachowuje istotę swoję indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchowną, na jedność zupełną. — Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *ideałem*.

Ideał tedy wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawierać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duch, który o sobie w nim znać daje. W ideale właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha; te dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi, i zléwają się w jedno, oba się równoważą. — Więc rzeczywistość nie przechodzi w zupełności w świat duchowy: boby się stała abstrakcyą, myślą, rozumowaniem; tak naprzykład postać jakiego człowieka przeniesiona w całkowitości w świat duchowy, może być przedmiotem uwag psychologicznych, wywodów medycznych, rozumowania filozoficznego i t. d. a wtedy już nie chodzi o tego pewnego człowieka właśnie: bo te wszystkie rozumowania i wywody i t. d. są czémś bezcielesném, czémś ogólném, a ideał wyrażać winien pewnego jednego człowieka. A jeżeli takie myśli ogólne zechcemy zmysłami unaocznić, jeżeli zechcemy, aby n. p. rzeźba i malarstwo były li czystym wyrazem ducha, toć wtedy figury staną się oznakami symbolicznemi, godłami, hieroglifami, jak na przykład: dwoje skrzydeł oznaczają modlitwę, wąż skręcony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt trójcę, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź kościół, jabłoń grzech pierworodny i t. d. i innemi znakami, które same przez się nie mają znaczenia, przez zgodność jednak ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. A ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, lub poezyi, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój

właściwy osobisty charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cieleśnie obecny czyli to w posągu, czyli malowany będzie pęzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezyi. I na wzajem duch nie przechodzi w zupełności w rzeczywistość. Tak, by zostać przy naszym przykładzie, postać ludzka z całą swoją rzeczywistością okazuje się w daguerotypie, lub w jałowym kronikarzu. — Ideał pozostaje w środku między czystą duchownością a szczerą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedność.

Patrz na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby nadziemskich światów zesłaniec na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka; rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnéj prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest innéj urody, niż koło ludzi stworzonych: bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiéj piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnéj i doczesności przemijającéj, któréj ulegają ludzie w padołach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp jest duchem, duchem uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższéj urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posągu tym duch wszędzie jest obecny, z każdéj części patrzy tysiącami oczów, rozlany po całéj postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, nieznaczące, spadło z téj postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło na jaw, więc też ta postać wywinęła się z objęcia znikoméj doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzcona w oceanie ducha. Podobnie, gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w sennem marzeniu staje nocnem nawiedzeniem z innego świata przed duszą naszą, choć zarysy drogiego oblicza i postaci tak żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jéj nie zdoła, przecież wskroś przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niéj znikły cisnące żywota biedy, i troska ziemska, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świeci zorza wyższego świata i nieznany dawniéj nieśmiertelności uśmiech. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie zależącym więcéj od doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonéj i pewnéj drogiéj nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchownionéj.

Otóż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie się

nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecież indywidualności pewnéj, oznaczonéj osoby, są dwiema koniecznemi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzeć ziemską śmiercią, przejść niby przez czyściec duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem.

ESTETYKA

czyli

UMNICTWO PIĘKNE

przez Karola Libelta. Poznań 1848.

System sztuk pięknych.

Summą wszystkiego istnienia, wszystkiéj wiedzy i wszystkiéj filozofii, jest to proste przekonanie: że nie ma formy bez treści, ni treści bez formy i że zatém z obojga każda rzeczywistość złożona. W każdym więc pojedyńczym przypadku dochodzić nam tylko z osobna trzeba, co jest formą, a co jest treścią, a co z połączenia jednéj i drugiéj powstaje. Bóg sam w naturze objawia formę; w ideałach, jak się przez ludzkość rozwijają, objawia treść swoję a to obojgo stanowi wszechmoc, czyli istotę Jego. W naturze prawa natury są treścią, zewnętrzne objawy tych praw formą, a jedno i drugie siłami natury. Ale i same siły natury stoczyć się muszą do téj najwyższéj trójcy: formy, treści i ich połączenia, i nie trudnoby było okazać, że siła atrakcyi jest treścią, siła repulsyi formą, a siła ruchu, czyli wszelkiego żywota natury, jednością dwóch sił poprzednich i że następnie wszystkie inne siły są tylko tych trzech sił pierwotnych odmianami. Podobnie w rozliczności ideałów musi być naczelna ich trójca, musi być: ideał formy, ideał treści i ideał ich połączenia.

Ideałem formy jest piękno; ideałem treści prawda; piękno i prawda w jedności jest dobro. Są to trzy najwyższe ideały, wypełniające nieskończoną treść istoty bożéj: najwyższa doskonałość wiedzy, czyli mądrości bożéj, najwyższa doskonałość formy, w którą się każda myśl Boża obleka, i najwyższa doskonałość żywota, będąca sobie sama celem. Bóg pojęty, jako najwyższe dobro, jest najwznioślej-

szém pojęciem, które dopiero przyniosła z sobą nauka Chrystusa. Wszystkie dzieła Boże noszą na sobie znamię téj trójcy ideałów. Sam świat jest pięknem, jest prawdą, jest dobrém. I ludzkość cała jest tych samych trzech ideałów rozwojem. Z tąd i sztuki piękne z nich się w jeden całokształt rozwinąć powinny[1]).

Ideał sam przez się, acz jest najwyższym ogólnikiem treści, nie jest dla tego myślą tylko oderwaną, czyli abstrakcyą: jest to i owszem myśl już w odpowiednéj formie swojéj ujęta; ideał jest sam rzeczywistością z formy i treści złożoną. Treścią jego jest myśl Boża, zwana ideą, będąca żywotniem i postępowem rozwijaniem się z siebie; formą jest każdoczesny tego rozwoju pojaw, czyli obłocz zewnętrzna idei. W takiéj obłoczy idei Bożych należy pojąć każdy z trzech pomienionych ideałów, z których każdy znowu, względnie uważany, stoi albo po stronie treści, albo po stronie formy, albo po stronie rzeczywistości, z połączenia tamtych powstającéj. Ztądto w sztukach pięknych przywykliśmy uważać rozwój samego ideału piękna; w umiejętnościach samego ideału prawdy; w społeczności ludzkiéj samego ideału dobra. Są i to przecież tylko przewagi względne. Albowiem i sztuki i umiejętności i społeczność ludzka są rzeczywistościami, a ztąd w każdéj z nich także znowu być musi forma i być musi treść, aby z ich połączenia rzeczywistość powstać mogła. Sztuki piękne tém się szczególniéj wyróżniają od dwóch innych rzeczywistości, że dają równowagę formy i treści, którą w naturze i ludzkości wpływ różnych okoliczności znosi i nadweręża; że więc nie naturę, nie ludzkość mają za przedmiot, ale ideały będące tak tworów natury, jak życia ludzkiego pierwowzorami: bo w tych tylko ideałach, w tych prototypach obleczonéj myśli bożéj złożon ów spokój boski, niezmienny, owo oblicze niebiańskie, owa równowaga i odpowiedność formy i treści.

Sztuki piękne, będąc przedstawieniem ideałów, muszą się odnieść do naczelnéj ich trójcy, którąśmy wyżéj wskazali. Nietylko więc samo piękno: przedstawiać będą prawdę, lubo nie prawdę oderwaną, obnażoną, umiejętną, lecz prawdę obleczoną w odpowiednią formę, wcieloną w materyał, zgoła prawdę, jako ideał pojętą; nareszcie przedstawiać będą dobro, lubo nie dobro powszednie, społeczne, lecz jako ideał, w odpowiednie, piękne kształty przyobleczone. Na tę trójcę ideałów: piękna prawdy i dobra, czyli formy, treści

[1]) Cośmy tu w krótką treść zebrali, obejmuje w obszerności system filozofii wyobraźni czyli Umnictwa, który trzecim tomie filozofii i krytyki podajemy.

i żywota rozpadać się muszą sztuki piękne i na téj trójcy, jako na głównéj podstawie zbudowany być musi ich system. Tam gdzie są naczelne pojawy formy, treści i żywota, przedstawiające się nam jako rzeczyistości najogólniejsze, to jest: natura jako materyalność, człowiek jako idealność, społeczność jako żywotność, tam także w każdéj rzeczywistości z osobna, jako na osobnym materyale, rozwinąć się musiała sztuka i tworzyć nową trójkę trójc, charakterem zupełnie od siebie odmiennych, a jednak jeden żywotny w sobie system stanowiących. I tak jest rzeczywiście. Wiemy, że artysta z materyału tworzy sztukę. Bierze go naprzód z martwéj natury i tworzy odpowiednią trójkę sztuk plastycznych: architekturę, snycerstwo i malarstwo; bierze potém z żywotniego materyału ludzkiego i tworzy odpowiednią trójkę sztuk idealnych: muzykę, poezyą i wymowę. Że i trzecia jeszcze trójka sztuk pięknych być musi, mamy już ku temu pewny wniosek, albowiem trójka plastyczna wyraża znowu sztuk pięknych formę, czyli ideał piękna w bliższém znaczeniu; trójka idealna wyraża ich treść, czyli ideał prawdy w bliższém znaczeniu; koniecznem więc pokazuje się przejście do nowéj trójki sztuk pięknych, coby była formą i treścią w jedności i przedstawiała ideał dobra w ściślejszem znaczeniu. Wtenczas dopiero zdobędziemy zaokrąglony w sobie całokształt sztuk pięknych, w konieczności takiego, a nie innego rozkładu, takiego a nie innego zewnętrznego pojęcia każdéj sztuki z osobna.

Systematyczny rozkład sztuk pięknych będzie zatém następujący:

I. *Sztuki formalne, albo plastyczne:*

1. Architektura, kształtująca ideał piękna, 2. Snycerstwo, kształtujące ideał prawdy, 3. Malarstwo, kształtujące ideał dobra.	w przestrzeni.

II. *Sztuki treściowe, albo idealne:*

1. Muzyka, kształtująca ideał piękna, 2. Poezya, kształtująca ideał prawdy, 3. Wymowa, kształtując ideał dobra.	w czasie.

III. *Sztuki społeczne, albo żywotne:*

1. Idealizowanie natury, kształtujące ideał piękna, 2. Estetyczne wychowanie człowieka, kształtujące ideał prawdy, 3. Idealizowanie społeczności, kształtujące ideał dobra	w życiu.

POMYSŁY
O WYCHOWANIU CZŁOWIEKA

przez Floryana Bochwica. Wilno 1847.

O systemacie wychowania.

W całym systemacie świata ziemskiego, w organizmie indiwidualnym człowieka, we wrodzonych uczuciach i zdolnościach obu płciom nadanych, wyczytujemy najoczewistszy dowód: iż przed początkiem tego świata, była istota wszechmocna, najmędrsza, przewidująca, która uczyniła, przedustanowiony, poprzedzający plan i Systemat wychowania ludu, w szkole tego świata. W niéj bowiem, pojedyńczy człowiek służy ogółowi społeczności, a społeczność pojedyńczemu, płeć jedna przewodniczy drugiéj w wynajdywaniu i pilnowaniu się drogi udoskonalenia. Wiek przeszły rozjaśnia wiek przyszły.

Dla myśli ludzkiéj zostawiono jest: ten systemat Boski w jego widocznych rozrządzeniach wyczytać, i ze czcią religijną najściśléj wypełniać, nie zawierzając bynajmniéj naślepo, utworom osobistéj spekulacyi autorów, z ustawami przyrodzenia niezgodnym: bo te miejscowemi okolicznościami, osobistemi widokami i opiniami wieku są najczęściéj omylone. Zwykle są z sobą niezgodne, i obudzają tylko uczone sprzeczki. Gdy przeciwnie prawda jest jedną, systemat więc prawdziwy, Boski, musi być jeden.

Naprzykład: czyż mówił prawdę Russo, oburzający się na wszystkich prawie uczonych swojéj epoki, dowodząc, iż cywilizacya ludzi jest stanem wymuszonym, niewłaściwym, nieszczęście tylko dla ludzi przynoszącym? — Albo w drugiéj ostateczności: czyż nie jest omylną teorya racyonalizmu, zbytecznie wynosząca nauki i rozum, z zaniedbaniem przeczuć wiary, tradycyi i objawień religii? Albo czy był na prawdzie oparty, powszechny systemat Likurga całe czoło narodu wychowujący na wyłącznych wojowników? Widzimy wprawdzie: iż płeć męzka, od pierwszego dzieciństwa w igraszkach niemowlęcych nawet, siadania niby na koń, uzbrajania się niby orężem, odkrywa już naturalne powołanie do stanu rycerskiego. Ale ta wrodzona skłonność jest tylko znamieniem, iż płeć męzka, ma powołanie wywalczyć na tym świecie panowanie praw z niebios pochodzących, porządku, siły rządu, sprawiedliwości, miłosierdzia, miłości braterskiéj, prawdy i piękności, zwyciężając zwierzęce zamięszanie i chaos ciemnoty. Wszakże oprócz ducha rycer-

skiego są w mężczyznach inne wrodzone powołania, i tak jeden od młodości wzdycha do zwiedzenia swiata, do podróży i niebezpieczeństw nawet żeglarskich. Inny pała chęcią uczonych wiadomości, chce poznać niebo i ziemię, drugi z roskoszą bawi się robotami rzemieślniczemi, ów lubi zasiewać, sadzać, przesadzać, zajmować się rolnictwem; inny znów budować i t. d. Ludzie są więc stworzeni ze zdolnościami i naturalném powołaniem do wszystkich stanów w organizmie społecznym potrzebnych. Mylny zatém i jednostronny był systemat Likurga zwrócony wyłącznie ku temu, aby z całego narodu wykuć jeden tylko stan, zahartowanych wojowników.

Również, nie może być powszechnie zastósowaną teorya, dowodząca, iż każda społeczność powinna chodować i układać dzieci według swoich potrzeb czasowych. Bo ludzie mają dane życie, i wychowują się w szkole tego świata nie dla potrzeb czasowych, ale dla celów wiecznych, nieśmiertelnych, ku którym nadane są kierunki z rozlicznych stanowisk i obowiązków w organizmie społecznym istniejących.

Wychowanie zatém powinno usposabiać młodzież na przyszłych obywateli zdolnych do zajęcia różnych stanów, do których w przyszłości w dojrzalszych latach, wrodzone zdolności lub zdarzone okoliczności ich powołują, Mężczyzni mają być zahartowanymi do znoszenia trudów, umocnieni w charakterze duszy, rozpostrzenieni w wiedzy umysłowéj: aby znając prawa Boskie i ludzkie, byli zarówno zdatni jak do wojennego, tak do cywilnego, lub uczonego stanu. Kobiety zaś, w świątyni serc swoich, mają żywić święty ogień miłości Boga i nadziei, miłosierdzia i dobroczynności dla bliźnich, czci dla praw Bożych, obyczajności, czystości moralnéj i piękności estetycznéj.

Wiara w obu płciach najgruntowniejszą jest zasadą wychowania, jest źródłem prawdy. Bez wiary największy byłby nierozum poświęcać młodość, niekiedy zdrowie i życie, na trudy nauki i doskonalenia: gdy to wszystko byłoby tylko znikomością, marzeniem, ułudą. Przeciwnie z wiarą, największym jest nierozumem żyć po zwierzęcemu, bez wychowania, bez nauki, bez religii, bez uprawy moralnéj, bez mocy charakteru, pogrążając się wstecz od postępów w ciemnotę, w zmysłowość; cofając się od celów życia i udoskonalenia.

Stanąwszy więc na bezpiecznéj opoce wiary, jako na jedynéj podstawie wszelkiéj nauki i wiedzy, starajmy się z tego wzniosłego stanowiska, spojrzeć jeszcze daléj i szerzéj, postępując za wskazówkami palcem Bożym uczynionemi, w rozpoznaniu celów wychowania się ludu w szkole tego świata.

O uprawie woli.

Na tym świecie wśród ludzi, biorąc rzecz ogólnie, zmysłowość nietylko pociąga wolę, w rozdwojeniu z wyższemi ideami, ku zwierzęctwu, namiętnościom i cielesnemu dogadzaniu; ale w sferach uczuć zmysłowych, wylęga się w ludziach pycha, któréj zwierzęta nie znają. Pycha spokusza wolę do niezliczonych grzechów, a nawet do buntu szatańskiego przeciw wierze w Boga i przeciw Boskim prawom miłości i sprawiedliwości. Chęć znowu w człowieku lgnie zwykle do zmysłowości. Do chęci i pychy przyłącza się wyobraźnia, malując upragniony przedmiot w powabach czarownych. Do wyobraźni, chęci, zmysłowości i pychy skłania się zawsze rozum i nastręcza z przebiegłością sposoby do zaspokojenia uczuć i urojeń. Siła zatém woli, nastawana takim tłumem pokuszeń, powinnaby, zdaje się, zawsze uledz, zawsze człowieka w upadek pogrążyć. Wszakże, w wewnętrznem pasowaniu się z sumieniem, wrząca i miotana, utrzymywana jest na wodzy potęgą władzy ducha, i często wola musi się odrywać od najgorętszych czuć namiętnych i widoków pychy; a wypełniać czyn świątobliwy, bohaterski, moralny, władzą i sądem ducha nakazany. Wtém jednak rozdzieleniu woli na dwoje, w tém wewnętrznem pasowaniu się, odbywa człowiek ciężką i trudną próbę; potrzebuje więc koniecznie mocy charakteru, dla nadania któréj, obok uprawy rozumu i sumienia, zachowując równowagę, trzeba koniecznie uprawiać tę moc charakteru, i w tym względzie nieść wczesną przez dobre wychowanie młodzieży, pomoc. Człowiek zostawiony w naturalnéj prostocie, bez edukacyi wyłącznéj samego rozumu, i bez zgorszenia, będzie uczciwie sądził, czuł i postępował: bo żadna w nim władza, nie jest edukacyą wyżéj podniesiona, spaczając inne. Lecz skoro troskliwie naukami uprawiamy rozum, nie zaniedbujmy wówczas równoważnéj uprawy sumienia i woli; bo inaczéj uformujemy skrzywionych, spaczonych w sądzie i czynach wychowańców, celom eksystencyi człowieka nie odpowiadających.

Myśl źle zastosowana, równości i niepodległości, rzuciła była błędną metodę, od wielu rodziców i nauczycieli przyjętą, przypuszczania dzieci do nieograniczonéj poufałości i zbytecznéj śmiałości. Ta wielka wada i omyłka wychowania, nadała, niektórym z młodzieży, charakter wymagający, samolubny, żadnéj powagi ani rodziców, ani wieku, ani zasługi nieznający. Ci w zarozumiałości o sobie, z jakąś ironią spoglądają na wszystko i wszystkich. Wychowańcy takiéj metody, są zwykle, lubiący sobie we wszystkiem do-

gadzać, a strasznie nie lubiący trudów, obowiązków i przeciwności. Lada przykrościami stanu i powinności natychmiast się zrażają.

Doświadczenie nas naucza: iż kto nie szanuje rodziców nauczycieli, przełożonych, ten nie będzie umiał szanować żadnych świętości. Znakomity filozof, Trentowski powiada: „Syn, który będąc chłopcem nie nauczył się posłuszeństwa dla ojca, uzbroi późniéj przeciw niemu rękę świętokradzką.“ Kant zaś naucza: „Zaniedbana karność większem dla wychowańca jest nieszczęściem, niż zaniedbana kultura: bo ta daje się nabyć późniéj, samowolność zaś i dzikość z pobłażania pozostają aż do śmierci.“

Na powadze więc doświadczenia i sądu ludzi mądrych opieram zasadę: iż w uprawie woli, należy powrócić do praw pierwotném natchnieniem od początku podyktowanych, w utrzymaniu młodzieży we właściwem uszanowaniu i uległości dla rodziców, dla przełożonych, dla starszych, we właściwéj karności, w skromności i posłuszeństwie.

Samodzielność ducha w panowaniu nad wolą, jest jedyną cechą najwymowniéj dowodzącą, iż wedle władzy w duchu wzbudzonéj, możemy być pzez własną zasługę dobrymi — moralnymi, a nawet wielkimi w czynach: albo przez uśpienie w sobie władzy, możemy być nikczemnikami słabego charakteru — w zmysłowych zabiegach do zwierząt zbliżonymi. Taka wolność władzy nad wolą, odpowiada prawom przyszłéj sprawiedliwości, do czynów i zasług dobrowolnych, odnosić się tylko mogącéj. Gdybyśmy nie posiadali władzy ducha nad wolą, wszystkie nadziemskie idee: prawdy — sprawiedliwości — spólnego szczęścia i t. d. nie mogłyby nigdy w stosunkach spółecznych urzeczywistnić się. Żadna kreacya myśli ludzkiéj i ofiara czynu, nie mógłyby nigdy na świecie w stosunkach towarzyskich się objawić: a cel naszéj exystencyi byłby żaden. Stopa jednostajna instynktowa, byłaby zarówno udziałem ludzi, jak jest przeznaczeniem zwierząt, — postęp i udoskonalenie ani byłyby pojęte nawet, i nigdy w dziejach Historyi takie znamiona nie były widziane.

Gdybyśmy znowu, mając w sobie władzę nad wolą, nie używali jéj w czynach praktycznych, ten wielki dar duchowy pozostałby w nas tylko marzeniem. Poprzestawalibyśmy tylko na pięknych projektach — na budowaniu w imaginacji zamków na lodzie, unikając wszelkich trudności passowania się z sobą samym i ze sprzecznościami zwykle każdemu ważniejszemu przedsięwzięciu towarzyszącemi. Szlibyśmy na ślepo za uczuciami zmysłowemi, instynktowemi, podobnie jak zwierzęta — a piękne myśli, bez władzy wyko-

nania, istniałyby tylko w sferach imaginacji, *twórzobraźni*, nieprzeistaczając się nigdy w piękne czyny.

Lecz Bóg czynów i ofiar po nas wymaga, — a czyny tylko kładzie na szali zasług i rzeczywistości: bo pomysły ludzi marzących tylko, a nie działających, giną bez żadnego użytku dla bliźnich — dla społeczności — nie pojawiając się nigdy w rzeczywistości na scenie historycznéj, lub familijnych wspomnień. Najśmieszniejsza téż jest rola w życiu społeczném zapaleńców zuchwałych w słowach i przechwałkach, a zniewieściałych i próżniaków w działaniu — nawet najdrobniejszém. Przez wychowanie więc obudzać w młodzieży samodzielność władzy ducha — nadawać moc charakteru moralnego jest konieczném i najważniejszym obowiązkiem.

Do uprawy woli należy zamiłowanie prawdy. Zbawiciel też naucza: „A niechaj mowa wasza będzie „jest, — jest — nie, nie.“ Winniśmy więc przestrzegać młodzież, aby nigdy, żartem nawet, nie zbaczała z charakteru rzetelnosci i prawdy — aby brzydziła się kłamstwem i przewrotnością, aby w potocznéj rozmowie nie używała przysiąg — ale słów *tak* — *nie*, i żeby zapewnieniom, w tych słowach zawartym zjednywała największą ufność.

Życie człowieka na tym świecie, jest czasem danym do użycia darów Bożych, wrodzonych talentów i zdolności — a wzbudzenie władzy wewnętrznéj nad wolą, jest jedynym środkiem do użycia tych darów ku naszemu zbawieniu i udoskonaleniu. Kto zaś tych darów nie używa, dobrowolnie ściąga na siebie poniżenie, grzech i karę. Do takich to ludzi nasz Zbawiciel zastósował swą naukę: „A niepożytecznego sługę wrzucić do ciemności zewnętrznéj, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.“ Mat. 25—30.

Największém tedy dla człowieka jest nieszczęściem, gdy obok uprawy rozumu—a nawet uprawy sumienia, ma jednak zaniedbaną uprawę woli i mocy charakteru, — gdy nie ma w sobie wzbudzonéj władzy ducha i namiętnościom puszcza wolne cugle: gdy zniewieściałość, zmysłowość dogadzanie sobie i próżniactwo, samopas w jego duszy odbywają harce, rodząc w niéj grzechy i cierpienia piekielne.

CHOWANNA

CZYLI

SYSTEM PEDAGOGIKI

PRZEZ

B. F. Trentowskiego. Poznań, 1842.

Czém jest wychowanie?

Jest, że tak powiem, wiosenném ludzkości tchnieniem, owiewającém lekko i mile młodego człowieka, jest wodą ogrodnika, rosą krzepiącą kwiat i lejącą w niego cudowną siłę wzrostu! Tylko w domu rodziców, tylko w ziemskim raju i pod okiem Boga ojca może się udać dobre wychowanie dzieci. Każde dziecię jest świeżo urodzonym Adamem, lub nową Ewą, potrzebuje więc raju i boskiéj opieki! Jeżeli raj ten jest czeluścią piekła, jeżeli bogi czuwające nad młodém bóstwem są rodziną szatana, biada dziecięciu! Rodzice są wzorem doskonałości, świętym dziecka ideałem! Ich bezbożność, dzikość, złość, głupota, wykwintność: ich ludzkość, rzetelność, dobre lub złe obyczaje, stają się biednéj dzieciny przymiotem. Dom rodzicielski jest całym światem dla młodego anioła, atmosfera tego domu jest jego żywiołem, jest kwasorodem, którym żyje i krew swą różuje, który w ciało i duszę swą zamienia. Wielka jest władza pierwszych wrażeń; te wrastają w istotę dziecięcia, jak ślady noża w młode drzewo. Im młodsze dziecię, tém większa biernéj jego jaźni potęga. Wychowanie leży przeto wyłącznie w ręku świętych lub przeklętych Penatów, w ręku ojca, matki, nianki, ochmistrzyni, nauczyciela, i jest granitową Egiptu opoką, na któréj przyszła stać będzie ludzkości dziecięcia piramida! Dobrze wychowany człowiek jest, mimo braku nauki i wyższych zdolności, całe swe życie dobrze wychowanym człowiekiem; idzie śmiało w lepsze towarzystwa, pływa w nich jak zwinny złoty pstrąg w wodzie lub jaskółka w powietrzu, i niepotrzebuje się w oczach tonu za swą rubaszność rumienić! On jest nadobnym narcysem, jednakim w ogrodzie króla i wieśniaka. Wonność pewna go otacza i ztąd też miłym on jest gościem, gdzie tylko zawita. Gracye są jego towarzystwem nieodstępném i zdobywają mu serce, choć jeszcze i słowa nie wyrzekł. Czém jest piękność oblicza lub strój ciała dla zewnętrznego człowieka, tém jest dobre wychowanie dla mieszkającego w nas Parysa. Dobre wychowanie jest blaskiem tęczy bóstwa naszego rokującym nam życia pogodę! Komu na niém

zbywa, ten niezdoła, choćby był największém jeniuszem, choćby go wszystkie muzy i boginie Olimpu za rękę wiodły, ukryć niedostatku swego; niezdoła tego całą swą potęgą zdobyć, co bez własnego przewinienia w rodzicielskim Edenie utracił! Jeżeli pragnie gwałtem uchodzić za dobrze wychowanego, staje się tylko śmiesznym i niezgrabnym pawianem. Wychowanie możemy li w czasie dzieciństwa otrzymać, nigdy późniéj. Czy jest dobre, czy jest złe, staje się drugą naturą naszą, i doświadczony wzrok znawcy ludzi postrzega natychmiast, czy osoba z nim po raz pierwszy w stosunek wchodząca, w pałacu, karczmie, chacie lub stajni wychowaną została. Jakie nasze wychowanie, tak śród ludzi występujemy, tak nas téż przynajmniéj w pierwszych chwilach przyjmują! Wychowanie jest blaskiem sobistości naszéj gwiazdy, barwą istoty naszéj kwiatu, złotem naszego bóstwa, oblewającem nas glory i atmosferą; — kształci wprawdzie nasze ciało i duszę zarazem, czyli jaźń całą, ściąga się przecież szczególniéj na ciało i dla tego jest pedagogicznem *twierdzeniem* i pedagogiczną *realnością*, czyli rzeczą fundamentalną. Zewnętrzność jest nadewszystko celem wychowania; ją należycie wykształcić jest jego staraniem! Środkami zaś są ćwiczenia gimnastyczne, taniec, troskliwe udoskonalenie ruchu wszystkich ciała członków, obudzenie zmysłu do przystojności, słowem cała koterya, któréj świątynią i życiem jest salon! Wychowanie nie jest jednak *chodowaniem* lub *tresowaniem*. Chudujemy roślinę, tresujemy zwierzę, wychowujemy człowieka. Wychowanie jest właściwie ubraniem bóstwa człowieczego we wdzięki Gracyi i li człowieka własnością. Wbrew téj prawdzie wiele rodziców *choduje* lub *tresuje* swe dziatki, i mniema, że to *dobre wychowanie!* We wszystkich krajach jest dobre wychowanie jednakie, bo tylko jednakiem być może. Dobrze wychowany w Polsce jest zatém dobrze wychowanym we Francyi, w Niemczech i wszędzie. Dobre wychowanie jest owocem cywilizacyi, nieznane jest przeto u ludów i rodzin dzikich. Miasto lub wieś, gdzie braknie dobrego wychowania, jest knieją dwónożnych wilków lub niedźwiedzi.

Czém jest nauka?

Jest, że tak powiem, nieprzyjemnym wiatrem jesiennym staréj ludzkości, co młodego człowieka oblewa chłodem, by rozpalone bóstwa jego żelazo w stal zamienić i tym środkiem prędzéj go przywieść do celu! Ludzkość jest jak świat podeszłą wiekiem matroną, uczyniła już w umiejętności i sztuce tak olbrzymie postępy, że dziś niepodobieństwem jest zupełném, jednemu człowiekowi zdobyć cały ten indostan

bogaty i zrobić go płodną głowy swéj kopalnią! Rodzice zdołają dziecię wychować, ale niezdałają sami je we wszystkiem, co mu kiedyś przydatném być może nauczać; potrzebują więc obcéj pomocy, i biorą ochmistrzów lub ochmistrzynie do swego domu, albo téż wysyłają wychowańca do publicznéj szkoły. Nauka jest względem wychowańca cherubinem z mieczem ognistym! Przez nię utraca młody Adam i młoda Ewa raj swego dotychczasowego szczęścia, zstępuje na padoł płaczu i musi biedzić się z pracą. Dziecię ma przynieść z sobą dobre wychowanie do szkoły, ponieważ tu wychowanie jest rzeczą podrzędną, nauka zaś głównym celem. Nauka bogaci wprawdzie głowę wychowańca, niejest przecież i na jego serce bez dobroczynnego wpływu; pod otwartą głową bije zazwyczaj i otwarte serce! Dobra głowa przemienia się zwykle w dobre serce, jak przyczyna w swój naturalny skutek! Myśl bogata jest rodzicielką uczuć bogatych! Wychowanie jest tylko coraz więcéj prawem przystojności, zawarowaną dzieci igraszką, nauka jest już ich znojem; wychowanie opiera się na filarach przyzwyczajenia, nauka jest trudną zdobyczą i wymaga usilności; wychowanie stoi chętnie pod czepcowém berłem matki, nauka pod surową buławą ojca. Nauka także dotyczy się zarówno ciała i duszy, a przeto całéj jaźni wychowańca, ponieważ nie sama umiejętność, ale także sztuka i rzemiosło, które po większéj części tylko fizyczność naszą zatrudniają, są iéj przedmiotem. Wewnętrzność człowieka, t. j. dusza jest tu jednakże szczególniéj na względzie: bo wszelka nauka, nawet zupełnie mechanicznego rzemiosła, rozwija duch ludzki z całym jego zdolności gordyjskim węzłem. Jedném słowem, wychowanie kształci naszę *powierzchowność*, nauka naszę *duchowność;* wychowanie rozwija *bierność* naszéj sobistości, nauka jéj *czynność*. Wychowanie i nauka stoją zatém w zupełnym *względnéj różni* kontraście i są jéj *przeciwnymi krańcami.* Jeżeli wychowanie jest *twierdzeniem,* nauka jest *przeczeniem.* I tak się téż ma rzeczywiście. Człowiek n. p. naukom poświęcony i w księgach zagrzebany, nierobi sobie wiele z dobrego wychowania, uważa je za fraszkę, przeczy je tedy! Jak ciało do duszy, tak wychowanie do nauki. — Nauka ma zazwyczaj publiczną szkołę za swój kościół, znajduje przecież i w domu rodzicielskim swe ołtarze; ztąd *nauczyciel publiczny i nauczyciel prywatny.* Szkoła przynosi więcéj korzyści wychowańcowi mającemu być kiedyś obywatelem, żołnierzem, ogniwem małém w wielkim łańcuchu państwa, ponieważ wezwyczaja do towarzystwa i jego cnot wszystkich; nauka zaś domowa jest lepszą dla królewicza i takiego młodzieńca,

który ma z czasem stanąć na czele rządu, bo go do samotności, przestania na sobie, do tonu pańskiego, sługom szczególniéj wszechmocnością swą groźnego, wezwyczaja, i od gminu oddala. Ale i szkoła kształci czasem niebezpiecznego królika. Kto był n. p. prymusem przez wszystkie klasy i został w końcu wieńcem książęcia młodzieży ukoronowany, jak się to nieraz na Zoliborzu w Warszawie zdarzyło, kto musiał rówienników swoich trzymać w oddali i rygorze, zastępować miejsce profesora, i ciszy muz szkolnych pilnować, ten nabył carskiego taktu, wzroku rozkazującego i imponującéj powagi, ten został nawet i w późniejszym życiu tureckim baszą. Taki człowiek unika rozkoszy towarzyskich, ponieważ te nie stały mu się w jego młodości drugą naturą. Ztąd téż stopnie w szkole, przy całéj poeyteczności, nie w każdym razie są godne pochwały.

Czém jest wreszcie oświata?

Jest wychowaniem i nauką w jedni. a tém samém *rzeczywistością* obojga. Oświata niema szczególniéj ciała, jak wychowanie, ani szczególniéj duszy, jak nauka, na względzie; ciało i dusza społem, czyli *jaźń* wychowańca bez względu jest jéj przedmiotem. Jéj celem jest kształcenie samodzielności, wolności, całéj boskości, czyli właściwéj sobistości wychowańca. Sobistość ma się tu stać osobistością, osobą, ma zarumienić się coraz żywszym i wyraźniejszym kolorem. Oświata jest zatém kardynalną rzeczą dla jeńialnego pedagoga, który nie proste tylko narzędzie, ale samodzielnego i wolnego, jak sam, wykształcić pragnie człowieka. — Nawet najpłytszy ochmistrz domowy i profesór zgodzi się na to, że wykształcenie *jaźni i sobistości* młodzieńca najświętszą jest rzeczą w domu rodziców i szkole. On sam wszakże zaszczepia w swych wychowańcach głęboki szacunek dla jaźni i sobistości, przynajmniéj dla własnéj, przynajmniéj dla téj, którę on sam w sobie czuje! Każdy człowiek pragnie mniéj więcéj w sobistości innych zaszczepić dla siebie kolonią, i jaźń własną zrobić szpikiem pacierzowym każdego ze swych znajomych i przyjaciół. Herakles świat zdobywa i sądzi, że jedynie Heraklidy godnymi są panowania nad zdobytym przez niego światem; Bonaparte rozdaje tylko Bonapartystom korony, Luter rozradza się w Lutrach, Hegel w Heglistach! Równie tak zwany mąż wielki, jak maluczki podobnym koniecznie być chce nędznéj musze, która nieskończoną znosi jaj mnogość, i któréj każde jaje zamienia się w muchę, w wierny obraz muchy macierzy! Wszelki żyjący twór w naturze jest samolubem! Prima charitas ab ego, jest jedném z praw natury! A więc

i pedagog zwyczajny chciałby w swym wychowańcu ujrzeć samego siebie, i na woskach jego osobistości, rodzinną pieczęć własnéj jaźni wycisnąć. Zaczém nie jak zwyczajny pedagog, ale jak Bóg, nie jak ochmistrz ziemski, ale jak ochmistrz niebieski, kształć wychowańca na twe podobieństwo! Bóg jest naszym ochmistrzem najwyższym! On jest samodzielnością, łeję więc w istotę swych wychowańców samodzielność! On jest wolnością, sobistością, jaźnią samego stworzenia, tchnie więc w nas iskierkę wolności, sobistości, jaźni! Jeżeli tedy samodzielność, wolność, sobistość, jaźń, słowem bóstwo święte twego wychowańca ochraniasz, jeżeli nie starasz się bóstwa tego stłumić, ale je podnieść, ale rozwinąć mu silne skrzydła, bądź miłością i wolnością, siéj miłość i wolność, a miłość i wolność będzie twém żniwem! Dla tém lepszego pojęcia oświaty, stawim tu w kilku wyrazach porównanie tejże z obu jéj połowicami, t. j. z wychowaniem i nauką. Wychowanie jest praktyką, nauka teoryą, oświata praktyką i teoryą społem, czyli *synezą;* wychowanie jest empirycznéj, nauka spekulacyjnéj, oświata filozoficznéj natury, wychowanie jest rozłogą, nauka *przyczynowością*, a oświata rozświatem Boga w człowieku! *Wykształcenie* jest ich *Parabramą*, t. j. całością. Wychowanie, nauka i oświata są trzema gwiazdami w konstelacyi wykształcenia. Bądź wychowujesz, bądź nauczasz lub oświecasz młodzieńca, zawsze *kształcisz* tylko jego jaźń i sobistość!

Tu kilka rzucamy małych myśli błyskawic rzecz naszę rozjaśniających. Dziecię żyje pierwszém człowieka życiem w domu swych rodziców; żyje na miękkiem wezgłowiu miłości i miłuje świat cały. Kochanie jest wiarą świętą; słowo miłości niepotrzebuje dowodów! Ojciec więc jest jeszcze dziecięciu bogiem, matka jeszcze aniołem stróżem, a inni domownicy opiekuńczemi jeniuszami z tysiąca i jednéj nocy. Co ojciec mówi, jest mu świętą ewangielią; co inni robią, jest wzorem jego roboty! Dziecię jest tu tém, czém wiosenna ziemia względem pełnéj deszczem chmury, jest istną *biernością*. W takim stanie jest człowiek przedmiotem wychowania! — Dziecię wreście podrosło i stało się zdolnym chłopcem. Chłopiec siedzi w szkole i pilnie słucha. Mądrość jego mistrza, którę ten mu, ile podobna, dostępną czyni i prawie na talerzu podaje, obudza w nim chęć do jéj zdobycia. Jest to mądrość drobiazgowa, propedeutyczna, do pojętności młodych uczniów zastósowana, jedném słowem mądrość dziecinna, i dla tego nietrudna! Po małym mozole dopiął chłopiec swego celu, zdobył złote runo, za którém gonił, i dostał promocyą do wyższéj klasy. Ale i tu idzie mu wszystko łatwo. W trzeciéj, czwartéj

piątéj i szóstéj klasie podobnież! Im więcéj się nauczył, tém łatwiéj poznaje, że wszystkie te umiejętności nie są pracą Herkulesa, że są więcéj igraszką, niż znojem. Pierwotne jego wyobrażenie o ludzkiéj mądrości traci teraz prawie wszystkie barwy. Wtém wychodzi nowe dzieło. Jeden z jego nauczycieli, którego zna osobiście, a nawet lekceważy, podnosi tę lub owę naukę i ogłasza wiele rzeczy dotąd niesłychanych! Widzi tedy podrosły chłopiec, że wszystkie nauki, są wynalazkiem człowieka, pragnie być także wynalazcą! Bierze pióro, pisze wiersze i otrzymuje pochwałę. Coraz więcéj przekonywa się o swym talencie i twórczym duchu, staje się w końcu *zarozumiałym!* W ostatnich klasach uważa się już za jeniusz wielki, za światło ziemi, za drugiego Appollina; krytykuje wszystko, szydzi z dawniejszych nauczycieli, nieszczędzi nawet ojca własnego, który mu był przed laty bogiem! Mój dziad, tatulo, ma słabą głowę, prawi młokos do drugiego młokosa! W tych chwilach świtu ducha staje się republikaninem, jakobinem, terrorystą. Głupia jest mu ojców jego religia, głupia konstytucya narodowa, głupi świat cały; on wie wszystko lepiéj, pragnie ziemię do góry przewrócić nogami! W całym tym obrazie widzimy jak nauka pierworodne czynności duchowych zarzewie zwolna rozdmuchuje, jak im żagwie przypina i w końcu w grożący je płomień zamienia! Wychowanie kształci naszę *bierność*, nauka *czynność!* — Oświata istotna nie króluje ani w domu rodzicielskim, jak wychowanie, ani w szkole, jak nauka, ale na uniwersytecie! Uniwersytet jest rodzicielskim domem i szkołą zarazem w pewnym rodzaju; salonem lub knajpą i mądrości słuchalnią! Młodzieniec otrzymawszy szumnie tak zwany *patent dojrzałości*, wymienia go na złoto matrykuły akademickiéj. Idzie na prelekcye. Tu znajduje mężów z wielkiém imieniem. Wystrzelili nad gmin, aż pod niebios stropy, i świat sobą napełnili! Ich uczoność głęboka, jak atlantyku tonie; ich wymowa śpiewem syreny! Sława toruje im drogę, sława idzie za nimi! Czołobitność otrzymują ze wszech stron, jako haracz boskiemu ich duchowi należny! Zdumiał młodzieniec! Przed bogów obliczem uczuł się niczém, i nabrał innego wyobrażenia o umiejętności. Rumieni się sam przed sobą, wstydzi się za dawniejszą zarozumiałość i niewiadomość! Jego czynność ukorzona staje się po raz drugi biernością! Czynność ducha jednak wrosła już wszystkiemi nerwów włóknami w niego, jest mu drugą naturą, ustać więc w nim nie może, jednoczy się tedy z nową jego biernością. Bierność zaś i czynność w jedni, są *dzielnością*, a każda dzielność kończy się zwykle na *samodziel-*

ności. Tym sposobem staje sie młodzian samodzielnym. Prawdziwa oświata jest zawsze własnym utworem na gruzach utworu innych. Myśl młoda karmi się myślą starą, trawi ją i w sok swój obraca. Nikt nas właściwie oświecić nie zdoła, tylko my sami siebie: bo oświata jest, że tak powiem, *samodziałem naszéj jaźni*, samodzielności dziecięciem! Bierność wychowańca jest *koniecznością*, która w naturze panuje; jego czynność jest *prawnością*, która w następstwach myślenia i we wszystkich krainach ducha berło swe dzierży; jego samodzielność wreszcie jest natury koniecznością i ducha prawnością w jedni, czyli *wolnością*. Na uniwersytecie używa téż młodzian pierwszéj swéj wolności. — Oświata ma początek, ale niema końca; musi ciągle postępować, ciągle iść naprzód, inaczéj pójdzie w tył; zaczyna się na uniwersytecie, a kończy się z ostatnią życia naszego godziną. — Z tego co wyłożyliśmy, niewypada bynajmniéj, ażeby wychowanie li w domu rodzicielskim, nauka li w szkole a oświata li na uniwersytecie panowała. Młodzian może otrzymać w domu rodzicielskim nie tylko wychowanie, ale naukę i oświatę. Szkoła zważa także na dobre wychowanie i polepsza je, ile podobna. Nawet na uniwersytecie masz naukę i wychowanie, gdyż młodzian i tutaj *uczyć* się musi, a wchodząc w stosunek z ludźmi dobrze wychowanymi, *kształci daléj swe wychowanie*. Wychowanie, nauka i oświata zrastają się z sobą tak silnie, że je w rzeczywistości rzadko samotnie spotkasz; trwają całe życie: bo świat jest także wielkim rodzicielskim domem, szkołą mądrości i uniwersytetem!

Wychowanie, *nauka i oświecenie* są przeto trzema stacyami śród pielgrzymki świętéj do kraju ubóstwienia, trzema bokami w doskonałości trójkącie; są środkiem wiodącym nas do najwyższego celu, gościncem trzema rzędami lip wysadzonym do Salomonowéj świątyni naszego przeznaczenia. Trzy te pojęcia stanowią trójcę na mnogich ostrowiach pedagogiki w każdém ich ziołku przytomną. — Tu można wreszcie umiejętność naszę następnym odmalować sposobem: *Pedagogika jest umiejętnością: wychowania, nauki i oświaty młodzieży.* Oznaczenie to jest najzwyczajniejsze a przytém i najgłębsze. — Wiemy tedy, że pedagogika ma na celu, bóstwo śpiące w człowieku przebudzić i natchnąć je samodzielności pożogą; wiemy także, iż tego celu można dopiąć wychowaniem, nauką i oświatą, słowem *wykształceniem*. Mimo tego wiemy bardzo niewiele. Niedość bowiem wiedzieć, że kształcić dziecię trzeba, musimy jeszcze wiedzieć, *jak je kształcić?* To pytanie rozwiązać nam może jedynie cała umiejętność pedagogiki, czyli cała Chowanna.

DWORZANIN POLSKI

przez Łukasza Górnickiego, wydany w Warszawie 1828.

Męstwo dworzanina.

Gdy się dworzanin mój zacnie, i tak szczęśliwie, jako się powiedziało, urodzi: zakon, a zawołanie jego, abo (jako dziś mówią) professya, niechcę aby była inna, jedno rycerskie rzemiosło, w którym naprzód wiarą przeciwko panu swemu, a potém męstwem, siłą, ochotą, i przeważnością, potrzeba żeby między drugimi słynął, czyniąc temu dosyć, po wszelki czas, i na każdym miejscu; a najmniejszéj rzeczy nie puszczając mimo się, któraby mu niesławę przynieść miała, bo szwank[1]) w téj mierze, a ustąpienie na lewo, by o włos, wieczną sromotą pachnie; a jako poczciwość białéjgłowy, która ją raz straci, nigdy się jéj nazad nie wróci: tak sława poczciwego, a rycerskiego zawołania człowieka, jeśli najmniéj w czym uszczerbiona będzie, już się nigdy nie poprawi, ale tak zhańbioną, a pełną lekkości zostanie. A tak ten mój dworzanin, im ćwiczeńszy będzie w tym rzemieśle rycerskim, tym będzie wziętszéj czci, a chwały godzien. Wszakoż ja tego na nim nie wyciągam, iżby w tym był tak doskonały, żeby wojska wieść, a hetmanić mógł: bo temu niewiedzieć gdzieby był koniec, ale kiedy będzie główniejsze sztuki wiedział, i rozumiał to, co żołnierzowi rozumieć trzeba; a przy tym będzie to miał w sobie, com pierwéj powiedział, to jest wiarę całą panu swemu, a serce niezwyciężone; tedy ja już na tym przestanę, jedno żeby to takie wielkie serce zawżdy się w nim najdowało. Abowiem rychléj czasem na małych rzeczach, niż na wielkich serce poznać: bo w potrzebie wojennéj gdzie wiele ludzi na to patrzy, najdują się więc drudzy, którzy chociaż już zdechli na poły[2]), jednak przed wstydem[3]) idą oślep, a czynią co dobrym należy, acz téż podczas[4]) wie to Bóg jako, a zasię w mniejszych, a nie tak gwałtownych rzeczach, gdzie obaczą iż mogą uledz, a niewdać się w niebezpieczeństwo, zwłaszcza, kiedy w takiéj nieśmiałości nie ma ich nikt postrzedz, barzo radzi zostaną przy chrześciańskim pokoju. Otóż mój dworzanin, niechcę aby takim był; ale chociażby dobrze widział, iż ani ma na się szpiega nieśmiałości, ani może mieć świadka męstwa, a cnych swych posług: przedsię niechaj to czyni, co dobremu cnotliwemu należy, po-

---

[1]) Uszczerbek. [2]) Obumarli na pół. [3]) Dla wstydu. [4]) Czasem.

mniąc na ono, iż najpewniejsze świadectwo jest sumienie własne, a za cnotliwe sprawy sama cnota hojną zapłatą jest. A kto jedno dla tego poczciwie czyni, aby był widzian, ten się z cnotą fałszywie obchodzi, okazując jéj prawdziwą miłość; gdyż ku czemu innemu, a nie kniéj, skłonne jest jego serce. Zgoła dworzanin ten mój, sercem mężkim, a wspaniałą myślą, zawżdy się znacznie popisać ma. Jedno téż zasię niechcę, aby zuchwalstwo w nim panowało, iżby pochmurnym wejrzeniem, postawą srogą, odętym wąsem, straszyć miał, a nieumiał łagodnie mówić, jedno z fukiem a wszystko o wojennych rzeczach, a jako zbroja najmiększa jego pierzyna a z przyłbice najsmaczniejszy trunek: bo kiedyby takowy miał bydź, prędkoby każdemu człowiekowi obmierzł, i zasłużyłby słyszeć one słowa, które poczciwa pani jedna takiemuż zuchwalcowi na biesiedzie powiedziała, bo gdy ten kilkakroć poczczon tym był od niéj, żeby się abo do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wżdy rozmową się jaką z pannami bawił: a każdy raz, dobry pan nic innego nie powiedał, jedno iż to jest lekkich ludzi dzieło, a nie jego ćwiczenia rzemiosło, spytała go nakoniec pani: A to rzemiosło W. M. jakież wżdy jest?[1]) Odpowiedział jéj: (uczyniwszy pierwéj postawę srogą) we krwi, prawi, nieprzyjacielskiéj brodzić, a swéj nie żałować. Rzekła zatém pani: Mnieby się wierę zdało, ponieważ teraz wojny nie masz, abyś W. M. dał się czyście tłustym[2]) namazać, a wespołek ze zbroją, i z tym wszystkim czego W. M. przeciwko nieprzyjacielowi używasz, dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abyś W. M. barziéj niż teraz nie zardzewiał.

Rzekł ktemu J. M. pan Lubelski: Niemogła trefniéj powiedzieć chłopu głupiemu, który mniemał, aby ten, kto tańcuje, abo się miłością para[3]), uderzyć nieumiał, abo żeby żołnierzowi biesiada, a krotchowila ująć co godności miała.

Zaś powiedział pan Kryski: A przeto dworzanin przeciwko nieprzyjacielowi, czasu wojennéj potrzeby, niechaj używa sierdzistości swéj, a okrucieństwa,[4]) starając się o to, żeby zawżdy na czele, zawżdy między pierwszemi bywał: ale między swemi: a co potém? układności, skromności, a stateczności trzeba, tą się on niechaj zaleci. Lecz to nad wszystko, żeby w nim tego ludzie nie znali, iż pragnie być widzian: boby tym wszystko popsował; zwłaszcza jeśliby się jeszcze sam niewstydliwie chwalił.

---

[1]) Jest przecie. [2]) Cały tłustością. [3]) Zajmuje. [4]) Gniewliwości i surowości.

ŻYWOT
CZŁOWIEKA POCZCIWEGO.

PRZEZ

Mikołaja Reja, 1567, wydany w Warszawie 1828.

Starzy oni filozofowie zacni pogańscy, nie wiedząc nic ani o Bogu, ani o woley Bożey, ani o zakonie[1]) iego, tylko się tak przyrodzonemi cnotami sprawując, kto czytał ich sprawy może się iście[2]) podziwować, pomyśliwszy sobie co to byli za ludzie, a jako cnotliwych, pobożnych a poćciwych obyczajów i używali i w nich się zachowywali. Ale iż świat jako jest odmienny i z dziwnemi sprawami swemi, to już jawnie a prawie na oko widzimy, że za odmiennością czasów jego i dziwniejsi ludzie nastawają, i dziwnie się mieszają z obyczajami swemi. A ma li się prawda rzec, za łaską Bożą, acz i prawa pańskie i prawa wedle biegu świata tego słusznie postawione, a znacznie objaśnione mamy, przedsie co daléj tho w gorsze a w zawikłańsze się sprawy i udawamy i bezpiecznie[3]) ich używamy, a trudno się już koła ledajako zachamować mają. A to nam wszystko rozumki nasze nowo wymyślne, omylne postawki[4]) pycha a słówka przekęsowane[5]) czynią. Czego nie tak przodkowie nasi używali, co się i z starego pisma ich ukazuje iż po prostu mówili, ale statecznie przy tém co ich poczciwemu stanowi należało, i stali i mocno tego używali. A iż wszyscy narodowie języki swemi sprawy, cnoty, i poczciwe obyczaje, dla pohamowania swawolnego przyrodzenia ludzkiego i pisali i na piśmiech potomkom swym zostawiali, jednochmy my polacy w swym języku zadrzemali, a mało pisma mamy któreby nas wzdy też czasém pochamować mogło, jakobychmy wzdy roztropnéj słuszności spraw, zwyczajów, i postępków swych poczciwie używać mogli. Bo jako insi narodowie o nas polakach piszą, iż trudno ma być który naród tak z przyrodzenia do każdego obaczenia tak przykłonny[6]) jako jest naród nasz polski, na którąkolwiek stronę staranie a ćwiczenie swe będzie obrócić chciał. A gdyż o to nic nie dbają ci, które Pan Bóg i naukami ozdobić i ubłogosławić raczył, aby pisaniem swém albo rozważnym upominaniem swym ludzi przestrzegali z ich powinności, tedy wzdy niech kamienie wołają[7]). Tedy mi się z téj przyczyny zdało acz

---

1) Prawo. 2) Istotnie. 3) Śmiało. 4) Postanowienia. 5) Zwodnicze. 6) Do pojęcia tak sposobny. 7) Niech do was i kamień przemówi.

prostakowi a nie uczonemu, przypatrując się sprawom a obyczajom ludzkim, nasłuchawając się téż częstokroć co poćciwi między sobą ganią a przy czym téż słusznie przestawają, a co słusznie pochwalono i poganiono być może, aby się téż wzdy co o tym napisało, jakoby téż wzdy poćciwy polak, gdyż to każdy słusznie zeznać musi, iż jest z przyrodzenia cnotliwy, swe sprawy a swe poćciwe postępki stanowić i ku jakiemuby je końcowi rozważeniem rozumu przywodzić miał i jako jest powinien w nich się i zachować i stanowić aby umiał. A tak to małe napisanie, które się zamyka w tych to księgach: o poćciwym zachowaniu, o cnotliwém stanowieniu żywota człowieka poćciwego, podawam ci przed oczy slachetny polaku, acz prostym szyrmem[1]) ale dali Bóg życzliwym od prostego napisane. Ale gdyż cię Pan Bóg obdarzyć raczył z przyrodzenia roztropnym baczeniem, tak jako to i inni narodowie zeznawają, tak rozumiem że sobie ostatka z swego uważnego rozmysłu dołożyć będziesz umiał, i sławę, i myśl spokojną, i żywot poćciwy, i Panu Bogu wdzięczną ofiarę, jakożeś się o to starać powinien, okazać i uczynić będziesz umiał. Co inaczéj być nie może jedno iż musisz temu swawolnemu osłowi a temu tępemu ciału swemu ująć obroku, a dodawać mu ostróg, i przypatrować[2]) mu często munsztuku, aby swowolnie nie bujało. A tak gdy będziesz te księgi czedł[3]) tedy wiedz, iż są na trzy części rozdzielone. Pierwsza część jest od urodzenia człowieka jakie są przypadki jego, i jakie ma być ćwiczenie i wychowanie jego aż do lat średnich jego. Druga część jest od średnich lat jego jaka ma być sprawa około niego, i jakie mają być postępki jego i stanowienie poczciwego żywota jego. Trzecia część jest gdy już przyidzie do wieku ostateczniejszego a do poczciwych a sędziwych lat swoich, jako téż tam już ma w rozmyślnym żywocie swoim, a w poczciwéj powinności swojéj a w bojaźni Bożéj stanowić ony wdzięczne, spokojne, a sędziwe czasy swoje, a jako się nie ma lękać ani przypadków żadnych tego świata, ani sędziwości swéj, ani onego ostateczniejszego strachu, który nas już ma doprowadzić do inszego królestwa a do inszych roskoszy niżeli są świata tego. Co tak rozumiem iż cztąc[4]) powoli, lepiéj to będziesz umiał rozważyć, niżeli jakoć tu jest krótko wywiedziono, Vale.

---

[1]) Stylem, układem, od szermowania, składania się pałaszem. [2]) Przyciągać. [3]) Czytał. [4]) Czytając.

Z POLITYKI ARISTOTELESOWÉJ.

Doktora Sebastyana Petricego. Kraków 1605.

Wstęp.

Przyrodzoną rozumu światłością niegdy filozofi oświeceni w jednym człowiecze wyrażony kształt rządu, i jakoby żywy przystojnego się sprawowania obraz, upatrzyli, którego nie bez przyczyny małym światem nazywali. Bo jako jeden nieskończony rządzca Pan Bóg wszystek świat rządzi, tak też dla człowieka wszystkie rzeczy stworzone, pod rząd i rozkazowanie jego słusznie są poddane. Ziemia jest stworzona dla ziół, zioła dla zwierząt, zwierzęta dla ludzi: tak ludzie zioły, zwierzęty i wszystkiemi na świecie rzeczami władają i rządzą. A jako rząd w przyrodzonych rzeczach, naprzykład, w obrotach niebieskich, w rozszykowaniu czasów, wiosny, lata, zimy, jesieni, dnia, nocy, w rodzeniu ziół, owoców, zboża i rozmaitych zwierząt, pewny bywa: tak w sprawach ludzkich, im większa jest dla woli naszéj, która się na przeciwne rzeczy zanosi, niepewność i odmiana, tym większego rządu potrzeba było. Dla którego Pan Bóg człowiekowi dał cząstkę Bóstwa swego, rozum, którym samym chciał człowieka mieć od innych zwierząt różnego, porządniejszego i szczęśliwszego. Zwierzęta powodem natury sprawując się, niepochybnym porządkiem na świecie żyją: człowiek rozumu się dzierżąc, tym niepochybniéj w sprawach swych może postępować, im bliżéj przyczyn spraw swoich dochodzi. Zwierzęta tak żyją, jak niemi natura, która w sprawach swych błędu nie zna, rządzi: człowiek tak ma żyć, jako rozum i baczenie każe. Jeśli kiedy natura dla niesposobności rzeczy swego pospolitego trybu uchybia: jako gdy się co urodzi niezwyczajnego, bez nóg, bez rąk, za dziw i cudo poczytamy, niewinując w tym ułomnie i niezwyczajnie urodzonych rzeczy: dla tego iż w nich samych nie jest rządu władza. Zaś jeśli człowiek uchybi brodu, nie tak się, jako przystoi rządzi, dziw i cud jest; ale iż się często trafia, niedziwujemy się, gęstością takich cudów z dziwu zrażeni; jednak iż odstępuje rozumu sobie do porządnego życia, od Pana Boga danego, zostaje winien sam sobie. On i sam sobą i zwierzęty wedle natury władając, rządu od Pana Boga w głowę swą wlepionego, jako jakiéj miary pewnéj (któréj uchybiwszy, błąd musi nagany być godny) ma się trzymać. Sam przez się widzi człowiek, zasłonę cielesności z oczu swych odrzuciwszy, jako z swojéj osoby na świecie żyć: jako się z inszemi tak bliskiemi, jako

dalekiemi, nikomu nie szkodząc, każdemu chcąc być pożyteczny, sprawować ma. Lecz iż jest ze dwojga rzeczy, z dusze niewidoméj, rozumnéj, i z ciała, od dusze czułość swoję biorącego, zlepiony: więcéj się tego dzierzy co czuje, jako rozkoszy, dostatków, możności i insze dobra mają miejsce. Co widząc filozofowie, ludzie mądrzy, przystojnie do saméj cnoty naprzód ludzie prowadzą: ukazując, iż cnota sama jest na świecie, od przedniéj człowieka cząstki pochodząca, najprzedniejsze dobro, wedle którego insze dobra wszystkie cielesne, jakoby jakiem niechybnym wymiarem, mają być miarkowane, jako ich kto ma używać sam, jako z inszemi, wymyślili nauki abo filozofiej o sprawach ludzkich trojaki rozdział. Co przynależy do rządu samego siebie, Ethiką, to jest, własnéj powinności nauką; co służy do postępku z inszemi ludzmi, jako domowemi bliższemi, Ekonomiką i gospodarstwem: co z obcemi i odleglejszemi Polityką i rzeczą pospolitą nazwali: nauki barzo ludziom wszelkiego stanu pożyteczne. Bo jako każdy może powinność swą na świecie odprawować, jeśli niebędzie wiedział na czém powinność jego, naczém szczęście jego zawisło? Jako ten może domem i czeladzią rządzić, kto rządzić siebie nie umie, kto w powinnościach swoich własnych błądzi? Jako też może kto miastem abo rzeczą pospolitą rządzić, który domu swego rządzić się nie nauczył? Gdyż rzeczpospolita nic inszego nie jest, jedno wielka wielkość domów w jednę społeczność dla snadnego na świecie życia zgromadzonych. Jedno jest szczęście, jedna powinność każdego z osobna człowieka: cnotliwe i dobre na świecie życie, które jest domu i gospodarza z domowniki snadne życie i z wczasem wszystkich, według przystojności. Owo dobrze i cnotliwie żyć grunt jest, na którym wszystkie rządy mocno stoją, na którym wszystko szczęście ludzkie zależy: dobrze żyć, sam z sobą; dobrze żyć w domu i w gospodarstwie; dobrze żyć, w rzeczy pospolitéj. Tak dobre życie i przystojny w wszelkich sprawach postępek, jest kształtem i istotą wszystkich rządów; a dobre życie na rozumie, na najprzedniejszéj części człowieka zależy, tak iż kto rozum ma, dobrze żyć może: kto dobrze żyje, szczęśliwym i błogosławionym jest na świecie: kto szczęśliwym jest, wszystko ma, ni naczym mu niezchodzi. Zaś przeciwnym sposobem kto rozumu nie ma, abo snać mając, rozkazania jego w tajemném sumieniu grzmiącego słuchać niechce, taki źle żyje: źle żyjąc, nędznym i mizernym jest: mizernym będąc nic nie ma, wszystkiego mu nie dostaje. A tak na tym wnętrznym, dusze naszéj nieniewidoméj, regimencie, to jest rozumie, wszystek rząd zależy na ziemi: zkąd małym światem człowiek przezwany

jest: iż jako jest jeden co wszystkiemi rzeczami rządzi na niebie, tak téż jest człowiek który na ziemi włada jeden wszystkiem; jaki jest rząd pewny w rzeczach przyrodzonych, takiby téż niepochybnie był w sprawach ludzkich, gdzieby się ludzie wszyscy wedle rozumu sprawowali, jako powinni; zgadzałby się nieomylny biegów niebieskich i natury saméj, porządek, z tym rządem na ziemi, gdzie człowiek wszystkiemi rzeczami, bezdusznymi i żyjącemi, włada i rządzi. Do którego to wedle rozumu życia i rządu samo sumienie człowieka skrycie ciągnie żalem w omyłce: bo gdzie w jakiéjkolwiek sprawie swéj pochybi baczenia, zaraz obaczywszy się, żałuje, iż nie dosyć uczynił przystojności, powinności swéj. Przywodzą też i filozofowie, którzy mądrze opisują ludzkich spraw filozofią, to jest, pewny sposób jako się ludzie na świecie przystojnie i wedle cnoty sprawować mają: co powinnością zowiemy, dla tego iż powinien każdy człowiek wedle rozumu się rządzić. A iż najgruntowniéj i najsnadniéj podał Aristoteles naukę o sprawach ludzkich językiem greckim: na tom się puścił, abym polskim językiem, dla początku pospolitego, przykładem inszych narodów, którzy swym językiem pisma wielu filozofów mają, jego naukę, o rządzie spraw ludzkich, na świat podał.

Jeśli od przodków zostawioną majętność, godzi się przedawać.

Wszakże, Boże dajto, jak się niegodzi, tak aby niewolno było przedawać! Abowiem widziemy, iż po śmierci rodziców, którzy w młodych leciech dopadłszy władze nad majętnością swoją, dobra przodków swoich wielką pracą nabyte, nikczemnie na pijaństwie, na obżarstwie, na roskoszy marnéj, która jak dym mija, utracają; jak wiele młodzi na niepotrzebne, i ich stanowi nieprzystojne stroje, majętności wydawają. Tym sposobem familie niszczeć muszą. Ale dowodów w tym, nie narzekania trzeba. Pierwszy jest: Naturze niewdzięczność pokazać, nie godzi się: gdyż kto się naturze sprzeciwia samemu Panu Bogu sprzeciwia się: ale przedawać od przodków nam zostawioną majętność, jest naturze sprzeciwiać się: bo taką majętność natura sama daje; nie szanować tego, nie kochać się w tym, co kto dał, jest niewdzięczność pokazywać: tedy nie godzi się żadnemu majętności ojcowskiéj przedawać. Nadto, o dobrodziejstwo od przodków dane i o opatrzenie nic nie dbać, nie godzi się: ale kto przedaje od przodków swoich nabytą majętność, na opatrzenie jego, nie dba o dobrodziejstwo przodków swoich: tedyć nie godzi się majętność nam zostawioną przedawać. Dziedzictwo nie przyznawasz być opatrzeniem? nie

zowiesz dobrodziejstwem? Niewdzięcznym się czynisz niewdzięczny utratniku, gdy dla maluchnéj roskoszy wielki dochód ojca twego odbywasz głupie! Rzeczesz: długi muszę płacić, niechcę być nikomu winien. A czemuś się dłużył? czemuś nie tak żył skromnie, jak ojciec twój, coć nabył, co ty teraz utracisz? kto kopę winien, kopę ma dochodu na tydzień, kopę na tydzień trawi, ten z długu nigdy nie wyjdzie, nie wypłaci się nigdy; także téż kto więcéj trawi niżeli dochodu ma, niepodobna rzecz aby niemiał utracić. Kopę masz intraty, kopęś winien, półtora złotego traw, tak z długu wynidziesz przez krótki czas; także téż chcesz zachować ojcowską majętność w cale, nie więcéj wydawaj, niżeli intraty masz; nie stracisz nic. Drugi nie wie co ma, nie wie co trawi, nie wie téż jak w dług wlezie, dla którego majętność musi przedać. Dla tego, głupi i gnuśny jest, który sobie dobrze nie radzi, ani o tym mądrych ludzi się pyta; ale przedając ojczyznę nie radzi sobie, ani się przyjaciół o to pyta: tedyć przedający ojczyznę głupi jest. Że nie radzi o sobie dobrze, który przedaje ojczyznę, ztąd znać, iż dochód, którymby się miał żywić odbywa, zastawia, przedaje: którego już trudno nazad nabyć, wykupić, odkupić, chybabyś chciał mając kopę intraty nic nie trawić, co nie jest rzecz podobna. Nawet kto czyni szkodę miastu, abo rzeczypospolitéj, tego potrzeba karać i niedopuszczać mu tego: ale przedający ojczystą majętność czyni krzywdę miastu i przykładem złym i miłości swéj przeciw ojczyźnie umniejszeniem: bo kto więcéj ma, więcéj jéj może służyć: tedy przedającego majętność potrzeba karać i bronić mu tego. Jak wielka szkoda staje się miastu, gdy stany szlacheckie niszczeją; utraciwszy majętność, ziemską wdowy w miastach pojmują! jak wielka szkoda rzeczypospolitéj, gdy przodków zacnych imiona niewdzięcznością, abo raczéj głupstwem giną! gdy familie stare upadają i w niwecz się obracają!

Acz jasna rzecz jest, czego się w tym trzymać, wszakże iż czasem i dobrze i źle przedawają majętności swoje ludzie: potrzeba wiedziec tę różność. Do przedania ojczystéj majętności dobrze, ma być dobra przyczyna: jako gdy kto rzeczy pospolitéj służąc, majętność ojcowską utraci, przedać musi, taki dobrze przedaje; nie tylko mu tego nie ganić, ale mu przyznać rzadką cnotę, który dla miłéj ojczyzny majętność swoją przedał: jako gdy kto dla ojczyzny wojuje swym kosztem przeciwko nieprzyjacielowi ojczyzny: gdy kto poselstwa w cudzych krajach z pochwałą ojczyzny swym kosztem odprawuje: gdy kościoły, zamki, mosty buduje. Podczas będzie się zdać dobra przyczyna, ale właśnie

nie będzie, jako gdyby się kto w domu przeciwko sąsiadowi wojną obłożył. Zaś przyczyna zła tracenia majętności jest, gdy kto marnie wydaje dochody: jako na pachołki niepotrzebne, na rozkosze zbytnie, na kocze strojno w kobierce ubrane, na karty, na kostki: jeszcze gorzéj na obżarstwo, pijaństwo, bankiety, na stroje insze i niepotrzebne, i stanowi nieprzystojne: i tego chwalić nie trzeba, co do panny tak się wystroi, że kilka wiosek przestroi. Lepiej się zalecać tym co masz w stodole, w brogach, niźli tym co masz na grzbiecie z sobą możesz wozić. A tak majętność nie ma być przedawana, którą natura daje: abyśmy nie byli niewdzięcznymi; którą nam dzielność i praca rodziców przynosi, abyśmy mieli o czém ojczyźnie służyć! Czego téż po nas chce sprawiedliwość sama, abyśmy ojczyźnie krzywdy nie czynili; opatrzność nasza, abyśmy miawszy nie żebrali; potrzebują téż tego po nas potomkowie nasi, aby opatrzność i dobrodziejstwo jakie po nas znali.

Na dowód pierwszy. Co jest naszego, to możem odbyć; prawda jest: wszakże nasze, dwojako się rozumie, w używaniu jedno, drugie cośmy swą pracą nabyli. Co nam zostawują przodkowie, to nie jest nasze, tylko tego używanie mamy. Bożeśmy sami tego nie nabyli, powinniśmy też naszym dzieciom zostawić, co nam zostawiono. Na drugie mówię: wierzę ja temu, iż w wielu rzeczachpospolitych dobrze postanowionych cierpią przedawania ojcowskich majętności, wszakże nie rozkazują i nie chwalą: tak lichwę cierpimy, ale jéj nie chwalimy, jakoby sprawiedliwéj. Na trzecie odpowiadam iż to stary zwyczaj raczéj wniósł do rzeczypospolitéj, niżeli sama wymyśliła rzeczpospolita: bo gdzieby zakazano przedawać majętności, wnetby bunty i rozruchy się poczęły w rzeczypospolitéj. Rzeczpospolita tedy przedawanie majętności ojcowskich cierpi, jako złą rzecz, ale nie ukazuje być to słuszne. Na ostatek mówię, iż przedawanie majętności nie może być bez szkody naszéj: bo się nigdy na nią nie zdobędziem; nie bez szkody przyjaciół, bo im odejmiem opatrzenie, nie bez szkody rzeczy pospolitéj jako się wyżéj pokazało. A tak już widzisz, iż się nie godzi żadnym sposobem majętności ojcowskich przedawać, ponieważ własność jest używania, ale nie własność mienia; dożywotne tylko dochody z ojczystéj majętności możem brać, ale nie przedawać zgoła.

C.

SYSTEMATA UMIEJĘTNE.

O FILOZOFII

PRZEZ

Jana Śniadeckiego. Wilno, 1822.

Z naukami Greków przeszło do Rzymian, a potém i do nas nazwisko Filozofii, brane w rozmaitém znaczeniu. Najwłaściwiéj jednak służyło tym naukom, które zostawił w swych dziełach Aristoteles, obejmujących wiadomości o duszy, o rzeczach przyrodzonych i obyczajach: to jest, nauki umysłowe, fizyczne i moralne razem wzięte. Bo mądrość uważana, w nauce jestto dzieło wytrawnego i ćwiczącego się rozumu w poznawaniu rzeczy, jego pojęciu dostępnych: i właśnie to wszystko zawiera podział nauk przez Aristotelesa podany. Filozofia więc zamykała w sobie: Logikę, Metafizykę, Fizykę i Etykę. Oddział filozoficzny po wszystkich dawnych uniwersytetach obejmował dopiero wyliczone nauki, do których przydano matematykę, jako naukę prawdziwie umysłową, która jest i najlepszą logiką praktyczną, i do fizyki nieodbicie potrzebną. Ale jeszcze w każdéj prawie nauce chciano mieć filozofią: i to znaczenie choć szczuplejsze i ograniczone, nie sprzeciwia sią wyżéj położonemu, bo to jest ogólniejszy widok jakiéjkolwiek szczególnéj nauki, odniesiony do początków pewnych i jasnych przez rozum ustanowionych. Każda przyrodzona nauka jest dzieckiem rozumu, kiedy jest pasmem prawd i twierdzeń, wywinionych przez czyste pojęcie i prawe wnioskowanie.

Jeżeli nazwisko filozofii przeniesiemy do człowieka, natenczas mądrość zależy na okazaniu rozumu w znajomości rzeczy, i razem w postępkach życia: bo to są dwa istotne i nierozdzielne warunki do utrzymania towarzyskiego porządku, i do szczęścia osobistego, do których dąży człowiek rozsądny: bo na tej harmonii myśli i czynów zależy pokój duszy, najpierwsze dobro człowieka: i zależy jeszcze cała godność natury ludzkiéj. Miłość więc madrości prowadzi człowieka do ciągłego ubiegania się o doskonalenie rozumu, który go wynosi do najpierwszego rzędu stworzeń

ziemskich: i o pokazanie tego rozumu w swych sprawach i postępkach, które go utrzymują na tym tronie pierwszeństwa. Słowem filozofia jestto nauka prawego myślenia i życia, w ciągłéj praktyce okazywana. Prawdziwy więc filozof trudni się, z przepisu Des-karta, nie urządzaniem świata, ale urządzaniem swych żądz i chuci: patrzy na nieprawości, ale z drogi sprawiedliwości nie schodzi: uzbraja się stałością i męstwem tak na nieprzyjazne ciosy, jak na zwodnicze uśmiechy fortuny: szuka szczęścia osobistego w pełnieniu swych obowiązków, i w spokojności sumienia: i nigdy z oczu nie spuszcza szacunku samego siebie.

Czyli więc zapatrywać się będziemy na filozofią jako na naukę: jest ona dostojném i najważniejszém zatrudnieniem człowieka około wydoskonalenia samego siebie. Jeżeli ją uważać będziemy w człowieku: jest ona owocem nauki i rozwagi, okazanym w myśleniu i postępowaniu. Tak w pierwszém, jak drugiém znaczeniu, jest chlubnym zarobkiem i najpiękniejszym zaszczytem natury ludzkiéj.

A przecież są ludzie, u których filozofia i filozof są jeszcze dziś nazwiskami szyderstwa i obelgi: zadają jéj w mowach i pismach występki zepsutéj moralności i przewrotnego myślenia, liczą na jéj karb najhaniebniejsze zbrodnie i zgorszenia. Te zarzuty złośliwie pomyślane, a prawie niczém niepoparte, sąto szkodliwe uprzedzenia zarażające opinią publiczną. Jest, zdaje mi się, walną powinnością ludzi naukami zajętych zapobiegać, aby się fałszywe zdania nie szerzyły w narodzie: bo pierwszą własnością oświecenia jest mieć dobre pojęcie tego, o czém się mówi i pisze i sądzić o rzeczach, nie z uprzedzenia, ale z przekonania.

Powierzchowni statyści zelżyli w wieku naszym filozofią, przypisując jéj niesłusznie początek i okropności rewolucyi francuzkiéj. Kto widział Francyą przed rewolucyą nie w Paryżu, ale po prowincyach: kto czytał dzieło Neckera o administracyi skarbu: kto patrzył na spory parlamentów obstających przy prawach fundamentalnych Monarchii, i na usiłowania rządu wyłamującego się z tych praw, ten zapewne w książkach i marzeniach ludzkich, przyczyn rewolucyi szukać nie będzie.

Jeżeli fałszywi statyści spotwarzyli filozofią, nierównie jéj większą wyrządzają niekiedy krzywdę teologowie, którzy niedowiarstwo przezwali filozofią: przypisują jéj całą naukę bezbożności, wyszukują skrzętnie irreligii tam, gdzie jéj nie masz: nicują mowy i pisma nawet te, których nie rozumieją: wpajają publiczności podejrzenie na uczonych i na najznakomitszych pisarzy: zgoła szkalują pobożnie ludzi i nauki:

i nibyto wielki czynią religii zaszczyt i przysługę, wmawiając niebacznie w publiczność: że ten dar niebieski, to boskie prawidło sumienia i życia, jest tylko dla nieuków i głupców. Prawdziwa filozofia zna granice ludzkiego pojęcia i za nie nie wykracza: zna słabość rozumu w rzeczach nawet jego dociekaniu zostawionych: a co krok ucząc się skromności, nie ośmiela się do przetrząsania tajemnic, od Twórcy sobie zabronionych.

Prawda, że byli ledwo nie we wszystkich wiekach pisarze i filozofowie, którzy shańbili swoje pióro irreligią i bezbożnością, rozszerzyli zgorszenie i ośmielili rozwiozłość z niezmierną dla towarzystwa klęską. Ale wykroczenia niektórych, dająż prawo do podejrzenia na wszystkich, i do przezwiska zelżywego na całą naukę? Naczelnicy sekt, kacerstw i ledwo nie wszystkich od kościoła katolickiego odszczepieństw, wszakżeto byli teologowie: godziż się dla tego nazywać teologią nauką odszczepieństwa? i posądzać uczonych i sławnych teologów o to, że oni mogą nie być prawowiernymi synami kościoła? Lekkomyślność jest w każdéj sprawie, w każdéj nauce szkodliwa, ale najszkodliwsza w teologii: bo tu zachodzi wielkie niebezpieczeństwo zrażenia i odstraszenia sumieni bojaźliwych od nauk istotnie społeczności potrzebnych; niebiezpieczeństwo krzywdzenia ludzi na dobréj sławie, najmilszej każdego w towarzystwie własności, a zatém przestąpienia najpierwszego i fundamentalnego prawa religii naszéj, która od miłości Boga nie pozwala oddzielać miłości bliźniego.

Zdania ludzkie pismem ogłoszone, wzięte nie luzem i pojedyńczo, ale odniesione do tego, co je poprzedza i co po nich następuje, mogą być religii przeciwne, a zatém ludziom i towarzystwu szkodliwe, natenczas jest chwalebną gorliwością i powinnością teologów ścigać takowe zdania, wystawiać je w swych szkodliwych skutkach i siłą przekonania tamować szerzenie się zarazy i bezbożności. Ale też mogą być zdania, na pozór tylko mylne, podlegające różnemu tłumaczeniu, które osnowa pisma i inne jego miejsca wyświecają i okazują jako niewinne. Natenczas sprawiedliwość każe wytknąć i rozróżnić znaczenie szkodliwe od niewinnego; ale nie posądzać pisarza o pierwsze, kiedy osnowa pisma tego nie stwierdza. Jest to zaiste rzecz w autorach naganna, a nawet dobremu pisaniu przeciwna, wtrącać do dzieł poważnych zdania wieloznaczne, i na złą stronę brać się mogące; ale znowu zastanawiając się głębiéj nad giętkością myśli i mowy, przekonamy się: że ledwo jest myśl ludzka, któréjby, przez skrzętne lub złośliwe szperania, na dwie strony obrócić nie można, i przypisać auto-

rowi to, czego on nigdy nie myślał. Szarpać nateńczas i potępiać pisarza o to, co jest owocem cudzego przywidzenia jestto naśladować owego tyrana Syrakuzy, który kazał zgubić człowieka za to, że mu się przyśnił jako buntownik.

Odwróćmy oczy od tego obrazu nieprawości: i dzie. ludzi, wszystkiego na złe użyć mogących, nie przypisujmy, ani świętemu powołaniu, ani tak wielkiéj i dostojnéj naucel Każda nauka ma swoich półmędrków i kuglarzy, którzy ją znieważają i psują: i ma także prawych czcicieli i wyznawców, którzy ją z chwałą i pożytkiem doskonalą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podłatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie osławia filozofii, ale jéj się uczy; jako sobie nietylko pomocnéj, ale nawet istotnie potrzebnéj. Potrzeba mu filozofii do roztrząsania i ustanowienia charakterów, przez które rozeznaje się wiara prawdziwa od fałszywéj: do zgłębienia i mocnego wystawienia pobudek zniewalających do wiary: do wyłożenia gruntownych początków, znamion i zasad pewności historycznéj. Potrzeba mu filozofii do uwag krytycznych nad tém, czego dowodzi; żeby odrzucał dowody słabe i takie, którychby użyć mogła religia fałszywa: do rozpoznania tego, co jest przykazem boskim, od tego, co jest przydatkiem ludzkim: do zgruntowania i zrozumienia zdań ludzkich, różne znaczenia mieć mogących: i do rozróżnienia tych, które prawdziwie krzywdzą religią, od tych, które jéj w niczém nie naruszają. Potrzeba mu filozofii do zdrowego sądzenia o cudach: bo przyjmować skwapliwie i rozsiewać cuda zmyślone i niepotrzebne, jestto osłabiać prawdziwe, na których się religia nasza opiera.

Wyliczone tu potrzeby wyciągają po teologu rozległéj nauki, czystego i trafnego rozumu i téj bezstronnéj i łagodnéj wyrozumiałości, która zniewala umysł i serce w duszach nawet nieprzyjaznych i upartych. Tacy to teologowie światłem filozofii wsparci, są i będą zawsze przyjaciołami nauk i oświecenia; oni tylko umieją sprawę religii bronić i utrzymywać z tą mocą i godnością, jakie przystoją prawdzie nieskalanéj ani namiętnością ani głupstwem.

Religia jako dzieło boskie obeszłaby się bez wszelkiéj ludzkiéj pomocy; ale jako sprawowana przez ludzi, przeciwko ich przewrotności potrzebuje usługi filozofii. Filozofia jestto użycie rozumu w poznawaniu świata. Jak religia tak rozum są darami nieba: więc się łączyć razem i wspierać powinny do utrzymania porządku towarzyskiego, do

skazania człowiekowi dróg szczęśliwości teraźniejszéj i przyszłéj i do godnego uwielbienia Boga w rozwadze, podziwieniu i w prawém użyciu dobrodziejstw rozlanych w stworzeniu świata.

WYKŁAD
Filozofii natury i filozofii ducha ludzkiego

przez

Dra Józefa Kremera, Wilno, 1832.

Natura.

Dzieje pojmowania natury są zarazem historyą duchową ludzkiego rodu: bo stosunek myśli człowieka do przyrody świadczy zarazem o treści, którą sam na sobie zdobył i wyważył z wiekuistych głębin istoty swojéj.

Duch człowieka w porannych chwilach ludzkich dziejów, jakby niemowlę, pogrążony w urokach tajemniczych zmysłowego świata, nie uznał jeszcze siebie, ani odróżnił nieskończoności własnéj od potęg głuchéj materyi i jakby oczyniony czarodziejską pieśnią natury, tonął w marzeniach sennych. Natura ta, przybierając się w szaty zjawisk zmysłowych, to go straszy i trwogą serce mrozi, to znów pieści, głaszcze i uśmiechem pociesza — to gromem swoim i błyskawicą przeraża, to go znowu, niby spłoszone dziecię, przytulając do ciepłego łona, złotém jabłuszkiem i kwiatkiem bawi. Nie dziw przeto, iż wtedy człowiek, nieświadom wiekuistéj puścizny w piersiach własnych, korzy się przed naturą jakby panią swoją, a jéj przykazanie, owo prawo materyi, za prawo i zakon swój uznaje. Jest to jedność człowieka i natury, jest to pierwsza epoka jego pielgrzymki przez historyę. Lecz ta jedność jest dopiero pierwszą, pierwotną jednością człowieka i natury: bo dopiero zamętem i pomieszaniem ducha i materyi. A trzeba było silenia się lat tysiąców, pasowania się narodów, które dawno pomarły, zanim duch człowieka dorobił się prawdziwéj jedności swojéj z przyrodą: bo jedność takowa, jak z jednéj strony zależy na odróżnieniu się jego istoty od natury, tak z drugiéj strony opiéra się na zjednoczeniu się z tą naturą, mocą rozumu i umiejętności. Ta przeto rzetelna jedność z naturą stanąć jedynie może na przekonaniu, iż duch stworzony, dobiwszy się wysokości jemu należnych, będzie sobie

miał naturę za podnóże swojéj chwały i potęgi. Wszak również myśl winna znowu twardym trudem a wytrwałością dokupić się poznania tajemnicy przyrody, wyśledzić jéj mistyczne pracownie i zedrzeć oponę, w którą się odziały olbrzymie jéj potęgi: słowem, człowiek winien zrozumieć naturę. A gdy myśleniem przeniknie wszystkie zagadki jéj żywota, wtedy dopiero poznać zdoła, że jego rozum z rozumem natury jest w jedności; że myśli, pulsujące w naturze, są jedynie uzmysłowieniem myśli jego własnych; — wtedy téż duch jego zleje się w jedność z przyrodą całą, w ową jedność prawdziwą. Atoli w téj jedności nie straci wiedzy o różnicy własnéj istoty a zmysłowego świata — tylko dreszczem nieskończoności przeniknie go prawda, że duch a natura poczęte są i zrodzone są z jednéj i téj saméj myśli bożéj.

Lecz inaczéj się rzecz ma w onéj pierwotnéj, niemotnéj, niemowlęcéj jedności: bo w niéj człowiek, mącąc nieładem ducha i materyę, nie zdołał się upamiętać, i sam rozpływał się w naturze, w niéj tonął nie uznając siebie. Syn zmysłowości, i przyrodę i siebie pojmował jedynie zmysłowo. Zamiast usłuchania szeptów nieskończoności drgającéj w sercu własném, i zrozumieć wyrocznie ducha swojego, przypisał to materyi; ztąd świat zmysłowy zaludnił się duchami, zagrał czarami i zabobonem. Gwiazda, robaczek, rzeka lub zwierz straszliwy, to teraz jego Bogi, to demony zaklęte w jestestwa materyalne; rój marzeń ciężkich na jawie, jak zmora ciśnie jego duszę; człowiek wierzy w gusła, sam czarodziejem się staje, rozkazuje naturze, a tak dowodzi owéj swojéj jedności ślepej z naturą, dowodzi że nie zna rozdziału między myślą a materyą. On nie świadom, iż jedynie potęgą i trudem duchownym zdoła stać się panem przyrody i jéj władzcą; on natury jeńcem; przeto szczuty gorącą chucią własnéj cielesności, sam staje się jestestwem natury i srogością podobny dzikiemu zwierzowi.

To jest pierwszy oddział wielkiego dramatu kształcenia się człowieka; świadczą o nim wszystkie ludy, które się zatrzymały na pierwszym szczeblu rozwoju swojego.

Po nim rozsuwa się drugi obraz. I tutaj nie znika jeszcze owa nierozdzierzgniona jedność ducha i natury, ale przybiera wyższe, głębsze formy. W obec człowieka, wszystko co jest, rodzi się i znika, przesuwa się po scenie rzeczywistości, niby bezcielesne cienie latarni magicznéj. W tém migotaniu i mienieniu się wszech jestestw, niby morskich fal, niema nic stałego, krom téj wiecznéj nietrwałości tego wszystkiego co jest. Ztąd téż myśl człowieka, zanurza się teraz w głuchych głębiach wszelkiéj bytności i wróży, że

tam na dnie owych zjawisk różnobarwnych świata przebywa istnienie, co jest zawsze jedno i toż samo, co jest bez różnic, bez granic, co nieskończone w czasie, nieskończone w przestrzeni. To istnienie ciemne wypuszcza z przepaści swoich owe tłumy jestestw różniących się między sobą; lecz te jestestwa, to czcze widmo, to bańki wodne, co świecą, co błyszczą chwilkę, lecz znów, utopione w otchłaniach owego głuchego istnienia, giną bez śladu, ustępują innym nowym bańkom, co znów w sobie pękając, roztryskują się w nicestwie. Tak wiecznie i wiecznie wszystko się przemienia, a wiecznie jedno tylko jest prawdą, że niema prawdy, krom owego ciemnego istnienia, co nie jest żadném szczegółowém jestestwem, co jest owem morzem bezdenném, igrającém, niby falami, światem jestestw wszystkich. — Nie dziw przeto, iż sam duch człowieka, nieuznawszy siebie jako całość udzielną, samoistną, sam siebie uważa za jedną z tych baniek znikomych, co wraz z całą naturą ginie w przepaściach ogólnego głuchego istnienia. Duch roztryskując się w nicestwie dokonywa smętnych zaślubin swoich z tém istnieniem co go pochłania, a tak zarazem tonie w jedności z naturą wszystką.

Jest to panteizm orientalny w całéj straszliwości nocnego majestatu swojego; jest to owa nauka, co w ułudnéj postaci nadziemskiéj poezyi, przyprawiwszy sobie skrzydła anielskie, uśmiechem czarodziejskim uśpiła Indye: a gdy je snem duchowym złożone być widziała, wyssała z tego ludu, niby upiór, krew żywotną, serdeczną, i zostawiła go wyschłą mumią na ziemi. Ten panteizm przeszedł narody wschodu, przystrojony w szaty niby głębokiéj filozofii; ale mądrość téj filozofii była rozpaczą bez granic, a słowa jéj, dżumą śmiertelną dla ducha. Wschód nie zdołał wyrwać się z tych topieli chłonących go; lecz my dziś, młodsze syny wytrawionego świata, zdołamy stanąć wszelkiemu panteizmowi oko w oko i zapytać się: czém się dzieje, iż jestestwa różne zradzać się mogą z istnienia, które samo ma być bez różnic w sobie? zkądże tedy powstaje ta różnica jestestw? I zaiste, uważmy, jeżeli ta różnica jestestw nie bierze się ze samego istnienia tego, więc te jestestwa dla téj właśnie różnicy swojéj są zupełnie niezawisłe od istnienia tego, nie są w żadnym związku z niém, są w sobie samoistne. Tak tedy obok tego istnienia głuchego, istnienia bez różnic, istniałaby rozmaitość jestestw, jako druga od niego różna potęga i niezawisła od niego, jako moc, równa mu z pochodzenia i wagi, nie mogąca przeto być pochłonioną w tém istnieniu głuchém! Jeżeli zaś inaczéj się dzieje, jeżeli te jestestwa, tak różne od siebie, rzeczywiście pocho-

dzą od istnienia owego; przeto téż to istnienie winno mieć te różnice w sobie zarodem; nie jest przeto głuchém i czczém w sobie, nie jest w sobie bez różnic; a w takim razie nawzajem téż te jestestwa różne, pochodząc od tego istnienia ogólnego, wiekuistego, będą w sobie miały piętno pochodzenia swojego, będą w sobie miały również pierwiastek ogólny, wiekuisty. W takowym razie jestestwa zmysłowe znikają, ale nie znikają myśli które się niemi wyrażają, a które są treścią owego istnienia. Te myśli różne między sobą, są trwałe i nie przemijają nigdy, choć przemija szata materyi, która je przyobleka. Jestestwa zaś duchowe, będąc już nietylko myślą ale myślą myślącą, wyrażające tedy same siebie, same przez się są wiekuiste, nieginące nigdy, są nieśmiertelne. Jest to zarzut, przed którym nie zdoła się ostać *panteizm, w jakiéjkolwiek się pojawi postaci.* Atoli długi szereg stuleciów i tłumy narodów przeszły przez historyą, zanim świat zakląć zdołał słowami prawdy owe straszydło panteizmu, co dziś jeszcze upiorem niekiedy wstaje z grobu i trwoży przybrawszy na siebie szaty filozofii.

Gdy ta nauka za nic sobie waży osobność, osobność ducha, w Grecyi rozwiązała się zagadka sfinksowa, tajemnica istoty człowieka, bo tutaj świadomość siebie uznana była za pierwiastek wszelkiego duchowego żywota. Jakoż tutaj bóstwo nie jest więcéj potęgą głuchą, otchłanią bez treści, nieświadomą siebie, bóstwo jest tutaj jestestwem wolném, wiedzącem o sobie. To wyobrażenie o niebie, ma swoje odbicie na ziemi: Grek czuje się być jestestwem duchowém, niezależném i siebie świadomém.

Atoli i w Helladzie myśl nie wyswobodziła się jeszcze w zupełności z pod przewagi i uroku natury; człowiek nie zerwał jeszcze do ostatka z ową pierwotną jednością ducha i przyrody: bo choć on zna nieskończoną wyższość ducha nad naturą, toć go jeszcze pojmuje jako obleczonego w postać zmysłową. Grecya nie zdoła wystawić sobie ducha samego przez się, lecz go przyodziewa w ciało, w materyą. Grek uduchownił materyą, a uzmysłowił ducha. A gdy natura jest właśnie rozpryśnieniem się całości myśli na jednostkowe, odrębne od siebie jestestwa w przestrzeni i czasie; przeto téż w Helladzie bóstwo jedno, nieskończone, bezwzględnéj w sobie treści, rozstępuje się na wielość bogów o postaci cielesnéj, o słabościach ludzkich: one cierpią, czują, gniewają się i radują po ludzku, rodzą się i żyją w czasie. One, choć same nieśmiertelne, zstępują z jasnego promienistego Olimpu na ziemskie doliny, kochają się w synach i córkach śmiertelnych, bo im tęskno na niebie, w tym samym majestacie wiekuistéj potęgi. Choć ten jasny, luby świat bogów, po-

częty i wypiastowany w sercu człowieka jakby w cichym Olimpie własnych uczuć jego, jest wyrazem obyczajów a myśli i czynności duchownych; toć przecież każdy z bogów zarazem jest jeszcze wyobraźnikiem jednéj lub nawet więcéj ze sił przyrody, a nadto te bogi, choć światowładne, w przekonaniu Greków są tylko greckimi bogami, bo oznaczają wyłącznie grecką narodowość, a tém samém mają na sobie piętno pochodzenia materyalnego, piętno natury.

Lecz materya uduchowniona, lecz duch uzmysłowiony jest pięknością. Nieskończoność ducha, stając po raz pierwszy wsród ludzi, bierze na się skończone formy materyi, by nie olśnić wiekuistością swoją śmiertelnych oczu człowieka. Atoli przez te formy zmysłowe promienieje jasność bezwzględnéj prawdy, a tak zradza się piękność na ziemi; a człowiek paląc ofiary na ołtarzach swoich bogom, owym piękności ideałom, sam duchowi swojemu pokłon i cześć oddaje.

W rychle atoli przeminęła ta młoda wiosna ludzkich dziejów, którą obchodziła historya w ojczyznie Hellenów; w rychle, jakby ze struną zerwaną, umarła harmonia ducha a natury i rzeczywistości. Sokrates odwrócił się od natury i od rzeczywistości otaczającéj go w koło, w głębinach piersi jego odezwał się głos proroczy, i szepnął demon: że człowiek nie w naturze, ale w sobie samym winien dosłuchać się prawdy wiekuistéj; że nie ta rzeczywistość, więc nie ten obyczaj, religia, prawa Grecyi, nie natura, ale duch sam, przekonanie ogólne, jest miarą wszech rzeczy.

Tak jedność myśli a istnienia wszelkiego, będąca zadaniem każdéj filozofii, miała się teraz wysnuć ze saméj mysli naszéj; we własnéj myśli człowieka winien był zdobyć sobie tę jedność.

Prawdy, które Sokrates orzekł, jakby abstrakcye, jakby ułomki niepowiązane, a nitki złote niesplecione z sobą, związały się w system, w całość, w geniuszu Platona i Aristotelesa, idących na chwałę człowieczemu rodowi. Przecież lubo Aristoteles był najpotężniejszym duchem ze wszech ludzi, których kiedykolwiek zaznała historya: przecież ani on sam, ani Plato, nie zdołali dokonać owego zadania filozofii — jedności myśli i istnienia. Nie dosłużyła się Grecya téj jedności i nie mogła się jéj dobrać, bo należało wprzód zerwać do ostatka ową jedność pierwotną ducha i natury, rozwieść do dna ducha i przyrodę, a następnie dopiero dorobić się jedności obu tych stron. Lecz Grecya nie zdołała nigdy wyłamać się w zupełności z pod uroku natury; zatém też nigdy nie dorobiła się rzetelnego zrozumienia natury, owéj prawdziwéj jedności myśli i istnienia.

Ztąd téż jéj filozofia kończy rozpaczając o wszelkiéj rzeczywistości, umiera na sceptycyzm, powątpiewając o prawdzie na ziemi. Myśl obojętnieje na świat, cofa się w siebie, jakby do cichéj, pustéj, zrabowanéj świątnicy własnego ducha i tam kona ze czczości.

Roma, uczennica w umiejetności Grecyi, idzie jéj śladem: lecz co w Grecyi było rozpaczą umiejętności, staje się tutaj okropną rzeczywistością. Rzym długo konał przed śmiercią. Tu w sercu człowieka otworzyły się próżnie bezdenne przesycenia; zatém z rozpaczy albo rzuca się w objęcia rozkołysanéj zmysłowości, i to nazywa filozofią Epikura; albo, w dumie stoicyzmu — w głuchocie sceptycznéj — kończy samobójstwem. Świat wołał ratunku; wtedy na oścież rozwarły się bramy, i tłumne czernie wyroiły się na Europę. Tak znów zjawiła się owa pierwotna jednośc z naturą, pełna surowizny i rozuzdanéj dzikości. W sercu tłuszczy butność i zuchwalstwo, a w mózgu gore żar fantazyi; rozsiadła się ona przeto obozem po stolicy staréj a spróchniałéj cywilizacyi. Ale w tym samym Rzymie, w którym co dopiero królowała potęga światoburzcza — w tym Rzymie wiara zbawienna założyła wielki ołtarz swój: ztąd wyszło ukrócenie zuchwalstwa i owéj surowizny barbarzyńców północy. Wiara jakby w czyścu przepaliła serce chucią wrzące, i w płomieniach rozrzewnienia wytopiła zeń zmysłowości żużle. Namiętnosc prochem spadła na ziemię; hardy syn natury skruszał — zapłakało mu w duszy, ukorzył się jakby dziecię pokutujące i zwrócił oczy ku niebu. Myśl i serce teraz ucieka od natury, jakby od wroga swojego; co zmysłowe, co cielesne, teraz wydaje się dla niego szatańską pokusą; rozstał się do szczętu z przyrodą, a wśród boleści zdjęta mu jest katarakta z zewnętrznego oka. Tak się uduchownił, zidealizował; tak wśród ścierań się i łamań sredniowiecznych odbyło się przerodzenie z gruntu człowieka, i pękły ostatki owéj pierwotnéj jedności.

Gdy już duch historyi świata znalazł dla siebie pole wykarczowane i wyplenione z chwastów zmysłowych, wtedy w XV. i XVI. stuleciu padło ziarno nowego zwrotu w dziejach ludzkich. Człowiek miał się pogodzić z przyrodą i dorobić się trudem duchowym owéj jedności prawdziwéj z naturą. A stanęli wśród ludzi, jakby prorocy tego nawrotu do natury, Kopernik i Kolumb: tamten po niebie, ten po ziemi odkrywa światy nowe. Duch godzi się z naturą; przeto Leonard i Rafael sprowadzają z nieba postacie malowanych obrazów, w nich uzmysławiają ową jednośc ducha i natury, ideału i materyi. W tych obrazach nieskończoność przybiera na się formy z natury pożyczone;

w nich doczesność a wiekuistość, niebo a ziemia, obchodzą zrękowiny swoje. Bako ogłasza światu nowe zapatrywanie się na naturę, a Kartezyusz orzeka: „*myślę, więc jestem*,“ a tak w tych trzech słówkach jednoczy myśl i istnienie. Filozofia podejmuje te trzy słowa jego i przędzie je przez trzy następne wieki, aż w końcu, po długich zapasach z sobą, dochodzi do prawdy, że myśl Boża opatrzna rządzi światem, że Bóg jest przytomny w świecie; lecz że sam ten świat stworzony, jest tylko rąbkiem szaty jego. Filozofia wykazuje, jak owa myśl Boża świeci w gwiazdach i drga w pyłku, rusza się w spadającém jabłku i w kołowrotach planet na niebie, przemawia w dźwięku i w żarach płomienia: jak oddycha w roślinie, w czynnościach psychicznych duszy człowieka; jak pali w sumieniu, jak wodzi ród ludzki przez lat tysiące i przemawia w sercu wiarą; jak prze myśl człowieka do coraz wyższego rozwoju, a myśl ludzka przędzie nić swoją i po téj nici spina się coraz wyżéj, aż stanie u podnoża tronu Bożego.

Historya ziemi.

Dziś natura i jéj praca około ziemskiéj kuli ucichła; przeszły jéj konwulsyjne porody i boleści; przebrzmiała wojna dzikich potęg; niekiedy tylko roztworzy się tu lub owdzie ognisko wulkanu i zionie płomieniem i wstrzęśnie obszarem krajów, strachem ściskając serca ludzi, i przypominając że owe stare cyklopy, przywalone brzemieniem skalném, jeszcze nie usnęły na wieki; że pracują i robią chcąc się wydźwignąć z ciemnic podziemnych, gdzie je opatrzna ręka Mądrości przedwiecznéj zamknęła. Lecz te gwałty a łomoty są jedynie słabém przypomnieniem dawnéj natury; zaledwie postraszą a już zamilkną, by nie przeszkadzały pracy duchowéj ludzkiego rodu. Człowiek dziś pielgrzymując po téj ziemi, jakby po ojcowskim domu swoim, wpatruje się w to ukształtowanie ziemskiéj skorupy, i pyta ją i bada o losy i dzieje téj budowy planety swojego; a ziemia, zaklęta w imię umiejętności, opowiada epoki zrodzeń swoich. Z wierzchu, tuż pod stopami naszemi, zamknięte są kości zwierząt, zupełnie podobnych do dzisiejszych, a wśród nich rozsypane są stare urny, popielnice kości ludzkich, szyszaki i topory starych, zamarłych wieków. Lecz gdy się weźmiesz głębiéj i zapytasz się dziś martwych świadków zapadłéj natury, już inny świat rozłoży się przed oczyma naszemi. Obaczysz ziemię, choć w mroźnych dziś strefach, okrytą gajami drzew skwarnéj zwrotnikowéj natury; w nich ogromnéj wielkości jelenie pasą się stadem, i cisną się gromady słoniów, mastodontów i innych olbrzymów

natury zwierzęcéj, a po bagnach igra hippopotam, nosorożec, a po brzegach grzmi rykiem lew i tygrys, i wyje niedźwiedź srogiéj wielkości: lecz nigdzie niema śladów stopy ludzkiéj. Aleć i ta scena do nowszych należy, poprzedza ją inny świat: ocean ogromny rozwlókł się po ziemi, a w jego głębiach ciżbą nieprzebraną uwijają się łodziki, żeglarki o dziwnych kształtach. Ale głębiéj i głębiéj znowu sięga badawcza myśl geologa, a jeszcze starsza epoka przedstawia mu się w dziwnych postaciach. Lądy lśniące bogatą naturą, lasy palmowe i szyszkowych drzew, poszywają doliny i góry; potężném korytem przewalają się nurty rzek, a wody i ziemia pełne potwornych płazów, tak olbrzymich, że już żadne z dzisiejszych z niemi w porównanie pójść nie mogą; grzeją się na słońcu, gramolą się po bagnach, i puszczają się na łup w gęste puszcze pierwotne; a żółwie, krokodyle i inne jaszczury, tysiącami szukają w mławach pożywienia dla siebie. A po wodach i po lądach i po powietrzu snują się straszydła dziwolężne, owe ogromne pterodaktyle, owe płazy uskrzydlone a smoczéj postaci, co panują we wszystkich trzech żywiołach ziemskich. Lecz i tu jeszcze nie znajdziesz pierwszego okresu, pierwszéj formy naszéj ziemi. W poprzednich epokach nauka coraz biedniejsza w formy w formy wyższego życia, aż nakoniec zdoła wydać podrzędne ślimaki, korale, a w końcu jedynie świat mikroskopowych wymoczków.

Każda epoka tedy zawiera osobny dla siebie system zoologii i botaniki, które znów wszystkie w połączeniu z dzisiejszym światem, dadzą się zjednoczyć w jeden wielki system botaniczny i zoologiczny. Tak biorąc za podstawę dzisiejszy świat zwierzęcy i roślinny, jeżeli spostrzeżemy w łańcuchu stworzeń tu lub ówdzie jakiś brak pośredniego ogniwa, jakiś za nadto nagły skok, jakąś lukę między niższém a tuż po nim następującém wyższém jestestwem, już ten brak i luka znajdzie dopełnienie swoje w jakiémś jestestwie już nieobecnym w dzisiejszym systemacie świata, a przytomném nam jedynie w jakimś szkielecie lub kości, w skamieniałości lub odcisku. Na wiele wątpliwości znajdziemy odpowiedź, bylebyśmy się zapytali téj kośnicy dawno zapadłego świata, i zrozumieli tę jego mowę starą.

Budowa zewnętrzna kuli ziemskiéj.

Powyżéj rozsnuliśmy zasadnicze pojęcia *wnętrza* kuli ziemskiéj, a tak rzecz sama prowadzi do odwrotności swojéj, zatém do zewnętrznéj budowy planety naszego. Atoli ten związek ogólny między wnętrzną a zewnętrzną budową ściśléj się jeszcze okaże, gdy zważymy, iż budowa wewnę-

trzna skorupy ziemskiéj, ma się do ukształtowania powierzchowni ziemskiéj jak *potęga wewnętrzna* do *zewnętrznego objawienia*; co jest (jak wiemy) jedną z kategoryi logicznych. Jak wszędzie tak i tutaj rzeczywistość jest wyrazem ogniwa logicznego; bo ukształtowanie powierzchni, tak całéj kuli, jako jéj pojedyńczéj miejscowości, jest odbiciem odpowiedniéj mu geologicznéj natury.

Dopieroto nasze czasy przerodziły jeografię w umiejętność i postawiły ją jako rówiennicę obok starszych jéj sióstr w świątnicy wiedzy ludzkiéj. Dawniéj jeografia była zbiorkiem wiadomości i wiadomostek, przyczepionych jakby z łaski do dziejów pojedyńczych ludzi historycznych lub do żywota narodów i państw. Tak żyła w ubóstwie i poniżeniu, okruchami, które spadały z bogatego stołu historyi, polityki lub filologii; szczęśliwa, jeżeli ją raczyli uważać za użyteczną, choć podrzędną pomocnicę w wspaniałéj budowie wiedzy, którą duch ludzki sobie dźwigał na mieszkanie a chwałę swoję. Lecz skrzętna i baczna robotnica, pracując w zaciszu, obaczyła się w końcu wśród obfitego dobytku długowiecznych trudów swoich i spostrzegła, jak jéj duchowa majętność się wzmogła, jak te jéj wiadomości rozjednostkowane a ułomkowe fakta, zrosły się w jednę całość organiczną. Teraz roztworzyły się inne widoki dla jéj działania. Pojęła ona, że jéj zawisłość od innych nauk się skończyła, że zdoła już sama zapracować dla siebie na swój własny dom; bo jakby gromem zapalił się w niéj pomysł, że i ona ma to zacne powołanie, by wyśledzić Boże słowo skreślone, tak budową lądów i krajów, jak architekturę dzielnic świata, jak morską topielą, jak gwiazdzistém pismem na niebie. Co było dla dawnéj jeografii jakby faktem przypadkowym w naturze, co było dla niéj opisem niewolniczym, wyliczaniem, stało się już treścią dla myśli, dla rozumowania filozoficznego. Gdy teraz umiejętność młoda z wysokości obłocznéj zadumiona wpatrzyła się w tę kulicę ziemską, pobożną myślą w niéj tonąc, już poznała, że tu Opatrzność nic nie zostawiła swawoli ślepego przypadku, że zanim człowiek był wywołany słowem Bożém, anioły Pańskie prostowały dziejom ludzkim ścieżki na ziemi; że każdy ocean, każda część świata, każdy kraj, każda rzeka a morskie pobrzeże, ma głębokie znaczenie swoje. Tutaj góry i doliny, sieci wód i pobrzeża, przemówiły o mądrości Bożéj i zaśpiewały hymn na chwałę wiekuistéj myśli stwórczéj. Jak kości w organizmie wiernie do siebie należą, jednę składając całość, tak również uznano że te lądy i te morza, rzeki i części świata, nawzajem wypływają z siebie; że tym właśnie trybem, jakim są,

a nie innym, winne były być zbudowane, jeżeli się miały stać domem ojczystym dla historyi i kształcenia się ludzkiego rodu, tudzież nauki jego początkowéj, zanim duch człowieczy, odrodziwszy się śmiercią ciała, przejdzie do wyższéj szkoły Bożéj, prowadzącéj go już pod stolicę niebiańskiego Ojca.

MYŚLINI

CZYLI

CAŁOKSZTAŁT LOIKI NARODOWÉJ,

przez

Br. F. Trentowskiego. Poznań 1844.

Pierwsze oznaczenie loiki.

Ciemne są wierzeje, przez które świat wysunął się z powiatów wieczności; ciemny jest ogólnéj matki naszéj, ziemi zaczątek; ciemne jest każdéj rzeczy, każdego zwierza i człowieka, ludzkości całéj pierwocie; ciemna jest ta romantyczna gwiazda, co raj dziecińńtwa świata i naszego dzieciństwa roskosznym swym brzaskiem złociła; ciemno jest przed wszelkim słońca wschodem. Z ciemnic nocy występuje wszystko jak Afrodyta z głębin Oceanu. Nie bez głębokiéj myśli Grek starożytny zrobił noc matką swych Bogów i świętą wszechistnienia głowatką. Każdy początęk, zaczém i początek Myślini, jest prawdziwym mżykiem. Z zawiązanemi oczyma stoimy tu przeto i oczekujemy na pierwszy połysk loicznego dnia. Chociaż i zrzucimy z oczu zawiązkę, zobaczym niewiele; gdyż oko nasze spotka jedynie zmrok przedsłoneczny, czyli *loiczne zaranie*. Jest tu bowiem obowiązkiem naszym oświadczyć, czém jest loika, t. j. dać pierwsze jéj oznaczenie. Niech oznaczenie to będzie jasne, jak Oblicz Mojżeszowego Jehowy; niech otrzyma piętno najwyższéj doskonałości; wszelakoż ćmy pierwiastkowéj nierozpędzi. Czemu? Może to być li płomyk światła walczącego z ciemnością. Chociażby on i błyskawicą wybuchnął, to bardziéj razi, niż oświeca. O przekonaniu czytelnika ani myśli. Pierwsze oznaczenie loiki niewyczerpnie, jak naturalna, téj umiejętności, nie da sie postawić, jak talerz z potrawą; roztworze tylko podwoje do naszéj świątyni i pokaże ołtarz główny z daleka. Loikę ujrzeć można poraz pierwszy tak jedynie, jak ten lub ów przedmiot nam nie-

znany, leżący w niesłychanéj oddali; jak obłoczki światła gdzieś na dnie niebieskich przepaści! Niema więc nic dziwnego, że początek loiki jest ciemny.

Ciemność każdego początku jest już jego trudnością. Ale są jeszcze inne do trudności téj powody. Życie zwyczajne ma przysłowie: *wszelki początek jest trudny*. Nigdzie atoli niejest on tak trudny, jak w umiejętności. Jeżeli bowiem pragniesz np. pałac wystawić, masz ziemię gotową, którę sam Bóg uczynił *calcem*, t. j. niewzruszonym gruntem, a więc wyborną gmachu twego podstawą. Dobrotliwy Ojciec wszechświata przygotował Ci tu nawet materyały, bo stworzył od wieków granitowe góry, z których kamień brać możesz; dał ci glinę, z któréj snadno cegły wypalić; bo wapno , do twéj budowli potrzebne, jest jego dziełem. Ty masz tylko zabrać się do roboty. Nim przyszło Ci na myśl gmach stawiać; już Bóg zrobił dla niego posady i przygotował ci wszystko! Zupełnie inaczéj rzecz się ma z umiejętnością. Tutaj niedość wziąść się do roboty, ale pierwéj calc i materyał trzeba stworzyć samemu, bo umiejętność jest światem odmiennym od tego, w którym budujesz pałace. Umiejętność jest światem, który ma człowieka swym stwórcą. Zgoła tak zwana *nauka boża* nierobi tu wyjątku, bo i ją utworzył człowiek, t. j. niebios wysłaniec. Mówią powszechnie, iż Bóg stworzył świat z niczego. Również z niczego stworzył człowiek umiejętność, która jest jego światem. Co się to znaczy? Oto, niemamy tu *nic gotowego*, *nic danego*! Wszystko a wszystko zrobic tu trzeba samemu. Jest to więc trudność niesłychana. — Lecz niedość. Ciało nasze powstaje z prochu i w proch się obraca. Z nasienia wydobywa się młoda roślina i kończy swe przeznaczenie nasieniem. W jakie pierwiastki rzecz się rozwiązuje, z takich i powstała. Jutrzenka dla Europy, jest zorzą dla Ameryki. W całéj ogromnéj okóli, będącéj Izydy kościołem, początek jest wszędzie końcem. Toż samo dzieje się i na łonie umiejętności. Skoro tedy chcesz zacząć loikę, musisz ją pierwéj ukończyć. Nim poznasz jéj wstępnie, trzeba ci znać jéj zaworniki. Kto loikę wydaje temu to nie trudno, bo może ją kilkakrotnie przerobić, i po skończeniu dzieła, dzieło zaczynać. Ale czyliż czytelnik, co z autorem pracy téj nie odbył, zdoła dzieła jego zaczątek należycie zrozumieć? To niepodobna. Zrozumie go niezawodnie, ale wtedy dopiero, skoro już całe dzieło przeczytał i po drugi raz bierze je do ręki. Koniec loiki, jako i wszelkiéj innéj umiejętności, będącéj okrągłym systemem, czyli po polsku okrągłym całokształtem, jest jéj punktem zaczątku. Ztąd pierwiastkowe jéj oznaczenie jest trudne i trudne być musi. Któż tego nie

pojmuje, że na pytanie: *czém jest loika*, wtedy zdołamy należycie odpowiedzieć, lub daną nam odpowiedź należycie zrozumieć, skoro znamy już loikę na wylot? Trudność takowa niech przecież nikogo nie zraża! Kto kołace cierpliwie, temu będzie nareszcie otworzono. Ostrowidz rodzi się ślepo jak każde zwierzę, pozyskuje przecież w czasie swym wzrok najbystrzejszy. Toż samo znaczy się o ostrowidzu w nas mieszkającym, czyli o poznającéj jaźni.

Pożytek z loiki.

1. Któż wątpi o pożyteczności arytmetyki i jeometryi, które nas ze stosunkami czasu i przestrzeni, czyli liczb i figur obznajmiają? Ktoby utrzymywał, że dwie te nauki są na nic nieprzydatne, uznanymby został od powszechnego rozumu za nieuka, niewiedzącego co mówi. „Arytmetyki, rzekł papież Sixtus V., można nawet osłów nauczyć.“ Papież ten nieśmiał przecież, przy całém lekceważeniu téj nauki, powiedzieć, że ona *niepotrzebna i niepożyteczna*. Któż zaprzecza pożyteczność grammatyki, nauczającéj nas mówić i pisać poprawnym językiem? Któż śmiałby także pożyteczność łoiki, téj duszy wszech umiejętności, podawać w wątpliwość? Wszelakoż są ludzie, co nas zapewniają, iż porządna głowa, choć nie zna loiki, myśleć będzie porządnie, iż przeto bez nauki téj obejść się może. „*Jeniusz*, mówią oni, jest sztuki wiecznym przeciwnikiem. On chce latać jak śmiały orzeł, ta zaś pragnie obcinać mu skrzydła. Loiczne formy myślenia są, jako utwór szkołnictwa, niezgrabne i pedantyczne. Lepsza nie znać ich wcale, niż wedle nich myśli swe ustawiać. Loika bierze swobodne myślenie w cugle i wiedzie je, jak konia na deptak, jak chłopaszka do francuskiego tancmistrza. Myślącemu człowiekowi, mającemu jeniusz własny, szkodzi ona bardziéj, niż dopomaga, bo ofiaruje mu z całą grzecznością *kajdany na głowę!*“ — Ludzie ci będą mieli wtedy jedynie słuszność, skoro stanie się prawdą, że np. wieśniak prosty zdoła mówić językiem ojczystym wybornie, choć nie zna grammatyki; że nie uczywszy się arytmetyki i nie mając o liczbach najmniejszego wyobrażenia, można rozwiązywać wszystkie arytmetyczne zadania; że bez znajomości jeometryi można być doskonałym miernikiem ziemi, a nawet lepszym od dotychczasowych mierników. Jeżeli łoika ma brać w kajdany jeniusz myślenia, czemuż więc nie czyni tego samego grammatyka, arytmetyka i jeometrya względem jeniuszu języka, liczenia i mierzenia? Jak Newton bez matematyki, a Mickiewicz, Śniadecki, Kołłątaj bez grammatyki, nie byliby tém, czém zostali; tak jeniusz myślenia nie obejdzie się bez łoiki. Może

Kant, Fichte, Szëlling łoiki nie znali? Więc z was są większe jeszcze myślenia jeniusze! Jak nieznawca grammatyki ustąpić musi dzielnemu grammatykowi nawet tam, gdzie ma słusznosć, albowiem nie znajdzie dostatecznych powodów ku poparciu własnego zdania, i jak nieznawca nauki liczenia oszukanym łatwo zostaje od kramarzy i żydów; tak ten co łoiki nie zna, nie zdoła przeciw porządnemu łoikowi bronić swéj sprawy, choćby i najświętszéj. Łoik, wprawny we wszystkie wykręty, znajdzie tam brak związku, błąd myślenia, gdzie ich niema i zwyczajnemu człowiekowi piaskiem oczy zasypie. W jego ręku stanie się naturalista myślący wnet lalką, z którą zrobi co mu się podobać będzie. Przed nim pokaże się sam jeniusz myślenia prostaczkiem! Łoika daje nam pewność myślenia, albo raczéj oręż, którym bronić się możemy. Czém jest karabin w obronie ciała, tém jest każde prawo łoiczne w obronie ducha. Każdemu z nas miłe i święte jest własne przekonanie. Za pomocą łoiki będziem mogli przy niém pozostać, bo potrafimy temu, co nam je chce wydrzeć, dać przyzwoitą odprawę. Łoika zabezpieczy nas od niejednego zawstydzenia. Żaden szkolarz nam nie rzeknie, skoro pomiarkuje, iż umiejętność tę znamy: „Ucz się pierwéj łoiki, niż zaczniesz się wdawać w uczone rozprawy!“ Bez znajomości łoiki nie można należeć do ludzi wykształconych. Znajomość ta jest tém dla myślącego człowieka, czém sztuka fechtowania i musztra dla żołnierza. Jest to sztuka uzbrajająca naszego ducha i podnosząca go do wyższéj potęgi; sztuka, którą pokonać można tysiąckroć silniejszą naturę.

2. Wielu mężów, z innéj strony godnych czci głębokiéj, ma przekonanie, iż cała filozofia jest li ćwiczeniem myślenia, gymnastyką i atletyką, czyli szermierstwem ducha ludzkiego, który ustawicznie obchodzi swe igrzyska olimpijskie, i coraz to innemi, samowolnie wymyślonemi popisuje się sztukami! „Łoika, mówią oni, jest także czczą igraszką ducha, jak i cała filozofia; może być zabawką żaków szkólnych, ale dla mężów nie ma interesu. Również my uczyliśmy się łoiki; myśl nasza przecież ani się rozszerzyła, ani spotężniała, lecz została taką, jak dawniéj była. Nauką tą tylko nas do żywego znudzono. Precz więc z łoiką! Są to stare, na nic nieprzydatne rupiecie; barbarzyńska wieków średnich i scholastyki spuścizna!“ Nie chcemy tu przedstawiać panom tym całéj niesłuszności, którą łoice wyrządzają; nie wyrzucamy im: że nie mają ani mysłu dla filozofii, ani należytego o niéj wyobrażenia, i że to jedynie własną ich winą być może, skoro ucząc się łoiki, niczego się nie nauczyli; uderzamy w nich ze strony sumienia. Przysłowie

arabskie mówi: „Nie rzucaj w studnią kamienia, z któréj napiłeś się wody!“ Wreszcie: „Ni w Wiedniu, ni w Paryżu, nie zrobią z owsa ryżu.“ Że Niemcy są myślącym narodem, tego nikt nie zaprzeczy, a gdyby to i uczynił, przekonać go snadno, pokazawszy mu choć z daleka cały Indostan niemieckiéj umiejętności. Otóż w Niemczech, w tym kraju samodzielnego myślenia, jest przysłowie: *Einer faulen Geistespfütze ist gar die Logik unnütze.*“

3. Szczególniéj pożyteczna jest nam loika, skoro wpadniemy w ręce sofistów, faryzeuszów, dyplomatów, a takich ludzi w każdym czasie i narodzie jest wiele, i skoro ci ichmościowie, pragnąc nas do czego nakłonić, t. j. zrobić swém narzędziem, przeciw nam ze swymi stucznymi i podstępnie wymyślonymi dowodami wystąpią; skoro usiłują na wszystkie sposoby, albo wyzuć nas z religii i moralności, albo téż przywieść do nierozumnéj wiary, do fanatyzmu. Natenczas czuje każdy sam przez się, iż mowa ich daleka jest od prawdy; ale kto niezna loiki, niepotrafi wykryć mylników, i w końcu ulegnie, a przynajmniéj zostawi przeciwnikom zwycięstwa chwałę. Eubulides wynalazł, jak nas starożytni zapewniają, siedem mylników; ale stronnictwa polityczne i religijne, namiętność, interes, samolubstwo, wynajdują ich dziś co chwila siedem razy siedem. Tu wąż szatan zastępuje miejsce gołębicy Ducha Świętego. Loika jest słoneczną tarczą przeciw takim napaściom. Ona jest lampą Epikteta w ciemnym lesie pism bezbożnych i nieobyczajnych, lub téż zamierzających pozbawić nas, pod czadzą świętości, zdrowego rozumu, który nam Bóg dał nie nadaremnie; jest pochodnią w labiryntach ateizmu, mystycyzmu. Za jéj pomocą zedrzesz z osła lwią skórę; przejrzysz Hegla, Szellinga; ocenisz Witwickiego pisma i prelekcye paryskie Mickiewicza, wedle ich zasługi. Kto zna dobrze loikę, ma talizman przeciw wszelkiemu oszustwu.

4. Bez loiki niepodobna jest żadnéj umiejętności prawdziwéj, żadnéj filozofii należycie zrozumieć, a tém bardziéj jaką z nich samemu porządnie uprawiać. Jak można n.p. krytykę czystego rozumu Kanta pojąć i ocenić bez loiki? Wszakże dzieło to zapuszcza w loice swe filary, wyprowadzając z niéj kategorye, antimonie i t. p. Któż zrozumie metafizykę w ogóle bez loiki? Czy podobna kazanie, lub inną mowę jaką, którę mamy odprawić publicznie, rozłożyć dobrze na części, skoro nienauczyliśmy się z loiki, co przy podziale umiejętnego przedmiotu należy się niespuszczać z oka? Czy można porządny artykuł do czasopisów lub list dobry do przyjaciela ułożyć bez loiki? Jeżeli tu rzecz się uda, będzie to li ślepym przypadkiem. Ludziom nie-

znającym loiki, wydarza się téż często, iż jedno ich wypracowanie jest niezłe, drugie zaś otrzymuje publiczną chłostę. Loika, chociaż jéj propedeutyką nauk wszystkich nazwać niemożna, ze względu, iż stanowi część filozofii oddzielną, a nadto nienajpierwszą: jest przecież w pewném znaczeniu całéj naukowości przysionkiem, albo raczéj klucznicą do jéj niebios. Jest tém, jako filozofia myślenia, które, jak naturalna, we wszystkich umiejętnościach panuje, ze wszystkiemi się zrasta i do wszystkich prowadzi. — „*Une bonne logique ferait dans les esprits humains une révolution bien lente et le temps pourrait seul en faire connaître un jour l'utilité.*“ My zaś mówimy bez warunku: „Dobra loika sprawi w każdym człowieku, co nieznał jéj wcale, lub téż znał li powierzchownie, wielką rewolucyą wewnętrzną; przerobi go i odmieni zupełnie. Także Myślini wywrze na każdego wpływ niesłychany, co niezostał dla oczywistéj prawdy raz na zawsze ślepakiem. Wszystko to dowodzi, jak pożyteczna i dobroczynna jest umiejętność nasza!

5. Jeżeli sztuka Eskulapa jest pożyteczna, dla tego, że choremu ciału naszemu przywraca zdrowie czasami; dla czegoż więc niemiałaby być pożyteczną loika, która niezawodnie chorowitego, t. j. fałszywemi naukami skrzywionego ducha uleczy? Albo téż, — szanujemże, jak dzicy, tylko ciało, tylko mięso? Loika rozpędza umidła poetyczne i wszystkie mary, wyrzuca szczer z umiejętności i pokazuje nam rzeczywistą prawdę; możnaż więc wątpić o jéj pożyteczności? Prawda, niejest ona ani krową ani kozą, którę doić można; ale czyliż to jedynie jest pożyteczne, co jemy i pijemy, co nas tuczy? O, ileż naówczas pożyteczniejsza jest miska rzepy lub ziemniaków, niż wszystkie wyniosłe i niebiańskie czczewa wiary chrześcijańskiéj! Kto od umiejętności więcéj wymaga, niż co mu daje, t. j. więcéj, niż samego rozjaśnienia i zaspokojenia ducha: ten niechaj się nieudaje przed ich ołtarze! Tu żaden zwierz i żaden kramarz nieznajdzie nasycenia: tu nie biją złota na dukaty i chleba niepieką. Umiejętność nie jest ani fabryką, ani młynem, ani młockarnią, ani garkuchnią.

ESTETYKA

CZYLI

UMNICTWO PIĘKNE

Karola Libelta.

Tom drugi. Część pierwsza.

PIĘKNO NATURY.

Petersburg 1854.

Architektonika Natury właściwa.

Wyraz to za obszerny na przedmiot, który przedstawiamy. Astronom może dzieło swoje nazwać mechaniką niebios, bo myśl jego badawcza kołuje po przestworzu wszechświatów i odwieczne ich prawa wykrywa. Atoli któżby się zapociekał podać obraz architektoniki wszechświata? To więc co podajemy, ogranicza się tylko na architektonice saméj powierzchni ziemi naszéj. Ale i tu taki jeszcze obszar przedmiotów, że ich ani objąć, ani do zupełności przedstawić nie podobna. Na ogólne więc tylko ograniczymy się téj arckitektoniki cechy. Nazwisko, acz w takiém ograniczeniu, dla tego zatrzymaliśmy, że część, by też najmniejsza, zawsze nosi na sobie charakter całości, skoro tę samą ideę co i całość przedstawia.

Możnaby powiedzieć, że ziemia nasza dopiero się stała piękną, gdy została siedzibą rodzaju ludzkiego. W tém jéj przeznaczeniu, że miała zostać mieszkaniem nieśmiertelnego ducha, podczas jego doczesnego ziemskiego żywota; że miała stać się rozległą sceną dziejów świata, niejako areną, na któréj coraz inne pokolenia, ludy i narody występować będą i odbywać harce swoje; w tém w ogóle przeznaczeniu planety naszego, aby dać obsłonę dla ducha i jego pojawów, leży rzeczywiście charakter piękna, i to piękna architektonicznego.

Atoli człowiek wczas odbiega od natury, nie żyje po jéj jaskiniach, pieczarach, kniejach; wnet stawia sobie mieszkanie, godne być mieszkaniem nieśmiertelnego ducha, zmienia piękno natury na piękno sztuki, światem własnych dzieł pięknych otacza się, i w nim przedewszystkiem żyje. Natura też z swéj strony mało zdaje się troszczyć o rozwój dziejowy na ziemi. Dzień po dniu, noc po nocy, piękności swoje roztacza, mało dbała, czy i jakie pokolenia w jéj urocze oblicze patrzą. Były okolice i są jeszcze w obszarach Afryki i południowéj Ameryki, na kilka tysięcy mil

kwadratowych rozległe, a dziewiczego natury uroku pełne, które bezludne pustkami stoją. Tam właśnie, gdzie się najszczytniejsza przedstawia architektonika natury, wśród skał i rozpadlisk, wśród gór niebotycznych, wiecznemi lody pokrytych, tam właśnie najmniéj są przydatne miejsca na mieszkanie człowieka, który się licznemi pokoleniami swojemi głównie rozsiedla po nizinach, po nad brzegami rzek i mórz.

Architektonika natury musi zatém być obsłoną wyższéj idei, niżeli jest idea nieśmiertelnego ducha w człowieku. Ideą tą jest przytomność wielkiego Boga Stworzyciela; tego samego Boga, którego królestwo młodzieńcza fantazya Greków na górze Olimpu zakładała, któremu potém Abraham na górze Moria ofiarę z syna chciał sprawić, od którego póżniéj Mojżesz na górze Synai odbierał dziesięcioro przykazań, a którego świat chrześciański wyznawa na górze Kalwaryi, gdzie się odbyło dzieło odkupienia. Na tych więc szczytach architektoniki ziemskiéj, zkąd jakby bliżéj było do nieba i zbawienia, a daléj od padołu ziemskiego, gdzie panuje grzech i śmierć, tam człowiek szukał przytomności wielkiego Stwórcy.

Ale jego przytomność nastręcza ci się wszędzie, gdzie ludzkie rozmiary nikną, a rozmiary boskie, nieskończone, czyli *bezmiary* się rozpoczynają. Z gór szczytów, dokąd czasem tylko orzeł skrzydły swemi sięga, gdzie horyzont ziemi rozprzestrzenia się w nieskończoność, a ludzie nikną i olbrzymie ich dzieła maleją w punkta zaledwie dojrzane, wśród urwisk skał piętrzących się w niebiosa, i przepaścistych rozpadlin, zkąd ledwie echo wrzuconego kamienia powraca, wśród tych mass i ogromów kamienistych, wśród granitów, porfirów, bazaltów, kredy, piaskowca i napływowych rumowisk, dźwigniętych niesłychaną siłą z wnętrza ziemi po nad jéj powierzchnią, lub osadzonych na niéj wód ogólną powodzią; tam nas ogarnia duch boży, i zda się że się unosi po tych bezmiarach.

Otóż architektonika natury, jest wygłosem potęgi, wszechmocy i chwały bożéj; milcząca jest skamieniałym hymnem jego wielkości; jest wspaniałą estradą jego świątyni, któréj sklepieniem firmament, a ścianami nieskończoności przestrzenie wszechświata. Jako taka jest symbolem nie człowieka, ale samego Boga. Bóg mieszka w całéj naturze, on ją sobą przenika, a człowiek, jako mrówię pod cedrami Libanu, po powierzchni ziemi pełza i buduje się.

Wszakże w téj małości człowiek jest wielkim, bo jest duchem nieśmiertelnym. Bóg go stworzył, aby poznawał chwałę jego, i na to ziemię zrobił mieszkaniem rodzaju

ludzkiego, i oddał mu w posługę i pożytek nie tylko co ziemia i morze nosi, ale nawet siły natury zhołdować pozwolił. Przeznaczeniem człowieka jest: zrobić sobie z tego tutecznego pobytu raj ziemski, i sprawić, by się wola Boga pełniła jako na niebie, tak i na ziemi. Wtenczas też dopiero, gdy królestwo niebieskie na ziemi zapanuje, rodzaj ludzki wejdzie w ściślejsze połączenie z Bogiem, i ziemia w architektonicznéj piękności swojéj, stanie się nietylko symbolem przytomnego w niéj Boga, ale i człowieka, co się do Boga podniósł i duchem ją swoim napełnił.

Stawając przed tym ogromem planety naszego, i mając pod architektonicznym względem objąć jego piękności, mógłby estetyczny badacz zostawać w kłopocie, od czego zacząć i na czém skończyć. Wszakże każda umiejętność ma to sobie właściwego, że jest systemem, i że ona badacza, myślącego, nie on ją prowadzi. Ci, co przeciw systematyczności, jako przeciw czczemu formalizmowi powstają, nie pojmują natury systemu, nie mają ani wyobrażenia o téj wewnętrznéj dyalektyce każdéj filozoficznéj umiejętności, która zarazem jest jéj metodą i treścią, a w téj jedności jej postępem i rozwojem.

Wskazaliśmy powyżéj trzy dyalektyczne momenta w pojęciu plastyczności: rozmiaru, kształtu i wyrazu, gdzie pierwszy przerzuca się w drugi, a trzeci jest jednością obydwóch. Otóż w tych trzech momentach jest klucz do całéj umiejętności plastyki natury; na nich polega cała metoda tego działu umiejętności i cały jéj rozwój; te trzy momenta wszędzie pokazywać i powtarzać się będą, a zawsze pod inną formą. One zaś same także już tylko są inną odmianą naczelnych trzech momentów: formy, treści i żywota, na których cały nasz system umnictwa, a następnie system umnictwa pięknego został zbudowany.

Na onych trzech momentach polega rozkład całéj plastyki natury, bo architektonika natury jest jéj pięknem rozmiarowém; skulptura natury jéj pięknem kształtowém; malarstwo natury jéj pięknem wyrazowém. Na nich polegać też będzie rozkład każdego jéj pojedyńczego działu w szczególności. Czém są rozmiary w architektonice ziemi? oto jéj powierzchnie bezmierne; czém są kształty? oto skaliste wyniosłości po niéj; czém wreszcie wyrazy? oto architektoniczny wyraz wygląda jak z odsłonionego oblicza ziemi, z odsłonionych formacyi jéj pokładów.

Zasada wiedzy.

Zapytajmy się, co to jest myśl, tak nam doręczna i powszednia? Jestto pomysł, sąd, zdanie, które się stają by-

tem czyli jawem, gdy są objawione wyrazem, alboli znakiem zewnętrznym. Czy i te znaki, te symbola są także myślą? Odpowiedź na to łatwa: że znak nie może być téj saméj natury co przedmiot, którego jest znakiem, bo inaczéj przedmiot samby się naznaczał i nie potrzebował znaku. Powiedziano nie raz, że myśl jest duszą wyrazu, a wyraz ciałem myśli. Niechby i tak było, to i w takiém połączeniu duszy z ciałem, jednego za drugie braćby nie można. Lecz wyraz, symbol, pomnik jakikolwiek, wreszcie znak myśli, jest tylko dla naszéj myśli znakiem; nie nosi zatém duszy w sobie, ale ją ma w nas; jest więc w daleko wyższym jeszcze stopniu wyosobionym od myśli. Powiadają atoli daléj: myśl go do bytu wywołała, on jest jéj utworem, jéj dziełem. To twierdzenie mija się już z prawdą i na złudzeniu polega. Zapewne, że myśl jest wszędzie, tém więcéj musi być w wyrazie, którym się wyraża. Ale dla tego, że myśl z nas wysadzona go zapełnia, nie idzie zatém, aby go utworzyła. Myśl w tém właśnie pokazuje niemoc swoję, że się jako myśl objawić nie może; że czysto duchowa, oderwana jéj istota, jako taka, pokazać się nie potrafi, ale aby wyjść z siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt swój, potrzebuje wyrazu, znaku, coby jéj dał ciało, a z ciałem byt rzeczywisty i mieszkanie doczesne i nieśmiertelność. *Co czego potrzebuje, tego sobie stworzyć nie może, ale musi wziąść zkądinąd.* Niedostatek nie może siebie sam wypełnić. Dla tego i myśl, będąca w niemocy, w niedostatku pojawienia się na zewnątrz, jeżeli się przez znak nie wyrazi, nie może tego stworzyć, czego jéj nie dostaje. Myśl z siebie znaku ni wyrazu na żaden sposób wyprowadzić nie może; bo nie ma ani środków, ani materyału do tego; bo jest wewnętrznością, a wyraz jest zewnętrznością, tam jest idealność, tu realność, dwie zupełnie przeciwne natury, i jedna drugiéj nie może być ani córą, ani matką. Musi zatém być inna potęga ducha, pośrednicząca między temi obiema naturami, która buduje ciało dla duszy, wyraz dla myśli.

Wpadłszy raz na trop niedostateczności saméj myśli, ścigamy ją daléj w tym kierunku. Powiedzą może obrońcy jedynowładztwa rozumu i despotycznego panowania myśli, że myśl wyrazu, ni znaku dla siebie nie potrzebuje, bo wyrazy to tylko zmysłowe formy dla zmysłowych ludzi, pomocniki zaciężne, idące w pomoc ograniczonym przez ciało zdolnościom ducha, będącego samą myślą. Odpowiadamy im na to, że co nie ma pojawu, to nie ma i bytu. Bóg sam nie istniałby, gdyby się wciąż nie objawiał. Cała potęga, cały żywot myśli na jéj zewnętrznem objawieniu się polega; myśl grzmi słowem, a jak piorun uderza czynem. Nasza

ograniczoność, stawia wprawdzie granice myśli, ale pojaw jéj nie dzieje się w skutek tego ograniczenia, ale w skutek konieczności jéj istnienia. Z bytem myśli koniecznie jéj pojaw połączony; bez pojawu nic nie istnieje. Nietylko więc zewnątrz nas myśl obleka się w znak, w wyraz, w ciało, aby się pojawić mogła, ale i w nas samych, wewnątrz naszego ducha, potrzebuje form dla wyrażenia się. Dopiero w tych formach i przez te formy, myśl zbudza się i wiedzą się staje. Myślenie inaczéj jest niepodobne. — Dość długo w zeszłym wieku rozprawiano o tém, ażali człowiek wyrazami, to jest słowami mowy, myśli. Wszystkie te rozprawy byłyby niepotrzebne, gdyby się zastanowiono nad naturą myśli, w sposób dopiero wyłożony. Człowiek nie może inaczéj myśleć, tylko przez znaki myślenia, czy to niemi będą słowa mowy ustnéj lub pisanéj, czy téż obrazy całe, będące równie warazem myślenia.

Kiedy taka jest konieczność myśli, że ani zewnątrz, ani wewnątrz nas, bez wyrazu pojawić się nie może, widzimy oraz, że w ogólności bez zewnętrznego znaku, ani z nicości swojéj powstać, ani się porodzić, ani niemowlęcego kroku postawić nie jest zdolną. I taż to jest wielowładna pani, co sama jedna berło ducha dzierżyła, sama jedna wypełniła jego istotę niby celę zakonną, wiodąc w niéj żywot samotny?

Pierwotnemi wyrazami wewnętrznie objawionéj mysli są wyobrażenia, obrazy świata zewnętrznego, i na sposób tegoż świata kontrfetowane wizerunki świata wewnętrznego, *ogólniki i idee* — niejako jéj *triarii i hastati* w niepoliczoném wojsku pomysłów, na które przecież, acz są duchowéj natury, duchowego niema wyrazu, i znaku na nie u rzeczywistego świata myśl pożyczać musi. Któż te wyobrażenia formuje i składa, w które się myśl obudzona ubiera? Nie ona, z téj saméj przyczyny, z jakiéj wewnętrznego wyrazu z siebie dać nie mogła, ale znów inna siła ducha, któréj obrazowanie, kształcenie, formowanie, zgoła tworzenie, osobną jest pracą i osobnym wydziałem. Znamy tę siłę. Jest nią wyobraźnia. Rozum samowładny poczytał ją za jednę z najniższych sług swoich, a my ją uglądamy, jako równiankę jego, o równych prawach, jako matkę wszystkich pomysłów.

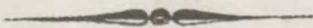
Ważne z tak zmiennego stanowiska, jakie zajmuje rozum do wyobraźni, i wyobraźnia do rozumu, wypadają następstwa.

Obok pierwiastku ducha myślącego, pojmującego, sądzącego, rozumującego w ogólnosci, postawionym został pierwiastek tegoż ducha, innéj natury, oblekający myśl w ciało, dający jéj wyraz zewnętrzny, — pierwiastek kształcący, for-

mujący, obrazujący, twórczy w ogólności, — płodna matrzyca wszystkich pomysłów, wszelakich pojawów, w których się myśl ducha wytłacza. Myśl pojęta dotąd w oderwaniu swojém (*w abstrakcyi*), znalazła żywioł ku rzeczywistości i stała się zdolną pojawu, uzewnętrzenia i kształtu.

Widzimy oraz, że między pierwiastkiem myślącym i kształcącym, nierozerwana panuje jedność, że oba są razem czynne. Jak w naturze światło i ciepło razem powstaje, i niema przedziału między jedném a drugiém, podobnie jednocześnie przenika się działanie rozumu i działanie wyobraźni. Nie można powiedzieć co jest wcześniejsze, a co późniejsze. Gdzie jest wrażenie, obraz, znak, tam już jest i myśl, a gdzie jest myśl, tam już ma i wyraz swój. Niema pojawu bez myśli, ni myśli bez pojawu. I rzecz to bardzo naturalna.

Powtarza się tu tylko odwieczne prawidło, że niema treści bez formy, ani formy bez treści. W pojmowaniu odrywamy jednę od drugiéj, ale rzeczywiście jedna bez drugiéj istnieć nie może. Czémże jest myśl, jeżeli nie treścią? czém wyraz jéj, jeżeli nie formą? Wyobraźnia jest zatém w duchu jednostkowym równie istotną, jak rozum: jest bowiem władzą — potęgą, nadającą formy treściom ducha rozumowym, wyprowadzająca je czarodziejską siłą do bytu, do pojawu — jest rozumu kształtem, postacią, ciałem. Jako taka i jako równoczesna działaniom rozumu, jest jego rówiennicą; uwarunkowana przezeń, jest zarazem i jego warunkiem. Jako należąca do istoty ducha jednostkowego, i wypełniająca jednę jego potęgę, jest oraz rozumowi współistotną. Wraz z nim stanowi dwójcę potęg zupełnie sobie współrzędnych, i przenikających się nawzajem, będących jednością istoty ducha. Wyobraźnia uważana zwykle jako władza duszy — w znaczeniu podrzędném psychologiczném, na podobieństwo pamięci — nabiera u nas znaczenia władzy ducha i stanowi podobnie jego istotę, jak rozum ją stanowi.



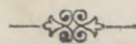
III.

PROZA

POBUDZAJĄCA I ZNIEWALAJĄCA

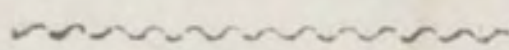
CZYLI

ORATORSKA.



STOPIEŃ III.

PRAWDZIWOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.



A.

GŁOSY
SEJMOWE I POSELSKIE.

GŁOS
ALEKSANDRA LINOWSKIEGO,
POSŁA Z WOJEWÓDZTWA KRAKOWSKIEGO

miany z okoliczności miast koronnych i Litewskich na sessyi sejmowéj dnia 14. Kwietnia 1791 roku.

Szczęśliwym nazwać można ten naród, który zastarzałe wady rządu swojego, wtenczas przejrzeć, wtenczas poprawić przedsiębierze, kiedy przepełniona miarka klęsk i nieszczęść na społeczność z nich wypływających, wskazała moment właściwy ich odmienienia! Bliskim szczęśliwości nazwę jeszcze ten naród, który chcąc być wolnym, zaczyna od zrzucenia najhaniebniejszego jarzma, jarzma przesądów, uprzedzeń i nawykłości!.. Jeźli człowiek, chcący dopełnić przeznaczenie rozumnego stworzenia, powinien nad sobą samym pracować, aby umysł jego mógł być wolnym w saméj nawet niewoli; cóż dopiero przyjdzie powiedzieć, o umyśle prawodawcy wolnego!... Jzaliż ten, mimo świateł wieków i narodów cisnących się do jego przekonania, pieścić się ma, że tak powiem, z niewolą moralną, odpychając przyswojonemi sobie przesądami, prawdę, i zdrowego rozumu wnioski? Izaliż ten, którego duch być powinien od wszystkich skaz prywatnych, powszechnym oczyszczony interesem, może powtarzać bez wstrętu, iż to tylko zna dobrém, co dotąd było, lub co było za jego czasów? iż to jest sprawiedliwém, co drobnéj jego pochlebia próżności? iż to tylko być powinno świętém i szanowném w oczach wskrzesicielów ojczyzny, co na moment pogłaskać gminną może popularność?

Niespodziewam się Najjaśn. Stany, aby skład dzisiejszych prawodawców, chciał takowéj jeszcze niewoli zostawić na sobie cechę.

Materya, która z kolei rzeczy do waszéj przychodzi decyzyi, materya o podniesieniu miast polskich, gdyby tylko w widoku potocznego ich urządzenia przychodziła: ani tak pilną, ani braną w tém miejscu byćby mogła. Lecz przy-

chodzi ta materya, najjaśniejsze Stany, w widoku konstytucyjnym, przychodzi w ciągu reformy rządowéj, przychodzi wtenczas, kiedy naród ma mówić o najwyższéj swéj władzy, o jéj składzie: i dla tego w materyi o miastach, ta jest najcelniejsza kwestya, czyli miasta do reprezentacyi narodowéj należeć mają? lub co jedno jest powiedzieć, czyli lud milionowy ma zyskać w poprawie konstytucyi wolność, i obywatelską egzystencyą?

Tu, najjaśniejsze Stany, nim mi przyjdzie pokazać potrzebę i dobro ojczyzny mojéj z zamiaru takowego: należy mi uprzątnąć w umysłach waszych zawady, które śmiem powiedzieć, sami sobie niebacznie tworzycie. Wprawdzie stoi prawo kardynalne, które pod wyrazem rzeczypospolitéj szlacheckiéj, zdaje się zagradzać na zawsze wolności polskiéj; zdaje się nieść wyrok, iż garstka szlachty polskiéj, na tym swą zasadziła wolność, aby siedmiu przeszło milionami była otoczona niewolników. Mimo uszanowania, które winienem prawu stojącemu, trudno jest utaić w sobie śmiałą szczerość, którą posła mniemam być powinnością, wtedy zwłaszcza, gdy chodzi o grunt całego rządu. Powiem więc bez ogródki, iż prawo to, było jedynie hołdem popularności, było skutkiem zręczności jednych, i trwożliwości drugich; więcéj powiem, było postanowione w brew życzeniu całego narodu, jeżli życzenie narodu zrozumieć chcemy. I to łatwo jest wytłumaczyć. Nie było nigdy głośniejszego żądania narodu, nad to, które jednogłośnie wołało na dzisiejszych prawodawców. „Uwolnijcie nas i potomki nasze od możnowładztwa domowego; bo dopóki trwać to będzie, ojczyzna nasza w wiecznéj zostanie podległości, a my pod hasłem wolności, w najprzykrzejszéj zostaniemy niewoli.“ Na ten głos ogólny narodu, jakim czynem odpowiedzieliście prawodawcy? Oto, wyrzekłszy że rzeczpospolitę szlachecką mieć chcecie, wydaliście wyrok fatalny, iżby na zawsze możnym Polakom zostawioną była łatwość przewodzenia i panowanie w kraju. Łatwiéj bowiem nad małą garstką ludzi, do rządu należących, przewodzić i onym nawet oczy nad prawdziwém ich dobrem zaćmić, niżeli panować i przewodzić wtenczas, kiedy do wolności, kiedy do wpływu rządowego miliony ludzi należą. Słabym osobistemi siłami, w liczbie szukać pomocy należy: wielość osób jednym złączonych interesem, jedynie stanowić może wagę z temi, którzy panować lubią, którzy do panowania mają w ręku więcéj sposobów. Wy, najjaśniejsze Stany, przeciwnie uczyniliście. Możeż bowiem, ta mała liczba osób których wolność interesować powinna, w któréj część jedna mało oświeconych, druga do ulegania

nawykłych, trzecia zbyt ubogich aby wedle publicznych czuwać mogła interessów, możesz mówię zostawić nadzieję, iż zdoła sama przez się wolność w Polsce utrzymać? Możnaż nie widzieć, iż wcześniéj lub późniéj ulegnie pod ciężarem, który siły przewyższa? Nakształt tego łakomcy, który gdy otrzymał od bogów, iż wszystko, czego się dotknął, w złoto mu się obracało, zginął własną a nieroztropną chciwością; tak stan ten kiedyś, stać się może ofiarą dzisiejszéj o wolność zawiści. Prawo więc kardynalne będzie zguby waszéj kardynalną przyczyną. Prawo to, lubo przeszkadza ustanowieniu prawdziwie wolnéj konstytucyi, lubo przeszkadza przywiązaniu ludu milionowego do waszéj wolności, i napełnia prawdziwych synów ojczyzny smutkiem, jednakże go nikt naciągnąć nie potrafi, aby przeszkadzało reprezentantom miast, należenia przynajmniéj do decyzyi w sejmie, tyczących się ich directe materyi; bo zawsze to ulubione cacko rzeczypospolitéj szlacheckiéj, zostanie przy tych, którzy ogólne mieć będą w ręku prawodawstwo, a tém samém oczywiste, i liczbą i ogólnością władzy pierwszeństwo i zwierzchnictwo. Zostaje więc tylko pokazać, czyli tym sposobem przynajmniéj poprawiając błąd poprzedni; broniąc, aby prawidło zgubne jak najmniéj zrobiło szkody; czyli mówię, realnie miastom tego przywileju potrzeba, i czyli niezawodnie znajdzie się w tym kraju całego pożytek?

Że miastom decyzyi w sejmie w swoich potrzebach odmówić nie można, krótka jest za tém przyczyna. Któż jest taki co by się mógł wolnym mniemać wtedy, kiedy dla niego cudza wola stanowi prawa? kiedy zwierzchność bez niego nad nim wyniesiona, może własność jego obciążyć podatkiem? kiedy za sędziów osoby i rzeczy jego, kto inny mu siebie narzuca? klassa ludzi pod rządem drugiéj zostając klaassy, wolną się mniemać nie może. A przecież nikt z was, najjaśniejsze Stany wyrzec tego wyraźnie nie chce, iżby miasta polskie i ich mieszkańcy były niewolnikami waszemi! i ten kto Rzym statożytny na poparcie udzielności jednego stanu wspomniał, nie dodał że za czasów Rzeczypospolitéj Rzymskiéj, wielka część miast włoskich, miała w Rzymie prawo obywatelskie do praw stanowienia, że wotowali ich pierwsi mieszkańcy równie z tym Panem świata, z tym ludem w murach jednego miasta zamkniętym. Za cóż więc to chcecie skutkiem wykonać, czego wam wstyd głośno wyrzec nie pozwala? Ani temu nikt wierzyć nie może, iż miasta polskie wolności nie potrzebują; iż miasta polskie bez wolności szczęśliwemi kiedyś były. Potrzebują wolności, bo jéj każdy potrzebuje człowiek: bo onę winna im społeczność, bo społeczność sama wolnych potrzebuje ludzi: bo łatwiéj w wiel-

kiéj niż w małéj liczbie utrzymać się wolnemi; bo nakoniec, wolność roztropna jest najpierwszą i najdroższą związków spółecznych korzyścią. Były kwitnace miasta niegdyś w Polsce, bo był kraj cały w pomyślności; miały, lubo w części i nie ciągle, prerogatywę ludu wolnego (co już zbyt jaśnie dowiedzioném tu było): zniszczył nierząd pomyślność ogólną, zniszczyły wojny i napaści zagranicznych, świetność miast polskich. Gdyby nie to, byłaby ich pomyślność zaprowadziła do wolności; dziś wolność od roztropnych udzielona prawodawców, do pomyślności usłać im może drogę.

Że zaś z wolności i podniesienia miast polskich ogólna szczęśliwość, ogólna siła, ogólne i rozmaite korzyści na wszystkich ziemi polskiéj mieszkańców wypłynąć mają; to, na pierwszy rzut uwagi widoczném się staie. Po tylu na to dowodach, dodam tylko, iż domieszczenie miast prawdziwéj obywatelskiéj wolności, zaludni miasta polskie majętnym z obcych krajów przychodniem. Wiek bowiem przyszedł, w którym źle lub dobrze zrozumiane wolności prawidła zajmują powszechniéj, niż kiedykolwiek umysły ludzkie. Przykrzy sie majętnym ludziom w niektórych krajach rządów arbitralność, w drugich momentalne gwałtowności, wolność w nadziei, niespokojność obecnie sprawujące. Polska dla nich będzie ucieczką, jeżeli im wolność i spokojność ubezpieczy. Tak niedawno niesmak religii, Anglią, Hollandyą i Prusy majętnemi i przemyślnemi napełnił przychodniami, którzy dotąd jeszcze wypłacają się sowicie nowym ojczyznom swoim za to, iż w nich znaleźli to, co im wtenczas okrutna odmawiała ojczyzna. Jestem pewny, iż dziś wyrzeczone prawo, *że ludu miejskiego reprezentanci należeć do sejmu będą*, jutro Polskę dla najswobodniejszych cudzoziemców zrobi krajem pożądanym.

Takie to uwagi, takie prawdy trafić do przekonania waszego prawodawcy powinny. Kto z was mniema, iż konstytucya rządu Polskiego, w całém swoiém znaczeniu dobrą była, niech mi zaprzeczy widzialnych skutków, które tego potężnego ciała niedołężność, konwulsye, słabość, znikczemnienie dowodzą, a zgon jego bliski i okropny rokują. Kto z was mniema, iż ostrożność nie pozwala poprawy konstytucyi; niech pamięta, że, jak w życiu ludzkiém jest czas, w którym regułę życia odmienić potrzeba, tak w życiu narodów jest czas, w którym konstytucyą poprawić, odmienić, do wieku, do okoliczności, do obyczajów, do miary światła stosować należy. Amerykanie, dając sobie nową konstytucyą, wynaleźli epoki pewne, w których konstytucyą swoją przejrzeć i poprawić powinny. A my zastarzałéj naszéj konstytucyi z niezgodnych złożonéj części, w duchu stronnictwa

i egoizmu stanowionéj, albo obcą w największéj części narzuconéj ręką, mamyż się wzdrygać poprawić w tym momencie, kiedy nam do tego jedyną Opatrzność zdarzyła porę? kiedy na nas naród, mniéj jak my próżnością nadęty, woła o ugruntowanie szczęśliwości powszechnéj? Inna jest rzecz powiedzieć: iż lekce i często wzruszać konstytucyi nie należy; a inna, iż poprawić jéj w czasie przyzwoitym przez uszanowanie starożytności, nie można. Lecz w materyi toczącéj się, gdy nie o ogólném mowa prawodawstwie, nie mogę powiedzieć aby konztytucya odmienioną była.

Nie przestanę wam zatém powtarzać, najjaśniejsze Stany, iż ten jest jedyny sposób naprawić błąd początkowy, dać ojczyznę nie mającym ojczyzny; przywiązać do wolności większą dusz liczbę, aby swoje upewnić; zrobić większą liczbę téj wolności twierdzą, aby ani tron, ani duch arystokracyi tak wam znany w Polsce, niebył coraz przeciw niéj mocniejszym; aby uniknąć wyrzutu wieku oświeconego, iż cechą wolności naszéj jest próżność; iż jéj tryumfem, jest arbitralne nad podobnemi sobie przewodzenie.

Królu Najjaśniejszy! racz przypomnieć narodowi ów czas, w którym *liberum veto* tak było świętą rzeczą dla Polaków tamtego czasu, iż nieśmiertelnego Konarskiego xiążkę, szkodę i nieszczęścia z tego prawa dowodzącą, publicznie palić chciano. Dwadzieścia lat upłynęło ledwie, i niemasz Polaka, któryby nie uczuł, że z *liberum veto* ginął, że za zniesienie jego błogosławić winien panowanie Twoje. Taki jest los przesądów. Ty Królu, z pośród szlachty wybrany, na to przecież, byś narodowi panował; i wy prawodawcy od szlachty przysłani, na to, byście naród dźwignęli, i jego upewnili szczęśliwość, sądźcie wspólnie czy wolności udzielić jest wolność utracić; czy ojczyznę poświęcić należy próżności jednych, czyli chybiając téj, dać ojczyznie należy zbawienie?

MOWA
Jana Zamojskiego do króla 1605. roku.

Najjaśniejszy Miłościwy królu! Niech to W. K. Mości nie obraża, że *insolito more* z stołka swego senatorskiego wstawszy, napośród izby *votum me* odprawiam: nie czynię tego z lekkomyślności, ale żebym był lepiéj od W. K. Mości i ojców zebranych słyszanym. Straciłem bowiem zdrowie,

słuch i zęby, nie w miękkich rozkoszach, ale w twardych obozach, na usługach miłéj ojczyzny. Co w dzisiejszéj przygodzie dla dobra i sławy Polskiéj Korony czynić przystoi, powiem pokrótce. A najprzód co do wojny inflantskiéj, com W. K. Mości dawniéj napróżno radził, to i teraz bodajby nie napróżno, powtarzam. Wstyd jest Miłościwy Panie dla téj Korony Polskiéj z tak małym nieprzyjacielem przez lat kilkanaście nieużyteczne, nieukończone nigdy, prowadzić boje. Trzeba żebyś W. K. Mość, aby raz wysłał w tamtą stronę wszystkie siły swoje, wysłał swoje hetmany, zdał na nich nieograniczoną władzę, opatrzył ich w dostateczne sposoby, zapasy. Niech nie wracają, aż rzecz się zakończy. Skarzymy się wszyscy na niedostatek poborów, a lud niewinny płacze, o pomstę do Boga wołając, że już kilkanaście poborów za W. K. Mość wybrano, którémi jak szafowano i na co je brano, W. K. Mość najlepiéj wiesz, że wiele z tych pieniędzy nie na obronę kraju, lecz na potrzeby W. K. Mości i za jego rozkazem wzięto;.... to nie ma być...... Co się tyczy Moskwicina, wiele on niegdyś pogranicznym krainom Rzeczypospolitéj łupieztw i szkód przynosił, ale tak go ś. p. król Stefan poskromił i uniżył, iż ów hardy Iwan Wasilewicz przystąpił już był do zamysłów króla Stefana i papieża Syxtusa V. naprzeciw Turkom, i że gdy Syxtus swe miliony na to przeznaczył, my Polacy wojsko z téj strony, Moskwa przez Persy niewiernych cisnąć miała. Gdy papież dowiedział się o śmierci Stefana, płakał i te słowa powiedział: *Nos autem sperabamus quod ipse redempturus erat Israel.* Jakoż *laudabile* było *propositum*, nie tak, jak teraźniejsze zamysły nasze, gdzie wszystke od dnia do dnia odwłóczymy, wszystko razem słabo zaczynając i nic nie kończąc. Zaraz po wstąpieniu na tron W. K. Mości chciałem ja tę myśl tę odnowić, ale się nie zdało. Uczynione z Iwanem Wasilewiczem przymierze odnowiło się z dzisiejszym kniaziem moskiewskim; radziłem, by to przymierze święcie zachować, bo i skład rzeczy dzisiejszych, a co więcéj, samo sumienie tak każą. Dziś niektórzy Ichmość mimo woli Stanów wtargnęli do Moskwy, jakiegoś Dmitra na tron prowadzą. Słyszeliśmy, że ten Dmitr był zadłabiony, dziś znowu żyje. Cóżto! czy jaką komedyę Plauta lub Terencyusza grają przed nami! Wszystko to ciężkie kłopoty na Rzeczpospolitę sprowadzić może, lecz jeźli ten ów Dmitr jest prawdziwym, jeźli się tam tego księstwa koniecznie zachciało, niechżeby się to było za uchwałą sejmową i z większą potęgą zaczęło i odprawowało.

Kiedy Turcy tak blisko do granic naszych podsuwają się, gdy z Inflantami niema końca, nie potrzeba nam no-

wych szukać nieprzyjaciół, i owszem zawrzeć traktaty handlu i przyjaźni tak z angielskim, jako téż z duńskim królem. Do sułtana tureckiego i hana tatarskiego co rychléj poselstwa wysłać należy, by i z téj strony mieć pokój. Na sejmie ostatnim krakowskim sprawa elektora brandenburgskiego, hołdownika téj korony, dostatecznie roztrząśniętą była. Nie będzieli mogło księstwo pruskie, jak własność nasza być do Polski wcielonèm, trzymamy, że W. K. Mość i bracia nasi postanowią rzecz tę ku największemu pożytkowi Rzeczypospolitéj. Ja tylko przypominam, że i ś. p. król Stefan 200,000 od Auszpacha wzięte na wojnę moskiewską obrócił.

Przystępując do spraw domowych swę wolą i niekarnosć wojskową, najprzód wytknąć muszę; nadto się rozbiegły zuchwałości jéj koła, żadna władza hetmańska powściągnąć jéj nie jest w stanie. Mamy wprawdzie prawo zakazujące rycerstwu wszelkich związków i konfederacyi; gdy się pod wództwem mojem w Inflanciech wojsko buntować zaczęło, zgromadziłem je w wieniec i prawo to przeczytać kazałem, alić mi zaraz w téj konstytucyi pokazali dodatek (chybaby wojsku zapłata zatrzymaną była), że natenczas wolno mu się konfederować, a zatém buntować. Jest téż i druga konstytucya, która zabrania karać hetmanom żołnierza bez rotmistrza, a kiedy rotmistrz i żołnierz z jednego koła i razem trzymają, cóż nie ujdzie bezkarnie? Trzeba więc koniecznie dawną władzę hetmańską powrócić, żołdu nie zatrzymywać, *otia dant vitia*, nie gnuśnieć na leżach zimowych, lecz nad stepami Dniepru i Krymu stać żołnierz, powściągać najazdy tatarskie i swewole Niżowców powinien.

Miłościwy Panie, wkradło się w ciało Rzeczypospolitéj złe wielkie, złe toczące żywotność jéj; jest to zbytek niszczący kraj, nie zasilający nawet uboższych robotników, bo wszystko z zagranicy bierzemy; należałoby cudzoziemskich rzemieślników do nas przyciągnąć: ci dotąd surowe materyały od nas biorąc, drogo nam potém wyrabiane sprzedają. Do zbytku należy i ta nierówność, co się w stan nasz szlachecki zewsząd wciska, prosiemy W. K. M., abyś jéj nie dopuszczał, i jakeś swobody i wolności nasze zastał, takie zachować raczył. Nic nam po tych obcych tytułach, za któremi się u cudzych Książąt niektóre rody uganiają, nie dopuszczaj W. K. M. jednym familiom wynosić się nad drugie.*) Co do mnie, wolę z tą cną bracią moją równéj

*) To się ściągało do Myszkowskiego, który sobie tytuł Margrabiego od Książęcia Mantuy wyjednał.

wolności zażywać, jakoż dali Bóg i najmniejszego szlachcica równém sobie kładę we wszystkiém. Z téj to nierówności pochodzi zbytek i przepych, każdy bowiem pnie się jak najhojniéj pokazać.

Zamysł W. K. M. żenienia się z siostrą nieboszczkiéj ś. p. Królowy Polskiéj, wcale mi się niezda: przez ożenienia dom Rakuski poujarzmiał Królestw tyle, nadto, jest to obrzydliwe, zakazane od Boga, a wiesz W. K. M., że Pan Bóg za grzechy Królów, zwykł lud wszystek karać. Z miejsca więc mego i sumieniem Senatorskiém nie pozwalam na to i przeczę.

Rozchodzą się także wieści, jakobyś W. K. M. za życia swego, Królewica J. Mci chciał koronować; niema to być: nie dla tego, żebyśmy mu korony życzyć nie mieli, ale dla tego, że koronacye za żywota, mogłyby to berło dziedziczném uczynić, i pozbawić nas prawa przy elekcyi wkładać na panujących potrzebnych warunków. Pragną wszyscy, żebyś nam W. K. M. najdłużéj panował, pragną zapewne i tego, by po nim nie kto inny, jak Królewicz JMść nastąpił. Zawsze ten naród Polski Pany swe i krew ich miłował, szukał ich po wszystkich krajach, po klasztorach, kościołach, sam W K. M. jesteś świadkiem tego, żeśmy go *per liberam electionem* wybrali, dla tego żeś potomek Jagiełłów dawnych Panów naszych. Nie minie korona syna W. K. M., ale dwie rzeczy potrzeba potemu. Daj mu W. K. M. przystojne wychowanie, wyjmij go z pod opieki kobiet, gdyż i to najwięcéj zaszkodziło ś. p. Zygmuntowi Augustowi. Druga rzecz potrzebna jest, aby cudzoziemcy byli od wychowania Królewica JMci oddaleni, niech ten zacny potomek W. K. M. obcych narodów ludzi sobie nie smakuje. Lud Polski miłować niech się uczy; *Justitiam colere, sapientes consulere, assentatores fugere*, a on sam i my z nim będziemy szczęśliwi.

Mamy i insze urazy do W. K. M. Poprzysiągłeś nam kilka zamków na Ukrainie zbudować, nie zbudowano żadnego; zamek nawet w Kamieńcu Podolskim nie naprawiony. Nie miałeś W. K. M. *custodiam corporis sui* mieć tylko *ex indigenis*, a my widziem u W. K. M. Alabartników, Szwedów, Niemców, Hiszpanów i to nie miało być, powinieneś nam W. K. M. przysięgi dotrzymać. Dla czegoż to wszystko źle? oto, że W. K. M. mieć raczycz przy boku swoim radę młodą, któréj się dajesz powodować. Szkoda W. K. M., szkoda nas wszystkich, którzy ojczyznie naszéj dobrze życzymy. Uraża nas także, że W. K. M. z pokojów swoich królewskich tajemne listy posyłać raczysz do innych krain, przez cudzoziemce targujesz, albo pono

przedajesz nas W. K. M.; a Rzeczpospolita dla tego przysięgłe pieczętarze mieć chciała, aby żaden list królewski bez wiadomości ich nie był pisany, ani posłany. Więc też od W. K. M. ludzie godni, ludzie zasłużeni żadnego opatrzenia, żadnéj nagrody za krwawe posługi swe nie odnoszą. Stracili poddani do W. M. serce, samochcąc zgubiłeś ich miłość. Cała godność i potęga Królów Polskich, wspiera się na miłości ludu, łatwo będzie W. K. M. o pieniądze, łatwo o pomnożenie, gdy pozyskasz serce poddanych, bez tego trudno co począć w naszéj wolności, w któréj się kochamy i bez niéj żyć nie możemy. Lecz nie przeszkadza ta wolność, byśmy Królów naszych nie miłowali, jakoż lubo przodkowie nasi śmiało prawdę Panom swoim mówili, nie czytamy jednak, by je jak gdzie indziéj dłabili, albo kozikiem kłuli: każdy Król Polski na łożu swém umarł. Co do nas siła mamy, na W. K. M. w czemeś nam W. K. M. nie praw. Nie nowinać to Polakom, gdy im Królowie przysięgi nie dotrzymali, że ich wygnano z Korony, a obierano innych, jeżeli więc i W. K. M. nieobaczysz się, ani poprawisz, nam nielża, jak idąc torem przodków naszych, W. K. M. P. N. M. za morze odwieść, gdyż się już sam W. K. M. z królowania swego wyzuwać raczysz.

Miłościwy Królu, dla Boga proszę cię, obacz się, popraw się, *Svetia genuit, Polonia excepit et educavit.* Ta Polska jest twoją matką, ta cię karmi, ta cię przyodziewa, ta cię ozdabia, miłuj ją jak matkę swoją, miłuj nas poddane twe, chceszli się tu z nami zestarzeć, chceszli, abyśmy cię miłowali i szanowali jak Pana swego, a gdy tak uczynisz, i błogosławieństwo Boskie nad W. K. M. będzie zostawało, i potomstwo jego, będzieli godne królowania za wolną elekcyą, długo Polakom panować będzie.

(Wyniosłszy potém ręce do Nieba rzekł:) A wy cnotliwe dasze Tarnowskich, Tęczyńskich, Ostrorogów, jakich już dziś nie widzimy, którzyście niegdyś wiernie ojczyznie waszéj służyli, a dziś w wiekuistéj chwale na oblicze Boga patrzacie, uproście nam, ojczyznie naszéj wspólne pomnożenia szczęścia w domu, zwycięstw nad nieprzyjacioły.

WITANIE

rady stanów kor. polsk. do króla JMci Zygmunta III.

w polu przed miastem Kazimierzem

przez J. Ks. *Wawrzyńca Goślickiego*, biskupa kamienieckiego czynione dnia 10. Grudnia 1587.

W Krakowie w drukarni Łazarza, Czwartek 7.

Złotem i srebrem nie przyciągnąłeś nas do siebie W. K. Mość. Prywata żadna nie zgwałciła, ani zhołdowała ani posromociła poczciwych animuszów i języków naszych. Czyste serca i ręce są przed Bogiem i Rzeczpospolitą naszą: jaśnie w oczy sobie, jako ludzie poczciwi, patrzeć możemy. Duch niebieski, nie duch świata tego, elekcyą tę w nas sprawował: serca i oczy ludzkie obwionąwszy, tam je obrócił, gdzie niebywały, do tego też, którego nie widziały. *Magnum erat chaos inter nos et te:* przekopy kamienne, wały morskie, skały nieprzebyte okryły nam W. K. M., przecie jednak zakryć nie mogły. Słynie daleko cnota. Prędki lot sławy dobréj. Otośmy przecie znaleźli króla i pana ze krwie panów naszych, królów naszych, ojców ojczyzny naszéj. Dogodziliśmy ktemu w obieraniu pana i króla, woli miłego Boga, który z narodu i języka swego, każe ludowi swemu pana sobie obierać; dogodziliśmy ojczyznie naszéj, która się raduje, patrząc na syna swego, na krew panów swoich, królów swoich, dobrodziejów.

Daléj chlubi przed królem świetność daru, który z tak wspaniałéj ku sobie chęci narodu otrzymywał, razem zagrzewając go, aby naśladowaniem sławy swych przodków, jako téż uiszczaniem powziętych o sobie nadziei, w wzajemném wywdzięczeniu się wspaniałość okazał.

Nie straciła nic Polska z Jagiełłowego plemienia za morze je daleko wysławszy; owszém wygrała, iż za białą płeć męzkiéj dostała:... gościem tu nie jesteś; tyle, ile ludzi widzisz, w każdym z nich łaskę i dobrodziejstwa przodków swoich upatrować będziesz..... Nie masz na świecie, czémby sobie monarchowie miłość u poddanych prędzéj zjednać mogli, jako łaską i dobrodziejstwem. Na gotoweś tu żniwo przyjechał, zażywać prędko będziesz raczył téj miłości i szanowania w osobie swojéj, które dawno przedtém W. K. M. jako potomkowi swemu zgotowali i zostawili oni święci Jagiełłowie, W. K. M. przodkowie. A jeżeli sam jeszcze przymnażać tego będziesz, o czém my nic nie wątpimy; a gdzież możesz na świecie szczęśliwiéj żyć i sławniéj panować, jak tu? Jest Polska, rzec tak możemy, jako

centrum Europy; a tać to jest perła świata dobrego: ztąd, gdzie chcesz, możesz sam wejrzeć. Na W. K. M. także sławnie panującego, najbliższe narody mogą patrzeć; z panowania W. K. M. Pana Boga chwalić i pociech ustawicznych zażywać. Na głowę swą koronę weźmiesz, którą naddziadowie, pradziadowie, dziadowie, wujowie W. K. M. sławnie nosili. Ludowi téż takiemu panować będziesz, który starożytnością i szerokością języka, żadnemu najzacniejszemu narodowi miejsca nie postąpi. Tu wiara przeciwko panom stateczna, tu miłość przeciwko ojczyznie gorąca, tu cnota i sława nad wszystkie klejnoty najdroższe w poważaniu bywają. Dzielności i męztwa nie przypominam: każeszli pytać, dowiesz się: powieć Tatarzyn, Wołoszyn, Turczyn i wiele innych nieprzyjaciół koronnych. Sromaćli się będą prawdy powiedzieć? doznasz jéj sam, gdy do tego przyjdzie. Nie na takim placu i w takiém królestwie stolicę osiędziesz, gdzie owo tylko kramy liczą, albo łątki przedają; ale w takiém królestwie, które jest murem i szczytem chrześciańskim państwom od nieprzyjaciół Krzyża świętego: tu, nie będzieszli próżnował, a nieprzyjaciel powabi: niebo sobie i swemu rycerstwu budować będziesz, tyle ofiar krwawych Bogu swemu na każdą godzinę oddawając, ile głów i języków pogańskich wygładzisz, imię boże i chwałę jego świętą bluźniących. Wstąpże tedy szczęśliwie i fortunnie na stolicę od Pana Boga tobie przeźrzaną i zgotowaną; weźmij szczęśliwie sceptrum w rękę swoję, abyś rządził lud boży, przez onego samego tobie poruczony. Niechaj tedy Bóg jako żrenicę oka strzeże W. K. M., niechaj skrzydłami wszechmocności swojéj okryje i ociszy majestat panowania twego: niechaj na stolicę królestwa tego szczęśliwie prowadzi i postawi, abyś ją rządził rządem Bogu miłym, rządem nie jednemu, nie dwiema, ale wszystkim poddanym swym pożytecznym, rządem takim, któremibyś u przyjaciół miłym i przyjemnym, u nieprzyjaciół strasznym był.

B.

PRZEMOWY WOJENNE.

MOWA
KAROLA CHODKIEWICZA.

(I opis bitwy z Turkami nad Dniestrem, pod Kamieńcem Podolskim, r. 1621).

Kiedy los i potrzeba Rzeczypospolitéj, wymagały tego, żołnierze, abym je, złamany trudami i wiekiem, raz jeszcze podnosił oręż mój i szedł na wojnę; uczyniłem to jedynie, bym ojczyznie mojéj usłużył. Cóżby mię bowiem innego przywieść mogło, bym te siwe włosy twardym hełmem okrywał? Wszystkie zaszczyty, wszystkie dostojeństwa, po które ludzie sięgają, już się na mnie skupiły; nie pozostało żądać chyba tego, bym to krótkie już życie w obronie kraju położył: położę je więc, a potykając się wpośród was, nie bez chluby polegnę. Walczyć nam, bracia, potrzeba: całość Rzeczypospolitéj, pomsta tylu zabitych Polaków, szabli naszych wzywają. Patrzcie, kędy stoimy! ta ziemia czerwieni się jeszcze krwią Żółkiewskiego; [1]) jak oko zasięga, bielą się niepogrzebione kości ziomków naszych. Nie płaczu, nie narzekań wymagają oni po was; nie, wołają oni, byście ich pomścili. Ilekroć ręce wasze zbroczycie krwią niewiernych, ilu ich trupem polegnie na ziemi; tyle to będzie błagalnych ofiar, któremi uczcicie ich cienie. Przebóg! długoż jeszcze ciężkie obelgi znosić będziemy. Oto i teraz okrutny Nuradin, [2]) w tyle nas, zapuścił zagony swoje po Podolu i Rusi; pali, pustoszy, wyrzyna, powiązanych krewnych i przyjaciół waszych w brzydką pędzi niewolę. Przyszedł dzień stanowczy; nie idzie tu, by wiedzieć, czy Wołoszczyzna będzie naszą, lub ich? lecz czyli Polska cała zostanie swobodną i niepodległą: czy mamy dopuścić, by tureckie buńczyki utkwiły nad Wisłą? by srogi barbrzyniec, obaliwszy świątynie i prawa, deptał po karkach naszych? by niestety! Polakom po turecku mówić kazano? Po to okrutny Osman wyruszył z siedlisk swoich Azyi i Europy ludy. Lecz niech

---

[1]) W klęsce poniesionéj pod Cecorą, gdzie waleczny ten wódz poległ, roku 1620. [2]) Han tatarski.

was nie trwoży to mnóstwo, ta okazałość; są to tłumy, nie ludzie, czcze cienie i liczba: umysłem, zwyczajami, ubiorèm zniewieścieli, wycieńczeni roskoszą, potrafiąż wstrzymać męztwo tych dawnych Sarmatów, tych Polaków, co żelazne słupy zabili w Elbie i Dnieprze? Te słonie, te trzody wielbłądów, obciążonych jukami, za pierwszém uderzeniem trąby, za pierwszym blaskiem szabli naszéj, rozproszą się lub padną! Za danym więc znakiem, wy Polacy i Litwini, rzućcie się odważnie; niemasz do schronienia się miejsca! Tu bystry Dniestr i nieprzebyte skały, na przodzie Turcy, w około rozstawieni Tatarzy; lecz mężnym szerokie pole sława otwiera. Jeżeliby nawet kto był nieśmiały, niech konieczność stanie mu za cnotę." (Tu ręce podniosłszy do góry, tak kończył): „Ty zaś potężna Sprawiedliwości, przez którą panują królowie, a wojownicy otrzymują zwycięztwa, powstań na zawziętych imienia twojego bluźnierców, przyśpiesz krzywd naszych pomstę, wywróć palcem twoim tłumne pogańców szeregi, i pokaż, że jesteś Bogiem i obrońcą naszym!"

PRZEMOWA

PRZY

uroczystym poświęceniu chorągwi wojsku nadanych,

miana dnia 3 Maja 1807 roku w Warszawie.

przez J. P. Woronicza. Kraków 1833.

Memoriam fecit mirabilium suorum misericors, et miserator Dominus! Psalm 110.

Uczynił pamiątkę dziejów swoich litościwy i miłościwy Pan!

Szanowny ten obrządek religijny w poświęceniu modlitwą kościoła Bożego starożytnych herbów i razem przewodniczych znaków sławy rycerskiéj: połączona z tym obrzędem rocznica pamiętnéj konstytucyi rządowéj, od całego narodu uroczyście przyjętéj, w téj saméj stolicy i po całém niegdy królestwie naszém przed lat piętnastą radosnemi okrzykami uwielbionéj: słodka i pocieszająca nadzieja dalszych przeznaczeń, które nam szlachetne serce i dzielna potęga nieporównanego bohatera zaręczają; wszystkie te przyjemne uczucia w dniu dzisiejszym zgromadzone, mogąż nie wycisnąć na nas tego uwielbienia Boga ojców naszych, które niegdy prorok jego obecnym i przyszłym narodom

w pieniach swoich przekazał: — „Uczynił pamiątkę dziejów swoich miłosierny i litościwy Pan.“

Uczynił w szczególnosci na nas pamiątkę wszechmocności swojéj, aby nam przypomniał, że on jeden wiecznym i najwyższym Panem, na którego skinieniu losy i przeznaczenia ludów spoczywają. — Pamiątkę dobrodziejstw swoich: aby nas niemi do wdzięczności ku sobie pociągnął. — Pamiątkę klęsk i utrapienia, aby nas ukarconych baczniejszymi uczynił, i odzyskane dobrodziejstwo lepiéj cenić nauczył. Zgoła, przypomniał nam to wszystko, o czém ustawicznie myśleć i do czego całemi siłami dążyć winniśmy.

Ta zapewne święta i pobożna myśl natchnęła serca wasze dostojni mężowie! ta mówię myśl przywiodła was tu z gronem urzędów wykonawczych, w świetnym orszaku rycerstwa, abyście w otwartém obliczu nieba i ziemi składając z całym tym ludem przed ołtarzem Boga Zastępów rycerskie zawiąski jestestwa naszego, wyznali uroczyście te prawdy, które są zasadą i całych nadziei rękojmią.

Kiedy byłem szczęśliwy pocieszać niekiedy łzy wasze na zmierzchłych gruzach rozpaczy; pozwólcie szanowni rządu krajowego naczelnicy! abym, przy rozbłyśnionéj jutrzence wyświecił wszystkim współbraciom naszym świętość i ważność niniejszego obrzędu waszego, którego celem jest: przypomnieć wiarę i pobożność ojców naszych; ocucić pamięć na przeszłość; zwrócić mądre baczenie na przyszłość.

A gdy pod tym troistym względem wystawiasz nam w twych wyrokach, niebiosami temi nieogarniony wiekuisty Panie! prawdziwy rozum, wielkość i szczęście, przygotuj serca i umysły nasze, by to wszystko, co ku dobru naszemu raz może ostatni przypominasz, w sercu i pamięci utkwiło.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Próżno rozwodzić się nad tą prawdą, że przyrodzony i nierozdzielny związek między Stwórcą i stworzeniem tak jest w istność i naturę człowieka wpojony, że go żadna zagłada czasu, żadna odmienność siedziby, i wychowania, żadna rozmaitość różnych stosunków społeczeństwa zwątlić i zagładzić nigdy niezdoła. Gdzie tylko znajdziemy człowieka: oczy jego ku niebu wzniesione, ręce wyciągnione ku szukaniu Tego, który każdym ruchem i krokami jego kieruje. A następnie to wewnętrzne czucie i przekonanie dochowało we wszystkich wiekach i narodach tę pierwszą religii zasadę, że skoro jest jakiś Pan i gospodarz téj ogromnéj budowy świata; więc się nic bez woli jego nie dzieje, nic bez zezwolenia i dołożenia się jego przedsięwziąść niewolno. — A jeśli tém wewnętrzném natchnieniem, w owych nawet

wiekach błędu i ciemnoty, powodowały się wszystkie narody, kiedy owe przetarte Greki i Rzymiany kroku jednego w sprawie bądź prywatnéj, bądź publicznéj bez porady bóstwa uczynić nie śmiały; ileż my szczęśliwi! że jesteśmy plemieniem tych ojców, którzy przed tysiącem lat do znajomości i wysokich tajemnic prawego Boga wezwani, dobywszy pierwszy raz oręża na obronę jego ewangielii, wiarę za hasło rycerskiéj sławy po obozach otrąbili, a tego nowo poznanego Pana nieba i ziemi wiecznym królem, poradnikiem i hetmanem, sobie i pokoleniom swoim postanowili. — Jakoż on to jest, który nad inne dzieła rąk swoich umiłowawszy szczególniéj ród ludzki, sam jako czuły ojciec i mądry gospodarz dobrem się jego i porządkiem cały niejako zajął, On pierwszy podzielił ziemię między ludy i pokolenia podług języka i rodu każdego. Divisit gentes secundum linguas et nationes. On je sam niedostępnemi górami i morzami od napaści poogradzał; a pierwszy zuchwalec, który zakreślone od niego granice przestąpić poważył się, zburzył świat niepokojem i wojną: i póty zapewne ten zamącony gwałtów i najazdów ocean miotać rozwalin świata nie przestanie, póki przyrodzonéj i pierwiastkowéj dzielnicy ludziom nie powróci. — On to jest, który chcąc nauczyć przyszłe narody i pokolenia, jak sam jeden niewidzialną mocą niemi się opiekuje, obrał jedno drobne niepoczesne u świata plemię, które widomą i obecną dziwów swoich wszechmocnością przez wiele wieków, jak matka dziecię, za rękę prowadził: morza dla przechodu jego w kamienny pomost przetwarzał, góry rozdzierał: pokarmem i odzieżą cudownie opatrywał, i całą zalęknioną naturę w biegu swoim dla niego wstrzymywał. — On to jest, który niegdy owym carom assyryjskim na łonie roskoszy i niedołęstwa gnuśnie drzemiącym, niewidomą ręką wyrok zagłady na ścianach Babilonu zakreślał, i téjże nocy zapowiedzianą groźbę przez dzielnych i walecznych Medów do skutku przywodził. On jest, który obozy wiarołomnego Sennacheryba pożerczym mieczem anioła w oka mgnieniu w stosy trupów zamienił: który owych Cyrusów i Aleksandrów wiekami wprzódy prorokom swoim objawił; ich ród, nazwisko i przyszłe czyny wypisał, a w zamierzonym od siebie kresie wszystko do litery sprawdził. On to jest, który, zbliżając oczekiwane przyjście swoje na ziemię dla ubóstwienia natury człowieka, uciszył zaburzony świat jedynowładném berłem Oktawiana: a zamykając ochrypłe wojnami ciosanych posągów bóżnice, wyższe i szlachetniejsze przeznaczenie rodzajowi ludzkiemu ogłosił.

Ale po cóż w przepaściach wieków śledzić wszechwła-

dnéj prawicy Tego, który początku i końca nie ma? który jest tym samym dzisiaj, jakim był, nim się jeszcze czasy i wieki zrodziły. Oto dziwy jego stoją tuż przed oczyma naszemi! oto w zadumaniu pyta zalękniony świat: co to jest za bohater, który ziemię waszą oswobadza? Tysiące ludów i krajów do berła jego przylgnęły; tysiące sprzymierzeńców nowy byt, bezpieczeństwo i świetne zaszczyty w przyjaźni jego zyskały! miliony zbrojnych zastępów przed obliczem jego po stokroć pierzchnęły! góry i urwiska stopą ludzką nietknięte, kark swój nieujeżdżony przed nim schyliły. Tysiące nasadzonych zdrad, podstępów i śmiersi wymierzonych, cienia się jego ulękły! Niedobyte twierdze, zbrojownie, stolice państw i narodów bramy mu swoje otworzyły! Lądy i morza ślady przechodu jego z poszanowaniem wskazują, ziemia przed obliczem jego zaniemiała, żywioły same męztwem i cierpliwością jego pokonane, na stronę zwycięzcy przechodzą! Co to za człowiek? ledwie stanął na ziemi naszéj, a więźnie i więziciele zniknęli. Starce zgrzybiali, ojcowie familii z synami i całym domem na koń wsiadają, młodzieńcy szlachetnym zapałem roziskrzeni, przez nasterczone dzidy i zapory przedarłszy się, pod zbawcze chorągwie lecą w zawody! dzieci nawet z ręku matek wyśliźnione z orężem się mocują. Rycerze wczorajsi z mistrzami ćwiczonymi wojny o pierwszeństwo chlubnéj śmierci dobijają się! — Wszystko wre! — zakwita! — radością i pociechą oddycha! — Wszyscy głusi i ślepi na domowe przycierpienia, od nagłych przemian nieoddzielne; każdy prywatne łzy i dolegliwość nadzieją w zakącie otarłszy, z wesołą twarzą i wylaném sercem ostatni ułomek chleba wybawcy swemu przynosi.

Jakiż traf tyle dziwów do osoby jednego człowieka przywiązał, aby nietylko narodom, ale i sercom ludzkim bronią niedosiężnym, samowładnie panował? Kto mu tę cudotwórczą laskę do ręku podał? Zostawmy to nikczemnym oszczercom, a szczęścia naszego niezbłaganym nieprzyjaciołom; niech oni tyle niepojętych wypadków w nędznéj i mylnéj rachubie ludzkiéj szukają. Ale my synowie światłości, świadomi z religii owego wiecznego źródła, zkąd państw i narodów zmiany wytryskują; możemyż nie zawołać: Digitus Dei hic est! palec tu jest Boży! Ręka to wszechmocna przygotowała wszystko i wykonała. Tak nagła odmiana postaci świata całego niemoże być dziełem, jak tylko tego, który nim włada, i kieruje: haec est mutatio dextera Excelsi. Wejrzał on na łzy i lamenta tylu milionów ludów, nieokreślonéj dumie i samowolności poświęconych, za błahy kruszec nędznie zaprzedanych, na rzeź i okropne

mordy z pod ostatnich ośników świata pędzonych; a chcąc tę wezbraną powódź nędz i ucisków rodzaju ludzkiego różczką oliwną trwałego pokoju rozpędzić: przygotował wiekami bohatera, który jeden to dzieło boże po bożemu wykonać był przeznaczony. A kiedy najokropniejszy gwałt i gorsząca niesprawiedliwość w obaleniu przedmurza Europy, stał się pierwszym zarodem tyłu wulkanów, które tą najpiękniejszą częścią świata miotają, uleczyć złe w samém nasieniu, obdarzyć skołatany świat gruntownym i stałym pokojem, zgasić ostatnią iskierkę wojennego żarzewia, skleić wszystkie narody wzajemną korzyścią, szacunkiem i słodkiego braterstwa ogniwem; i to wszystko wskrzeszeniem narodu naszego utrwalić: nie może być zamiarem jak tylko posłańca bożego.

I jakże, po tylu wysokich i szlachetnych celach, po tylu środkach do zamiaru tego cudownie przedsięwziętych i tak daleko posunionych, jeszcze téj wszechmocnéj ręki nie poznajemy? jeszcze serca i oczu ku niéj nie zwróciem? będziemyż równie zimno i obojętnie poglądać na dziwy jéj wiekami spełniane, jak i na te codzienne, oswojonym widokiem u nas spowszedniałe, które tém słońcem kierują, aby nam przyświecało, które te drzewa niedawno skrzepłe i zamarłe, wdziękami nowego życia rozzieleniają? A skoro ten wieczny i niepojęty w swych dziwach Swiatowładzca innego celu dziełom swoim zamierzać nie może, jak tylko przez nie dobroć i chwałę swoją stworzeniu objawiać; będzież u nas to drobném, poziomém i do gminnych przedmiotów odsunioném, co tylko tę chwałę i znajomość jego przypomina, ożywia i od pokoleń do pokoleń podaje? Nie daj Boże! aby ta skrzepła i okropna ku niemu obojętność, pierwszą podwalinę téj nowéj budowy naszéj śmiertelną spruchniałością zatruła! im większy i niebezpieczniejszy gmach na niéj założem, tém nas prędzéj okropnym przywali i zagrzebie upadem. — Jeżeli chlubno nam jest pod hasłem i chorągwiami W. Napoleona odzyskiwać ojczyznę, nie będziemyż razem korzystać z przykładu jego, który sławę jego z poziomu doczesnego do ksiąg wieczności przeniesie. Od czegoż on to ogromne dzieło rozpoczął? Oto wykonał to wprzódy, co sławni berła jego poprzednicy. Karol W. i Konstantyn, dawniéj uczynili. Dzwignął ołtarze Boga prawego, w gwałtownem zaburzeniu wstrząśnione; rozjaśnił na świątyniach znaki zbawienia, i wyrzekł z Konstantynem: *In hoc signo vincam*, w tym znaku zwyciężę! a ledwie wyrzekł, jednym krokiem od Sekwany do Niemna ziemię przemierzył.

A jeżeli bliżéj jeszcze dotykają własne i domowe doś-

wiadczenia, więc rzućmy oko na ubiegłą przeszłość naddziadów naszych, jak oni tym duchem żyjąc, budowę swoją przez tyle wieków utrzymali.

CZĘŚĆ DRUGA.

O ileż ta nas uwaga pociesza, szanowni rodacy! że kiedy nieodparta niczem potęga czasu, kiedy wszystkie sprzysiężone nieszczęścia nad zagładą naszą pracowały, odjąć nam wszelako niezdołały téj szlachetnéj i wybitnéj cechy rodu naszego, która nas w tylu przemianach szczęścia nigdy przeistoczyć nie dopuściła. A jeśli stare przysłowie niesie, że Bóg i natura nic próżno nie czynią, albo rzetelniéj i po chrześciańsku mówiąc: jeśli Bóg twórca i ożywiciel natury, w biegu jéj ważne i sobie wiadome cele naznacza; możemyż wątpić, aby ta ciągła i nigdy niezmącona natura nasza dalszych i wyższych przeznaczeń niemiała? Jakoż czy rzuciemy okiem na pierwszą kolebkę imienia i składu naszego; nie widziemyż w niéj, że ta gałęź rodu sławiańskiego w samym związku coś wielkiego i trwałego wróżyła? Ileż nie kosztowało dawnych Germanów wedrzeć się stopniami w dziedziczne brzegi naddziadów naszych Elby i Odry? kiedy inne odnogi sławiańskie daleko ludniejsze, w nawale chciwych sąsiadów z imieniem zniknęły, i ledwie nam ślad pobratymstwa swojego z nami, w zardzewionym języku dochowały. Cóż mówić, gdy późniéj oręż i przymierza, obszerniejsze i stalsze granice panowania naszego rozciągnęły: ileż każdy wiek, każda okoliczność, każde nawet nieszczęście blasku i świetności narodowi naszemu przydało! Przebieżcie ten długi szereg głośnych i pamiętnych zwycięztw, któremiby starożytne narody całe księgi i pamiętniki swoje napełniły; policzcie owe miliony najezdnych tłumów, które po tyle razy powodzią klęsk i zatracenia tę ziemię zalały i rozorały. Czyjaż ręka ten nietknięty korab jestestwa naszego na szumiącym wylewie tylu nieszczęść i zaburzeń cudownie unosiła? Ta zapewne! która do jestestwa i bytu naszego wyższe i dalsze przeznaczenia przywiązała; która w ocaleniu naszém całość i życie tysiąca narodów zabezpieczyła.

Nie dla siebie samych żyli ojcowie nasi! Ich granice, potęga, sława i same nieszczęścia, były zbawieniem i świetnością całéj Europy. Jeżeli w jéj okręgu znamiona chrześciaństwa na świątyniach Bożych dotąd jaśnieją; jeżeli tyle jéj ludów i pokoleń, łuków scytyjskich i turbanów azyatyckich dotąd nieprzybrały; jeżeli ta cała zachodnia połać świata, równego losu z owemi kwitnącemi niegdy carstwa wschodniego krainami nie doznała; czyjeż to dary i dobrodziejstwa? czyjaż to krew sowicie kupiła i opłaciła?

Kto te rozrojone tłuszcze, i napady niewstrzymanéj dziczy odpierał i roztrącał? Oto piersi i oręż ojców waszych! Tu się owe hordy, jak rozdęte morza wzburzonego bałwany, o ścianę rozbijały, tu swój grób znajdywały i otuchę dalszego postępu traciły. Polska za Europę we krwi tonęła, a Europa za jéj plecami bezpieczna, swoje światło i korzyści doskonaliła. Opowiadajcie to wiekom i pokoleniom przyszłym nasterczone kościami mogiły naszego Podola i Ukrainy! Bądźcie do zgonu świata mownemi piramidami naszych znakomitych zasług dla całego rodu ludzkiego. Właśnie lat trzydzieści i pięć dobiega, jak téj odwiecznéj narodów chrześciańskich strażnicy pierwszy cios śmiertelny zadano. Zdumiał się świat! rozśmiała się w norach i bagniskach swoich dzicz pocieszona, — jęknęli wszyscy cnotliwi i rozumni, i dzisiejsze okropne skutki tego gwałtu przepowiedzeli. Ale nikt się za krzywdę nie ujął! Niestety! ten wieczny Sędzia i mściciel krzywd ludzkich, chciał wprzódy przed światem pokazać, że w ciele tém, choć okropnie obciętém i skaleczoném, jeszcze wszystkie zarody potęgi i mocy pozostały.

Lat kilkanaście ciszy wewnętrznéj jakiéj takiéj spokojności, podało wam szanowni rodacy! sposobność pomyślenia o węgielnym kamieniu konstytucyi politycznéj, któraby niezagojone rany ciała narodowego od dalszéj gangreny uratowała. Owionął święty duch zgody i jednomyślności serca i umysły wasze; zbliżył ludzi do ludzi, roztrącił ponury mur przesądu i nieufności między dziatkami jednejże matki; pogodził mądrze, przelane ze krwią niewinne nawyknienia, z obecnemi stosunkawi czasu i położenia; skojarzył szlachetnie i zabezpieczył korzyści wszystkich sąsiadów; i wreszcie dał wiekopomny przykład wszystkim narodom, co to jest prawdziwa zgoda kilkunastu milionów ludzi, wewnętrznén czuciem i przekonaniem wykrzykniona.

A kiedy nam wolno dzisiaj tych chlubnych czasów rocznicę słodko przypomnieć, niech jéj sława i pamięć umai najprzód okwitą wysługami sędziwość twoją, pamiętny owego dotąd nierozwiązanego sejmu marszałku, i niniejszéj kommissyi rządzącéj dostojny prezesie!

Przywdziejcie radosne wieńce i wy wszyscy, tego pamiętnego soboru pełnomocnicy, głośni z waszéj niezłomnéj gorliwości i światła, w dziejach i sercach narodu wdzięcznością uwiecznieni. Szczególniejszy zbieg okolicznśoci, który was do téj stolicy w tym czasie zgromadził, niech was dalszych przeznaczeń wieszczém przeczuciem pocieszy. Ta ciągła i niepojęta koléj rozmaitych przemian narodu naszego, ten nagły przechód z upodlenia do sławy, ze sławy

do upadku; musi mieć szczególniéjsze w tajnikach Opatrzności przeznaczenie. Jest to drugi ów tajemniczy Samson w księgach bożych opisany, sławny cudotwór siły i waleczności: który młodzieńcem jeszcze lwy rozjadowione rozdzierał: daléj jedną szczęką zbrojnych Filistynów rozmiatał: bronił długo swoich i cudzych granic od napaści barbarzyńców; wreszcie zdradą i podstępen jednéj Dalili uwikłany, nikczemnie usnął i moc swoją utracił: a niezwalczony tylu ludów wybawiciel, sam się nakoniec w niewoli zaplątał. Ale skoro mu siłodawcze włosy w pętach odrosły, jedném wtrząśnieniem zgromadzonych nieprzyjaciół ruinami przywalił. Niech ten stosunek, bedąc niejaką dla nas pociechą i wróżbą, stanie się baczną na przyszłość przestrogą, która jest ostatnim celem niniejszego obrzędu.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Po tylu okropnych doświadczeniach, po tylu niezagojonych bliznach, które nam co moment obecne dzieje klęsk naszych przypominają: zdaje się być próżnym zapędem odwodzić od téj przepaści, z któréj się z takim wysiłkiem wydobywamy. Ale ta jest, między innemi, pierworodna cecha skazitelności człowieka, że jak o przeszłym upadku i nieszczęściu łatwo zapomina, tak lada połyskiem pomyślności olśniony, i za pierwszym popędem przelotnych marzeń uniesiony, częstokroć istotne środki korzystania z pory szczęśliwéj marnie utraca. Kogo Opatrzność od téj śliskiéj i pospolitéj rzeczom ludzkim wywrotności łaskawie ochrania, wlewa mu wcześnie wyższy smak i zamiłowanie takich prawideł, które ze źródła wiecznéj mądrości wypływając, nad odmętem wszystkich błędów i mniemań ludzkich panują, a w każdym czasie i położeniu za najpewniejszą postępowania wskazówkę całemu rodzajowi ludzkiemu służą. Jakoż, jeśli dzisiejszym obrzędem wyznajemy Boga zastępów początkiem wszelkiéj mocy i obrony; jeśli od niego w pobożności ojców naszych błogosławieństwa orężowi naszemu szukamy: możemyż go razem niewyznać źródłem mądrości, rady, i najpewniejszéj wszystkich zamiarów naszych rękojmi? Wieleż już razy zawiodły nas układy, rachuby i przezorności ludzkie, które za lada powiewem przeciwnych chuci i widoków, codzień się roztrącają i nawzajem pożerają! Nie bedzież godna rzecz przy nowych przerodzinach jestestwa naszego, zwrócić uwagę na te wieczne i nieodmienne zasady‘ które jako są pierwszém nasieniem rządnych społeczeństw, tak wzrostu i trwałości onych najpewniejszą warownią.

Ale kiedy i czasu krótkość na świętą przestrzeń zba-

wiennéj rozwagi wystąpić niepozwala; i światło wasze, doświadczeni krajowego rządu sternicy, w tym duchu nam przewodniczy: pozwólcie, same przynajmniéj rozdziały tych przestróg, rozsypanej po świecie braci naszéj z dzisiejszego obchodu przekazać. A te są: zgoda i jednomyślność; mądrość w przedsięwzięciu dzielnych i skutecznych środków; stałość nieporuszona w wykonaniu onych.

O! gdyby głos mój niedołężny wznieść się podołał na sam wierzchołek naszych Tatrów granicznych, gdyby napełnić mógł szerokie nadbrzeża Dniestra, Dniepra i Dźwiny, gdyby ocucić zdołał wszystkich nadmorców baltyckich i euksyńskich; wołałbym nie ludzkim, ale bożym i na nas spełnionym wyrokiem: *Regnum in se divisum desolabitur!* Takie tylko królestwo wiecznie zaginie, i wewnętrzną niezgodą rozszarpane, zdradzie bramy otwiera. Wołałbym z prorokiem: *Bracia! wszyscy się zbierzcie jakoby jeden mąż i człowiek jeden, z jedném sercem, z jedną radą!* (Jud. 20).

Ale jeżeli mądrze rządzić sobą samym, jeżeli pokonać i ujarzmić wzburzone i niczém nieujęte żądze w jednym człowieku, trzeba duszy wielkiéj, szlachetnéj i niescignionym lotem nad gminną sferę wyniesionéj: do jakiegoż stopnia wielkości ten się wynieść powinien, który miliona ludzi roiskiem całém niedostępnych namiętności, w tajnikach serca ukrytych, w tysiące zdradnych postaci co moment przekształcanych, użytecznie władać i one do jednego celu kierować zamyśla. O ileż taki poświęcić winien kosztownych ofiar z własnéj miłości, z osobistych wygód i przyjemności, z rozmaitych względów i widoków, które z dostojnością publicznego człowieka zgodzić się nie mogą. Trzeba takiemu być więcéj, niśli człowiekiem: a kogo na to niestanie, biada mu! jeśli bez owéj z nieba nadanéj łaski mojżeszowéj na ten plac przewodnictw występuje, i siebie i przewodzonych w odmętach morskich zatopi!

Wszakże co w ludzkich i przyrodzonych siłach jest wątłém, śliskiem i niebezpieczném; to w dobroczynnych Opatrzności układach, trwałości, mocy i dzielności nabiera. Kogo ona do tak wysokich i bożych zaszczytów opiekowania się dobrem ludzkiém łaskawie przybiera; tego bożemi znamionami widocznie między ludźmi wyświeca. Ona w sercu jego prawém i nieskażoném, rozżarza ów święty i z nieba zapalony ogień miłości rodu swojego, który wszystko ogarnia, trawi, pożera, dla którego każda ofiara zdrowia, życia i wszystkich osobistych widoków najprzyjemniejszą staje się powinnością. Ona mu wlewa owego ducha prawdziwéj i tego imienia godnéj mądrości, która nie w gwarze szumnych, burzliwych i błyskotnych przewidzeń, ale w skromnéj i spokojnéj

rozwadze, prawdę od mamiących pozorów rozróżniać naucza. Ona mu do każdego przedsięwzięcia stósowne i niezawodne środki natrąca; niebezpieczeństwa i przygody zdala wyjaśnia, sposoby odwrócenia onych wcześnie gotuje. Ona przed oczyma jego za pierwsze i niezmienne prawidło, ścisłą i sumienną sprawiedliwość stanowi, bez któréj żadne spółeczeństwo ostać się nie może, a królestwa choćby najpotężniejsze, z upadkiem jéj, od narodu do narodu przechodzą. Na jéj widok nikną wszystkie prywatne względy i nikczemne ulegania; bezczelna zbrodnia i obłuda z posiedzenia uczciwych z zalęknieniem uchodzi, zasługa wzgardzona i poniżona głowę podnosi, cnota z szanownego ustronia gwałtem wyciągniona, należne sobie miejsce zabiera, i całe towarzyskie ciało tym ożywczém ogniem natchnione, przyrodzoną dzielność i sprężystość odbiera.

O ileż te pierwsze rysy prawdziwych opiekunów dobra publicznego, w księgach wiecznych zakreślone, całych nas, szanowni bracia, zająć i ogarnąć powinny; ileż w tém zwierciedle pilnie przeglądać się mamy, abyśmy w tym zgiełku radości i pośpiechu, miasto lekarstwa, nowéj trucizny téj matce omdlałéj nie podali, albo jéj twarzy ulubionéj, przemianą tylu wieków niezatartéj, obcemi farbami nieprzekształcili. Wieleż to widzów i podsłuchów na nas czatuje, jak się w tém dziele trudném i zawiłém, sami sobie zostawieni znajdziemy? Sami nieprzyjaciele nasi, poglądają co moment z ponurych ustępów, aby lada usterkiem naszym rozpacz swoją pocieszyli, że się bez ich przewodztwa i rozumu nie obejdziem, że kiedyś znowu na ich sidła i zasadzki niebacznie nabiegniem. Sam nakoniec wielkomyślny i szlachetny wskrześca imienia naszego, darząc nas tylą dowodami szacunku i dostojnéj życzliwości swojéj, uwieńczając świetnemi znakami pierwiastkową dzielność oręża, czeka téj ostatniéj pociechy, aby nas szanownym ze wszech względów narodem, serca i sprzymierzeństwa jego godnym, w obliczu świata całego ogłosił. Ileż te pobudki duszę naszą rozniecać, gorliwość pomnażać i uharcać powinny! Idzie tu o los wieczny całego plemienia naszego: a ten los może do tych pierwszych kroków i momentów jest przywiązany. I gdzież się do tak ważnego dzieła skupiemy? który punkt powszechnego zjednoczenia i ufności obierzem? Oto w cnocie, charakterze i gorliwości waszéj, dostojni mężowie! Dla was ta pociecha zachowana była, abyście tę niwę ojczystą po spłynionym śmiertelnym zamrozie, pierwszym zakrojem prac waszych użyznili: a następnie jakie najprzód nasiona na niéj wsiejecie, takim nadal plonem odradzać się będzie. O ile zaszczytów i niebezpieczeństw,

pociechy i bojaźni, błogosławieństw i przekleństw, dostojne stanowisko wasze osiadło! Ale Bóg ojców naszych sprawdzi na was te obietnice w księgach jego zapisane: *że byliście z rodu i nasienia tych mężów, do których wybawienie Izraela było przywiązane.*

Ale kiedy nie w domu tylko, ale i za domem, mamy się pokazać; kiedy wszystkich tych środków przedsięwziętych, i choćby z największą stałością prowadzonych, ostatnia rękojmia złożona jest w męztwie i orężu twoim, o ty najchlubniejsza cząstko narodu, stanie rycerski! więc i obrządku tego dokonanie do ciebie należy. Zstąpcie tu święte i nieśmiertelne duchy Bolesławów, Kazimierzów, Jagiełłów, Zygmuntów, Batorych, Sobieskich! otoczcie ten świetny i okazały orszak cieniami Tarnowskich, Zamojskich, Chodkiewiczów, Czarneckich i całym szeregiem tych imion drogich, które sława uwiecznia! Natchnijcie mnie ogniem górnego waszego siedliska, aby głos mój był was godnym. — Szanowni bracia, nowo dla ojczyzny uzbrojeni! O! któż stanu waszego świętość, obowiązki, i wysokie przeznaczenie oceni? I wy, którzyście imie w Europie wywołane, aż na piaski murzyńskie dla przechowku unieśli! któreż was lądy i morza nie znają? które narody i języki imion waszych ze czcią i politowaniem nie wymawiają? Nadbrzeża Tybru, Padu, Rodanu, Sekwany, Renu, Dunaju: i owe ogorzałe skwarem arabskie Izmaela pustynie! Zgoła, gdzie tylko dosięgnął oręż i sława Napoleona, tam i was niezbędna miłość za nim wlokła i potyrała. Już się spełniły wasze nadzieje. Napaście się słodkim widokiem, uściskajcie współbraci waszych, którzy jednym z wami duchem goreją. Pojrzyjcie na tych starców we łzach tonących z radości, na te matki rozczulone, które was dziatkom swoim pokazują, na ten lud radością i wdzięcznością ku wam zachwycony. Przenieście myśl nieśmiertelną w odległą głębinę przyszłych pokoleń, które jeszcze słońca nie widziały; a i te już was po imieniu znają, już wasze mogiły i popioły czułemi łzami skrapiając, wdzięczném kwieciem potrząsają. Wznieście oczy na te górne sklepienia, niezgaszoném światłem tlejące, i tam pierwsze miejsca przeznaczone dla tych, którzy za wiarę chlubnéj śmierci dokupili się. I jeszczeż mała nagroda wasza, która granic i końca nie ma? Ale gdzież się zapędzam w obliczu twojém szanowny książę, tego rycerskiego orszaku obecny wodzu i wojny dyrektorze! Z twoich ust odbierać będzie ten waleczny poczet rozkazy; w twojém sercu dziadowskiego bohaterstwa pełném, czerpać nieprzestanie szlachetnych zachętów i polotów do sławy. Boże! Ty jesteś litościwszym sędzią niż ludzie. W twoich statutach

nie czyny tylko, ale i chęć dobrze uczynienia do nagrody ma prawo. Ty jeden znasz rzetelną przyczynę, dla czego ta budowa świetna ruinami swojemi nas zasypała! Wejrzyj więc i teraz z nadwierzchołka tych gorejących słońców, na układy i nadzieje nasze, które na niemylnéj szali wyroków twoich przeważasz! Ileż już przysiąg i ślubów przed Tobą wykonaliśmy? Niestety! odwróciłeś niedawno od nas twarz twoją, a imię i poznakę naszą jeden wiatr płochy po swiecie rozdmuchnął. — Zwróciłeś znowu łaskawe ku nam oblicze, a my oto w téj saméj godzinie pogromem oręża przestraszamy. — Pókiż z nami tę wojnę łaski i niełaski na przemian prowadzić będziesz? czego się od nas tak drogo dobijasz i dokupujesz? Oto nędznéj ofiary serc naszych! Ah! jeżeli dziś je przynajmniéj pozyskasz, już nas świat cały nie pozna. Ale jeśli przeciwnie, jeśli Cię usty nie sercem wyznajem, jeśli Ty Bogiem nie naszym! niech nas te mury okropném przeczuciem wstrząśnione, rozwalinami swemi przywalą! Niech nas ta ziemia nieszczęsna w rozdartych wnętrznościach swoich na wieki pochłonie, niżelibyśmy ufność naszą i całą zawiedzionych nadziei naszych osnowę w hańbie przeżyć, i wieczną sromotą opłacać mieli. Amen.

C.

KAZANIA

I

ODEZWY KOŚCIELNE.

KAZANIE POGRZEBNE

NA

zamku krakowskim, w kościele św. Stanisława,

w roku 1583, dnia 18. Grudnia czynione

przez

księdza Szczęsnego Skarzyńskiego,

kanonika warszawskiego.

Mulier timens Deum ipsa laudabitur.
Niewiasta bogobojna będzie wychwalana.

Wielce bych temu był rad, żeby kto inszy tym czasem na to miejsce przed W. M. był wystąpił, któryby ten akt, acz żałosny i płaczliwy, lecz przedsię zacny i chwalebny, z taką mądrością i wymową, jakiéj jest godny, odprawił; niżli ja który się do tego namniéj sposobnym być nieczuję ani znajduję. Wielkich abowiem i zawołanych stanów, zacnych i dzielnych spraw ludzie, ostrego rozumu, doświadczonéj mądrości, przespiecznéj i rozrywczéj wymowy, chwalców potrzebują: aby tak zacności stanu, i spraw ich, mądra wymowa we wszem dogodziła: czego iż wemnie nie masz, rozum tępy; nauka mała, abo raczéj żadna, wymowa i z przyrodzenia trudna, i już z laty wespółek z pamięcią barzo zeszła, obawiam się, żeby i tak zacna osoba, któréj żałobny obchód według powinności chrześciańskiéj sprawujemy, przystojnego i godnego zalecenia nie odniosła, i uszy W. M. mądre i czyste, więcéj próżne niżli pełne, barziéj głodne niżli syte, stąd nie odeszły.

Wymawiał się Mojżesz, kiedy go Pan Bóg do Faraona posyłał, trudnością i niebezpieczeństwem mowy swéj: Panie, proszę zlecć to komu inszemu, abowiem ja nie jestem wymówca: niebezpiecznego i trudnego języka jestem. Wymawiał się temuż Panu i Jeremiasz: a, a, a, panie Boże mój, oto baczysz żeć i mówić nie umiem. Pokuszałem ci się i ja tego, lecz iż mi się z roskazania wymówić, ani przystało, ani godziło, ważyłem się o to, acz z bojaźnią, przed W. M. stanąć, nie w dufności jakiéj godności, ale z posłuszeństwa

więcéj: mając nadzieję w łasce Boskiéj, któremu posłuszeństwo milsze jest niżli ofiary, że mi on dopomóc będzie raczył, który daje wymowę i mądrość: tudzież i w dobrotliwości W. M. że to cokolwiek będzie, wdzięcznie przyjąć raczycie A jeśliżeby się więc w czym albo tak zacnéj osobie, albo czystym uszom W. M. nie dogodziło, czego się barzo obawiam, tym łatwiéj przepuścicie, hardość abowiem i pycha, i u bacznych przyganę: lecz pokora i powolność, choć i u grubych ludzi, łaskę i folgę odnosi. Umyśliłem tedy, za pomocą Boską, łaskom waszym powiedzieć, ku czci i ku chwale Panu Bogu, którego dary są co jedno w kim jest chwalebnego, ku zaleceniu i pochwaleniu téj zacnéj i bogobojnéj paniéj: ku zbudowaniu też naszemu, o zacnym i sławnym iéj urodzeniu: o wielce uczciwych i pobożnych w każdym stanie jéj sprawach: o świętym i pobożnym dokonaniu, a z tego nędznego świata zeszciu: co gdy ja odprawuję, proszę, żebyście spokojnie i z cierpliwością słuchać raczyli.

Każdemu człowiekowi, który ma być chwalon i zalecan, wiele na tym należy, żeby też i przodki i rodzice swe, godne pochwały i zalecenia miał. Powiada abowiem pismo święte: Chwała to człowiecza, uczciwego ojca mieć, sromota synowska ojciec bezecny.

Godnić są chwały i zalecenia, którzy przez własne swe cnotliwe i dzielne sprawy, do sławy i dzielności przychodzą: lecz niewiem czemu większą poważność i zalecenie tacy mają, którzy dziedziczną z pradziadów, dziadów, rodziców wziętą dzielność, mądrość i pobożność w sprawach swych pokazują. A dla tegoż ku większéj pochwale i zaleceniu téj zacnéj i sławnéj, a rzec mogę, świętéj monarchinéj, któréj żałobne ceremonie sprawujemy, zdało mi się krótko przypomnieć nieco zacnych i dzielnych a bogobojnych spraw przodków i rodziców, z których poszła, i według ciała się urodziła: nie iżebyście tego W. M. lepiéj aniżeli ja nie wiedzieli, ale iż wdzięczna i miła rzecz jest, o cnocie i pobożności słuchać, któréj taka jest poważność, że niejedno w paniech i dobrodziejach, ale też i w nieprzyjacielach ją miłujemy i wysławiamy.

Poszła tedy Królewna Jéj Mšć Katarzyna Polska, a zatym z łaski Bożéj Szwecka, Wandalska, Gotska Królowa, z zacnego domu i narodu Jagiełłowego, Wielkiego Księstwa Litewskiego Książąt i Panów, którzy potém z woléj Boskiéj, z wielkim naszym dobrém, do tego przyszli, że też byli Pany i Królami naszymi, z pradziada Władysława

Jagiełła, dziada Kazimierza, ojca Zygmunta pierwszego, Królów i Panów Polskich.

Pięć cnót jest, które pismo królom osobliwie przypisuje i one upomina, aby się w nich najwięcéj kochali, i w panowaniu swym z wielką pilnością je zachowali. Które to cnoty, jeśliże były w ojcu téj zacnéj a bogobojnéj monarchinéj, któréj żałobne ceremonie obchodzimy, niechce się szeroko rozwodzić, gdyż jeszcze wiele Waszéj Mościów jest, którym dobrze pamiętne, a lepiéj aniżeli mnie świadome są; ledwie albowiem pół wieku człowieczego jest, jako z tego ziemskiego królestwa, do onego niebieskiego odszedł: napomnię tylko o mądrości jego, mimo innych rzeczy wiele, świadczy porządne a szczęśliwe jego panowanie. Mądrości albowiem rzecz własna a przyzwoita jest, każdą rzecz w mierze swéj i w pośrodku stanowić i zachowywać: który porządek jaki był za szczęśliwego panowania króla Zygmunta: jako każdy stan w swéj mierze i rządzie statecznie stał, to wiele ludzi dotąd jeszcze wzdychając wyznawa: był Senator Senatorem: Biskup Biskupem: Żołnierz Żołnierzem, Kupiec Kupcem etc. Dziś wszystko z miary swéj wystąpiło, i dziwnie a nędznie się zopaczyło. O sprawiedliwości zaś jego, świadczy wielki pokój, w którym panował, i w którym nas po śmierci swéj, ledwie bodaj nie dotąd zachował. Jaką sprawiedliwość poddanym oddawał: świadczą w młodych leciech, a w dobrym zdrowiu ustawiczne i pilne sądy, sprawiedliwe dekreta, i to, że za panowania jego, prawa i statuta porządnie zebrane i spisane są. A Panu Bogu jako prawym się czynił, z skutków i z spraw jego każdy snadnie poznać może: bo i Chrystus Pan powiedział: Z owoców ich poznacie je. Swiadczy w Kościele przy chwale miłego Boga wielka uczciwość i stateczność, ustawiczna modlitwa przy Mszy świętéj, któréj żadnego dnia nie opuścił. Swiadczy pilne i nabożne kaznodziei, jako posłańców Bożych słuchania, upominania ich, chociaż pod czas surowego, wdzięczne przyjmowanie, tak, iż téż był zwykł mawiać: jeśli nam kaznodzieje prawdy mówić nie będą, kto ją nam mówić będzie? A jako zaś z Królem Dawidem miłował ozdobę i ochędożność domu Bożego: przypatrzcie się tak pięknéj i ozdobnéj, przy tym zacnym kościele kaplicy, którą wielkim swym własnym nakładem zbudował, nadał, i kapłany na porządne oddawanie chwały Bożéj osadził. Spojrzyjcie na grób Patronów swych Św. Stanisława i Wacława, który tak bogacie i ozdobnie postanowił: wejrzyjcie na bogate klejnoty, apparaty w skarbiech kościelnych. A jako Panu Bogu służył w bojaźni, broniąc i zakazując tego, co przeciwko rozkazaniu Bożemu było, świadczą srogie jego

Mandaty, którymi i kacerstwa z królestwa wyganiał, i wszystkim aby swych dziatek do Witembergu, skąd to wszystko złe na świat Chrześcijański wyszło, nie syłali, surowie i srodze zakazował. Z tych i innych wiela spraw, okazuje się sprawiedliwość jego, i ku poddanym, i ku Panu Bogu: za czém mu téż Pan Bóg dał to z łaski swéj, że nieprzyjacioły swe mężnie uskromiwszy, spokojnie królował, i między Chrześcijańskimi Pany niezgody jednał i pokój czynił, tak, iż kiedy umarł, rzekł jeden zacny Monarcha: Umarł Ojciec pokoju. O Miłosierdziu jego, świadczą wielkie jałmużny do Szpitalów, do Klasztorów słane, nad ubogiemi i utrapionemi, miłościwe z pomocą i ratunkiem ulitowanie. Prawdy jako przestrzegał, i jako wielce się w niéj kochał, o tém się już powiedziało: gdy srogie ale prawdziwe upominanie wdzięcznie przyjmował. O łaskawości jego, wielkie świadectwo dawają, one pospolitego człowieka, gdy do miast wieżdżał, wdzięczne a miłe obwoływania: O zawitajże do nas szczęśliwie, nie panie, ale ojcze nasz miłościwy: Błogosław ci Panie Boże: Chowaj cię zdrowego na długie lata, żebyś nam, jeśli nie wiecznie, tedy jako najdłużéj szczęśliwie panował i królował. Miał tedy świętéj pamięci Król Zygmunt te pięć Cnót królewskich w sobie, przetóż i porządnie, i spokojnie w wielkiéj miłości i uczciwości szczęśliwie królował. Z takiego tedy ojca ta szlachetna i zacna zmarła pani wyszła! I tego drzewa tak piękne owoce rodzącego, ta poślednia i namłodsza latorosłka, która narodziwszy ślicznych owoców, cnót świętych, i bogobojności, zostawiwszy potomstwo miłe, wielkiéj i nadzieje i oczekawania, teraz już jakoby uwiędła i uschła, na tym żałobnym majestacie w oczach naszych leży. Acz tedy wielką pochwałę i zalecenie ztąd ma, że z tak sławnych i chwalebnych przodków poszła, lecz tym większe, że się od nich cnotliwemi sprawami nie odrodziła, ale wiernym a prawdziwym potomkiem ich, przez wszystek żywot swój się pokazowała. O czém teraz łaskom waszym, jako na krótce będzie być mogło, powiem.

Urodziwszy się z takich rodziców, jakie przez nie wychowanie wzięła, to w dalszych leciech sprawy jéj pokazały. To abowiem jest pewny znak dobrego wychowania, gdy dziatki laty postępują, jako pismo mówi, z cnoty w cnotę, i jako o Panie Zbawicielu naszym napisano jest: Pomnażał się w mądrości w leciech i w łasce u Pana Boga i u ludzi. Jakie tedy ta pani święta zmarła wychowanie miała, to cnotliwe jéj sprawy i postępki w dalszych leciech pokazowały.

W panieńskim stanie będąc, nie jedno póki była pod zwierzchnością rodziców, ale téż i w sieroctwie, cnoty panieńskiemu stanowi należące, pokorę, wstyd, uczciwość, ku

Panu Bogu miłość i nabożeństwo, z wielką miłością zachowywała. Acz tak z wysokiego stanu i rodzaju wyszła, nic jéj to nie unosiło: lecz jako najwięcéj pokorę i uniżenie po sobie pokazywała, pomnąc na to co jest napisano: Imeś jest najwyższy, tym się najwięcéj uniżaj, a najdziesz i u Pana Boga i u ludzi łaskę. A zaś nabożeństwo takie w niéj było, że i siostry swe, acz téż nabożne, tym przewyższała, o to się prawie samo starając, czego po pannie Apostoł mieć chce, żeby myśl swoję samym Panem Bogiem bawiła, i o to się ze wszelaką pilnością starała, jakoby była czystą i świętą, i na ciele i na duszy. A przetoż tém się bawiąc, do żartów, tańców, pląsów, łamanych ukłonów, namniéj pośpieszną nie była. Acz téż i od tego wielkim pohamowaniem były częste jéj choroby, i ledwie nie ustawiczne głowy bolenie, w czém ją chciał tak Pan Bóg mieć, żeby ona święta dusza, takiemi próżnościami, i świeckiemi śmieciami, nie była zeszpecona.

Tak stan panieński przeszedszy, przyszła potém z woléj Bożéj do stanu małżeńskiego. Król Zygmunt August, świętéj pamięci, u którego jako u brata w mocy i w opiece była, w Wilnie dał ją za żonę, Oświeconemu Książęciu Finlandskiemu, Królewiczowi Szweckiemu Janowi, który dziś z woléj Bożéj, wielkim i sławnym Monarchą jest, Królem Szweckim, Wandalskim, Gotskim: w którym stanie małżeńskim, tak się zachowała, że wszystkie one cnoty, które w poczciwéj małżonce chce mieć Apostoł, w sprawach swoich wyraziła. Lecz acz tak się zachowała, jednak wespółek i z miłym małżonkiem swym ujść tego nie mogła, co o tym stanie małżeńskim napisał Paweł S.: którzy w małżeństwie są, frasunków cielesnych ujść nie mogą, bo i na drodze wielkich trudności, i niebezpieczeństwa, tak na ziemi, jako i na morzu użyli: ale te za pomocą Boską przebywszy, i zwyciężywszy, gdy do Księstwa przyjechali, gdzie się jako w domu, pokoju, wesela, radości użyć spodziewali, tam najsroższe wiatry, największe frasunki i trudności na nie powstały.

Król Eryk, brat Książęcia Jana, małżonka téj świętéj paniéj zmarłéj, zawaśniwszy przeciwko sobie tyraństwem swoim wszystkie poddane swoje, wszystkie téż u siebie podejźrzane miał, i co jest własna tyrannom, nikomu nie dufał, a tym wiecéj, że znać z supersticiéj gwiazdarskiéj, w któréj się był poplótł, miał te wróżke, że za żywota jego, inszy królować, i Tron jego królewski opanować miał: a między wszystkimi najwięcéj miał podejźrzanego dzisiejszego Króla, brata swego, Książe Finlandskie Jana, i przeto, że w nim wielką godność i dzielność we wszelakich sprawach baczył i znał, a ktemu jeszcze więcéj, iż wi-

dział, że u wszystkich poddanych swych był w wielkiéj powadze i miłości, tak iż gdzieby był albo do królowania chciwym, albo brata starszego w uczciwości nie miał, mógłby był przed nim do Królestwa przyjść. Lecz żeby się w to mniemanie nie podał, jakoby dla tego nań złe serce mieć miał, ten pretext nań gniewu i niełaski swéj założył: Żeś się ty z nieprzyjacielem moim, Królem Polskim, spowinowacił, pieniędzyś mu na mię pożyczył: tą farbą złe serce swe pokrywszy, jako na nieprzyjaciela, i swojego, i korony swéj, nań się obórzył: naprzód poborce swe posławszy, dochody, czynsze, i podatki wszystkie, od własnych jego poddanych odebrał, potym i wojsko posłał, którzy go na zamku jego własnym w Finlandiéj oblegli i dobywali, w którym oblężeniu, co za wczasu, bezpieczności, i wesela ta zacna pani użyła, każdy się domyślić może, gdy słyszy, że i do tych pokojów, w których mieszkała, kule z dział i inszej strzelby w stıop i w ściany biły. W którym oblężeniu acz Książe Jego Młść dosyć się mężnie broniło, i od Świątek aż do Świętego Bartłomieja, na sobie ono zatrzymawało: lecz bacząc, że go i nadzieja pomocy i ratunku, któréj się od nas za spowinowaceniem spodziewał, omyliła, bacząc i między tymi, którzy z nim byli na zamku, zdradę: a nadewszystko, że i Księżna Jéj Młść, i Polacy pilnie prosili, aby się raczej uczciwie poddał, a niżby tak wraz mieli wszyscy okrutnie pomordowani zginąć, dufając i niewinności Książącéj, i wrodzonéj miłości braterskiej; usłuchał Książe Janusz, poddał się pod słusznemi kondiciami, z których mu żadnéj nie strzymano, wziąwszy go wespółek z Jéj Młścią Księżną, zaraz je do Stocholmu, głównego miasta Szweckiego, i stołecznego Królewskiego, przywieziono: gdzie gdy przyjeżdżali, wysłał Król Eryk przeciw Księżnie Jéj Młci, radząc jéj [i namawiając ją, aby Książęcia Jana małżonka swego, jako tego, który winien jest obrazy majestatu królewskiego, odstąpiła, ażeby się albo do Ojczyzny swéj wróciła, albo za łaską Królewską na oprawie swéj wolnie mieszkała. Co słysząc wierna i uczciwa małżonka, pomnąc na zacność domu i narodu swego, na uczciwe swe wychowanie, i na ślub swój, który i Panu Bogu uczyniła, męża we wszelakiéj przygodzie nie opuszczać: a iż od płaczu i żalu mówić nie mogła, ziąwszy z palca ślubny pierścień, na którym było wyrzezano: *Quos Deus conjunxit, homo non separet,* Posłowi onemu, który ją namawiał, oddała, który tak dziwnéj mądrości i stateczności zdziwiwszy się rzekł: Gdyż tak chcesz, co cię przy mężu spotka, musisz wszystko rada nie rada przyjmować; i zaraz od niéj skarby, klejnoty, pieniądze, odebrać roskazał, sługi, Panny, i Szlachcice Polskie,

po zamkach różnych rozesłano, Szwedów, którzy byli Książęciu Jego Młci wiernymi, rozmaitémi i okrutnémi mękami mordowano. Co tam było za żałosne i płaczliwe panów z sługami rozłączanie, jako bolesne patrzenie na sług niewinnych mordowanie, każdy u siebie uważaj. Same zatém do Grypsolmu, na srogie i okrutne więzienie zawieziono. W którym to więzieniu, jakiéj roskoszy, wczasu, dostatku użyli, jako się zimna, głodu, brudów, i innych nędz, które za więzienie idą, nacierpieli: każdy baczny snadnie się domyśleć może, gdy je tak ze wszystkiego obłupiwszy, nie jako ludzie stanu Książęcego, ale jako najsprośniejsze złoczyńce do tego więzienia oddali. Wszakże z tąd się nędza ich pokazuje, że kiedy im pierwsze dzieciątko Izabella umarła, i téj czymby do grobu nagość jéj pokryli mieć nie mogli. Ktemu, że i sobie i mężowi z brudnych obrusów koszule szyła: do tego wielkie i częste niebezpieczeńswa przybywały, że Książe Jego Młść, kilka raz mało o gardło nie przyszedł. A jednak ta cna a wielkiéj pochwały godna pani, nigdy w takich niedostatkach i trudnościach serca nie straciła. Abowiem że w nich największa pociecha i najmocniejsza obrona jéj była, wierna i pokorna ku Panu Bogu modlitwa, na téj sama posiłek na sercu wziąwszy, małżonkowi swemu też ustawicznie dobrą myśl czyniła, upominając, aby nic nie wątpił, ale w Panie Bodze mocną dufność pokładał, ktemu przykłady z pisma świętego przywodziła: Pomni że Jozepha świętego z niesprawiedliwego więzienia wyprowadził, i najpierwszym panem po Królu w Egiptcie uczynił: Pomni jako Dawida prawie z ręku tyranna Saula wyrwał i na stolicy jego posadził; umie abowiem P. Bóg swoje z frasunków nie jedno z więzienia, ale i z paszczek lwich, z posrzodka ognia wyrwać i wyswobadzać, na czym się nie omyliła. Ziścił abowiem P. Bóg to, co o sprawiedliwym człowiecze przez Proroka powiedział: Jestem z nim w więzieniu jego, wyrwę go i chwalebnym go uczynię.

Z dziwnego zrządzenia Boskiego Król Eryk jednéj nocy, na świtaniu prawie takie widzenie miał, jakoby do niego człowiek w szacie białéj na pokój wszedł, który jemu na oczy okrucieństwa jego wyrzuciwszy, a mianowicie to, iżeś brata do więzienia niewinnie osadzić dał, tegoż zabić i żonę jego Moskiewskiemu posłać umyślił, a tak Bóg ci przez mię wskazał, żeś srogi gniew jego przeciw sobie pobudził; jeśli okrucieństwa nie przestaniesz, brata z żoną wolno do księstwa ich nie puścisz, że cię na rozumie skarze, odejmieć baczenie, po lesiech, po skałach, jako szalony biegać będziesz, królestwo stracisz, abowiem że Pan Bóg miłościwie sprawiedliwy, już płaczliwe modlitwy brata twego i małżonki

jego wysłuchał. Przestraszony tyran tak straszliwemi słowy ocknął się, i komorników pytał: Był tu kto? Powiedzieli mu, że nikt nie był. Wszakże jednak nic go to jako jednego Faraona nie obruszyło: okrucieństwa swego, i złościwego przedsięwzięcia o zamordowaniu Książęcia Jana nie poprzestał. Posłał abowiem jednego zdrajcę z komornéj swéj rady, z kilkąset knechtów, aby Książę Jana, i synaczka Zygmunta, którego w tym więzieniu mieli zamordował, a księżnę do Moskwy posłał. Lecz Pan Bóg, który swych nigdy z opatrzności swéj nie opuści, dziwnie tę dradliwą radę rozerwał. Knechci hetmana onego swego jęli mocnie nalegać, aby im powiedział, dokąd i na coby je prowadził, z czego acz się im dziwnie zbraniał, lecz gdy rad nie rad posługę, na którą szedł im opowiedział, żadnym obyczajem na to przyzwolić nie chcieli, powiadając: Nie daj tego Boże, abyśmy my na człowieka niewinnego, który przy sobie żadnéj obrony nie ma, ręce i broni nasze podnieść mieli: wiecznaby to nasza sromota i hańba była: nieśmielibyśmy inszemu rycerstwu i wszem ludziom w oczy wejrzeć. A iż Król Eryk, wzgardziwszy tak straszliwe upomnienie Boskie, okrucieństwa swego poprzestać nie chciał, Pan Bóg też srogi gniew swój nad nim według onego widzenia okazał, odjął mu rozum, że jako szalony, podarszy na sobie szaty, z zamku zbieżał, i wyrwawszy jednemu Knechtowi albart, w pole bieżał. Co widząc preceptor jego, za nim się puścił, upominając aby się obaczył, aby k sobie przyszedł. Lecz on obróciwszy się, człowieka onego dziwnie starego, swą własną ręką zamordował, a zatym po lesiech, po skałach, przez kilka dni, jako szalony kryjąc się i uciekając biegał, aż ledwie Panowie jego, zbiwszy kilkanaście set knechtów, oszarpanego i zgłodzonego, i na poły zmarłego znaleźli: tam go na jednym zamku zamknąwszy, wielkie o nim staranie czyniąc, ciepłemi pokarmy i muzyką do tego przywiedli, że nieco ku sobie przyszedł; zatém do niego kilka przedniejszych Panów przyjechawszy, co się z nim działo opowiedzieli, i baczną namową, jako takiego upominali, aby poznawszy srogie karanie ręki Boskiéj, złości poprzestał, brata z żoną niewinne ludzie z więzienia wypuścił. Przyjął to wdzięcznie, i prosił aby o nim radzili, iżeby brata zaraz mógł widzieć. Na co gdy mu powiedzieli, że go straż z zamku nie puści przez listu twojego, zaraz list pisać rozkazał, podpisał rozkazując strażéj, aby brata wolnie z żoną z synaczkiem wypuścili, i do siebie ze wszelką uczciwością bezpiecznie do Sfarcu przyprowadzili. Dokąd kiedy już Książę z więzienia przyjeżdżało, wyszedł przeciwko jemu Król Eryk z zamku z mostu, i czapkę zdjąwszy, czekał aż

z okrętu z żoną i synaczkiem wysiadł, i tamże na onym placu, acz błota dosyć było, klęknął, i krzyżem padszy, Książęcia Jego Młci prosił, aby mu dla Pana Boga wszystko odpuścił, a Królestwo które mu zaraz spuszczał, od niego przyjął. Tymże sposobem klęcząc, krzyżem padał przed Księżną Jéj Mcią prosząc, aby mu to więzienie przepuściła, toż uczynił i przed synaczkiem ich Zygmuntem, który acz w więzieniu będąc, nic więcej ludzi nie znał, jedno ojca z matką, a kilko sług brudnych i oszarpanych: jednak kiedy mu Król rękę podawał, z góry rączką w rękę jego uderzył, czemu się wszyscy ludzie zdumieli, i krzyk płaczliwy uczynili: zatym witania, przepraszania, i biesiady rozmaite krotochwilne strojone były.

Tym prawie cudownym sposobem Pan Bóg niewinne Książę wespółek i z miłą małżonką, z niewolej w któréj byli przez pięć lat, wywiódł i wyswobodził. Dopuszczać on abowiem na wybrane swoje frasunki, ale ich w nich nie opuszcza, tak jako prorok święty powiedział: Wiele frasunków jest ludzi sprawiedliwych, ale ze wszytkich Pan Bóg je wyswobodzi.

Lecz acz tym sposobem Książe Jego Młść Janusz wespółek i zmiłą małżonką swoją z więzienia wyswobodzeni i do Księstwa przywróceni byli, przedsię Król za złą komorną radą fortelów zdradliwych pod nim używał, i o zdrowie go przyprawić wiele raz usiłował, tak, że i nad inszymi które podejrzane miał okrucieństwa swojego nie przestawał, a szukając na to okazyi, jakoby jadowitemu sercu swojemu dosyć uczynić mógł, obwołać roskazał koronacją miłośnice swéj, którą za żonę był wziął, kiedy mu syna zrodziła. Na tę Koronacyą naprosił Książąt braciéj swojéj i Panów co naprzedniejszych, chcąc one tą koronacyą, krwią bracką, i panów Rad swoich, a co naokrutniejsza, i niewinnego dzieciątka Zygmunta synaczka Książęcia Janusza, oblać, a jakoby poświęcić. Lecz Pan Bóg który swych jako źrzenice w oku strzeże, onéj to tak rzeknącéj Królowéj, litością i żalem serce wzruszył, iż przez starą Królową Księżnę Jéj Młść. przestrzegła, żeby synaczka z sobą nie brali, ale raczéj jako nadaléj być może od siebie odesłali. Stąd Książęta ich Młść. bracia Króla Eryka i z pany inszymi, łatwie się domyślili, co za biesiada i krotochwile na téj koronacyéj być miały.

A przetoż bacząc Króla być Tyranna, i bez rozumu, jęli o sobie radzić, a obrawszy potajemnie Książe Janusza za Króla, i za Pana sobie, z niemałym wojskiem do Stocholmu przyprowadzili, tamże do miasta dobrowolnie wpuszczeni, zamek nie przez rozlania krwie, bo i Król Eryk

też lud miał, wzięli, Książe Janusza na stolicy i majestacie królewskim posadzili, a króla Eryka do więzienia osadzili, w którym on umarł: a Król Janusz i dotąd z woléj Bożéj sławnie i szczęśliwie panuje. Tak P. Bóg który przewraca stołki Książąt hardych, a pokorne i łaskawe na miejscu ich posadza, Tyranna Eryka z stolicy zrzucił, a Książe Janusza na stolicy jego posadził, o którym to być może rzeczono co też o jednym Jeremiasz Prorok powiedział: Wyprowadził go z więzienia, i postanowił Tron jego wysszéj nad Trony Królów inszych. A wespółek też księżna J. M. z małżonkiem swym, do dostojenstwa i korony Królewskiéj podniesiona jest: aby tak jako była uczesniczka frasunków i więzienia, tak też była towarzyszką pociechy i Tronu Królewskiego.

Na którym tak zacnym i wysokim stanie będąc, cnót swych i pobożności nie umniejszała, ale tym więcéj a więcéj w nich się pomnażała, na modlitwach ledwo nie ustawiczna była, dnia żadnego nie opuszczała, któregoby Panu Bogu przy najchwalebniejszéj ofierze Mszéj świętéj, za wszystko dobrodziejstwo dziękować nie miała. Wdów, sierót, i wszelkich utrapionych, wielką opiekunką i obrońcą, a prawie matką miłościwą była; Dziateczki swoje przykładem Tobiaszowym, zaraz w młodości Pana Boga się bać i grzechu strzec uczyła: w wiarę świętą Katholicką Chrześcijańską, i we wszelakie nabożeństwa, z wielką uprzejmością i pilnością zaprawowała: a zawżdy przy jawnym i pospolitym nabożeństwie, podle boku je swojego trzymała.

A jeśliżeć się kiedy uskarzała, tedy na wielką niewdzięczność (zwłaszcza gdy się jaki Polski Szlachcic do Szwecijéj trafił) narodu swego zwykła się była uskarzać, że w trudnościach i w więzieniu, nie jedno ratunku, ale też i pociechy nie znała: a co cięższego, że i posagu przez ojca świętéj pamięci zebranego, przez brata Króla Augusta na potrzebę koronną nałożonego, małżonkowi jéj nie oddano; i miała snać mawiać (a niewiem jeśli nie prorokowała): Pan Bóg sprawiedliwy karać was będzie za taką niewdzięczność, którą nam potomkom panów i dobrodziejów swych pokazujecie. W religiéj świętéj Katholicznéj powszechnéj Rzymskiéj wielką stateczność aż do śmierci swéj zachowała.

Słyszeliście jako być mogło nakrócéj, o zacnych i bogobojnych sprawach téj to wielkiéj Monarchinéj, i w panieńskim i w małżeńskim stanie, w szczęściu i w nieszczęściu, w więzieniu i w królowaniu. A jeśliż godna jest z żywota swego pochwalenia, tym więcéj godniejsza, iż tak święty pobożny żywot swój takąż śmiercią zapieczętowała, o któréj teraz miłościam waszym króciuchno powiem.

Kiedy się ten czas i dzień przybliżał, który Pan Bóg

wiecznėm przejźrzeniem swėm postanowiż, aby frasunkom i niemocom jėj koniec uczynił, a z tego nędznego i doczesnego żywota, do onego wiecznego i błogosławionego powołał, dopuścił na nie ciężką a już ostatnią chorobę, w którėj jako ciężkie boleści cierpiała, nie drzewiėj poznano, aż kiedy ją umarłą omywano. W tėj chorobie przez dwadześcia niedziel była, a cierpiąc tak wielkie boleści, że nie podobna rzecz, żeby je mógł był człowiek sam krómia osobnego posiłku i ratunku Boskiego wytrwać i wycierpieć; żadnego znaku niecierpliwości w nich niepokazowała, jedno Panu Bogu ręce składając dziękowała, a o świętą cierpliwość prosiła, słów onych używając Augustyna S. „Panie, gdyć się tak podoba przydawać boleści, proszę, przydawaj téż i cierpliwości.“ Pod czas téż ony słowa mówiła: Nikt nie wie co ja cierpię. Mając tedy już tak pewnego gońca śmierci w domu swym, tak ciężką i bolącą niemoc, co przedtym w dobrėm zdrowiu bardzo rada czyniła, często Pana i Zba- wiciela naszego w najświętszym Sakramencie prząjmowała, to tym częściėj z świętszym i gorętszym nabożeństwem, w tėj niemocy swėj czyniła. Na piąty dzień przed śmiercią, gdy ją Król J. M. małżonek jėj nawiedzał, co na każdy był dzień zwykł rano czynić, prosiła, aby ku niėj do łóżka bliżėj przystąpić, i rękę swoję podać jėj raczył; wziąwszy rękę królewską między ręce swe, rzecz do niego uczyniła. „Widzę że już czas i godzina się przybliża, kiedy koniec weźmie ślub nasz, przez nas społecznie sobie poślubiony: Naprzód dziękuje W. K. Mci, za wszystkie łaski, któreś przeciw mnie małżonce swėj, jako wierny małżonek i pan mój miłościwy pokazować raczył: a choćżeć tak rozumiem, żem przez ten wszystek czas, wszystko co przystało wiernėj i uczciwėj małżonce, W. K. M. z powinną uczciwością i powolnością oddawała; wszakże jeślibym kiedy z krewkości albo z nieobaczenia W. K. M. w czym obraziła, proszę pokornie, racz mi to dla Pana Boga odpuścić: a przytym pokornie proszę i upominam, chceszli aby cię Pan Bóg błogosławił, i królowanie twoje, sławnie i szczęśliwie rządził sprawował, żebyś się go bał a wolėj jego świętėj we wszem prześtrzegał.“ Potym, skazawsz yna dziatki swe, które tudzież stały, rzekła: Masz owoc małżeństwa naszego, które proszę cię, jako ojciec miłuj, a jako Król i Pan ich, abyś na nie łaskaw być raczył: a podnióższy oczy swe na Króla, najwięcėj W. K. M. pokornie proszę, a niechaj to tą ostatnią prośbą otrzymam, żebyś tych dziatek naszych od tego ćwiczenia, które przez mię wzięły i od świętėj religiėj Katholickiėj Rzymskiėj, ani sam odwodził, ani komu inszemu namawiać pozwolił.“ Zatym do dziatek napominanie uczyniła, aby na wychowanie swoie

zawżdy pamiętały, Panu Bogu w świętéj wierze katolickiéj, przez wszystkie dni żywota swego, w świątobliwości i w sprawiedliwości służyły, obiecując im Boskie błogosławieństwo, jeśliby to strzymały, grożąc przeklęctwem, jeśliby przestąpiły.“ Potym Królowi J. M. sługi swe zalecała, proszac aby im miłościwym Panem być i łaskawie opatrzyć, i odprawić je raczył. Ostatnie Króla J. M. małżonka swego pilnie i pokornie prosiła, aby testament jéj w cale zachować raczył, a ciała jéj żeby między Heretyki z ceremoniami heretyckiemi do ziemie nie oddawał. Tu Król J. M. dłużéj od żalu trwać nie mogąc, zalawszy się łzami, z pokoju wyszedł: a ona zatém z sługami się swemi obojéj płci żegnała przepraszając każdego rękę swą dawała. To rano odprawiwszy, potym po Kapłana posłała, Spowiedź swiętą z wielkim żalem z pokorą uczyniła, a po mszy świętéj Sakrament przenaświętszy, jako zbawienny posiłek; na tak daleką drogę z wielkim nabożeństwem przyjęła. To odprawiwszy co Chrześcijańskiéj Paniéj przystało, mało co sobie odpoczęła: a iż jéj Pan Bóg kilka dni zdrowia jeszcze był przedłużyć raczył, w tych to dniach, ile choroba dopuściła, naprzód Testament i wolą swoję ostatnią przez spowiednika swego spisała podpisawszy i zapieczętowawszy temuż oddała. Potym zawoławszy wszystkich sług, protestacyą albo oświadczenie przed Panem Bogiem i Anioły jego, i wszystkim dworem niebieskim, i tymi którzy obecni byli, z wyznawaniem wiary S. w Składzie Apostolskim uczyniła, oświadczając się, że nie w żadnéj innéj religijéj, jedno w świętéj Katolickiéj Rzymskiéj wierze, umrzeć i ducha swego Panu Bogu oddać chce. A gdy tak już ze wszystkim się ułatwiła, niczym się inszym nie bawiła, jedno rozmyślaniem o onéj Ojczyznie niebieskiéj, zupełnie się pod wolą boską poddawając, aby Pan Bóg czynił z nią, co jest jego wola święta: a gdy ją baczyli kapłani być bardzo mdłą, nigdziéj od niéj nie odstępowali, na przemiany we dnie i w nocy jéj strzegąc, albo czytając, albo co nabożnego przy niéj rozmawiając. Rano w poniedziałek gdy obaczyli, że już siły przez nię biły, i przyrodzenie niemocy ustępowało, Oléj święty ostateczny Sakrament Chrześcijański na nie włożyli, który z wielkim nabożeństwem i uczciwością przyjęła: potém według zwyczaju świętego Chrześciańskiego świecę zapalono, znak jaśnyej i dorącéj wiary i miłości ku Panu Bogu w ręce jéj podali, którą obiema rękoma trzymając skonała, i ducha swego Panu Bogu w ręce oddała, cnotliwy i bogobojny swój żywot śmiercią nabożną zamknęła.

Wspominając téż na téj bogobojnéj, cnotliwéj paniej sprawy w każdym stanie jej, niech wszelki z niéj według stanu swego, wzór cnoty, i bogobojności bierze: Panny, pokory, wstydu, uczciwości i nabożeństwa: uczciwe mał-

żonki, przeicw mężom swym, we wszelakiéj przygodzie, wiary, miłości, uczciwości, dziatki swe aby z młodości bojaźni Bożéj uczyły w wierze świętéj Katolicznéj i w nabożeństwie czwiczyły i wychowały; a wszyscy w obec w doległościach i frasunkach cierpliwości, w opatrzności Boskiéj mocnéj dufności, w wierze św. Katol. Rzymskiéj stateczności.

A ty najaśniejsza Miłościwa Królowa w tym żałobnym frasunku i smętku swoim, że cię młodsza siostra do tego kresu, do którego i sama idziesz, uprzedziła: ciesz się na przód wolą miłego Boga, tak się Panu Bogu podobało, tak się stało: przystojna aby się to człowiekowi podobało, co się Panu Bogu podoba. Ciesz się przytym wiarą i nadzieją pewną świętą Chrześciańską, żeś siostry swéj niestraciła aleś ją do onéj wiecznéj niebieskiéj ojczyzny przed sobą posłała: przyjdzieć ten czas, kiedy da Pan Bóg nie w płaczu ale w weselu, nie w téj grubéj żałobnéj płachcie, ale w białéj i w ślicznéj szacie, wespołek z nią, i z świętymi przodkami twemi, tam wiecznie żyć i królować będziesz.

Chowaj się proszę cię miłościwa Królowa Pani moja, w te złe czasy Kościołowi Bożemu, za którego prawdziwą religją świętą, nic sobie nie ważąc obrażenia wielkich ludzi mężnie się zastawiasz. Chowaj się Rzeczypospolitéj: baczysz że nie jedno z pogranicza, ale i w domu jakieś straszliwe chmury powstają: któż wie? jeśliż nie za tobą, jako za mocnym murem, w jakim takim pokoju dotąd siedziemy? Chowaj się miłemu potomstwu, téj siostry twéj zmarłéj, którym pókiś ty żywa, matka nie umarła. Chowaj się ubogim sierotom, i wdowom utrapionym, które jako do matki do ciebie się uciekają. Chowaj ubogim żebrakom, Klasztorom Szpitalom, Zakonnikom, Mniszkom, którzy jałmużną twoją żywi. Chowaj się też na koniec nam wszystkim sługom twym, których po Panie Bodze wszystka pociecha i nadzieja, w dobrym a długim zdrowiu twoim. Żywże cię chowaj Panie Boże, i błogosław cię do lat Ojcowskich Amen.

KAZANIE

na pogrzebie królowéj polskiéj Anny,

ostatniego potomka domu Jagiełłowego,

przez Ks. P. Skargę. 1600.

Godzi się po śmierci człowieka pobożnego chwalić, i przykład cnot jego ludziom zostawić, i pamiątką wieczną dobroć jego uczcić, i żałować a płakać śmierci jego. Przed śmiercią, mówi pismo, nie chwal żadnego, dla odmiany i niedotrwania, któremu ludzka słabość podległa. Lecz po

dokonaniu pracy i drogi żywota tego, i po skończeniu roboty, chwalmy dobre robotniki, aby wspominanie ich było ku błogosławieństwu, i nam do zbudowania, i onym do zapłaty. Nie będziem chwalić téj białéjgłowy królewskiéj z znaczności, z urody i wdzięczności: bo to lekkie i spolne ze złemi dary; ale z bojaźni Bożéj, i z cnót, który z niéj rostą, sławić ją winni jesteśmy. Pierwéj jednak włożyć to chcę do serc waszych, dla zbawiennéj przy pogrzebie nauki: jako śmierć wielkich ludzi, płci obojéj, większe w nas użalenie nad ludzką nędzą wzbudza: jaśniéj w niéj na słabość szczęścia świeckiego patrzym: znaczniejszy jest i głośniéjszy ich upadek, większa w nim bojaźń mocy Boskiéj: straszliwy ich jest do sądu Bożego przystęp: większa szkoda i żałość, gdy wielkiego i królewskiego stanu ludzie umierają.

Okrom tego samego w ciele żywota nie wiele ubogiemu śmierć odejmuje. Mało miał: nie wiele traci. I nie jest wielkie nad jego śmiercią użalenie. Lecz człowiek stanu i szczęścia wielkiego, z bogatego staje się ubożuchny nędznik. Póki żył, tysiącami szafował, skrzynie złota i śrebra, i drogich kamieni, i pereł napełniał, swoim to być mienił, i w tym się kochał, i przygód się żadnych nie bał. A gdy zasnął, mówi Psalm; nic nie nalazł w ręku swoich. Ze wszystkiego złupiony i odarty, jako jeden pojmaniec najnędzniéjszy został. Śmierć wszystko wydarła i porzucić kazała.

Z onego rozkosznika, w potrawach, w szatach, pościelach, jedwabiach, w woniach drogich i perfumach: staje się brzydki i sprosny trup. Z onego podniosłego i gromadnego, wielkim dworem ludzi ubranych i znacznych obtoczonego: staje się u grobu i w ziemi odbieżany i wzgardzony i osierociały. Z onego możnego, przed którym wszyscy drzeli, i mocy się jego bali: staje sie pośmiewisko i wzgarda: jako straszydło u prosa, po którym ptacy depcą, którzy naprzodku przystąpić do niego nie śmieli. Z onego, który do siebie wszystko garnął, zbierał, brał, zamykał, ściskał: stała się rozbita puszka, w którą młot śmierci uderzył, i z niéj wszystko wysypał, aby zbierał, kto mógł, a sama próżną, zdziurawioną i skruszoną na skorupy została.

O dziwna a straszliwa odmiano! Takieli, jako on Agag król mówił, gorzka śmierci czynisz oddziały? oddzielasz od pieniędzy, od bogactwa, od roskoszy, od pompy i stanów wysokich, od majestatów, królestw, od rozkazowania, od towarzystwa i dworów, od żony, od dzieci, od męża, od powinnych, nakoniec od zdrowia, od żywota i od ciała? wszystkiego odstąpić, i porzucić wszystko rozkazujesz. Jaoż suię nad takimi nie użalić; i nie płakać? Płacz, prawi, ną dkmarłym, bo ustała światłość jego. Nietylko światłość

ustała, iż nic nie widzi; ale się wszystko w ciemność i nędzę, i wzgardę i obrzydzenie obróciło.

Gdy Amaza, wielki Dawida króla hętman, zabity na drodze z wyciekłemi trzewy leżał: żołnierze mijający mówili: „Onże to tak wielki Pan, że chciał być na miejscu Joabowym? patrz, na co przyszedł." Gdy Jezabellę, przed którą ziemia drżała, z okna zrzucono, i zdeptaną kopytami końskiemi psi jedli: lud płakał a mówił: onaż to Jezabell? Srogie i ciężkie odmiany w śmierci panów wielkich, smutne użalenie nad nędzą ludzką pobudzają. Czego na ubogich i niskich ludkach nieznać.

Na wielkich Panach gdy umierają, łacniéj doznawamy słabości wszystkiego ludzkiego szczęścia, i niepodobnéj naprawy i trwałości jego. Gdy ubogi umarł, myślim i mówim: Nędza go i niedostatek umorzył: nie miał co jeść: grubemi się potrawami zepsował i robotą się zerwał: nie miał się czém leczyć, ani barwierza, ani doktora mieć nie mógł, ani lekarstw potrzebnych. Apanu wielkiemu i z Indyi lekarstwa przywożono, i ze Włoch doktory miał, i co najkosztowniejszych i najzdrowszych potraw używał, i perły i złoto mógł jeść: a przecie nic nie pomogło, odjąć się śmierci nie mógł.

Gdy ubogiego kmiotka zabiją, i wszystko po nim zginie: nie dziwujem się, i ludzkiéj niepotężności nie znamy; bo mały, a odjąć się nic mógł, i jako robak zdeptany. Ale gdy pan i król wielki, który takie wojska, i tak straszliwą moc, i dostatek wojenny i domowy miał, upadnie i polęże, i wszystko się po nim rozproszy, dopiero mówim: Nic na świecie nie masz mocnego ani trwałego: odmiany i nędza najwyższe szczęście tego świata rozbija. Możesz śmiechowi mówić, jako nauczył Mędrzec: Nie zdradzaj mię; i weselu: nie śmiéj się ze mnie. Bo żarty z ciebie szczęście każde czyni, gdyć się trochę ukaże, a wnet cię zaś odbieży i zdradzi.

Gdy kto podły umrze, wstrzęsienia i wzruszenia, i odmian żadnych po nim nie masz: jakoby list z dębu cichuchno zleciał. Jako o jego narodzeniu, tak téż o śmierci jego ledwie kto wiedział, i nie masz po nim rozruchów, ani swarów, ani niepokojów, ani odmian: Lecz gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny, ogromny głos i trzask, lecąc na ziemię uczynił. Wszyscy się przelękli: drudzy w niepokoje i swary wielkie po nim wpadli: drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli.

Na pańskich śmierciach; straszliwa jest moc Boska i władza niebieska. Panowie są jako morze, które się wiatry podnosi i burzy, i straszliwi są, wszystkim zatopieniem grożąc. Lecz im sam tylko Pan Bóg mówi, jako jest u Joba: Ucichnij, póty wylewaj, tu stój. Gdy im koniec żywota zamierza, i moc ich króci.

Nie o takich nam teraz rzecz: ale o téj wielkiéj królowéj Annie Jagiełłownie, któréj żałośny ten pogrzeb czynim. Która nietylko szkody żadnéj królestwu temu i ludziom swoim nie uczyniła: ale osobliwą miłością narodu swego będąc, wielce im pożyteczna była, i pokój a dobro rozmnażała, i z wielkich trudności wyrywała, iż zejścia jéj bez żałości i serdecznego bolu i wylania łez naszych wspomnieć nie możem. Nietylko wszystkim pożyteczna i Rzeczypospolitéj i poddanym swoim jako matka była: ale tę cnotę przełożonych dobrych z przodków swoich wzięła, i oną rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła.

LIST PASTERSKI

KASPRA CIECISZOWSKIEGO

Biskupa Kijowskiego i Czernichowskiego, polecający Duchowieństwu jego Dyecezyi Nabożeństwo i modły za wiarę, Króla i Ojczyznę, pisany z Warszawy dnia 27. Grudnia 1789 roku.

Czyniąc zadosyć obowiązkom naszym pasterskim, zaleciliśmy od początku sejmu po wszystkich kościołach dyecezyi naszéj, publiczne modlitwy do Boga, od którego wszelkie dobro swój bierze początek, a którego błogosławieństwo, wszelkie przyrodzone środki i ludzkie zabiegi może skutecznemi uczynić.

Niedościgły w swych wyrokach Pan zastępów, raczył wejrzeć na prawowierny lud swój, i spuścić nań dobroczynny światła niebieskiego promień, tak iż z prawdziwą radością pasterskiego serca naszego, miłością religii i ojczyzny jedynie tchnącego, możemy się do was odezwać najmilsze w Chrystusie owieczki, iż Bóg skłaniać się zdaje do prośb naszych. Jako bowiem podług nauki pisma ś. najpewniejszym jest znakiem ostatecznéj narodów zguby, gdy Bóg przebraną grzechów miarą sprawiedliwie zagniewany, usuwa od nich swe światło, zostawuje je w ślepocie omamieniu i błędach; dopuszcza na nie ducha zawrotu, w którym nic żbawiennygo radzić i działać nie mogą; tak przeciwnie winniśmy z wdzięcznoscia i pokorą uznać, litościwą jeszcze nad narodem naszym wszechmocnego Boga Opatrzność, gdy nam daje poznać prawdziwe dobro i pożytki nasze; gdy najpierwsze ich okazuje nam źródło; gdy nas naprowadza na prostą drogę prawdy i świętéj sprawiedliwości, aby ta była jedyném pradwidłem i wieczną zasadą trwałego rządu i prawodawstwa naszego.

Jako wszelkie bądź najmniejsze towarzystwa ludzkie, dobrym rządem utrzymują się; tak tém bardziéj ogromne

narody, trwałego i jednostajnego potrzebują rządu, bez którego trwać i kwitnąć nie mogą. Bez dobrego i trwałego rządu, niemasz w żadném towarzystwie ani szczęścia, ani sprawiedliwości, ani prawdziwéj wolności i bezpieczeństwa: bo tam nie panuje prawo boskie, cnota, obyczajność, rozum, ale gwałt, ślepota, błąd i namiętności, które ludzi do zwierząt dzikich podobnymi czynią.

Téj prawdy, o któréj nas najmilsi, religia i przyrodzone rozumu światło przekonywa; smutne dowody i liczne a okropne skutki w ojczyźnie naszéj widzieć się dały.

Niepewne osób, domów i majątków bezpieczeństwo, zaniedbane dawniéj potrzebne i zdrowe nauki, kunszta i rękodzieła; nieznany dobrze handel, przytępiony przemysł, nędzne w wielu miejscach gospodarstwo rolnicze, podupadłe miasta, niedostatek ludności, arbitralna sprawiedliwość, zepsute obyczaje, szkodliwe w pospólstwie nałogi, przemoc mocniejszych nad słabszemi; niezaradzające złemu, ustawicznie stanowione, a mało zachowane prawa, ich częste odmiany i przeciwności; wprowadzony w publiczne nawet sprawy, urzędy, obrady, duch niezgody, intrygi, ambicyi i chciwości; nachylały ojczyznę naszą do ostatniego upadku i [zguby, od któréj ją dotąd ochroniło miłosierdzie boskie przez prawowierność religii, i grunt dobry charakteru narodowego. Swieżą jeszcze i smutną wszyscy mamy pamiątkę, żeśmy doznali razem tego wszystkiego, cokolwiek w przeciągu wieków najokropniejszego i najhanieaniejszego narodom trafiać się może. W jakim proszę, najmilsi! zostawaliśmy stanie, ogromnemi zewsząd otoczeni mocarstwy, wzgardzeni od zaufanych i chlubnych w swéj sile narodów; bez rady mocy i obrony zewnętrznéj, bez wewnętrznego porządku, bez zgody i jedności, przepędziliśmy wiek w bezczynnéj prawie rozpaczy; jakbyśmy się zdawali oczekiwać tylko owéj smutnéj już przeznaczonéj dla nas chwili, w któréj miały być zatarte ślady narodu naszego, i zgaszona wiecznie pamiątka sławnego niegdyś imienia Polaków.

Dzięki władnącéj losami narodów Opatrzności. Nowa zdarzonych okoliczności postać, serca Polaków napełnia duchem męztwa i nadziei ku podźwignieniu; szczególna każdego obywatela gorliwość, różne do tego podaje środki. Ojcowskie najjaśniejszego króla JM. Stanisława Augusta pana naszego miłościwego, jednego z najlepszych, najroztropniejszych i najtroskliwszych o dobro ojczyzny królów, starania; usiłowania oraz zgromadzonych rzeczypospolitéj stanów, w czasie pracowitych i długich obrad, niezostają bez pożytku; i owszem naznaczone są cechą błogosławieństwa Pańskiego. Uznać albowiem należy szczególném Przedwiecznéj mądrości natchnieniem, że w jednym prawie momencie po-

znawszy sejmujące rzeczypospolitéj stany, że wszystkie rasze klęski, nieszczęścia i bezprawia, z jednego wynikają źródła; to jest: żeśmy nie mieli pewnego, stałego i jednostajnego rządu; jednomyślnie i z okrzykiem powszechnéj radości, pierwsze zasady poprawy onegoż ustanowiły.

Dziękujmy więc Bogu za tak szczęśliwe początki tego dzieła, które nam zaręcza wewnętrzną spokojność, własność majątku każdego mieszkańca, które nam wystawia miłe widoki największéj pomyślności krajowéj, które nas zapewnia o zewnętrznéj mocy i obronie, o trwałéj i od obcych szanowanéj narodu i imienia polskiego exystencyi.

Dwa są, najmilsi! największe dary, które Bóg ludziom na tym świecie dać może: pierwszy, światło wiary; drugi, dobry rząd i prawodawstwo. Nierozumiejcie, aby dzieło dobrego rządu i prawodawstwa, mogło być dziełem słabych sił rozumu ludzkiego. Przedwiecznéj i najwyższéj mądrośći udzieloną cząstką, królowie rządzą narodami, prawodawcy sprawiedliwe prawa stanowią. *Per me Reges regnant, et legum Conditores justa decernunt.* Prośmy więc, aby Bóg dał ducha mądrości, porozumienia się, zgody i wzajemnéj miłości. Mówmy do Boga z Dawidem królem: *Aperiente te manum tuam, omnia implebuntur bonitate; avertente autem te faciem; turbabuntur auferes spiritum eorum et deficient.* Oświadczoną za odebrane dobrodziejstwa wdzięcznością zapewniajmy dla siebie nowe pomoce Najwyższego. Aczkolwiek bowiem patrzemy z radością na założone téj wielkiéj budowli fundamenta; nadaremnie jednak pracowalibyśmy, według przestrogi psalmisty, jeżeli jéj Pan Bóg kończyć nie będzie: aniby cała nasza baczność stała się użyteczną, jeżeli on nas w swéj straży nie będzie utrzymywał. Ponówcie zatém, najmilsi w Chrystusie! wasze modlitwy i nabożeństwa, przez posty i jałmużny błagając majestat Boski, aby jako się przyłożył do roztropnego dzieła, równie do pożądanego końca przyprowadzić go raczył. Wstawiajcie się do Boga zastępów, ażeby we wszystkich ożywiał prawdziwą wiarę i baczną pamięć na to, czego cześć Bogu powinna, całość religii i powaga kościoła wyciąga: a ile chwalebnie to prawowierne królestwo utrzymać się usiłuje, przy swojéj politycznéj niepodległości; tyle zawsze oświadczało poddanności ku temu, który wywyższa do tronów i składa z nich; a niepobożne królestwa od narodu do narodu przenosi. Pobożném więc i prawdziwie chrześciańskiém życiem, usiłujcie zasługiwać sobie, aby powziął o nas myśli nie ucisku i dolegliwości, ale pomyślności i pokoju, który jest skutkiem sprawiedliwości podług Jeremiasz proroka.

